

OLGA GROMYKO

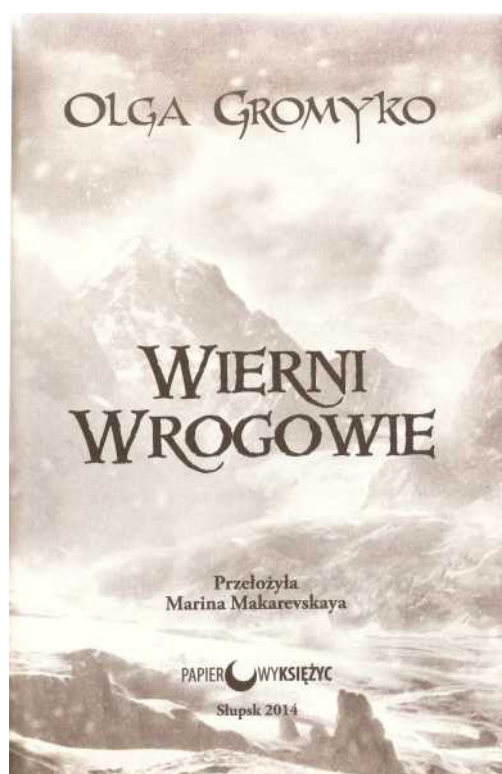
WIERNI  
WROGOWIE

PAPIER  WYKSIEŻYC



- Wprost wspaniale! - Zakręciłam pustym kuflem i odchyliłam się na oparcie krzesła.
  - Znalazłam się w fascynującym towarzystwie! Wygnany czarownik, który nie jest zdolny by wyczarować cokolwiek sensownego, żeby nie zemdleć na miejscu...
  - To chwilowe!
  - ...smok uciekający przed przerośniętymi wilkami...
  - Yhy, ledwo udało mi się ciebie dogonić!
  - .. nedorostek z gruźlicą...
- Rest próbował zaoponować, ale pechowo dostał ataku kaszlu.
- .. i... - Spojrzałam na Virrę, która skuliła się w przerażony kłębek - ... dziecko!
- Mała poweselała. Jako jedyna z zebranych.
- I wilkołak z paskudnym charakterem - dokończył Mrok wyczerpującą charakterystykę naszej drużyny.
  - Ona nie jest zwykłym wilkołakiem - westchnął Weres, w ostatniej chwili przytrzymując dłonią kufel, który akurat dotarł do brzegu stołu. - Sprawa wygląda znacznie gorzej...
  - To znaczy?
  - Ona jest kobietą - wyjaśnił czarownik grobowym głosem. - A tego nie uleczysz żadnym eliksirem.

# WIERNI WROGOWIE



*Tytuł oryginału* **Верные Враги**

Autorka składa serdeczne podziękowania pedantycznej Annie Polańskiej, wybrednej Julii Morozowej, niezrównanej Annie Kuzniecovej, sumiennej Marinie Gilowej i biednej Janie Bojczenko, bez krytycznego udziału których książka ta byłaby inna albo w ogóle nie powstała.

# Rozdział 1

*Historii jest welin bezlitosny  
I nie zostawi śladu słaby trzon  
A na tym mocnym wnet wytkają krosna  
Płomienie, stukot podków, stali dzwon  
Lecz czas zarówno wrogiem jest i bratem  
I nieuchronnie wszystko zmiecie w cień  
Więc dla potomków będzie zwykłą datą  
Tak wiele losów zmieniający dzień  
I nie wie mimowolny nasz bohater  
Że krosna jego los przemielą w pył  
Gdy piękny kładąc wzór na czystych kartach  
Ostatnia kropla krwi wypływa z żył*

*Kroniki Belorskie końca IX wieku, tom 7,  
rozdział „Mity i legendy”, autor nieznan*

A naszego czarownika toć zatłukli wczoraj - zaczął karczmarz bez wyraźnego powodu, kolejno wycierając kufle, niedbale oplukane w cebrzyku. Na zewnątrz panował szary smętny dzień - późna jesień, która nijak nie chciała ustąpić miejsca zimie. Przy takiej pogodzie mieszczanie nie mieli ochoty ani na piwo, ani na smażone ziemniaki - dodajmy uczciwie, że smażone paskudnie, na zjełczałym tłuszczu - ani nawet na wychodzenie z domów w ten ni to deszcz, ni to mgłę, wiszącą nad miastem od zeszłego tygodnia. Za stołami doliczyłam się ledwo z pół tuzina ludzi.

- Hym...? - Uprzejmie uniosłam lewą brew. Nie miałam specjalnej ochoty na pogawędkę, ani nawet słuchanie, lecz w „Wilczej Paszczy” uznawano mnie za stałą bywalczynię, co wiązało się ze zniżkami, choć zarazem pociągało za sobą konieczność udawania przyzwoitej klientki. Spodobała mi się nazwa - to właśnie z jej powodu trafiłam tu po raz pierwszy. Karczma jak karczma, nie lepsza od innych, ani nie gorsza. Nad kominkiem wisiało wilcze futro z łbem o zabarwionym na czerwono pysku. Wszystkie panny służące miały na fartuchach runiczny znak wilkołaka, a z tyłu dyndały im przyszyte ogony. Na wszelki wypadek na ścianach dyndały plecionki czosnku i strzałki wodnej - bo a nuż pomroki wezmą nazwę za dobrą monetę i wpadną do karczmy z wizytą? Zabawne.

- Noć nasi zatłukli - ciągnął gospodarz chętnie. - Wczoraj to było więcej narodu, pod

wieczór pogoda się poprawiła, nawet słoneczko wyjrzało, to przyszli na wieczerzę. Stary Knur był, i Rudy Szot, a nawet jaśnie pan Golard raczyli pytać o czarzkę winesskiego. Dziewki się uwijały. A tu ten czarownik. Ja się znaczy pytam, po co on przylazł? Siadł przy oknie i toczy tym swoim paskudnym spojrzeniem, jakby to nie jego koń niósł, tylko on sam bitą godzinę pod siodłem skakał. No siedzi i siedzi, o nic nie prosi. Dziewki się boją, jedna na drugą zerkają. To sam podszedłem. „Coś mam podać? - pytam. - U nas to nie jest przyjęte, żeby się za darmo grzać”. Patrzę, faktycznie, jakby go czymś ciężkim walnęli, nic nie rozumie. Tylko się gapi prosto na mnie. Potem mrugnął i gada: „Przynieś kawał mięsa, tylko takiego dobrze przysmażonego”.

Pewnie zdążył gdzieś poczarować, pomyślałam z roztargnieniem. Magia odbierała wiele sił, które najlepiej można było odzyskać z produktów pochodzenia zwierzęcego i podgrzanego czerwonego wina. O wino nie prosił, widocznie chciał mieć trzeźwą głowę.

- To wysłałem chłopaka, żeby szynki ukroił - boć pieczone się skończyło było, wszystko wykupili. Stoję, rozlewam piwo. Nalałem sześć kufli, popostawiałem na tacę, kazałem Kwetce, by zaniósła. Durna dziewczka, ale ładna - ciągnął karczmarz.

- Jest za co złapać i od przodu, i od tyłu. Jak poszła przez izbę to wszyscy się zagapili - jedni na tył, drudzy na przód, jeszcze inni na piwo. Czarownik też spojrzał, a ta durnota się na równym miejscu potknęła i grzmotnęła o podłogę, dwa kroki nie doniosła. Piwo na klientów wylała, krzyworeka. Akurat Kulawemu Korce na nowe portki, co je właśnie oblewał. No to oblał... he-he... Pamięta pani szanowna Korkę? Taki duży chłop, w magazynach beczki turla? Znaczy się ten, co w zeszłym roku po pijaku wpadł był do studni? Wtedy to mróz był, woda zamarzała na kamień do samego dna. Kogo innego by na śmierć, a on tylko nogę zламаł. A potem jeszcze do rana wrzeszczał stamtąd zbierne piosenki, bo go po chmielu nic nie bolało. - I...?

„Wilcza Paszcza” miała jedną rzecz godną polecenia, a mianowicie prażone ziarna słonecznika: pękate, w sam raz słone i wyspane do szerokiej płaskiej miski na szynkwasiu - dla każdego chętnego, ile się w garści zmieści. Albo też można było skorzystać z ataku gadatliwości karczmarza i skubać je wprost stamtąd, bezczelnie wybierając co większe.

- I jemu w durny łeb przyszło, że to niby czarownik jej nogi podkosił, urok rzucił. Celowo. No to wstał, złapał stołek za nóżkę i jak nie walnie go przez łeb! Czarownik wiadomo - jak rękę podniósł to zydel nie doleciał, w powietrzu się rozpadł, a Korkę aż do ściany po podłodze przeturlało i tyłkiem wpakowało w komin. Czarownik się jeszcze bleśszy zrobił, zachwiał i chyba usiąść chciał, bo zaczął rękoma krzesła szukać jak niewidzący. Tyle że Korka był nie sam, tylko z kumplami i ci się za czarownika zabrali. Dwóch go za ręce trzymało, a reszta po kolei tłukła. Długo tłukli, już się przestał rzucać, a oni tylko patrzyli, żeby mocniej popieścić. Jeden to się nawet wykazał i po dyszel poleciał. Połamali mu ręce i nogi, rozebrali, podzielili ubranie i błyskotki. Nawet mnie dali. - Karczmarz pogrzebał w kieszeni fartucha i pokazał jakiś wisiołek: ni to kawałek krzemienia, ni to czarną błyszczącą kość.

Smocza łuska, zrozumiałam, biorąc amulet do ręki.

- Odsprzeda gospodarz?

- A weź tak, po co mi ona? - odparł karczmarz nawet z pewną ulgą. Bo ostatecznie kto miałby ochotę zadzierać z Konwentem Magów, jeśli dowie się on o całej sprawie? Potem weź człowieku udowodnij, że tylko patrzyłeś... a nawet i za to „tylko” nikt cię nie będzie po główce głaskał. - Jego samego to zawlekli nad parów, rozbujali i w dół zrzucili. Teraz tam błota po kolana, znaczy się w parowie. To pewnie utonął był. Się zachłysnął.

- A trupowi to przypadkiem nie wszystko jedno?

- Jak go za próg wyciągali, to jeszcze dychał. Krew mu w gardle rzeziła.

„Baba z wozu, wilkom łzej” - pomyślałam, chowając amulet. Czarownicy byli potężni i bardzo lubili pchać nos w nie

swoje sprawy, więc nikt za nimi nie przepadał. Ludzie bali się ich, szanowali, ale jak już zabierali do bicia, to zwykle kupą, by załatwić sprawę raz a dobrze.

Kilka razy miałam okazję zobaczyć tego czarownika w karczmie, a potem spotkać na ulicach miasta. Wysoki, czarnowłosy i jeszcze całkiem młody mężczyzna. Smagły ale o jasnych oczach i sympatycznej, nieco ironicznej twarzy. Któregoś razu przyszedł z uczniem i pobłażliwie

obserwował jak tamten po raz pierwszy próbował tutejszego mocnego piwa. Z niezrozumiałego powodu zapamiętałam, jak długie delikatne palce (na jednym tkwił tandetnie wyglądający pierścionek) wyciągnęły wprost z powietrza złotą monetę, by zapłacić karczmarzowi. A ten nawet nie uwierzył i próbował nadgryźć złoty krążek, by sprawdzić, czy nie jest iluzją.

Strząsnęłam łuski słonecznika z kolan, zapłaciłam i wstałam. I tak już spędziłam w karczmie zbyt wiele czasu. Szarość za oknem zaczęła zagęszczać się we wczesny jesienny mrok.

No cóż, jak utlukli, to pewnie sam się prosił.

\* \* \*

Mieszkałam za miejskimi murami, wznoszącymi się na wysokość trzech sążni, udekorowanymi wieżami strażniczymi i wysoką bramą, która była zamykana na noc. Pracodawca często proponował, że znajdzie mi pokój w mieście, ale odmawiałam. Na co mi to? W takim wypadku musiałabym płacić za wynajem, a poza tym pozbyć się konia i kozy. I to właśnie *pozbyć się*, bo szkapa kulała, a koza dawała mleka mniej, niż powinna i uparcie odmawiała posiadania potomstwa. Kto ich tam kupi? Chyba tylko mydlarz.

W lesie mieszkały wilki, niedźwiedzie i strzygi. A w mieście ludzie, których - niestety - nie można było odstraszyć zwykłym ogniem. I jeszcze czarownicy. Akurat mijałam parów i nie zdołałam się powstrzymać: zsiadłam z konia, przywiązałam wodze do siodła i klepnęłam wałacha po zadzie. Nawykły do takich sytuacji Dymek trzepnął ogonem i nieśpiesznie potruchtał w kierunku domu.

A ja uznałam, że sprawdzę. Kto ich tam wie, czarowników? Może sam rozpuścił słuchy o swojej śmierci i teraz tylko czekać na cios w plecy?

Opaść na kolana.

Skupić się.

Gotowe.

Podeszłam do samego skraju i zajrzałam w czarną rozpadlinę. Zbocze schodziło bardzo stromo i złożenie po nim było niebezpieczne, ale nieco po lewej sterczały krzaki, których można się przytrzymać.

Karczmarz nieco ubarwił - na dnie nie było aż tak wiele błota. Na wysokość kolana, ale nie ludzkiego, tylko psiego.

Nie musiałam długo szukać. Czarownik leżał wprost pod urwiskiem na plecach, z bezsensownie rozrzuconymi połamanymi kończynami.

Jasna plama na czarnej ziemi, z czerwoną otoczką.

Złośliwie wyszczerzyłam zęby. Żył. Jeszcze. Teraz co, siadać w tym błocie, brudzić futro dla pięciu minut triumfu...? Triumfu głupiego, ale jednak kuszącego? Usiadłam. Na brzuchu czarownika.

Jęknął i otworzył mętne oczy. Powoli przeniósł wzrok na mnie, z trudem próbował skupić w jednym punkcie. Poznał.

- Czarowniku, mówią, że mnie szukałeś?

Bezdzwięcznie poruszył rozbitymi wargami. Z ust trysnęła mu krew, zalewając podbródek. Zapach mi się spodobał. Schyliłam się i przeciągnęłam językiem wzdłuż policzka ku oku, zbierając ciemne skrzepy.

Czarownik wzdrygnął się desperacko. I bez sensu. Nigdy nie zaczynałam posiłku od głowy. Tylko tak się przymierałam.

- Mocny jesteś. - Przełknęłam i ciągnęłam z mieszanką podziwu oraz złośliwości. - Prawie jak ja, mimo że któregoś razu musiałam spędzić kilka dni w łóżku, lecząc ranę po twojej strzale. Pewnie kupiona od krasnoludów? Oni to umieją robić takie groty, że bez rzeźnickiego noża nie wyciągniesz. Tyle dobrego, że nie miewam blizn. Ludzie gadają, że to wzmacnia pamięć. Ale muszę przyznać, że masz dziwne metody na zawieranie znajomości z kobietami...

Patrzył na mnie nie mrugając. Nienawiść w tych oczach gasła razem z życiem. Pewnie walczył do ostatka, próbował zaleczyć ranę resztkami magii. Ciekawe, na co ją zużył? I tak długo pociągnął... Pewnie czekał, miał nadzieję, że ktoś po niego przyjdzie. A teraz koniec. Ktoś

przyszedł. Oczy zgasły i aureola krwi dookoła ciała zaczęła szybko rosnąć.

Złapałam go zębami za ramię i powoli ruszyłam wzdłuż parowu, zostawiając w błocie wyraźne odciski pazurzystych łap.

\* \* \*

Chatka była malutka, nieładna i krzywa. Wydawało się, że przed runięciem chroni ją wyłącznie ustawiona pod ścianą laga. Nad zrujnowanym gankiem chyliła się w ukłonie stara węzlasta jabłoń, w przybudówce z dziurawym dachem od czasu do czasu znosiła jajka jedyna kura. Za dnia dreptała po podwórku, rozsądnie unikając wychodzenia za rzadki płotek. Leśne drapiezniki łykały ślinkę, ale bały przekroczyć moje znaki ochronne.

W otwartej na oścież stodole prychnął i tupnął koń, zamęczała koza. Parszywka jedna - po co ja ją dwa razy ciągałam do kozła? Nie miała najmniejszego zamiaru rodzić, ale za to nadal dawała się doić. Mniej niż latem, ale mogłam zebrać dość mleka na śmietanę i serek. Wszyscy tu byli znajdami, zarówno pozbawiona rogów Majka o wąskich ślepiach, oddana na poczet długu, na barszcz, jak i szary, niemłody wałaszek, którego poprzedni właściciel wygonił do lasu, gdyż okulał. Nawet kotka, która uważała się za dziką, ale nigdy nie spóźniała na dojenie kozy. Nawet i ja sama. Chatkę znalazłam przypadkiem, przez dłuższy czas obserwowałam, krążąc po okolicy, ale przez tydzień gospodarz się nie pokazał. Nie pojawił się też przez trzy lata mojego tu mieszkania.

Nie bardzo można było nazwać chatkę kompletnie niezamieszkałą - w kominie zagnieździła się sowa, pod gankiem królowała hałaśliwa rodzinka jeży, strych był cały zapaskudzony przez nietoperze, a piwnica - przez myszy polne. Wszystkich tych lokatorów wymiotłam i wykurzyłam bez cienia litości, wstawiłam okna, obetkałam szpary mchem, część sprzętów odnowiłam, a część wyrzuciłam. Najważniejsze, że piec był cały. Najpierw spałam na nim, a potem kupiłam pierzynę i poduszkę, i przenieśliśmy się na łóżko w pojedynczej malutkiej izbie. Chatka, żartobliwie nazywana „leżem” powoli zaczęła wyglądać jak dom, a nie ruina. Tak że nie wstyd gościa przyjąć. Czy też przynieść.

W rozpalonym z rana piecu stały dwa garnce z wodą, która bardzo się teraz przydała. Zrzuciłam czarownika na oparzony wrzątkiem stół, wystawiłam na ławkę ciemne buteleczki bez podpisów, podarłam na paski nowe lniane prześcieradło i zabrałam się do roboty. Szczerze mówiąc, znacznie łatwiej byłoby go rozczłonkować ostatecznie, a nie poskładać do kupy - a miałam niemałe doświadczenie w obu tych dziedzinach. Po pięciu godzinach pracy wolne od bandaży pozostały tylko brzuch, głowa, lewe ramię i prawa goleń, upstrzone sińcami. Dyszel narobił naprawdę sporo szkód - najwięcej pracy włożyłam w próby poukładania strzaskanych kości w szynach. Czarownik zmienił się w owiniętą gałganami lalkę - pozornie tak samo zimny i pozbawiony życia.

Przeciągnęłam go na szeroką ławę koło pieca, w zakątku odgrodzonym zasłonką. Zagotowałam wodę, zaparzyłam zioła i zaczęłam pić rannego ciepłym wywarem, po kropli wlewając go do w półotwartych ust. Absolutnie nie podobał mi się całkowity brak sprzeciwu - zarówno w stosunku do ciekącego do gardła płynu, jak i śmierci. To nie mogło trwać długo - albo zagrzeje się i zacznie oddychać normalnie albo zdechnie. Nie odważyłam się zasnąć i teraz popijałam ten sam środek na wzmocnienie, czekając aż pacjent zadecyduje. Mnie osobiście wywar pomagał.

Nad ranem czarownik zaczął odpływać, więc musiałam cały czas trwać przy nim, kłąć, tarmosić, dyszeć do otwartych ust, dzieląc się powietrzem i siłą życiową. Potrafimy to, choć niezbyt skutecznie - zbyt duże straty w trakcie procesu. Koło południa padałam z nóg, a on nijak nie mógł się zdecydować, czy woli zostać na tym świecie czy iść na tamten. Podczas kolejnej chwili spokoju uznałam, że mam dosyć i zasnęłam, a może po prostu straciłam przytomność. Ocknęłam się dopiero głęboką nocą. Czarownik cichutko sapał i wydawało się, że pomiędzy mną a piecem jest mu całkiem wygodnie. Wstałam i dokładnie otuliłam go kołdrą. Przez dłuższą chwilę stałam i patrzyłam, dumając, ale ostatecznie nie wpadłam na nic odkrywczego. Tyle że zgłodniałam.

Czas był najwyższy wyjść na polowanie.

\* \* \*



Zgodnie z wolmeńskimi standardami, Wysiedlisko było prowincjonalnym miasteczkiem, mimo że mieszkało w nim prawie tysiąc osób. Bliskość Jesionowego Grodu nie dodawała szczególnego uroku, więc mieszkali tu przeważnie kupcy, rzemieślnicy i chłopcy, którzy uprawiali swoje zagony wprost pod miejskimi murami. Szlachta i magowie woleli bardziej ludną stolicę, Wagerę.

W Wysiedlisku stacjonował niewielki garnizon, pełniący również obowiązki straży miejskiej, ponieważ legionieści nie mieli okazji do pracy w swoim podstawowym zawodzie od jakichś dwustu lat, czyli momentu podpisania traktatu pokojowego z elfami. Beloria, leżąca za Jesionowym Grodem, w ogóle nazywała się „bratnim mocarstwem”, czyli nawet jeśli robiła jakieś świństwa, to po cichu i nie przyznając się do tego. Poza tym prościej było przejść na bosaka przez wypełnioną węzami fosę niż przekroczyć elfio-driadzki las bez pozwolenia gospodarzy.

Może kiedyś faktycznie przesiedlano tu ludzi, którzy mieli pecha wzbudzić gniew monarchy, ale w tej chwili było to najzwyczajniejsze w świecie ciche i niczym się nie wyróżniające miasteczko, gdzie każdy mówił każdemu „dzień dobry” ale najczęściej znał sąsiadów tylko z widzenia. Co jak najbardziej mi odpowiadało.

Do pracy dotarłam koło południa - senna, wkurzona i ziewająca. Mój szef niby się wyspał, ale nie był w lepszym nastroju, więc oberwało mi się zarówno za spóźnienie, jak i za wczorajsze wagary. Uniosłam się, demonstracyjnie walnęłam o stół glinianym móździerzem, w którym już zaczęłam rozcierać liście borówki, aż się efektownie rozleciał - i oznajmiłam, że odchodzę. Szef natychmiast zaczął się wykręcać kota ogonem, przemianował wagary na „dzień wolny” i zastrzegł, bym następnym razem go uprzedziła. Ja zaś bezczelnie uprzedziłam, odwróciłam się i wyszłam. Nic to, przeżyje. Po cichu nazwie mnie „flądram” i „strzygą”, ale na głos tego nie powie, bo w przeciwnym razie zrobię sobie urlop. Pierwszy w ciągu trzech lat pracy.

Już za drzwiami usłyszałam jak szef burczy pod nosem i wyciąga z szafy nowy móździerz. Zgodnie z moimi szacunkami miał zapas jeszcze na pół roku naszej owocnej współpracy, a potem garniarza czekało kolejne hurtowe zamówienie.

Wróciłam akurat na czas - czarownik otworzył oczy. Chore, zamglone ale świadome. Póki on niemrawo rozglądał się dookoła, ja wlałam do kubka trochę zupy, łyżką przytrzymując warzywa. Usiadłam na brzegu łóżka. Czarownik nie zdziwił się moim widokiem, ani nie przestraszył. Chyba uznał, że gorzej już być nie może. Naiwniak. Zdecydowałam, że chwilowo nie będę go uświadamiać. Pomacałam kubek próbując ustalić, czy zupa nie jest zbyt gorąca. I wtedy usłyszałam, jak na zewnątrz trzasnęła gałąź.

Cichutko odstawiłam naczynie na podłogę. Podkrađłam się do okna i wyjrzałam. Na podwórku stał chłopaczek, na oko trzynastoletni, rozglądający się z obawą.

- Twój uczeń się zjawił - oznajmiłam z paskudnym uśmiechem. - Chyba również powinnam zająć się jego kształceniem. Nie masz nic przeciwko?

Miał, i to jak. Jednak nie dało się mnie spopielić spojrzeniem, a on nie miał w zapasie niczego bardziej skutecznego.

Nieproszony gość nie wyglądał najlepiej. Miał podartą kurtkę i siniak pod okiem, a resztki butów ledwo mu się trzymały na nogach, przewiązane sznurkami. Uważnie obejrzelismy się nawzajem, nie śpiesząc z powitaniem i życzeniami miłego wieczoru.

- Jesteś wilkołakiem - w końcu ni to zapytał, ni to oskarżył mnie dzieciak.

- No i co?

Takiej odpowiedzi wyraźnie się nie spodziewałam.

- No i wszystko! Nadszedł twój koniec... - wydukał.

Szczerze, dawno nie miałam okazji tak się uśmieć!

- Wiesz co, szczeniaku? Jeszcze nie dorosłeś do mojego końca. Nawet jeszcze nie zacząłeś. Jak się domyśliłeś? - spytałam ugodowo.

Zmieszał się jeszcze bardziej i wymamrotał:

- Mój mistrz od dawna na ciebie polował i wszystkiego się dowiedział. I gdzie mieszkasz, i że się nazywasz Szelena, tylko mu zostało dokończyć robotę.

Głuptas. Nigdy nie należy rozmawiać z tym, kogo masz zamiar zabić. Szczególnie, jeśli

boisz się go tak, że aż cię brzuch boli. Wróg staje się przez to jeszcze mocniejszy, a ty słabiesz.

O proszę, dzieciakowi już nogi drżą i się uginają.

- Czyli akurat na czas go chłopci załatwili - zauważyłam obojętnie. - A ty czego ode mnie chcesz?

Zmrużył oczy i jednym tchem wypalił:

- Przyszedłem po zemstę!

- O! A to już poważna sprawa, przyjmij wyrazy szacunku - zachwyciłam się. - Tylko dlaczego właśnie do mnie? Chłopów z dyszlami się boimy? Bo mogą nie zrozumieć dowcipu?

- Do nich też dojdę - obiecał dzieciak łamiącym się głosem. - Tylko załatwię cię, odbiorę ukradzione skarby, douczę się trochę a potem przyjdzie i na nich kolej!

Mogłam tylko gwizdnąć z rozczarowaniem:

- Coś merkantylny jesteś, a ja już myślałam, że prawdziwy mściciel. Boisz się iść na człowieka, ale na mnie to można? Szczególnie jak dla pieniędzy.

- Dla mistrza! - krzyknął z desperacją. - Ścierwo, przecież go zeżarłaś! Widziałem ślady w parowie! On jeszcze żył, bo wilkołaki nie żrą trupów!

- A nawet jak zeżarłam, to co to za różnica? - rzuciłam.

- I tak by zdechł do rana, a ty się nie bardzo śpieszyłeś z pomocą. Więc możesz mi podziękować i spadaj stąd!

Dzieciak chlipnął i wyciągnął miecz. Opadła mi szczeka. Nie wiem jak zabijanie, ale odpilowywanie tym czymś głowy na trofeum zajęłoby mu sporo czasu. W życiu nie miałam okazji widzieć takiego braku szacunku dla przeciwnika. Nie miałam nastroju, by wracać do izby po swoją broń, a poza tym byłoby to po prostu śmieszne. Więc stałam dalej z rękami opartymi na biodrach i paskudnie chichotałam.

Chłopak wrzasnął, by dodać sobie odwagi i rzucił się do przodu. Walczyć również nie potrafił i zwykły miecz trzymał obiema rękami. Pozwoliłam mu zadać kilka ciosów, uchylając się przed nimi z zachwyconymi mruknięciami, a potem spokojnie złapałam klingę pośrodku i wyprowadziłam cios w brzuch. Drugi trafił w opuszczoną twarz chłopaczka - na bucie pozostał mi ślad krwi.

- Spadaj, szczeniaku - rzuciłam cicho, gdy już skończył skamleć i smarkać. Rzuciłam mu miecz pod nogi. - I wróć, jak się douczysz. Przynajmniej właściwie oceniać wroga.

Nie spuszczał ze mnie nienawistnego spojrzenia, powoli schylił się, podniósł broń i ruszył w las. Nie schował jej do pochwy i czubek klingi drapał po ziemi. Chudziutkie ramiona drżały - mały wyraźnie próbował powstrzymać łkanie. Dureń.

Odczekałam, aż zniknie z pola widzenia, pokręciłam głową i wróciłam do domu. Wytarłam but pierwszą z brzegu szmatą i rzuciłam ją w kąt na kupkę śmieci. Wieczorem zmiotę i wyrzucę.

- Co mu zrobiłaś? - Czarownik odezwał się po raz pierwszy. A raczej wydobył z siebie chrypienie, ledwo słyszalne i niewyraźne.

- Udzieliłam lekcji - odparłam ze zmęczeniem, siadając na stołku i podnosząc z podłogi kubek. - A ty pij.

W odpowiedzi zacisnął zęby i próbował odwrócić głowę, ale bez powodzenia, bo wgniecenie w poduszce okazało się zbyt poważną przeszkodą. Mogłam tylko roześmiać się histerycznie. Poniewczasie domyśliłam się, że mi nie uwierzył. Pewnie teraz myśli, że zabiłam jego pechowego uczniaka, zawlekłam do spiżarki i teraz będę gotować z niego zupki.

- Gdy wróci następnym razem, a dam sobie ogon uciąć, że wróci - powiedziałam słodziutkim głosem - mogą nie być w aż tak dobrym nastroju. Więc na twoim miejscu bym mnie nie złościła.

Z trudem poruszył wargami:

- Czego ode mnie chcesz?

- Jak wypijesz zupę, to powiem.

Czarownik nie odpowiedział, ale nie sprzeciwiał się, gdy uniosłam mu głowę i zaczęłam powoli wlewać do ust syjący bulion.

- Za mamusię, za tatusia... - powtarzałam z lekkim sarkazmem, póki kubek nie opustoszał.

- A teraz dobranoc.

Spróbował coś powiedzieć, jasne oczy rozszerzyły się z oburzeniem, a następnie zgasty i powoli się zamknęły. Tak jest, oszukałam go, domieszałam do zupy eliksiru nasennego. Jeszcze będzie czas na rozmowy. Nawet może sama zrozumieć, po co mi on -bezkompromisowy wróg, zabójca pomroki, który do dnia dzisiejszego nie fatygował się, by rozmawiać z wilkołakami.

\* \* \*

Po mieście krążyły dziwne plotki. Że niby nad wrzosowiskami widziano smoka. Ogromnego, czarnego z żółtymi przebarwieniami. Hałaśliwie machając skrzydłami przemknął między chmurami, potem wynurzył z nich, pokrażył po okolicy jak gdyby kogoś szukał, ryknął z rozczarowaniem, splunął ogniem i odleciał.

Ktoś szeptem dodawał, że jednak szkoda, że czarownika utłukli, bo on by tego jaszczura za ogon złapał i ze skóry wytrzymał. I niechaj teraz ci, którym on przeszkadzał, zamiast niego pracują - szukają smoczego leża, łeb potworowi ucinają, a już na bezpańskie skarby zawsze znajdują się chętni z wozami. Niestety, ogromny smok budził w miłośnikach dyszli znacznie mniejszą chęć do działania, niż chory czarownik, więc siedzieli w domach, mając nadzieję, że świadkowie wzięli za smoka dużą wronę. Zapewne ziejącą ogniem, o czym świadczył malowniczo wypalony krąg na środku pustkowi.

Osobiście smoka nie widziałam, bo nad moim leżem nie latał. Czarownik zaś nie był w najlepszym stanie. Odzyskiwał przytomność raz na parę dni i nawet w tych rzadkich chwilach nie było z niego wiele pożytku - nie miał ochoty albo po prostu nie mógł ze mną rozmawiać i ze zmęczeniem zamykał oczy, gdy siadałam na jego łóżku z miską gorącej wody i garścią szmat. Czasami jęczał, gdy myślał, że nie słyszę. Miałam potrzebne zioła, ale należało korzystać z nich wyjątkowo ostrożnie, ponieważ pacjent i tak był słaby i apatyczny. Przynajmniej ból nie pozwalał mu wpaść w przedśmiertne omdlenie.

Za dnia nie było mnie w domu i przez przeważającą część nocy również, więc wracając już od progu nasłuchiwałam czy oddycha. Oddychał. Czasami słabo i rzadko, czasami rzucał się w malignie, zachłannie łapiąc ustami powietrze.

Dokładnie tak jak się spodziewałam, tydzień później uczeń zebrał się na odwagę i pojawił ponownie. Jeszcze bardziej obdarty i żaloszny, trzymając kuszę i pojedynczy bełt. Oczywiście nie trafił, a ja nie odmówiłam sobie przyjemności pozostawienia na jego tyłku wyraźnego odcisku obcasa. I odebrałam kuszę. Porządną, z dociągniętą cięciwą. Zaczęłam marzyć o tym, by następnym razem przyniósł topór, bo mój był już całkiem wyszczerbiony.

A kuszę powiesiłam na ścianie i dokupiłam pocisków. Bo to różnie bywa.

I różni bywają.

\* \* \*

Dni mijały, spadł pierwszy śnieg, a po nim drugi i trzeci... Piąty pozostał na ziemi, otulając ją puchatą kołdrą grubą na łokieć. Rzeki zamarły, po nocach w lesie trzeszczały skostniałe drzewa, musiałam palić w piecu dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Moje polowania stały się krótsze i coraz rzadziej wieńczone sukcesem. Koszmarnie marży mi łapy i jeżeli przez kilka godzin żadna ofiara się nie trafiła, poddawałam się i szcękając zębami biegłam do domu. Zmieniałam postać za dREWUTNIĄ, a potem szłam na bosaka po śniegu. Łapami zasuwy nie odsuniesz, a poza tym obawiałam się nieproszonych gości. Naga panna, która wyskoczyła z łaźni to jedno, a zwijający się na ganku wilkołak - zupełnie inna sprawa.

Może inne panienki odczuwały jakąś przyjemność, gdy nago skakały do przerębła wprost z gorącej łaźni, a potem pluskały się tam z radosnym piskiem, ale mnie tego typu rozrywki nigdy nie wprawiały w zachwyty. Byle szybciej zanurzyć się w ciepło izby, ubrać i zanurkować pod kołdrę. Dospać do świtu, jeśli było jeszcze za wcześnie na zajmowanie się gospodarstwem.

Dziś miałam szczęście - w rękę bezwładnie majtała mi się zajęcza tuszka. W izbie ledwie słyszalnie westchnął i niecierpliwie poruszył się owinięty bandażami czarownik. Dzięki jakiemuś niezrozumiałemu wyczuciu wiedział o moim powrocie na długo zanim zaskrzyphiała zasuwa.

Słyszeć mnie nie mógł, to na pewno. Przyjście wroga nie przynosi wiele radości, ale po trzech tygodniach spędzonych nieruchomo w ciszy i półmroku ciasnego zakątka człowiek zaczyna cenić nawet takie drobiazgi. Gojące się rany swędziały, chciał jeść i pić, i jeszcze żeby ktoś go umył, przetrząsnął zleżałą pościel, podsunął nocne naczynie. Chciał - ale nigdy nie prosił. A potem w milczeniu obserwował jak kręcę się po kuchni, celowo nie zasuważając zasłonki. Stęsknił się do światła, żywych dźwięków, czegokolwiek, na czym można było zahaczyć spojrzenie.

Czasami przychodziłam cała usmarowana krwią, oplukiwałam się nad cebrem i z rozkoszą przelykałam ściekającą po twarzy wodę. Za każdym razem z napięciem odchyłał się do tyłu, a potem uspokajał. Ciekawe jak odróżniał krew ludzką od zwierzęcej. Po zapachu? Na ludzi nie polowałam. Przynajmniej teraz.

Wiedział, że jest mi go żal. Nie rozumiał tego i wyraźnie spodziewał się jakiejś pułapki, ale nie próbował udawać wcielenia nienawiści i bez słowa puszczał mimo uszu wszystkie moje docinki. W zasadzie nie miałam zamiaru go poniżyć, po prostu nie mogłam się powstrzymać, by mu nie dogryzać. Ale robiłam to coraz rzadziej i rzadziej. Czarownik budził mimowolny szacunek - choć okaleczony, kompletnie bezradny, nadal zachowywał hart ducha. Również nie uznawał za celowe udawania. Często się zastanawiałam, co zrobi gdy już wyzdrowieje? Wyzwie mnie na uczciwy pojedynek czy w milczeniu odejdzie, odkładając go do pierwszego znalezionej w lesie trupa? Bo tak czy siak nie zaatakuje od tyłu.

Ale jego przekłętego ucznia miałam już powyżej uszu! Jego najlepszym wynalazkiem był sproszkowany pieprz. Wywalił chyba cały worek, sypkim strumykiem kreśląc pierścień dookoła chatki. Oczywiście nie miałam nic przeciwko pieprzowi w zupie, najlepiej w postaci ziaren, ale ten paskudny pył pozbawił mnie węchu na parę dni, póki wiatr nie rozproszył go po lesie. Przedtem dokuczliwy szczeniak próbował czytać pod mym oknem zaklęcia, to tego stopnia śpiwnie i płaczkliwie, że aż się mimowolnie zasłuchałam, ale w końcu nie doczekałam żadnego efektu poza lekką melancholią. Przytaszczył pod sam ganek wnyki na niedźwiedzia i nieumiejętnie zamaskował śniegiem. Nie przeszkadzały mi, ale z powodu chodzących po podwórzu zwierząt musiałam to paskudztwo zlikwidować. I kto też mu podpowiedział, że wilkołaki boją się zdechłych wron?! Rozwiesił na płocie pięć sztuk, roztaczających straszliwy smród. Klęłam straszliwie zanosząc je do lasu na widłach i zakopując w ziemi. A raczej w śniegu.

A dzisiaj oblał próg wodą, która zamarzła. Albo z czystej złośliwości, albo też poszedł do świątyni i poświęcił wiaderko czy dwa.

Po śniadaniu osiodłałam konia i ruszyłam do miasta do pracy. Posłuszny Dymek, który na zimę pokrył się grubszą sierścią, chętnie truchtał po leśnych ścieżkach, jak smok wypuszczając z nozdrzy białe strumyki pary. W mieście znali mnie dobrze. Napotkani chłopci kłaniali się i zdejmowali czapki, a strażnicy przy bramie pozwalali sobie na zbierne dowcipy. Bardzo ich ciekawiło, kiedy znajdę sobie jak nie męża to przynajmniej gacha. Że niby to niewłaściwe, jak kobieta sama marznie w lesie. Odpowiadałam z humorem, ale nie proponowałam, by któryś dotrzymał mi towarzystwa. A oni nie nalegali - panien w mieście tyle, że mieli w czym wybierać. Zresztą ja faktycznie nadawałam się nie tylko do tego, by kumkać pod takim grzybem czekając na księcia - średniego wzrostu, szczupłą, o niebieskich oczach... Jakiś tam przód i tył też posiadałam. Jasne włosy, za dnia zaplecione w warkocz, grzywka obcięta do brwi, żeby nie lazła w oczy. Z takimi słodkimi szarymi myszkami mężczyźni chętnie się żenią i tak samo bez namysłu zdradzają przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Ale mało kto wie, że szare bywają nie tylko myszki.

Pracowałam, zabawna sprawa, jako pomocnica znachora. Latem zbierałam i suszyłam zioła, w zimie przygotowywałam medykamenty. Zabawna dlatego, że znachor puchł z dumy, gdyż posiadał przepisy na „eliksiry”, częściowo odziedziczone, częściowo kupione za spore pieniądze od królewskich medyków. A że chorzy po spożyciu tych specyfików czasem umierali - cóż, konkurenci mieli jeszcze gorzej. Raz czy drugi sugerowałam, żeby wprowadzić pewne poprawki, ale pracodawca albo śmiał się albo po prostu mówił, bym nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy. W końcu skąd miał wiedzieć, że wilkołak po zapachu rośliny może poznać na co ona pomaga i z czym najlepiej się łączy? Ale za to klienci natychmiast zauważyli, że złota moneta podarowana bystrej

pannie znacznie zwiększa szanse na uleczenie. Pracodawca kilka razy łapał mnie na przyjmowaniu takich prezentów i próbował się awanturować, ale z kamienną twarzą przypominałam, ile mi płaci i proponowałam, by znalazł sobie inną naiwną za te pieniądze.

Dzień był szalony, razem z zimnem po mieście rozpełzły się choróbska, więc musiałam objechać parędziesiąt osób, rozwożąc zamówione leki. Koń się zmęczył i w drodze do domu zaczął coraz mocniej kuleć na tylną lewą nogę. Ostatnią wiorstę pokonałam piechotą - nastroszona, chowając zziębnięte ręce w kieszeniach. Dymek pokornie kuśtykał za mną, próbując nie trafić kopytem w pętle zwisających do ziemi wodzy. Padał drobny ale gęsty śnieżek, który zalepiał oczy i wpychał się za kołnierz.

Na podwórzu cierpliwie czekał na mnie pechowy mściciel, skulony na ławeczce pod płotem. Nad nim, na żerdzi siedziała kura, zaśnieżona i bardzo niezadowolona. Na mój widok radośnie zakwokała, zleciała dzieciakowi na łeb, zrzucając mu czapkę i stamtąd zeskoczyła na ziemię. Pobiegnęła na spotkanie, hałaśliwie trzepocząc skrzydłami.

- Uznałeś, że spróbujesz mnie zmęczyć? - spytałam, lekko przeskakując przez furtkę i otwierając ją od wewnątrz, by wypuścić Dymka.

Chłopak podniósł się niezgrabnie. Skostniał i odmroził policzki, które były całkiem białe. I na co on czekał? Kto inny już dawno wykopałby okno, sprawdził cały dom, okradł i nawiał z łupem. A ten tutaj taki uczciwy i szlachetny... Że też smoka na niego zabrakło. Bo smoki to takich szlachetnych lubią. Nie trzeba ich wygryzać z pancerza i potem zatrute sztylety w brzuchu nie burczą.

- Nauczyłeś się nowego czaru? Dobre dziecko. Może jeszcze zostaniesz doświadczonym czarownikiem. Poczekasz aż rozsiodłam konia?

Niepewnie skinął głową.

- To idź do domu i się ogrzej. Bo ci się język będzie plątał.

Rzuciłam mu klucz. Szczeniak niezgrabnie wyciągnął ręce ale nie złapał go, musiał wyciągać z zasy.

Niespecjalnie się śpieszyłam, rozsiodlując Dymka i pęczkiem słomy ścierając topniejący śnieg z jego szerokiego grzbietu. Niech się tamci dwaj nagadają. Tak będzie ciekawiej. Rozsypałam na podłodze garść ziarna ze skrzyni i kura natychmiast zaczęła zachłannie dziobać. Pocięłam dwa buraki cukrowe do wspólnego koryta. Koza cały czas usiłowała wpakować się pod nóż, próbując złapać kawałek z ręki, a koń zbierał resztki z ziemi.

Przyszła kotka, po chwili zastanowienia wygięła grzbiet i niedbale otarła się o mój but. Miauknęła, odwróciła się i przeszła po raz kolejny. W końcu, gdy głodni, wszyscy jesteśmy mili. I siedzimy komuś na głowie. Może nie kochać, byle by karmiła...

Zdjęłam z półki garniec z wyszczerbionym brzegiem i szybko wydoiłam kozę. Pianę z włoskami zdmuchnęłam do kociej miski, gdzie szybko zmieniła się w niebieskawe mleko. Dorzuciłam do karmnika naręczę siana i zamknęłam szopkę od zewnątrz. Jeśli kotka będzie miała ochotę, to wyjdzie przed dziurę pod dachem.

Szłam do chaty jak na występy przyjezdnych artystów na targu, spodziewając się wesołego przedstawienia. Zgadłam. Uczeń klęczał przy łóżku i lśnił nie gorzej od nowiutkiej patelni. Ale nic to, szybko go przygasiłam, siadając na krześle koło okna, twarzą do słodkiego duetu.

- No to co? Będziesz tu wiersze deklamować czy pójdziesz sobie po dobroci?

Dzieciak najeżył się i rzucił mi wilcze spojrzenie spod długich tłustych kudłów.

- Puść go! Bo jak nie...

Odpowiedziałam paskudnym uśmiechem i rozłożyłam ręce.

- Wygrałeś. Zabieraj!

Szczeniak podskoczył i natychmiast zwiesił głowę. W karczmie gadali, że nie udało mu się obronić domu przed tłumem „spadkobierców”, którzy usłyszeli o śmierci gospodarza. Wszystkie cenne przedmioty wyniesiono, a niezrozumiałe i podejrzone spalono. Razem z domem. A dzieciak oberwał w ramach nauczki, że starszym się drogi nie zastępuje. I gdzie on teraz tego półtrupa zabierze? Na pogorzelsko czy do lasu, do tymczasowego szałas? Podejrzywałam, że nocował gdzieś niedaleko i od czasu do czasu robił wycieczki do miasta po jedzenie. Pewnie kradł.

Oberwaniec przenosił spojrzenie ze mnie na czarownika, jego wargi rozpaczliwie drżały.

- Zostanę tutaj - powiedział głucho, w końcu podejmując decyzję. - Nie pozwolę byś go krzywdziła.

- Dziękuję bardzo, łaskę mi zrobi i zostanie! - prychnęłam.

- Tylko kto ci pozwoli? Tak w zasadzie to mój dom, prywatna własność. Jak chcesz to możesz iść się skarżyć do naczelnika miasta. Że niby „mojego pana wilkołak porwał i zbezczeszczył”.

- Zbezczeszczył?! - Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- A ty co myślałaś, że ja tu jestem taka milutka i litościwa, zbieram sobie czarowników po parowach dla ratowania własnej duszy? Przecież coś z tego mieć muszę, co nie? Łyk żywej krwi jak się polowanie nie uda albo rano na kacu kawałek ciepłej wątróbki... Jeszcze można stawy powykręcać dla zabawy...

Nie starczyło mi wyobraźni na dalsze „bezczeszczenie”, ale dzieciak i tak wyglądał jakby miał zaraz zemdleć.

- Rest, ona żartuje - szepnął czarownik ledwo słyszalnie.

- Nie martw się o mnie. Idź sobie.

Bardzo mądra rada. Takich tylko głupcy nie słuchają. Przeszują z nogi na nogę, pociągając nosem, mają nadzieję, że wszystko zaraz rozwiąże się samo: ja dostanę udaru, mistrz magicznie się uleczy, a zza okna dobiegną dźwięki myśliwskiego rogu.

- Spróbuj inaczej - poradziłam przyjaźnie, zakładając nogę na nogę. - Popłacz, pobłagaj, obiecaj, że będziesz się dobrze sprawował, sprzątał, gotował, wynosił pomyje i czyścił komin. To może się zlituję. A może po prostu podelektuję przedstawieniem.

Dzieciak obliznął wyschnięte popękane wargi. Z trudem, następując na gardło własnej dumie, wykrztusił:

- Bbardzo ppproszę...

- A teraz uklęknieś? - spytałam rzeczowo. - Co prawda podłoga nieco brudna, ale twoje spodnie niewiele czystsze.

Dzieciak zalał się wściekłym rumieńcem, otworzył usta... a potem przeniósł spojrzenie na nieruchomego mistrza, na podłogę i powoli zgiął jedną nogę, drugą...

- Dureń - skostatowałam, odwracając się. - Innych to chyba nie biorą w czarodzieje.

Żebyś z kuchni nawet nosa nie wyściubiał. Jeśli się wpakujesz do mojej sypialni albo będziesz łąził po strychu, to utłukę na miejscu. Rozgrzebiesz w piwnicy beczułkę z rydzami czy zdejmiesz śmietankę z mleka - ciebie zamarynuję. Zrozumiano?

- Jasne. - Pociągnął nosem i otarł go rękawem. - Nie będę nawet zza pieca wychodził, położę się tutaj.

Uniosłam brew z udawanym zdumieniem.

- To wy jesteście miłośnicy mężczyzn, czy jak?

Dzieciak najpierw nie rozumiał, a potem znowu się zaczerwienił. Cały, od kołnierza po włosy.

Machnęłam ręką i poszłam się przebrać. Potem przygotowałam kolację, zjadłam i głośno wyliczyłam szczeniakowi jego prawa i obowiązki, nie przesadzając z tymi pierwszymi. Za zasłonką panowała cisza. Ale gdy tylko się oddaliłam, w kuchni zaczęło się poruszenie, brzęk naczyń, a potem szepty. Czy raczej czarownik mówił z całą dostępną sobie głośnością, a dzieciak starannie zniżał głos, próbując zachować w tajemnicy całkiem zwyczajną rozmowę:

- Mentorze, ja jej tam nie wierzę. Bo wilkołaczka to jednak wilkołaczka. Po co się tak panem zajmuje i leczy? Pewnie gołych kości jeść nie chce, czeka żeby się mięsem pokryły.

- No to się przeliczyła. Miesiąc temu by miała wspaniałą gulasz, a dziś zostało ledwo tyle, co na galarete.

- I jak mentor może tak żartować? Cały połamany, wnętrzności odbite, a ta wilkołaczka tylko się szczyrzy. Pewnie was męczyła, a wy się teraz nie przyznajecie. Kazała żebym zupa nakarmił. A tu kawałki mięsa. Ciemnego, nie ptak.

- Jeleń. Spróbuj.

- I jakieś zioła po wierzchu pływają. - Dzieciak nijak nie chciał się uspokoić. - Pewnie

lubczyk. Nałyka się mentor, a potem nie będzie znajomych poznawał tylko biegał razem z nią po lesie i ogonem muchomory wywracał.

Po głosach z łatwością potrafiłam wyobrazić sobie wyrazy twarzy. Jedna przerażonego konspiratora i druga ledwo hamująca śmiech.

- To pietruszka.

- No tak, pietruszka. W zimie! Świeża!

- Z parapetu. W twojej wsi nikt tak nie robił? Przed przymrozkami wykopać korzeń i przesadzić do doniczki.

- A może ją załatwić póki śpi? - Szept chłopaka nabrał dramatycznych nutek. - Tylko czym? Bo wasz czarodziejski miecz to strażnik Sweńka zabrał. Dawno już na niego łytał. Przyszedł niby rozganiać tłum, a sam w zamieszaniu broń zabrał. I srebrne gwiazdy. Przetopi albo sprzeda, bo sam rzuć nie umie.

A zwykłym mieczem się przeciwko niej nie da, w zeszłym tygodniu to ostrze gołą ręką zatrzymała!

- Nie rób z siebie durnia. Przeciwko niej nie masz szans.

Dzieciak zaczął wiercić się na stołku, brzęknęła łyżka.

- A jakby otruci?

- Nic z tego. Roślinne trucizny przetrawi, a alchemiczne wyrzyga. A ty kiedy jadłeś ostatni raz? Wczoraj? To widać. Jedz, ja nie mam ochoty.

- Nie mam zamiaru i wam nie radzę. Już lepiej ukradnę chleba na targu, jakiejś tam kielbasy - to i bez jej kucharzenia z głodu nie pomrzemy. Co za wstrętna baba, jak nie zębami, to językiem kłapie! Nie daj bogowie dowie się o czym my tu rozmawiamy, to mnie wyrzuci na zбитy pysk. A pana zje w jednej chwili.

- Ona i tak wie. Wilkołaki mają bardzo wyczulony słuch. Czyż nie, Szeleno?

- Obu was zjem, jak mi nie dacie zasnąć - odgryzłam się.

Uczeń pisnął z przestachem i wszystko się uspokoiło. Ale

zasnąć i tak mi nie dano. Po kolejnych pięciu minutach drzwi się uchyliły i dzieciak

zakaszłał ze skrępowaniem.

- Pani Szeleno...

- Aha, już się zrobiłam „pani”. Czego chcesz?

- By trzeba mentorowi pościel zmienić...

- Nie mów, że się zmoczył? Na złość mi robi?! Już od dwóch tygodni nie było żadnych problemów!

- Ja... znaczy się... niezgrabnie się odwróciłem i przewróciłem miskę...

- Zabiję.

Dzieciak cichutko pisnął i uciekł. A ja musiałam wstać, zmienić brudną pościel i ponownie wsadzić nos do pieca po garnek. Nakarmiłam czarownika, w myśli klnąc na chowającego się w rogu szczeniaka. No nie, jak się do tego stopnia boi, to niech spada. Bo to już nie „leże” tylko świątynne schronisko dla kalek i żebraków. Lepiej bym otworzyła burdel, przynajmniej byłby jakiś dochód.

- Zostaw go - szepnęła czarodziej, jak gdyby słysząc moje myśli. - Ja... zapłacę.

Przysiadłam na skraju łóżka, rozczapierzonymi dłońmi przyciskając koldrę po obu stronach ledwo zauważalnie drżącego ciała. Jak zwierzę nawisłam nad człowiekiem, badawczo wpatrując się w jego twarz.

- Przynajmniej powiedz, jak się nazywasz, kupcze?

- Mentorze, nie mówcie jej! Bo duszę wyssie!

Kolejny durny przesąd. Po imieniu można człowieka znaleźć. Spleść na nie zakłęcie, albo rzucić kłutwę. Ale duszę? A pfuj... I w ogóle, po grzyba ona wilkołakowi?

- Weres.

Chyba czarownik myślał tak samo. Albo był bardzo dobrym kłamcą.

- A co twoim zdaniem może mnie zaciekawić?

- Smok.

Hm... Rzeczywiście zaciekał.

- To taka duża skrzydlata jaszczurka, która lubi uganiać się za księżniczkami? -  
sprecyzowałam sceptycznie.

- Wiesz o czym mówię. - Jasne oczy były nieco rozszerzone z podenerwowania, ale patrzyły twardo.

- W takim razie nie będziesz miał szans. O ile się nie rozmyślisz.

- Przecież nie zamierzam przynosić ci go na tacy. I nie rozmyślę się.

- Umowa stoi - rzuciłam obojętnie, cofnęłam się i wstałam. No cóż, przynajmniej teraz mieliśmy powód, by znosić swoją obecność. I nie czuć się przy tym jak para idiotów.

\* \* \*

Wyciągnęłam z koszyka obszarpane źdźbło, powąchałam i ze wstrętem wrzuciłam je z powrotem. Ciemnyca zębata, czyli „wilkogon”, uznawana za wyjątkowo skuteczny środek przeciw wilkołakom i kudłakom - ale ku śmiertelnemu rozczarowaniu naiwnych ludzi takowym nie jest.

- Czego chcesz? - z pretensją burknął znachor. - Przecież masz napisane we wspólnym: „Trzy szczypty onego suszonego ziela, dębowym tłuczkiem na pył roztartego”!

- To nie jest zioło.

- A co?

- Siano.

Ciemnyca należy zbierać o świcie, gdy tylko zejdzie rosa, w drugiej fazie księżyca, obrywając wyłącznie młode pędy, a następnie susząc je w cieniu. A nie byle jak przejść po polance z kosą i wrócić na nią z koszem po trzech dniach upałów.

- Szeleno - mruknął mój pracodawca przesłodzonym lecz absolutnie nieapetycznym tonem. - Płacę ci za robienie specyfików, a nie za durne kłótnie z ludźmi znacznie od ciebie mądrzejszymi.

Sarkastycznie wykrzywiłam wargi, ale ponownie zabrałam się do grzebania w koszyku. Oczywiście nie było żadnej gwarancji, że kupując zioła od zawodowego zbieracza po trzy złote za pęczek nie trafi się na jakieś świństwo. Ale jeśli w ramach oszczędności kupujesz od brudnej handlarki na jarmarku obszarpany wiecheć, który wyraźnie zalatuje myszami, to nada się on wyłącznie do zamiatania podłogi.

Ostatecznie jednak udało mi się wybrać parę listków. I schować w osobnym pojemniczku, na wypadek gdybym kiedyś potrzebowała środka, który będzie decydował o życiu lub śmierci, a nie maści na brodawki, które mimo najlepszych wysiłków znachora wcześniej czy później zejdą same. Do podsunętego przez pracodawcę moździerza z nieprzeniknionym wyrazem twarzy pokruszyłam budzącą największe wątpliwości i chyba nawet lekko spleśniałą gałązkę. W końcu też miałam w życiu lepsze rzeczy do roboty niż wyklócanie się z idiotami... bo mądry posłuchałby za pierwszym razem.

Szef jeszcze chwilę pomarudził, przespacerował się po kramie, z bliżej nieznanego powodu przestawił z miejsca na miejsce kilka pudełek i flakoników. Rękawem starł kurz z wypchanego bazyliuszka, popluł na palec i starannie przetarł karmazynowe szklane oczka. Moim prywatnym zdaniem zakurzony bazyliszek wyglądał znacznie lepiej niż bazyliszek oblaźły, ale pracodawca poczuł się usatysfakcjonowany. Uznał, że dziś już dosyć się napracował i udał do najbliższej karczmy, by wynagrodzić się kufelkiem piwa.

Skorzastałam z okazji, natychmiast wytrząsnęłam z woreczka przyniesione ze sobą zioła i zajęłam się „prywatnym” zamówieniem - oczywiście bez żadnego przepisu, polegając wyłącznie na swoim nosie. W drodze do domu wpadnę do kowala, który wczoraj skarżył się na ból w prawym boku i oddam mu świeży napar, a on w zamian podkuje Dymka.

Stukanie tłuczka niebawem zakłóciło brzęczenie i donośne kichnięcie. W zasadzie dzwonek nad drzwiami był kompletnie niepotrzebny - wobec wypełniającego pomieszczenie aromatu ziół nie pozostawał obojętny żaden nos. Szczególnie taki, który wydawał się stworzony do węszenia.

Do środka, szeleszcząc nałożonymi na walonki łapciami przeniknęła babka Szaliska.



Skrzywiłam się, odwracając twarz. Ta stara kłoda z definicji nie mogła „wejść” ani „wpaść” tylko przeniknąć albo wślizgnąć się, jak żmija przez szczelinę. Ludzka osada bez takich staruch jest jak sół z konfiturami bez pleśni. Ich wszędobylskie oczy, wszystkosłyszące uszy i gadatliwy język nie pozwolą niezauważalnie smalić cholewek do cudzej żony, zakręcić zgiętu<sup>1</sup> na polu sąsiada, a już tym bardziej pobiegać po okolicy na czterech łapach. Zresztą trzeba przyznać, że takie babki działają wyłącznie z miłości do sztuki plotkarstwa. Najlepszą dla nich nagrodą jest możliwość podziwiania zza płotu wyników swojej ciężkiej pracy - czy to chodzi o awanturę rodzinną, bójkę pomiędzy sąsiadkami, czy po prostu ognisko wielkości chałupy.

Właśnie z powodu takich Szalisek musiałam mieszkać daleko za miastem, bo w obrębie murów nie można było się przed nimi schować nawet w piwnicy i pod kołdrą.

- Witaj, kochana! Dawno mnie tu u was nie było, dzięki bogom, ale znowu, niech to lichy, łupanie w krzyżu, oj oj, ani usiąść nie mogę ani wstać, i co ja mam teraz biedna zrobić... - zaczęła zawodzić babka fałszywie słodkim głosem, w międzyczasie obmacując mnie zawodowym spojrzeniem. Nic kompromitującego, jak siniec pod okiem czy nowe kolczyki nie znalazła i zauważalnie zmakotniała, więc teraz ja uśmiechałam się do niej znacznie szczerzej.

Potrzebna jej była maść na bóle w krzyżu (według mnie powinna mniej podglądać przez dziurki od klucza, bo po ulicy latała jak młódka!), więc otworzyłam szafkę z gotowymi specyfikami i mściwie wybrałam najbardziej podejrzany słoiczek. W tym czasie wszędobylska staruszka zdążyła wpakować swój nos na dwie półki, do skrzyni z ziołami i nawet zajrzeć pod kozetkę do badania chorych. Mało prawdopodobne by faktycznie liczyła, że znajdzie tam mężczyznę i w końcu uszczęśliwi miejscowe kumoszki opowieścią o moim życiu osobistym w miejscu pracy, ale instynkty doświadczony plotkary były silniejsze od rozsądku.

Gdy w końcu się odwróciłam (zwierzęcy słuch wcale nie jest gorszy od oczu na potylicy), Szaliska już siedziała na ławeczce z suchutkami rękoma skromnie złożonymi na podołku. Warto dodać, że nawet na sekundę nie przestała gadać, mając nadzieję, że stracę czujność i również coś jej odpowiem.

- ...a nieludziów to w mieście tyle, że gdzie nie spluniesz, tam trafisz. Powyłazili ze swoich gór jak te pluskwy i karaluchy, niedługo dla uczciwych ludzi miejsca nie zostanie, ojoj, no cóż zrobisz... - Z pojękiwaniami kiwała się z boku na bok, aż niespodziewanie przestała i absolutnie normalnym rzeczowym tonem spytała: - A wiesz co oni sami mówią?

Właśnie taka była Szaliska. Wzbudzić zaufanie, że współczuciem pojęczeć i pokiwać głową, a za plecami obgadać na całego. Co prawda trolli i krasnoludów w Wysiedlisku rzeczywiście z dnia na dzień było coraz więcej, ale zachowywali się bardzo skromnie, mieszkali u krewnych i nie gardzili żadną pracą.

- Nie - odparłam pokornie, wiedząc doskonale, że babka i tak nie weźmie pod uwagę odpowiedzi twierdzącej, przekonana, iż jej wersja jest najbardziej dokładna i prawdziwa.

- Ze niby w ichnich okolicach zagnieżdziło się takie maluuutkie cusik z garbikiem i jak zobaczy krasnoluda, to się w niego wczepi jak ta pijawka, stęka i jęka, i nijak się nie odczepi, póki całej krwi nie popsuje! A w naszym mieście, że niby jak jej tam... hym... tak... znaczy nisza ikhologiczna jest już zajęta, więc nawet tu nosa nie wściubi!

Przygryzłam wargę, żeby się nie roześmiać. Chyba babka trafiła na jakiegoś wyjątkowego bystrego krasnoluda, na dokładkę obdarzonego poczuciem humoru. Mogłam sobie tylko wyobrazić z jak poważnym wyrazem twarzy wmawiał jej te bzdury.

- Jakby nam elfów w sąsiedztwie było mało. - Tymczasem stara kłoda dalej ciągnęła swoje wywody. - Kręcą się po ulicach jakby to ichni las był, nawet cięciwy z łuków nie zdejmują... Niedługo przez miasto zaczną orki na koniach jeździć, a potem wapięrze przylecą, czosnku im w oko...

Szaliski można było pozbyć się wyłącznie jednym sposobem. (Właściwie to dwoma, tylko co potem zrobić z trupem?)

- A nie wie pani przypadkiem, co to była za bójka rano koło ratusza? - spytałam lekkim tonem.

Kto tam wie, może jakaś faktycznie była. Miejsce dosyć ludne, więc przynajmniej raz

dziennie jakieś dwa psy się spotkają. Babka Szaliska połknęła przynętę jak smok dziewicę.

- Cóż, dziecinko, ja to chyba już pójdę... - Podskoczyła, chowając słoiczek i ze stękaniem wyciągając z sakiewki najbardziej wytartą monetę. - Sama wiesz jak to jest, w domu nie wysprzątane, krowa nie wydojona, świnię nie nakarmione i nikt prócz mnie nie zadba...

Walonki na przekór wszystkim podagrycznym bólowi chyżo ruszyły w kierunku drzwi. Ostrożnie przesyłałam zawartość mózdzierza do małego płóciennego woreczka i wyjrzałam przez okno. Biedna krowa, nieszczęsne świnki...

\* \* \*

Za progiem powitała mnie mokra szmata, starannie rozłożona na podłodze. Wzruszyłam ramionami i wytarłam nogi. Mało prawdopodobne, by ten mały paskudnik zdążył wykopać pod nią wilczą jamę.

Kuchnia przerażała czystością. Wszystkie kubki i miski, nawet te popękane, stały w rzędzie na półce, wypucowane do blasku. Wyszorowany piec zmienił kolor z czarnego na rudocegłany, pajęczce koronki spod sufitu znikły. Czarownik spokojnie spał, a chłopaczek siedział na podłodze oparty plecami o łóżko i czytał jakąś wyświechtaną książeczkę. On również zdążył się umyć, wyprać ubranie i obciąć brudne paznokcie. Długie kudły zmieniły się w schludny lniany ogonek.

Słyszac skrzypienie drzwi wzdrygnął się, błyskawicznie schował książkę pod kołdrę i zerwał się na nogi.

- Nie, no... - rzuciłam sceptycznie, rozpinając kożuszek.

- A czemu mnie nie witasz w progu chlebem i solą? Masz, wytrząśnij i powieś.

Otworzyłam drzwi do pokoju, obrzuciłam go badawczym spojrzeniem i powęszyłam. Nie, nie wchodził. W takim razie ja również mogłam się nie śpieszyć. Siadłam przy stole i ze zmęczeniem opadłam na oparcie krzesła. Kompletnie nie miałam ochoty wstawać, zdejmować butów, gotować... Może po prostu zjeść kawałek chleba ze słoniną i iść spać?

Wrócił dzieciak z wytrząśniętym kożuszkiem. Powiesił go na haczyku, pobrzęczał naczyniami przy piecu i tak samo w milczeniu postawił przede mną parujący talerz z jakąś breją, szarą i pełną grudek. Wypisz wymaluj roznosiciel w jadłodajni dla ubogich.

Ze wstrętem wciągnęłam powietrze. Trzeba przyznać, że zapach był nie najgorszy - tłuczone ziemniaki z podsmażaną na skwarkach cebulą.

- Nie zapomniałeś dosypać trucizny?

- Zapomniałem - odgryzł się. - Dodaj do smaku.

- Szczeniaku, nie bądź bezczelny wobec starszych. Po pierwsze nieładne to, a po drugie szkodliwe dla zdrowia. - Ostrożnie spróbowałam ziemniaków. Dawały się zjeść. Tyle, że przesolił. Skinęłam głową w kierunku pieca. - Karmiłeś go? I mam nadzieję, że nie tym?

- Odgrzałem gryczaną z mlekiem, jak pani kazała - burknął niechętnie.

- Kozę wydoiłeś?

- Wydoilem... - Odruchowo potarł lewy bok. Majka nie przepadała za dojeniem i wcześniej przywiązywałam ją nie tylko za szyję, ale też za jedną z tylnych nóg. Potem koza pogodziła się z losem, ale wyglądało na to, że w obliczu nowej osoby uznała, że czas ponownie zawalczyć o swoje prawa.

- A dawno się za nim ciągasz? Zresztą, sama wiem. Co najwyżej miesiąc. Bo w przeciwnym razie zdążyłbyś się przynajmniej czegoś nauczyć.

- Sześć! - zaprotestował z oburzeniem.

- Coś takiego, dopiero pół roku i tak czułe oddanie. Ciekawe dlaczego?

- Nie twoja sprawa! - Dzieciak najeżył się i nie mógł powstrzymać przed dodaniem: - A mentor i tak cię zabije.

- Spróbuj - zgodziłam się poważnie.

\* \* \*

- Świetna robota. - Stuknęłam paznokciem w nasadę ciężkiego noża myśliwskiego, który odezwał się nie dzwonieniem tylko niskim statecznym jękiem. Klinga stanowczo wiedziała, ile jest

warta. Czarny grawerunek ciągnął się wzdłuż całego ostrza - szerokiego, o drapieźnie wygiętym koniuszku. Falista rękojeść doskonale pasowała do dłoni. - I doskonale zahartowany.

- Ty lepiej popatrz na stop! - gorączkował się siedzący naprzeciwko krasnolud, wskazując sękatym palcem połyskującą stal. - Elgarska, Warsan-e-Wok osobiście go sporządził! Widzisz ten znak przy podstawie, kilof skrzyżowany z mieczem? A jakie ostrze?! Przez rok się nie stępi!

Jeszcze raz z podziwem obejrzałam nóż, schowałam go do skórzanej pochwy i z westchnieniem odłożyłam na ladę. Płatnerz również wiedział, ile ta broń była warta. Zresztą, nie miałam zamiaru nic kupować. Przyniosłam zamówiony specyfik na ból brzucha i nie mogąc powstrzymać się przed pokusą, poddałam namowom, by „po prostu obejrzeć sobie” nową partię towaru. Krasnoludy mogły w nieskończoność dyskutować o swoich wyrobach, czy był to misterny świecznik czy dwuręczny miecz na wzrost trolla. Mało tego, w procesie targowania karzełkom zdarzało się tak zachwalić swój produkt, że ostatecznie odmawiali rozstawania się z nim nawet za początkowo podaną cenę.

Tym razem Karst-e-Lat po prostu chciał się pochwalić, a ja żywiłam słabość do białej broni, więc nie miałam nic przeciwko. Na drzwiach kramiku wisiała tabliczka „Zamknięte”, dla mnie zamówienie krasnoluda również było ostatnim tego dnia, więc nikt nam nie przeszkadzał, gdy z upojeniem grzebaliśmy w niebezpiecznych błyskotkach. Za oknem trzeszczał potężniejszy w miarę zapadania zmroku mróz, powoli pokrywający szyby wymyślnymi wzorami szronu. I tak bym przed nastaniem ciemności nie wróciła do domu, więc co za różnica gdzie spędzę wieczór?

Koło świecznika spał sobie w najlepsze ogromny szary szczur w łańcuskowej obroży. Kolejne trzy takie same, ku zgrozie złodziei, chodziły gdzieś po warsztacie. W odróżnieniu od psów nie dawały ustrzelić się przez dziurę w drzwiach, ani przywabić zatrutym smakołykiem. Może i nie umiały szczekać, ale potrafiły bezgłośnie pokonać w skoku ponad sążeń, a następnie wbić zęby dokładnie w nos pechowego złodziejaska. Mogły też szybciotko wbiec po nodze pod nogawką i złapać za jeszcze bardziej czułe miejsce.

Wyciągnęłam rękę i podrapałam szczura za uchem. Przeciągnął się, sennie szczerknął zębami i obrócił na grzbiet, nadstawiając do głaskania rudawy brzuch. Były tak wytresowane, że nie atakowały w świetle. Któregoś razu żartem spytałam krasnoluda co się stanie, jeżeli zdmuchnę świecę. Poważnie i w zamyśleniu popatrzył na drżący płomyk, po czym pochylił, spojrzął na czającego się pod krzesłem szczura i wymijająco odparł: „Ze mną nic”.

Ostatecznie nie zaryzykowałam dmuchania.

Przez boczne drzwi kramu, które były też tylnym wejściem do sąsiadującego z nią krasnoludzkiego domu, już kilka razy zaglądała niezadowolona żona Karst-e-Lata, która niezbyt starannie chowała za plecami coś bardzo przypominającego walek, ale widocznie krępowała się przy gościach potraktować nim męża, unikającego domowych obowiązków. Ten wydawał się godzić z nieuniknionym, ale tym niemniej nie miał zamiaru przyśpieszać jego nadejścia. I położył na stole kolejną klingę.

Z ogromnym wysiłkiem opanowałam się na tyle, by nie cofnąć się ani nie warknąć. Srebrny sztylet z drobnymi ząbkami na końcu ostrza promieniował niewysłowioną grozą, jakby zimnem z bezdennej studni, budząc myśli o tym, jak zakończy się bliższa znajomość z jednym i drugim.

- A to szczególnie towar, trzymam specjalnie dla magów - wyjaśnił krasnolud, nie zauważając mojej reakcji. - Tym się wszelkie pomroki dobrze dobija, skutecznie. W zwykłej walce też się przydaje i wspaniały jest do rzucania, jakbym ręką do celu wpychał! Zresztą, sama weź i się przymierz!

- Wierzę na słowo. - Schyliłam się z przymusem i obejrzałam misterny wzór na klindze, ale ręce nadal trzymałam mocno złożone na piersi. - Pewnie kosztuje majątek?

- Czterdzieści kładni. Ale ten nie jest na sprzedaż, odłożyłem dla siebie. Chcesz, to ci zamówię taki sam od krewniaków? Możemy nawet twoje imię wpleść w grawerunek i zrobić rękojeść, jaką zapragniesz.

Tradycyjnie krasnoludy nazywały „krewniakami” cały swój klan, co mogło oznaczać kilka rodzin albo kilkaset do dziesiątego pokolenia pokrewieństwa. Jednakowo serdecznie traktowali bliższą i dalszą rodzinę. Ludzie uznawali za „swoje” w najlepszym razie czwarte pokolenie, a elfy

już do kuzynostwa zwracały się poprzez chłodne „pan”.

- Nie, dziękuję. Nie uzbieram tyle nawet jak się zapożyczę.

- I za darmo też nie wezmę. Brrr... - Karście, a ty się boisz pomrok?

- Boję - przyznał krasnolud spokojnie, wypróbowując zębate ostrze paznokciem. - I bez tego maleństwa z miasta się nie ruszam.

- Jakbyśmy w samym Wysiedlisku nie mieli dość strzyg - prychnęłam, przypominając sobie, jak co sił w łapach

uciekałam po dachach przed parą tych stworów. W miastach zwykle chowały się i zachowywały ostrożność, polując przede wszystkim na bezpańskie koty i psy, ale samotni przechodnie stanowili miłe urozmaicenie ich jadłospisu, szczególnie jeśli trafili się w pustym i mrocznym zaułku. Zresztą uzbrojeni złodzieje i tak wyrządzali znacznie więcej szkód.

- Ty mówisz o strzygach. - Ku mojej ogromnej uldze krasnolud w końcu schował sztylet do pochwy. - One to co prawda paskudne, ale znane zło. Takie to zwykłym toporkiem załatwię w try miga. A dookoła się kręci coś kompletnie niezrozumiałego...

- Straszdyło w łapciach? - wtrąciłam z niewinnym wyrazem twarzy.

Krasnolud radośnie zarechotał, nie prosząc o dalsze wyjaśnienia. No to już wiedziałam, na kogo trafiła żadna opowieści babka Szaliska!

- Szeleno, a nie zanocowałabyś w gospodzie? - burknął Karst-e-Lat, raptem przestając się śmiać. - Ty byś miała wygodniej, i ja spokojniej.

„A pluskwy smaczniej” - dodałam w myśli. Nie przepadałam za spaniem pod cudzym dachem, tym bardziej, że w sakwach wiszących przy siodle Dymka leżały kupione z rana zapasy, w tym mąka i kiszona kapusta, które już powoli zaczynały się ze sobą mieszać.

- Skąd tyle troski? - Z powodzeniem ukryłam ciekawość, udając, że w skupieniu czytam runy na obosiecznym ni to krótkim mieczu, ni to długim nożu, z gatunku tych, jakie lubią nosić przy pasach trolle-najemnicy. Runy dobrane zostały z uwzględnieniem ich słownictwa, powodując, że zadana taką klingą rana była bolesna nie tylko dla ciała, ale i dla miłości własnej.

- Koło miejskich murów widziano wilcze ślady... - Krasnolud zniżył głos i wciągnął głowę w ramiona, jak gdyby proponując wykorzystać przerwę w rozmowie na nasłuchiwanie pod kątem dalekiego smętnego wycia. Odruchowo poruszyłam uchem, ale oczywiście nic podejrzanego nie usłyszałam. Tylko szczękający zębami strażnicy bohatersko dbali o nocny spokój mieszkańców, próbując trzymać się możliwie blisko latarni, pod którymi owego spokoju było najwięcej. - I to duże, dłonią nie nakryjesz.

- I co z tego? Często widuję całe wilki, nie tylko ślady.

- Powiedziałem „wilcze” - burkliwie poprawił mnie handlarz. - A nie „zostawione przez wilki”.

- Karście, nie odbieraj Szalisce chleba. - Mój śmiech był lekko wymuszony. - Jakiś dzieciak przyłożył dłoń do przypadkowego śladu, a ty mi pchasz pod nos swoją łapę!

- Znajomy myśliwy mi opowiadał. - Obrażony krasnolud sapnął przez wydatny nos. - A on ma rękę jeszcze większą od mojej!

- Myśliwi, rybacy... - Niedbale machnęłam ręką. W zeszłym roku któryś z miłośników łowienia ryb puścił plotkę, że w Oczku, miejscowym jezioru, zamieszkała dowcipna syrena, która nadziewała na haczyki żaby zamiast upragnionych karpia. A gdy potwierdziło to już ze czterdzieści samotnie wędkujących osób, syrena pojawiła się naprawdę, z oficjalną notą od swojego władcy, żądając, by natychmiast zaprzestano szkalujących jej rasę plotek. Teraz z kolei myśliwi widywali gigantyczne wilki. A ja niby całą sprawę przegapiłam!

- W takim razie powiedz mi, gdzie giną samotcy, co? - rzucił Karst-e-Lat zapalczywie. - Bo już z dziesięć chałup stoi pustych!

Większość przyjezdnych z Gór Grzebieniowych osiedlała się w ludzkich miastach albo zakładała własne wioski, ale niektórzy woleli samotne leśne domki-warsztaty. Z jednej strony nikt nie przeszkadza, a z drugiej niedaleko do lasu po opał dla kuźni. To ich właśnie nazywano „samotcami”.

- To dlatego wszyscy tak się teraz garną do Wysiedliska?

- Za kamiennymi murami jakoś spokojniej - westchnął krasnolud, owijając klingę zamszem i delikatnie, jak gdyby była ze szkła, wkładając do pudła. Żona chmurnie sapała za drzwiami, zbierając się do ataku. - Poza tym w razie czego będzie miał kto krzyżeć na alarm. A może chcesz żebym ci pościelił w domu na ławie?

Sięgnęłam po leżący na sąsiednim krześle kożuszek.

- Nie, będę jechała. Trzeba kożę wydoić. Dziękuję za miły wieczór!

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wpadnij za tydzień, będę miał nową dostawę.

Żona wyraźnie zgrzytnęła zębami.

- Koniecznie.

Drugi szczur niespodziewanie wskoczył mi na ramię i połaskotał wąsami w ucho.

- Ty to dopiero masz nerwy - zachwycił się krasnolud.

Jak smok!

Odpowiedziałam uśmiechem, ostrożnie odczepiłam ciekawskie stworzenie od kurtki i posadziłam na stole. Przecież nie będę się przyznawać, że usłyszałam szczęknięcie pazurków już na przeciwnym krańcu ławki.

\* \* \*

„Pomroka, ślady... No co za bzdury”.

Zdecydowanie złapałam wałacha za ogłowie. Dymek, który już wygodnie zaczął przysypiać w ciepłej przybudówce, kompletnie nie rozumiał, czemu ma wlec się gdzieś w środku nocy i to w taki mróz, więc zaparł się wszystkimi czterema kopytami i w proteście potrząsał uniesionym łbem. Zakląłam i puściłam wodze. Zakląłam ponownie. Przecież nie będę go wlec siłą! Owszem, dałabym radę, ale jak zareagowałiby późni przechodnie, widząc przygarbioną pannę o chmurnym wyrazie twarzy, za którą zamiast sanek z chrustem jedzie siedzący na zadzie koń?!

- Oddam wilkom, to się nauczysz moresu! - postraszyłam. Dymek zastrzygł uszami.

- Albo sama zjem.

Wałach uniósł górną wargę w dźwięcznym sarkastycznym parsknięciu.

- Pies z tobą tańczył - wkurzyłam się, ściągnęłam z niego sakwy i zarzuciłam na ramię.

Nic to, jakoś doniosę. Za miastem będzie można zmienić postać. A to uparte bydlę niech stoi w przybudówce koło warsztatu do rana. Przed rozpoczęciem pracy wpadnę i go zabiorę, wątpię żeby Karst miał coś przeciwko. Pewnie uzna, że poszłam za jego radą i spędziłam noc w mieście.

Po chwili wahania Dymek hałaśliwie westchnął i ruszył moim śladem. W milczeniu zarzuciłam torby z powrotem na jego grzbiet i wskoczyłam na siodło. Konisko regularnie wywijają takie numery, ale jeszcze ani razu nie musiałam wracać do domu na piechotę - najważniejsze to pokazać, że jest się zdecydowanym i naprawdę odchodzisz.

Mróz był siarczasty. Musiałam schować nos w futrzanym kołnierzu, żeby nie wdychać powietrza, które igłami kłuło do samej piersi. Miasto wydawało się wymarłe, a strażnicy nawet nie raczyli wyjść ze swojej wartowni przy bramie i tylko z pretensją machnęli do mnie przez okienko — że mogą jechać, byle szybciej!

W ciągu dnia drogą przejechało kilka sań i pólśani, ubijając śnieg spadły zeszłej nocy. Wałach truchtał równo i szybko. W trakcie mojego spotkania z płatnerzem zdążył wypocząć i pożuć sobie darmowego sianka - w drugiej połowie przybudówki, podzielonej na malutkie zagrody, krasnolud trzymał kozy. Niewysokie przegródki, obliczone na stałe lokatorki nie stanowiły żadnej przeszkody dla Dymka, który mógł wsadzić pysk do każdego karmnika po kolei - przy wtórce oburzonego meczenia i bezskutecznych prób potraktowania szabrownika rogami.

Za miastem nie zrobiło się ciepłej, ale przy widoku wyłącznie śniegu i nagich drzew, godzenie się z zimnem było łatwiejsze. Za to nogi skostniały mi już po dziesięciu minutach, nawet pomimo wełnianych skarpet. Śnieg jak lustro odbijał światło księżyca, otaczając horyzont niebieskawą mgiełką. W powietrzu czułam wyraźny zapach kiszzonej kapusty, z którego jednoznacznie wynikało, że owa kapusta już dawno opuściła wnętrze nieszczelnie zamkniętego słoja i objęła w posiadanie całą sakwę. Nie zaryzykowałam majstrowania przy niej w ruchu, zostawiając ten wątpliwy honor Restowi, na którego stopniowo zepchnęłam wszystkie prace

domowe. Nie był co prawda mistrzem gotowania, ale za to naprawił wszystkie kulawe krzesła, rozsypujące się skrzynie i przeciekające kadzie. Ostatecznie kiedyś był pomocnikiem stolarza.

- Nie poradziłeś sobie i uznałeś, że magiem być łatwiej? dociełam mu, kiedy usłyszałam o tym po raz pierwszy.

- Ciężar pracy to się ocenia nie barkami a duszą - odparł z powagą i po raz pierwszy się nie obraził. Pewnie powtarzał za mistrzem. Ale i sam w to wierzył, co mu się chwaliło.

Czarownik też się zrobił weselszy. Po kolejnych oględzinach uznałam, że zdejmę mu łubki z lewej ręki, która była złamana tylko w jednym miejscu, więc teraz całymi godzinami gimnastykował ją w skupieniu, w trakcie tłumacząc uczniowi jakieś tam gesty i konfiguracje. Tfu...

W międzyczasie stukli dwa talerze. Jeden jakoby „niedolewitowali”, a drugi w zapale stracili łokciem. Na pewno winowajcą był Rest, mimo że przede mną zawsze tłumaczył się Weres. Ha, tłumaczył! Powiadał, i to z takim wyrazem twarzy, jakbym powinna się cieszyć, że uwolnili mnie od tych gratów.

Zadarłam głowę, podziwiając nocne niebo, żeby przynajmniej na chwilę uciec myślami od zimnicy i podróżnej nudy. Niespecjalnie znałam się na gwiazdach, ale Wilcze Oko, najjaśniejszą zimową gwiazdę, znalazłam od razu. Elfy nazywały ją Kocim Okiem, syreny - Rybim, trolle... hm... Jednak żadna z ras nie miała wątpliwości w kwestii, że jest to Oko. Beznamiętne, drapieżne, niemrugające, śledziło mnie przez gałęzie aż nagle niebo pochyliło się i z histerycznym rzeniem runęło w dół.

Katastrofa na skalę wszechświata była bardzo łatwa do wyjaśnienia: Dymek stanął dęba. Zamyślony człowiek po prostu runąłby na plecy, ale ja byłam wilkołakiem, więc ze zwierzęcą zwinnością rzuciłam się do przodu i zdążyłam złapać końskiej szyi. O ile pamiętałam, flegmatyczny wałach wyciął taki numer po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu, więc musiał mieć ku temu poważną przyczynę. I miał, nawet bardzo poważną.

Kudłak uniósł się na tylnych łapach, prawie dorównując koniowi wzrostem. Malutkie głęboko osadzone ślepia lśniły karmazynowym blaskiem, z gardła wyrывało się wściekłe warczenie. Chyba wpadliśmy na siebie z zaskoczenia - stwór podązał gdzieś w swoich sprawach i absolutnie się nie spodziewał, że ktoś zastąpi mu drogę. Ale mimo wszystko nie miał zamiaru ograniczyć się do obustronnych przeprosin.

Z pewnym opóźnieniem rozwarł szczęki, upuścił jakąś szmatę i z rykiem rzucił się do końskiego gardła, ale Dymek już stanął na czterech nogach, a ja zdążyłam dojść do wniosku, że najlepszą obroną jest atak. Ciężkie sakwy, jak proca rozkręczone za wspólny rzemień, walnęły stwora w pierś, ze zwycięskim brzękiem, trzaskiem i chrzęstem - zapach kapusty się nasilił - i odrzuciły na kilka sążni.

Czegoś takiego kudłak się nie spodziewał! Ryk, który wydałam zaraz potem, ostatecznie upewnił go, że powinien jeszcze raz przemyśleć, czy aby na pewno jest do tego stopnia głodny. Zdołałby co prawda pokonać wilkołaka, lecz nie bez trudu, a ja również nie miałam zamiaru szczękać kłami po próżnicy. Poza tym był to mój teren. Zwierzęta i pomroki wyczuwają takie sprawy bardzo wyraźnie i właśnie dlatego swego czasu uciekałam przed miejskimi strzygami, na które rzuciłabym się bez chwili wahania w obronie własnego leża i prawie na pewno rozdarła je na malusieńkie kawałeczki.

Pojedynek na wrogie spojrzenia i warknięcia potrwał jakieś dziesięć minut. Próbujący zachować godność kudłak powoli cofał się w kierunku obsypanych śniegiem krzaków. Dopiero gdy już zniknął za nimi w całości, umilkł, odwrócił się i zachrzącał śniegiem, oddalając się w kierunku miasta.

Zeskoczyłam z Dymka i na zwierzęcą modłę przypadłam do ziemi, ostrożnie rozglądając się na boki i rozdymając nozdrza. Niespecjalnie chciałam rozbierać się na środku lasu w takim zimnie, tym bardziej, że w trakcie zmiany postaci wilkołak jest najbardziej bezbronny. No i nie powinnam ścigać kudłaka zostawiając konia - nos i uszy dowodziły, że potwór był już daleko, a pozostałe części ciała żądały możliwie szybkiego dostarczenia ich do domu, ciepłego pieca i gorącej kolacji.

Na wszelki wypadek przeszłam się kawałek drogą, oglądając zostawione przez kudłaka ślady - spore, trzeba przyznać, choć do męskiej dłoni nadal im brakowało, po czym ze smutkiem

pokręciłam głową - szmata okazała się moją kurą. Ze wstrętem i żalością złapałam ją za strzaskane skrzydło, wzięłam zamach i wrzuciłam truchło w daleką zaspę. Zebrałam torby i ponownie wspierałam się na konia. Dymek lekko drżał, prychał i ledwo doczekał, aż namacam drugie strzemię, by ruszyć szybkim nierównym klusem, choć znowu zaczął kuleć. Nie hamowałam go, bo równie mocno pragnęłam się stąd wynieść, a jeszcze bardziej - przekonać, że atak na moje włosy ograniczył się do kury.

Wbrew zwyczajom, czekano na mnie. Na parapecie stała zapalona świeca, widoczna z daleka. Od razu uspokoiła zarówno mnie, jak i wałacha, więc do furtki zbliżyliśmy się już stępa. Pomiędzy płotem i budką, w której nocowała pechowa kura, ciągnęły się dwa wyraźne łańcuszki śladów. Stwór nawet nie próbował zbliżyć się do ganku i okien, z niewiadomego powodu ograniczając do zdobyczy wyjątkowo skromnej jak na jego gabaryty.

Zresztą samym kudłakiem specjalnie się nie przejmowałam. Wcześniej czy później i tak się policzę z tym złodziejem kur, niech no tylko znajdzie legowisko. Znacznie bardziej martwił mnie sam fakt jego pojawienia się w naszych okolicach. Ostatecznie nawet dzieci wiedzą, że wilkołaki nie mewają wspólnego potomstwa. Rozmnażają się tylko z ludźmi i wilkami. I to właśnie z tych drugich związków rodzą się kudłaki - zwierzęta mające ludzką żądzę krwi.

Czyli miałam konkurenta. Chytrego, przebiegłego i potrafiącego dobrze się kryć, który na dodatek nie zostawiał śladów i nie polował najedzenie. Musiał być to samiec, ponieważ żadna w miarę rozumna wilkołaczka nie ulegnie wilkowi, a tym bardziej nie urodzi jego potworów. Zresztą wilkołaka, który skusił się na wilczycę, również trudno nazwać normalnym, więc to, że nie miałam najmniejszej ochoty się z nim spotykać, nie powinno budzić zdziwienia.

Pozostawało wyłącznie mieć nadzieję, że kudłak trafił do mojego lasu przypadkowo, a przyszedł na świat sto, albo jeszcze lepiej tysiąc wiorst stąd. Tyle, że jak na zamiejscowego zachowywał się zbyt bezczelnie. Nie wyglądał też na włóczęgę solidnej postury, o lśniącej sierści, jak gdyby po prostu wyszedł rozprostować łapy. Pytanie tylko, skąd?

- Co tam? - spytałam chmurnie od progu. Rest otworzył już na pierwsze pukanie, jak gdyby czekał w sieni. Zresztą, na pewno pilnował, bo nie słyszałam skrzypienia wewnętrznych drzwi.

- Wszystko u ci... U pani wszystko w porządku? - zapytał z kiepsko skrywaną ulgą, nie mogąc ostatecznie ustalić, jak ma się do mnie zwracać.

- Yhym. - Bez ceregieli odepchnęłam go z drogi i weszłam do domu. Chłopak natychmiast zamknął drzwi i dokładnie zaniknął zasuwę, a nawet na wszelki wypadek pociągnął za rączkę, by dodać sobie pewności.

- Tam na podwórzu... ktoś chodził. - Uczeń czarownika bez skutku próbował nadać drżącemu głosowi pogardliwą niedbałość - że niby nic szczególnego, bez ciebie też byśmy sobie poradzili i tylko informuję, bo taki mój psi obowiązek. Weres w milczeniu i z namysłem patrzył na mnie zza odsuniętej zasłony. Wydawał się na coś czekać. - A potem kura jakoś tak strasznie zagadała i zamilkła...

- Yhym. Trzymaj.

- Ale co tam jest w środku? - Dzieciak odebrał ode mnie torbę, z której na przemian smętnie kapalo coś żółtego, gęstego i zielonkawo-przezroczystego.

- Nie mam pojęcia - odparłam uczciwie, z drżeniem wyobrażając sobie jednorodną mieszankę trzech funtów kiszonej kapusty, ćwierci puda mąki, siedmiu torebek z ziołami, trzech nowych talerzy, pary zapasowych skarpet i tuzina jajek.

I szybko uciekłam do swojej izby, by nie widzieć miny Resta w momencie gdy będzie to wszystko wyciągał.

1

Związać kilka kłosów w pęczek, co podobno ma rzucić urok na całe pole.

Rozpowszechniony i kompletnie nie mający podstaw przesąd, ponieważ wyłącznie wykwalifikowany mag może wykonać albo usunąć skuteczny zgięt (zalecane honorarium za to drugie to pięć kładni, grzywna za pierwsze - piętnaście, *(notatka na marginesie: „wychodzi że trzeba żądać przynajmniej dwadzieścia kładni”)*), Patrz K. Łabska. Tablice referencyjne maga-

praktyka.



## Rozdział 2

Niektóre plany wydają się genialne w chwili, gdy przyjdą do głowy. Bez najmniejszych problemów przechodzą przez fazę opracowania, a następnie z hukiem rozsypują się już przy pierwszej próbie wprowadzenia w życie.

Mknęłam po zaśnieżonym lesie bez oglądania się za siebie. Za moimi plecami sapał kudłak. Zdążyliśmy zaczepić się zębami - każde po jednym razie - jego okazały się dłuższe i ostrzejsze, a ja miałam dość rozumu, by nie nalegać na rewanz.

Przeklęty stwór za dnia nie tylko nie spał, ale zachował znacznie bardziej agresywnie, niż w nocy i rzucił na mnie z taką wściekłością, jakby to nie on, a ja zagryzła w biały dzień odyńca na cudzym terenie i łapczywie go pożerała. Oczywiście kudłaki nie są strzygami, więc nie wpadają w letarg z nastaniem świtu, ale mają swoje obyczaje i wolą spędzać czas do zachodu słońca w ciemnych spokojnych miejscach. A wykurzone z legowisk miotają się po lesie, nawet nie próbując stawiać oporu.

Może ktoś powinien mu o tym opowiedzieć, co?!

Niespodziewanie przednie, a zaraz za nimi tylne łapy rozjechały mi się na boki - przyprószone śniegiem strumyk był zamrożony do dna i nie zdradził się pluskaniem wody. Zakręciłam się na szerokiej lodowej ścieżce i razem z nią poleciałam na dół, do zarośniętego lasem parowu. Z piskiem przeorałam strome zbocze, unosząc obłok śnieżnego pyłu, a następnie cudem uniknęłam zderzenia z sosną i z kolei wpadłam na świerk. W szoku potrząsnęłam łbem, wygrzebałam się z zasy i niezgrabnie ruszyłam dnem parowu, grzęznąc po pierś w miękkim śniegu. Kudłakowi było lżej - miał dłuższe łapy, a i pomykanie czymś śladem jest zawsze łatwiejsze, niż przecieranie własnej ścieżki.

Ku mojemu wielkiemu szczęściu wkrótce jar przegrodził obalony przez wichurę jesion, którego czubek sięgał szczytu zbocza, a koniuszki korzeni jeszcze czepiały się ziemi na dnie. Chwilę udeptywałam śnieg łapami, a następnie skurczyłam w sprężysty kłębek i wskoczyłam na pień.

Zęby kudłaka szczęknęły przy samym koniuszku mego ogona. Nie jest to organ niezbędny do życia, niemniej błyskawicznie go podkuiliłam, po czym ruszyłam w górę głęboko wbijając pazury w korę. Tu przewaga była po mojej stronie - kudłak nie miał tak ostrych pazurów i nie potrafił ich wypuszczać ani chować. Czyli, dokładnie tak, jak się spodziewałam, nie zdołał utrzymać się na oblodzonym drewnie. Wykonał kilka susów, coraz bardziej przechylając się na bok, po czym brzuchem do góry utonął w głębokiej zaspie. Nie odmówiłam sobie tej przyjemności, stanęłam i przez chwilę podziwiałam wgłębienie, z którego dobiegały wściekle ryki i wylatywały grudy śniegu. Gdyby nie to, że moje położenie też nie było specjalnie stabilne, chętnie bym na tego drania nasikała.

Na sążeń od skraju parowu pień rozdwajał się, zmieniając w płataninę cienkich gałęzi raczej zbyt gęstą, by przez nią przeleźć. Zaryzykowałam i skoczyłam. Gdyby nie krzaczki na zboczu, lekki niedolot zmieniłby się w sromotne turlanie do skwapliwie nadstawionego kudłaczego pyska. Desperacko przebierałam łapami, wzbijając tuman świeżego śniegu, który skrzącymi się w słońcu płatkami leciał na dół i do tyłu (ryk stwora zmienił się w oburzone parskanie). Jakoś wygrzebałam się z pułapki i popędziłam przed siebie ile sił w łapach. Ukaszony bark palił mnie żywym ogniem, jak gdyby tkwił w nim srebrny grot, ale był to ból z gatunku tych dodających prędkości.

Po drugiej stronie parowu ciągnęła się łąka z kępami suchego ostu, otoczona ciemną ścianą lasu. W lecie chłopcy wypasali tu krowy i owce, które podjadały dobrą trawę i omijały kłujące chwasty, więc na skutek takiego pielenia te drugie wdzięcznie rosły na trzy arszyiny i na całego

kwitły głęboką purpurą, w drugiej połowie lata sprawiając, że łąka robiła się kompletnie nieprzebyta dla ludzi i niewygodna dla drapieżników. Ale w tej chwili połowa ostów już podgniła i padła. Reszta czasami czepiała się mojego rozczochranego futra, ale mnie nie spowalniały. Większy i bardziej kudłaty przeciwnik miał dużo gorzej.

Dogonił mnie na samym skraju lasu. Prawie zbił z łap ale w ostatniej chwili rzuciłam się w bok, zostawiając w jego zębach kłak futra. Wilkołaki są drobniejsze od kudłaków lecz jednocześnie zwinniejsze i, co ważniejsze, dzięki swojej drugiej postaci mają w zapasie znacznie większy arsenał paskudnych sztuczek. Kolejny skok, metalowe szczęknięcie - i przykuty łańcuchem do pnia kudłak zawył, tańcząc w miejscu. Przydały się wnyki na niedźwiedzia! Specjalnie je tu rozłożyłam tego ranka i zamaskowałam znacznie dokładniej niż Rest, po czym oznaczyłam ze wszystkich stron, żeby prawdziwy niedźwiedź się nie odważył zbliżyć.

Nie zatrzymywałam się, jedynie zwolniłam i ruszyłam dalej, jak zwykle robiąc pętle i klucząc. Jeśli idzie o kudłaka, to nie miałam żadnych złudzeń - po prostu odgryzie sobie łapę i wydobędzie się z paści, pewnie nawet już się do tego zabrał.

Oczywiście na trzech mnie nie dogoni, zaliże ranę i pokuśtyka w kierunku leża, hodować nową kończynę. Ale przynajmniej przez parę tygodni w lesie będzie spokojnie.

I w tym czasie musiałam odnaleźć jego gawrę. Ponieważ wyglądało na to, że potwierdziły się moje najgorsze obawy.

\* \* \*

Kajam się, dziś uciekłam z pracy od razu po obiedzie, korzystając z nieobecności właściciela, który pojechał odwiedzić mieszkających na wsi krewnych. Odprowadziłam konia do domu i uznałam, że póki leniwe zimowe słońeczko jeszcze nie schowało się za horyzontem, z głupia frant pobiegam po lesie - a nuż trafię na świeże ślady nieproszonego gościa?

I trafiłam, skutkiem czego ledwo dowlokłam się do domu już po zmroku.

Dzieciak spał, zwinięty w kłębek na pościelonej w kącie izby kurtce - a może po prostu symulował. Już od pierwszej nocy starannie udawał, że nie zauważa moich wyjść i powrotów. Nie wiem nawet, co przerażało go bardziej: moja nagość czy malowniczo rozsmarowana po niej krew. Ale rękę dałabym sobie uciąć, że podglądał!

Zresztą, po co odcinać, wyglądało na to, że zaraz odpadnie sama. Z trudem naciągnęłam spodnie, używając ręki zdrowej, po czym usiadłam przy stole i krzywiąc się obejrzałam zraniony bark. Rana była głęboka i paskudna. Człowiek by dodał: przerażająca. Po czym zemdłał. Brzegi szeroko się rozeszły, krew już nie ciekła, ale na dnie różowiała kość. Bolało mnie nawet ruszanie palcami. Zwykle wystarczało, bym wysiłkiem woli zamknęła naczynia i rany zaczynały goić się prawie w oczach.

Ta nie miała najmniejszego zamiaru. Czyli czekało mnie przemywanie, smarowanie eliksirami, a może nawet zeszkrobывanie tkanki, zatrutej śliną kudłaka.

- Pokaż - poprosił czarownik cicho.

Zmierzyłam go długim oceniającym spojrzeniem, po czym przeniosłam się na krzesło koło łóżka. Podstawiłam rękę. Weres powoli poruszył palcami nad raną, jak gdyby obmacując niewidzialną skorupę.

- Kudłak miał obrożę, zgadza się?

- Stalowe kolce do wewnątrz, srebrne na zewnątrz - burknęłam. - Spotkaliście się już?

Nie odpowiedział, skupiony na ranie. Zaczęło szczypać, pokazała się zielonkawa piana.

- Idź i to przemyj, tylko szybko. - Czarownik ze zmęczeniem runął na poduszkę. Na jego czole lśniły drobniutkie krople potu.

Oplukałam ramię czystą wodą z kubka nad kubłem na śmieci. Palenie zmieniło się w zwykle swędzenie, a rana zaczęła się goić.

- A czemu siebie nie uleczysz? - spytałam szorstko, nie patrząc na Weresa.

- Siebie jest trudniej - westchnął. - Ale tak, spotkaliśmy się. Akurat przed tobą.

Wydawało się, że dzieciak rzeczywiście spał. Zmęczył się w ciągu dnia, naprawiając dach przybudówki, który zapadł się pod ciężarem śniegu. Czyli mogliśmy rozmawiać bez przeszkód.

- Srebrne - żebym ja mu się nie dobrała do gardła. Stalowe - żeby czuł nad sobą pańską rękę. Czyją?  
- Myślałem, że twoją - odpowiedział niewesołym uśmiechem.  
- Tylko mi kudłaka brakowało do pełni szczęścia! Najlepiej głuchego, bezzębnego i wyleniającego. - Odwiesiłam kubek na haczyk, wytarłam ręce ręcznikiem i narzuciłam luźną, spraną i miękką koszulę, która nie podrażniała rany. Nie miało sensu bawić się w opatrunki, tak czy siak do rana na barku pozostanie mi jedynie różowy pasek szramy, który po kolejnych paru dniach zniknie całkiem. - Słuchaj, czarowniku, czy ty naprawdę myślałeś, że jestem aż taką kretynką? To dlatego przez pierwsze dni podskakiwałeś na każdy hałas, tak? Czekając, kiedy moja „dziecinka” w końcu wróci do domu?

Weres milczał. Pogardliwie fuknęłam na świecę, cicho acz wyraziście trzasnęłam drzwiami i zniknęłam w swoim pokoju. Długo kręciłam się pod kołdrą, próbując ulokować się wygodnie i nie urażać ramienia. A gdy w końcu zaczęłam zapadać w sen...

- Przepraszam - rzucił w mrok Weres ledwo słyszalnie.

- I dziękuję.

Nie odpowiedziałam. A on na to nie czekał.

\* \* \*

Do rana ręka rzeczywiście się zagoiła, ale bolała i jeszcze przez kilka dni źle się zginała, więc starałam się nie ryzykować - węszyłam i nasłuchiwałam, a dopiero potem wychodziłam na otwarty teren lub pchałam nos do jakiegoś podejrzanego jaru. Nie znalazłam żadnych śladów kudłaka ani jego pana, choć oblazłam całą okolicę i obwąchałam każdy pniak. Owszem, przez jakieś dziesięć dni panował spokój. I właśnie ta pozorna sielanka martwiła mnie najbardziej.

Nic. Miałam wrażenie, że kudłak zmaterializował się wtedy na środku polany z dzikiem, poganiał mnie po lesie, po czym wyhodował sobie parę skrzydełek i za życia dostąpił wniebowstąpienia. Jakieś moce biesowskie!

Pod koniec tygodnia, wracając z pracy jeszcze przed zachodem słońca, raczej dla odbycia samej wycieczki niż mając nadzieję, że coś znajdę, nadłożyłam drogi i odwiedziłam pułapkę.

Oczywiście nie znalazłam ani kudłaka, ani jego łapy.

„Zeżarł, zaraza, żeby się nie zmarnowała - pomyślałam z niesmakiem. - Bo wrony czy inni padlinożercy raczej się nie skuszą na takie świństwo”.

Postanowiłam zabrać i nastawić żelazne szczęki, ale w samą porę coś mnie zaniepokoiło. Na śniegu dookoła nie było krwi. Ani kropli, mimo że od tamtej nocy trzymała się słoneczna, bezwietrzna pogoda i nie mogło krwawych plam zamieść śniegiem. A nawet żelazo połyskiwało jak wypolerowane.

Tak więc ja rozmyślałam, nie złącząc z konia, Dymek pokornie czekał, sapiąc kłębami pary, a tu nagle spod śnieżnego kopczyka wylazła tłusta mysz polna. Umyła sobie pyszczek i ruszyła w swoich mysich sprawach. Nie mogąc pohamować pokusy syknęłam groźnie, zmuszając biedactwo do wykonania podskoku i rzucenia się do ucieczki tuż obok pułapki. Lekkie zafalowanie powietrza, jak przy otwartych w mroźny dzień drzwiach, fontanna niebieskawych iskerek na rudawej sierści i mysz zniknęła, jak gdyby zlizana niewidzialnym lisim językiem. Śnieg pozostał nietknięty.

Zdecydowanie zawróciłam konia, nawet nie eksperymentując z rzucaniem szyszkami czy patykami. Nie obeszło się tutaj bez przynajmniej jednego czarownika, więc tym bardziej należało włączyć drugiego. Poza tym przez cały dzień prawie nic nie jadłam (zgarniętą rano ze stołu kromką chleba podzieliłam się z Dymkiem), a nie lubiłam borykać się z problemami na głodniaka.

Podjechałam do domu i otworzyłam furtkę na oścież, a następnie cmoknęłam na konia, by sam poszedł do stajenki i szybciułko przebiegłam wzdłuż płotu, starannie badając ślady na śniegu. Taaak... zając... kolejny zając... Czy ta moja jabłoń jest jakaś specjalna?! Ślady butów... i to znajome! Co ty tu, kochany, robiłeś? No oczywiście, urządził potajemny pochówek zwłokom następnego kufla! Może w końcu dojdzie do ciężkich przedmiotów, w rodzaju patelni czy innego żeliwnego gara. Bo może jak go upuści sobie na łeb, to szare komórki mu się poukładają w odpowiedniej kolejności! Wyobrażam sobie, jaki stolarz by z niego wyszedł... No dobrze, co tu

jeszcze mamy? Krzyżyki wronich śladów, resztkę ukradzonej z koziego korytka skórki od chleba... Ciemna plamka...

Chyba wszystko w porządku.

Westchnęłam z ulgą, jakbym zrzuciła z karku worek z kradzionymi ziemniakami - mało tego, że ciężki, a jeszcze na dokładkę powoduje, że człowiek ucieka przed najmniejszym hałasem. I już spokojnie, z rozprostowanymi ramionami ruszyłam w stronę ganku, obrzucając raz jeszcze las badawczym spojrzeniem.

Chłopak z wyraźną niechęcią podniósł się i zaczął nakrywać do stołu. Czarownik skinął mi głową na powitanie i zatrzasnął książkę, nie wiadomo skąd przyniesioną przez Restę. Odłożył ją na brzeg łóżka i ostrożnie opierając się na wychudzonej lewej ręce (prawa, z której zdjęłam szyny dopiero wczoraj, zauważalnie drżała), podciągnął się wyżej, opierając plecy o poduszkę. Z ostrożną ciekawością powąchał dobywający się z pieca dym. Chyba się zaczytał i nawet nie zauważył jak zgłodniał.

Od tamtego pamiętnego wieczoru pomiędzy mną a Weresem panowały stosunki uprzejmie neutralne, jak pomiędzy dwoma wrogimi obozami, którym skończyły się strzały, a że nikt nie miał ochoty na walkę wręcz, wojownicy czekający na wozy z furazem, nabrali zwyczaju gotowania na neutralnym terenie składkowej kaszy dla wszystkich. Restę odgrywał rolę lekceważonego przez wszystkich tysięcy, który smętnie pałęta się dookoła ogniska, próbując rozróżnić swoich i obcych, a obie strony identycznie się nim wysługują i nawet wysyłają po opał.

Dopuszczenie „tysięcznika” do gotowania oznaczało koniec działań bojowych jako takich, na długo zaganiając wojowników pod osłonę krzaków. Dzięki bogom wilkołaki mają mocniejsze żołądki. Co prawda nie udało mi się ustalić czy zawartość miski była gęstą zupą jęczmienną czy rzadką kaszą, ale była gorąca, sycąca i dawała się nabrać na łyżkę, więc ograniczyłam się wyłącznie do ironicznej uwagi: „A może powinniśmy zahodować prosiaczka?”. Weres, który od pewnego czasu jadł z nami (mimo że nadal kupowałam dla niego biały chleb i twaróg, jak również oddawałam całe kozie mleko do ostatniej kropli) i chyba pogodził z naszą domową kuchnią parsknął do uniesionej do ust łyżki i sceptycznie zmarszczył nos: „Myślisz że wyżyje?”

Dzieciak najeżył się, wygrzebał z kącika obszarpaną miotłę i zabrał się do sprzątnięcia z taką zaciekłością, aż drzemiąca na ławce kotka zaczęła kichać, a potem lekko i bezdźwięcznie skoczyła na wysoki piec, gdzie przyczaiła wśród szmat. Tylko połyskiwały jej zielone oczy.

Po zjedzeniu dziewięciu łyżek brei, w dziesiątej wykryłam coś malutkiego i czarnego. Przyjrzałam się „cosiowi” podejrzliwie, ale okazało się, że to tylko węgielek. Mimo to straciłam do reszty apetyt, więc po chwili grzebania w stygnącej i coraz bardziej lepkiej substancji (chyba jednak była to kasza) odsunęłam miskę.

- Weres, co może oznaczać niespodziewanie znikająca mysz?
- Niespodziewanie pojawiającego się kota - uśmiechnął się czarodziej, ale odpowiedziałam mu tak chmurnym spojrzeniem, że odeszła mu wszelka ochota do żartów.
- Nieprzyjemny zapach? Dym? Dźwięk? Pozostała plama?
- Nie. Wyłącznie lekkie lśnienie.
- Powiedziałbym, że to teleport-pułapka - powiedział po chwili namysłu. - Ofiara aktywuje go swoim ciepłem i natychmiast zostaje przeniesiona do klatki.
- Daleko?
- O kilka wiorst. Jeżeli wzmocnić portal wejściowy amuletem, to do dziesięciu.

Prychnęłam przez nos z irytacją. Pułapka jako taka wyglądała na najzwyklejszą w świecie, ale amulet mógł zostać zakopany w śniegu pod nią. Czyli możemy zakładać maksimum... Niech to leszy, nawet przez tydzień tyle nie obiegnę, tym bardziej, że w wytyczonym okręgu mieściło się całe Wysiedlisko. I jak niby miałam tam szukać tajemniczego myśliwego? Pukać do każdego drzwi i pytać: „Przepraszam najmocniej, ale czy to przypadkiem nie państwo mi zaczarowali pułapkę na niedźwiedzie?”. A drań prawie na pewno chował się w mieście, z klatką postawioną gdzieś w piwnicy - solidnie zamkniętej i bez okien. Pewnie jeszcze sprawdzał ją każdego ranka, jak zwykłą pułapkę na szczury, żeby zdobyć się nie zaśmierdziła... Stop. He-he!

- Szelono, czy coś się stało? - ostrożnie zapytał Weres, nie doczekawszy dalszego ciągu

rozmowy. Miotła dalej rytmicznie szeleściła w jednym miejscu. Ciekawość okazała się silniejsza od urazy - dzieciak uporczywie udając obrażonego i niezainteresowanego, podsłuchiwał zachłannie.

- Nie - uciełam tonem mówiącym „tak, ale to nie twoja sprawa!” i wstałam zza stołu.

Czarownik z pretensją zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Miotła zaczęła szurać po podłodze jeszcze zacieklej, kurz uniósł się prawie pod powalę wyganiając mnie z kuchni znacznie skuteczniej niż świątynne pachnidła. Nie, z góry mówię, że one kompletnie na mnie nie działają, po prostu paskudnie cuchną. Srebro - owszem, nie bardzo lubię go dotykać, ale i tu nie należy się naiwnie spodziewać, że ucieknę z podkulonym ogonem na sam widok uroczyście wyciągniętego amuletu. A już tym bardziej nie dawałam się odstraszyć będącą w powszechnym użyciu srebrną monetą!

Gdybyż tylko wolijski kolega Weresa - wiedźmin, lekko świrnięty na punkcie polowania na pomroki - widział, jak wilkołak, który uciekł mu poprzedniego dnia, dokładnie ogląda miejsce nieudanej zasadzki i wyciąga z pni srebrne bełty, by potem sprzedać je złotnikowi i przynajmniej odrobinę zrekompensować sobie straty moralne...

Weres strzelał znacznie lepiej.

Prychnęłam z irytacją, wściekła raczej na siebie. Rozłożyłam na rozścielonej na podłodze szmacie pęczki ziół, zwitki kory, cierpko pachnące paczuszki, małe tarki i moździerz, na środku ustawiłam garnek z topionym gęsim smalcem i zabrałam się do komponowania maści pod dobrze opłacone zamówienia - jak zwykle robione na boku.

Ta rutynowa a równocześnie zajmująca praca była wprost Idealna, by przy niej spokojnie pomyśleć.

\* \* \*

Późnym wieczorem, gdy czarownik już spał, a dzieciak w rudawym blasku świecy cierpliwie skrobał piórem po pergaminie, przepisując zadane mu przez mentora zaklęcie, niespodziewanie schyliłam się nad jego ramieniem i słodkim tonem spytałam:

- Słuchaj, a gdzie ty zdobyłeś tyle zdechłych wron?

Rest, który i bez tego ostrożnie zezował w moim kierunku spod długiej grzywki, zmieszał się do reszty, ale ostatecznie przyznał.

- Chłopaki się uczą strzelać z luków koło składów, więc nabierałem. Przyjezdni kupcy tam przechowują ziarno, to i wron chmary...

- Możesz przynieść jeszcze kilka?

- Po co?

- Ugotuję zupę - odcięłam się. - Bo mi ludzkie mięso już nie przechodzi przez gardło.

- W garnku zostało jeszcze trochę kaszy - przypomniał złośliwie, nie mogąc utrzymać języka za zębami.

Stojące na piecu „danie” zdążyło ostatecznie zastygnąć i pokryć się szarawą śliską skórką. Gdy pięć minut temu spróbowałam wyciągnąć zapomnianą w środku łyżkę, razem z nią uniósł się cały garnek.

- Wolisz przynieść mi wrony czy w mojej obecności zjeść tę, za przeproszeniem, *kaszkę* na śniadanie?

Rest uparcie zagryzł dolną wargę i demonstracyjnie zapatrzył w książkę, po czym ponownie zanurzył pióro w kałamarzu. Ze „współczuciem” poklepałam go po ramieniu i wróciłam do swojej izby.

\* \* \*

Przez kilku dni wrony sumiennie zaśmierdziewały się na stryszku. Oczywiście, przy piecu poszłoby im to znacznie szybciej, ale i tak byliśmy doskonale świadomi skuteczności procesu. Gdy w końcu zgarnęłam truchła do worka i wyniosłam na podwórze, trzymając wonny ciężar jak najdalej od siebie, Rest błyskawicznie otworzył wszystkie okna, woląc wymrozić izbę, niż siedzieć w tak specyficznym cieple.

- Bądź ostrożna. - W głosie, który dogonił mnie już w sieni, brzmiał wyraźny niepokój.

Albo Weres domyślił się moich planów, albo po prostu nie spodobał mu się złośliwie wyczekujący wyraz mojej twarzy.

- Jakoś sobie poradzę - burknęłam, mimo że początkowo nie miałam zamiaru odpowiadać. Patrzcie państwo, martwi się o mnie. Bo jeszcze nie będzie ich miał kto karmić, a na dodatek honorarium za łeb wilkołaczki ucieknie w siną dal. Swoją drogą, ciekawe, komu chciał ten łeb sprzedać? W życiu nie uwierzę, by czarodziej zabrał się do tej miłej bogu pracy z czystej miłości bliźniego, w końcu nie jest dajnem. Zwykle jeśli wilkołak nie dokazuje za bardzo, to miejski mag nawet nie ruszy tyłka. A pracujący za opłatą najemnicy, tacy jak Weres, tym bardziej. Po co? Wcześniej czy później i tak znajdzie się klient z dostatecznie ciężką sakiewką i życzeniem by z konkretnego powodu (albo po prostu na wszelki wypadek) uwolniono okolicę od nachalnego potwora.

Ale obecna chwila stanowczo nie była odpowiednia dla złośliwych pytań - mimo tak miłej trwogi czarodzieja o moje zdrowie, drzwi za mną i wronami zatrzasnęły się bardzo stanowczo.

Śnieg parzył bosa piętę. Rozpuszczone włosy kołysały się w podmuchach wiatru i nie chroniły przed mrozem, a tylko ziębiły ramiona. Błyskawicznie, na paluszkach - jak po rozżarzonych węgielkach lub pokrzywach - przecięłam podwórko i zniknęłam w przybudówce. Haczyk był przymocowany również po wewnętrznej stronie drzwi. Wsadziłam go do петельki, złapałam oddech, głębokim pełnym wstrętu wydechem wypychając z płuc lodowate powietrze. W porównaniu z podwórzem nawet ta pełna przeciągów szopka wydawała się dobrze nagrzanym pokojem.

Dymek prychnął i cofnął się pod tylną ścianę, koza podejrzliwie zezowała ze swojego kącika, ale nie śpieszyła się, by wstawać z ciepłego legowiska. Ale za to kotka jak bezgłośny biały cień pojawiła się w otworze pod dachem i z ciekawością wychyliła do przodu, poruszając nastroszonymi wąsami. No tak, nie był to różany aromat. A uczciwie mówiąc - w ogóle nie aromat. Smród jak od całej zdechłej krowy, szopa przesiąkła nim w ciągu kilku minut!

Doskonale!

Stałam na czworaka, wsparłam dłonie o słomianą ściółkę. Włosy opadły do samej podłogi, odgradzając mnie jak jedwabną zasłoną od otaczającego świata i pomagając skupić się na wewnętrznych odczuciach.

Już nie ryzykowałam zmiany postaci w spokojnym ale otwartym na wszystkie strony (i kudłaki) zakątku za drewnianą. A już tym bardziej w domu. Żaden czarownik nie przepuści takiego podarunku od losu: nie musiałby nawet używać zaklęcia czy miecza, wystarczyłby mocny kopniak w plecy, by złamać mi grzbiet, w chwili przekształcenia kruchy jak skorupka jajka.

A poza tym to niezbyt przyjemny widok.

Napięcie mięśni przeszło w mocny spazm, który wykręcił ciało do samych koniuszków palców, z chrząstwą wywinął stawy, rozdarł żyły, pozginał kości i zmiął chrząstki. Zamienił mnie w jeden kłębek bólu z zamkniętym w przetapiającym się gardle krzykiem. A do tego lepkie, zwierzęce i wszechogarniające przerażenie z braku powietrza i niemożliwości wykonania wdechu... Po raz tysięczny i za każdym razem na nowo ostatni...

Klatka piersiowa drgnęła, parę razy poruszyła się konwulsyjnie, przyzwyczajając do nowego położenia żeber i mięśni, po dym wznosiła rytmiczny ruch.

Przełknęłam, uniosłam pysk i omiotłam przybudówkę ciężkim spojrzeniem fosforyzujących ślepi. Wałach z irytacją uderzył kopytem, kotka syknęła, odwróciła się zgrabnie i zniknęła w mroku. Za to Majka ze smakiem podrapała bezrogim łbem o ścianę, przymknęła oczy, w skupieniu przetoczyła w gardle grudę trawy i zaczęła rytmicznie poruszać szczękami. No, wilkołak. I co z tego? Nawet się wygodniej trafia, bo duży i kudłaty! Mało tego, paskuda jedna naprawdę korzystała z każdej okazji, by mnie ubodnąć...

Przez chwilę kręciłam się w miejscu, pozwalając ciału i rozumowi przypomnieć się sobie nawzajem. Kolory, które w nocy i tak nie były specjalnie wyraziste, całkiem straciły na znaczeniu. Zapachy odwrotnie, nabierały coraz większej głębi i wyrazistości, lawinowo dzieląc się na części składowe, a wilkołacze uszy z ciszy wyluskiwały coraz to nowe dźwięki: od dalekiego skrzypienia zaśnieżonego świerku, po szelest grzebiącej w słomianej strzesze myszki.

Ale mmm, jak tu smakowicie pachnie...? Z trudem stłumiłam chęć padnięcia na bok i z zadowolonym warknięciem przeturlania się po worku, by sierść nasiąknęła wydzielanym przez niego aromatem. Ej, to już przesada! Nie powinnam się zniżać do poziomu zwykłego kundla.

Stałam na tylnych łapach i nosem uniosłam haczyk, po czym złapałam zębami worek i lekko wyskoczyłam na śnieg.

Obejrzałam się na chatę, ironicznie postawiłam uszy i otworzyłam paszczę, by ze smakiem oblizać pysk. Okienko natychmiast się zamknęło, szurnęła zasłonka na sznurku. Hehe, jakby to mogło pomóc...

Zewnętrzne zamknięcie sprawiło więcej problemów. Zanim trafiłam haczykiem w pętelkę prawie przymroziłam do niego język. Już ze sto razy miałam zamiar zamontować normalną zasuwę, którą przynajmniej można przesunąć łapą! Trzeba będzie jutro zlecić to zadanie szczeniakowi. A jak się zacznie krzywić, to mu przypomnę o stłuczonym kubku. I miskach. Nie mówiąc o tym, że jedna łyżka też gdzieś zniknęła...

Z rozpędu przesadziłam płot i z nadmiaru zapału (zupełnie jak pies, który się zerwał z łańcucha!) kilka razy wysoko podskoczyłam, następnie jak po sznurku, ruszyłam prosto przez las. Ciekawostka, zarówno poduszeczki łap jak i ludzkie pięty pozbawione są owłosienia, czułe, ale tym pierwszym lód tylko dodaje energii, a futro mimo że się rozwiewa, to zachowuje ciepło znacznie lepiej, niż najdroższa kurtka.

Przedwczoraj w naszych okolicach pojawił się cieplejszy wiaterek z południa, który nadgryzł zasy i udekorował dachy soplami, ale już po kilku godzinach został haniebnie wygnany przez mrozy, które rozstrożyły się po trzykroć mocniej. Teraz o przelotnej wizycie ciepłego zefirka przypominała tylko gruba warstwa szreni, bez trudu wytrzymująca mój ciężar. Z rozświetlonego księżycowym blaskiem nieba, zasnutego kudłami chmurki spływały rzadkie skierki śnieżynki. W odległości około wiorsty na zachód smętnie nawoływały się zaganiające łosia wilki. Dobrze trafiły na pogodę, po ociepleniu i przymrozkach polowanie na większą zdobycz to sama przyjemność - oblodzony śnieg utrzyma drapieżnika, ale pod ofiarą się zapada. Ja też powinnam nieco odnowić zapasy, ale dzisiejsza noc przeznaczona była na inną, nie mniej atrakcyjną zabawę.

Przy pułapce nie zmieniło się absolutnie nic. Równy placyk szeroki na pół sążnia w otoczeniu śniegowych wzgórków, nawet łańcuch leżał wygięty tak samo jak poprzednim razem, tylko pokrył się białym szronem.

Aktywacja ciepłem ofiary, tak?

Zatrzymałam się w odległości jakichś trzech-czterech kroków, pokręciłam w miejscu, wydeptując sobie wygodne gniazdko. Następnie zwinęłam się w kłębek dookoła worka i cierpliwie odczekałam, aż przestał wydzielać zebrane po drodze zimno, po czym bez ceregieli pazurami rozerwałam wylot, złapałam zębami za dno i gwałtownie potrząsnęłam łbem.

Wrony wykonały zgrabny łuk i z cichym plaśnięciem zniknęły. Z zadowoleniem wyszczerzyłam zęby, na wszelki wypadek odbiegłam na bok i schowałam się za stertą zaśnieżonego chrustu. Leszy je wie, te teleporty - zwykłych drzwi można użyć zarówno do wejścia, jak i do wyjścia!

Ale ostrożność okazała się zbyt duża, mój „prezencik” nie wyleciał z powrotem, ani nie pojawił się przeklinający, zaciskający nos mag. Dla pewności odczekałam z pół godziny, po czym odwróciłam się i powolnym truchtem ruszyłam przez rzadki świerkowy las, którym po jakichś dwustu sążniach dotarłam do drogi prowadzącej w kierunku Wysiedliska. W świetle księżycy wydawała się korytem lśniącej niebieskawo zamarzniętej rzeki. Nad lodem przejrzystymi falami kłębiła się śnieżna mgła. Pobiegłam przez nią jak przez dym, z całego serca współczując biedakowi, który będzie miał pecha spotkać mojego niby-ducha. Nawet nie zdążyć podbiec i przeprosić go za kłopot, bo padnie trupem w miejscu!

Koło miasta zboczyłam z drogi, mimo że dokładnie tak jak się spodziewałam strażnicy nie mieli najmniejszej ochoty przez całą noc sterczeć na mrozie i natychmiast po wieczornej kontroli dowódcy schowali się przed niepogodą w budce. Tak więc do rana na straży Wysiedliska miał stać wyłącznie męzny strach na wróble, wykonany ze starej kolczugi i zapasowego hełmu, z włącznią w ręce zrobionej z miotły.

Oczywiście brama była solidnie zamknięta od wewnątrz, ale nie miałam zamiaru do niej pukać. W ludzkiej postaci strażnicy wpuściliby mnie natychmiast, jak jednak wytłumaczyć, czego szukam w mieście po północy? Nawet jeśli udałoby mi się wymyślić jakąś udaną historyjkę, warta zapamięta tak dziwną wizytę. I jeśli ktoś zapyta, czy na ich zmianie nie wydarzyło się przypadkiem coś podejrzanego, przypomniał sobie o niej w pierwszej kolejności.

Z zadartym pyskiem ruszyłam wzdłuż muru, szukając najbardziej sympatycznej kombinacji wgłębień i sterczących kamieni. Aha, ta „drabinka” nada się jak najbardziej. Skok! Przycisnęłam brzuch do pionowej ściany na wysokości jakiegoś sążnia nad ziemią, rozciągnięta pomiędzy czterema kamieniami jak wielgachny kudłaty pajak. Potem ostrożnie oderwałam od ściany prawą tylną łapę, namacałam kamyk sterczący dwie piędzi wyżej, mocniej ścisnęłam go hakami pazurów, odepchnęłam się i wyrzuciłam do przodu lewą przednią...

Ludzie gadają, że kiedyś w zimie mury były oblewane wodą. A w dzisiejszych czasach nawet nie fatygowali się pozatykać szczelin. Tak więc sami są sobie winni.

Dotarłam na szczyt i zajrzałam przez krenelaż, a dopiero potem przelazłam na drugą stronę muru. Oczywiście nie pojawiały się tu żadne patrole, śnieg leżał na wysokość pasa. Powinny stać tutaj drabiny, ale ludzie w Wysiedlisku, jak zresztą w każdej większej ludzkiej osadzie, lubili zaopiekować się „bezpiecznymi” przedmiotami, więc inwentarz oblężniczy przetrwał wyłącznie koło bramy, po jednej sztuce z każdej strony. Z góry doskonale widziałam ogień, płonący w strażniczej budce, dolatywały nawet urywki rozmowy:

- ...ny, wczoraj nad ranem zno...
- ...no zrobiło, bo takie stra...

Dalej nie usłyszałam już nic, gdyż po uszy zapadłam się w zaspę pod murem. Wyszło trochę zbyt głośno, zleżały śnieg protestująco skrzypnął i chrupnął, boleśnie obijałam sobie łapy. Zresztą wszystko miało swoje jasne strony - z bardziej puchatej zasy nie wylazłabym tak po prostu, musiałabym zrobić podkop.

Otrząsnęłam się i wyprychnęłam włączając w nozdrza śnieg.

- ...mówi, że doszedł do połowy muru i go nagle pomiędzy łopatkami zaświerzbiało, jakby czyjeś niedobre spojrzenie. Nie wytrzymał, obejrzał się, ale nik...  
-...cież ci już od bitych godzin o tym opowia...

Może powinnam dla żartu podeprzeć drzwi kłodą? Dopiero by poranna zmiana miała używanie... A gdyby jeszcze wiedzieli, kto im zrobił takie świństwo...?!

Ale nic to, nie będziemy tracić czasu na takie drobiazgi! Przytuliłam się do ziemi i schowałam w najbliższym cieniu płotka. Domy na obrzeżach Wysiedliska były przeważnie proste - drewniane jak wiejskie chałupy, tyle że bez ogródków.

Ot, podwórko z jakimś krzaczkiem czy grządką i tyle. Bliżej głównego placu budynki zaczynały tulić się do siebie bokami, kamieniały i wyciągały w górę na dwa lub trzy piętra, tworząc wąskie poplątane uliczki, po których nocą lepiej było nie chodzić bez miecza albo zestawu kłów.

W sąsiednim domu zaczęła przenikliwie ujadać jakaś drobna psina. Z rozkazu naczelnika miasta od zeszłego roku w Wysiedlisku pozwalano na trzymanie wyłącznie psów łańcuchowych i pokojowych piesków, która to przyjemność była solidnie opodatkowana. Swobodnie włóczące się po ulicach psy, nawet jeżeli wyglądały na rasowe i miały na sobie obroże podlegały natychmiastowemu łapaniu i likwidacji. Bardzo to słuszny rozkaz, bardzo... Chociaż dziwny. Już w miesiąc po jego ogłoszeniu populacja pomroki w mieście wzrosła trzykrotnie, a ona atakowała znacznie częściej niż bezpieczne kundły i oprócz zwykłych chorób roznosiła też magiczne. Z jakiegoś powodu rozkaz nie mówił nic o kotach. Może naczelnik po prostu był uczulony na psią sierść?

Tak czy siak, z głębi serca mu podziękowałam i bez przeszkód zbadałam pierwszy dom, w skupieniu obwąchując drzwi, okna i piwniczne okienko. Pies łańcuchowy bał się dać głos, doskonale świadom faktu, że w razie czego nigdzie nie ucieknie właśnie z powodu łańcucha, więc siedział w budzie i udawał, że go wcale nie ma. No tak, tu wszystko w porządku. Ale też nie spodziewałam się, jak to mawiają w zachodniej Belorii „upalować smoka z pierszago streru”.

Dwa następne domy ominęłam. W jednym mieszkała wdowa z trójką dzieci, w drugim



stareńki dziadek i krasnolud, który wynajmował od niego pokój. Doskonale znałam ich wszystkich - byli zwykłymi ludźmi i nieludźmi. Tak więc nie było najmniejszego powodu, by marnować czas, którego i tak w najlepszym razie starczy mi tylko na sprawdzenie połowy miasta. Ale za to ponurą willę kupca Błygi, dookoła której również za dnia często kręciły się jakieś podejrzane typki, obwąchałam szczególnie uważnie. Znalazłam jednak wyłącznie schowek z winami z przemytu.

Po dwóch godzinach byłam pewna, że przez zachodnie przedmieścia moje wrony nie przelatywały. I co teraz, sprawdzać wschodnie czy wejść w głąb miasta? Było oczywiste, że nie dam rady obejrzeć wszystkich domów, czyli powinnam wybrać te bardziej obiecujące. Pchanie się do dzielnicy biedoty nie miało sensu, bo tam dawało się schować cokolwiek, ale przed władzami. Przed sąsiadami natomiast... No dobra, żeby nie wracać tą samą drogą, przetnę miasto na przełaj, obejrzę sobie kamienice w centrum, potem peryferie i natychmiast przeleżę przez mur.

Nie przepadałam za chodzeniem po nocnym mieście, szczerinie na czterech łapach. Przypominało uśpiony wrogi obóz, w którym każdy żołnierz może przypadkiem otworzyć oczy i wszcząć alarm. Położyłam uszy po sobie i z obawą, na pół zgiętych nogach przekradałam się wzdłuż murów, nie zapominając o starannym węszeniu. Mało prawdopodobne bym latem zdołała odnaleźć tu cokolwiek, ale mróz skutecznie zacementował zawartość kanałów ściekowych, więc zapachy ulicy praktycznie mnie nie rozpraszały.

Byłam tak skupiona na wachaniu, że jakoś kompletnie umknęło mi, że zasadniczo w nocy miasto powinno być cichsze, niż za dnia. Co prawda hałas narastał stopniowo i ze wszystkich stron, ale w żadnym razie nie tłumaczyło to mojej niedbałości. Tyle dobrego, że akurat znajdowałam się na środku długiego wąskiego zaułka ze ślepyimi ścianami, więc gdy zobaczyłam na jego końcu dziwny pochód, gwałtownie wyhamowałam i przypadłam do ziemi, udając cień.

Czyżbyśmy mieli dziś jakieś święto? Zaułek mijali coraz to nowi ludzie, po murach i bruku tańczyły odbłaski pochodni. Przecież ich tam była przynajmniej setka! I to nie tylko ludzi, w tłumie widać było niskie figury krasnoludów, zwinnie poruszające się elfy oraz masywne postacie trolli. Wystarczy dodać, że mieszczanie mieli, łagodnie mówiąc, niezbyt przyjazne wyrazy twarzy. Ciekawe, co wyгнаło ich z łózek?

Niestety, nie udało mi się wpaść na dobry powód, by rozpocząć niezobowiązującą pogawędkę. Pojawił się sam, gdy przypadkowo rzucone w zaułek spojrzenie napotkało równie przypadkowy odbłysek moich oczu.

- Aaaaa!!! Tam jest!!!

Po sekundzie wahania tłum wlał się w uliczkę jak woda do dziury w tamie!

Bez namysłu zawróciłam i rzuciłam się do ucieczki. Jeśli muszę, to potrafię gadać również w biegu, ale wątpliwe, by za ciekawymi rozmówcami giano z tak wściekłymi wrzaskami, a w dodatku potrząsając wszelakimi kłującymi i tnącymi przedmiotami!

U wylotu zaułka rozpędziłam się tak bardzo, że ledwo pokonałam zakręt. Długa, prowadząca w dół ulica miała tylko jedną wadę: dwójkę rycerzy z ochrony świątynnej, którzy wyskoczyli nie wiadomo skąd i całkowicie zagrodzili przejście. A oni czego tu szukali? Przecież świątynia jest na drugim końcu miasta!

Rycerze z brzękiem zbroi stanęli bok przy boku, wystawiając przed sobą miecze. Ze szczelin wyciągniętych do przodu przyłbic unosiły się bojowo obłoczki pary, co kojarzyło mi się z dziobkami czajników wypełnionych wrzątkiem.

Doceniłam ich odwagę oraz długość mieczy i uczciwie postarałam się wyhamować, ale oblodzony bruk okazał się niezbyt dostosowany do takich manewrów. Wypuszczone pazury tylko pogorszyły sprawę, niewiele spowalniając poślizg, ale za to dopełniając go przenikliwym paskudnym zgrzytaniem.

No dobra, gorzej już i tak nie będzie! Nastroszyłam futro, robiąc się niemal półtora razy większa, a gdy do rycerzy pozostały mi już tylko jakieś dwa sążnie, uniosłam się na tylnych łapach i otworzyłam paszczę w połączeniu ryku i dzikiego rechotu, który mnie samą zaskoczył, odbijając się echem od ścian domów.

Panowie spojrzeli po sobie i doszli do wniosku, że tak pewny siebie potwór musi być niewrażliwy na zwykłą broń. Po co więc podejmować próby z góry skazane na porażkę?!

Niestety, oblodzony bruk nie rozróżniał zakłócających porządek od pilnujących tegoż. Rycerze zawierzgali jak dwie wiewiórki zamknięte w kołowrotkach i nie zdążyli mi uciec z drogi. Zwaliałam ich jak wielgachne żelazne kręgle, rozrzuciłam na boki i wyjął dalej, teraz już z przerażenia, ruszyłam w dalszą drogę, cały czas zwiększając prędkość.

Pod koniec zjazdu boskie moce, które uprzednio jakimś cudem zdołały utrzymać mnie w pozycji pionowej uznały, że umywają ręce, a ja padłam na grzbiet, łapami ku górze. Pewnie w ten sposób, siłą rozpędu przejechałabym całutki plac, ale udało mi się wyhamować - co prawda niezbyt komfortowo na jego środku. Ostatecznie posąg „elf z łukiem” i tak nikomu z miejscowych się nie podobał! Szczególnie elfom. Ale za to postument ocalał, więc postawią na nim jakiegoś „Krasnoluda z toporkiem” czy innego „Trolla z kiścieniem”, bo przecież nie będą z powodu takiego drobiazgu przemianowywać Placu Braterskiego!

Niegrabnie przewróciłam się na brzuch, zebrałam do kupy i chwiejnie ruszyłam dalej, kulejąc na obolałych poduszeczkach tylnych łap. Krzyki za plecami (a raczej ogonem) nie cichły. Przeciwnie - stawały się coraz głośniejsze i bardziej agresywne. Gorzej, teraz wtórowały im identyczne, dolatujące z lewej strony i od tyłu, co prawda bardziej oddalone. Cisza po prawej budziła jeszcze większy niepokój, kojarząc mi się z oblawą na wilki, zaganiaczami i strzałkami. Nad karmazynowymi dachami domów unosiła się zorza od świateł pochodni - wyglądało na to, że do nocnego polowania powoli dołączało całe miasto.

Sapnęłam hałaśliwie i z pretensją spojrzałam w niebo, nie tyle mając nadzieję, że zawstydzę paskudne bóstwa, które do tego stopnia robiły mi na złość, ile próbując ocenić, jak wiele czasu pozostało do świtu. Parę godzin, ale mało prawdopodobne, by panika uspokoiła się przed wschodem słońca. Oczywiście, że nie uda mi się wydostać z Wysiedliska, a próba przyczajenia się na pustym strychu czy w piwnicy była ryzykowna, ponieważ rozgorączkowany tłum w pierwszej kolejności sprawdza właśnie takie miejsca.

Z drugiej strony, po kiego grzyba się chować? W końcu miałam jeszcze jeden wariant do wyboru i najważniejsze, by zdążyć tam przynajmniej pięć minut przed przybyciem prześladowców. Zdecydowanie otrząsnęłam futro, skręciłam za róg, chwilę pokluczyłam po znajomych wąskich uliczkach i wyskoczyłam z bramy na wprost znachorskiego kramu. Na drzwiach wisiała ogromna kłódka, ale roztargniony właściciel zwykle zostawiał zapasowy klucz w niewidocznej od dołu szczelinie nad futryną.

Cofnęłam się w mrok bramy, przysiadłam na tylnych łapach i przycisnęłam grzbiet do muru. Zamknęłam oczy. No już...

Zmiana z powrotem była prostsza i szybsza. Szczególnie po północy.

...ale znowu - jakby to był ostatni raz.

Nie, jednak przedostatni!

Tu jeszcze nie dotarła panika, okiennice były szczelnie zamknięte, oddając honory przesądom na temat wampirów i mroczników, jak również z powodu zwykłego mrozu. Moglibyście łaskawie poczekać jeszcze chwileczkę, co?! Stałam na palcach, drżącą ręką pomacałam nad futryną i już miałam wpaść w przerażenie, gdy w samym rogu wyczułam klucz. W chwili, gdy podrdzewiały kawałek metalu nareszcie dał się wepchnąć do dziurki, moje palce straciły jakiegokolwiek czucie. To, że udało mi się przekreślić złośliwy przedmiot, potwierdziło tylko ledwo słyszalne szczęknięcie i odskakujący skobel.

Wyciągnęłam z pętli zmarzniętą, lepiącą się do dłoni kłódkę i mimo pośpiechu wyjątkowo powoli, ostrożnie nacisnęłam wymyślną klamkę, zrobioną z powyginanego korzenia. Ledwo słyszalnie odezwał się dzwonek nad drzwiami, a w głębi zaszeleścił napinający się sznurek. Wsunęłam rękę w powstałą szczelinę, rozbroiłam pułapkę (a przynajmniej miałam na to szczerą nadzieję ustawioną naprzeciwko drzwi kusza w trakcie prób przebijała drewnianą tarczę na wylot) i boczkiem wślizgnęłam się do środka.

Gdy już zatrzasnęłam drzwi i zasunęłam zasuwę, usłyszałam z zewnątrz tupot wielu nóg.

Nie, to jeszcze nie był motłoch, jak uznałam w pierwszej chwili, w przypiływie strachu. Zaledwie trzy osoby, które tupały jak trolle i dzwoniły kolczugami jak setka na wpół pustych sakiewek z miedziakami. Strażnicy bez ceregieli załomotali do drzwi sąsiedniego domu, a gdy

szczęknęło otwierane okienko, zaczęli głośno i z irytacją żądać, by natychmiast wpuszczono ich do środka, w celu dokonania rewizji.

W tym momencie załomotano w okiennicę! Natychmiast zapomniałam, że miałam zamiar zsunąć się wzdłuż ściany oraz chwilę pod nią posiedzieć i zaczęłam miotać się po warsztacie. Jednym szarpnięciem otworzyłam jedną z wiszących szafek i zgarnęłam tyle flaszek, ile zdołałam złapać za jednym zamachem. Zwaliłam je na stół, wyrównałam poprzewracane. Zębami odkorkowałam ciemną butelkę i wylałam do moździerza gęstą kroplę, która natychmiast zaczęła dymić. W powietrzu rozniósł się ostry zapach mięty i przypraw, a mój żołądek powędrował w kierunku gardła. Nie cierpię pachnideł z wysp, ale z jakiegoś powodu klienci są przekonani, że im bardziej specyfik śmierdzący, tym skuteczniejszy. Nawet doprawiona tym paskudztwem woda sprzedawała się w dziesiątkach flakonów, mając szaloną popularność wśród historycznych panien, które po pięć razy na dzień udawały omdlenia.

No dobrze, teraz tylko odsunąć osłonkę pieca, gołą ręką pośpiesznie rozgrzebać kupkę nadal gorejących w środku węgla, podstawić ogarek świecy i dmuchnąć na żar. Kram rozświetlił się najpierw niepewnym i kołyszącym się, a potem jaskrawym i równym światłem dwóch olejowych lamp.

I już!

Drzwi zadrżały pod mocnymi ciosami, które przypominały łomot taranu. No już, już, zaraz. Tylko na wszelki wypadek spojrzę w lust....

Idiotka!!!

Zgarnęłam z krzesła roboczy chałat i narzuciłam go bezpośrednio na gołe ciało. Gruba lniana materia, nie widać pod nią czy mam koszulę czy nie. Zerwałam owiniętą dookoła szczotki szmatę, która jeszcze zachowała niewyraźne podobieństwo do moich starych spodni. Oj tak.... Bardzo niewyraźne... a zresztą, kto się im będzie w półmroku przyglądał?!

Natarczywe pukanie zmieniło się w *bardzo natarczywe*. Drzwi uginały się jak zrobione z pergaminu. Czym oni w nie walą - buławą, czy jak?! A przecież nie mogą nie otworzyć jak na zewnątrz nie ma kłódki!

- Kto tam? - odezwałam się delikatnym głosikiem, po omacku wygładzając włosy i zaplatając je w warkocz. Olać urodę, byle tylko nie stały dęba!

Walenie natychmiast ucichło, a za drzwiami ktoś pozwolił sobie na westchnienie ulgi.

Panno Szeleno, proszę otworzyć! To straż miejska, sprawdzamy wszystkie domy!

- A co się stało? - Lewy but uciekał spod nogi jak żywy, **W** końcu musiałam pochylić się i nasadzić go ręką.

Jakaś pomroka się kręci po mieście, rzuca na uczciwych ludzi! Tej nocy trójkę rozszarpała na strzępy, a przed kwadranssem widzieli ją na sąsiedniej ulicy!

- U nas chyba wszystko w porządku... - mruknęłam ze zdziwieniem, lecz jednak otworzyłam drzwi jako uczciwa obywatelka, pałająca chęcią, by w miarę możliwości wspomóc ukochaną straż. Ale kogo ja niby rozszarpałam, co? Nic, tylko mieć nadzieję, że to nadal jeszcze wiatr w panieńskiej głowie hula, a nie starcza skleroza!

W progu stał wysoki, barczysty strażnik w groźnie nasuniętym po same brwi hełmie i z obnażonym mieczem w garści. Za jego plecami majaczyła kolejna dwójka. No tak, przy takich pięściach w kolczych rękawicach żadna buława nie jest potrzebna!

- A co pani robi w nocy w kramie szanownego zielarza?

Strażnik podejrzliwie zmrużył oczy. Hm, on mnie zna po imieniu, a ja kompletnie go sobie nie przypominam. Chociaż, znajomy zapach... Pewnie któryś z klientów.

Cofnęłam się i wykonałam szeroki gest ręką:

- Jak panowie widzą, pracuję.

Strażnik przekroczył próg i zatrzymał się, zauważalnie stremowany znachorskim wystrojem oraz zapachami. Jeden z jego kolegów, z braku zajęcia spacerujący tam i z powrotem przed gankiem, również wsadził głowę do środka.

- Tam, tam jest paskuda! - wydarł się niespodziewanie, pokazując mieczem coś za moimi plecami.

Ze zdumieniem zerknęłam do tyłu.

- Weź nie machaj mi przed nosem tym żelastwem! - Pierwszy strażnik z irytacją odepchnął przestraszonego towarzysza łokciem. - Durniu jeden, to przecież jest truchło! Ono w tym kramie stoi odkąd pamiętam!

- No to co że stoi, ale ślepie mu wcześniej tak nie gorzały!

- To może go panowie skonfiskują na wszelki wypadek? - zasugerowałam z nadzieją, ponieważ właściciel już kilka razy robił aluzje: czy by może nie zabrać bazyliuszka do taksydermisty w celu odnowienia? Mówiąc „my” miał na myśli mnie i Dymka, więc w odpowiedzi ograniczałam się do niewyraźnych prychnięć. A tu może się zagubi w miejskim składzie i tyle go widzieli...?

Strażnik przyjrzał się dłużej na arszyn jaszczurce na grubaśnej podstawie i coś niezrozumiale mruknął. No i wszystko jasne.

- Czyżby pani się za dnia dość nie napracowała?

- Niektóre specyfiki przygotowywane są przez kilka dób i wymagają ciągłego mieszania i pilnowania. W przeciwnym razie wynik będzie bardzo daleki od spodziewanego - poinformowałam go z wyższością.

Na ślepo zgarnęłam z półki jeden z flakoników i majestatycznym gestem wpakowałam go pod nos strażnika. Przykład okazał się całkiem efektywny - w kwadratowej flasce przez mętny roztwór prześwitywała spuchnięta ząba o wytrzeszczonych ślepiach.

Strażnik spojrzął na „specyfika” i nabrał zadziwiającego podobieństwa do jego podstawowego składnika.

- Dziękuję bardzo, panno Szeleno - wydukał, odwracając się w pośpiechu i machając na kolegów. - Dobra chłopaki, tu jest czysto, idziemy dalej!

„Zapraszamy ponownie!” - omalże nie rzuciłam odruchowo. Zielarz chyba właśnie nieodwracalnie stracił jednego klienta.

Strażnicy załomotali do sąsiednich drzwi. Już zamierzałam zamknąć swoje, ale w tym momencie po przeciwnej stronie ulicy zobaczyłam znajomy tłum. Na widok strażników ludzie zatrzymali się i zaczęli podniesionymi głosami dopytywać, gdzie podział się potwór, wymieniać komentarze z wyglądającymi przez okna gapiami i po prostu gadać.

Ja również musiałam zaprezentować zachłanną ciekawość, tym bardziej, że w tłumie zobaczyłam kilku znajomych i trzaskanie drzwiami przed ich nosem byłoby nie tylko nieuprzejme, ale też dziwne.

- Hej, Karście, co tu się dzieje?

Zachmurzony krasnolud przepchał się bliżej ganku. Przy jego pasie zwisał srebrny sztylet, a w rękach ścisnął topór bojowy.

- Ot tamto ścierwo śledzące, ot co! - ryknął. - Już do miasta dotarło, zagryzło dwóch chłopca przy winiarni, wątroby im wyżarło i uciekło. A po kolejnej godzinie wdarło się wprost do karczmy pod mostem, tam ze dziesięć osób siedziało. Jednemu podgryzło gardło i nawiało przez okno, rozwalilo ramę razem z okiennicą! Szalone musi być, no bo jak inaczej! Pozostali zawołali straż, wysłali gońca do świątyni i zaczęli zbierać tłum!

Gwizdnęłam. A to już faktycznie było ciekawe! Czyli po prostu trafiłam w cudzy młyn? Koło winiarni... Czyli weszliśmy do miasta prawie jednocześnie, ale od przeciwnych stron. No cóż, powinni jednak te mury oblewać wodą i lód na nich hodować... Ale cóż to takiego mogło być? Czyżby znowu mój trójłapy znajomy?!

- A jak potwór wyglądał?

- Heh, jak zobaczysz to z niczym nie pomylisz! - zarechotał krasnolud nerwowo. - Paszcza jak moja ręka, gały się świecą na zielono. Stwora ogromna, kudłata i mówią, że jak kłęb mgły - ni to jest, ni to jej nie ma, rzuciła się przez karczmę i zniknęła, nikt nawet nie dojrzał w szczegółach!

No i masz babo placek... Ze wszystkich rzeczy kudłak był najmniej podobny do kłębu mgły. Chociaż doścignięcie spojrzeniem atakującej pomroki faktycznie było trudne, człowiek potrzebował do tego sporego doświadczenia i mocnych nerwów maga bojowego. Ale żeby dziesięciu świadków pomyliło czerwone oczy z zielonymi...? Nie, to musiało być coś innego.

Tymczasem tłum podjął decyzję, wylał się do sąsiedniego zaułka i potoczył dalej. Strażnicy

z kilkoma ochotnikami przeszukiwali kolejne domy.

- Szeleno, ty weź się zarygluj porządnie! - krzyknął Karst na pożegnanie. - Podeprzyj miotłą okiennicę, drzwi zastaw stołem! I jakby co, to krzycz jak najgłośniej!

- Jak najbardziej! - Mając oficjalne pozwolenie, w końcu zamknęłam drzwi. Oczywiście nie zamierzałam ruszać stołu, ale zamknęłam zasuwę i nałożyłam łańcuszek.

W sumie naprawdę powinnam przygotować jakiś specyfik, żeby wytłumaczyć zielarzowi moją obecność jeśli bladym świtem przybiegnie sprawdzać, czy wszystko z jego kramem w porządku. Podczas takich „świąt ludowych” różnie bywa - komuś się będzie wydawało, że słyszy jakiś szelest wewnątrz i jeszcze pochodnią na dach rzuci...

Nie ma co, trafiłam jak śliwka w kompot...

## Rozdział 3

Właściciel pojawił się w pracy nawet później niż zwykle, ale i tak spojrzał na mnie jak na ducha.

- Szeleno?! Co tu robisz, przecież miejska brama jest od wieczora zamknięta?!

Wzruszyłam ramionami.

- Tyle że ja przez nią nie wychodziłam.

Razem ze znachorem do kramu wleciała chmurka śniegu - o świcie na dworze zaczęła się całkiem konkretna zamieć. I dobrze, zatrze moje ślady w lesie i pod murem, a w mieście Już skutecznie je zdeptano.

- Ale przecież sam zamykałem kram!

- No właśnie - odezwałam się burkliwie, nie odrywając spojrzenia od mieszanego płynu w płaskim naczyniu nad trójnogiem. - Człowiek na chwilę wyskoczył do studni po wodę i już kłódka wisi!

- Przecież nie uprzedziłaś, że jeszcze wrócisz - sumitował się właściciel. - I co ci w ogóle wpadło do głowy, żeby tu nocować?

Podniosłam łopatkę, za którą ciągnęły się ciężkie brązowe nici. Jeszcze kilka minut i będzie można specyfik zdejmować z ognia.

- Już się zbierałam do wyjścia kiedy mnie klient złapał w prog. Namówił żeby mu na rano przygotować placki z dzięgielu i smoczego korzenia. - I jak gdyby od niechcienia dla dodania powagi swoim słowom „przyznałam się”. - Obiecał podwójną stawkę.

- No tak... - Zielarz, stukając palcem po blacie, obszedł mnie dookoła, sceptycznie zajrzał do naczynia i niespodziewanie ryknął mi w samo ucho:

- Szeleno, kogo ty próbujesz oszukać? Myślisz, że nie wiem, gdzie cię mrakobiesy noszą po nocach?!

Jakby mi z kuszy strzelił prosto w twarz.

- A gdzie, pana zdaniem? - spytałam martwym głosem.

Właściciel groźnie potrząsnął mi przed nosem sękatym palcem.

- Masz romans z kimś z miasta i latasz do niego, a może nawet sprowadzasz tego lubieżnika do mojego kramu!

- Ale... - wyrwał mi się nerwowy chichot. Właściwie, dlaczego nie? Jestem młodą dziewczyną i taki pretekst wygląda znacznie bardziej prawdopodobnie, niż jakieś tam eliksiry. - Nieprawda, nikogo tu nie sprowadzam! A nawet jeśli, to co panu do tego?

- Aha! - ucieszył się zielarz. - Czyli jednak masz kogoś! I kim on jest, biedaczysko?

W milczeniu złapałam naczynie przez ręcznik i przestawiłam na parapet, by lekko ostudzić - ze szczeliny pod ramą wiało chłodem, mimo że była uszczelniona. Właściciel wygłosił natchniony wykład o obyczajach współczesnej młodzieży, którego nie komentowałam, ale też i nie zaprzeczałam, ostatecznie potwierdziwszy jego podejrzenia odnośnie nocnych imprez, co wprawiło go w doskonały humor. Cichutko pogwizdując usiadł przy drugim stole, by wypełnić księgę przychodów i rozchodów.

Dotknęłam palcem smolistej masy w naczyniu, uznałam, że już się nie sparzę, po czym szybko ulepiłam z niej pół setki płaskich tabletek. Jeżeli nie znajdę nikogo, komu mogłabym je sprzedać, po prostu wysypię w śnieg w drodze do domu i rozliczę się z właścicielem z własnej kieszeni.

Uznajmy to za zapłatę za moją nocną tępotę.

Drzwi skrzypnęły, po czym otworzyły się do połowy, ukazując obciążony futrem tyłek.

Pochylony przód zajęty był dwiema wypchanymi torbami, które nie zostały wypuszczone z zachłannych rąk nawet w celu naciśnięcia klamki. Sądząc z oznak, Szaliska odwiedziła nas w drodze powrotnej z targu.

Babka z trudem precyzyjnie się przez odrzwia, zwała swój łądunek na podłogę, wyprostowała się ze stękaniem, po czym odwróciła w moim kierunku rumianą twarz z lśniąco oczyma. Miasto stało na uszach, zalane plotkami, jedną dzikszą od drugiej, i Szaliska uctowała na nich jak sęp, który dorwał się do zdechłego smoka.

- Słyszeliście?! - zaczęła od progu. - Ot co za koszmary się dzieją! Już w samymto środku miasta nie ma ci ratunku przed kudłakami! Człowiekowi nic nie zostaje jak tylko nosa nie wysciubiać na ulicę!

„A niechby ktoś spróbował cię w domu zatrzymać - pomyślałam chmurnie. - Biedak potem musiałby pół roku pracować na nasze specyfiki!”

Dlaczego koniecznie kudłak, czyli wilkołak? Nie strzyga, mrugoń czy inny potwór z bagien? Z mojego powodu? Ale przecież tamtego stwora również widziało całkiem sporo ludzi i to w dobrze oświetlonej karczmie, a nie kątem oka w zaułku...

Babka nie marnowała czasu na pytanie, tylko wygodnie usadowiła się na krześle i znachor nie miał innego wyboru jak zaproponować jej herbatę i z pół tuzina obwarzanków, które już od miesiąca poniewierały się w szafce. Ale Szaliska nawet nie rozważała odmowy. Jednego starannie podtapiała w kubku, a pozostałe powoli acz pewnie po jednym przeniosły się do jej kieszeni. Zresztą, nie bardzo miała kiedy jeść - usta nie zamykały się jej nawet na chwilę.

Słuchałam nawet nie półuchem, tylko jedną dziesiątą. Przy takim mnożniku ilość ofiar i będących skutkiem polowania strat w rodzaju kamienia, który zleciał komuś na nogę czy pobitego pijaczyny, którego współobywatele zobaczyli na czworakach i w wilczym futrze, przynajmniej grubsza odpowiadała rzeczywistości. Z drugiej strony w plotkach przemknęło trochę pożytecznych informacji - na przykład taka, że miejska brama już od godziny była otwarta, choć zarazem podwojono stojącą przy niej straż.

- Czyli jednak złapali tego kudłaka? - zdziwił się zielarz.

- Nie, nawiał był... - przyznała babka z krwiożerczym smutkiem. - Ale za to dowiedzieli się, kto zaczął!

A raczej znaleźli kozła ofiarnego. Ciekawe kogo? Szaliska tylko czekała, aż pytająco podniosę na nią oczy.

- Pamiętasz ty tego czarodzieja o białych ślepiach, co mieszkał ci na skraju miasta? Od razu mi się nie spodobał był, od pierwszej już chwili, jak go na naszej ulicy zobaczyłam tamtej wiosny! Jeszcze wtedy sąsiadce powiedziałam: „Ty Szczupiszno pamiętaj moje słowa, jeszcze przez niego zapłacemy!” No i wyszło na moje!

Oho! Ponownie wbiłam spojrzenie w moździerz, żeby nie roześmiać się babce w twarz.

Oczy Weresa były jak najbardziej zwyczajne, szaro-niebiesko-zielone. Czasem jasnoszare, a czasem szaroniebieskie. Któregoś słonecznego dnia stały się nawet prawdziwie błękitne. Ale w połączeniu ze smagłą skórą i czarnymi włosami faktycznie wydawały się przezroczyste jak woda z jeziora. Dla czarodzieja jak znalazł. A teraz okazuje się, że dla „kudłaka” również.

Ciekawe co i do kogo rzekła Szaliska po pierwszym spojrzeniu na mnie? Na pewno się zabezpieczyła, by potem móc wykrakać coś z taką samą satysfakcją!

- Ale przecież jego jeszcze na jesieni chłopci drągami zatłukli odezwałam się obojętnie, zanurzając miarkę w puszcze z tartą korą wierzby.

- Juści ci takie paskudztwo zatłuczysz, w bajki dziecko wierzysz! Przecie ciała nie znaleźli, pewnie poleżał sobie i uciekł był! Kudłaki to żywotne są, póki mu się siekierą łba nie odrąbie to żadnego w tym sensu!

... - Oczywiście najprościej będzie odciąć jej łeb. Ale jeżeli masz tylko jeden miecz, wyciągnięcie go z ciała pomroki jest zbyt ryzykowne. Poza tym jedną z podstawowych różnic pomiędzy zawodowcem a amatorem jest to, że ten pierwszy zna kilka sposobów na osiągnięcie celu. Wilkołak ma około dziesięciu innych wrażliwych miejsc. Tu masz mój nóż myśliwski, przeleć się o - do tamtego lasku osikowego...

Złapałam się na tym, że odruchowo przyciskam lewą dłoń do piersi nieco poniżej obojczyka. Szaliska wyglądała na wyraźnie tym gestem połączoną - aha, w końcu jej opowieść trafiła mi wprost do serca!

No właśnie. Do serca.

Oderwałam rękę, ze złością potrząsnęłam głową i otworzyłam kolejny słoiczek.

- A z rana to był nam wielki znak - gadała babka, nie zatrzymując się nawet na chwilę. - Ledwo zaświtało i z jasnego nieba nie wiadomo skąd spadł na plac grad ze zdechłych wron! I to nie takich, co to w locie zdechły, a jeszcze żyć prześmierdziały w jednej chwili!

Wierzbowy proszek trafił obok naczynia. Zzzaraza... No jasne, „fortunny” łowca nie bawił się we własnoręczne wygrzebywanie truchel z klatki - po prostu szybko teleportował je byle dalej.

- I co takiego oznaczały? - okazałam trochę większą irytację niż powinnam.

Szczęśliwie Szaliska odniosła zarówno to jak i mój uprzedni wkurzony syk na rachunek zaproszonego blatu.

- Sam naczelnny dajn ze świątyni Ikorena Wszechwidzącego przybiegł obejrzeć boski znak, on toć nam go wyjaśnił bez słowa wahania! Mówił, że utonęliśmy w grzechu jako te pustogłowe wrony co żyją jedną chwileczką i jeżeli przypadkiem się nam zemrze, to nasze dusze też będą tak śmierdziały i nie będzie dla nich wejścia do nieba aż do skończenia czasu...

- A, czyli to dlatego kolejka do świątyni przez pół miasta się ciągnie - sceptycznie prychnął szef. - Śpieszą się ludzie na wszelki wypadek dusze wyprać za srebrnika od głowy. Tak między nami, ten naczelnny dajn kiedyś pracował jako obwoływacz w kramie na jarmarku. Razem zaczynaliśmy, bo ja tuż obok lubczykami handlowałam... Ech, dobre to były czasy... - Zielarz marzycielsko zmierzwił sobie brodę i natychmiast się zasumitował. - Szeleno, a ty się nie rozprasza, masz jeszcze przed obiadem zawieźć krople z hyzopu do Hrajka, bo potem trzeba go będzie po karczmach szukać! A przy okazji, gdzie to twoje konisko?

- Zostawiłam u Karsta - odburknęłam, ostrożnie zmiatając proszek piórem wyciągniętym z kałamarza. - Przecież tu żadnej stajni nie ma, biedny koń miał całą noc marznąć przed gankiem?

A żeby was wszystkich! No dobrze, do mieszkającego na drugim końcu miasta Hrajka w pół godziny dotrę na piechotę... ale w czym?! Nie mam ani butów, ani kozucha... I Szaliska również mieszka po tamtej stronie miasta, więc pewnie ma nadzieję, że zabierzemy się razem i załadujemy na konia jej toboły. Bo żegnać się nie zamierza, zaczęła kolejną opowieść, a zielarz nie mając wielkiego wyboru kiwa głową do wtóru.

Zaczęłam układać malowniczą i rozdzierającą duszę opowieść o niespodziewanym powrocie z wizyty u przyjaciół cudzej małżonki oraz mojej pośpiesznej ucieczce przez okno w celu poratowania honoru pewnego mieszczanina. Cóż, tak słodkiego kawałka plotki Szaliska dawno nie dostała, nim noc zapadnie wszystkie żony, co to wczoraj miały pecha wyjść z domu urządzić mężom awantury i na dłuższy czas przestaną się ze mną witać!

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, a ja chętnie odłożyłam tłuczek, korzystając z okazji by odroczyć „spowiedź” o kolejne parę minut.

Hm, to już się zaczęło robić zabawne! Rest nawet nie zdążył do końca odetchnąć z ulgą, a już się krzywi z oburzeniem: „I gdzie żeś się przez całą noc szlajała paskudo jedna, ciągle przez ciebie są jakieś problemy!”

- Mentor kazał żebym oddał. - Chłopak niezgrabnie wepchnął mi do rąk pakunek z kozucha, butów i spodni. Pewnie koszula również znajdowała się gdzieś w środku. - I... żebym zapytał, czy wszystko w porządku.

- Zapytałeś? - Mój ton był wiernym odbiciem jego, czyli niezbyt miły. - No to spadaj stąd! - mówiąc te słowa, zatrzasnęłam drzwi.

- Kto to był, dziecko? - natychmiast ożywiła się babka na dźwięk nieznanego sobie głosu. O nie, żadnego łupu dla ciebie dzisiaj!

- Pomocnik krawca przyniósł mój kozuch, oddawałam go do naprawy. - Wróciłam do stołu i niedbale zwałam rzeczy na pobliskie krzesło kozuchem do góry. Ukradkiem obciągnęłam poję, przykrywając sterczącą piętę buta.

- Ale przecie ten cały kozuch to jeszcze wczoraj na tobie był? - Szaliska ślepowo zmrużyła



oczy, mimo że o ile wiedziałam wzrok miała lepszy od niejednego jastrzębia. Oż stara wiedźmo, a gdzież to mnie widziałaś? Mam nadzieję, że nie przy miejskiej bramie?

- Wczorajem podarłam i natychmiast zaniosiłam do krawca.
- Oj kochanieńka, i co też się tobie stało? - z fałszywym współczuciem westchnęła babka. Z poirytowania prawie odgryzłam się, że „zapomniałam zdjąć przed zmianą postaci!”
- Poślizgnęłam się i upadłam.
- No zdarza się, zdarza.... - mruknęła Szaliska z rozczarowaniem. - Co też ja mówiłam?

Znaczy się czarodzieja szukają! Straż po ulicach chodzi, wygląda, rozpytuje czy może go kto widział...

Nie powiedziałabym żeby specjalnie się starali. Dwójka ziewających chłopaków w kolczugach akurat nieśpiesznie i bez większego zaangażowania szła naszą ulicą znacznie uważniej zerkając w kierunku karczmy znajdującej się przy jej końcu, niż na boki.

- ... a jakoj nie jego samego, to przynajmniej tego jegojnego ucznia. Sama go nie widziałam, ale szwagierka Krakowa to mówiła, że to takie samo biesowe nasienie i jeszcze złe oko ma na dokładkę. Jak spojrział na jej krowę, toć ona po dwóch miesiącach zdechła!

Chętnie uwierzę. Ten paskudnik każdego do grobu wpędzi!

Na oścież otworzyłam okno. Przygarbiony chłopak trzymając ręce w kieszeniach szedł na spotkanie strażników, z irytacją kopiąc szarawy kawałek lodu. Tyle dobrego, że na chwilę zamarudził na ganku w rozsądnym milczeniu pokazując drzwiom nieprzyzwoite znaki. W przeciwnym wypadku już spotkałby się z patrolem nos w nos.

- Hej, siostrzeńcze! - zawołałam go czułym głosem kota kuszącego mysz. Biedak aż się potknął i z niedowierzaniem spojrział na mnie przez ramię. - Chodź no tu, kochany!

Dzieciak nie ruszył się z miejsca i dalej wgapiał się w świeżo pozyskaną „ciotuchnę”. Strażnicy mieli do niego około dziesięciu kroków.

Jeżeli natychmiast tu nie podejdzie, to sama cholernika zatłukę!

Rest powoli odwrócił się i poczłapał z powrotem do ganku. Strażnicy minęli go, wymieniając obojętne komentarze. Co prawda jeden z nich przesunął spojrzeniem po plecach chłopaka, ale nie majtała się tam żadna tabliczka „uczeń maga”, a twarzy na szczęście nie zdążył dojrzeć.

Otworzyłam drzwi i dosłownie wciągnęłam dzieciaka do kramu. Bezczelny szczeniak jeszcze się próbował zaprzec w progu! A co wy na to?!

- Oj kochany ty mój! A ja tu się zamartwiałam jak wy tam sobie beze mnie radzicie? Z matuchną wszystko dobrze? Nikt wam do drzwi w nocy nie drapał?

Ściśnięty w stalowych objęciach wilkołaka Rest pisnął tylko coś rozpaczliwego. W trakcie łzawej przemowy i gorących pocałunków odczuwalnie ugryzłam go w ucho szepcząc:

- Tylko spróbuj palnąć mi coś na przekór!

Po czym na koniec ścisnęłam, aż zachrzęściły mu zebra i wypuściłam.

Dzieciak czknął, z szaleństwem w oczach rozejrzał się dookoła, zauważył obcych ludzi i przytrzymał swój dumny język za zębami. Tylko ponuro otarł policzki rękawem.

- Ma charakterek, to po mnie! - poinformowałam z dumą właściciela i Szaliskę, protekcyjnie czochrając mu włosy.

- Moja siostra w zeszłym roku owdowiała, a gospodarstwa we dwójkę z małym nie dali rady pociągnąć. Krowę sprzedali za długie, to zaprosiłam ich by się przenieśli tutaj. W końcu w mieście się zawsze robota znajdzie. No więc już drugi tydzień mieszkają u mnie.

Dobra dusza Szaliska aż załkała nad losem biedaka i wepchnęła mu ostatni leżący na spodeczku obwarzanek, z jednego boku lekko nadgryziony przez mysz.

- Oj ty biedna sierotko! A jak masz na imię? - Dzieciak błyskawicznie i uważnie obrzucił spojrzeniem całą naszą czwórkę - czyli mnie, babkę, znachora i obwarzanek... Niespodziewanie spuścił oczy i cienkim głosem wiejskiego głupka wymęczał:

- Resio jestem, babciu!

Po czym wyciągnął z kieszeni brudny kawałek ni to szmaty ni to wygarbowanej skóry i zaczął uważnie owijać nim szczodry prezent Szaliski ze słowami:

- Oj dziękuję, będzie gościniec dla mamusi!

Zielarz, który do tej chwili patrzył na chłopaczkę z przychylnym zainteresowaniem zmarszczył brwi i na wpół żartem na wpół serio zapytał:

- A cioci pomagasz na gospodarstwie? Nie krzywdzi cię?

- Oj co też pan mówi! - Rest z przerażeniem wytrzeszczył oczy, odwrócił się do mnie i zaczął kłaniać się do samej ziemi z taką prędkością, że ikony w świątyni z zazdrości pozlatywałyby ze ścian. - Ona ci łaskawa! Zawsze znajdzie dla sierotki jakiś zmarzły buraczek czy obierkę od ziemniaka! Ugotuję sobie w kociołku, pokruszę czerstwego chleba i dzięki bogom kolejny dzień za mną!

Ot szkodniku! Czyli to takie przepisy stosujesz robiąc kolację?!

Rest tymczasem spróbował pocałować mnie w rękę. Spieszenie wyrwałam kończynę, ale on nawet niespecjalnie chciał ją złapać. Babka i znachor patrzyli na mnie jak nocny strażnik na „specyfik”.

- Co twoja mama teraz robi? - delikatnym, słodkim do bólu zębów głosem spytała Szaliska.

- Mamusia? - Dzieciak z tępych wyrazem twarzy poskrobał się po potylicy, która jak na zawołanie nie była specjalnie czysta. Wpakował się w jakąś pajęczynę ze śmieciami, pewnie znowu laził po strychu i sprawdzał czy nie zapomniałam gdzieś w kąciuku ptaszka „na zupę”. - Mamusia to wełnę przędzie!

O świcie się godzinkę przespała i znowu złapała za wrzeciono! Mówi, że to niewłaściwe żeby cioteczce siedzieć na karku, i tak za jej dobroć winniśmy wdzięczność do końca życia, i ona sama nam o tym co godzinę przypomina...

Rest zapatrzył się na mnie ze szczenięcym oddaniem, ale pod moim spojrzeniem bardzo szybko stracił rezon - nikt nie patrzy w ten sposób na ludzi, którym sążone jest przeżyć długie i szczęśliwe życie. W izbie zapanowało ciężkie milczenie. Zszokowana Szaliska nawet nie spytała z jakiej to wsi przyjechała „siostra” i skąd się w ogóle wzięła skoro do tej pory nawet jednym słowem nie wspomniałam, że mam jakichś krewnych. Właściciel udawał, że jest pochłonięty inspekcją flakoników na środkowej półce, ale jego wściekłe sapanie stanowczo nie było dla mnie pochlebne.

Niewyraźnie mruknęłam, że chyba pojedę i rozwiozę specyfiki, błyskawicznie przebrałam się pod osłonę otwartych drzwi szafy, pochowałam po kieszeniach flakoniki z podwiązanymi do szyjek metkami i uciekałam z kramu znacznie szybciej niż rano próbowałam dostać się do środka. Co prawda po drodze nie zapomniałam zgarnąć pod łokieć „sierotkę”, który wyraźnie wzdrygnął się pod moim dotykiem.

Babka ani zielarz nie powiedzieli słowa, z czego wysnułam wniosek, że Szaliska sama sobie poradzi z dowleczeniem do domu pakunków, a ja mogę dziś nie wracać do pracy.

Na dworze dzieciak spróbował wyrwać rękę ale gorzko się rozczarował.

- Tylko spróbuj - wycodziłam nie rozluźniając ani zębów, ani ściśniętych na nadgarstku ofiary palców. Drugą ręką narzuciłam mu na głowę kaptur, który dodatkowo naciągnęłam żeby przykrywał twarz.

- Bo co wtedy będzie? - odszczeknął smarkacz wyzywająco.

- Wtedy będzie wiele rzeczy. Słońce. Śnieg. Miasto. Lepiej zapytaj czego wtedy *nie* będzie. A raczej kogo.

Chyba sam się domyślił. Do domu Hrajka szliśmy w grobowym milczeniu. Parę razy minęliśmy strażników, ale ci tylko się witali, a na wieść o tym, że pokornie wlokący się obok dzieciak jest moim krewnym ze wsi, do tego niemową, który w dzieciństwie regularnie spadał z pieca na głowę, całkowicie tracili zainteresowanie.

- Gdzie mnie ciągniesz? - W końcu Rest nie wytrzymał.

Ja również akurat zastanawiałam się nad tą kwestią, ponieważ Hrajka nie było w domu. Zapieczętowane zakłębieniem drzwi niebieskawo lśniły wzdłuż futryny. Z czymś takim zwykły wytrych sobie nie poradzi, potrzebny jest dokładnie ten klucz, którym zamknięto zamek. Taka magiczna usługa nie była tania, ale szybko się zwracała - z niewiadomego powodu każdy złodziej był pewny, że w mieszkaniu minstrela znajdzie się jakiś łup, więc pod jego drzwiami niemalże

przepychali się chętni, by to sprawdzić.

Po chwili namysłu ruszyłam do mojej ukochanej „Wilczej Puszczy”. Nie pomyliłam się: jaskrawo ruda czupryna niedbale opartego o szynkwas półelfa widoczna była z daleka. Hrajk z zasady nie uznawał krzesel i wołał górować nad resztą klientów - w sensie zarówno moralnym, jak i tym najzwyczajniejszym. Podobno po to, by „wspaniała sztuka śpiewu nie napotykała na swojej drodze żadnych przeszkód”.

Między bogami a prawdą Hrajk miał tyle poczucia wyższości, że wystarczyłoby na elfa pełnej krwi, ale śpiewakiem był naprawdę niezrównanym, więc w karczma była wypchana ludźmi.

- Czekaj tu na mnie - rzuciłam do Resta. W „Wilczej Paszczy” czarodziej i jego uczeń byli zbyt dobrze znani, a karczmarz mimo całej swojej miłości do runów, futer i ogonów był niesamowitym wręcz tchórzem i natychmiast wysłałby którąś z dziewczek po strażników. - I nie gap się na boki tylko idź i stań tam przy koniowiązie, gdzie zwykle stoją służący!

Szczeniak natychmiast nastroszył się ponownie:

- Nie jestem twoim służącym!

- No to postoisz zamiast konia - zgodziłam się ze stoickim spokojem, rozluźniłam palce i zatrzasnęłam drzwi, po czym wzdłuż ściany dotarłam do najbliższego kąta karczmy.

- Szelenko, podać ci coś? - szeptem zapytał gospodarz, którego minstrel zepchnął na przeciwległy kraniec lady.

- Masz „Smoczą Krew”? Doskonale.

Najpierw ogrzałam ręce o kubek, a potem upiłam łyk gorącego wina z przyprawami. Hrajk dopiero co przebrnął przez połowę „Legendy Łabędzich Wydm”, a nigdy nie przerywał raz zaczętej pieśni. Tym bardziej dla jakiejś tam pomocnicy zielarza. Zresztą nigdy nie zrezygnowałam z okazji by posłuchać pięknej smutnej muzyki. Co prawda ze słowami było już gorzej - moim zdaniem wyznania miłosne do syreny nie musiały koniecznie trwać przez siedem zwrotek. Na jej miejscu już w środku trzeciej ziewnęłabym szeroko i zanurkowałam z powrotem.

Ostatecznie syrena zrozumiała, czego od niej chcą albo też zakochanemu rycerzowi wyczerpały się zasoby pomysłowości. Tak czy siak, ostatecznie panna jednak podpłynęła bliżej i piosenka skończyła się dosyć żartobliwie.

Słuchacze zgotowali pieśniarzowi zgodny aplauz i do zdobionej szkatułki poleciały monety. Półelf z gracją zeskoczył z lady, przesunął wiszącą na piersi lutnię pod pachę i odruchowo przytrzymując ją łokciem podszedł do nas. Karczmarz już trzymał przygotowany puchar ze złocistym winem driad, który Hrajk złapał nawet nie patrząc, jak coś, co mu się należało.

- Przyniosłaś? - Teraz, gdy odwrócił się do mnie twarzą, mogłam dostrzec przecinającą jego twarz czarną wstęgę i długi misterny koleczyk w kształcie smoka. Od płatka lewego ucha do nosa ciągnęła się szeroka szrama pozostawiona przez pazury rudej leśnej kocicy, co sprawiło, że Hrajk darzył szczególną atencją ocalałe prawe oko. Zdrowy mężczyzna prawdopodobnie nie zwróciłby nawet uwagi na tak delikatne zapalenie powieki - pewnie spowodowane przez zimno i wiatr.

Ja również niespecjalnie się śpieszyłam, więc dochowując wszystkich konwenansów pogrzebałam w kieszeni i postawiłam na ladzie pękata buteleczkę.

- Mam nadzieję, że sama robiłaś?

Elfy i półelfy tylko uśmiechały się z pogardą na widok zielarza, który stojąc w progu swojego kramu jak słowik śpiewał, że uleczy każdego i ze wszystkiego, a większe gwarancje to tylko święci dają! Ku wielkiemu zmartwieniu mojego szefa ta rasa zbyt dobrze znała się na ziołach, by można im było wcisnąć zabarwioną wodę czy zgniłą ciemnicę. Tak więc napar na siedmiu trawach z moich osobistych zapasów miał niewiele wspólnego ze zwykłym wywarem zebranego dwa lata temu hyzopu, który wylałam do kubła na odpadki gdy tylko zielarz odwrócił się do mnie plecami.

- Po dwie krople trzy razy dziennie. A na noc byłoby dobrze jakbyś zrobił kompres.

Hrajk skinął głową i rzucił na ladę dwie złote monety, mimo że z moim szefem dogadał się na jedną. Następnie, wbrew swoim zwyczajom nie wrócił na salę, tylko oparł się o ladę przy moim boku i machnął ręką na karczmarza by ten ponownie napełnił kielich.

- Szeleno, byłem w „Witce”.
- Co? - Nie od razu rozumiałam.
- W nocy - wyjaśnił minstrel. - Gdy wdarł się tam potwór.

Dalej nic nie pojmowałam. Hrajk nie należał do osób kochających plotki, nawet opowiadane po to, by wyrzucić z siebie koszmarnie wspomnienia i uspokoić nerwy. Zresztą wcale nie tak łatwo było go przestraszyć, kiedyś widziałam jak pijany najemnik znalazł we frywolnej piosence jakąś aluzję do swojej ukochanej mateczki i rzucił się na minstrela z dwuręcznym mieczem. Półelf z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podpuścił tego byczka na odległość łokcia, a potem po prostu zrobił krok w bok i miecz rozciął stół na dwie połówki i głęboko wbił się w podłogę, tak że potem ledwo udało się go wyciągnąć.

I zrobił to wszystko ani na chwilę nie przestając grać, na dokładkę bez jednej fałszywej nuty!

- Jest wielkości półtorarocznego cielaka - ciągnął półelf ze stoickim spokojem, podkreślając kołki na lutni. - Ostry wilczy pysk, garbaty kark, długi ogon i łapy. Jaskrawozielone oczy. Futro ni to popielate, ni to na wpół przezroczyste, gęste i kudłate, ale prawie się nie porusza, co by oznaczało, że jest dosyć sztywne. Rusza się może nie błyskawicznie, ale całkiem szybko. Prawie jak wilkołak. Pazury ma, i to solidne, ale atakuje paszczą, chociaż uprzednio próbuje powalić na ziemię i przycisnąć swoim ciężarem.

- Po co mi to opowiadasz? - nie wytrzymałam.
- Uprzedzam. A nuż widelec się przyda.
- W jakim sensie?

Półelf tylko uśmiechnął się z wyższością, jednym haustem dopił swoje wino, schował buteleczkę do kieszeni i bez słowa podziękowania czy pożegnania przeszedł na środek karczmy gdzie usiadł na stole koło ślicznej panny, która w jednej chwili spłonęła rumieńcem.

Wzruszyłam ramionami - niech leszy zgaduje co mają na myśli elfy i ich krewniacy! - zgarnęłam monety, rzuciłam karczmarzowi srebrnika i ruszyłam ku wyjściu...

...ale zatrzymałam się w progu. Hrajk palcami pogłaskał struny, które odpowiedziały mu delikatnym tonem i prawie natychmiast zaczął śpiewać, wplatając głos w melodię jak kolejną strunę:

*Jest zamknięta jej pora  
Między światłem a mrokiem.  
Coraz trudniej być sobą  
Z każdym kolejnym krokiem.  
I nie skreślać połowy  
Serca, co cicho krwawi.  
Księżyc rodzi się nowy -  
Czas by przeszłość zostawić.  
Nie okaże pokory,  
Znikąd czekać pomocy  
Gdy opadną ją stwory,  
Co skradają się w nocy.*

- Te, panna, wchodzisz czy wychodzisz?! - Jakiś troll bez ceregieli pchnął mnie w bok nawet nie raczywszy poczekać, aż usłyszę pytanie i ustąpię z przejścia. Otrząsnęłam się z oczarowania. Nie no, skąd on miałby wiedzieć?! Jaka karczma, taki repertuar. Znacznie bardziej zdziwiłabym się słysząc tutaj zbredną balladę o trzech pluskających się pod tamą wdówkach i wodniku, który nierozsądnie spróbował się do nich dobierać. A była to podstawowa piosenka Hrajka w „Piwnej Rzeczce”.

Ale koniec pieśni jednak wyprzedził łomot drzwi, które zamknęły się za moimi plecami.

*Prawie każdy przeoczy  
Zmierzch nie znaczy, że wróg.  
W końcu można przekroczyć  
W obie strony ten próg.*

*...I nie mogę przewidzieć,  
Kim też ona zostanie.  
Ciepłym świtem wiosennym,  
Czy zimową otchłanią...*

Przekleństwo. Mogłabym przysiąc, że Hrajk cofnął rękę od powoli cichnących strun i uważnie patrzy moim śladem. Tak jak patrzył od samego początku piosenki.

Nie no, popatrzcie tylko na to biedaczysko! Stoi! Czeka jak mu kazano! Aż mi się nastrój poprawił. Czyjaś gniada, białonoga kobyła ze smakiem chrupała podarowanego przez Szaliskę obwarzanka. Na mój widok Rest na chwilę się zawahał, a kobyła oblizwała się, obwąchała jego pustą dłoń i z pretensją capnęła zębami. Zaskoczony dzieciak pisnął i z irytacją szturchnął niewdzięczne bydlę łokciem w bok. Za co prawie oberwał jeszcze kopytem.

- Idziemy - rzuciłam sucho, przechodząc obok.

Rest odczekał tyle, ile jego zdaniem wymagało zachowanie godności i niby przypadkiem dogonił mnie już na samym końcu ulicy, idąc po lewej i lekko z tyłu. Chyba sam wyczuł pismo nosem, bo więcej o nic nie pytał, nie zostawał z tyłu ani nie zdejmował kaptura. To ostatnie przy obecnej pogodzie nie budziło zdziwienia. Zamieć lekko się uspokoiła ale nadal trwała, starannie malując na białą bruk i przy okazji przechodniów.

Pozostali klienci mieszkali po drodze do zachodniej bramy, zygzak o jedną czy dwie uliczki się nie liczył. Gdy rozliczyłam się z ostatnim, uchylone (a zwykle otwarte na całą szerokość) skrzydło bramy było już prawie na wyciągnięcie ręki.

- A jak ci się udało wejść do miasta? - zdziwiłam się, obserwując, jak strażnicy dokładnie wypytują wyraźnie przerażonego obdartusa, który wyglądał na rówieśnika Resta. Obok z rękoma złożonymi na piersi stał dajn, który nie wtrącał się do rozmowy, ale uważnie jej przysłuchiwał. Zapomniany strach na wróble w wieży smutno podzwaniał kolczugą na wietrze.

- Przelazłem przez szczelinę w murze - odpowiedział dzieciak niechętnie. - Ooo tam, naprzeciwko domu z żółtym dachem.

- Pokaż.

W zasadzie mogłam zupełnie spokojnie przejść przez bramę. Chyba nawet kiedyś widziałam tę szczelinę - była wąska i niska, tak że zmieściłby się w niej tylko dzieciak. Z niejasnego powodu poszłam razem z Restem i intuicja mnie nie zawiodła. Ledwo zdążyłam przytrzymać „siostrzeńca” za ramię, ostrzegawczo przyciskając palec do warg.

Za zaspą koło przejścia ktoś stał. I miał przy sobie znacznie więcej srebra niż ludzie zwykle noszą w sakiewkach. Poczułam, jak między łopatkami maszerują mi stada mrówek - w nocy futro na karku stanęłoby mi dęba. Mag? Czy zwykły najemnik z zaczarowanym mieczem lub kuszą? Nie ryzykowałam podchodzenia bliżej. No dobrze, nie rozpozna we mnie wilkołaka, ale natychmiast zaczniesz się dopytywać czego na oko przyzwoita dziewczyna poszukuje w zaśmieżonych zaroślach koło muru.

- Do tyłu - szepnęłam samymi wargami, dając przykład bezdźwięcznej rejterady. A kiedy ponownie stojąc na bruku, zastanowiłam się. Chodzenie tam i nazad dookoła bramy w nieskończoność było niebezpieczne i powinniśmy albo iść do innej albo zaryzykować przekroczenie tej, póki zaalarmowani strażnicy sami do nas nie podeszli.

Ale kiedy ja zbierałam się w sobie wyprzedził nas powóz, do którego zaprzężona była nerwowa ruda kobyła. Gdy woźnica ściągnął lejce, zatańczyła w miejscu, kręcąc łbem i z chrapaniem gryząc wędzidło, żądając możliwie szybszego ruszania w drogę. Zasłonka w okienku odchyliła się i udekorowany przyciężkim sygnetem palec majestatycznie przywabił dowódcę straży. Reszta wartowników jak jeden mąż stanęła na baczność. Nawet dajn pochylił się **W** pełnym szacunku ukłonie - nikt nie miał specjalnej ochoty kłócić się z naczelnikiem miasta.

Odruchowo odłupałam od zasy kawałek zleżałego śniegu i zaczęłam obracać go w dłoniach. Niestety, nie było najmniejszej szansy, by usłyszeć, o czym mówią przy powozie - zbyt daleko i cicho. Ale strażnik przemawiał z poczuciem winy, a naczelnik - gwałtownie i z niezadowolaniem. Czyli na razie nikogo nie złapali i niczego się nie dowiedzieli. No cóż, nie bardzo miałam ochotę poprawiać im nastrój...

Powozem szarpnęło, woźnica krzyknął na ruchliwą kobyłkę, ale ta tylko położyła po sobie uszy i zaczęła dreptać jeszcze gwałtowniej, więc musiał zeskoczyć z kozła na ziemię, podejść do końskiego pyska i uspokoić ją podając kawałek suchara. Że też ktoś wpadł na pomysł żeby zaprząć do zwykłego powozu konia z karetki pocztowej! Chyba szanowny naczelnik śpieszy się łapać kudłaka i miota od jednej bramy do drugiej przez całe miasto. Teraz podjudzeni przez niego strażnicy szczegółowo odpytują każdego przechodnia, a nie tylko mojego „siostrzeńca”.

Z irytacją wzięłam zamach i rzuciłam ciężki, nadtopiony od ciepłych rąk kawałek śniegu w dawno proszący się o to cel. Mój towarzysz zapomniał się i gwizdnął z zachwytem - biała kulka uniosła się pod samą wieżyczkę - on sam nie dorzuciłby nawet do połowy wysokości.

A poza tym trafiłam.

Strach na wróble drgnął i powoli pochylił się ku barierce, jak gdyby widząc na dole coś podejrzanego i próbując obejrzeć lepiej - a następnie własnoręcznie zatrzymać, frunąc pięknym łukiem.

Twórcy nigdy nie śpiącego stróża pracowali sumiennie. W każdym razie kukła nie rozpadła się w locie, tylko przy wtórze brzęku żelastwa runęła na miejsce woźnicy. Karoca zachwiała się, przerażona kobyła przysiadła na zadzie, rozejrzała się z zdumieniem i doszła do wniosku, że i tak spędziła tu zbyt wiele czasu. Woźnica odleciał na bok jak piórko, dajń rzucił się na pomoc, ale nie zdążył złapać uzdy, głupio wpadł na dyszel, który nie wytrzymał jego wagi oraz ciosu końskim kopytem i złamał się na pół. Czując powiew wolności kobyła wycelowała lepiej i sługa boży majtając nogami utknął w zaspie.

- Durnie jedne, trzymajcie konia! - wydarł się naczelnik miasta, otwierając drzwiczki i zapominając o swojej godności.

Oj chyba lepiej by było, żeby najpierw wyskoczył! Kobyła usłyszała te idiotyczne pomysły i póki nie było za późno zerwała się z miejsca, więc szanowne zwierzchnictwo mogło tylko w pośpiechu zatrzasnąć drzwiczki, żeby nie wyskoczyć z nich jak korek na oblodzony bruk albo w ogóle pod koła.

Strażnicy otrząsnęli się z pierwszego szoku i rzucili do wykonywania polecenia. W wylotach najbliższych zaułków natychmiast pojawili się gapie, przyciągnięci przez krzyki i raban. Zresztą sama z chęcią bym popatrzyła gdyby nie to, że miałam sprawy do załatwienia. Drugi z ocalałych dyszli sprawił, że kobyła poruszała się po szerokim łuku jak na wyścigach, na których bydlę na pewno zajęłoby pierwsze miejsce, chociażby dlatego że na razie pozostałym uczestnikom „gonitwy” nie udało się ani jej dogonić ani przegrodzić drogi. Mimo że poganiani wrzaskami naczelnika bardzo się starali.

- Idziemy - rozkazałam, otwarcie ruszając w kierunku bramy. - Durniu jeden, idziemy a nie biegniemy! Powoli i statecznie jak bardzo uczciwy człowiek albo bardzo bezczelny kudłak!

Nawet zatrzymałam się koło strażnicy i ze znudzonym wyrazem twarzy oparłam o murek, na wypadek gdyby któryś ze strażników w najmniej właściwej chwili obejrzał się do tyłu. Proszę bardzo, niech mnie odpytują, a dzieciak w tym czasie odbiegnie na bezpieczną odległość - bo na razie rzucił się do biegu jak zając!

Ale strażnicy byli tak zajęci łapaniem naczelnika, że wilkołak uznał, iż nie będzie marnował ich cennego czasu i wpadnie jakoś przy następnej okazji.

Dogoniłam Resta już w połowie rzadkiego brzoźowego zagajnika, który powoli przechodził w świerkowy las. Obejrzałam się na miasto, uznałam, że stąd nikt nas nie zauważy i zdecydowanie ściągnęłam rękawiczki. Gwałtowny zamach i dzieciak wylądował w zaspie.

- Tu masz buraczka!

Szczeknął coś z irytacją, próbował wstać ale oberwał butem w tyłek i ponownie zarył się w śniegu.

- A tu masz ziemniaczka i chlebek!

Podniosłam go za kark i kilka razy głęboko zanurzyłam pyskiem w śniegu, jakby był szczeniakiem a zaspą - kałużą siuszków. Chłopak wywijał się, prychał, pluł, ale w milczeniu. Aha, czyli chcesz się pobawić w nieugiętego bohatera? Nie ma problemu, jeszcze ci dosypię do skarbonki ze szlachetnymi czynami!

Wypuściłam go dopiero kiedy przestał się opierać. Przez chwilę stałam obok, wyrównując oddech i rękawicą otrzepując śnieg z kolan.

- Wstawaj już, starczy tego udawania.

Rest jeszcze przez chwilę udawał męczennika ale potem poruszył się wolno, podniósł na nogi i nie patrząc na mnie zaczął doprowadzać do porządku. Twarz miał czerwoną, grzywkę mokną, zetlała sznurówka na kurtce urwała się tuż przy kołnierzu, za którym widać było grudki śniegu. Gdzie on w ogóle znalazł te szmaty? Rozebrał czyjego stracha na wróble?

- Mam nadzieję, że rozumiesz, za co oberwałeś?

Nawet nie raczył kiwnąć, że słyszy. O tak, oczywiście, zrozumiał! Za to, że ja jestem silniejsza, a tak po za tym wyjątkowo paskudne ze mnie babsko!

- Nie trafiłeś. Za to, że mylisz męstwo ze szczekaniem zza rogu. A zemstę z głupim, bezskutecznym i bezcelowym paskudzeniem. Ucz się grać zgodnie z dorosłymi zasadami, szczeniaku. Chociażby od swojego mistrza, jeśli ja nie budzę w tobie szczególnego natchnienia.

Aha! Teraz się zasmęcił na poważnie. Zrozumiał, że Weres go za takie sztuczki również nie pogłaszcze po główce.

Poprawiłam kaptur i zwróciłam się w kierunku domu. Dzieciaka nie wołałam, w końcu z miasta go wyprowadziłam, a dalej niech idzie gdzie chce. Ma ochotę na spacer żeby wyładować swoją wściekłość na drzewach wyobrażając sobie mój bezczelny pysk - na zdrowie. Tak czy siak wiadomo gdzie jest jego mistrz, więc przed wieczorem posłusznie przybiegnie z powrotem.

Przez około ćwierć wiorsty Rest rzeczywiście dreptał za mną w pełnej szacunku odległości i w stałym tempie, by nie tracić mnie z widoku. Leśnych zwierząt stanowczo bał się bardziej.

Potem jego kroki ucichły, a ja, mimo iż zdecydowałam, że nie będę zwracać na szczeniaka uwagi nie wytrzymałam i obejrzałam się.

Dzieciak siedział w kucki gapiąc się w śnieg. Co tam znowu?! Klnąc przedostatnimi słowy (ostatnie otrzymali Rest i czarownik do kompletu) wróciłam. Sceptycznie spojrzałam... I dopiero teraz zrozumiałam, że głębokie wgłębienia nad którymi z roztargnieniem przeszłam kilka minut temu to odciski czyichś łap z okrągłymi poduszczykami i trzema uzbrojonymi w pazury paluchami. Były wręcz gigantyczne, wyraźnie większe nie tylko od męskiej dłoni, ale też stopy. W takim razie jakiej wielkości musiał być stwór, który je pozostawił?!

„Rozmiary półtorarocznego cielaka” - mignęło mi głowie. A ślady były świeżutkie, ledwo co przyprószone śniegiem! Drgnęłam, uniosłam głowę i zaczęłam się rozglądać. Do rzęs natychmiast przykleiła mi się masa śnieżynek, jedna bezczelnie wleciała do w pół otwartych ust. Nie no, bzdury, wyczułabym dowolne zwierzę z odległości czterdziestu kroków, a potwora to w ogóle na sto!

Padłam na kolana naprzeciwko dzieciaka, po drugiej stronie śladu i przez chwilę węszyłam, po czym zaczęłam ostrożnie rozgrzebywać wierzchnią warstwę śniegu. Ano właśnie. Niebawem trafiłam na szkarłatną plamkę, drugą, trzecią... trochę dalej znalazł się cały skrzep. Stwór był ranny i to chyba dosyć poważnie. Czy przypadkiem nie trafił go ten typ, którego widziałam pod murem? Ale w takim razie dlaczego nie poszedł i go nie dobił? Będzie dobrze jeśli kudłak wieczorkiem zdechnie sobie gdzieś pod krzakiem - a co, jeśli tylko chwilę poleży i za jakiś tydzień wróci jeszcze bardziej wściekły?

Rest ze zmarszczonymi brwiami bezdźwięcznie poruszał wargami i próbował zmierzyć ślad rozstawionymi palcami, ale szło mu nie najlepiej - całość odcisku nie dawała się objąć ręką i podzielić przez liczbę całkowitą. Też mi mag bojowy! Przynajmniej by się rozejrzał zanim się zaczął gapić na znalezisko. Chyba nawet mnie nie zauważył.

- Wiesz kto mógł zostawić takie ślady?

- Nie. Zapamiętam je jak należy i zapytam mentora.

Pogrzebałam w kieszeni i wyciągnęłam zaostrzony kawałek grafitu oraz złożony arkusz pergaminu. Już zdążyłam z obu stron zapisać go notatkami, ale jak najbardziej nadawał się żeby coś na nim nabazgrać.

- Trzymaj i przerysuj, póki ich nie zawiało do końca.

- Yhym... - Dzieciak ulokował arkusz na kolanie, po czym rzeczowo i dosyć sprawnie

nakreślił kontur śladu. Nawet zacieniował gdzie trzeba.

- Może przedtem terminowałeś u malarza?
- U krawca - przyznał niechętnie, oddając mi grafit i chowając skostniałe dłonie w rękawy.
- A za co się stamtąd wyrzucili?
- Za... Jeszcze czego, sam odszedłem!
- Któż by wątpił.
- W takim razie tak się do mnie nie szczerz!
- No coś ty, po prostu szczerze zazdrościsz człowiekowi, któremu udało się tak łatwo

ciebie pozbyć. Chodźmy, żebyśmy potem nie musieli przypadkiem biec.

A może i będzie z niego mag bojowy? Ostatecznie całkiem nieźle mu wychodziło uciekanie z takim wyrazem twarzy, jakby robił potworowi ogromną łaskę.

\* \* \*

Weresa zastaliśmy w trakcie czynności oburzających: odrzucił kołdrę i rozwijał bandaż już na drugiej nodze. Nasze kroki po chrzęszczącym śniegu usłyszał pewnie od furtki, bo nawet nie raczył podnieść głowy. Tylko zerknął spode łba na mój kożuch i zauważył:

- Wiedziałem, że ci się przyda.

Nie trudząc się odpowiedzią szybko rozebrałam się, zdjęłam obuwie po czym przeszłam do zakamarka i jednym pchnięciem w pierś sprawiłam, że czarownik rozciągnął się z powrotem na łóżku.

- Szel, ale wszystko jest w porządku. - Weres pokornie leżał i tylko skrzywił się gdy boleśnie ścisnęłam jego nogę, wymacując kości.

- Dla ciebie jestem Szeleną - odgryzłam się, przykrywając go z powrotem. Rzeczywiście nieźle się zrosły, prawie nie czuć gdzie były złamania. Na tym czarowniku wszystko się goiło jak na psie, zwykły człowiek godziny by nie przeżył po takim pobiciu!

Znowu usiadł ze stoickim spokojem. I dopiero teraz zauważył podarty kołnierz i ogólne rozczochranie ucznia. Mężczyzna tylko lekko zmrużył oczy i napiął ramiona, ale po jego niedawnej pokorze nie został ślad. Wydawało się, że znowu leży przede mną widziany parę dni temu srebrny sztylet.

- Czy wy znowu...

- Nie - zaprzeczyliśmy chórem ja i dzieciak. Weres prychnął ze zdziwieniem, ale nie zadawał pytań. Klinga wróciła do niewidzialnej pochwy - na razie.

- Mentorze, niech pan spojrzy! - Rest niecierpliwie wepchnął mu do ręki rysunek. - Czyj to ślad?

Czarownik uważnie obejrzał malowidło i zachmurzył się.

- Jesteś pewien, że dokładnie przerysowałeś?

- Jestem! - obraził się dzieciak i rzucił w moim kierunku spojrzenie, że niby powinnam potwierdzić.

Zresztą Weres nie wątpił w staranność ucznia. W ten sposób wyraził po prostu swoje zdziwienie.

- No cóż, gdyby były jakieś dwa razy mniejsze, to powiedziałbym... - Jeszcze przez chwilę obracał rysunek po czym dokończył: - ...że to elgarska lub też kornoucha chimera.

- Ale nie powiesz?

- Nie. - Pokręcił głową odpowiadając raczej na własne myśli niż moje pytanie. - Nie mieszkają w naszych okolicach, jest tu dla nich zbyt zimno. A poza tym kształt poduszczy jest charakterystyczny dla rodziny kudłaczyc. Ale trzy palce... Po prostu nie wiem.

- Nowy gatunek?

- Na to wygląda. Gdzie znaleźliście ślady?

- W lesie w okolicy miasta. - Lekko rozczarowany Rest

otworzył skrzyneczkę z kaszami, ale skrzywiłam się i rozkazałam:

Lepiej zejdź do piwniczki i przynieś ziemniaków, dziś sama zrobię obiad.

Weres zauważalnie się rozjaśnił. Dzieciak również i póki nie zmieniłam zdania złapał



koszyk i wyskoczył do sieni.

Może w ramach wyjątku jednak opowiesz co ci się przydarzyło? - cicho zapytał czarodziej, który natychmiast odzyskał powagę.

- Wyłącznie w ramach wyjątku.

Uważnie wysłuchał krótkiego i suchego meldunku o wydarzeniach minionej nocy (skromnie opuściłam fragment z pościgiem), po czym odłożył rysunek i mrużąc oczy jak zadowolony kot przeciągnął się całym ciałem - najpierw ostrożnie jak gdyby sprawdzając solidność kości lub bojąc się bólu, a potem aż do chrzęstu w stawach. Obserwowałam go z mieszanym poczuciem zadowolenia (moja robota!), urazy (bo jeśli moja, to ja powinnam zdejmować ostatni bandaż!) i obawy. Już niedługo. Może to nawet lepiej - skończyć z tą głupią sytuacją raz i na zawsze, a nie udawać leszy wie co. Gościnnie gospodyni, tfu... Jeszcze mi powiedzcie, że matka rodziny i strażniczka domowego ogniska!

Znalazłam w stosie bandaży koniec i zaczęłam je zwijać. Wygotuję i jeszcze się przydadzą.

- Nie mogłeś poczekać na nas? Koniecznie musiałeś je sam zdjąć?

Myślałam, że znowu spławi mnie żartem albo pełnym wyższości uśmiechem, pozwalając bym sama domyśliła się różnicy pomiędzy wolnymi i zamkniętymi w szynach nogami, tym bardziej, że już dawno się wygoiły. Ale mężczyzna założył ręce za głowę i poważnie na mnie popatrzył. A raczej w okno za moim ramieniem.

- Szeleno, nie podoba mi się ta zamieć. Nie powinno jej być.

Odwróciłam się i ucziwie próbowałam znaleźć w wirujących śnieżynkach coś niezwykłego.

- Zamieć jak zamieć.

- Ale rano gdy tylko wzeszło słońce na niebie nie było nawet jednej chmurki. Zgromadziły się w przeciągu paru minut.

I zamieć wygląda tak...

Leszy, przecież on miał rację!

- Jak gdyby ktoś próbował zatrzeć ślady?

- Dokładnie. - Czarownik przymknął oczy, ale jego twarz zachowała wyraz krańcowego skupienia. Pewnie próbował dopasować do siebie kawałki posiadanych informacji. - Dokąd one prowadziły?

- Równoległe do miasta. Za jakieś pół wiorsty stwór powinien był trafić na czyste pole. Poza tym lała się z niego krew, jak gdyby ktoś przeszył go bełtem. Chyba z boku.

- Dziwne. Ranne potwory zwykle starają się schować w lesie.

- Staram się - przytaknęłam sarkastycznie. - Ale wyłącznie z braku lepszych miejsc. Na przykład leża.

- No właśnie - zagadkowo potwierdził czarownik. Wrócił Rest, sapiący pod ciężarem takiej ilości ziemniaków jakby miał nadzieję moimi siłami pozbyć się obowiązku gotowania przynajmniej na tydzień.

- Doskonale, a teraz je obierz - oznajmiłam ze słodkim uśmiechem, wręczając mu nożyk.

Wynik jego pracy jakimś cudem zmieścił się w jednym garnku. Pozostałe ziemniaki dzieciak starannie zamaskował obierkami i schował w kącie, by nie kłuły w oczy.

Hehe. A ludzie mówią, że z dorastającym pokoleniem trudno się dogadać!

## Rozdział 4

Na początku zabrzmiał krótki pisk i zdumiony okrzyk, następnie głucho stukanie ławki, na której stały kadzie z wodą, pluskanie, prychanie, oburzony ryk i szczęknięcie zębów, trzask materiału, łomot i dwa soczyste określenia sytuacji z różnych punktów widzenia - krótko mówiąc, to wszystko co się dzieje, gdy ktoś w mroku nadejście wilkołakowi na ogon.

- Po kiego ghyra tu łazisz?!

- Po leszego tu leżysz?!

Dzięki tej prostej wymianie zdań stało się oczywiste, że nadepnął Weres. Wydaje mi się, że nie ma sensu precyzować na kogo. Pośrodku kuchni z opóźnieniem zalśniła kulka niebieskawego płomienia, która ukazała malowniczy obrazek: czarownik siedział na podłodze i stłumionym głosem wspominał wszystkie znane sobie pomroki (a ponieważ kwalifikacje miał całkiem wysokie mogło to potrwać dłuższą chwilę) i wyplątywał się z urwanej zasłonki. Ja z irytacją otrząsałam się obok. Dzwoniło mi w głowie, którą uderzyłam o ławkę, przed oczami wirowało, a na podłodze leniwie rozlewała się kałuża, na środku której z boku na bok przetaczał się cebrzyk.

Obejrzałam się na ogon - był na właściwym miejscu, mimo że nieco sfatygowany, co trochę mnie uspokoiło. Już piątą z kolei noc spałam koło drzwi. Zapobiegawczo zamykałam zasuwę, zmieniałam postać w swoim pokoiku, ale z domu nie wychodziłam, tylko zwijałam się w kłębek przy progu i uważnie wsłuchiwałam w dolatujące z lasu dźwięki. Jak na złość śnieg od dłuższego czasu nie padał, a ja bałam się zostawiać ślady - poszukiwania „kudłaka” nie ustawały, za dnia po lesie kręcili się myśliwi z psami, a nocna wilcza pieśń czasami się urywała - zastępowana odgłosami wścieklej walki, po której zapadała jeszcze bardziej nieprzyjemna cisza.

Szarzy kuzyni o coś z kimś walczyli.

- Moje leże, to leżę gdzie chcę! - warknęłam. - A kubeł, jak chcesz wiedzieć, jest po drugiej stronie!

- Znaczy... - Weres nieco się zawstydził. - Tak w zasadzie... znaczy... ja ze zgoła przeciwnego powodu.

I znacząco spojrział na chlebak.

- W środku nocy?! - Nie posiadałam się z oburzenia. - Przecież na kolację zjadłeś sam calusienką kaczkę, mnie i Restowi dostało się po jednej nóżce!

Czarownik westchnął z widocznym poczuciem winy, jako-tako stanął na nogach i pocierając kość ogonową odwrócił się z powrotem w kierunku łóżka, wyglądając na tak nieszczęśliwego, jakby go przez calutki miesiąc morzono głodem.

- Ale co mi do tego, jak masz ochotę to idź i jedz. - Wycofałam do swojego pokoju.

Przez ostatni tydzień z Weresem działo się coś niepokojącego. Jadł nie tylko wszystko co trafiło mu w ręce, ale też w każdej ilości, nigdy nie odmawiając dokładki i nie zostawiając na talerzu nawet okruszków, niezależnie jak wątpliwym daniem nie zaowocowałby kulinarny antytalent Resta. Udało mu się też ukradkiem pochłonąć suszone gruszki z woreczka na piecu, co zauważyłam dopiero zabierając się do gotowania kompotu.

Pomimo wilczej żarłoczności czarownik nadal składał się głównie ze skóry i kości. Na twarzy o zaostrzonych rysach lśniły głęboko zapadnięte oczy, jak u sowy. Ale sądząc z oznak czuł się doskonale - spacerował po domu, najpierw trzymając się rumienia ucznia, a potem bez najmniejszej pomocy, kulejąc coraz mniej i mniej. Resta również zamęczył lekcjami do tego stopnia, że chłopak nawet się nie obudził przy tym hałasie tylko przekręcił na drugi bok i naciągnął koc na ucho.

Wróciłam już w spodniach i koszuli, usiadłam naprzeciwko Weresa podciągając pod siebie

bosę stopy. Moje uważne spojrzenie bynajmniej nie zepsuło mu apetytu, wręcz przeciwnie.

- Czy mogłabyś podać mi sól?

Z męczeńskim wyrazem twarzy wsadziłam palce do przybitej do ściany solniczki i posypałam wyciągnięty kawałek chleba, lśniący od klarowanego masła. Bogowie, kiedy to się wreszcie skończy?! W najgorszym koszmarze nie uświadczysz - wilkołak na posyłkach u czarownika! Chleb mu posolić, świecę przynieść, a od okna, widzicie go państwo, przeciąg idzie. Jeszcze trochę i zupełnie się odoczy korzystania z tej swojej magii! Co najgorsze, wcale nie żądał ani nie robił sobie żartów tylko prosił jakbym była jego dobrą znajomą. W dodatku nigdy nie zapominał podziękować.

- Dziękuję. - Weres żarłocznie zatopił zęby w chlebie.

Mmmm... A fy nie fe?

- Nie.

Wyglądał jakby o siebie się nie bał kompletnie. Ale wystarczyło by sprawy zeszyły na kogoś z jego przyjaciół, chociażby tego szczeniaka, Resta - to ja powinnam się bać. Nie powiem, żebym pozostawała całkiem niewzruszona.

Rest niewyraźnie coś mruknął przez sen i odruchowo ściszyłam głos:

- Gdzie żeś ty znalazł takiego... ucznia?

Czarownik również spojrzał na dzieciaka, ale ze znacznie większą sympatią.

- Na wiosnę kuśnierz z Kręconej ulicy poprosił żebym obejrzał jego syna. Dzieciak na przekór rodzicielskiemu zakazowi zaryzykował ostatnią wyprawę na łyżwy. A na jezioru lód już pękał przy brzegach. Oczywiście, nie wytrzymał. Tyle dobrego, że obok przechodzili myśliwi i wyciągnęli dzieciaka. Lekko kasłał, ale nie było żadnego powodu do niepokoju - odrobina magii, odrobina mleka z miodem i po paru dniach po katarze nie zostanie ani śladu. Już wychodziłem na dwór gdy usłyszałem w ciemnej sieni pod schodami jakieś szuranie, jęki. Nie wytrzymałem, wsadziłem nos, żeby spojrzeć...

Weres odgryzł co najmniej jedną trzecią kromki na raz i przełknął ją, prawie nie przeżuając. Co się z nim takiego działo?

- Okazało się, że na lodzie bawiło się dwóch urwisów: syn gospodarza i chłopak z biednej rodziny, wzięty do terminu. Oczywiście, ten drugi tylko oberwał po uszach i nikt nie pofatygował się, by go rozetrzeć czy napoić gorącym winem. Kiedy powiedziałem, że biedakowi zaczyna się zapalenie płuc, również nikt nie miał zamiaru się przejmować. Co prawda jeden z czeladników się zlitował i pobiegł po jego ojca, ale ten pojawił się wyraźnie podpity, klnąc i machając wyciągniętym ze spodni paskiem. Ledwo udało nam się wypchnąć „troskliwego rodziciela” za próg.

Bardzo wątpiłam by Weres kogokolwiek popychał. Raczej podejrzewałam piękny lot z sieni w otoczeniu srebrzystej aureolki jak u tego magicznego ognika, który posłusznie zbliżył się do stołu razem z czarownikiem.

- W tym momencie kuśnierz urządził awanturę mnie... czy raczej próbował. Że niechby pijaczyna zabrał swoje nikczemne nasienie, bo jeszcze bogowie uchowajcie zdechnie tu pod schodami i potem trzeba będzie od nowa święcić dom. A poza tym gospodarz nie miał zamiaru płacić mi ani za jego leczenie ani za badanie, więc żebym sobie nie robił nadziei.

Leciały sobie dwa ptaszki...

- Tak więc, oczywiście, obroniłeś biedaczka i zabrałeś do siebie - dokończyłam z sarkazmem. - A potem odkryłeś w nim taki talent magiczny, że szkoda było marnować, czyż nie?

- Zdolności ma i to całkiem niezgorsze - spokojnie przyznał Weres. - Za jakieś czterdzieści lat jak najbardziej może osiągnąć poziom bakałarza trzeciego a może nawet drugiego stopnia. Co prawda radziłbym, żeby wybrał wydział magii teoretycznej, co akurat pasuje do jego charakteru. Ale nauka u mnie zdecydowanie odpowiada mu bardziej niż to co proponowało pięciu poprzednich mentorów.

- Czekaj, chyba się pogubiłam... Stolarz, krawiec, kuśnierz...

- Kowal i piekarz. - Weres spojrzał na moją zdumioną twarz i śpiesznie doprecyzował: - O ile wiem u tego ostatniego wytrzymał mniej niż tydzień.

- Nawet mogę zgadnąć dlaczego! - Śpiesznie zagryzłam szok niewielkim kawałkiem chleba, zanim nie zmienił się w niepohamowaną czkawkę.

- Chłopiec po prostu szukał swojego miejsca w życiu - delikatnie zauważył czarodziej, mimo że w oczach tańczyły mu iskierki śmiechu.

- Myślisz, że w końcu odnalazł?

- Miejmy taką nadzieję. W każdym razie ja go nie trzymam, więc jeśli znajdzie coś ciekawszego to tylko się ucieszę.

- Już ja widzę jak ty go wygonisz! - prychnęłam. - Polazł za tobą nawet do leża wilkołaka, żadnych świętości bachor nie zna!

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na mnie i w zamyśleniu zmrużył oczy.

- Szeleno, a czemu mnie... zabrałaś?

...

- *Wilkołaki nie mają duszy ani serca. Tylko udają ludzi i nawet za dnia słuchają zwierzęcych instynktów, więc nie zasługują ani na zaufanie, ani na litość - wyłącznie na śmierć. Jakkolwiek pewny by nie był przyjaciel, zakochana dziewczyna, oddany sługa, mądry starzec, słodkie dziecko, pamiętaj, że to wyłącznie maska. Nie daj się oszukać. Jedyne uczucie, do którego zdolny jest ten stwór, to ból.*

*I właśnie je zaraz od nas otrzyma....*

- Chciałam sobie rozciągnąć przyjemność z twojej śmierci.

- Powiedziałbym, że to nieco nieprzemysłane działanie.

- Weres zaśmiał bez złośliwości, nadal żując chleb. - Teraz ryzykujesz, że w ogóle jej nie doczekasz.

- Nie martw się tak, doczekam.

- Na pewno? Chyba ze starości!

- Wcześniej. O wiele.

- Jesteś pewna? - Czarodziej uśmiechnął się, wpakował do ust ostatni kęs i postawił rękę łokciem na stole zapraszająco otwierając dłoń. - Nie chcesz poćwiczyć?

- Jeszcze przez miesiąc będziesz chodził w łubkach, impertynencie jeden.

Spletliśmy dłonie. Palce Weresa były równie szczupłe jak moje i parzyły, jak gdyby trawiła go gorączka. Ale oczy miał jasne, bezczelne i ręka nie drżała mu nawet o włos.

Na początku siły były mniej więcej równe - kobieta przeciwko mężczyźnie, który ledwo co doszedł do siebie po ciężkiej chorobie. Ale gdy moje mięśnie napięły się do granic możliwości i zaczęły zdradziecko boleć, coś wewnątrz nich poruszyło się, przesunęło jakby urywając wchodzące w drogę więzadło i ręka czarownika coraz szybciej ruszyła w dół. Weres zachmurzył się i przygryzł dolną wargę. Poddaj się póki ci kości nie trzeszczą, nie takich siłaczy kładłam na obie łopatki!

A potem dłoń ukłuły mi jakby igiełki pokrzywę, ręka w jednej chwili omdlała, zakreśliła łuk i z łupnięciem wylądowała na blacie.

- To nieuczciwie! - mimowolnie pisnęłam z oburzeniem.

- Dlaczego? - Weres rozluźnił uścisk i po chwili wahania ponownie sięgnął po bochenek. - Ty korzystasz z siły swojej drugiej postaci, ja z magii. To nie dające się oddzielić części naszej istoty, tak więc wszystko jest jak najbardziej uczciwe. Albo, jeśli spojrzeć na to z innej strony, oboje oszukujemy

W zamyśleniu pomasaowałam nadgarstek. A potem bez słowa podniosłam się i poszłam do siebie.

- Szel, nie obraziłaś się chyba? - zawołał czarownik ze zdziwieniem.

- Nie. Po prostu przyjełam do wiadomości. I nie nazywaj mnie Szel!!!

\* \* \*

W kramie mieliśmy więcej zamówień. Zresztą co tam, musieliśmy odmówić niektórym klientom, a reszta gotowa była zapłacić za specyfiki potrójną cenę. Właściciel z zadowoleniem zacierał ręce i nawet dał mi premię, która była tak poniżająca, że przekazałam ją pierwszemu napotkanemu żebrakowi. On również nie był zachwycony, ale z racji wykonywanego zawodu nic

nie powiedział.

Chorób tej zimy nie było specjalnie więcej niż poprzedniej, ani też nie były cięższe, po prostu ludzie rzucili się do znachora z powodu braku magów. Jeden wyjechał do stolicy w jakichś pilnych sprawach. Drugi niespodziewanie rozpoczął nieustającą popijawę i od tygodnia wychodził z karczmy wyłącznie do domu po pieniądze. Kolejną dwójkę naczelnik miasta publicznie nazwał oszustami i przepędził z Wysiedliska - akurat z tego powodu nikt specjalnie nie cierpiał i odprowadzali ich wyłącznie „wdzięczni” klienci, którzy głośno domagali się zwrotu pieniędzy.

Dzisiaj ponownie musiałam nocować w mieście, tym razem naprawdę z powodu nawału pracy i na prośbę właściciela. Po północy mogłam się nieco zdrzemnąć, ale spałam nie najlepiej, więc bladym świtem ruszyłam do Karsta-e-Lata by zabrać Dymka. Chciałam po cichu wyprowadzić wałacha ze stajni, ale zauważyłam w oknie sklepu światło i zaryzykowałam pukanie do drzwi.

Okazało się, że krasnolud w ogóle jeszcze się nie kładł - wczoraj wieczorem dotarła nowa partia broni i dopiero co skończył ją rozkładać. Doskonale, nie będę musiała chodzić dwa razy.

- Karście, potrzebuję miecza.

- Jakiego? - Handlarz nawet się nie zdziwił. Przez ostatnie parę tygodni na pewno zarobił tyle, co przez bity rok i z wdzięczności powinien był postawić świeczkę w intencji nieznanego potwora.

- Dobrego. Nie krótszego niż trzy i pół piędzi, ale nie dłuższego niż pięć.

- Po co?

- Po kudłaka. - Uśmiechnęłam się krzywo. - Bo mój już jest na wskroś przerdzewiały i tylko nim wróble można straszyc.

- Coś znajdziemy - obiecał Karst niedbale. Żyłkę handlarza, którą trąciłam w jego duszy zdradzały wyłącznie lśniące podekscytowaniem oczy. - Na jaką sumę?

- Chętnie się dowiem, co masz do zaproponowania. A wtedy się zobaczy.

Jeśli powiem krasnoludowi, że mam w sakiewce sto kładni, to za całość sprzedam mi miecz wart dwadzieścia i jeszcze wydrze sobie połowę brody jako oznakę żałoby po tak ogromnej stracie. Niech pokaże klingę zaczynającą się od dwustu czy trzystu i wtedy będziemy się targować.

Karst-e-Lat zaczął zgodnie ze wszystkimi kanonami sztuki wyciągnął spod lady coś zardzewiałego, krzywego i wyszczerbionego, po czym zaczął znudzonym głosem opisywać zalety tej niezniszczalnej klingi, z czego podstawową była wyjątkowo niska cena. (Szkoda wywalać, a nuż jakiś dureń się skusi i naprawdę kupi?) Ale jeśli szanowna klientka naprawdę zainteresowana jest bronią...

- Karście, cenię dobre dowcipy, ale nie mam nadmiaru wolnego czasu.

Rozmowa przeszła do drugiego etapu, zgola przeciwnego. Pokazać nabywcy kolekcjonerskie miecze upstrzone brylantami, po czym oszołomić go niesamowitą choć uczciwą ceną, po usłyszeniu której nawet potrójna wartość zwykłego miecza wyda się śmiesznie niska.

- Oto jest! - Krasnolud wyraźnie krępował się nawet oddychać przy tej broni i z gardłem ściśniętym przez zachwyty stłumionym głosem poinformował mnie: - Druidzki darkan, który zwykli ludzie nazywają „okoniem”. Taki rarytet, że powinienem go nie tyle sprzedawać co pokazywać za spore pieniądze.

- A czy druidzi kują broń? - Odruchowo puściłam mimo uszu aluzję z prośbą o dofinansowanie. Jeśli wierzyć wszystkiemu co Karst mówi, to byłam mu winna wypłatę za cały rok.

- Czarują - poprawił mnie krasnolud. - Kujemy to oczywiście my, bo kto jeszcze umie odlewać i hartować taką stal?

- Elfy.

- Że cooo? - Kupiec niemal podskoczył z oburzenia. - Te uszate nygusy?! U nich to każdy kawałek żelaza ujdzie za miecz, żeby tylko więcej klejnotów na niego nalepić i jeszcze złotym grawerunkiem pomazać! Jak myślisz, kto im dostarcza sztabek?

- Słyszałam, że w ich części Jesionowego Grodu przebiega niewielka żyła rudy żelaza. Na moczarach.

- O właśnie, na moczarach! W grzęzawiskach od zarania dziejów nie było nic

sensownego, same tylko żaby, pijawki i mawki!

- Srebrnoskrzydłe czaple - rzuciłam marzycielsko, wspominając oszukańczo niezgrabny lot czubatej ślicznotki o skrzydłach podobnych do wachlarzy lśniących w słońcu kling, które odbijały się w czarnej nieruchomej wodzie.

- Ja jej tu o świątyni a ona mi o latrynie! - nie wytrzymał krasnolud, zbywając mnie znanym przysłowiem. - Elfy nie mają wartościowej broni, koniec kropka! I w ogóle, niech idą oni wszyscy trollowi w... jaskinię. Ty lepiej spojrzysz tutaj! Pewnie o takim cudzie nawet nie słyszałaś!

Problem polegał na tym, że akurat o darkanach słyszałam wiele, i właśnie dlatego próbowałam grać na zwłokę. I kiedy Karst lekkomyślnie wyciągnął klingę z pochwy, z trudem powstrzymałam chęć by mocno zmrużyć oczy i wciągnąć głowę w ramiona.

Pęd chmielu misternie wyrysowany do ostatniej szyszki i żyłki na liściach w całym swoim majestacie zieleniał wzdłuż wąskiej lekko wygiętej klingi tak ostrej, że jej brzeg wydawał się na wpół przezroczysty. I oczywiście oboje z Karstem doskonale wiedzieliśmy, co to oznacza.

- Gdzieś niedaleko jest pomroka! - wydyszał świszczącym Beptem oszołomiony krasnolud.

Z trudem się powstrzymałam, by z jękiem nie opuścić czoła na złożone na stole ręce. Że też Karst musiał pochwalić się nową zabawką właśnie teraz, gdy naprawdę potrzebowałam miecza! Oj zaraz będzie gorąco... Dostyc wyraźnie wyobraziłam sobie przysadzistego krasnoluda, z bojowym toporem w dłoniach ganiającego mnie dookoła stołu. Brr... Oczywiście nie dogoni, ale nerwów mnie to będzie trochę kosztowało. I przecież nawet nie będzie chciał niczego słuchać - z wilkołakami się nie gada, nie tylko magowie to wiedzą.

Karst podskoczył, wyciągnął zza lady ważącą pełny pud krzyżówkę młota z toporem, włożył hełm i rzucił się obok mnie do drzwi prowadzących na podwórze.

- Oż paskudo, zaraz tu u mnie zatańczysz! - ryknął, już stojąc za progiem. - To gdzie tam łazisz, co?!

Czując się jak skończona idiotka, z westchnieniem złapałam darkan za długą rękojeść bez gardy i powlokłam się za Karstem. Pies ją wie tę druidzką zabawkę, na jaką odległość od wilkołaka pojawia się grawerunek, a jeśli teraz się zmyję to krasnolud wróci z niczym i natychmiast zrozumie, na kogo wskazywała klinga.

Kobiety krasnoludów walczą na równi z mężczyznami, więc Karst ani trochę się nie zdziwił, gdy kuląc się w podmuchach lodowatego wiatru stanęłam za jego plecami. Pochmurny zimowy świt gubił się w ciemnoszarych chmurach, tak niskich, że chyba tylko cudem udało im się w ogóle przedostać nad murami. W centrum miasta powoli budziło się życie, wiatr donosił stukanie kowalskiego młota i zapach świeżego pieczywa, ale tutaj, prawie na samym skraju miasta, w oknach nie było ani jednego światelka. Nawet wrony jeszcze nie zaczęły zlatywać się na wysypisko.

Chrzęszcząc śniegiem, groźnym krokiem ruszającej do ataku piechoty dwa razy obeszliliśmy dom i raz stajnię.

- I jak? - pytał krasnolud co chwilę. - Jeszcze widać?

- Widać, widać - odpowiadałam smętnie, nie bawiąc się nawet w sprawdzanie. Szczęśliwie Karst z takim skupieniem rozglądał się na boki, że mogłabym iść za nim na czterech łapach. - Słuchaj, a może on wyczuł jakąś strzygę na sąsiedniej ulicy? Chodź do domu, bo już zębem na ząb nie trafiam... Poza tym czas otwierać kram, właściciel się będzie gniewał, że klienci nam uciekną...

Krasnolud tylko sapał i fukał z wściekłością, nie reagując na moje tchórzliwe uwagi.

- Najważniejsze to nie pozwolić, żeby dopadła cię od tyłu! To paskudztwo zdolne jest do każdego świństwa! - komentował.

Smętnie spojrzałam na czubek jego głowy w rogotym hełmie, zastanawiając się, czy nie poczęstować biedaka rękojeścią i nie powiedzieć, że tak już było. W sensie, że ktoś zaatakował go od strony pleców, ogłuszył mnie i jego, złapał za darkan i nawiał. Ale nie miałam żadnej praktyki w ogłuszaniu krasnoludów, a jeżeli nie uda się za pierwszym razem to czekała mnie ucieczka na wszystkich czterech łapach aż do samego lasu. Z drugiej strony nie chciałam też przesadzić - koniec końców to, że ktoś nienawidzi wilkołaków nie jest powodem by odpowiadać mu wzajemnością.

Różni ludzie mają różne wady, a przyjaciół wybieramy patrząc na ich zalety, których zwykle jest o wiele więcej. Znacznie prościej było schować kły aniżeli udowodniać wszystkim razem i każdemu z osobna, że jest mi w nich do twarzy.

W mieszkalnej połowie domu zalsniło światło, zaskrzypiały deski podłogowe.

- Kaaarst!

Krasnolud drgnął i wciągnął głowę w ramiona prawie po same rogi na helmie. Za odciągniętą zasłonką ukazała się przyciśnięta do szyby i przez to jeszcze mniej sympatyczna niezadowolona twarz w otoczeniu koronek nocnego czepca.

- Czego tam łazisz bladym świtem? I weź ty mi powiedz, czemu drzwi zostawiłeś otwarte na oścież?! Całą izbę wymroziłeś, ty pieńku brodaty! Zaraz mi zatańczysz, niech ja tylko znajdę walek!

- Zamykałem - z zawstydzeniem mruknął kupiec.

- Ja również - przytaknęłam niezbyt pewnie.

Stuknęła zasuwą wewnętrznych drzwi, ale zamiast spodziewanego potoku przekleństw usłyszeliśmy tak dziki wrzask, że miałam wrażenie, iż na domu podskoczył dach. Sądząc z dźwięku, który zabrzmiał prawie równocześnie z krzykiem, małżonka Karsta jednak znalazła walek. Pytanie tylko, na kim go użyła...

Na wyścigi rzuciliśmy się w kierunku kramu - krasnolud do drzwi, a ja prawie bez namysłu w długim skoku wybiłam najbliższe okno wraz z ramą. Znacznie lepiej wychodziło mi to w zwierzęcej postaci, ale w ludzkiej też nieźle poszło. Przetoczyłam się po podłodze, próbując równocześnie zadbać o trzy rzeczy: nie gruchnąć w ścianę ani w ladę, nie nadziać na własny miecz i nie wpaść wprost w zęby stwora, na którego łbie wylądował walek, budząc głuchy ryk protestu.

Dostrzegłam go od razu. Znacznie więcej czasu potrzebowałam żeby uwierzyć w istnienie czegoś takiego. Krzywy cień na podłodze - i taki sam nad nim, tylko w trzech wymiarach i z jaskrawozielonymi świetlikami oczu. Chwila pomiędzy dwoma uderzeniami serca wydawała się nieskończona, gdy patrzyły one na mnie hipnotycznie jakby należały do węża. A potem znalazły lepszą zdobycz.

Wszystkie szczenięta na tym świecie są takie same - czy to wilcze, czy ludzkie czy krasnoludzkie. Potrafią wyłącznie pętać się pod nogami w najmniej odpowiednich momentach.

Nie zastanawiając się ani chwili - co nie było najmądrzejsze - i nie robiąc zamachu darkanem, na co stanowczo brakowało mi czasu, wolną ręką złapałam za migające szare coś, które do reszty rozmazało się przelatując obok mnie. Hrajk, jednookie bydlę, jakie tam „prawie jak wilkołak”! Łatwiej byłoby złapać jerzyka w locie. Ale zanim zdążyłam pomyśleć „spudłowałam!” moje palce zwały się na czymś kudłatym i sprężystym a mocne szarpnięcie prawie wyrwało mi ze stawu lewą rękę, zmuszając do złapania zdobyczy również prawą. Darkan zadzwonił po podłodze, odtaczając się pod ścianę.

Bardzo wątpię by udało mi się utrzymać stwora, ale oszołomiony moją bezczelnością stanął sam. Powoli, jak gdyby nie do końca jeszcze wierząc w taką profanację odwrócił łeb i zobaczył mój wyszczerz, który może nie robił zbyt wielkiego wrażenia, ale był zrozumiały w każdej postaci. A co tam, możemy zatańczyć! Ryknęłam. Nie cieniutkim głosem naśladowującej zwierzę dziewczyny a solidnie i z uczuciem, z głębi lekko dotkniętego przemianą gardła. Stwór ze zdziwieniem postawił uszy i warknął w odpowiedzi, nie zauważając nawet kiedy krasnoludka złapała dziecko na ręce, uciekła z powrotem do pokoju, zatrzasnęła drzwi i zaczęła z wysiłkiem pchać pod nie coś ciężkiego i skrzypiącego - skrzynię albo komodę.

Istnieją sprawy, które po rozpoczęciu należy koniecznie doprowadzić do końca. Złapana za ogon pomroka stanowczo się do nich zaliczała. Pozornie bezcielesna, ale futro i giętki trzon kręgów pod moimi palcami należały do istoty jak najbardziej realnej, która na dodatek zdecydowanie nie ucieszyła się z mojego nieprzemysłanego postępku.

Jeżeli sytuacja temu sprzyja każdy drapieżnik lubi pobiegać za własnym ogonem, ale jeszcze nigdy nie miałam okazji poczuć się w roli tego ostatniego. Ściany sklepu zwały się w jeden jednolity szary arkusz z jaskrawą kreską-świecą na środku. Szczęśliwie nie tylko mnie zakręciło się w głowie, a stwór nie był giętki jak kot i nie miał możliwości wywinąć się i sięgnąć zębami

swojego a przy okazji również mojego tyłka. Natomiast niespodziewanie runął na bok i próbował kopnąć mnie tylnymi łapami. Ledwo zdołałam zrobić unik i rozumiejąc, że jeśli tylko wypuszczę ogon, natychmiast oberwę od przeciwnika, jednym szarpnięciem wyciągnęłam paskudę na środek pomieszczenia i zakręciłam w miejscu mając nadzieję, że wpakuję ją łbem w piec. Już w połowie obrotu stwór obrócił się na brzuch i wbił pazury w deski podłogi, skutecznie niwecząc całkiem dobry pomysł. Zanim zdążył ponownie się na mnie rzucić, wskoczyłam mu na grzbiet, owijając rękoma grubo kudłaty kark. Niespodziewanie przeciwnik zaskowytał, a dookoła ostro i znajomo zapachniało krwią - chyba czubek mojego buta trafił w ledwo co zasklepioną ranę.

Nie wiadomo co jest gorsze: ciągnięcie potwora za ogon czy jeżdżenie na nim po całym sklepie, zwalając porozkładaną na podstawkach broń. Kilka razy nawet przeturlaliśmy się po podłodze, ale stwór nie był na tyle ciężki, by zrobić coś więcej niż porządnie acz nie śmiertelnie posiniaczyć mi zębra. Przyduszanie paskudy z mojej strony było równie nieskuteczne - pomroki jako takie mogą przez kilka minut nie oddychać, co nie sprawia im żadnych szczególnych problemów, a złamanie karku niedźwiedzia byłoby nawet trochę prostsze. Zresztą swego czasu niedźwiedź również nie poddał się bez walki, ale akurat sam był sobie winny - maliniak służy do jedzenia malin, a nie zbierających je panien.

Ostatecznie oboje wściekliśmy się do reszty - chrypiący stwór ze śliną kapiącą z pyska co i rusz wpadał na ściany, a ja zapomniałam w jakiej jestem postaci i wbiłam kły w bok jego szyi. Bez pełnej transformacji mogły one co najwyżej budzić zdrowy śmiech, nawet wampiry miały dłuższe, ale w zupełności wystarczyły by przebić skórę. Takiego traktowania nerwy mojego przeciwnika nie wytrzymały - proszę wyobrazić sobie odczucia lisa, który wdarł się do kurnika i został zaatakowany przez szczekającą zębatą kurę. Pomroka pisnęła niczym zwykły kundel i zaczęła kręcić się w jednym miejscu jak bąk, po czym z całej siły walnęła bokiem w ścianę. Wisząca o arsyzyn wyżej tarcza zerwała się z gwoźdźca i kantem walnęła mnie po grzbiecie a kudłaka po łbie. Tym razem zawyliśmy równocześnie i rozprysnęliśmy się w przeciwnie strony. Tarcza upadła na środku, zewnętrzną stroną do góry. Mimochodem zauważyłam godło - bóbr przywalony drzewem, znak heraldyczny starożytnego rodu Apehowych, który sławny był przede wszystkim ze względu na ten znak - po czym złapałam tarczę za spiczasty koniec, wpychając szeroki w rozwartą paszczę potwora. Kły z metalicznym szczęknięciem zamknęły się na brzegu tarczy, przebijając ją na wylot. Z głupia frant pociągnęłam ją do siebie, pomroka odruchowo zaparła się łapami, do oporu zaciskając szczęki i z warczeniem potrząsnęła łbem. Zdawało się, że bóbr bardziej wytrzeszczył oczy w obawie, że rozciągniemy go w zwykły płat żelaza.

Pod nogę wpadło mi coś cienkiego, długiego i wyraziście dzwoniącego. Spojrzałam i z mocą odepchnęłam od siebie tarczę, schyliłam się i natychmiast na ukos cięłam powietrze srebrną klingą. Krótki, niespodziewanie słaby opór i darkan w niepowstrzymanym locie wzniosł się pod sufit, a ja prawie padłam na plecy z trudem wytracając zbyt mocny zamach.

Pomroka drgnęła całym ciałem jak gdyby ktoś niespodziewanie oblał ją lodowatą wodą. Niepewnie podniosła przednią łapę... I ciężko upadła na bok. Tarcza zadzwoniła na podłodze jak ogromny metalowy talerz. Łeb dalej wisiał na jego brzegu świecąc szklistymi oczyma. Z trudem zmusiłam się by oderwać od niego spojrzenie, odruchowo przeciągnęłam dłonią po wargach ścierając krew... i zobaczyłam bladego jak płótno Karsta-e-Lata, który wcisnął się w kąt koło drzwi. Chyba stał tak przez cały czas, z ledwością nadążając wzrokiem - nie mówiąc już o wtrącaniu się - za moim pojedynkiem z pomroką.

Czy raczej wściekłą walkę dwójki pomrok.

Bokiem, ciężko dysząc i nie spuszczać z krasnoluda oczu przemknęłam koło niego ku drzwiom. Płatnerz nawet się nie poruszył, nadal desperacko ściskając rękojeść uniesionego topora. Wyraz twarzy na pewno miał taki sam jak ja, gdy po raz pierwszy zauważyłam to na wpół przezroczyście paskudztwo.

Zimny wiatr smagnął mi twarz, czochrając i bez tego roztrzepane w walce włosy. Od jej rozpoczęcia nie minęło nawet pięć minut, miasto nadal tonęło w półmroku, czepiając się słodkiego snu przed świtaniem. Śpiesznie i bez ceregieli wyprowadziłam ze stajni Dymka, który zwyczajowo stroił fochy, ale byłam zbyt rozgorączkowana by wskakiwać na siodło, więc po prostu pobiegłam



ulicą dostosowując się do prędkości wałacha i trzymając go za ogłowie.

Bogowie, jak ja tego nienawidziłam! Raz za razem palić za sobą z takim trudem zbudowane mosty i odchodzić słuchając, jak jękliwie trzaskają trawione płomieniami podpory. Udawać, że tam za plecami w zasadzie niczego nie było i wszystko prócz życia to drobiazg...

Wyłącznie udawać.

... - *W pewnym sensie robimy jej nawet przysługę...*

I wszystko przez tego przekłętą czarownicę! Po kiego leszego nie przydusiłam go jeszcze w parowie, gołymi rękoma albo kłami skoro już tak bardzo chciałam zobaczyć krew? Po co mi była ta cała komedia z „uczciwym pojedyńkiem”?

Starczy, mam dosyć! Dziś. Teraz. Nieważne w jaki sposób. W końcu jestem potworem bez uczuć i litości. Czas spełnić pokładane we mnie oczekiwania.

Krążące w niebie stadko wron niezgodnie uderzając skrzydłami rzuciło się do ucieczki, śpiesznie nabierając wysokości. Szelest szcurów w domach i hałdach śmieci w jednej chwili ucichł, ale za to w oddali zawyły rozjuszone psy. Dymek próbował stanąć dęba a następnie się wycofać, ale równie skutecznie buntować mógł się osiodłany królik.

Ludzie mojego wrzasku nie usłyszeli.

Poczułam się odrobinę lepiej. Z poczuciem winy poklepałam chrapiącego wałacha po szyi i dopiero teraz zrozumiałam, że nadal desperacko ściskam rękojeść zakrwawionego darkana. Zrzucić go byle dalej w śnieg i zapomnieć? Szkoda, taka zabawka kosztowała ponad tysiąc kładni, a jeszcze go znajdzie jakiś bandyta. Oddać Karstowi? Trzy razy hahaha! I niby jak to sobie wyobrażacie? Uchylić drzwi sklepu, wepchnąć w szczelinę rękę z mieczem i z poczuciem winy wydukać: „Znaczy... przypadkiem zabrałam... niech się państwo szanowni nie gniewają”? Poza tym krasnolud na pewno pobiegł po strażników.

No dobrze, potem znajdę sposób żeby mu przekazać broń, w najgorszym razie wyślę pocztową karocą. Uspokoiliam sumienie, owinęłam klingę szarfą, zrzuciłam ją w poprzek końskiego grzbietu i wskoczyłam na siodło.

- Dymku, do znachora. Wiem, ryzykujemy, ale czekanie na zaśnieżeńską<sup>2</sup> pensję to pomysł jeszcze głupszy, więc trzeba zgarnąć sobie to i owo w ramach rekompensaty.

\* \* \*

Nie zapalałam lampy: w ciągu trzech lat pracy nawet ślepy by się nauczył, co stoi na której półce. Większość zarobku właściciel wieczorem zabierał do domu, zostawiając w ściiennej skrytce wyłącznie drobniaki na wydawanie reszty następnego ranka, które wygrzebałam teraz bez najmniejszych wyrzutów sumienia. No to połowę pensji już sobie odbiłam. Teraz tylko zgarne srebrny puchar i jesteśmy kwita.

Otworzyłam szafę i niedbale przeciągnęłam ręką po szeregu flakoników, które pospadały na podłogę, odsłaniając stojący za nimi drugi rząd bez etykiet. Wyciągnęłam stamtąd z dziesięć buteleczek, które powrzucałam do torby. W ślad za nimi udało się kilka woreczków z dolnej szuflady. Zielarz i tak nie znajdzie zastosowania dla tych ziół i wyrzuci je albo spali jako zapaskudzone

<sup>2</sup> zaśnieżeń - pierwszy miesiąc zimy przez pomrokę, a ja nie miałam najmniejszej ochoty czekać na lato i ponownie wykopywać niedostępne w tej chwili korzenie czy pilnować otwierającego się pąka gwiazdolistu, który kwitł przez całą półtorej godziny w jedyną noc w roku.

Mimo wszystko straciłam jeszcze kilka minut, zamknęłam drzwi i ze złością wsadziłam klucz do szczeliny nad futryną. Na swój sposób zielarz był wobec mnie uczciwy, rozrzucone flakoniki pozbiera, a po wizycie wszędobylskich miejskich złodziejasków zostałyby mu niezbyt wiele.

Póki ja grzebałam się w kramie, Dymek zdążył ściągnąć narzucony na kolek postronek i odejść spory kawałek, ale słysząc pełne irytacji wołanie posłusznie się zatrzymał. Przerzuciłam torbę za plecy i rzuciłam jego śladem, po czym prawie nosem w nos wpadłam na Szaliskę. Z irytacją warknęłam jak zwierzę i zalsniłam spojrzeniem na ludzika, który miał pecha trafić mi pod nogi. Następnie z nieudawanym zdumieniem - acz bynajmniej nie ze skruchą! - zauważyłam, że

babka siedzi na wysokim studziennym żurawiu. Belka wyrażała swój protest skrzypieniem i płynnie chwiała się tam i z powrotem. Desperacko wczepiona w nią Szaliska do złudzenia przypominała wiedźmę na miotle, próbującą wrócić z sabatu przed wschodem słońca.

- Jak tam plecy, proszę szanownej pani? - Nie mogłam się powstrzymać i zagaiłam uprzejmą konwersację. - Widzę że już w najlepszym porządku?

- Jjjak rękka odjjjął, dddziecko... - potwierdziła babka, zadziwiająco dźwięcznie szczękając niewielką ilością pozostałych zębów, bez cienia nadziei rozejrzała się dookoła, po czym cieniutko i desperacko zawyła: - Święć, święć... przepaaaadnij!

Widocznie bycie jedynym świadkiem wydarzenia okazało się wcale nie takie przyjemne, jak się Szalisce wcześniej wydawało. Przekręciłam głowę i bez obawy obejrzałam najpierw krzyżyk na łańcuszku, a potem taniutki amulet z zakopconym kurzym pierzem, który sprawił, że oblizałam wargi, a babka straciła resztki rezonu .

- Może pomóc? - z gotowością złapałam za słup i lekko nim zachwiałam.

Szaliska energicznie potrząsnęła głową, jeszcze mocniej łapiąc się drewna.

- No jak sobie szanowna pani chce. W razie czego jestem tu niedaleko, proszę tylko zawołać!

Ruszyłam w kierunku konia, po drodze kilka razy wymownie się oglądając. Babka zachowywała dumne milczenie. Ale nic to, za parę godzin odbije sobie z nawiązką!

Niespiesznym truchtem zniknęłam za rogiem i po przebyciu dwóch ulic puściłam Dymka ciężkim galopem, ściągając wodze dopiero w odległości kilku domów od miejskiej bramy.

Przynajmniej w czymś miałam dziś szczęście - wściekli z niedospania strażnicy sprawdzali ciąg sani kupieckich i prawie nie zwrócili na mnie uwagi.

Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że mijam bramę Wyszędziska po raz ostatni, mogłam za to ręczyć.

\* \* \*

Tak, najpierw pieniądze. Nie było ich specjalnie wiele, w skrytce pod podłogą zebrało się coś koło pięćdziesięciu kładni, ale na początek powinno wystarczyć. Oczywiście ubranie na zmianę, około dziesięciu różnych drobiazgów i eliksiry - tyle ile zmieści się w torbach przy siodle. Ale co niby miałam zrobić z kozą? Ciągnąć za koniem na sznurku? A może w ogóle zaprząć Dymka do sań, załadować je z górką różnymi śmieciami, takimi jak poduszki, kadzie czy ziemniaki - a tak między nami, w piwniczce pozostało jeszcze półtora worka, kupionego za z trudem zarobione pieniądze i szkoda je tak zostawiać!

Oj wilkołaczko, rozbawiłaś się, a przecież tyle razy musiałaś uciekać mając na sobie wyłącznie własne futro i myśląc tylko o nim... Ale jeżeli miałam odrobinę czasu, to czemu nie zaaranżować podróży z maksymalnym komfortem? Strażników czekało najpierw sprawdzenie Wyszędziska, następnie dojście do tego, że zmarnowali w ten sposób czas... I dopiero potem zbierze się podjudzany przez krasnoluda i Szaliskę tłum, którego ilość przejdzie w jakość, czyli głupią odwagę - bo w końcu mało kto ma ochotę wychodzić z miasta do ciemnego lasu na spotkanie z wilkołakiem... Na pewno miałam w zapasie coś koło godziny.

Desperacki urywany krzyk dziecka równocześnie przeszył mnie do kości i oblał gorącym zanim nie uświadomiłam sobie, że nie był ludzki. Gdzieś z przodu, strącając z gałęzi grudki śniegu, nad drzewami uniosło się wrzeszczące z niezadowoleniem stadko srok. Poleciały sprawdzać co tam się dzieje bez ich wiedzy i czy nie dałoby się uszczknąć kawałka.

Zeskoczyłam z konia, przywiązałam wodze do sosnowej gałęzi i za zaśnieżonymi krzakami podkrađłam się prawie do samego domu. Spojrzałam, powąchałam i ze złością splunęłam w śnieg.

Leże otoczone było przez uzbrojonych ludzi. Bardzo profesjonalnie podkrađali się równocześnie ze wszystkich stron. Dziesięć osób, nie licząc czterech psów na smyczach: wielkich rudawych wilczurów, które pokazowo szczyrzyły zęby. Może ten gatunek i nadawał się do walki na jarmarkach, ale nie radziłabym zabierać ich na polowanie na wilki. Po pierwsze, smukłe drapieżniki bez trudu prześcigały przyciężkie psy. Po drugie, tak samo łatwo je zabijały. Po jednym, zmęczony i rozciągnąwszy sforę w łańcuszek po długim pościgu.

A wilkołaków bały się wszystkie psy bez wyjątku.

Mosty zajęły się płomieniem i runęły nie tylko za moimi plecami ale i z przodu, pozostawiając mnie na otoczonej ogniem polance. No cóż, nic nowego. Aż dziwne, że potrzebowali mi to całych trzech lat. Zwykle znajdowali mnie już po paru miesiącach. Najprościej byłoby roześmiać się i uciec, ale bardzo chciałam zobaczyć jak myśliwi odmrażają sobie kończyny czekając aż wrócę z pracy. I co powie im czarownik, który to wszystko zaczął. Bo nie było nikogo więcej.

Przyjrzałam się dokładniej. Chyba dopiero co przyszli, jeszcze nie zdążyli przyzwycząić się do miejsca i z obawą rozglądali dookoła, bawiąc się wyciągniętymi mieczami. Wśród nich dostrzegłam również strażnika Sweńkę, który niedawno awansował na dziesiętnika. Trzeba przyznać, że akurat on rozglądał się ze znacznym hałasem i przekleństwami.

Weres spokojnie siedział w progu z naładowaną kuszą na kolanach. Resta nie było widać.

- No cóż, dobrzy ludzie, czego tu szukacie? - cicho zapytał czarownik. - I czego wam tu trzeba?

Sweńka splunął z pogardą i wskazał mieczem - trzeba przyznać, że wcale przyzwoitym, że srebrnym paskiem wzdłuż ostrza, pewnie właśnie tym, który kiedyś zgarnął od Weresa:

- A właśnie ciebie nam trzeba, ty czarnoksiężskie paskudztwo! Starczy tego podnoszenia cmentarzy i szczucia truposzami uczciwych ludzi, nekromanto ghyrowy!

Weres nawet nie poruszył brwią, a mnie kompletnie zatkało.

- I skąd też, uczciwi ludzie, wiecie, komu przedstawiać pretensje za te nieczne czyny?

- Już my wiemy! A gdzie twoja dziewczka?

- Jaka dziewczka?

- A taka! Wilkołaczka! Z którą się zajmujesz wszelakimi bezceństwami przy świetle księżycy!

Leżąca na boku koza z trudem uniosła łeb i ponownie krzyknęła. Ech Majko, tyle było twoich humorów... Najbliższy strażnik zerknął na nią, wygodniej złapał rękojeść miecza, ale nie zdecydował się dobić, przerywając w ten sposób przemowę dowódcy.

Czarownik uśmiechnął się:

- Panowie mi schlebiają, ale ona tu od dawna nie mieszka. Wolę zabijać wilkołaki a nie... zajmować się z nimi.

Aż poczułam, że mnie coś za serce łapie. I wyszłam z krzaków tuż kolo Sweńki.

Chyba zrobiłam mu w ten sposób przyjemną niespodziankę. No dobra, o tę przyjemną się nie założę.

W dyskusji nastąpiła niewielka przerwa - wilczury z piskiem rzuciły się do ucieczki, ciągnąc za sobą właścicieli. Jeden zdążył wypuścić smycz, ale za to drugi zniknął w śnieżnej dali miotając się i krzycząc.

- Witam ludzi uczciwych i niezbyt - powiedziałam głosem całkiem dalekim od uprzejmego, po czym po pańsku złożyłam ręce na piersi. - Ale czemu tak stoicie na mrozie? Może byście weszli, napili się herbatki ze wczorajszymi bułeczkami... na odchodnym. Dla was to przyjemność, a mnie potem nie będzie tak bardzo wstyd.

Sweńka z bliska obejrzał sobie bezczelną (i bezbronną) pannę i jako pierwszy doszedł do siebie.

- Ty suko nie miał językiem tylko nadstawiaj ręce, będziem cię wiązali! - Dziesiętnik potrząsnął cienkim srebrnym łańcuszkiem.

Hm, coś nowego. Od kiedy to wilkołaki znalazły się w zwoju gatunków rzadkich i chronionych, które należało wyłącznie odławiać i wysiedlać?

- Odważni jesteśmy - pochwaliłam go beznamiętnie. - Ruszyli w dziesięciu na wilkołaka. Ledwo co w dziesięciu. A za sukę to mogę gardło wydrzeć. Gołą ręką. Nie boisz się?

- Przestraszyła chłopca... - zaczął.

- A szkoda - dokończyłam obojętnie, schylając się i wycierając dłoń garścią śniegu.

Strażnik jeszcze przez chwilę stał i bulgotał z wywróconymi oczyma, po czym jak kłoda runął na ziemię. Podniosłam miecz i w zamyśleniu obróciłam go w rękach. Cięższy od darkana, ale

nienajgorzej wyważony, wyglądał również całkiem przyzwoicie.

- Słyszałam, że zaczarowany? No to zaraz sprawdzimy.

Rękojeść lekko paliła w dłoń ale leżała w niej jak ulał. Delikatnie i ostrożnie przeciągnęłam klingą przed twarzą, po czym jak wilk obnażyłam górny rząd zębów, uśmiechem zapraszając zebranych by dotrzykali mi towarzystwa.

Ilość miłośników istot żywych gwałtownie spadła. Zresztą entuzjastów również zrobiło się mniej. Ciekawa jestem dlaczego ludzie z taką przyjemnością obserwują publiczne tortury i kaźnie po czym robią się całkowicie zieloni na widok względnie szybkiej i bezbolesnej śmierci od kłów czy pazurów wilkołaka? Bo ja osobiście wolałabym to drugie.

Niespodziewanie ręka zadrzała mi w znajomym skurczu. Syknęłam przez zęby. No oczywiście. Pchanie się do legowiska czarodzieja bez wsparcia któregoś z jego kolegów było całkowitą głupotą. Z uporem nie puściłam miecza i razem z nim pochyliłam się ku ziemi, po czym desperacko omiotłam spojrzeniem podchodzących coraz bliżej ludzi i natychmiast odnalazłam swojego głównego przeciwnika, a raczej przeciwniczkę - grubą niechlujną kobietę wyglądającą na kramarkę, o maślanych oczkach małych jak pestki. Z wyciągniętej do przodu pięści zwiślał jej jakiś wisiorek.

Niespodziewanie amulet razem ze sznurkiem zajął się płomieniem, a wiedźma krzyknęła i rozluźniła palce, po czym szybko poklepała się po obfitych piersiach, gasząc skry, które przeskoczyły na ubranie. Weres nadal w zamyśleniu skubał podbródek i tylko źrenice rozszerzyły mu się do tego stopnia, że oczy wydawały się czarniejsze od otaczających głowę włosów.

Gwałtownie się wyprostowałam i machnęłam mieczem w kierunku ludzi, którzy odskoczyli do tyłu. Któryś szczególnie wrażliwy nawet usiadł tyłkiem na śniegu, po czym nawet nie wstając odpełznął precz.

Tymczasem wiedźma wyeliminowała źródło zapłonu, złożyła Weresowi ironiczny ukłon, odwróciła się i niezgrabnie ruszyła z powrotem w kierunku miasta, odpowiadając na niepewne zawołania swoich towarzyszy wyłącznie wzruszeniem ramion: że niby w umowie nic nie było na temat przeważających sił wroga, a handel orzeszkami na rynku to jednak spokojniejszy interes.

- No cóż, przynajmniej jeden mądry człowiek wśród tej całej hałastry - skomentowałam.

Niestety na tym zapasy zdrowego rozsądku w szeregach naszych przeciwników się skończyły. Zamiast przeprosić i dotrzymać towarzystwa damie, która szybko zniknęła pomiędzy drzewami, ludzie nierozsądnie uznali, że jeśli rzucą się do ataku niespodziewanie i wszyscy na raz to sukces mają w kieszeni.

Kobiecy czar - a przynajmniej chciałabym mieć nadzieję, że był to właśnie on - ściągnął na mnie nadmierną uwagę sześciu strażników z dziesięciu, ale miałam wrażenie, że Weres nieszczególnie się z tego powodu obraził. Szczęknęła zwalniana cięciwa kuszy. Z odległości dziesięciu kroków belt przebił kolczugę jak pergamin i tylko coś mlasnęło. Kula ognista, która z powodu bladoniebieskawej barwy wydawała się lodowa, ukazała się jeszcze bardziej efektowna, wieszając krzyczącego różne nieprzyzwoitości i wywijającego kończynami strażnika na rozłożystej jabłoni.

Trzeźwo oceniłam sytuację i wybrałam mniejsze zło z dwojga - pozwoliłam, by przycisnęli mnie do ściany domu a nie zamknęli w pierścieniu. W ten sposób przynajmniej nie musiałam martwić się o plecy i obawiać więcej niż trzech przeciwników na raz, bo tylko by sobie nawzajem przeszkadzali.

Problem polegał na tym, że jeden z tej trójki zamiast jednoręcznego miecza miał półtoraka, który był na trzy piędzi dłuższy od mojej klingi, z czego przeciwnik beczelnie skorzystał, próbując ukłuć mnie pozostając poza zasięgiem, podczas gdy pozostała dwójka podchodziła z boków próbując ściągnąć na siebie moją uwagę. Jeden cios rozpruł mi rękaw i do krwi przeorał przedramię, a drugi prawie pozbawił warkocza, ale gdy sytuacja ostatecznie przestała mi się podobać, poruszył się dach. Nie, byłam jak najbardziej przy zdrowych zmysłach i nawet nie był to cały dach jak na początku z przerażeniem pomyślałam, tylko gruba na półtora arszyna warstwa przykrywającego go śniegu. Lawina zleżałych grudek zabębniła po ramionach i hełmach ludzi i na kilka chwil mnie od nich odgrodziła. Skorzystałam z okazji i używając śniegowej osłony

przebiegłam wzdłuż ściany do węgła, po czym niespodziewanie wynurzyłam się z chmury białych okruchów i zaatakowałam zbaraniałych strażników z boku, dwoma ruchami miecza zmniejszając ilość przeciwników o jedną trzecią.

Gdy śnieg osiadł na ziemi, jedyny strażnik, któremu udało się dostać do czarodzieja, ze sporym niezadowoleniem uświadomił sobie, że z zapalem dusi stojącą przy ganku miotłę. Prawie natychmiast Weres wypróbował na nim sztuczkę, na którą ja nie zdecydowałam się w przypadku Karsta - z rozmachem wałnęła go w potylicę brzoźwym polanem. Wystarczyło.

Jeden z przeciwników spróbował zająć mnie od lewej, ale błyskawicznie pochyliłam się w jego kierunku, z łatwością uniknęłam niezgrabnego pchnięcia mieczem, po czym wzięłam zamach i uderzyłam go dłonią w twarz. W chwili unoszenia ręki była ona jeszcze cienka i kobieca, ale cios odrzucił strażnika na odległość przynajmniej sążnia. Niespecjalnie śpieszył się też ze wstawianiem, tocząc się po ziemi i z wyciem zakrywając ręką policzek naznaczony pięcioma bruzdami po pazurach.

Pozostała trójka uparcie zwarła szeregi i pogoniła mnie przez całe podwórze, ponownie próbując przyprześć do ściany - tym razem szopy. Ale w odległości paru sążni od niej niespodziewanie zatrzymali się i zauważalnie stracili serce do walki, po czym z dziwnymi minami zrobili krok w tył. Rzuciłam spojrzenie przez ramię - a może to pułapka? - i nerwowo drgnęłam. Dwa kroki za moimi plecami stał czarownik. Leszy wie w jaki sposób udało mu się podejść mnie całkowicie niesłyszalnie, ale robił potężne wrażenie. Prawie dołączyłam do grupy zamartwych z wrażenia ludzi, z tchórzliwą nadzieją, że się wśród nich ukryję. W bezdennych źrenicach Weresa ni to kłębiła się biaława mgiełka, ni to odbijały rozbłyski wiszącej pomiędzy jego dłońmi kuli pokrytej pajęczynką misternie splecionych ładunków energii. Nie miałam ochoty pytać ani sprawdzać w praktyce do czego jest ona zdolna. Czarownik również nie śpieszył się z wyjaśnieniami tylko po prostu stał sobie, powoli przenosząc z jednej twarzy na drugą niemrugające spojrzenie, które ciągnęło miecze do ziemi nie gorzej od wiedzmięgo amuletu.

- No cóż... - rzucił w końcu ochryple. - Będziemy kogoś brać żywcem czy nie warto marnować czasu?

Odzyskałam rezon i ponownie zwróciłam się w kierunku przeciwników:

- Chłopaki, to jak? Poddajecie się czy grzebiecie na koszt miasta?

Wspomnienie o zbiorowisku przekrzywionych nagrobków na błotnistym ugorze za Wsiedliskiem skutecznie pomogło strażnikom dokonać wyboru pomiędzy bohaterską śmiercią, a wstydliwą porażką. Nie mieliśmy czasu, by zdejmować z drzewa ich kolegę, który z uporem udawał martwego (hej, proszę szanownego pana, kogo próbuje pan oszukać?!), więc ograniczyłam się do uważnego pilnowania wiążącej siebie nawzajem trójki, a następnie wpakowałam miecz pod pachę i własnoręcznie przymocowałam ich do cierpliwie wszystko znoszącej jabłoni.

Rest zjechał na tyłku z dachu i wylądował w śnieżnej hałdzie, po czym wyminął mnie i rzucił się do drżącej kozy. Kula energii rozpadła się na pół, zmieniła w świetliste obłoczki i ukryła z powrotem w dłoniach czarownika, który natychmiast zmarkotniał, przygarbił się, opuścił głowę i przytrzymując się ręką ściany przybudówki z trudem pokuśtykał z powrotem do ganku.

Rest cofnął się kiedy wetknęłam w ziemię miecz tuż przed jego nosem. Przysiadłam obok kozy i delikatnie uniosłam jej łeb, położyłam go na kolanach. Majka zaczęła poruszać przednimi nogami i krzyknęła z bólu próbując się podnieść. Odczekałam aż się uspokoi, pogłaskałam... złapałam wygodniej i gwałtownie skręciłam.

Chrupnęło, koza ostatni raz uderzyła kopytami i zwiotczała.

Dzieciak pisnął. Ze wstrętem zrzuciłam martwy łeb z kolan, wstałam i ruszyłam w kierunku domu, rzucając przez ramię:

- Wiedźma albo tamten, któremu psy zafundowały przejażdżkę z wiaterkim, na pewno sprowadzą pomoc. Albo też spotkają się z nią w połowie drogi. Tak więc nie siedźcie tu zbyt długo, pakujcie manatki i się stąd zabierajcie. Im dalej tym lepiej.

- A ty?

- Nie twoja sprawa - burknęłam, nurkując do sieni.

Na krześle leżała torba z miękkiej skóry o gorzkim nieznanym zapachu, który przebiegały

znacznie mocniejsze: Weresa i ziół. Okrągła brązowa klamra ozdobiona misternym wzorem, uprzedzała potencjalnych złodziei, którzy połaszczyliby się na zawartość, o wieeelkich nieprzyjemnościach.

Chyba nasza nocna rozmowa sprawiła, że czarownik również chwilę się zastanowił i zadbał o to i owo.

Gdy się spakowałam i wyszłam na dwór, Weres stał koła ganku. Wyglądał nie najlepiej - twarz bez jednej kropli krwi, ciężki urywany oddech, chociaż chyba nie planował mdleć. Dzieciak tulił się do jego boku, ściskając miecz ze srebrną wstęgą wzdłuż ostrza i bojaźliwie spoglądał na przemian na mistrza i na mnie. Jasne, akurat jesteście mi potrzebni... Zrzuciłam torby na koński grzbiet, poprawiłam przekrzywiony darkan i skoczyłam na siodło. Dziękujemy serdecznie, do nieprędkiego zobaczenia, miło było się z wami pożegnać!

- Szeleno, wróć.

Powiedział to spokojnym tonem, nie podnosząc głosu, doskonale świadom, że i tak usłyszę. I to rozwścieczyło mnie najbardziej. Już zaraz, biegnę i pędzę...

Srebrna gwiazda natrętnie zagwizdała mi przy uchu i na jedną trzecią zatopiła w oblodzonym pniu. Dymek strachliwie położył uszy po sobie, uciekając ze ścieżki w kopny śnieg. Bezdźwięcznie zakląłam i pociągnęłam za wodze, zmuszając konia by zatoczył półkrąg.

Mężczyzna stał w tym samym miejscu i nadal trzymał ręce w kieszeniach. Nie wątpiłam jednak, że druga gwiazda wbije się w drzewo z identyczną prędkością i celnością. O ile oczywiście nie wybierze sobie ciekawszego celu.

Cmoknęłam i trąciłam konia obcasem. Powoli objechałam czarownika dookoła. Nie poruszył się o włos, nawet nie odwrócił głowy.

- Trzeba przyznać, że wybrałeś odpowiedni czas by wyrównać rachunki.

- Szel, potrzebuję twojej pomocy.

Roześmiałam się krótko i obraźliwie, ukrywając zdziwienie.

- A nie wydaje ci się przypadkiem, że i tak już nadużyłeś mojej... hm... dobroci, o ile możemy zastosować to słowo do wilkołaka?

- Przyszli po ciebie - ciągnął, jak gdyby nie słysząc moich słów. - Wiedzieli, kim jesteś.

- I nawet domyślałem się skąd - pogardliwie skinęłam w kierunku Resta.

- Nieprawda! - Dzieciak podskoczył, ściskając pięści z niezasłużonej obrazy. - Nikomu nie mówiłem!

Chyba nie kłamał. Ale to już nie miało znaczenia.

- I co z tego?

- Obawiam się, że ktoś nie zasmakował w tych twoich zdechłych wronach... czy też może uraziły jego powonienie.

Wzgardliwie uniosłam górną wargę, pokazując wydłużone kły.

- Mało komu się podobam, z wronami czy bez.

- Ale wcześniej nie zastawiali na ciebie magicznych pułapek i nie szczuli kudłakami.

- Wcześniej nie znosiłam do domu różnego paskudztwa.

Weres się nie obraził. Albo po sobie nie pokazał, ciągnąc dalej tak samo łagodnym tonem:

- Przyznaję, byłem głupi. Wczoraj wysłałem Resta, by zabrał pewne rzeczy od znajomego handlarza, dając mu notatkę z pełnomocnictwem ze swoim podpisem. Przedtem nikt nie wiedział, że żyję. Ale na ciebie polują od dawna. Niedbale, jakby na marginesie innych zajęć, ale polują. I chcą właśnie złapać, a nie zabić.

- Psy i srebrne łańcuszki nie pomogą w złapaniu wilkołaka.

- A pułapka? Wydaje mi się, że strażnicy byli tylko sprawdzianem. Ten kto ich przysłał niezbyt wierzył, że faktycznie jesteś wilkołakiem, a do tego prawdziwym, czyli zdolnym zmieniać i kontrolować obie postacie zgodnie ze swoim życzeniem. Szel, doskonale się zamaskowałaś, ale teraz powinnaś się spodziewać poważnego przeciwnika.

- Nie nazywaj mnie Szel, czarowniku! - ryknęłam, ponieważ nie wiedziałam, co odpowiedzieć na takie rewelacje. Ta łamigłówka istotnie nie dawała ułożyć się w inny sposób.

- Nie nazywaj mnie czarownikiem - odpowiedział. - Jestem magiem. Tak między nami,

bakalarzem pierwszego stopnia.

- I czym niby mag różni się od czarownika? - spytałam z sarkazmem.

- Niczym. Tak samo jak Szel od Szeleny. Rozumiemy się?

Prychnęłam ze złością i odwróciłam się, ale nie poganiałam Dymka.

- Czyli Szel - podsumował paskudny czarownik. - Słuchaj, razem będziemy w mniejszym niebezpieczeństwie.

- Nie jestem pewna. I w ogóle, czemu ty się do mnie przyczepiłeś?! Biegnij, poskarż się w tym twoim całym Kontyngencie Magów, że ciemnogród i chłopci cię biją, nazwali nekromantą! Pewnie szybko zrobią z nimi porządek!

- Nie Kontyngent tylko Konwent! - z oburzeniem wtrącił dzieciak, ale zauważył lekki uśmiech na wargach mistrza i zrozumiał, że dał się głupio sprowokować. Czerwony jak burak przestał wtrącać się do naszej rozmowy.

- Nie mogę. - Zwyczaj Weresa by odpowiadać poważnie i ze wszystkimi szczegółami na wyraźnie złośliwe pytania mógł każdego doprowadzić do szału. - Po pierwsze, to nie był spontanicznie zebrany tłum, tylko strażnicy, którzy działali na rozkaz naczelnika miasta, czyli z błogosławieństwem miejskiego maga. A po drugie, nie jestem członkiem Konwentu.

- Jak to...? - Zatkąło mnie. Każdy absolwent szkoły czarodziejstwa automatycznie był wcielany do Konwentu, a mówiąc prościej gildii magów, w podzięcie za jej opiekę wpłacając doroczne składki. Weres nie wyglądał na samouka, ucznia również szkolił wyraźnie zgodnie z programem szkolnym, zresztą zaliczenie egzaminów eksternistycznie prawdopodobnie nie byłoby dla niego specjalnym problemem.

- Wygnali mnie. - Odpowiedź zabrzmiała zwyczajnie, jak przyznanie się do kolejnego stłuczonego kubka a nie najbardziej wstydlivej dla dowolnego maga kary.

- Za co? - przypomniałam sobie jak Weres i miejski mag wpadli na siebie w drzwiach karczmy i nie raczyli jeden drugiemu nawet skinąć głową, ale wtedy złożyłam to na karb zwykłej nieprzyjaźni pomiędzy konkurentami.

- Za wszystko co dobre.

No i tyle. O ile zdążyłam się przekonać, Weres mógł gadać w ten sposób w nieskończoność, z niezmiennie beznamiętnym wyrazem twarzy i całkowicie enigmatycznie. Ale i tak się nie powstrzymałam:

- A może za parszywy charakter?

- I za to również - potwierdził spokojnie. Chyba wygnanie z Konwentu kompletnie go nie martwiło, choć czasem rodziło smutne, acz dające się znieść problemy. Jak na przykład ten obecny.

- Czyli nam pomożesz?

- Czego ode mnie chcesz?

- Odprowadź nas z Restem przynajmniej do Białej.

Z namysłem poczochnęłam końską grzywę. Trzeba przyznać, że pomysł był sensowny. Najpewniej będą szukali nas w Starej Belce lub Pięknicach, czyli dwóch dużych siołach znajdujących się w równej odległości stąd na północ i południowy zachód. Nazwę Biała nosiła natomiast mała osada drwali na brzegu rzeki, po której w ciepłych porach roku spławiano bale. Znajdowała się trochę dalej, około siedmiu godzin szybkim krokiem i to nie drogą tylko poplątanymi leśnymi ścieżkami. Ale to w lecie, teraz będzie dobrze jeśli dotrzemy na miejsce po upływie doby. Zresztą rzeczywiście było nam po drodze. Tak czy siak miałam zamiar przenieść się do Belorii, a najłatwiej było okrążyć Jesionowy Gród właśnie od północy, akurat w pobliżu Białej.

- A potem się ode mnie odczepisz?

- Słowo maga - odrzekł Weres, a potem natychmiast się poprawił: - Oczywiście do następnego spotkania.

- Kto by w to wątpił! - Wyszczrzyłam zęby, niechętnie złączając z nagrzanego siodła.

Przytrzymałam Dymka za ogłowie, wyczekując patrząc na czarownika. Skrępowany, najpierw zaczął się wymawiać, ale odpowiedziałam na to pogardliwym grymasem. Jeżeli już mieliśmy dostosowywać się do prędkości pieszego człowieka, niech będę to ja albo dzieciak, a nie potykający

się na każdym kroku ozdrowieniec.

Ostatecznie wsadziliśmy Weresa na konia, Rest pobiegł po torbę i złapał Dymka za uzdę. Ja ruszyłam przodem, wytyczając drogę. Nie znałam ludzkich ścieżek, ale bezbłędnie określiłam odległość i pewnie zagłębiłam się w las. Mokradła podmarzły, parowów w okolicy prawie nie było, a nieprzebyte chaszcze jakoś ominę, kierując się własną pamięcią.

Nie przysłuchiwałam się szczególnie, ale też nie zatykałam uszu, a szept przyciągał znacznie więcej uwagi niż rozmowa pełnym głosem.

- Reście, kozie przetrącili kręgosłup. Nie wydaje mi się bym mógł jej pomóc... nawet w lepszych czasach.

- Ale ona nawet nie dała mi spróbować! I przedtem się uśmiechnęła, sam widziałem!

„Jacy to litościwi! - pomyślałam ze złością. - Jakoś nie sądzę, żebyście rozkładali żałobne wianki na reżnickich uliczkach, piecyste wcinacie tak, że uszy wam się trzęsą i jeszcze dziękujecie”.

Odejść, uciec do przodu żeby nie słyszeć, nie widzieć, możliwie szybko wyrzucić z głowy wszystko co wiązało mnie z leżem... a oni niech radzą sobie sami. Dobrzy ludzie.

Ale nie odeszłam, ponieważ czarownik rzucił gwałtownie:

- Czasami śmierć jest najlepszym, co możesz dać przyjacielowi.

I Rest zamilkł. Oczywiście zostając przy swoim zdaniu.

Zdążyliśmy przejść coś około wiorsty, gdy skrzypienie śniegu za plecami gwałtownie ucichło. Weres ściągnął wodze i obejrzał się do tyłu, nasłuchując.

- Co? - Zawróciłam, mimochodem czochrając Dymka po zasmęconym pysku.

- Już przeszukują domek. - Czarownik mrugnął i potarł oczy, jak gdyby wychodząc z mroku na słońce. Zlął z konia i w zamyśleniu spojrzął w górę. - Jak sądzisz, przeciwnik obrazi się na nas za powtórzenie jego sztuczki?

Zadarłam głowę i tak pozostałam z ustami otwartymi ze zdumienia.

W niebie zaczęły splatać się obłoki. Najpierw jak pajęczynka, półprzezroczyste kłęby rozpełzające się na wszystkie strony setkami nitek niczym szron na szkło. Następnie kipiące, rosnące i ciemniejące w oczach grudy, jak gdyby ktoś nalał atramentu do błękitnego jeziora nieba. Ostatnie słoneczne okienka zniknęły prawie równocześnie i w tej samej chwili na ziemię runęła lawina śniegu. Nie zamieć i nie śnieżycy, tylko solidna biała ściana, która na kilka sekund zamurowała mnie w solidnym dźwiękoszczelnym kokonie - tak, że ze wszystkich stron dolatywał tylko szeleszcząco-szepczący chór śniegu. Mrużąc oczy osłoniłam je również ręką, uparcie odmawiając zamykania. Przebywanie sam na sam z czystym żywiołem było przerażające, a zarazem niesamowicie piękne i każdą cząstką swej istoty czułam jego dziką i niepohamowaną moc, dla której każde z nas było tylko jeszcze jedną śnieżynką...

Ciekawe, czy tak właśnie czują się magowie, zwracający się do źródeł swojej mocy?

Śnieżycy stopniowo zrzędała, rozdzieliła się na osobne płatki, za którymi dawały się dostrzec czarne pnie i szary bok Dymka, który najspokojniej w świecie się otrząsnął. Zagapiłam się na to wszystko, a potem słyszałam stłumiony okrzyk Resta i odwróciłam się by zobaczyć Weresa leżącego twarzą do ziemi. Kapturek spadł mu z głowy, a wyrosnięte podczas choroby włosy jak ciemny kleks rozlały się na śniegu. Dzieciak błyskawicznie przewrócił mistrza na plecy, a ja nie musiałam się nawet schylać, żeby zrozumieć problem. Stracił przytomność na tyle głęboko, że żadne bicie po policzkach nie pomoże, a soli trzeźwiących niestety w zapasie nie miałam. Mag, bakałarz pierwszego stopnia... Tfu! Ruchem ręki przegoniłam bezsensownie miotającego się dookoła szczeniaka i przerzuciłam zemdłego człowieka w poprzek siodła, po czym wlałam na nie sama. Wałach z przestrachem zezował na podejrzenie zwisające ciało i drobił kopytami, więc musiałam posadzić Weresa przed sobą, jedną ręką przytrzymując go w poprzek brzucha, a drugą ściskając wodze.

No cóż, Dymku, to nie udeptana droga, a już tym bardziej nie miasto z dokładnie odśnieżonymi ulicami. (Akurat tego naczelnik pilnował bardzo skrupulatnie: albo z samego rana łapiesz za łopatę i odgrzebujesz nocne zawały przed swoim domem, albo przygotuj plecy pod trzy do dziesięciu uderzeń bata, w zależności od wysokości zasy, w jakiej ugrzązł przechodzący obok



strażnik.) A do tego jeszcze dwójka jeźdźców na grzbiecie. Dzięki staraniom Weresa śniegu nawaliło tyle, że koń zostawiał w nim nawet nie ślady, a solidną bruzdę, w której z tyłu włókł się Rest, z trudem powstrzymując pokusę złapania się końskiego ogona. Wyczarowane obłoki ani myślały, by tak samo szybko stopnieć i wyraźnie miały zamiar wysypać się na ziemię do ostatniej śnieżynki. Tak było nawet lepiej - psy i wilki mogą wyczuć trop nawet przez warstwę śniegu głęboką na półtora arszyna, ja trochę mniej, a za kudłaki i resztę pomrok nie ręczyłam.

Czarownik doszedł do siebie dopiero po godzinie. Wzdrygnął się gwałtownie, prawie zwalając nas oboje na ziemię, potem zrozumiał gdzie się znajduje, rozluźnił, drżącą ręką otarł przyklejony do rzęs śnieg i ochryple zapytał:

- Dużo przejechaliśmy?
- Jakież trzy wiorsty. Utrzymasz się sam w siodle? Bo koń i tak ledwo nogi przestawia.
- Tttak. - Weres jak w półśnie niemrawo namacał wodze i nie wypuszczając ich z rąk

złapał za przedni łęk siodła. - Czy mamy coś do jedzenia?

- Że co? - Prawie mnie замуrowało. No dobrze, wodę bym zrozumiała, ale żeby ledwo co po dojeździ do siebie człowiek prosił o jedzenie...? Ci czarownicy naprawdę są dziwni. - Znaczą... zaraz sprawdzę w torbie.

Zaryzykowałam, rozluźniłam chwyt i zeskoczyłam za ziemię. Weres zachwiał się, pochylił jeszcze niżej ale utrzymał pozycję siedzącą, a kiedy ja rozwijałam kawałek szmatki ze wzgardzonymi przez strażników bułeczkami, wsunął nogi w strzemiona. Na jedzenie rzucił się z taką zachłannością, że chyba nawet nie zauważył nadziei.

- Słuchaj, gdzie to wszystko ci się mieści? - nie wytrzymałam. - Żebyś ty tak czarował jak jesz!

- Widzisz, przez jakiś czas moje możliwości będą nieco... eee... ograniczone - ostrożnie przyznał Weres, nadal żując.

- Co?!

- Magicznie przyspieszyłem sobie przemianę materii, czyli również regenerację - wyjaśnił czarownik. - Niestety, zaklęcie to ma jeden skutek uboczny: ściąga na siebie rezerwę magiczną, pozwalając mi korzystać wyłącznie z jednej dziesiątej jej części, jakkolwiek duża by nie była. A całą resztę muszę wyciągać z własnego organizmu praktycznie na siłę, czerpiąc siły z zapasu zwykle nietykalnego - aury. Ale myślałem, że mam czas, miejsce jest spokojne, więc przez jakieś dwa-trzy tygodnie jak najbardziej poradzę sobie bez magii, a lepiej jest nieco wytrzymać niż jeszcze kilka miesięcy spędzić w łóżku. Kto mógł przewidzieć, że wszystko się tak potoczy?

Nie no, to jakiś koszmar! Które z nas jest większym idiotą, wilkołak który zaproponował magowi pomoc czy mag, który tak chętnie z niej skorzystał?!

- Czas? Miejsce?! Czarowniku, ty powinieneś głowę leczyć u nie nogi! Tak w zasadzie to nie leżałeś sobie w pałacu królewskim za pięcioma murami, tylko zdychałeś w legowisku wilkołaka!

- Właśnie to mam na myśli - spokojnie potwierdził Weres.

- Jeżeli gorzej już być nie może, znaczy to że można śmiało mieć nadzieję na lepsze!

Dałabyś mi jeszcze bułeczkę, co?

- I długo masz jeszcze zamiar ger... reg... tak żreć?!

- Póki w całości nie odtworzę wszystkich tkanek. Kości i mięśnie już są w porządku, więc pozostało wyłącznie...

- A nie mógłbyś zająć się tym później? - przerwałam mu. - Mam wrażenie, że dwa pierwsze wystarczą ci z nawiązką.

- To zaklęcie jest nieodwracalne i nie mogę go tak po prostu cofnąć - przyznał czarownik z lekkim poczuciem winy. I natychmiast ponownie nabrał rezonu: - A co? Szkoda ci dla mnie kawałka chleba?

- Boję się, że w nocy zjesz również mnie - odgryzłam się, chowając resztki jedzenia do torby. - Ale przecież jakoś wysadziłeś amulet tej wiedźmie, aż się na twarzy zmieniła!

- To tylko kolejny raz dowodzi, że kupowanie takich drobiazgów od osób trzecich jest brzemiennie w skutki - uśmiechnął się Weres. - Sam go robiłem. Niewielkie wbudowane zaklęcie to

zwykły środek ostrożności stosowany przez maga, który nie chce, by jego wyrób został użyty przeciwko niemu samemu.

- Ale przecież on dawał ochronę przed wilkołakiem.
- Każdy amulet zawiera magiczną moc, której można użyć na różne sposoby. Oczywiście najbardziej skutecznie robi się to w sposób zaplanowany przez twórcę. I gdyby talizmany zawsze tak łatwo wybuchały, to moi koledzy nie korzystaliby z nich na każdym kroku. Słuchaj, a może by tak jeszcze jedną bu...

- Obejdiesz się. Ruszamy. I tak straciliśmy masę czasu na gadanie.

\* \* \*

Do był nawet nie szafas, tylko krzywy jednostronny daszek z pokrytych śniegiem świerkowych gałęzi, który z daleka uznałam właśnie za świerk z uciętym czubkiem. Na środku niepokąźnego ale przynajmniej jakiegokolwiek schronienia czerniało miejsce po ognisku, a po bokach widniały odciski po legowiskach z wgniecionymi w śnieg igłami. Nocujący tu myśliwi o świcie spalili swoje świerkowe posłania, słupem żółtego dymu informując towarzyszy, którzy zostali w tyle za grupą albo dopiero rano zamierzali do niej dołączyć, gdzie się znajdują. Zwykłego opału mieli dosyć, dookoła ogniska leżała jeszcze cała masa suszu. No i dobrze, nacięcie świeżych gałęzi na podściółkę to nie problem, za to wygrzebywanie chrustu spod śniegu to niezła zabawa.

Umęczony czarownik zasnął natychmiast, nie zdążył nawet solidnie owinąć się kocem tylko skurczył pod nim w precelek, drząc z zimna, ale się nie budząc. Wkrótce Rest poszedł w jego ślady, a ja siedziałam dalej, tępo wpatrując się w żarzące się ognisko.

W pobliżu były wilki. Smukły srebrzysty wódz watahy podbiegł do daszku i stał w odległości pięciu sążni wężąc, ale potem zdecydował, że w tym lesie starczy miejsca dla wszystkich i wrócił do stada. Zaraza, nawet z wilkami łatwiej się dogadać... Przelknęłam gulę dławiącą mnie w gardle. Zwierzęta również są podatne na melancholię, ale mają do niej mniej powodów. Nie będą sobie przypominać i żałować jakiejś głupiej kozy... I gdzie teraz będzie kotka przychodziła na mleko?

Wstałam gwałtownie. Zerknęłam na czarownika, zdjęłam kozuch i narzuciłam go na koc po czym starannie podetknęłam z obu stron. Nie rób sobie nadziei, absolutnie nie przejmuję się twoim cennym zdrowiem! Po prostu szkoda mi wygrzanego kozucha. A tak wrócę i założę cieplutki.

Weres z zadowoleniem westchnął przez sen i nieco się obrócił. Wpakowałam mu pod bok również koszulę i spodnie. No, przynajmniej przestał się trząść. A potem zaciśnięte wargi drgnęły, twarz w jednej chwili pojaśniała i ufnie się wygładziła. Usłyszałam delikatny szept:

- Tairinn...

Jak gdyby promień słońca się po nim prześlizgnął - i natychmiast zniknął, zmieniając się w jeszcze mroczniejszy cień.

Leszy wie co. Aż zazdrość bierze.

Wyprostowałam się i zrobiłam krok w śnieg. W lesie panowała paskudna cisza. Jak dziwnie by to nie brzmiało, nie przepadałam za pełnią. Szczególnie taką: ponurą, z księżycem zagubionym w chmurach. Z jednej strony niby go nie ma, ale ciśnię, otępia, nie pozwala usnąć i człowiek się męczy, nie wiedząc co ze sobą zrobić.

Otrząsnęłam się zdecydowanie i ruszyłam naprzód, nawykowo obwąchując śnieg. To uspokajało, odciągało od ludzkich myśli. Zajęczy ślad zajął całą moją uwagę i nawet nie zauważyłam, że odbiegłam całkiem daleko... i że wilki w jednej chwili zamilkły. A kiedy podniosłam oczy, pomiędzy drzewami nieruchomo stała moja śmierć i lśniła czerwonymi kudłaczymi oczkami, zanosząc się pełnym zadowolenia rykiem.

A ja byłam taka zmęczona...

## Rozdział 5

Dziesięć

- Rycerz!
- Daj.
- Mag!
- Y... tyle. Pociągnąć ci?
- Nie, starczy. No to teraz moja kolej! Zaraz ja cię...! Siedem!
- Rycerz!
- Aaaaaaa!!! - wrzask obudzonego Resta na pewno przestraszył wszystkie harpie dookoła.

Wyrwany ze snu Weres powoli usiadł, owijając się kocem i potarł zaspą twarz.

- Czy wasza dwójka mogłaby wrócić do normalnej postaci? Do Białej wcale nie jest aż tak daleko i mało prawdopodobne, by wilkołak grający w karty ze smokiem miał zbawienny wpływ na zdrowie psychiczne przypadkowego przechodnia.

- Jest mi zimno bez futra.
- Weres, nie bądź nudziarzem. Myślisz, że nie wyczujemy go pierwszy? Siedem!
- Atut!

Czarownik rozejrzał się dokoła.

- Wy tu rżnicie durnia, a tak między nami ognisko dawno zgasło! O co przynajmniej gracie?

- Oczywiście o wątrobę. - Mściwie pokryłam siódemkę dziewiątką. - Koniec?

- Przeciwno futru - doprecyzował smok, sceptycznie spoglądając na wachlarz z kart. - No to jak święto to święto! Rycerz atu!

Zasmęciłam się. Maga atu było mi szkoda, dobieranie drobiazgów pod sam koniec gry również nie miało dużo sensu.

- I jak idzie? - zapytał Weres, pochylając się i bez cienia skrepowania zaglądając mi w karty. - Kto ma szczęście?

- Już wygrałem ogon - wyszczerzył się smok.
- To będziesz musiał oddać. Ma mocne karty. A po co ci futro?
- Tak po prostu, żeby wyrównać stawki.

- A po co jej wątroba? - szeptem zapytał Rest, wygrzebując spod śniegu resztki opału i układając je w szalask na popiołach ogniska.

- Jeżeli wilkołak zje pieczeń ze smoka, to będzie mógł zmieniać postać prawie w jednej chwili i bez najmniejszego wysiłku - wyjaśnił Weres mentorskim tonem.

- I co, smok tak po prostu ją odda, jeśli przegra?

- Wątpię. - Czarownik wzruszył ramionami. - Ale przynajmniej będzie dłużny. A przy okazji, Mroku, cieszę się, że cię widzę.

- Wzajemnie. - Jaszczur machnął ogonem na powitanie, nie odrywając spojrzenia od kart. Rest ostatecznie się pogubił.

- Mentorze, czyli to jest ten właśnie smok, którego obiecał pan Szelenie? Oj...

Dzieciak poniewczasie ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że obiekt umowy pomiędzy mną a Weresem może być z tejże niezbyt zadowolony. Ale paskudny czarownik tylko wymienił ze smokiem porozumiewawcze mrugnięcia i bez cienia wstydu dodał:

- Nie jestem pewien, komu i kogo obiecano. Myślisz, że ona jest pierwszym wilkołakiem, który ma ochotę na potrawkę z wątróbki?

- Nie mam nic przeciwko - potwierdził smok. - Wszystko jest jak najbardziej uczciwe.

Weres nas przedstawia, my walczymy, ja mam o jedno futro więcej.

- Ja nie pomagam ani wilkołakowi ani smokowi, ale ponieważ Mrok jest moim przyjacielem przed walką uczciwie uprzedzam, że w razie czego będę się mścił - dodał czarownik.

- Partnerzy, żeby was! - uśmiechnęłam się, odsłaniając karty, Na razie o ogonie możesz zapomnieć!

Smok bez szczególnego smutku, bo w końcu graliśmy już drugą godzinę bez większych zmian w wyniku, rzucił swój wachlarz na kupkę zużytych kart i przeciągnął się całym ciałem - całkiem jak kot, tyle że nie zadarł ogona a odstawił go do tyłu jak lancę. Ogień, przyduszony wiatrem wznieconym przez smocze skrzydła przypadł do ziemi.

- Mroku, jak się tu znalazłeś? - Weres skulił się, podciągnął kolana do podbródka i dokładniej owinął się kocem.

- Już drugi miesiąc cię szukam. Oblazłem całe miasto, zostawiłem znak na pustoszach. - Smok celnie splunął w ognisko i szłaśnik oświetliły wysokie płomienie. - Ludzie jednogłośnie zapewniali mnie, że nie żyjesz, ale przecież akurat to wyczułbym jako pierwszy. No to nie odchodziłem daleko, wynajętem pokój w Wysiedlisku a po nocach krążyłem nad okolicą. Za dnia nie ryzykowałem, bo ci ludzie jacyś dziwni: najpierw sami strzelają z kusz nie patrząc gdzie, a potem skarżą się magom, że nie wszyscy zdążyli uciec.

- Po co? - przerwał mu Weres.

Smok poruszył dolną szczęką, co wyglądało jakby człowiek w zawstydzeniu przygryzł wargę.

- Delirna nie żyje.

Czarownik spochmurniał jakby ktoś poinformował go o śmierci dobrego, choć może niezbyt bliskiego znajomego.

- Niechaj jej dusza znajdzie spokój pomiędzy gałęziami Świętego Gaju... Jak to się stało? Kiedy?

Powoli, po jednej zbierałam rozrzucone karty, ostrożnie składając je brzeg do brzegu. No i co w tym takiego? Wszyscy jesteśmy śmiertelni, nawet Matka-driada, rządząca Jesionowym Grodem. Tylko jakoś zawsze miałam wrażenie, że ona była trochę mniej śmiertelna...

- Wychodzi na to, że jakieś trzy dni po twoim zniknięciu - westchnął smok, wydychając ni to dym ni to zwykle powietrze, które na mrozie zmieniło się w parę. - A jeśli idzie o „jak” to jest niewielki problem. I właśnie po to jesteś im potrzebny. Powiedzmy uczciwie, Delirna już od pewnego czasu uważała określenie „stara kłoda” za wyszukany komplement, ale nie rozważała odchodzenia na tamten świat. Driady są pewne, że ktoś ją zabił.

- Minęło sporo czasu... - Czarownik niepewnie pokręcił głową. - Mało prawdopodobne, by magia pomogła w znalezieniu jakichś śladów. A jeśli coś im chodzi po głowie, to w tamtej chwili sam byłem nieco zbyt podobny do trupa.

- Nie, no coś ty. Oczywiście najłatwiej wywabienie z bezpiecznego miejsca i zamordowanie driady poszłoby znajomemu magowi, po którym nie spodziewała się takich sztuczek, ale równie dobrze mogliby podejrzewać mnie. Tym bardziej, że sama Delirna prosiła, by cię odnaleźć.

Ukradkiem obserwowałam wyraz zmieszania na twarzy Weresa.

- To znaczy?

- Dzień wcześniej wezwała jedną ze swoich pomocnic i powiedziała: „Jeżeli coś mi się stanie, to zawołajcie Sholah We-ras-sa. Będziemy mieli o czym porozmawiać”. Oczywiście tamta się zaniepokoiła, zaczęła dopytywać, ale Delirna tylko się uśmiechnęła i wyjaśniła swoją dziwną prośbę „przecuciem”.

Z driadzkiego rozumiałam jedno słowo na trzy, wśród starożytnych języków to on był najbliższy Ogólnemu. „Szelest Wrzosu”. Ciekawe, z jakiego powodu driady tak nazwały Weresa? Każda roślina coś dla nich symbolizowała. Dąb - wierność, brzoza - ból, stokrotka - wiedzę, dziki goździk - krew. Wrzosy... Wrzosy... przecież kiedyś posłyszałam jednym uchem... aha.

Kurhan grobowca. Pewnie zaczęło się to od Wrzosowych Ugorów, ulubionego miejsca spotkań wrogich armii. I właśnie tam je zawsze chowano w dwóch kupkach. Jeżeli dobrze spojrzeć

to trochę takich porośniętych wrzosem pagórków znajdzie się na każdej mniej lub więcej nadającej się do walki równinie. Tak więc niech starsze rasy nie kłamią, że wszystkie problemy zaczęły się wraz z pojawieniem ludzi.

Ciekawe z jakiego powodu go tak ochrzciły? Poza tym Weres to pewnie nie prawdziwe imię tylko kalka z driadzkiego.

- I od tamtego wieczora nikt więcej Delirny nie widział - ciągnął smok. - Uważają, że w tajemnicy wyjechała poza granice Grodu, najpewniej używając magii, bo żaden ze strażników jej nie zauważył. Zresztą, przedtem również często tak robiła, przypomnij sobie chociażby tamten wypadek sprzed półtora roku, kiedy stara intrygantka... oj, znaczy się świętej pamięci nieboszczka! ...znikąd spadła wprost na środek stołu w trakcie zamkniętego posiedzenia Konwentu Magów i z miejsca pokazała wszystkim gdzie raki zimują! Nikt nie ma pojęcia, gdzie ją tym razem poniosło, ale po trzech dniach jej drzewo runęło, a driady ogłosiły oficjalną tygodniową żałobę, po upływie której wybrały nową władczynię.

Rest przypomniał sobie o obowiązkach kucharza i rozścielił koło ogniska ręcznik, na który pod zadowolonym spojrzeniem Weresa zaczął wykladać jedzenie, nierówno krojąc tęnym nożem chleb i wędzonkę.

- Ile mam robić kromek? - zapytał, naruszając chwilę ciszy pełnej zadumy.

- Ja nie mam ochoty - odezwał się smok natychmiast.

- Już przegryźliśmy - wyjaśniłam, wygrzebując ze śniegu i niedbale okręcając na pazurze szeroką obrozę z kolcami - Trafił się jeden taki ...

- Nic tak nie zbliża jak wspólny posiłek - wyszczerzył się Mrok.

Dzieciak wyraźnie pozieleniał, patrząc na wędzonkę już bez uprzedniego apetytu.

- Daj, spojrzę. - Weres wyciągnął rękę. - Ot, zaraza!

Całkowicie podzielałam jego opinię. Na obroży huśtała się blacha w kształcie rombu z cyfrą „5”.

- Wychodzi na to, że po okolicy mogą łązić jeszcze trzy takie stwory. - Czarownik uważnie obejrzał obrozę, ale nie znalazł żadnych więcej znaków i wrzucił ją do ogniska. Płomień syknął z niezadowolaniem, jakby ktoś chlusnął w ognisko wodą.

- Cztery - poprawiłam odruchowo. Weres uśmiechnął się kącikiem ust.

- Poprzedni nie miał na sobie ani numerka, ani kolców.

- Czyli tego zaczęli wypuszczać na polowanie już po moim pojawieniu się w Wysiedlisku - skonstatowałam lekko złośliwie.

- A raczej po tym, jak cię wykryli - odparł czarownik.

Czyli nieco ponad parę miesięcy temu. Cóż, miejmy nadzieję, że nie ma on zbyt wielu młodszych braci.

- Ani siostrzyczek - dodał smok złośliwie, zerkając na mnie. Prychnęłam, ale pochłonięta rozmową z czarodziejem odłożyłam zwrotną szpilkę na później.

- To niemożliwe. Przez poprzednie trzy lata bez mojej wiedzy w lesie nie pojawił się żaden nowy wilk, nie mówiąc już o pomrokach! Kiedy to się stało?

- Niedawno, pod koniec lata. I zabiłem go nie w lesie tylko w mieście, przy samym placu.

- Ale przecież skądś się tam wziął!

- Możliwości jest wiele. Portale, przerwany wiedźmi krąg... a nawet zwykłe piwnice.

Tamten trzypalczasty stwór również nie raczył poinformować cię o swoim przybyciu, póki nie spadł jak grom z jasnego nieba.

- To w Wysiedlisku jest krąg? Gdzie?!

- Szel, wierzysz w bogów? - Weres ironicznie zmrużył oczy.

- Tylko w mrakobiesy. One jakoś częściej o sobie przypominają - burknęłam, ze złością drapiąc się za uchem tylną łapą. O wiedźmich kręgach wiedziałam tylko tyle, że lepiej obchodzić je z daleka. Podobno nekromanci przeprowadzali tam swoje obrządki, po czym miejsce na zawsze zostawało przeklęte... albo na odwrót i właśnie dlatego tak się tam pchali. Ale żeby takie paskudztwo było właśnie w mieście?!

- A powinnaś. Gdybyś częściej odwiedzała świątynię, to zaważyłabyś, jaką tam mają

mozaikę na podłodze. Te sześciokątne płyty zostały jeszcze po starożytnej budowli, a w rogach ułożonego z nich wielokąta widać gniazda na kryształ, co prawda zalepione białą gliną. Ale dawno już popękala i wydaje mi się, że odłupanie jej nie stanowiłoby większego problemu.

- I Konwent pozwolił na zbudowanie tam świątyni? - Ze zdumienia zamarłam jak siedziałam, z uniesioną łapą.

- A dlaczego nie? Najlepszy sposób by coś schować to położyć na najbardziej widocznym miejscu, a dla tych nadprzeciętnie zmyślnych - również najbardziej tłumnym. Jaki mag z choćby odrobiną rozumu zaryzykuje przeprowadzenie obrządku z ofiarami z ludzi w świątyni, która jest otwarta w dzień i w nocy?

- Czyli tę możliwość możemy wykluczyć?

Czarownik w zamyśleniu podniósł i rozartł w palcach pachnącą świerkową igielkę.

- Nie spieszyłbym się aż tak bardzo z wnioskami.

- Weres, o ile ja cię znam to już w tej glinie grzebałeś! - uśmiechnął się smok, pokazując zagięte do tyłu kły, podobne do węzowych.

- No niech będzie, że grzebałem - przyznał Weres ze wstydliwym śmieszkiem. - I po pięciu minutach wylądowałem na ulicy, wyrzucony bez najmniejszych ceregieli. Ciekawe, gdzie oni znajdują takich silnych akolitów?! Mnisi rekrutują spośród skruszonych rozbójników. Przecież nie mogłem wdawać się z nimi w bójkę na środku placu...

- No to byś wrócił z miejskim magiem. Członkowi Konwentu dajnowie by nie mogli odmówić oględzin świątyni! - Smok, który dopiero co położył się na ziemi, z irytacją ponownie skoczył na równe łapy. Głowa na długiej szyi z kolei schyliła się ku ziemi tak gwałtownie, jak gdyby Mrok miał zamiar odgryźć czarodziejowi nos, ale zatrzymał się w odległości około palca.

- Wiesz nie gorzej ode mnie, w co przez ostatnie kilka lat zmieniła się tak zwana „podpora magii” - rzucił Weres zgryźliwie, nawet nie mrugnawszy okiem. - Jeżeli z piętnastu arcymagów będących jego członkami ufam co najwyżej trzem, to co tu mówić o miejskich namiestnikach?

- To dlatego, że pozostała dwunastka głosowała za twoim wyrzuceniem?

Przez około minutę czarownik i smok świdrowali się wściekłymi spojrzzeniami, ale potem równocześnie wypuścili powietrze, zmieniając temat. Chyba już nie pierwszy raz omawiali tę kwestię i już wyczerpali wszystkie argumenty, oprócz wulgarnej bijatyki.

- Zdążyłeś się czegokolwiek dowiedzieć? - zapytał Mrok znacznie spokojniej, odwracając pysk.

Weres nieznacznie wzruszył ramionami.

- Pieczęcie na glinie są nienaruszone... jeszcze. Ale w świątyni zdecydowanie czuć ślady jakiejś magii. Dokładnie zatarte i przez to jeszcze bardziej podejrzane.

- Kto tam wie, czym się święta brać zajmuje. Może dolewa eliksiru szczodrości do świętej wody, żeby im ludzie większe ofiary dawali. Przecież krąg jest zapieczętowany.

- Nie mówiłem, że był otwierany od naszej strony. Możliwe, że powoli coś z niego przenika tutaj, ale takich rzeczy nie da się nie zauważyć, czyli miejscowi dajnowie ukrywają prawdę - albo bojąc się kary, albo w jakimś sobie tylko znanym celu. I nie zapominaj o obrożach!

- Tak czy siak, w Wysiedlisku dzieje się coś niezrozumiałego - podsumował smok. - I wynieśliście się stamtąd akurat w odpowiedniej chwili.

- Tylko że to nie rozwiązuje problemu.

- A co nam do tego? - odezwałam się.

Obaj spojrzeli na mnie jak gdyby pierwszy raz widząc. Pewnie w gorączce sporu całkowicie zapomnieli o niezbyt mile widzianej słuchaczce. Z trudem stłumiłam chęć by położyć uszy i prosząc zamerdać ogonem. Tyle dobrego, że umowa zawarta z czarownikiem działała w obie strony i zanim dotrzemy do Białej mieliśmy być jeśli nie przyjaciółmi to przynajmniej partnerami.

- No tak - powiedział smok w końcu. - To jest ostatnie towarzystwo, w którym spodziewałem się, że cię spotkam. Chociaż przyznaję, jest czarująca.

Nastroszyłam się. Weres odpowiedział grymasem.

- I kiedy zdążyłeś to dostrzec?

Dobre pytanie. Kiedy z nieba niespodziewanie zlatuje smok, który produkuje strumień

płomienia w kierunku dwójki szepionych ze sobą stworów nie sprawdza on, kto ma rację, a kto nie. Ale za to potem ma człowiek taki dobry temat dla rozmowy!

Schyliłam się po ostatnią kartę, która odleciała na bok, a u mojej piersi, wynurzając się z długiego futra, zakołysała się czarna łuska na plecionym sznurku.

- Oddaj! - natychmiast spał się czarownik.

Demonstracyjnie go zignorowałam. Jeszcze czego, pozbyć się tak wspaniałego amuletu od płomiennego smoczego oddechu! Co prawda chronił przed jednym konkretnym smokiem, który to dawno temu dobrowolnie się rozstał z łuską, ale ponieważ innych w pobliżu nie było, dobre i to.

- Szeleno!

- Wyrwij sobie inną. Patrz na tego skrzydlatego gada, ile ich ma! Z samego tylko ogona można wyciągnąć całe wiadro!

- Weres, ten zapchlony kołnierz obraża twojego najlepszego przyjaciela! - obruszył się smok. - Weź coś zrób!

- Ona wszystkich obraża! - rzucił czarownik ze złością, rozumiejąc, że z amuletem może się pożegnać, bo przecież nie będzie gołymi rękoma wydzierał go z pyska złośliwie wyszczerzonego wilkołaka. - No to jak, będziecie walczyć czy...?

- Będziemy - potwierdziliśmy chętnie i zgodnie. - Tylko później. Najpierw skończymy grać.

- W takim razie kończcie ten cyrk, zmieniajcie się z powrotem i pogadamy poważnie.

- No dobrze, dobrze - burknął Mrok ugodowo. - Już.

Czy raczej „już moment”, bo nie zdążyłam nawet okiem mrugnąć.

Smok był przepiękny, ciemnomiodowy ze złotym połyskiem i czarnym brzuchem, wielkości konia pociągowego, ale bardzo zgrabny. Niestety, człowiek z niego wyszedł niezbyt urodziwy: niewysoki chłopak o odstających uszach i przygłupim wyrazie twarzy, rudawy, kędzierzawy i piegowaty. Ogólne wrażenie bylejakości psuły jedynie oczy bez białek, mające kolor lawy w rozłamie skały oraz drapieżne pionowe źrenice.

- No i co, teraz zadowolony? - zapytał czarownika burkliwie, obciążając na sobie wyświechtaną kurtkę z zajęczych skórek. Workowate spodnie, buńczucznie przekrzywiona czapka-uszanka, walonki i owijacze do kolan dopełniały obrazku prostego wiejskiego chłopiny. Też bym tak chciała, bez tego całego rozbierania i ubierania!

- Jak najbardziej.

- Hej no, nie mroź mi ubrania! - zachnęłam się.

Za późno. Kożuch, odrzucony przez Weresa razem z kocem już leżał na śniegu. Czarownik akurat wyciągnął spod siebie spodnie i oglądając je ze zdziwieniem w jednej chwili wystudził. Przynajmniej darował sobie żarty i nawet wyglądał na nieco zawstydzonego.

- Poczekaj chwilę, potrzynam koło ognia - zaproponował pokojowo. - A ty w tym czasie zmienisz postać.

Chwilę się zawahałam, ale ostatecznie z rezygnacją wzruszyłam ramionami i przeniosłam się na koc. Ostatecznie co to za różnica? I tak wcześniej czy później zobaczą. A Weres na pewno miał okazję oglądać gorsze rzeczy.

Uuuu, jak zimno! Jakbym leżała nie na kocu tylko na kawałku lodu! Niepohamowanie szczękając zębami wydarłam czarodziejowi nagrzone spodnie i błyskawicznie naciągnęłam je na nogi, które natychmiast pokryły się gęsią skórką. Weres demonstracyjnie patrzył w bok, smok grzebał po kieszeniach, ale nie tak bystry Rest ledwo zdążył odbiec na trzy kroki i pochylić się za najbliższym krzakiem.

Przecież uprzedzałam, że to niezbyt piękny widok.

Mrok przysunął się bliżej ogniska, wyciągnął ręce w jego kierunku i nastroszył w swojej kurtce jak wróbel.

- No dobrze, to jakie mamy plany? Widzę, że teraz nie bardzo masz czas na driady...

- Wręcz przeciwnie. - Czarownik zadziwił zarówno smoka jak i mnie. - W zasadzie to właśnie do nich się wybierałem. Przez Białą i Komary. Swoją drogą, daleko jeszcze mamy do osady?

- Tyle co nic, Biała jest za tamtym laskiem. - Mrok machnął ręką. No cóż, dla niego to może i „nic”, a nas czekała wycieczka o długości przynajmniej czterech wiorst po śnieżnych pustkowiach. - Ale po co chcesz robić taki ogromny luk? Przecież na wprost będzie trzy razy krócej.

- Ale tam jest Orkrast, Szara Przepaść.

- Od kiedy to magowie zwracają uwagę na szczelinki w ziemi? - prychnął smok wzgardliwie.

Niczego sobie szczelinka, ponad dwieście sążni szerokości! Odnośnie głębokości teorii było sporo, a żaden z praktyków nie wrócił, by złożyć meldunek. Mieszkańcy najbliższych wiosek przyzwyczaili się zrzucać do przepaści śmieci i padłe zwierzęta, więc w nocy dolatywało stamtąd smętne wycie strzyg, które rozmnożyły się na łatwym żarciu. Szczęśliwie wylezienie z Orkrastu nie było prostsze, niż zejście tam. Choć osobiście nie wątpiłam, że strzygi bardzo się starały.

- Niestety, w tej chwili nie pociągnę ani teleportacji ani lewitacji - przyznał się Weres z westchnieniem. - Więc muszę radzić sobie jak mogę, czyli obchodzić. Tak więc przekaz driadom, że zawitam do nich za jakieś pięć, sześć dni.

- To sam im przekażesz - prychnął smok. - Przecież nie mogę porzucić cię na środku lasu z wilkołakami, kudłakami i na dodatek w takim stanie!

- Nie martw się, w ostateczności mam to i owo w zapasie. - Czarownik uśmiechnął się krzywo. - Leć z powrotem do Grodu, i tak straciłeś przeze mnie sporo czasu, zobacz jakie teraz mrozy.

Faktycznie, nie był to najlepszy sezon dla smoków - większość z nich, szczególnie te starsze, w zimie hibernuje. Ale zdolność do zamieniania się w człowieka tracą po pierwszym dorosłym linieniu, kiedy łuski stają się znacznie twardsze, matowe, i zaczynają pojawiać się na nich pierścienie roczne - co z kolei oznaczało, że Mrok nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

- A czy ty naprawdę do tego stopnia chcesz się spotkać ze wspomnianą *ostatecznością*? Skoro już na was trafiłem, to odprowadzę. W końcu właśnie po to są przyjaciele! - oznajmił smok z patosem, wyciągając rękę do Weresa. Czarownik uroczyście ją uścisnął i z nadmiaru uczuć mocno smoka objął.

- Jestem niezmiernie szczęśliwa, że w tym cudownym dniu odnaleźliście się nawzajem - nie wytrzymałam bojąc się, że zaraz zaczną się całować. - Ale może jednak szybciotko się spakujemy i ruszymy w drogę?

Braterskie pocałunki nie nastąpiły.

- Szel, nie masz przypadkiem dosyć ciągłego wsadzania nosa w nie swoje sprawy?

- W końcu właśnie po to są wrogowie! - przedrzeźniłam smoka.

- No dobrze - poddał się Weres. - Masz rację, rzeczywiście nie powinniśmy tak tu siedzieć. Ale może jednak coś zjemy? Bo zaraz zgodzę się nawet na kudłaka!

Prychnęłam z ironią. Tak naprawdę, ani ja ani smok nie jedliśmy żadnych kudłaków. Te stwory mają wyjątkowo twarde i śmierdzące mięso, więc po prostu zakopaliśmy zwęgloną tuszę w śniegu pod przewróconym drzewem, po czym „z okazji” pozbyliśmy się reszty bułeczek. Ale bynajmniej nie zamierzałam psuć osiągniętego efektu przyznawaniem się.

Zjedliśmy szybkie śniadanie. A raczej smok dłużył w zębach sosnową igłą, ja zwijałam i wiązałam koce, Rest by uniknąć nowych nieprzyjemnych niespodzianek odszedł do Dymka i karmił go swoją porcją chleba, a Weres sukcesywnie unicestwiał cały wyłożony na ręczniku prowiant, póki nie zrozumiałam, że jak tak dalej pójdzie to na obiad nie zostanie zupełnie nic i nie powstrzymałam tego procederu.

Na odchodnym rozgrzebałam węgle i parząc ręce o rozgrzany metal starannie wygrzebałam z popiołu wszystkie kolce, pozostałe z obroży. Srebrne wysypałam do sakiewki a stalowe do kieszeni. Wyrzucę gdzieś po drodze, bo to miejsce zbyt rzucało się w oczy - daszek, ognisko - więc jeżeli nasi prześladowcy tu trafią, na pewno przeszukają i obwąchają wszystko do ostatniej igielki. Weres widać pomyślał o tym samym, gdyż prysnął na barłogi i wygnieciony śnieg jakimś specyfikiem z małej bułeczki. Rest z ciekawością wyciągnął szyję, ale sądząc z rozczarowanego wyrazu twarzy niczego nie poczuł. Dla mnie natomiast śmierdziało tak, że aż oczy zaczęły mi



łzawić.

- No cóż, teraz kudłaki na pewno nie przejdą obok - burknęłam, ocierając łzy rękawem.  
- Nie martw się, za kilka godzin wywietrzy się razem z naszymi zapachami. - Czarownik zakorkował buteleczkę i ostrożnie ustawił ją w torbie szyjką do góry. - A ślady i tak przykryje śnieg. Niebo z wciąż takim samym mściwym uporem odmawiało pokazania nam słoneczka.

Naczarowaliście sobie chmur, to macie! Od krańca do krańca kłębiła się na nim szara mgła, która jakby tylko czekała na sygnał by podjąć nowy śniegowy atak.

Mrok również spojrział w górę i skrzywił się. W śnieżycy nawet on nie zdoła utrzymać się w powietrzu, nie mówiąc o tym, że szanse zobaczenia czegokolwiek na dole spadną do zera.

- Chyba nie masz zamiaru latać koło samej osady? - zapytał Weres, ostatecznie rozwiązując smocze wątpliwości.

- Oczywiście, że nie - Mrok wyciągnął z kieszeni czarną chustę, potrząsnął nią, złożył w pasek i przewiązał oczy. - Trzeba jeszcze wyciąć laskę z leszczyny, dla lepszego efektu.

- To wytniesz sobie koło Białej, po co ją wlec aż stąd. - Weres z trudem wspiął się na Dymka, podprowadzonego przez Ucznia. - No to co, ruszamy?

Pytanie zawisło w powietrzu, ponieważ ja zdążyłam już odejść kilka sążni, a wałach odruchowo poszedł moim śladem, nie czekając na ponaglenie jeźdźca.

- Nie trzeba mnie prowadzić pod łokieć - uśmiechnął się Mrok, odsuwając rękę zaproponowaną przez dzieciaka.

- A przy okazji, masz sadzę na nosie, wytrzyj.

- Widzi pan?!

- Oczywiście. Dla nas, smoków, spojrzenie przez zamkową ścianę jest tak samo łatwe jak jedno splunięcie.

„A splunięcie też trudne nie jest” - pomyślałam, przypominając sobie historie o atakach wściekłych przedstawicieli jego gatunku, kiedy to wytechnięty przez nie ogień jak płomienna klinga przebijał się przez mury, jednym dotknięciem zmieniając w popiół wszystko, co żywe. Zakopcony mur na oko był cały, ale wrażenie trwało wyłącznie do pierwszego dotknięcia, kiedy to pozostawał po nim wyłącznie stos niczym nie połączonych kamieni. Właśnie dlatego przed smokami niczego nie da się schować, a w szczególności skradzionych im skarbów, bo stwory te potrafiły nie tylko widzieć, ale też czuć na odległość dziesięciu wiorst.

Jednak dotyczyło to smoków dorosłych, doświadczonych i przyzwyczajonych do „obcowania” z ludźmi. A tych w naszych okolicach nikt nie widział od jakichś pięćdziesięciu lat. Co prawda plotka głosiła, że w górach Elgarskich latają niemalże stadami, ale jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Oczywiście, ich łuski są mocne, niemniej jedna dobra balista potrafiła skutecznie załatwić sprawę. A Mrok najprawdopodobniej po prostu się chwalił. Takich malutkich smoczków bez trudu odstraszała nawet uzbrojeni w widły chłopcy, nie mówiąc już o żadnych przygodach rycerzach.

Idealny wariant.

\* \* \*

Od czasu mojej ostatniej wizyty malutka osada bardzo się rozrosła i teraz bardziej przypominała niewielką wioskę. Drwale zadomowili się, pobudowali gospodarstwa i przestali uciekać na zimę do krewnych. W centrum pojawił się nawet kupiecki kram i postawiono zdobioną kapliczkę.

Wystarczyło, że wjechaliśmy do Białej, gdy w wyglądzie smętnie wlokącego się za koniem i już bez żadnego udawania korzystającego ze świeżo wyciętej laski smoka zaszły rażące zmiany. Jego ramiona wyprostowały się, krok zrobił twardszy i równocześnie bardziej sztywny, tak jak u prawdziwego ślepcy. Na twarzy, która pod wpływem mrozu zrobiła się biała, rozlał się uduchowiony a równocześnie cierpiętniczy wyraz. No patrzcie państwo, wielki wojak, który na skutek koszmarnego zrzędzenia losu postradał wzrok i teraz musi znosić to koszarne życie żebraka, ale przy tym nie stracił ani odwagi, ani siły ducha.

Spoglądałam na niego ze szczerym niezrozumieniem, zaś Weres z bliżej niezrozumiałego powodu z niechęcią, ale za to mieszkańcy w pełni docenili jego talent aktorski - mężczyźni

schodzili nam z drogi, kobiety litościwie wzdychały, a jakaś ufna babinka nawet zatrzymała „wojaka”, ze łzami w oczach pobłogosławiła znakiem krzyża i wręczyła miedziaka.

- I tak oto zapoczątkowano zbiory w skarbcu? - spytałam złośliwie. - Smok leżący na stosie wyżebranych grosików, największy rycerski koszmar! Zanim dociągniesz do domu ten przewspaniały łup, to się nabawisz przepukliny, a potem jeszcze trzeba będzie ludziom wyjaśniać, skąd masz tyle drobniaków. Zresztą, z takim to nawet walczyć wstyd, nie uznają człowiekowi za bohaterski czyn, że niby nędzarza skrzywdził...

Mrok zwinnie podrzucił i złapał monetę:

- Nie szkodzi, mniej się będą pchali.

- Ty weź i jeszcze przymocuj kubek żebraczy przy wejściu do jaskini!

- Lepiej będzie jak położę tam czyjeś futro. - Smok znacząco zaszeleścił trzymaną w kieszeni talią kart.

- Starczy tego mrożenia języków nadaremno - przerwał nam Weres, ściągając wodze. - Chodźcie, lepiej ogrzejemy się w karczmie... bo już pora obiadowa.

Rozejrzałam się. Cóż, karczma to było za mocno powiedziane. Po prostu pewien przedsiębiorczy staruszek przerobił jedną z izb swojego domu na przybytek do picia mieszczący trzy stoliki, zatrudnił córkę jako kucharkę, a wnuczka obsługiwała gości. Zięć leniwie kręcił się przy wejściu, bardziej mając nadzieję, że zostanie poczęstowany darmowym trunkiem aniżeli rzeczywiście chroniąc karczmę przed pijusami i innymi niemile widzianymi osobnikami. Na widok naszego malowniczego towarzystwa prawie spadł z ganku śpiesząc, by otworzyć drzwi.

- Zapraszam, panie czarowniku, akurat zaraz obiad będzie gotowy! I wina mamy różne, i wędzonki... a konia to pan czarownik może o tamoj uwiązać...

Weres miał na sobie najzwyczajszą w świecie kurtkę podbitą futrem, którą prawdopodobnie przyniósł mu dzieciak od tamtego kupca-donosiciela, spodnie, wysokie buty, rękawice i torbę założoną na ukos przez ramię, z którą nie rozstawaj się nawet na postoju, kładąc pod głowę. Tym niemniej każda napotkana osoba bez chwili wahania rozpoznawała w nim czarodzieja i uniżenie się kłaniała, na wszelki wypadek czyniąc za plecami znak chroniący przed złym okiem. Odróżniali go po spojrzeniu, czy jak? Możliwe. Jakieś ono za bardzo otwarte i równocześnie przenikliwe, czepliwe jak u jastrzębia. Niemniej znaczący był również widok wiszącego przy pasie miecza w pochwie pokrytej runami i oplecionej srebrnymi nićmi.

Swój darkan zostawiłam przy siodle - nikt nie wpuści mnie do karczmy z obnażoną bronią, a jeżeli zacznie się bójka to szybciej wyłamie nogę ze stołu niż wypłaczę klingę ze szmat. Trzeba pilnie znaleźć gdzieś pochwę, żeby nie ciągać za sobą dobrej broni w charakterze niepotrzebnego balastu. A pakunki na wszelki wypadek zabrałam do środka - i koń będzie miał lżej i ja będę spokojniejsza co do ich losu.

Przy Mroku i Weresie, na mnie i Resta prawie nikt nie zwracał uwagi. Tym lepiej. Dziadek-karczmarz oderwał się od prawie ukończonego łapcia, nad którym pracował chyba bardziej dla zabicia nudy niż z potrzeby, bo końcowy produkt pasowałby chyba tylko na umęczonego płaskostopiem niedźwiedzia, osobiście odprowadził nas do śpiesznie przykrytego świeżym obrusem stołu, po czym spytał, czy nie jesteśmy żadnymi tam rozbójnikami, lub, co gorsza, poborcami podatkowymi. Zgarnął cztery monety zadatku i szczerze życzył nam smacznego.

Weres niespecjalnie potrzebował takich życzeń, ale dla podtrzymania rozmowy zapytał ze współczuciem:

- I jak, niewiele macie teraz klientów?

- Cóż, miejscowi w zasadzie co dzień siedzą, bo robić to teraz nie bardzo jest co, ale z przyjezdnych nikogo nie było od ponad miesiąca. - Staruszek rzucił szybkie spojrzenie na ciemne kwadraciki okna, wzdrygnął się i zniżając głos dodał:

- Paskudne czasy, wilcze... Strach z osady wyjść, a co dopiero w drogę ruszać. Ale nie będę szanownym państwu przeszkadzał, jedzcie sobie na zdrowie!

Obiad rzeczywiście przyniesiono nam bardzo szybko - proste, ale smaczne i sycące wiejskie danie z wieprzowych żeberek, duszonych z ziemniakami i kiszoną kapustą. „Różne wina” składały się z taniej winesskiej „Tajemnicy Podczaszego”, wątpliwego elfiego miodu w krzywych butelkach,

wyraźnie rozlewano przez krasnoludy, co spowodowało się do rozcieńczenia wodą i dolewania bimbrowy by dodać mocy, oraz własnoręcznie pędzonej jarzębinówki. To pierwsze budziło najmniejsze obawy i w związku z tym zostało zamówione.

Wnuczka karczmarza, młodzianka, ale już całkiem niczego sobie panna błyskawicznie uwinęła się do piwnicy i z powrotem.

- O, a to chyba jest nasze wino! - ucieszył się „ślepiec”, wyciągając rękę jej na spotkanie, ale zamiast dzbanek wymacując imponującą panięską pierś. Zamarłam z uniesionym do ust zeberkiem, Rest zadławił się i zaczął kaszleć. Dziewczyna tylko zachichotała ze skrępowaniem, niezbyt przekonująco próbując się cofnąć. Pod dokładnym zbadaniem trzymanej w rękę krągłości Mrok „zrozumiał” że obmacuje zupełnie inne naczynie, śpiesznie cofnął rękę, niepewnie przeprosił i... wymacał drugą pierś, która niczym nie ustępowała pierwszej.

Weres w milczeniu wstał, zabrał pannie dzbanek i ze stukiem postawił go na stole przed smokiem. Dziewczyna obdarzyła czarownika takim spojrzeniem jakby to on bezczelnie wyciągnął łąpska do tego co święte, po czym gniewnie prychnęła i odeszła.

Mrok z uśmiechem od ucha do ucha bezbłędnie złapał dzban za ucho i wypełnił swój kubek równo po brzegi.

- Weres, a ty w ogóle pamiętasz, z której strony są troczki u spódnicy? Czy od tamtych czasów w ogóle...

- Zamknij się - bez złości ale ciężko rzucił czarownik. Smok z karcącym sapaniem nalał wina całej reszcie i również zabrał do jedzenia.

Upiłam łyk i skrzywiłam się. Takie wino podczaszy faktycznie powinien trzymać w tajemnicy, żeby nie robić z siebie pośmiewiska. No dobra, na rozgrzanie się nada. Oblizujący się zięć karczmarza co i rusz przechodził obok naszego stolika, jak umierający z pragnienia sęp, ale pozostawialiśmy głusi na jego ból, ignorując wyraziste spojrzenia i westchnienia. W końcu z kuchni wyjrzała kucharka, wyraziście dowodząc w kogo wrodziła się widziana już przez nas panna - bo wymiary jej matki przekraczały najśmielsze męskie marzenia, zbliżając się do koszmarów - bez ceregieli złapała swojego małżonka za kark, odwróciła twarzą do drzwi i przyłożyła kolanem po tyłku. Oto kto powinien stać przy wejściu, z łaką kobieciną nawet pijany troll nie będzie chciał zadzierać!

Jedliśmy w prawie zupełnej ciszy, chyba tylko Weres i smok wymienili kilka mało znaczących zdań i zamówili dokładki, po czym czarownik ze szczęśliwym westchnieniem przysunął do siebie oba talerze. Za progiem karczmy nasze drogi miały się rozejść i ani ja, ani oni absolutnie nie powinni wiedzieć w jakich kierunkach.

A raczej tak im się wydawało.

Dla mnie coś takiego jak absolutna cisza nie istniało, tak samo jak i absolutny mrok. Jeżeli ludzie niczego nie słyszą ani nie widzą, to bynajmniej nie oznacza to, że nic się nie dzieje. Po prostu trzeba umieć słuchać.

I na co też im się po śniegu w samym środku zimy wlec? - dolatywało zza na wpół otwartych kuchennych drzwi. Mimo mrozu wieść o czterech niezapowiedzianych podróżnych na pewno zdążyła oblecieć połowę osady i do kucharki przez tylne wejście wkręciła się ciekawska sąsiadka. Już skorzystała z okazji by do woli poobserwować nas sobie przez szczelinę i teraz z zapalem dzieliła się z przyjaciółką wrażeniami. - Bo ja to poprzedniej nocy nawet się bałam do obory wyjść, żeby sprawdzić jak tam krowa. Spojrzałam przez okno, a nad lasem burza łśni!

- Oj dajesz spokój, od kiedy to zimą burze? Może się coś paliło w Pięknicach.

- No coś ty, czy ja pożaru od pioruna nie odróżnię? Tam to jest łnienie równe, niskie, a tu trzy razy strzeliło, jakby kto biczem niebo przeciął! I psy wyły tak, że mi serce prawie z piersi wyskoczyło, nic tylko się chować pod piec z kotami! Ja ci mówię: niedobry to znak, na pewno się coś stanie za niedługo...

- A karawana na saniach z Zajęczego Gaju jednak się nie pojawiła - westchnęła kucharka, próbując zejść z niezbyt wesołego tematu. - Chociaż obiecali, że przed przełomem zimy zajrzą. Ja mojemu durniowi portki ciepłe zamówiłam...

- A dla mnie chustę z makami! - pisnęła córka, postukując naczyniami w cebrzyku z wodą.

- Te twoje portki to pewno już dawno temu wilki w lesie zjadły! - złośliwie zasugerowała sąsiadka. - Bo odkąd pamiętam w naszej okolicy ich tyle nie było, żeby w biały dzień się nie bały do domów podchodzić. Ja ci mówię, Krzywy Aksim w tamtym tygodniu opowiadał: „Wychodzę o świcie z sieni, patrzę, znowu nasz pies, żeby go leszy, z łańcucha się urwał i stoi po tamtej stronie płotu! Tylko chciałem na niego ryknąć, a patrzę, to wilk jest, i to taki ogromny, stary, aż siwy po grzbiecie! Jak stałem w tych drzwiach tak siadłem, a to bydlę zębate sobie wzdłuż płotu tak leniwie przebiegło i już go nie ma!”

- W lesie by pewnie tak szybko nie uciekał - z drzeniem zauważyła dziewczka. - A tylko sobie pomyślcie, jeszcze tam nocować?! Toć koszmar...

Kucharka upuściła żeliwną pokrywkę, która z brzękiem potoczyła się po podłodze, po czym z pretensją zauważyła:

- A co się niby takiemu czarownikowi stanie? Popatrz tylko jakie oczy ma, gorsze od wilka. Pewnie nawet czarować nie musiał, tylko spojrział...

- Do widzenia, Szel.

Sceptycznie popatrzyłam na wyciągniętą dłoń, potem spojrzałam w zbyt jasne, mające kolor ostrej niebieskawej stali oczy pod smoliście czarnymi brwiami. Ręka powoli opadła.

- Cóż, jak chcesz.

Czarownik, niezbyt starannie biorąc udział w smoczym przedstawieniu, złapał Mroka pod łokieć i poprowadził do wyjścia. Wyciągnął złotą monetę do karczmarza, który czujnie wyrzwał z sąsiedniej izby i szerokim gestem odmówił przyjęcia reszty. Rest obejrzał się w drzwiach. Nic to kochany, nadzieja umiera ostatnia!

Jeszcze minutę po ich wyjściu siedziałam w miejscu, pozwalając sobie ze zmęczeniem odchylić się na oparcie krzesła i zamknąć oczy, po czym głęboko westchnęłam, jednym ruchem podniosłam się na nogi, złapałam torby. Po drodze skręciłam i schowałam pod kaptur warkocz, i dogoniłam całe towarzystwo już na dworze. Nie próbowali ruszać Dymka, Weres całkiem szybko szedł o własnych siłach. Ot oszust jeden, a biedny zwierzak przez ostatnią wiorstę ledwo nogami powłóczył!

- Myślę, że droga przez Komary jest zbyt ryzykowna - powiedziałam. - Wydaje mi się, że powinniśmy raczej zejść za lasek, a stamtąd skręcić ku Rozłupanej Górcie. Co prawda to przez bezdroża, ale pod takim śniegiem nawet z traktu szerokiego na trzy sążnie pożytku tylko tyle, że ma słupy wiorstowe.

Mrok i Rest podskoczyli z zaskoczenia, Weres jedynie drgnął i gwałtownie odwrócił - ale i tak miło.

- Dlaczego?!

- Ponieważ do Górki z Pięknicy prowadzi jedyna droga, a tam nas już szukali. Mało prawdopodobne by poszli dalej, raczej rzucą się, żeby posprawdzać inne kierunki. Między innymi ten na Komary

- Mam na myśli: po kiego leszego stoisz za moimi plecami jeżeli możesz iść sobie na wszystkie cztery strony świata, dokładnie tak, jak się umawialiśmy?!

- No właśnie, mogę iść gdzie chcę. - Bez zbytniego pośpiechu, po cichu pławiąc się w zadowoleniu z efektu, odwiązałam Dymka i podprowadziłam do płotu. - I dlatego idę z wami, A co, ktoś ma coś przeciwko?

Koło furtki, tarasując ją od strony ulicy leżało pięć czy sześć bali brzozowych grubości mojego ramienia. Kiedy my siedzieliśmy w karczmie, koło płotu zatrzymały się półsanie do których zaprzężona była rudawa kobyłka, a drwale uznali, że przez pół godziny zamówiony przez karczmarza opał nie będzie nikomu przeszkadzał, odczepili go i udali się na przerwę.

- Tak! - szczerze odpowiedziały mi trzy głosy. Niczego innego się nie spodziewałam, więc nawet przez myśl mi nie przeszło żeby się tym zmartwić.

- Czyżbyście mieli zamiar porzucić słabą kobietę na pożarcie kudłakom? - Postawiłam torby na ziemi, rozejrzałam się dookoła, przekonałam, że nikt nas nie widzi i przelazłam przez płot, po czym jeden za drugim odciągnęłam bale na bok, zwalniając przejście.

- Cóż, rzeczywiście trzeba się nad biednymi kudłakami zlitować - zgodził się Weres

poważnym tonem.

- Przedłużamy umowę? - Ostatni oblodzony pień wyślizgnął mi się z rąk i spadł na czubek buta, w związku z czym do moich towarzyszy odwracałam się z wyrazem twarzy dalekim od pokojowego.

- Na twoim miejscu uważnie bym ją przeczytał - mruknął smok, zwracając się do czarownika - żeby przekonać się, czy na dole nie ma żadnych dopisków drobnymi literkami odnośnie tego, kto tu jest członkiem drużyny, a kto prowiantem!

- Szel, jesteś pewna?

- Przecież sam mnie przekonywałeś, że droga ciężka, razem bezpieczniej... - przypomniałam mu z ironią.

- Po co idziesz do Jesionowego grodu? - przerwał mi, nie pozwalając zbić się z pantałyku. Szacuneczek.

- Las nie gorszy od każdego innego.

- Chyba że jesteś wilkołakiem. - Wyglądało na to, że Weres całkiem dobrze znał tamtejsze zwyczaje.

- Nie twój problem - warknęłam. - Przecież ja się nie dopytuję, czego ty tam szukasz!

- Mogę odpowiedzieć. - Czarownik wzruszył ramionami. - Jesionowy gród, a w szczególności jego połowa należąca do driad, to teren zakazany dla innych ras i ich magii. Jego gospodynie nie zapraszają do siebie wielu gości, ale też nikogo nie wydadzą. A poza tym, muszę z kimś pomówić.

- Ja również. Zadowolony?

- Nie - przyznał Weres szczerze. - Ale jeżeli odmówię, to i tak tam pojedziesz, czyż nie?

Uśmiechnęłam się zagadkowo, po czym parę razy podniosłam i opuściłam brwi. Czarownik z rezygnacją machnął ręką i minął mnie, wychodząc na drogę.

- Nie zapomnij o swoich pakunkach... partnerko.

Rest ledwo słyszalnie jęknął, ale nie odważył się spierać z mistrzem.

- Dzieciak je weźmie. - Nie odmówiłam sobie niewielkiej zemsty. Zasmęcony szczeniak niechętnie narzucił na ramię szeroki skórzany pasek i z rozpędu rzucił się za czarownikiem, ale jęknął i prawie upadł na bok. Hehe, a komu w dzisiejszych czasach jest lekko?!

Brak innych talentów Rest z nadmiarem rekompensował uporem. Nie wypuścił toreb, tylko zacisnął zęby i chwając się pod ich ciężarem powlókł je w kierunku Dymka. Oparłam się o koński bok i z zadowoleniem śledziłam jego ruchy, nie zamierzając robić nawet jednego kroku na spotkanie. Tymczasem wrócili drwale, którzy najpierw skupili się dookoła przesuniętych bali, rozglądając się z zafrasowaniem i skrobiąc po potylicach. Po chwili zauważyli czarownika, uspokoili się i burcząc we własne brody coś niezbyt pochlebnego wzięli do rozpiłowywania drewna wprost na ulicy.

Dymek podciągnął pod siebie chorą nogę i patrzył na mnie z pretensją jak skopany pies. Czując się jak ostatnia suka, poklepałam go po odrzuconej na jeden bok grzywie. Wałach tylko westchnął.

- O Rozłupanej Górcie mówiłaś poważnie? - Weres stanął po drugiej stronie Dymka, ale nie śpieszył się z włożeniem, tylko stał z rękoma złożonymi na siodle i opartym na nich podbródkiem, wpatrując się w mój pozbawiony wyrazu profil. Zaraza, jak się odwrócę od niego to wyjdzie głupio, a jak do niego to niebezpiecznie, bo mojego spokoju wystarczyło wyłącznie na pół twarzy.

- Owszem. Ja również nie wierzę w zimowe burze.

- O czym ty mówisz?

- O niczym, to takie powiedzenie.

Równocześnie zrobiliśmy krok do tyłu, gdyż Dymek miał już dosyć odgrywania roli płotu na randce nieśmiałej parki i przywalił sprawiedliwie po obu stronach oblodzonym ogonem.

I tak będziemy latać zygzakami jak te zające? - skrzywił się Mrok.

Przed takimi wilkami to żaden wstyd sobie polatać - ucięłam zimno. - Podziękuj, że wtedy go zauważyłeś jako pierwszy i z powietrza. Bo jak ci z zaskoczenia wskoczy na kark to nie zdązysz

nawet pisać, nie mówiąc już o zianiu ogniem!

- Ja to... - zaczął smok z oburzeniem.

Ale ja już nie słuchałam. Nie wypuszczając z rąk uzdy szybko ruszyłam na spotkanie pochylonej figurki, która dobrowolnie wprzęgła się w sanki wyładowane ogromną wiązką chrustu. Rest, który dopiero co przygotował się, by resztkami sił wrzucić torby na grzbiet Dymka, zachwiał się, nie utrzymał na nogach i usiadł na śniegu.

Cóż, czasami mój słuch jest nawet zbyt dobry...

Panna zatrzymała się, dalej ze zmęczeniem patrząc pod nogi, ale rozumiejąc, że przeszkoda na jej drodze nie jest przypadkowa, podniosła na mnie zdziwione brązowe oczy. Sympatyczna, w moim wieku - przynajmniej zewnątrz.

- Dzień dobry. - Lekko pochyliłam głowę, a dziewczyna odpowiedziała tym samym. -

Ludzie powiedzieli mi, że pani jest tutejszą znachorką.

- Dokładnie - potwierdziła, natychmiast odzyskując pewność siebie. - Macie państwo jakieś problemy? Ktoś zachorował?

A kim jeszcze może być samotna panna, która w woreczku przy pasie niesie garść wykopanych spod śniegu korzonków?

- Nie, ale chciałam na wszelki wypadek zrobić pewne zapasy. Ma pani może maść przeciw odmrożeniom?

- Nawet przy sobie. - Znachorka szybko ściągnęła grube rękawice i wyciągnęła słoik z kieszeni wyświechtanej kurtki. - Tutaj, świeżutka, niech pani sama zobaczy!

Mimo że i tak wszystko doskonale czułam, sumiennie uniosłam pokrywkę i powąchałam lepką żółtą zawartość.

- Ujdzie. Ile płacę?

- Znaczy... trzy srebrniki.

Cóż, koleżanko, w ten sposób to się szybko nie wzbogacisz...

- Yhym. Potrzymania pani konia?

Pogrzebałam w sakwie, kątem oka obserwując jak wałach żebraczo wpycha pysk w cudze dłonie, mając nadzieję na kawałek chleba czy jabłka. Ludzi wyczuwał bezbłędnie i na skąpca nawet nie spojrział.

- Ale czemu pani chodzi po opał bez konia? Na sankach wiele nie przyciągniesz...

Dziewczyna uśmiechnęła się, wyciągnęła delikatną rękę i pogłaskała Dymka po siwym pysku.

- Miałam starą kobyłkę, rudą i też taką kudłatą. Padła na jesieni... Szkoda, w stajence tak się pusto zrobiło i siana został cały kocyk...

W zamyśleniu skrobnęłam palcem srebrną monetkę.

- Ech, nie mam za wiele pieniędzy... Może weźmie pani mojego konia w zamian?

- Ale... - Znachorce wyrwał się nerwowy chichot. - Przecież on kosztuje ze dwadzieścia kładni!

- Kulawy? Pięć co najwyżej. Nie nada się ani do pługa, ani do zaprzęgu, ale żeby pojechać do lasu po zioła będzie w sam raz. No to jak, weźmie pani?

- Znaczy pięć... - Dziewczyna jeszcze się wahała, ale jej ręka już zupełnie inaczej, twardo i po pańsku złapała wałacha za ogłowie.

- No i wspaniale! - Gwałtownie ściągnęłam szyjkę sakiewki kończąc rozmowę i zawróciłam do furki, słysząc jak po krótkiej przerwie za plecami mymi zastukały oddalające się kopyta.

- Dziękuję! I niech bogowie panią prowadzą! - Z opóźnieniem zasumitowała się znachorka już dwa domy od miejsca transakcji, w końcu wierząc, że nie żartowałam. Nawet o sankach zapomniała, porzucając je na środku drogi.

Dymek obejrzał się i pytająco zarżał. W milczeniu wzięłam od Resta torby i przerzuciłam przez ramię. Szczeniak patrzył za koniem i nawet zapomniał się odgryźć, ograniczając do westchnienia:

- Szkoda...

- Nic to, pójdzie twój mistrz na własnych nogach, chłop on mocny - burknęłam, odwracając się.

- Ale ja wcale nie dlatego... - Dzieciak urwał, uznając że i tak nie docenię jego natchnionych uczuć.

- Nie szkoda, tylko głupie to. - Mrok bynajmniej nie cierpiał na nadmiar łzawych sentymentów. - Teraz możesz sama nieść swoje rzeczy, a jak zmienisz postać to możemy nawet siodło ci na grzbiet założyć!

- Patrz żebyśmy ciebie do wozu nie wprzęgli - odgryzłam się. - Jeżeli tamci faktycznie puścili naszym śladem kudłaki, to siedząc na tym koniu i tak przed nimi nie uciekniemy bo będzie nas tylko wstrzymywać.

- No to byś sprzedała tamtemu typowi na psie mięso!

Trzy ogromne psy na sąsiednim podwórzu rządkiem leżały przy płocie, wciśnięte w śnieg, nie spuszczać ze mnie oczu, doskonale świadome, że słowa „psie mięso” mają podwójne znaczenie. Pogardliwie skrzywiłam wargi.

- Nie wątpię, że ty byś właśnie tak postąpił.

- Nie. Ja bym go po prostu zjadł - zaprzeczył smok spokojnie. - A teraz co? Konia nie masz, pieniędzy nie masz, żołądek też pusty.

- A teraz kupimy narty albo buty śniegowe. - Niespodziewanie Weres stanął w mojej obronie. - Na nich się szybciej idzie, a i ślady też się łatwiej maskuje. Wystarczy natrzeć płoży słoniną ze startą pietruszką i żadne pomroki nas nie zwąchają.

„Prawie żadne” - poprawiłam go w myśli, ale na głos nie rozczarowywałam. Tym bardziej, że na kudłaki ta metoda naprawdę powinna podziałać.

- No to co, będziemy tak na piechotę szli do samego Grodu? - mruknął Mrok ze wstrętem.

Doskonale rozumiałam jego szczere niezadowolenie. Smoki, tak pełne gracji w powietrzu, po ziemi przemieszczały się ciężko i w związku z tym niechętnie, na równi nienawidząc gęste lasy i głęboki śnieg. Jeżeli się nie myliłam, w rycerskiej opowieści „Praktyczne wykonanie Świętego Czynu Bohaterskiego, czyli Gada Usieczenia” podana była nawet dokładna metoda zwabienia rzeczonoego gada na pole - świeżo zaorane albo obsadzone wysokimi konopiami. Usiekający miał przy tej okazji biegać po wąskich wydeptanych ścieżkach. O praktycznym wprowadzeniu pomysłu w życie jakoś nie słyszałam, ale wyobraziłam sobie smoka na nartach i po prostu parsknęłam śmiechem, w związku z czym Mrok do reszty się zbuntował:

- No to wy sobie idźcie, a ja będę leciał górą!

- Jak najbardziej - Weres zgodził się stanowczo za łatwo,

- Poczekaj tylko, aż namaluję plakat.

- Jaki plakat? - zdumiał się smok.

- „Tu jesteśmy, szybciej doganiajcie!” - wyjaśnił czarownik ze stoickim spokojem. -

Przywiążę ci do ogona, żeby nasi prześladowcy na pewno zauważyli i jeszcze zaczaruję, żeby świecił w nocy. Wszystkie porządne smoki o tej porze roku albo śpią, albo siedzą w swoich jaskiniach, a o naszej przyjaźni wie zbyt wiele osób.

- Ja cię zaraz zjem zamiast konia - naburmuszył się Mrok. - Nawet jeśli mnie potem będzie przez trzy dni męczyła czkawka.

- Na pół, na pół! - przytaknęłam. - Jak ty go znosisz przez tyle czasu?!

Smok smętnie rozłożył ręce, sam dziwiąc się własnemu dobremu sercu, i natychmiast schował je z powrotem do kieszeni, bo mróz poważnie zaczął domagać się swoich praw.

Szczerze mówiąc, pomysł z nartami mnie również niezbyt przypadł do gustu - ostatni raz jeździłam na nich jakieś piętnaście lat temu i nie zachowałam cudownych wspomnień. Przeważnie sprowadzały się one do widoku moich zadartych nóg z krzyżem nart na tle nieba. Jak na złość, wprowadzenie idei w życie okazało się niespecjalnie trudne, ponieważ wszyscy chłopcy mieli w gospodarstwie zapasowe narty i chętnie zgodzili się je sprzedać. Jeszcze szybciej okazało się, że narty nie lubią mnie jeszcze bardziej niż przy poprzedniej okazji. Wystarczyło bym zaciągnęła mocowania i wyprostowała się, by lewa poślizgnęła się do przodu, prawa do tyłu, a ja zastygłam w rozkroku, desperacko czepiając się kijków i bojąc odetchnąć. Rest brał przykład z mistrza i

wstrzymywał uśmiech, ale za to Mrok przypomniał sobie starożytne powiedzenie głoszące, że minuta śmiechu przedłuża życie o godzinę i bezczelnie próbował moim kosztem pozyskać nieśmiertelność. Poważnie zaczęłam rozważać, czy nie zrezygnować z chwiejnej równowagi dla możliwości przywalenia mu kijkiem, ale w tym momencie smok skończył gmerać przy swoich nartach, a ja w końcu wylądowałam na ziemi, rozwierając palce ze śmiechu.

Nieopatrznie zabraliśmy się za ekwipowanie na spłachetku zmarzniętego śniegu z prawie niezauważalnym - o ile, oczywiście, człowiek stał na nim w walonkach - nachyleniem. I wystarczyło, że smok wykonał próbny krok, by narty jak humorzaste konie, które w końcu doczekały się komendy „wioooo!” zgodnie ruszyły z miejsca, cały czas przyśpieszając. Zamiast wyhamować kijkami, Mrok bezsensownie zamachał nimi w powietrzu, próbując utrzymać równowagę, ale w ten sposób jedynie dodał sobie dodatkowego pędu. Logiczne zakończenie nastąpiło na samym dniu dolinki nie bez pomocy krzaku dzikiej róży, który narty próbowały ominąć z dwóch stron. Pojedyncze wrzaski ukształtowały się w wyczerpującą charakterystykę wydarzenia, która została natychmiast pogrzebana pod śniegiem opadającym z gałęzi

- Rest, pójdiesz jako ostatni. - Weres powstrzymał niecierpliwie wyrwijącego się do przodu ucznia. - Będziesz zerkał do tyłu i w razie czego gwizdał.

- Tak jest, mentorze - zgodził się dzieciak, bez słowa skargi wracając i stając za mną.

- A przy okazji, skąd się wzięło to durne określenie „mentor”? - spytałam nieco poniewczasie. - Zwykle uczniowie zwracają się do swoich nauczycieli ze znacznie większym szacunkiem.

- Nie jestem jego panem ani właścicielem. - Czarownik ostatni raz poprawił torbę i wygodniej złapał kijki. Narty pod nim stały, jakby je kto przybił do podłoża. - Ja go tylko uczę swojego rzemiosła.

- No to mógłby cię nazywać mistrzem.

- Mistrz może być tylko jeden - uśmiechnął się Weres.

- Ksander Perłow, dziekan wydziału magii praktycznej w Starmińskiej Szkole Czarodziejstwa. Swego czasu do tego stopnia dał mi się we znaki, że nadal drzę na sam dźwięk tego słowa. Nie, już wolę „mentora”!

Weres odepchnął się kijkami i zgrabnie, przy akompaniamencie radosnego świstu wiatru zjechał do dolinki, przecierając nam drogę - ścieżka po przejeździe Mroka nadałaby się w najlepszym razie dla dwójki węży, kreślących absolutnie niezależne, raz rozchodzące się a raz prawie przecinające krzywe. Odprowadziłam czarownika zazdrosnym spojrzeniem, wzięłam głęboki oddech dla zebrania odwagi i ruszyłam za nim, bardziej zapierając się kijkami niż pomagając sobie nimi.

Gdy dotarliśmy do smoka, już nie przypominał śnieżnego kurchanu, ale na zadowolonego z życia również nie wyglądał.

- Doganiaj! - rzucił mu czarownik w biegu, przyśpieszając, by z rozpędu wjechać na przeciwległe zbocze. Nie odważyłam się pójść za jego przykładem, więc mniej więcej w połowie stromizny wpadł na mnie Rest, który nie zdążył wyhamować.

- Patrz gdzie jedziesz! - ryknęłam, wydzierając tylne części moich nart spod przednich jego.

- Sama patrz! - odgryzł się dzieciak, robiąc krok w tył. - I w ogóle...

Odwróciłam się i pytająco uniosłam brew.

- I w ogóle - powtórzył strosząc się, ale nie poddając. - Nie prosiliśmy, żebyś szła z nami! Z moim mentorem i tak jesteście wrogami na zawsze, jakbyś nie próbowała się do niego przymilać!

Ku zdumieniu Resta nie wściekałam się, a ze szczerym śmiechem protekcyjnie poczochnałam go po czubku głowy.

- Zapamiętaj, szczeniaku, mądrzy wrogowie zawsze znajdą wspólny język. I sprzymierzą się przeciwko głupcowi.

- Dlaczego ciągle nazywasz mnie szczeniakiem? - obruszył się, strząsając moją rękę.

- Ponieważ nie jesteś wilczkiem. A na psa jeszcze nie wyrosłeś.

- Jestem człowiekiem! - zaprotestował Rest z urazą.



- Doprawdy? - mruknąłam sceptycznie i przestałam reagować na jego dalsze skamlenia.

## Rozdział 6

Po obiedzie zrobiło się nieco cieplej i zaczął padać śnieg - dużymi puchatymi płatkami. Przed wieczorem oblepił drzewa po same czubki, od sękatych pni po najcieńsze gałęzie. Świerki zmieniły się w wysokie kopce o ostrych czubkach, dęby i jesioni przypominały krucho białe koralowce i wydawać by się mogło, że zamknięta pomiędzy wzgórzami dolina była kiedyś dnem morza. Zamieć nie ustawała, a wręcz przeciwnie, z każdą godziną się nasilała, powoli lecz nieubłagalnie. Taką pogodę miło jest podziwiać przez oszronione okienko, czując na plecach ciepło bijące od pieca... Brnięcie z uporem pod wiatr, z pochyloną głową, co chwilą się potykając, to niewielka przyjemność, delikatnie mówiąc. Nie pomaga ani futro uszyte, ani własne, wiatr przeszywa je równie łatwo jak elfia strzała i coraz to nowe wykute przez mróz ostrza ranią ciało, przenikają do krwi, pełzną w kierunku serca... Takie piękno jest straszliwą siłą. Najlepsza rada to siedzieć w domu, podziwiać, marzyć i bezskutecznie tęsknić za cudownymi przygodami, zamiast urozmaicać zimowe pejzaże kolejnym białym wzgórzkiem. Albo łańcuszkiem czterech takich pagórków, co stworzy jeszcze lepszy widoczek.

Śnieg w ciągu paru sekund zacierał za nami ślady nart. Tu i tam tworzył tęgie spirale wirów, by niespodziewanie rozbryznąć się na boki, boleśnie bijąc po oczach. Mimowolnie zbierające się w oczach łzy zamarzały, sklejjąc rzęsy, a szybko zapadający zmrok ostatecznie pozbawił nas orientacji. Na częstokół trafiliśmy chyba tylko cudem i całkiem niespodziewanie, ponieważ do ostatniej chwili braliśmy go za daleki las - wyjący wiatr zagłuszał dźwięki, które mogłyby dobiegać z domów i rozwiewał zapachy. Nawet przeciągnęłam ręką po balach, by się upewnić, że to nie iluzja. Obok Weres pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Gdybym nie była tak zmęczona i zmarznięta, to na pewno wyryczałabym w jego kierunku kilka miłych słów, ponieważ zrozumiałam, że czarownik całkiem poważnie zastanawiał się nad tym, w jaki sposób możliwie delikatnie powiedzieć towarzyszom, że wyprowadził ich leszy wie gdzie - nawet ja już od dłuższego czasu nie pilnowałam drogi ufając jego pewnemu krokowi, a co dopiero mówić o Reście i Mroku.

Przeszliśmy kawałek wzdłuż ogrodzenia i znaleźliśmy bramę, zapartą od wewnątrz grubą żerdzią. Nie widziałam specjalnego pożytku z takiego ogrodzenia: ani nie ratuje przed skocznymi leśnymi zwierzętami, ani przed ludźmi - my z łatwością podnieśliśmy przeszkodę końcem narty, wsuwając ją w szczelinę pomiędzy wierzejami. Chyba tylko domowe ptactwo można w ten sposób utrzymać w środku, chociaż koguty tak czy siak pewnie przelatują. Mimo to sumiennie zamknęliśmy za sobą bramę i założyliśmy drąg z powrotem.

Oczywiście ani na ulicy ani na podwórkach nikogo nie było i tylko słabo migąły ogniki łuczyw w oknach, podobne do gwiazd podczas chmurnej nocy. Od bram do ganków ciągnęły się wąskie rynny ścieżek przekopanych w śniegu przez mieszkańców, które łączyły się we wspólną wiejską drogę.

Z niezrozumiałego powodu spodobał mi się trzeci dom z kolei - zbudowany z drogiej, solidnej krasnoludzkiej cegły, kryty dachówką, otoczony nie mniej solidnym ogrodzeniem na wysokość mojego wzrostu. Zrobiłam krok w kierunku bramy i walnęłam w nią pięścią, po czym odskoczyłam na bok bo z daszka zerwała się ciężka czapa śniegu, która niezgrabnie zwała mi się pod nogi. Zza parkanu odezwały się psy.

- Szel, co ty robisz?
- Proszę żeby nas ktoś przenocował. A masz inne plany?
- Schyliłam się, odpinając narty.
- Daj spokój, i tak nikt nas tu nie wpuści. Trzeba poszukać jakiegoś biedniejszego domu, a jeszcze lepiej karczmy.

- Czyli przechowalnię dla pluskiew i pcheł? Dziękuję pięknie. Ale poczekaj, przynajmniej spytamy, a nuż się nam poszczęści?

- Wątpię.

- Zakład?

- Szel, nie bądź głupia. - Czarownik poszedł za moim przykładem, niepewną ręką rozplątując rzemyki przy mocowaniach. Ani on ani Rest nie spowalniali nas po drodze - uczciwie mówiąc, momenty gdy ja i Mrok prowadziliśmy ciężkie boje z nartami w zupełności starczały im do wypoczynku. Ja w ogóle odmówiłam zjazdu z jednej góry i pozostali musieli czekać, aż tchórzliwie zejść z niej „drabinką”. Ale widać było, że wyprawa nie jest dla niego łatwa, szczególnie ta ostatnia wiorsta. A sądząc z ciężkiego oddechu i na wpół przymkniętych oczu raczej zgodziłby się nocować pod tym płótem niż zrobić kolejny tysiąc czy dwa kroków.

Wrzasnęłam ze złością, nie cofając wyciągniętej ręki.

- Zakład?!

Weres z westchnieniem i tylko po to bym się odczepiła wyprostował się i przyklepał moją dłoń. Akurat w tej chwili brama się otworzyła i zamieć obrysowała żwawego staruszka w kożusku, sądząc z oznak służącego. Podejrzliwie mrużąc oczy podniósł do góry lampkę z osłonkami z miki, za którymi drżał cienki płomyk na ogarku świecy.

- I czegożta szukają? - zapytał bojaźliwie.

- Chcieliśmy tylko zapytać, czy nie można przypadkiem u was przenocować - niezbyt pewnie wyjaśnił Weres, oglądając się na mnie.

- Państwo kazali nikogo nie wpuszczać! - Tym niemniej stróż nie miał dosyć tupetu, by zamykać bramę wprost przed nosem czarodzieja. Bo jeżeli ów akurat ma kiepski humor, to można stracić własny.

- A niech pan zapyta właściciela - wtrąciłam się, nie pozwalając zepsuć mi planu Weresowi, który miał wyraźny zamiar przeprosić za zakłócanie spokoju. - Może już od dawna na nas czeka.

- Znaczy... - Staruszek niezbyt zachwyił się moim pomysłem, ale był on i tak lepszy niż samodzielne radzenie sobie z nieznanymi (a może nawet niebezpiecznymi) gośćmi

- Państwo chwilę poczekają.

Stróż spróbował zamknąć bramę, ale z miłym uśmiechem zablokowała ją kijkiem od nart. Dziadek wołał się ze mną nie szarpać, tylko drobnymi krokami ruszył w kierunku ganku. Odwiesił lampkę na haczyk przy futrynie, otrząsnął walonki i zniknął w domu.

Usłyszałam delikatne skrzypienie desek podłogowych, a potem gniewne tupanie i w drzwiach wejściowych otworzyło się małe okienko, które akurat mieściło dwa chmurnie zmrużone oczka. Czarodziej zrobił kilka kroków do przodu, w krąg światła rzucanego przez lampkę, zostawioną przez stróża na zewnątrz. Właściciel domu nie raczył się pokazać, obejrzał opuszczone ze zmęczenia ramiona podróżnika i nie poczuł się zobowiązany do gościnności.

- Że też łażą tu i łażą, jakby im tutaj kto miodem smarował - ryknął, z każdym kolejnym słowem coraz bardziej nadymając się słusznym w swoim mniemaniu gniewem. - Już do reszty pobezczelnieli, w środku nocy się wdzierają do domów uczciwych ludzi!

- Zapłacimy... - zająknął się Weres. - Albo odpracujemy...

- Spadaj stąd, mówię! - Głos zza drzwi zabrzmiał jeszcze bardziej wściekle. - Wynoś się, parszywy czarowniku, póki psami nie poszczułem! Nie dostaniesz tu ani roboty, ani noclegu!

Weres z niesmakiem pokręcił głową, ale uznał, że nie będzie wszczynał awantury, tylko odwrócił się do mnie i ze stoickim spokojem rozłożył ręce: „No widzisz, a nie mówiłem!”, po czym ruszył z powrotem do bramy. Gdy tylko zatrzasnęła się za jego plecami, szczekanie zrobiło się bliższe i bardziej wredne - właściciel jednak spuścił psy i teraz kręciły się pod płótem niezadowolone z tego, że wolność przysła za późno.

- Zadowolona?

- Jak najbardziej - uśmiechnęłam się, wręczając mu naręczę nart i kijków. - Stańcie tutaj... albo nie, lepiej się przespacerujcie kawałek ulicą, ale nie dalej niż do... powiedzmy, o tamtej studni.

- Szelono, co ty wyprawiasz?! Wróc natychmiast!

Hehe, rozkazywać to ty możesz swojemu uczniowi!

Poszłam za węgiel, wybrałam spokojne miejsce, szybko zdjęłam ubranie i po chwili, ledwo dotykając łapami szczytu ogrodzenia przeskoczyłam na środek podwórza. Psy rzuciły się w moim kierunku, ale zaraz zobaczyły z kim mają do czynienia i z jazgotem uciekły precz - jedno pod ganek, a drugie do budy. Przewodnik psiego stada w naprawdę rekordowym czasie zagrzebał się w zaspie tak, że na zewnątrz sterczał wyłącznie drżący ogon.

Nie zwracając uwagi na psy podeszłam do tylnego okna i delikatnie zapukałam w nie pazurem. Doczekałam się pojawienia ognika świecy za odciągniętą zasłoną, kaszlnęłam ze skrzepowaniem i lekko wyjąca litanią zaczęłam:

- Paaanie proooszę, daaaaj parę groszy, daaaaj paaanie na kawałek chleba...

Nie udało mi się wyłożyć swojej prośby do końca. Świeca spadła w dół, razem z ręką i resztą ciała, które po drodze wydało z siebie tak głośny ryk, że aż położyłam uszy i się cofnęłam.

Po paru minutach trzasnęły frontowe drzwi, a następnie skrzypnęła brama.

- Te, czarowniku! Gdzie ty tam jesteś?! Czekaaj no!!! Ty nie miej pretensji, nie poznałem! Mamy tu takiego głupka, który kogo tylko nie udaje z tej swojej durnoty i nijak się człowiek od niego odpędzić nie może, bo nic tylko próbuje się do sieni zakraść i coś zakosić! No to ja też durny się wydarłem! A ty wejdź, zrób łaskę! I miecz masz przy sobie? Pewnie srebrny, na potwory też działa? Och jak to dobrze! Bo czasy mamy niebezpieczne, w okolicy wszelakich zwierząt...

Dopinając kozuch w biegu i nie mogąc powstrzymać chichotu dogoniłam towarzystwo koło ganku.

- Szeleno, co ty znowu nabroiłaś? - szepnęła czarownik z niepokojem, ciągnąc mnie za łokieć.

- Czuję się urażona, byłam wcieleniem uprzejmości! - oburzyłam się szczerze, bezczelnie odpychając go na bok i jako pierwsza wkraczając do domu. Ostatecznie jestem kobietą czy nie? Przynajmniej w tej konkretnej chwili...

\* \* \*

Istotnie, złodzieje mieliby tu używanie: w domu mieszkał były kupiec z małżonką i dwiema niezamężnymi córkami. „Były” w tym przypadku nie oznaczało bankruta tylko kogoś, kto wzbogacił się do tego stopnia, że już nie potrzebował sam jeździć po kraju z karawanami czy siedzieć w kramie. Od tego miał sporą liczbę podręcznych i zarządców, którzy zabierali jedynie rozkazy, a przywozili wyłącznie pieniądze. Gobelin, który mimochodem zauważyłam w salonie mógłby być ozdobą nawet zamku królewskiego, ale dalej niż na próg nas nie wpuszczono, każąc zanieść rzeczy do przybudówki dla służących z osobnym piecem i wyjściem na dwór. Dzisiaj i tak stała pusta - niańka siedziała w pokoju dzieciennym z marudzącym niemowlęciem, kucharka poprosiła o wolne do rana, a stróż, który po tak drastycznej zmianie zachowania gospodarzy patrzył na nas bardziej podejrzliwie, stwierdził, że przenocuje sobie w stajni w towarzystwie koni. Sami państwo również nie pragnęli naszego towarzystwa, tylko zamknęli się na zasuwę od wewnątrz.

Jeżeli wydawało im się, że w ten sposób nas rozczarują, to głęboko się pomylili. Weres, słysząc wymuszone zaproszenie: „Proszę, czujcie się jak w domu, czym chata bogata tym rada” natychmiast odzyskał dobry humor i wsadził nos do pieca w poszukiwaniu jedzenia, a Mrok ściągnął opaskę, która zdążyła go porządnie wkurzyć i wprost w butach rozwalił się na szerokiej leżance stróża. Sądząc ze stanu koca jej właściciel również nie fatygował się zdejmowaniem obuwia. Niezwykle cichy Rest z drzeniem tulił się do pieca. Oj, te szczeniaki... Najpierw z durnym szczekaniem lecą przed stadem albo płatają się pod nogami, a potem ledwo ledwo wloką z tyłu, wywiesiwszy ozory do ziemi.

Mimo że sama byłam nie mniej zmęczona i zmarznięta obawiałam się tak po prostu nocować w nieznanym sobie miejscu. Tak więc zostawiłam bagaże w izbie i ruszyłam na zwiady.

Na oko Rozłupana Górka liczyła ze czterdzieści gospodarstw. Może nawet więcej, w większości okien nie paliło się światło, co znacznie utrudniało obliczenia. Bo kto o tam wie czy to dom mieszkalny, czy tylko jakaś szopa? Przespacerowałam się do końca ulicy. Skacząc do góry i podciągając się, wyrzałam ponad bramą, która była dokładną kopią tej po przeciwnej stronie.

Niczego podobnego do górkę, a tym bardziej rozłupanego nie zauważyłam. Dokładnie na odwrót: po prawej stronie sterczał las, a po lewej rozciągało się szerokie równe pole, z niewiadomego powodu bez jednego znaku granicznego. Nie mogłam przyjrzeć się dokładniej, bo mocny poryw wiatru beczelnie uderzył mnie w pierś i zepchnął na ziemię - tyle dobrego, że nie razem z bramą. Ogrodzenie pochylilo się, zaskrzypialo ale wytrzymało.

Zresztą i tak dowiedziałam się tego co najważniejsze: we wsi nie pachniało ani kudłakami, ani strażnikami. Ale za to wilkami tak, szczególnie mocno od słupów przy bramie. Od wewnętrznej strony tak samo starannie oznaczone były one przez miejscowe psy. Ze smutkiem zerknęłam na szczególnie sympatyczną żerdź, stanowczo obciągnęłam kurtkę i ruszyłam z powrotem.

Rest otworzył mi drzwi i z wrzaskiem odskoczył do tyłu.

- Częściowa zmiana postaci - wyszeptał Weres z zachwytem. - Słyszałem, że prawdziwe wilkołaki są do niej zdolne, ale kajam się, nie wierzyłem...

Mrugnęłam i oczy przestały mi świecić. Przystąpiłam przez próg, zdjęłam kozuch i mściwie potrząsnęłam nim w kierunku wychylonego do przodu czarownika, z ciekawością przyglądającemu się moim źrenicom, które zmieniały kształt znacznie wolniej. Wąskie szczelinki powoli zmieniały się w krążki. Dzięki magicznemu światelku pod sufitem w pokoju było bardzo jasno, musiałam nawet zmrużyć oczy.

- Szel, nie bądź wredna. - Weres przeciągnął ręką po twarzy, ścierając śnieżynki, które w jednej chwili zmieniły się w krople wody.

- A ty przestań się na mnie tak gapić. Może jeszcze poprosisz żebym ci pokazała skąd mi ogon rośnie?

- Ja bym nie odmówił! - odezwał się natychmiast Mrok. Bryznęłam również w jego kierunku - na kurtce było dosyć śniegu.

- I co, tak sobie chodziłaś po wsi?

- Tam jest zamieć, na dwa kroki nic nie widać. A tamta babka z włosami stojącymi dęba nawet będzie miała lepiej, nie będą się jej pchały do oczu...

- Szelena! - wrzasnęli obaj oburzonym chórem.

- Oj dajcie spokój. Nikogo nie spotkałam. Żaden człowiek mający odrobinę zdrowego rozsądku nie będzie się w taką pogodę pchał na dwór. - Ulokowałam buty bliżej pieca i bez pomocy stopnia wskoczyłam na niego, z zadowolonym mruzeniem wyciągając na całą długość. - Doobrze jest...

W nagrzaney izbie natychmiast poczułam się senna, Weres z Mrokiem cicho rozmawiali o jakichś błahostkach, kołysząc mnie do snu miarowo płynącymi głosami. Tak więc podsuniętą pod nos miskę zauważyłam dopiero wtedy, gdy mnie po tymże nosie stuknęła.

- Dziękuję. - Uniosłam się na łokciu i bez szczególnego zapachu zaczerpnęłam klusek z mlekiem. Zresztą, po kilku łyżkach nabrałam apetytu, a Weres patrząc na mnie nawet sięgnął do garnka po dokładkę - pewnie już trzecią albo i czwartą.

- Sycaća kolacja gwarantuje mocny sen - czułym głosem mruknął Mrok, który zdążył już odstawić swoją miskę. - Oczywiście kolacja wasza, a sen mój!

W odróżnieniu od ciebie jestem dobrze wychowana i w gościnie jem wyłącznie to, co leży w miskach - odcięłam się.

- A co, jeśli jakiś gość przesadzi z miodem i zdecyduje się pospać w sałatce? - złośliwie doprecyzował smok.

- Nie interesuje mnie zawartość cudzych talerzy - odparłam z godnością, oblizując łyżkę. - Nie martw się, tak czy siak nie będę cię teraz jadła. Na takim mrozie doskonale przetrzymasz do rana pod gankiem.

- Że coooo?! - Smok nie od razu zrozumiał. - Żebyś wiedziała, że ja...

Ostatecznie nie miałam okazji dowiedzieć się co on. Mrok ze zdziwieniem wsłuchał się w słabe skrobanie za drzwiami i po chwili wahania odsunął zasuwę. Przez szczelinę natychmiast wślizgnęła się chuda rudawa kotka o żółtych oczach, która strachliwie szurnęła przez izbę i schowała się pod piecem. Smok zaklął półgłosem, a nim wrócił do rozmowy i ułożył godną odpowiedź, okazało się, że już nie ma komu jej udzielać. Odwróciłam się do ściany i naciągnęłam

koc po same uszy, Rest i tak już od dawna spał, a rozpraszać dla takiego drobiazgu Weresa, który w skupieniu liczył coś na palcach, smok się nie ośmielił.

W miarę tego jak dom robił się coraz cichszy, szuranie myszy przeciwnie, przybierało na sile. Trochę później przyłączyła się do niego kotka, miękko ale ciężko skacząc po podłodze. Ale ja już zapadałam w sen i nie miałam ochoty jej ganiać.

\* \* \*

*...śnieg... w jakiś sposób wlatuje nawet do snów... nawet do lata, ponieważ z jakiegoś powodu zima nigdy mi się nie śni...*

*Pośrodku sianostawu, miesiąca, w którym rozkwitają topole i dookoła lata puch, wszystko co żywe znajduje się w stanie cichej letniej błogości. Gołębie majestatycznie spacerują w lepkiej klejącej się do łapek białości, kocięta się wygłupiają i ganiają puszyste kłaki, a wróble gospodarnie zbierają je do wyścielenia gniazd dla już drugiego w tym roku lęgu. Tymczasem mieszkańcy wsi zdążyli zapomnieć jak trzy miesiące temu przeklinali męczący śnieg który nijak nie chciał zejść z pól. Z zachwytem podziwiają lot jego bliźniaczego brata, który nie topi się, ale też nie gryzie.*

*I maleństwo koloru dymu z niebieskimi oczyma beztrudno baraszkuje w trawie, jeszcze nie wiedząc, że za pół godziny na polanie pojawią się ludzie, którzy nie pomyślą go ani z wilkiem ani z człowiekiem. A nawet gdyby wiedziało, to co z tego? W końcu ma matkę, która na pewno przyjdzie mu na pomoc i ochroni przed wszystkim, co złe.*

*Nawet nie potrafi sobie wyobrazić, że ona spóźni się jedyna dziesięć minut. Tylko o wiorstę, dzielącą leże od miasta.*

*I nigdy więcej go nie zobaczy.*

*...Nienawidzę puchu z topoli...*

\* \* \*

Obudziło mnie ciche rzenie. To odezwał się jeden z pańskich koni, a może w ogóle mi się przyśniło, jednak zdążyłam podnieść się na łokciu i z trwogą nasłuchiwać zanim zrozumiałam, że nie mam powodu do strachu.

„Szkoda”... Szczeniaku, jeżeli faktycznie uda ci się zostać czarownikiem, to za dziesięć a może dwadzieścia lat zrozumiesz, że należy żałować nie tego, z kim się rozstajesz, tylko tych, którzy odchodzą na zawsze... I że trzeba w każdej chwili być gotowym na to, by zapłacić wszystkie rachunki zgodnie z sumieniem - to co chciałeś powiedzieć i nie powiedziałeś, mogłeś zrobić, a nie zrobiłeś...

Oczywiście, nic więcej nie usłyszałam. Sądząc z tego jak gospodarnie szurały karaluchy w łupinkach cebuli pod piecem, do świtu było jeszcze daleko. Czy miało sens wyjście na zewnątrz, by przewietrzyć głowę a przy okazji sprawdzić, czy dookoła wsi nie przemyka coś groźniejszego od wilka?

Rozejrzałam się dookoła i znalazłam pod swoim bokiem śpiącą kotkę, a na piersi zabita przez nią mysz. Ze wstrętem złapałam truchelko dwoma palcami za ogon i najpierw skierowałam się do drzwi, uznając, że połączę spacer z pochówkiem, ale potem dostrzegłam na kocu Mroka taką samą szarą kulkę i uznałam, że tam gdzie jest jedna mysz znajdzie się miejsce dla drugiej.

Na dworze nadal padał śnieg - rzadko ale dużymi płatami, które bezdźwięcznie krążyły w powietrzu jak stadko puchatych nocnych motyli. Co jakiś czas pojawiał się księżyc, obrzucał ziemię uważnym srebrnym spojrzeniem i ponownie chował się w legowisku z postrzępionych chmur. Jak gdyby kogoś szukał i miał nadzieję przyłapać z zaskoczenia. Nawet ja poczułam się nieswojo. Przez chwilę stałam w progu, a potem tchórzliwie zerknęłam przez ramię do ciepłego i wygodnego ciepła sieni... po czym niespodziewanie wykryłam, że nie stoję w drzwiach sama.

Ku swojemu zdziwieniu a nawet dumie, nie krzyknęłam ani nie pisnęłam, tylko bezdźwięcznie ryknęłam, na chwilę połyskując kłami w wydłużonej szczęce.

Weres nawet nie poruszył brwią.

- Nie możesz spać? - zapytał spokojnie, rozczapierzoną dłonią przyglądając roztrzepane włosy.

- Nie waż się więcej tak robić!

Czarownik z niezrozumieniem cofnął rękę.

- I co, mam tak chodzić kudłaty jak... hm... wilkołak?

- Nie podkradaj się do mnie!

- Ani mi to w głowie. Szel, naprawdę nie chciałem cię przestraszyć. Po prostu mocno się zamysliłaś i nie słyszałaś moich kroków

- Nie przestraszyłam się - burknęłam, ponownie odwracając się w kierunku drzwi. - Nie martw się, nie mam zamiaru biegać po wsi i przegryzać gardeł śpiącym ludziom. A szczególnie twojemu przyjacielowi.

Weres nastroszył się, obejmując rękoma. W długiej, wypuszczonej na spodnie białej koszuli, z bladą twarzą i czarnymi włosami przypominał ni to wampira ni to ducha jakiegoś arystokraty otrutego przez zazdrosną kochankę. Ewentualnie mógłby mieć jeszcze sztylet w plecach lub sznur na szyi jako oznakę bardziej prozaicznego rodzaju śmierci.

- Nic podobnego mi nawet do głowy nie przyszło! Obudziłem się przypadkiem, poczułem, że od drzwi wieje zimnem, wstałem żeby je zamknąć, zobaczyłem ciebie i podszedłem zapytać co się stało.

- No tak, oczywiście.

- Szel, przysięgam...

- Nie trzeba. Ja również znam wasz kodeks. Przysięgi dane potworowi nie mają żadnej mocy, o ile nie są poparte zaklęciem.

- Mam je wypowiedzieć?

Westchnęłam. Bezsensowna dyskusja na głupi temat. Właściwie czemu się tak wkurzyłam? Wcale nie miał obowiązku mi ufać, a nawet wręcz przeciwnie.

- Po prostu coś mi się wydawało. - Sięgnęłam do zasuw, ale czarownik dotknął mojego nadgarstka.

- Idź spać, sam zamknę.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem, ale nie powiedziałam ale i wróciłam na piec. Może faktycznie nie kłamał, że to przypadkiem - człowiek miewa sprawy w nocy, zdarza się. Tym bardziej, że tyle zjadł!

Ale Weres nie przestąpił progu, dokładnie tak jak i ja. Przez jakieś dziesięć minut stał w drzwiach nie mówiąc ani słowa, po czym wrócił do środka. Długo szczekał hakiem przy drzwiach wejściowych jak gdyby był pijany, po czym potykając się zygzakiem dotarł do łóżka. Nawet schyliłam się z pieca żeby zobaczyć, czy nie padł obok posłania. Nie, jednak trafił.

- Weres? Czy ty znowu czarowałaś?

Leżący z twarzą w poduszce mężczyzna słabo poruszył nogą. Też mi wyczerpująca odpowiedź.

Ciekawe co takiego cię obudziło...?

\* \* \*

- Kochani goście, wam to nie nastarczysz - zauważył gospodarz chmurnie, zaglądając pod pokrywkę ogromnego garnca, który zawierał kluski. Dokładnie tak, w czasie przeszłym. Chleba w skrzynce, ani mleka w dzbanie również od dawna nie było. - I jeszcze mi psy zepsuliście, na przechodniów nie szczekają, tylko skamlą i się trzęsą, nawet do ganku nie podejść po kości...

Ale dzisiaj Weres wyraźnie wstał nie tą nogą... albo też na odwrót, jak najbardziej właściwą, tak więc ze stoickim pokojem wysłuchał pretensji chłopa, który wraz ze wschodem słońca zrobił się odważniejszy, ale pod wpływem Weresowego spojrzenia ponownie się zawstydził i zaczął przestępować z nogi na nogę. Następnie czarownik bardzo uprzejmym i przenikliwym głosem zauważył:

- Szanowny, ale czego też pan chce? Nawet i pies za gołą kość nie będzie pańskiego majątku pilnował! Tak więc lepiej nic skąpić tylko położyć mu jak zwyczaj każe mleczka, kielbaski...

- ...kiszzonego ogórka... - dodałam półgłosem.

- ...i spać spokojnie - dokończył czarodziej z naciskiem, ukradkiem pod stołem demonstrując mi pięść. Gra w patrzalki zakończyła się jego całkowitym zwycięstwem - gospodarz wydukał, że on tylko tak, raczył żartować i pośpiesznie wyskoczył z izby.

- A jednak możesz, jak chcesz! - zauważyłam z zadowolonym uśmiechem.

- To twój negatywny wpływ - odgryzł się Weres. - Hej, Rest, Mrok, wstawajcie, bo prześpicie nie tylko śniadanie, ale i obiad!

Dzieciak niezgrabnie spelzł z pieca, niemrawo plusnął sobie w twarz wodą i ulokował się na brzeżku ławki, swoim smętnymi wyglądem wyrażając całkowitą gotowość zrezygnowania także z kolacji. Weres próbował żartobliwie rozczocharać mu włosy, ale uczeń uchylił się wciągając głowę w ramiona i nie mając ochoty nabierać energii. Jego mistrz nie nalegał. Jak się młody przebiegnie po mrozie zaraz mu się humor poprawi.

Po pięciu minutach przyniesiono nam zarówno mleko, jak i kielbaskę z ogórkami - gospodarz miał doskonały słuch.

- A co to jest?! - zabrzmiał w izbie oburzony ryk smoka. - No co za paskudztwo! Gdzie ta parszywa kotka?!

Ruda natychmiast uciekła pod stół.

- Tylko popatrzcie, urządziła mi na piersi prawdziwy magazyn! - Senny i rozczocharany Mrok ciężko opadł na ławkę koło czarodzieja, z oburzeniem demonstrując już znaną mi myszkę w towarzystwie dwóch innych truchełek.

Weres spiesznie odwrócił się do okna, przygryzając kostkę zgiętego palca, by się nie roześmiać.

- Gdzie dwie tam też i trzecia się zmieści, no nie? - spytałam niewinnie, dokładnie z tego samego powodu chowając nos w kubku z mlekiem. Kotka kręciła się pod nogami i desperacko miauczała, póki Rest nie rzucił jej skórki od kielbasy.

- Ty myszy powinnaś zjadać! - z pretensją tłumaczył jej pochylony smok, pchając pod nos pęczek martwych szkodników.

Łowczyni odwracała się do niego ogonem i z mrużeniem zajadała datkiem. Mrok rozejrzał się w poszukiwaniu kubła na śmieci, ale znalazł go na przeciwległym końcu izby, uznał że nie ma ochoty wstawać i tymczasowo ulokował trupki na krańcu stołu. - Leszy, całe ciało mnie boli, nawet ogon i skrzydła! Gorzej niż na kacu.

- Nic to, pokonasz na nartach wiorstę czy dwie to dojdiesz do siebie - „pocieszyl” go czarodziej.

- Nie przypominaj mi o tym wynalazku mrakobiesia burknął smok, pijąc kilka zachłannych łyków wprost z garnca. - Przyznaj się, dogadałeś się z Szeleną, że załatwisz bym padł ze zmęczenia!

- Yhym - potwierdził Weres spokojnie. - Już od dawna marzę o kurtce ze smoczej skóry!

- A żeby cię - odciął się Mrok bez złości. - Przecież w Starminie całą zrzuconą skórę miałeś na ścianie, jeszcze przy mnie opowiadałeś gościom, że gołymi rękoma zadławiłeś gada i to dlatego dziur nie ma!

- Noooo, wiesz, zrzucona to jednak nie to... Cieńsza i tak się nie błyszczy, połowę magicznych cech również traci. I w ogóle, przypomnij sobie jak sprzedawaliśmy rycerzowi twój ułamany pazur!

- A potem go przepiliśmy! - dodał smok z marzycielskim uśmiechem.

Nisko pochylony nad kubkiem Rest wybuchnął stłumionym kaszlem. Weres nadstawił uszu, dotknął jego czoła dłonią i przeciągle gwizdnął.

- Kończ jeść i migiem do łóżka! - polecił kategorycznie.

- Ale mentorze... - Dzieciak próbował protestować, lecz wystarczyło, że czarownik zmarszczył brwi, by ostatecznie zasmęcony szczeniak niezgrabnie wygrzebał się zza stołu i ruszył z powrotem w kierunku pieca. Gdy już się zdradził i przestał chować twarz to widać było, że ma czerwone z gorączki nie tylko czoło, ale również policzki.

- Myślę, że jak najbardziej możemy pozostać w tym gościnnym domu jeszcze na jeden dzień. - Weres celowo podniósł głos, żeby pocieszyć małego, który pod pretekstem kataru smętnie



pociągał nosem. - Do Jesionowego Grodu zostały tylko dwa dni, a nasze ślady są zamiecione śniegiem, więc nie musimy się szczególnie śpieszyć.

- To się dopiero gospodarze ucieszą - prychnęłam.

- Nic to, jakoś się dogadamy. Tego mi tylko brakowało, żeby chłopiec się ostatecznie rozchorował. - Weres już otworzył usta by ugryźć kawałek kielbasy, ale w ostatniej chwili dostrzegł, że trzyma w ręce zdechłą myszkę. Uznał ją za niezdatną do jedzenia, odłożył na miejsce i kontynuował: - Może to i lepiej, bo mam pewien pomysł, który by warto było sprawdzić.

Tak czy siak Rest wyglądał na wyjątkowo nieszczęśliwego. Jak mógł tak nawalić?! Jeszcze zostawimy go tutaj, jak Dymka w Białej i pójdziemy do Jesionowego Grodu sami!

Oj, mały, kiepsko znasz swojego mistrza. Weres skończył śniadanie i energicznie zabrał się za leczenie pechowego szczeniaka: obejrzał gardło, dokładnie osłuchał i opukał pierś, potem kazał, by pacjent rozebrał się do samych portek i długo w skupieniu wyplatał nad nim znaki, dokładnie tłumacząc co i w jaki sposób robi. Przy okazji kazał nauczyć się na pamięć jakiegoś zaklęcia. „Poćwiczysz sobie, a przy okazji zbijesz gorączkę”. No cóż, nawet jak nie zbije, to będzie myślał o czymś radośniejszym.

Z uczniem czarodziej radził sobie niby bez trudu, ale gdy wrócił do stołu wyglądał gorzej od trupa. W milczeniu podsunęłam mu ostatni kawałek chleba, który zdążyłam ukradkiem schować do kieszeni na czarną godzinę. Weres podziękował skinieniem głowy, a ręce drżały mu tak bardzo, że zdołał ugryźć dopiero za drugim podejściem.

Sprawdzony środek zadziałał błyskawicznie. Czarodziej otrząsnął z koszuli ostatnie okruszki, przeciągnął się i z nowym entuzjazmem zapytał:

- No to jak, pójdziecie ze mną?

- A gdzie się wybierasz?

- Przespaceruję się po wsi, spojrzę na to i owo. Może nawet założę narty i przejadę się po okolicy.

- Oj nie, ja pasuję! - Smok nawet schował nogi pod krzesło, jak gdyby bojąc się, że Weres z rechem prawdziwego złooczyńcy rzuci się, by doczepić do nich znieprawione płozy. - Kompletnie sobie nie wyobrażam dlaczego ludzie nazywają jazdę na nartach „zimową zabawą”. Chociaż jeśli spojrzeć od drugiej strony, z boku to faktycznie wygląda zabawnie...

- Chodźmy. - Skinęłam głową, wstając. Niebo się przejaśniło, siedzenie w domu było nudne, a poza tym byłam ciekawa, na co Weres tam będzie patrzył.

Za prowadzącymi do pańskich pokojów drzwiami rozległy się przygłuszone głosy, śmieszki i do izby wkroczyły dwie panny w srebrzystych futerkach - owe kupieckie córki w wieku ślubnym, którym przyszło do główek, że uciekną na spacer przez tylne wyjście. Na nasz widok ze skrzepowaniem zamarły w progu, nie mając odwagi wyminąć czarownika.

- Hej, ślicznotki! - ożywił się smok, poprawiając opaskę. - Nie pomożecie biednemu ślepemu wojownikowi?

- A o co chodzi? - spytała z obawą starsza, z karmazynowymi wstęgami w grubych czarnych warkoczach, kokieteryjnie przewieszonych do przodu, po obu stronach piersi, korzystnie przyciągając uwagę do tych ostatnich. Młodsza była niższa i bardziej smagła, a jeśli idzie o pozostałe walory, w niczym nie ustępowała siostrze.

- Ot problem mam, patrzcie jaką dziurę sobie w spodniach zrobiłem i nie daj bogowie wymrozę swój największy skarb! Nie macie przypadkiem igły, nitki i zdolnej pary rąk na dokładkę?

Panny zachichotały spoglądając po sobie, ale nie próbowały pogardliwie zadzierać nosów. Mrok skwapliwie przesunął się na środek ławki i energicznie poklepał ją dłońmi po obu stronach. No tak, ten to nawet w domu nie będzie się nudził!

- Smocze czary? - spytałam, już stojąc w sieni. Doprawdy, co takie ślicznotki widzą w tym bezczelnym nicponiu?!

- Bynajmniej. - Weres sprawdził czy wszystko w porządku z nartami, które czekały na nas pod gankiem, ale ku mojej uldze jeszcze wstrzymał się z ich zakładaniem. - Zwykła babska głupota.

- A co, tak dobrze znasz się na babach? - spytałam z sarkazmem.

- Uczciwie mówiąc, na wilkołakach znam się znacznie lepiej - przyznał czarownik z

uśmiechem, swoją samoironią rozbijając mnie całkowicie. - Ale zapewniam cię, inkub z Mroka jest całkowicie do kitu.

- Smok również - burknęłam, mrużąc oczy w jaskrawym, marnie grzejącym ale nadal przyjemnym słończku. - To gdzie idziemy?

- A chociażby tam. - Weres machnął ręką w kierunku bramy, przez którą weszliśmy do wsi. Dzisiaj z niewiadomego powodu była otwarta na całą szerokość, a przechodząca przez nią droga dokładnie wydeptana.

Za ostrokołem stanęliśmy i zaczęliśmy się rozglądać. W świetle dnia i bez padającego śniegu okolica wyglądała zupełnie inaczej. Nic dziwnego, że w nocy prawie zabłądziliśmy. „Pole”, okazało się łąką zalewową, przez środek której zawile pętiła się zarośnięta trzcinami rzeczka. Na jej brzegu w ciasnym kręgu stało około trzydziestu osób, dyskutujących o czymś z ożywieniem.

- Po kiego grzyba oni tam sterczą?

- Chodź, podejźmy bliżej i zobaczymy - zasugerował Weres.

Powoli zeszliśmy z niewysokiego pagórka po wydeptanej przez dziesiątki walonek ścieżce, która miejscami zdążyła już pokryć się lodem. Okazało się, że lud stał dookoła sporego przerębla, w którym barczysty chłop o czerwonych policzkach bez specjalnej ochoty wodził bosakiem. W końcu zmęczył się, wyprostował, z hałaśliwym westchnieniem otarł mokre czoło i obrzucił zebranych umęczonym spojrzeniem.

- A może go tam wcale nie ma...? Po pijaku zrzucił czapkę do przerębla, a baby od razu w płacz, ajajaj, utonął!

- W takim razie gdzie jest? - słusznie zaprzeczyła zapłakana kobieta w nierówno zapiętej kurtce. - Od obiadu na podwórze nie zajrzał!

- No cóż, przed zmrokiem żeśmy go widzieli - zauważył nieco bełkodiwie chudy i długi jak ten bosak chłop, którego żona na wszelki wypadek mocno trzymała pod łokieć. - Nawet chcielibyśmy go odprowadzić, ale odmówił...

Na świadku skrzyżowały się dwa kategorięcznie różniące się w wymowie kobiece spojrzenia: „To czegoś nie odprowadził, pijaczyno jeden, a jeszcze się obwołujesz najlepszym przyjacielem!” oraz „Dzięki bogom, że odmówił, bo pływały by tutaj koło siebie dwie takie czapki!”

Tymczasem chłop z bosakiem, widząc, że pozostali zebrani pragną przedstawienia, hałaśliwie się wysmarkał i ponownie wepchnął swoje narzędzie w czarne okienko wody. I natychmiast coś złapał.

- Aha!!! - zgodnie wydyszał tłum, przesuając się bliżej.

W odróżnieniu od reszty zebranych miałam spore wątpliwości odnośnie tego, czy widok trupa będzie miał korzystny wpływ na moje samopoczucie. Tak więc odwróciłam się do czarodzieja i właśnie miałam powiedzieć coś ironicznego gdy dostrzegłam, ku mojemu zdumieniu, że Weres również obserwował scenkę na lodzie. Z pełnym namysłem zainteresowaniem, które nie miało nic wspólnego z drapieżną ciekawością chłopów. Następnie, przeniósł wzrok na białą pustosz, wyglądając jakby czegoś szukał i znalazł, a następnie niecierpliwie machnął ręką:

- Szel, spojrzysz no tutaj!

- Końskie ślady - odparłam po krótkiej chwili wahania. Uff, a już się przestraszyłam, myślałam, że znowu trzypalczaste albo kudłaczce! - A o co chodzi?

- Nie dostrzegasz w nich nic niezwykłego?

Spojrzałam uważniej. Półkręgi niepodkutych kopyt jak dwa przeplatające się łańcuszki krążyły po łące, jak gdyby młode nieujężdżone konie uciekły z zagrody i na całego cieszyły się wolnością, ganiając się i żartobliwie mierzając siłami.

Tyle że każdy z nich ważył co najwyżej pół puda<sup>3</sup>, w przeciwnym wypadku zapadałby się w śniegu po same pęciny, a nie zwinnie skakał sobie po powierzchni śniegu, ledwo przygniatając go kopytami.

- Założę się, że gdzieś w okolicy jest rzeka, wpadająca do jeziora - ciągnął dalej Weres, niesamowicie z czegoś zadowolony.

- Jest - potwierdziłam ze zdziwieniem, przypominając sobie mapę. - O tam, na północ od

wsi ciągną się Wielkie Trzciny. To cały szereg niewielkich jezior na rzece Skoczce. Chyba stoimy przy jednym z jej dopływów.

- I nazwa ta jest dla niej wyjątkowo odpowiednia - uśmiechnął się mężczyzna. Ludzie wymieniali rozczarowane komentarze, wywleczona na bosaku czarna tusza okazała się jedynie nasączoną wodą kurtką - Dokładnie tak, jak myślałem! Szel, wracamy.

- I co?

- I szukamy znaku z chomątem albo podkową. Słyszałem, że mają tu niewielką stadninę - pouczająco wyjaśnił czarownik, zgodnie ze swoim zwyczajem puszczając mimo uszu istotę pytania.

- Weres, czy ja ci kiedyś mówiłam, że jesteś beczelnym, pełnym wyższości typem nie do zniesienia?

- Ze dwadzieścia razy. Ale jeżeli sprawia ci to przyjemność, możesz powtórzyć jeszcze raz, chętnie posłucham!

**3 1 pud = 16,38 kg [przyp. red.]**

\* \* \*

Znak przedstawiał wypukły koński łeb pod łukiem z prawdziwymi dzwonkami, które melodyjnie brzęczały na wietrze. Nadal nie rozumiałam, czego Weres tu szukał. Przeszedł się powoli wzdłuż boksów z końmi na sprzedaż, z zachwytem pocmokał językiem na widok rozplodowego ogiera, który energicznie krążył po ciasnym wybiegu, po czym przez dłuższą chwilę ze znajomością rzeczy dyskutował z właścicielem, a ja tymczasem męcząc się z ciekawości i mrozu przestępowałam z nogi na nogę koło wejścia.

- Czy ty masz zamiar kupić konia?

- Nie.. .

- W takim razie czemu się przyglądasz?

- Piękne są. Szczególnie tamta klacz.

- Ta z białą grzywą? - Krytycznie obejrzałam kobyłkę, która faktycznie była całkiem ładna, niewysoka i delikatna jak elfi posążek. - Ale przecież ona ci utonie w pierwszej zaspie!

- Przecież powiedziałem, że nie. Nie mam zamiaru jej kupować.

- W takim razie po co?

- Jak znajdę, to się dowiesz.

- A trudno powiedzieć?!

- Boję się zapeszyć.

- Boisz, tyyyy? Czarownik?! - Mimo pretensji roześmiałam się z całej duszy.

- Zboczenie zawodowe - skłamał Weres bez mrugnięcia okiem. - Szel, czy nie mogłabyś jakieś pół godzinki pomilczeć? Przecież nie zmuszam cię do wydawania twoich pieniędzy.

- Tego mi tylko brakowało!

- W takim razie bądź tak miła i nie warcz mi tu.

Warknęłam, ale w myśli. Przeszliśmy do kolejnej stajni i tam Weres w końcu wybrał trzy... ogłowia z wędzidłami. Solidne, nowe, ze ślicznymi blachami-gwiazdkami wzdłuż rzemieni policzkowych. Następnie wskazał palcem zwalone pod ścianą worki i barczysty pracownik natychmiast przytaszczył nam pudowy pakunek z owsem.

No to już wiem. I co z tego?!

Gdy Weres płacił, zauważyłam, że w jego sakiewce pozostało tylko kilka złotych monet.

- A konie? - Uznałam, że pół godziny już minęło.

- Po konie pójdziemy w nocy.

- I co, będziemy je kradli?!

- Zobaczysz. I bądź tak miła, weź ten worek, dobrze?

Zanim zdążyłam się oburzyć, czarownik przerzucił ogłowia przez ramię, puścił do mnie oczko i wyszedł z przybudówki.

No dobra, przecież nie będę zostawiać rzeczy już kupionej! Udałam, że z trudem zarzucam

worek na plecy, patrząc na to jak właściciel stajni i parobek uśmiechają się złośliwie. Znaj dziewczko swoje miejsce... Powlekłam się śladem Weresa, wyobrażając sobie, jak z rozpędu walę go tym pakunkiem po karku. Przynajmniej jakieś pocieszenie.

Niestety, nie udało mi się odpytać czarownika bez świadków. Koło pieca już kręciła się służąca, a „ślepy” grał w kości ze stróżem, zapewniając, że określa którą stronę wypadły na podstawie dźwięku. Ufny staruszek przy każdym rzucie jęczał ze zdumieniem, bez słowa skargi rozstając się z monetami.

Weres na chwilę zatrzymał się koło Resta, przekonał, że spokojnie śpiący szczeniak ma się lepiej, po czym ruszył dogadywać się z właścicielami. Nie słuchałam, ale nikt nas nie przeganiał, a wręcz przeciwnie, służąca dostała polecenie, by przygotować obiad na osiem osób, więc wywnioskowałam, że sprawa została załatwiona. Czarownik nie wrócił do izby, tylko wyszedł przez frontowe drzwi i drobnymi kroczkami ruszył dookoła płotu, wykonując natchnione gesty przy wtórze na przemian nasilającej się i cichnącej recytacji. Gospodarz bojaźliwie obserwował go z ganku.

Prychnęłam, domyślając się, na czym stało. Najprawdopodobniej Weres zgodził się rzucić na dom czar ochronny przed tym wczorajszym potworem, a ponieważ ów potwór już od dłuższego czasu siedział w środku, czarownik mógł specjalnie się nie wysilać, mruczając pod nosem bzdury i machając rękoma wyłącznie dla zrobienia wrażenia oraz by nie zmarznąć.

Służąca okazała się kobieta prostą i gadatliwą. Wypytała ogródkami, że sama nie jestem wiedźmą i podróżuję z czarownikiem wyłącznie dla towarzystwa, ponieważ bardziej od niego boję się złych ludzi, potworów oraz leśnych zwierząt. Zrobiła się całkiem odważna i zasypała mnie pytaniami. Mściwie potwierdziłam, że czarownicy naprawdę posiadają kudłaty ogon podobny do psiego, który przy pewnym staraniu (i posiadaniu wyobraźni!) można dojrzeć nawet przez spodnie, że rozmowy z nimi bez robienia „figi” w kieszeni mają szansę zaowocować jak nie śmiercią to przynajmniej świerzbem, a patrzeć na nich bez obaw można wyłącznie lewym okiem przez prawe ramię.

Gdy Weres wrócił do izby po „ciężkiej pracy” czekała go..., no dobrze, chyba nie tyle nieprzyjemna ile całkiem specyficzni niespodzianka: nienaturalnie zgięta, cofająca się tyłem i dziko gapiąca się babina, która mimo swojego smutnego stanu zaczęła nadmiernie miłym głosem wołać go do stołu. Udało jej się upuścić miskę z zupą, stłuc dwa jajka nie trafiając nimi w patelnię i kilka razy przewrócić stojący koło pieca stołek. Po czym rozlała na mnie kisiel, na szczęście ledwo ciepły, nieco zmniejszając moją radość. Może to i lepiej, bo już zaczęłam się jąkać!

Ostatecznie to czarownik zaczął przed nią uciekać - a nuż się jeszcze na niego rzuci?! Jak ktoś mógł powierzyć gospodarstwo takiej koszmarniej babie?! Nerwowo zjadł zupę i nawet nie poprosił o trzecią dokładkę, tylko ponownie uciekł na dwór, tym razem z nartami. Zniknął na dłuższy czas. Z braku innych zajęć pomogłam służącej pozmywać naczynia i nastawić ciasto na jutrzejszy chleb, a Mrok wyciągnął od stróża wszystkie pieniądze - o ile się nie myliłam gra rozpoczęła się od miedziaka, którego wręczyła mu tamta starowinka - i teraz metodycznie pozbawiał go elementów garderoby. Wyleniała zajęcza czapka z nicponiowato podwiniętymi „uszami” już tkwiła na czubku jego głowy.

Rest obudził się, wstydliwie przemknął do wychodka i z powrotem. Cierpko pachniał potem, razem z którym odeszła gorączka, ale dzieciak nadal cierpiał na suchy gwałtowny kaszel. Rano, w obecności czarownika krępowaliśmy się z proponowaniem swojej pomocy, ale teraz bez wahania zaparzyłam w niewielkim garnuszku garść ziół z moich zapasów i bezlitośnie wręczyłam Restowi. Szczeniak z bólem w oczach zerknął na drzwi, za którymi zniknął jego mistrz, ale element wystroju izby ani myślał go bronić. Tak więc biedaczek musiał wypić herbatkę, krzywiąc się na pokaz, bo specyfik był w smaku całkiem normalny, kwaskowato-miętowy i nie było najmniejszego powodu robić cyrku. I tak minął dzień.

Służąca skończyła prace gospodarskie i uciekła do domu.

O zmroku uciekł również staruszek, gorąco dziękując Mrokowi za pożyczanie mu do rana jego własnej kurtki. Smok zaczął się nudzić i zwrócił w moim kierunku:

- Szeleno, a może zagrajmy przynajmniej o miedziaka!

Z pogardliwym uśmiechem zgarnęłam do garści wszystkie pięć kostek i po jednej jak pestki ze śliwek wypstrykałam je na podłogę. Pięć szóstek.

- Myślisz, że ty jeden jesteś taki sprytny?

- Przecież oddam mu rzeczy, za kogo mnie bierzesz? - obraził się smok. - No co, nauczyłem łatwowiernego biedaka, żeby następnym razem trzy razy się zastanowił zanim siądzie do gier hazardowych z nieznanymi! Bo jeszcze trafi na jakiego oszusta...

- A pieniądze?

Mrok udał, że jest głuchy i zmienił temat:

- Gdzież się ten Weres podziewa? Kolacja już dawno wystygła, a jego nadal gdzieś nosi!

Długa nieobecność czarodzieja mnie również zaczynała niepokoić. Może powinnam go poszukać? W takim mroku mogę nawet na czterech łapach... Nastawiłam uszu i prawie natychmiast z ulgą posłyszałam znajome skrzypienie śniegu pod płozami nart. Po kolejnych pięciu minutach zmarznięty Weres wpadł do domu, promieniując zimnem nie gorzej od bryły lodu. Uczeń radośnie rzucił się mu na spotkanie, pomógł się rozebrać i ściągnąć buty, a następnie czarownik zauważył nakryty stół i odtajał praktycznie w mgnieniu oka.

- No dobra, w takim razie możemy zagrać w karty - zaczął ponownie jęczeć smok widząc, że odpytywanie przyjaciela przynajmniej przez następne pół godziny jest bezcelowe. - Tylko tym razem bez oszukiwania z atutami!

- Komu to potrzebne? Twój najważniejszy atut już od dawna mam w garści - niedbale rozłożyłam się na plecach i zamajtałam przed nosem smoczym amuletem, jak wahadełkiem. Mówią, że niektórych ludzi takie coś usypia, ale mnie z jakiegoś powodu korciło, by na koci sposób stuknąć po nim uzbrojoną w pazury łapą.

- Pomarzyć sobie możesz... - Tym niemniej Mrok zerknął na łuskę z wyraźnym niezadowoleniem - I tak bym ognia nawet nie potrzebował, tak żalosnych przeciwników kładę jedną łapą, albo nawet i ogonem!

- Mówią, że ze smoczego ogona wychodzą doskonałe szaszłyki... - W zamyśleniu uniosłam leżący pod bokiem darkan i wycelowałam w kierunku Mroka, jak gdyby sprawdzając jak bardzo jest prosty, czy raczej krzywy.

Smok docenił i gwizdnął z szacunkiem.

- Oj dziękuję, lejesz miód na moje serce! Powieszę w centralnym miejscu kolekcji. Bo czasami wychodzą na pole walki z takim śmieciem, że biednemu smokowi zostaje chyba tylko pisanie skarg do zakonu rycerskiego. Albo w ogóle bez krzty sumienia - z trucizną, strzałami...

- Nie martw się, ja wolę słyszeć ostatnie westchnienie wroga na odległość klingi - uśmiechnęłam się, odkładając darkan.

- Żeby mieć całkowitą pewność. Zresztą, jeżeli zgodzisz się żeby poczekać do połowy lata, to możemy wypróbować wariant z konopiami!

Z niezrozumiałego powodu Weres opuścił łyżkę, a jego ramiona lekko drżały.

- Szeleno... - Z tonu Mroka wyraźnie wynikało, że nie tylko czytał wspomniany przeze mnie traktat, ale też brał aktywny udział we wprowadzaniu w życie zawartych w nim pomysłów.

- Jak sama doskonale wiesz, smoki to istoty ziejące ogniem. A konopie w gorący letni dzionek palą się nadzwyczaj dobrze. Tak więc kiedy już bliżej wieczora z głupim chichotem objęci wytoczyliśmy się z dymu, mieliśmy spore trudności z tym, żeby przypomnieć sobie, kto z nas jest smokiem, kto rycerzem, a kto koniem. Mam wrażenie, że nawet przysięgliśmy sobie nawzajem wieczną przyjaźń i boję się nawet myśleć co jeszcze, bo rano obudziliśmy się w karczmie w jednym łóżku. Biedny dzieciak po tym „czynnie bohaterskim” zamknął się w klasztorze. Kiedyś chciałem go nawet odwiedzić, ale odmówił wyjścia do mnie.

- No dobra, to konopie skreślamy - zgodziłam się ze śmiechem i widząc, że Weres już dopija kisiel, z udawaną obojętnością spytałam: - No to jak, znalazłeś to, co chciałeś?

Ale najedzony czarownik okazał się wcale nie bardziej gadatliwy, niż głodny.

- Aha - potwierdził ze zmęczeniem, z trudem wstał od stołu i ruszył do łóżka. Mrok, który już dawno przyzwyczał się do dziwactw przyjaciela, ograniczył się do wzruszenia ramionami, Jak będzie chciał to powie, a jak nie to i nie trzeba.

Cóż zrobić, my również musieliśmy się kłaść.

\* \* \*

Jak prawdziwa wilczyca mogłam czujnie drzemać przez kilka dni pod rząd, gotowa w każdej chwili zerwać się z miejsca. Tak więc gdy Weres lekko potrząsnął moim ramieniem, nawet nie drgnęłam.

- Czego chcesz? - burknęłam, nie odwracając się od ściany,
- Wstawaj, pójdziemy po konie. Tylko cicho, bo obudzisz Restę!
- Tak? - W następnej chwili już stałam na podłodze koło Weresa, lądując bardziej miękko i zgrabniej od kotki. Jeden - zero, czarownik instynktownie sięgnął ręką do pasa z mieczem.
- Ubieraj się - powiedział tylko, potrząsając głową i poszedł budzić Mroka.

Smoka nie dało się wyrwać ze snu równie łatwo. Wyrażał swój protest przyduszonym memłaniem przez przewidująco położoną na jego ustach dłoń, po czym przez następne dziesięć minut guzdrał się, burcząc i w mroku wpadając na sprzęty jak niedźwiedź wykurzony z legowiska w samym środku zimy.

- I to jest ten cały twój wspaniały smoczy wzrok? - złośliwie spytałam już w sieni.
- Przecież on nie jest sowi!
- Wezmę to pod uwagę.

Mrok w jednej chwili oprzytomniał, zachmurzył się i umilkł.

Weres poprowadził nas gdzieś dookoła lasu, po kolana w śniegu. Tu i ówdzie znaczące drogę ślady nart przeplatały się z wilczyimi. Kiedy Mrok je zauważył, zaczął sapać mi w same plecy, przeszkadzając w nasłuchiowaniu. Tym razem worek targał on, ja zgarnęłam ogłowia. Czarownik szedł przodem bez ładunku, kręcąc głową w poszukiwaniu jakiegoś zaznaczonego miejsca. Okazała się nim być sosna z wyciągniętymi w jedną stronę, w kierunku przeciwnym do lasu, gałęziami i obłupaną aż do połowy pnia korą. Śnieg wokoło niej był wydeptany i zryty końskimi kopytami jakby kręcił się tu cały tabun, nie zostawiając jednak nawet włoska sierści. Co więcej, ile bym nie węszyła, nie udało mi się wyłowić ani zapachu końskiego potu ani nawozu. Przez te swoje próby z zimna straciłam węch i musiałam na minutę zacisnąć nos rękawiczką.

Weres rozwiązał worek i wytrząsnął połowę ziarna wprost w śnieg na środku polanki. Sceptycznie obejrzał wynik, dorzucił jeszcze kilka garści, ponownie zawiązał wylot, wyciągnął zza cholewki nóż i wyciął w worku niewielką dziurę.

- No więc plan jest taki... - W końcu zniżył się do wyjaśnień. - Wy zostajecie tutaj, a ja idę do... hm... stajni i rozsypuję przynętę. Konie znają tę drogę, więc bez wahania nią pójdą. Szybciutko narzucacie na nie ogłowia, siadacie i trzymacie się możliwie mocno. Wszystko jasne?

Dla mnie osobiście jasny był wyłącznie krańcowy idiotyzm sytuacji. Staliśmy sobie na zaśnieżonej polance, cierpliwie czekając na to, aż jakimś szurniętym koniom wpadnie do łbów, żeby przespacerować się w środku nocy po lesie pełnym dzikich zwierząt?! Mógł mi jeszcze zaproponować, żebym zajęła się łapaniem ryb ogonem w przeręblu, jak wilk z bajki!

- A jesteś pewien, że ich właściciel podziękuje ci za taką samoobsługę?
- Jeszcze jak! Noc jest jasna, więc je wypuści - odparł czarownik zagadkowo, zarzucił worek na ramię i odszedł w kierunku rzeki, głośno skrzypiąc śniegiem. Ot taki Tatko Mróz z pomocą charytatywną dla wiejskich dzieci. Wstęga ziarna połyskiwała złotem w świetle księżyca.

Minęło około godziny. Weres nie mówił nic o zachowaniu konspiracji, więc niecierpliwie spacerowaliśmy w tę i z powrotem po polance, z rzadka wymieniając komentarze. Nie, nie opowiadaliśmy sobie złościwości, ani się nie kłóciliśmy, tylko zgodnie dzieliliśmy się uwagami na temat pewnej osoby trzeciej, po cichu mając nadzieję, że dostanie ona słusznie należnej czkawki pod murem stajni. Zresztą, po co się chować, jeśli ja człowieka czuję na pół wiorsty? A co dopiero konia...

A raczej, tak mi się wcześniej wydawało. Póki nie zapadła jakaś szczególna solidna cisza, która jak kopułą odgrodziła polankę od zewnętrznego świata i czasu. Wiatr poruszał świerkowymi gałęziami i z białego opadającego z nich szronu wychodziły i ze zdziwieniem zamierały przed nami konie koloru zamieci - srebrzystoszare, skrzące się, o powiewnych ogonach i grzywach, które

płynnie przechodziły w krążący dokoła śnieg. Na tym tle czerniały ciekawskie oczy i koniuszki postawionych uszu. Było ich około tuzina - od dorosłych po źrebięta o krótkich pyskach i uroczych miotełkach ogonów. Jeszcze piątka gęsiego szła śladem tabunu, wybierając ze śniegu ziarenka owsa, ale na nasz widok przerwały konsumpcję i dogoniły tabun.

- No, czego stoisz jak słup? - syknął smok, potrząsając wędzidłem. - Łapiemy i spadamy stąd, tak jak Weres powiedział.

Otrząsnęłam się z oczarowania i nie wybierając zrobiłam krok ku najbliższemu koniowi. Sądziłam, że się cofnie albo przynajmniej parsknie, ale on sam pochylił łeb w moim kierunku i nawet usznie pochylił pysk żebym mogła wygodniej zapiąć rzemyk. Jak gdybym to nie ja jego łapała tylko...

- Włóż. - Zadowolony z siebie Mrok już demonstracyjnie harcował na swoim koniu, trzymając na postronku kolejnego. Ciekawe, czemu Weres dodał „trzymajcie się”? Sądząc z oznak koniki były doskonale ujeżdżone, ten mój nawet nie drgnął gdy niezgrabnie podrapałam go butem po boku. Tylko odwrócił się, jakoś tak krytycznie zmierzył mnie spojrzeniem... i w następnej chwili trzymająca czas sprężyna z trzaskiem pękła, powodując, że przyśpieszył on trzykrotnie. Końskie oczy zalśniły zimnym niebieskim światłem, pod aksamitną skórą jak obudzony gejzer napięty się mięśnie, a konie gwałtownie zawróciły i szalonym galopem ruszyły przez las, zwracając na wodze nie więcej uwagi, niż kamienne posągi. Drzewa wydawały się rozstępować przed nimi z obawą podciągając korzenie i odsuwając gałęzie. Nie zdążyliśmy się opamiętać gdy tabun już wyleciał na zmarzniętą rzekę i z dzikim triumfującym rzeniem, które odezwało się echem gdzieś pod lodem ruszył wzdłuż koryta, stopniowo rozciągając się w łańcuszek. Konie bez jeźdźców biegły szybciej i jako pierwsze dotarły do wielkiego kwadratowego przerębla, po czym bez namysłu... zanurkowały do wody łbami w dół. Wierzchowiec pod znacznie cięższym Mrokiem, który był na dodatek związany z ciągnącym na bok towarzyszem wyraźnie został z tyłu, więc łatwo się było domyśleć, kto miał być następny w kolejności.

W ostatniej chwili moje nerwy nie wytrzymały i w pełnym galopie zeskoczyłam z końskiego grzbietu, obróciłam się w powietrzu i kilka razy przetoczyłam po śniegu. Koń ruszył do przodu ze zwiększoną prędkością, również wykonał piękny długi skok i... trafił kopytami w lód, który pojawił się nic wiadomo skąd. Desperackim zwierzęcym ruchem odwróciłam się na brzuch, podniosłam głowę i wypłułam na śnieg różową ślinę z przegryzionej wargi, a koń upadł na bok, desperacko wierzgając.

- Szel, doskonała reakcja - zauważył Weres z zadowoleniem, wychodząc spomiędzy suchych, połamanych trzcin.

Ten drań się jeszcze uśmiechał!

Koń stanął na nogach, otrząsnął się jak gdyby nigdy nic i teraz ze zdziwieniem obwąchiwał zamrzniętą przeręblę. Bez trudu złapałam go za wodze. Miałam dreszcze, w boku coś kłuło, serce waliło jak szalone. Może złamałam jedno czy dwa żebra, ale ze strachu to ghyr zrozumiesz. Ale za to komuś z tu obecnych na pewno zaraz coś złamię! A stłukę to już na pewno!!!

Lodowa magia nie kosztowała Weresa wiele wysiłku - woda w przeręblu i tak chciała zamrznąć, czarownik tylko popchnął ją we właściwym kierunku. Tak więc uciekał przede mną całkiem żwawo.

- Szel, o co ci chodzi?!

- Chodź tutaj, to się przekonasz! Nie mogłeś uprzedzić?! Durniu jeden, przez ciebie prawie skręciłam sobie kark!

- Wilkołak miałby sobie coś skręcić? W życiu nie uwierzę!

- A w śmierci?!

Przed natychmiastową zemstą Weresa uratował tylko koń, bo nie ryzykowałam wypuszczenia z rąk ogłowia, więc szedł za mną, ale niestety nie dość szybko i zwinnie.

- Ale zrozum, nie mogłem wam nic opowiedzieć! Kelpie bardzo dobrze wyczuwają czy łapią je prości ludzie czy zawodowcy, po prostu by do was nie podeszły!

- Oż dziękuję, nawet przed końmi zrobiłeś z nas idiotów! Nie mogłeś od razu zamrozić przerębla jak wyskoczyły z wody?!

- W takim razie by tu nie pobiegły, a gdzieś dalej na pewno mają zapasowy. -

Czarownikowi znudziło się uciekanie, a mnie pogoń, więc rozmowa przebiegała teraz względnie pokojowo na dystans jakichś trzech kroków.

- Weres, ty... - zaczęłam ze zmęczeniem, pocierając obolały bok.
- Pamiętam. Bezcelny i nieznośny.

Czarownik przykucnął i niedbale przesunął ręką po lodowym okienku, ścierając śnieg, który zdążył spaść z brzegów. Od wewnętrznej strony do lodu przylgnęła wykrzywiona ze złości brodata morda, której właściciel potrząsał pięścią.

Weres tylko się roześmiał.

- Teraz stary pieńku będziesz wiedział, jak wysyłać kelpi na polowanie! Mało ci zwykłych topielców więc uznałeś, że można sobie nieplanowych służących pościągać? No to teraz posiedzisz sobie do wiosny bez koników!

Mordziasty wybulgotał coś niecenzuralnego i zniknął, na pożegnanie machając plamiastym i pokrytym łuskami szczupaczym ogonem, wyglądającym na dosyć oblatły.

- A czemu do wiosny?

- Bo kiedy pojawi się otwarta woda to nawet na łańcuchu kelpie nie utrzymasz. Zanurkują do najbliższego strumyka i tyle je widzieli.

- A nie pociągną nas znowu do przerębli, jak rybacy albo praczki rozbiją lód?

- Nie, teraz wodnik nie będzie ich wołał, ze zwykłej obawy. Już zdążył zrozumieć na kogo trafił. - Weres zabrał Mrokowi wodze zapasowego wierzchowca. Smok podjechał do niego stępą. Jego kelpie na czas wykryły oszustwo i wyhamowały samodzielnie. Wyciągnęłam rękę z rękawiczki, żeby pogłaskać długi jedwabisty pysk. Był ciepły.

- Czy one przypadkiem nie zmarzną w sople?

- Nie, na lądzie to najzwyklejsze konie.

- A pod wodą?

- Głębokie prądy.

Zaczynało świtać. Już nie musiałam zmieniać źrenic, by dostrzec ślady na ziemi czy drzemiąca na czubku dębu srokę. Ona również nas zauważyła, nastroszyła się z niezadowolaniem i otrząsnęła. Mrok szeroko ziewnął, przykrywając usta rękawicą.

- To co, do domu?

- A ty miałeś jeszcze ochotę na kąpiel?

Smok bez słowa pokazał mi figę i zawrócił ostatecznie spokojnie wierzchowca w kierunku wsi.

\* \* \*

Za siodła zapłaciłam ja, nie czekając na skrępowane prośby i zapewnienia, że na pewno oddadzą co do grosza. Nieci już będzie, oni dają konie i ogłowia, ja resztę oporządzenia. Wszystko uczciwie.

Zachwycony Rest kręcił się dookoła świeżo zdobytych koni, które dawały się rozróżnić wyłącznie na podstawie przytoczonych do siodła sakw. Nawet pachniały jednakowo: czystą, lekko zamuloną wodą ze strumyka. Chociaż nie, jedną różnicę jednak zauważyłam: przy bliższych oględzinach mój wierzchowiec okazał się ogierem, a cała reszta kobyłami. Poza oczywistą różnicą innych oznak płci nie miały. W świetle słońca kelpie utraciły większą część swojego mistycznego uroku, ale piękno i zgrabność nadal pozostały. Nic dziwnego, że chłopcy patrzyli na nie jak zaczarowani.

A tak w zasadzie, czy nie zebrało ich się zbyt wielu jak na uroczyste pożegnanie?

Weres, który posadził ucznia za sobą również zadał sobie to pytanie, szczególnie gdy dostrzegł, że wielbiciele końskiego piękna tak jakoś nienaturalnie przegradzają nam wyjazd. Czarownik poprawił się w siodle, znacząco wyrównał wodze spoglądając w dal, ale tak delikatne aluzje do chłopów nie docierały.

- Hej, szanowni, cofnijta się, albo zadržymy przypadkiem! - buńczucznie ryknął smok, wskakując na swoją kobyłę.



Szanowni albo nie uwierzyli, albo przez całe życie właśnie o tym marzyli.

- A wy to, jak widzimy, koników wodnych nałapali - burknął całkiem od czapy najbliższy chłop, skutecznie schowany przed mrozem za rozłożystą brodą sięgającą brzucha i zaczynającą się prawie w okolicy brwi. Na środku wyzywająco czerwieniał spuchnięty kartofel nosa.

- I co z tego?

- Znaczą się podzielić trzeba.

- To znaczą? - Po raz pierwszy za mojej pamięci Weres stracił rezon. - Czym, z kim i z jakiej racji?

- Nie rżnijta przed nami głupków, przecież my nie żadne rozbójniki a tylko sprawiedliwości pragniemy - nachmurzył się chłop. - Znaczą się wy na naszej ziemi czarowaliście, czyli na nasz koszt, co nie? No to oddajcie nam za to kobyłkę na wspólny użytek i tamtej babie, co to jej wczoraj chłop utonął, ogierka!

„Baba”, żeby przypadkiem nikt nie pomylił jej z innymi przedstawicielkami słabej acz całkiem agresywnej płci energicznie przepchała się do przodu i wsparła ręce na biodrach, dając do zrozumienia, że ruszymy ją z miejsca chyba tylko łomem.

- Szanowni. - Weres z obawą spojrział na ten monolit i spróbował przemówić „wspólnocie” do rozsądku. - Zwykle za uwolnienie nadbrzeżnych osad od kelpie biorę dwadzieścia kładni. Wam wyświadczyłem tę przysługę za darmo, za same podziękowanie, ale niech już będzie, przeżyję i bez niego. Więc jakbyście cofnęli się z drogi, to dobrze, bo nam się śpieszy.

- Jakie-takie „dziękowanie”? - wydarła się baba, pęczniąc ze złości jak stepowa kobra. - Mi żywiciel utonął był, a ty paskudniku nad cudzym bólem żęby szczerzysz?!

- Uważa pani, że ogier go zastąpi? - zapytał Weres z prawdziwie dajnowską cierpliwością. - Nie mówiąc o tym, że to nic są prawdziwe konie. Co wy chcecie z nimi zrobić? Do robót polowych się nie nadadzą, do zaprzęgu tym bardziej. Przecież nie odprowadzicie ich na jarmark na sprzedaż. Bo przecież wystarczy, że zdejmujemy z nich ogłowia...

- My ci zara zdejmę! - ryknął tłum niczym przyływ, nie pozwalając mu skończyć, używając w charakterze grzebyków fal nie wiadomo skąd wyciągnięte cepy i widły. Trzymali je rozebrane na części pod kurtkami i teraz szybciotko poskładali, czy jak?!

- Oddawaj koników, czarowniku - powtórzył brodacz już z groźbą w głosie. - Jak nie chcesz dwóch to weźmiem trzech, a ciebie samego wrzucim do przerębli po nowego!

W powietrzu zapachniało pieczystym, a dokładniej spalonym - szmatami z pochodni, nasączonymi świerkową smołą.

Weres nerwowo spojrział na dom, ale przybyłe stamtąd wsparcie nie było przeznaczone dla nas: z ganku ciężkim truchtem zbiegł gospodarz, ciągnący za rękę starszą córkę, zapłakaną i rozczochraną. Druga drobnymi kroczkami szła za nimi, trzymając oczy skromnie spuszczone.

- A ja się pytam kto będzie mojej dziewczce, co to ją ten rozpustnik rudy zaczarował i psuł był, jejną szkodę będzie naprawiał, co?! - ryknął gromkim głosem kupiec po przebicium się przez tłum i popychając córkę do wojowniczej baby. Tamta skrzywiła się, ale odsunęła, bynajmniej nie ustępując pozycji liderki. Cholera, zaraz oni tu nam wystawią całą kolejkę po sprawiedliwość, czyli darmowe koniki!

Zszokowany Weres zagapił się na przyjaciela.

- Czy ty ją naprawdę... znaczą się?

- Nie no... ja chyba tamtą... - Smok niepewnie pokazał palcem młodszą siostrę, po czym śpiesznie dodał: - Ale wszystko było wyłącznie z dobrej woli, a ze szkodami to w ogóle nie do mnie!

Obie dziewczki podniosły przenikliwy i trzeba przyznać, że słuszny krzyk. Stało się oczywiste, że w konkretnym przypadku sprawiedliwości na wszystkich nie starczy, tak więc dalej potraktują nas bez żadnych ceregieli.

- Te, szanowni! - zawołałam głośno i wesoło, w ostatniej chwili ściągając na siebie uwagę tłumy. - A tak potraficie?

Zadarłam głowę i przeciągle zawylałam trzy albo cztery nuty, niby nawet niezbyt głośno, ale świerzbiące w uszach i maślanie rozciekające na wszystkie strony.

Potrafić to chłopci może i potrafili, w końcu las mieli pod bokiem i na polowanie każdy z nich chodził. Ale mało prawdopodobne, by kiedykolwiek w środku białego dnia odzywały się do nich wilki! Ze wszystkich stron - z pobliskiego lasu, z drugiego brzegu rzeki i nawet zza zaśnieżonego krzaka porzeczek przy samym płocie doleciało wielogłose zmieniające tony wycie i kaszlące podszczekiwanie, które tylko z grubsza przypominało psie.

A na ulicy zrobiło się bardzo cicho, jak wtedy gdy po błyskawicy huczy grom i spada ściana gradu. Szarego, uzbrojonego w kły i krwiożerczego.

Tak naprawdę wilki bynajmniej nie odpowiadały na moje zawołanie, a soczyście klęły - te wilkołaki, ghyr z nimi, kompletnie wstydu nie mają i na cudzym terenie ośmielają się rzucać zwycięski zew wodza stada! Tak więc nawet gdyby miały zbiec się do wsi, to wyłącznie w celu sprania mojego bezczelnego pyska.

Ale, oczywiście, nie zamierzałam opowiadać chłopom o takich szczegółach.

Jako pierwsze opamiętały się nasze wierzchowce.

Mówi się, że konie mają strach przed wilkami we krwi, ale woda płynąca w żyłach kelpie poradziła sobie z zadaniem wcale nie gorzej. Kto powiedział, że koń to dobre i posłuszne zwierzę domowe?! Taki delikwent po prostu nie widział jak owo zwierzątko z desperackim rzeniem staje dęba, waląc gdzie popadnie kopytami ważącymi tyle co solidny kamień! Chłopi cofnęli się, a baby zwyczajnie rzuciły do ucieczki, kwicząc jak prosięta i potęgując panikę. Konie natychmiast wykorzystywały powstałe prześwity, które na widok pędzących zwierząt natychmiast powiększyły się do rozmiaru szerokich traktów. A nie mówiłam, że to ogrodzenie jest bez sensu? Kelpie wydawały się go nawet nie zauważyć, tylko skoczyły odrobinę wyżej i dalej, po czym ruszyły z wiatrem w zawody, jak srebrzyste rybki stadko płynąc nad białą ziemią i mieszając grzywy ze spadającym śniegiem.

Rany, jak fajnie! Gdyby jeszcze nie było takie straszne...

Aaaaaaaa!!!

## Rozdział 7

Szel, wszystko zepsułaś!

- Oj tak, przez paskudnego wilkołaka musieli odwołać starożytną ludową imprezę „Płoń, do nieba płoń!”.

- Nie pleć bzdur, dogadałbym się z nimi.

- Yhym. Tak jak w Wysiedlisku.

Weres wzdrygnął się, jakbym wrzuciła mu za kołnierz rzepa, ale się nie poddał:

- Tam sytuacja była zupełnie inna, bójka w karczmie została wyraźnie sprowokowana! A teraz chłopci oddelegują gońca ze skargą do najbliższej siedziby Konwentu, czyli wspomnianego już Wysiedliska, a stamtąd ponownie wyślą za nami pościg!

- Ale za to w chwili obecnej jesteśmy cali i zdrowi, co mnie jak najbardziej urzęda.

- No nie, spieranie się z tobą po prostu nie ma sensu! - Czarownik machnął ręką, do reszty tracąc cierpliwość.

- Spierać się można w poszukiwaniu prawdy. A ja nie mam żadnych wątpliwości odnośnie tego gdzie ta prawda leży.

- Po prostu jesteś uparta jak kozioł!

- A ty naiwny jak kogut.

- A to dlaczego? - zdumiał się Weres.

- Skoro tak cierpisz, że lisice zaprosiły cię na talerz rosółu, a niedobry piesek nie pozwolił pójść.

- Szeleno, dziesiąty raz ci powtarzam...

- Lepiej będzie jak pierwszy raz pomyślisz.

Czarownik rzucił mi wściekle spojrzenie i odwrócił się, woląc myśleć o srebrnych strzałach i osikowych kołkach. Mrok i Rest nie wtrącali się do dyskusji, wyraźnie jednak trzymali moją stronę choć krępowali się przyznać do tego głośno, przez co Weres wściekał się jeszcze bardziej. Nie miał nic lepszego do roboty, już nawet konie się uspokoiły i ogierek przestał tchórzliwie kłaść po sobie uszy za każdym razem, gdy poruszyłam się w siodle.

Mój plan miał tylko jedną wadę - przestraszone kelpie uciekały w stronę przeciwną do Jesionowego Grodu i odbiegły całkiem daleko. Teraz czekał nas powrót z ominięciem Rozłupanej Górki szerokim łukiem. Ale w sumie to drobiazg, stracimy nie więcej jak trzy godziny. Może nawet tylko jedną jeśli konie nie zmęczą się i nie przejdą w powolny trucht.

Mieliśmy za to inny problem: po pół godziny dzikiego galopu przez pustkowie nasze pojęcie odnośnie tego gdzie znajduje się Gród, a gdzie wieś, były dosyć mgliste. Dzień dopiero się zaczął, niebo było jasne, ale jeśli po paru godzinach nie zobaczymy na horyzoncie drzew ani domków, można będzie zacząć się martwić. Nie ryzykowaliśmy powrotu po własnych śladach by nie wpaść wprost na ewentualny pościg. Prościej było rozejrzeć się za jakąś wsią i zapytać o drogę. W najgorszym razie w nocy zorientujemy się po gwiazdach.

Tak więc puściliśmy wodze i usiedliśmy wygodniej w siodłach pozwalając by kelpie same wybierały drogę i tempo. Wspaniałe stworzenia - przymilne, posłuszne, o płynnym kroku i delikatnej aksamitnej sierści, takiej jaką mają dopiero co narodzone źrebięta. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że kilka godzin temu prawie przerobiły nas na pokarm dla raków.

Wystarczyło, bym pochwaliła wierzchowce, a mój ogier wyciągnął pysk i żartobliwie ugryzł w zad kobyłę, która szła przed nim. Ta z oburzeniem kopnęła do tyłu i rzuciła się w bok, przez co Mrok upuścił w śnieg sztylet, który akurat obracał w rękach. Swoją drogą, ciekawe gdzie go wcześniej chował? Czy może to była kolejna zdobycz ze wsi? Broń wedle najlepszej tradycji

podstępnej kanapki ustawiła się ostrzem do dołu i bezszelestnie zniknęła w zaspie, zostawiając po sobie ledwo zauważalną szczelinę. Smok zaklął, ściągnął wodze, bez namysłu zsiadł i... zapadł się w śniegu po pas. Kobyła otrząsnęła się i bez najmniejszych oporów przestąpiła nad pozostającą na powierzchni częścią jeźdźca, zamiatając Mrokowi ogonem po twarzy. Smok rzucił się tam i z powrotem, tworząc dookoła siebie nierówny lejek, ale nie zdążył złapać kelpie i musiał ruszyć jej śladem, ze złością rozrzucając śnieg.

Szczęśliwie dla niego kobyła wcale nie miała zamiaru uciekać a ograniczyła się do pozbycia nieprzyjemnego ciężaru, pochyliła łeb i zaczęła skubać śnieg jak trawę. Smok nie zdołał dosięgnąć wodzy, więc złapał za strzemię, podskoczył i spróbował się podciągnąć. Kelpie prychnęła z niezadowolaniem i uciekła, wlokąc go za sobą jak krzywo przywiązany pług. Trzeba przyznać, że bruzda wyszła całkiem niezła, głęboka i równa.

- Czyli to właśnie tak czują się krasnoludy, gdy ktoś im proponuje by wsiadły na konia - stwierdziłam z namysłem i usłyszałam w odpowiedzi gniewny ryk. Drugi podskok wyszedł smokowi znacznie lepiej, udało mu się złapać wolną ręką za lęk siodła i jakoś na nie wdrapać. Nawet nie wpadł na to by mi podziękować, ale z głębi serca uderzył kobyłę w szyję i smętnie obejrzał się na zaspę z pogrzebanym sztyletem. Nie odważył się jednak wznowić poszukiwań.

Weres ironicznie pokręcił głową, krótko mruknął coś pod nosem i wyciągnął rękę. Sztylet niczym latająca rybka wynurzył się ze śniegu i wpadł do dłoni czarodzieja jak przyklejony.

- A wcześniej to nie mogłeś tak zrobić? - burknął smok zamiast podziękowania, z irytacją biorąc broń, którą przyjaciel podał mu rękojescią do przodu. Weres ledwo zdążył rozluźnić palce.

- Mogłem, ale przecież nie poprosiłeś. Nikt cię nie zmuszał do natychmiastowego nurkowania po niego.

- Skąd miałbym wiedzieć, na co ci starcza mocy? - Mrok nieco spuścił z tonu, ale nie miał ochoty brać na siebie winy, więc natychmiast znalazł innego kandydata. - To wszystko przez jej głupie dowcipy! Wyobraź sobie, ugryzła moją kobyłę w tyłek!

- Jaaaa?!

- No dobrze, konia poszczułaś! - poprawił się smok, ponownie ustawiając swoją wierzchówkę na czele.

- Aha, zaraz jeszcze wyszkolę wrony, żeby zrobiły sobie zawody w strzelaniu do celu!

Mrok z obawą zerknął w niebo, na którym złośliwie krążyła niewielkie stadko ptaków, po czym na wszelki wypadek głębiej naciągnął czapkę.

- A kto cię tam wie, pomroko jedna? I w ogóle, sto razy wam mówiłem, że nie można ufać istocie, która co i rusz zmienia się w leszy wie kogo!

- I kto to mówi!

- Proszę nie mylić pojęć. - Mrok wyprostował się w siodle. - Ja zmieniam się w smoka, piękną, mądrą i majestatyczną istotę mityczną, a nie we włochatą przerośniętą psinę! A dokładniej mówiąc ja jestem smokiem, który przybiera postać człowieka i proszę mieć na uwadze, że nie robię tego wywracając się środkiem na zewnątrz w przeciwny naturze sposób, a li i jedynie korzystam z pomocy magii, ponieważ jestem jednym z najbardziej zadziwiających jej tworów!

- Słuchaj, piękna i mądra istoto. - Nie wytrzymałam.

- A powiedz mi, dlaczego w tej swojej majestatycznej postaci kradniesz chłopom owce jak zwykły kundel?

- Ja? Kradnę?! Przecież oni sami się cieszą, gdy mają okazję mnie poczęstować! W odróżnieniu od niektórych jestem istotą świętą i szlachetną, w starych czasach w ogóle nas czczono i ofiarowywano dziewice!

- Wydaje ci się, że chłopci z wrzaskami biegnący śladem smoka sławią go i życzą smacznego? Zresztą, na brak dziewczic to ty i teraz nie narzekasz!

Obrażony Mrok odwrócił się do Weresa, ale nie doczekał współczucia, ani wsparcia. Wręcz przeciwnie, mag również przypomniał sobie wczorajsze „ofiary” i odpowiedział smokowi karcącym potrząśnięciem głowy.

- Zresztą, po co ja z wami rozmawiam! - Mrok szerokim teatralnym gestem zbył nas oboje. - Co wy możecie wiedzieć o wielkim uczuciu, jakim jest miłość?! No dobrze, Weres to

jeszcze, chociaż jego opinia jest jakaś naprawdę dziwna... ale ty to pewnie nigdy w życiu go nie zaznałaś!

- Dlaczego nie? - W zamyśleniu gryzłam łądygę wyrwaną ze śnieżnej zasy, która na jesieni była bujną kępką. Sucha trawa zostawiała w ustach gorzkawy posmak siana, przypominający o lecie. - Zaznałam. Kiedyś. Nawet za żonę mnie chciał, co prawda pod jednym warunkiem. Że niby chodźmy, kochana moja, do widzanej, ona zdejmie z ciebie to koszmarnie przekleństwo i będziesz spokojnie spać po nocach, a za dnia gotować małym kaszkę, prac mi gacie i podziwiać w lustrze swoje równe ząbki, nim nie powypadają ze starości.

- I czemuż nie skorzystałaś z okazji? - Weres uśmiechnął się krzywo. Kto jak kto, ale on doskonale wiedział, że eliksiry i zaklęcia wyłącznie wstrzymywały transformację, ale wilkołak pozostawał wilkołakiem tak samo jak lis z uciętym ogonem nigdy nie zmieni się w psa, nawet jeżeli całe życie spędzi na łańcuchu przy budzie. I dla odmiany wilkołak starzeć się będzie dwukrotnie szybciej od człowieka.

Oddałam mu uśmiech. W końcu nie miałam się o co obrażać, szczególnie że nie chciał mnie urazić. Kto jak kto, ale ja się na takich sprawach znałam.

- Ku jego i waszej rozpaczynie podobam się sobie taka, jaka jestem. Nie uważam jednej ze swoich postaci za prawdziwe oblicze, a drugiej za wstydlive. Obie jak najbardziej mi się podobają, i właśnie to mu powiedziałam.

- I co wtedy? - Rest z ciekawością wpatrywał się we mnie i nawet otworzył usta na wypadek gdyby pozyskana informacja miała nie pomieścić mu się w uszach.

- Wtedy? - prychnęłam pogardliwie. - Wtedy uznał, że faktycznie ma do czynienia z prawdziwym potworem, pomroka, pomiotem mroku, który trwa w swoim grzechu. I spróbował uratować chociażby moją duszę, ale byłam szybsza. Tak, że do ślubu i powstania pięknej legendy niestety nie doszło.

- I ty go... - Twarz dzieciaka przybrała tak żalony wyraz jak gdyby dobry dziadek opowiadający bajki na dobranoc w ostatniej chwili zrobił straszliwy grymas i złowieszczo wyrzeźbił: „Żyli niedługo i nieszczęśliwie, po czym umarli tego samego dnia w koszmarnych konwulsjach”.

- Ja? Wcale nie. - Wyplułam łądyżkę i wygodniej ulokowałam się w siodle, opierając o tylny łęk. - O ile pamiętam dobrze się ożenił, spłodził tłumek tak samo zasadniczych synków, pobłogosławił ich na poszukiwanie zaczarowanych księżniczek i mordowanie potworów, po czym z czystym sumieniem spoczął w rodzinnym grobowcu. Doskonały przykład do naśladowania, rycerz honoru i niezachwianych zasad.

- I tyle? - mruknął Rest z rozczarowaniem. Chyba wariant z konwulsjami zadowoliliby go bardziej. Przynajmniej jakiś smaczek.

- I tyle - ucięłam, przymykając oczy i wciągając zziębnięte dłonie razem z wodzami do rękawów. Niezbyt wygodnie, ale przynajmniej nieco cieplej.

\* \* \*

*...jedwabista trawa laskocze poduszczeni łap, lekki wiaterek mierzwi sierść na karku. Za łąką dogorywa zachód słońca, żebraczki przy wejściu zwijają swoje posłania, liczą miedziaki, z ochryplym śmiechem przerzucają się zbereźnymi żartami, pomagają sobie nawzajem w zmyciu „wrzodów” i „strupów”, po czym idą do najbliższej karczmy albo do domu by nakarmić piszczące dzieciaki i męczyć leniwo przeklinających mężów. Porządne mieszkanki porządnego miasteczka, uczciwie zarabiające na chleb.*

*Nie wiem, po co tu przyszłam. Co mogę udowodnić martwemu, jeżeli nie zdołałam przekonać żywego?*

*Nieważka lodyga elfiej grzywki lekko jak piórko spada na próg rodzinnego grobowca. Czarna gałązka, kwiatek ze złocistymi kroplami. Nie będę wchodziła do środka. Chcę pamiętać go w upajającej otocze tamtej nocy - gorącej, namiętnej i oszalamiająco pachnącej świeżym sianem... Ostatniej, w której jeszcze coś dawało się zmienić.*

*A on dawno o mnie zapomniał. Jak również o laskoczących plecy ździebelkach siana, słodkim zmęczeniu w dole brzucha i ufnie leżącej na piersi głowie... Zapomniał też o swoim*

gorzkim, złym szepcie:

- Czyli mnie nie kochasz!
- Czyli mnie nie kochasz - zgadzam się spokojnie.

*I gwałtowny zamach ze srebrnym śladem...*

*Ale mimo wszystko przyszedłam. Ponieważ tylko ludzie stawiają miłości warunki.*

\* \* \*

- Szel! Szelena!
- Co? - Uniosłam głowę z roztargnieniem.
- Czy ty sobie w najlepsze śpisz?! - obruszył się smok,
- A kto będzie pilnował?

- Sam sobie pilnuj - odgryzłam się. - Masz lepszy wzrok, a jeśli raczysz oderwać tyłek od siodła i zrobić kółko nad polem to zgubisz trochę tłuszczu z brzucha.

Mrok zadarł poły kurtki i z wyraźnym niepokojem przyjrzał się lekko wystającemu walcowi nad rzemieniem.

- Gdzie ty tu widzisz tłuszczu? To zapasy na zimę!
- Aha - przytaknęłam złośliwie. - Tylko inni mężczyźni z nieznanego powodu trzymają je na zimnie w kadzi z solą, a nie pod paskiem!
- Popatrz na siebie. - Smok nie wpadł na lepszą odpowiedź.

Wypięłam pierś i w zamyśleniu oceniłam widok. Na tym wszystkie pretensje się skończyły, smok zachmurzył się i obciągnął kurtkę, chowając kompromitujący brzuch. Weres i Rest chichotali, bo żaden z nich nie był zagrożony podobnymi żarcikami.

- A wy siedźcie cicho, porcje rosółowe! - odgryzł się smok.
- No to gdzie jest ta po trzykroć przeklęta wieś i po sześciokroć przeklęty las?!

Cóż, akurat las był. Ale stanowczo nie ten co trzeba. Zwykle świerki i jarzębinki, na których pasło się jaskrawe stadko jemioluszek. Nie wspominając już, że Jesionowy Gród rósł w odosobnieniu, co oznaczało, że dzieliło nas od niego przynajmniej pięć wiorst. Pytanie tylko: w jakim kierunku?

- Może wyjechaliśmy do tego lasu za Rozłupaną Górką? - zasugerował Mrok z nadzieją.
- Wciągnęłam nosem powietrze.

Mało prawdopodobne. Nie pachnie ani osadą, ani mułem. Nie mówiąc o tym, że to tutaj to jakiś zagajnik, a za nim mamy następne ugory.

- Czyli Mrok jednak będzie musiał sobie polatać - podsumował Weres niechętnie, zwijając nieprzydatną mapę. Pola i rzadkie odcinki lasu kompletnie nie nadawały się na punkty orientacyjne, szczególnie w tej części Wolmenii. Tak na dobrą sprawę, podróż pomiędzy Wysiedliskiem a Jesionowym Grodem powinna przebiegać wyłącznie drogami, a niektórzy rysownicy map nanoszą na pergamin wyłącznie trakty, z natchnieniem wypełniając wolne miejsca ptaszkami i choinkami. Żeby tak można było wziąć takiego delikwenta i wpakować do środka owoców jego pracy!

Mrok nie zgłaszał sprzeciwów, innego wyjścia rzeczywiście nie mieliśmy, ale bez szczególnego zachwyty zerknął na śnieg pod nietonącymi końskimi kopytami, bojąc się zapaść do jakiejś pokrytej nim jamy - tym razem po uszy. A nie mieliśmy pojęcia w jaki sposób zareaguje kelpie, gdy nagle na jej grzbiecie pojawi się smok, desperacko próbujący utrzymać równowagę przed skokiem.

- To może skręcmy do lasu - zasugerował Weres. - Znajdziemy jakiś zwalony pień i niego będziesz startował.

- A tutaj nie możesz mi wytopić placyku?
- Może być taki z flagami sygnalizacyjnymi i dywanikiem dla lepszego rozbiegu? -

sprecyzował czarownik rzeczowo. Smok zrozumiał aluzję i z westchnieniem skierował kobyłę ku najbliższemu drzewom.

Dokładnie tak jak przewidywałam, lasek był rzadki, może na dwadzieścia drzew szeroki i prawie bez podszytu. Z jakiegoś powodu Weres z niezadowolaniem pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Przechyliłam się w siodle i kilka razy dziabnęłam śnieg darkanem.

- Da się żyć, nie utoniesz!

Ale Mrok już znalazł sobie jakąś gigantyczną kupę chrustu, podprowadził kobyłę do samych gałęzi i zwinnie zeskoczył nu szczyt.

- Weres, złap wodze!

- Może poszukasz innego miejsca? - Czarownik spełnił jednak prośbę i natychmiast odjechał na bok.

- I to mówi mag-praktyk! - złośliwie zarechotał Mrok,

- Chłopie, starzejiesz się...

Leszy ją wie, tę ich magię, co ona i w jaki sposób rodzi, ale długi na dwa sążnie smok ważył odpowiednio do postury. Dopóki trwał nieruchomo na chruście na rozstawionych łapach, wszystko było w porządku, ale wystarczyło, by spiął się przed skokiem i gałęzie zaczęły z chrzęstem zapadać się pod jego ciałem, a z dołu doleciał przygłuszony lecz zdecydowanie niepoehlebny ryk. Smok pośpiesznie zamachał skrzydłami i rozrzucając chrust z wrzaskiem uciekł do góry jak głuszc, który wpadł do wilczej jamy. Tuż za nim szczęknięta zębami paszcza wielkości dwóch wanien, chybiła i z niezadowolonym clirumknięciem schowała się z powrotem w czarnej rozpadlinie. Chrust poruszał się z chrzęstem i ponownie zamarł.

Kelpie prychały i próbowały stanąć dęba, ale wystarczyło by Weres cmoknął na swoją kobyłę i pacnął ją końcem wodzy między uszami, by bunt został stłumiony. Za jej przykładem uspokoiły się również pozostałe. Czyli w moim przypadku uciekanie co sił w łapach wyglądałoby niepoważnie... mimo że miałam na to wielką ochotę.

- Co to było? - spytałam szeptem, nie spuszczać wzroku

I kupy patyków. W nozdrza dopiero teraz uderzyła mnie mocna woń pomroki, przedtem skupiona pod warstwą oblodzonych gałęzi.

- Rochtar - odparł czarodziej beznamiętnie. - W tłumaczeniu z elfiego „leśny padlinożerca”, chociaż nasi chłopci nazywają je po prostu kudłaczami albo krzaczownikami. Wymierający gatunek, w dzisiejszych czasach prawie już nie występują. - Po czym spojrzał na mnie i zmieszał się. - Nie przejmuj się, one naprawdę są padlinożercami... Z rzadkimi wyjątkami.

- Czyli wiedziałaś od samego początku, że ta paskuda tam siedzi? - obruszyłam się.

- Podejrzywałem. One lubią takie właśnie zagajniki sąsiadujące z wielkimi lasami, urządzają w nich leża i kwatery zimowe.

Nie miałam już do niego sił. Ciekawe czy dałoby się je od kogoś pożyczyć? Bo pewnie znajdzie się cała masa chętnych! Wystarczy spojrzeć, nawet Rest ma kolor wiosennych liści...

- Weresie, kiedy ty nauczysz się prowadzić wykłady o życiu pomrok *przed* a nie *po* zajęciach praktycznych?!

- Nie wiedziałas o tym? - zdziwił się szczerze. - No to przepraszam... Bo Mrok doskonale widział gdzie się pakuje.

Widzisz, od zaśnieżenia po wystudzenie krzaczowniki zwykle zapadają w mocny sen, więc chodzenie po ich chatkach jest całkiem bezpieczne...

- Właśnie widzieliśmy!

- ...teoretycznie. A ja, jak słusznie zauważył Mrok, jestem magiem-praktykiem. Cóż, ale za to miał doskonały start - podsumował czarownik spokojnie i przysłonił oczy dłonią obserwując nerwowo krążącego po niebie smoka, po czyn pomachał mu ręką: leć i się nie rozprasaj! Mrok zawisnął na moment w miejscu, z pretensją wypuścił w naszym kierunku krótką strugę ognia, następnie odwrócił się i odleciał, stopniowo zmieniając się w ledwo rozróżnialną kropkę. Pasma dymu, pozostałe w miejscu płomienia powoli odpełzało na lewo, stopniowo wyginając się i rozmywając. - Szel, ja mówię bardzo poważnie. Żeby obudzić rochtara w środku zimy trzeba się nieźle postarać! Poza tym on do tego stopnia cementuje dach swojego leża śliną wymieszaną z ziemią, że włamanie się do środka stanowi problem nawet dla brygady krasnoludów z kilofami, o ile, oczywiście, wpadłyby na tak dumny pomysł.

- A nie mówiłam, że co poniektórzy powinni przejść na dietę - parsknęłam.

- Nie o to chodzi. Zwróć uwagę, na chruście prawie nic było śniegu. Czyli kudłacz niedawno stąd wyłaził... albo ktoś wlaził do niego.

Puściłam ogiera stępa i z obawą okrążyłam leże rochtara, ostrożnie węsząc i w sensie

dosłownym trzymając postawione uszy. Dla pewności lekko je zaostrzyłam i odrzuciłam kaptur.

- Nie wygląda na to. A przynajmniej nie widzę żadnych śladów innych gości zakłócających jego spokój. Chyba żeby z powietrza przyszli. - Wyobraziłam sobie dziesiątkę pijanych krasnoludów siedzących na smoku, które z czystej złośliwości rozwalily legowisko rochtara i pośpiesznie zmyły się z miejsca przestępstwa przy wtórze dzikiego rechotu.

- Mogła go obudzić również magia - orzekł Weres po chwili namysłu. - Niektóre pomroki odczuwają ją jako przenikliwy dźwięk nie do zniesienia albo wibrację...

- Kiedy wyciągałeś sztylet?

- Nie, to byłoby dla niego brzęczeniem komara, nieprzyjemne ale dopóki nie poczujesz ugryzienia, nie zasługuje na uwagę. Coś mocniejszego. Przynajmniej na poziomie zaklęcia bojowego.

- Czyli istnieją rzeczy mocniejsze? - zaciekawiałam się.

- Oczywiście. W zasadzie zaklęcia bojowe stanowią wyrzut mocy, który trwa tylko przez kilka sekund, więc mimo że są bardzo widowiskowe nie wymagają wybitnego intelektu ani zdolności. Natomiast przykładowo otworenie teleportu to proces znacznie bardziej skomplikowany. I zajmuje sporo czasu. O Kręgach nawet nie wspominał...

- Dlaczego?

- Bo w takiej sytuacji w okolicy wstałyby nie tylko rochtary, ale również trupy z grobów. Co prawda wampiry w jakiś sposób radzą sobie ze swoimi Kręgami bez zauważalnych zakłóceń magicznych, ale nie wiemy tak do końca, co z nimi robią. Warto też wspomnieć, że w ich dolinach prawie nie ma pomroki.

- A ja słyszałam, że kiedy ktoś czaruje, to dookoła gromadzą się strzygi.

- Dokładnie. One również wyczuwają magię. Ale jedna magia różni się od drugiej, więc nekromancja najpewniej je przyciągnie, a mocne zaklęcie bojowe odstraszy. Będą się bały, że mogą oberwać przy okazji.

- A słaba?

- Słaba to wiedźmie czary i zaklęcia codziennego użytku oraz impulsy poszukiwawcze.

Dla strzyg stanowią one zaproszenie na obiad, bo mag to dla nich rodzaj wymyślnego przysmaku, szczególnie jeżeli nie może stawiać oporu. Właśnie dlatego zielarze boją się czarować w lesie.

Magii nie wyczuwałam w ogóle, chyba że intuicyjnie, tak jak pułapki i zasadzki, ale słuchałam Weresa z ciekawością, jakby opowiadał bajkę. W końcu na polanę, nie wybierając miejsca i pilnując wyłącznie tego, by uniknąć pechowej kupy chrustu, spadł smok, wznosząc obłok śniegu.

- Jaką wiadomość chcecie najpierw, dobrą czy złą? - Rudobiały wichur opadł już do stóp zdyszanego i niecierpliwie otrząsającego się ze śniegu człowieka.

- Złą - uznaliśmy jednogłośnie, z całego serca mając nadzieję, że dobra wiadomość nie sprowadza się do tego, że zła jest wyłącznie jedna. Smok nieco złapał oddech i nie bez dumy ze swojego szpiegowskiego wyczynu zameldował:

- W Rozłupanej Górce, a raczej gdzieś w jej pobliżu, sądząc z tego jak bezczelni są tamtejsi mieszkańcy, mieszka mag. Tak więc goniec nie musiał jechać daleko.

- Widziałeś go? - spytał czujnie czarodziej.

- Jeszcze zapytaj, czy przekazałem pozdrowienia od ciebie! - skrzywił się Mrok. - Nad wsią wisi gwiazda Amargi.

- Jakiego koloru? - Weres wyglądał na bardzo zainteresowanego sprawą.

- Jasnoliliowa. I muszę przyznać, że dosyć krzywa. Cały czas miałem wrażenie, że zaraz spadnie lub pęknie.

- Czyli nie bakalarz - skonstatował czarodziej z ulgą. - Jeżeli ma tak słaby sygnał, to zaklęcia poszukiwawczego tym bardziej nie pociągnie.

- A ci, co zauważają gwiazdę? O ile już jej nie zauważyli...

- W takim razie już by zdjęli sygnał.

- Ale może zostawili go celowo, żeby nas nie spłoszyć? - Smok uparcie „krakał”, pobudzony przez rochtara i wynikiem zwiadu.



- To jaka jest ta dobra wiadomość? - przerwałam mu zdecydowanie.  
- Jesionowy Gród mamy na wyciągnięcie ręki... znaczy się skrzydła. Ręką będzie trochę dalej, jakieś siedem wiorst na zachód. Jechaliśmy dobrze, tylko za daleki objazd zrobiliśmy. Wieś została o tam.

- No to nie ma co dłużej czekać. - Czarodziej przeciwnie, był całkowicie skupiony i spokojny. - Bierz tę swoją nadgryzioną przez wilkołaki kobyłę i ruszamy.

„Trzeba będzie następnym razem ulokować się za nim” - pomyślałam chmurnie. Zsiadłam ze swojego ogiera i zaczęłam się rozbierać. Pytanie „Szel, co ty robisz?” pogardliwie zignorowałam, w końcu i tak było widać, że nie mam zamiaru się tu opalać. Raczylam odpowiedzieć wyłącznie na: „Po co?”.

- Po to, że w odróżnieniu od zebranych tu wielkich czarodziejów i odważnych smoków mam ochotę znaleźć się w Jesionowym Grodzie przed nastaniem zmroku i bez przygód. W tej postaci mam mocniejszy węch i żadnych problemów z wyborem kierunku.

Nie słuchałam oburzonych tłumaczeń. Zresztą, nie mogłabym nawet mimo najlepszych chęci, bo właśnie zapadałam się w bezlitosny odmęt transformacji.

Wbrew powszechnym wierzeniom driady mieszkały bynajmniej nie we wszystkich drzewach, preferując dosyć rzadki gatunek - śnieżny jesion, wyróżniający się gładką korą, która sprawiała wrażenie wypolerowanej, miękkim drewnem bez rocznych pierścieni i oryginalnymi liśćmi. Widziane z daleka, ich korony miały kolor młodej sałaty, ale liście jako takie były mlecznobiałe z wieloma zielonymi żyłkami. Na ziemię nie opadały, lecz stały się całkowicie białe, więc las wyglądał jak za śnieżony. Drzewa te przypominały dęby, były tak samo sękaty i wysokie. Na początku lata wypuszczały karmazynowe baldachy drobnych kwiatów, a po nastaniu mrozów strząsały delikatnie różowe zabawnie kręcące się skrzydlaki, podobne do śmigieł, które uciekły z wiatraka. Będą polatywać aż do nastania wiosny, tak jak teraz. Potrząsnęłam pyskiem i różowe skrzydełko ponownie zerwało się do lotu bucząc jak niewielki trzmiel,

Zresztą, rosły tu nie tylko jesiony, więc na ziemi było dosyć opadłych liści. Wiatr roznosił je po całym lesie i garściami wyrzucał na śnieg poza jego granicami, otaczając Gród brązową niechlujną wstęgą. Nie przekraczaliśmy jej, lecz stanęliśmy przy samym brzegu, z zachwytem i niedowierzaniem przyglądając się delikatnym bladoliliowym kwiatom i zielonym monetkom liści w odległości jakichś dziesięciu sążni od nierównej linii śniegu. W głąb lasu ciągnęły się od niej wiosennie śpiewające strumyki, a na spotkanie falami płynął zapach ciepłej mokrej ziemi, dolatywały odgłosy szczebiotania i nie mniej serdecznego kwakania,

- No to co, długo jeszcze mamy czekać? - nie wytrzymał smok, tańcząc w miejscu z zimna i spoglądając na Gród z pożądaniem mrakobiesa stojącego przy bramie niebiańskich łąk.

- One już od dawna tu są - poinformowałam go obojętnie, na chwilę odrywając się od wygryzania lodu spomiędzy palców tylnej łapy. - Naiwne, myślą, że ich nie widzimy, ani nie słyszymy!

Odkryte i wyjątkowo z tego faktu niezadowolone driady natychmiast wyszły spomiędzy drzew. Obie miały długie jasne włosy i zielone oczy. Ubrane były w obcisłe spodnie, kurtki koloru kory drzewa. Trzymały w pogotowiu łuki. Jedna była wysoka, delikatna i piękna, ale druga stanowczo przepadała za bułeczkami z syropem klonowym czy czymś w tym rodzaju, powodującym zwiększanie gabarytów oraz pryszczę.

- Kto odważył się naruszyć granice Jesionowego Grodu?! dramatycznie spytała pierwsza.

- No właśnie, kto? - wymemlała grubaska nosowym głosem.

Weres uśmiechnął się i skrzyżował ręce na piersi. Rest z obawą zerkał na zębate groty, a ja ze znudzonym wyrazem pyska obwąchiwałam liść, który podleciał mi do samych łap.

- A co, nie widać?! - ryknął smok, przyjmując prawdziwą postać.

- Widać, widać - z niezadowolaniem burknęła ślicznotka, opuszczając łuk. - Ale przecież musimy zapytać! Gdzie wyście się szlajali, spodziewałyśmy się was już miesiąc temu!

Druga driada odwróciła się i ogłuszająco kichnęła, prawie upuszczając broń. Strzała zerwała się z cięciwy, zakreśliła piękny łuk nad lasem i zniknęła pomiędzy liśćmi.

Mit głoszący, że driada jest duszą drzewa również nie wytrzymuje żadnej krytyki. Ich więź z

drzewami wcale nie jest nie do rozdarcia, mimo że w Jesionowym Grodzie stapiają się z nimi co noc (albo też co dzień, w zależności od nastroju). Jednak w razie konieczności mogą spokojnie opuścić las na długie miesiące a nawet lata, doskonale sobie bez niego radząc. Wśród chłopów wciąż pokutują durne bajki o złych albo po prostu zachłannych ludziach, którzy mieli nadzieję naciągnąć driadę na spełnienie swojego serdecznego życzenia - że niby jeśli ktoś w chwili gdy driada znajdzie się wewnątrz drzewa, niech spróbuje zaatakować jesion toporem. Niestety, bynajmniej nie pocieknie z niego krew, tylko wylezie rozwścieczona baba, która po prostu podbije delikwentowi oko. Następnie, jeżeli temu domorosłemu drwalowi udało się nieodwracalnie uszkodzić pień, zaklnie z uczuciem i ruszy szukać sobie nowego miejsc zamieszkania - w ciągu swojego życia driady zmieniają średnio trzy do czterech drzew.

Ale gdy umiera driada, jesion również umiera. Nawet nie usycha, tylko w przeciągu dosłownie kilku dni gnije od korzenia i rozpada się na spróchniałe kawałki.

Tymczasem grubaska wyciągnęła z kołczana drugą strzałę, na wszelki wypadek nie śpiesząc się z kładzeniem jej na cięciwie. Ślicznotka natomiast patetycznie ogłosiła:

- Wasza trójka jest mile widzianymi gośćmi w naszym lesie, ale nie wpuszczymy wilkołaka do Jesionowego Grodu!

- Nie pgepufimy! - potwierdziła druga przeziębionym basem. - Ty, pafkudo, pfejdief do fwiętefo fajufylko pfe nafe pnie!

- Łaski bez - prychnęłam, wstając i otrząsając się. Z łatwością uchyliłam się przed wyciągniętą ręką czarownika. Czy on naprawdę myślał, że może tak sobie złapać i utrzymać mnie za kark? Przypadłam do ziemi, merdając ogonem i psotnie połyskując oczyma.

- Szef, tylko nie rób nic głupiego!

Owszem, kusilo mnie, ale ostatecznie się powstrzymałam. Gwałtownie się odwróciłam, prysnęłam na całą gromadkę śnieżnym kurzem po czym długimi susami uciekłam w szczere pole, ciesząc się z pracy zwierzęcych mięśni.

- Szeleno, wróć! - zawołał za mną Weres z pewnym smutkiem. - Możemy im wszystko wyjaśnić, dogadać się...

Możemy. Tylko po co? Przecież dorośli lubią gry nie mniej od dzieci.

\* \* \*

Strumienie i jeziora Jesionowego Grodu nie pokrywały się lodem nawet podczas najcięższych mrozów, trawa nie wiedziała co to szron i ani jeden płatek śniegu nie odważył się dotknąć miękkiej leśnej ziemi. Zima z szacunkiem obchodziła gaj szerokim łukiem jak swoisty rezerwat, gdzie w każdej chwili można było cieszyć się śpiewem ptaków i aromatem kwiatów, które zmieniały się praktycznie bez przerwy. Teraz w mroku jasno mrugały gwiazdki zimokwiatu - rzadkie, ale przez to jeszcze bardziej przyciągające wzrok. Po trzy lub cztery koło korzeni każdego jesionu. Mało który ryzykował rośnięcie dalej niż dwa łokcie od pnia. Powietrze było wilgotne, przesycone zapachem zgniłych liści i grzybów, chociaż te ostatnie trzymały się bardziej staromodnych opinii odnośnie pór roku i nie zamierzały wypuszczać kapeluszy przed kwitniem. Owady również niezbyt ufały magii Grodu i w lesie panowała cisza, niezwykła dla tak ciepłej nocy.

Jedna ze świecących kropek powoli się powiększyła i zmieniła kolor na karmazynowy. Zapachniało dymem i smażonym mięsem.

- Szef?!

Smok i dzieciak spali obok siebie na stosach suchych liści w drzewnej jaskini wydłubanej pod uniesionymi korzeniami jesionu, gdzie bez trudu zmieściłoby się pięciu ludzi. Weres, choć zauważalnie przysypiał, nie śpieszył się, by do nich dołączyć, tylko siedział z książką koło ogniska. I jak zawsze w niewiadomy sposób wykrył mnie z odległości kilku sążni.

- Cześć. - Pokręciłam się w miejscu i z zadowolonym westchnieniem klapnęłam obok, po czym szeroko ziewnęłam, pokazując kły do samych dziąseł. Ciekawe dlaczego ludzie uważają, iż driady nienawidzą ognia, ponieważ jakoby jest on śmiertelnym wrogiem lasu? A co w takim razie powinny robić z uschniętymi czy chorymi gałęziami? Nie należy mylić kuchennego noża z mieczem, a przytulnego ogniska z leśnym pożarem. Wszystko powinno zachowywać rozsądną

umiar.

- Jak się tu znalazłaś?
- Poczekalam na zapadnięcie zmroku i przeszłam obok strażniczek.
- Driad?! Mam nadzieję, że ich nie...
- Nie. Jedzenie driad sprowadza się do przeżuwania lipowego polanka, a obejście ich wątlej straży było po prostu banalne. I na pewno szybsze od głupich dyskusji.

- Ale przecież i tak cię znajdują!

- To już ich problem. - Położyłam łeb na łapach, przez szczeliny między powiekami podziwiając taniec płomieni. Pomiędzy krzakami po drugiej stronie ogniska na chwilę błysnęły oczy sarny, niepłochliwej i ciekawskiej, jak wszystkie mieszkające tu zwierzęta. Poruszyła uszami, zamierzając podejść jeszcze bliżej i sprawdzić czy nie poczęstują jej czymś smacznym, ale zauważyła mnie i jednym skokiem zniknęła w mroku. Oj tchórz, a po co miałabym cię łapać? Przecież nie jestem samobójczynią. Driady nie polują na zwierzęta i nie pozwalają, by robił to ktokolwiek na terenie Jesionowego Grodu. Nie, bynajmniej nie wieszają kłusowników na dębowych gałęziach głową w dół, jak to lubią opisywać plotkarze, ale za to zmuszają ich do wysłuchiwania tak smętnych i nudnych wielogodzinnych kazań na temat „nie zabijaj”, że nawet najgorętsi wielbiciela polowań po dwóch czy trzech takich lekcjach woła omijać święty gaj dużym łukiem, uważając, że jedna parszywa kuropatwa nie jest warta takich nerwów.

Zresztą, gospodynie nie miały nic przeciwko przyniesionej z zewnątrz szynce. Zapach pieczystego drażnił nos, ale oczywiście nikt nie wpadł na to, by zostawić mi plasterek, a duma nie pozwalała poprosić o wyciągnięcie z torby jeszcze kawałka.

- No i co beze mnie porabialiście?

- Uczciwie mówiąc nic - przyznał czarodziej po chwili namysłu. - Przyprowadziły nas tutaj, powiedziały, że musimy na kogoś poczekać, pokazały gdzie można nazbierać gałęzi i rozпалиć ognisko, po czym zostawiły. Nic nie rozumiem... Przyjaciół by odprowadziły bezpośrednio do obecnej władczyni Grodu, a wrogów nie zostawiły bez dozoru.

Uśmiechnęłam się do siebie. Delirna wcale się nie zmieniła! A teraz, niestety nie było na to absolutnie żadnych szans...

No cóż, poczekamy. Nie będziemy psuć dziewczynom przyjemności, niechaj sobie tam do woli pobiegają wzdłuż granicy, postrzelają do cieni pod krzakami, drząc na każdy szelest i groźnie krzycząc „Hasło!” do zajęcy, które taka intensyfikacja kontroli na pewno ucieszy. A ja tu sobie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku podrzemię koło ogniska. Nie miałam ochoty zmieniać postaci, dopiero co się rozgrzałam i rozluźniłam, więc nie miałam ochoty by znowu, jak to nazwał Mrok „wykręcać się na drugą stronę”. Nic to, czarownik jakoś zniesie przez godzinkę obecność zniechęconego stwora. Przecież ja go jakoś toleruję.

Weres rzeczywiście nie powiedział słowa sprzeciwu, ani się nie odsunął. Parę razy spojrzął na mnie bez szczególnego zachwyty, ale potem wciągnął się w książkę i nawet próbował się o mnie oprzeć. Warknęłam z niezadowoleniem, a on wymruczał przeprosiny i natychmiast się wyprostował.

- Co ty tam takiego ciekawego czytasz? - Teraz to ja bezczelnie położyłam pysk na jego kolanie.

- Odświeżam w pamięci potrzebny rytuał.

Weres przewrócił miękką wyświechtaną kartkę, na której litery do tej pory pachniały zaschniętą krwią. „Szelest Wrzосу”, głos martwych. Czyżby naprawdę był nekromantą?!

- Mag-praktyk to specjalista o szerokim profilu. - Czarownik uprzedził moje pytanie. - Musimy zajmować się wszystkim co wpadnie w ręce, od leczenia żywych do podnoszenia zmarłych,

- Jeżeli zmarli po twoim leczeniu i nie zdążyli zapłacić?

- W danym przypadku, jeżeli nie zdążyli o czymś opowiedzieć. Między nami mówiąc, driady mają do nekromancji znacznie bardziej tolerancyjny stosunek, niż inne rasy, więc nie powinny nam robić problemów.

- Po prostu nie boją się śmierci i nie robią z niej kultu,

- Ponownie położyłam łeb na skrzyżowanych łapach i zapatrzyłam w ogień. - Uważają, że uschłe drzewo nadal żyje w swoich nasionach i pędach, a że nie pamięta o poprzednim życiu, to i lepiej, mniej koszmarów będzie miało w nocy. Poza tym są przekonane, że na początku czasu istniało jedno-jedynie nasiono, od którego pochodzi wszystko, co żywe.

- Czyli duszę wszyscy mamy wspólną? - Czarodziej zmrugał oczami.

- Czyli tak. Jeśli wierzyć driadom - potwierdziłam chmurnie,

- A co ty o tym sądzisz?

- A ja sądzę, że śmierć pozostaje śmiercią, nawet jeżeli nazwiemy ją reinkarnacją z utratą pamięci. I to ostatnie bynajmniej nie powoduje, że wygląda bardziej kusząco.

- Szel, jesteś pesymistką?

- Jestem wilkołakiem. - Wyszczrzyłam zęby. - I mój stosunek do śmierci jest bardzo praktyczny. Można nawet powiedzieć, że konsumencki. Zjedzone przez mnie istoty mogą rozwijać sobie dowolne teorie odnośnie życia wiecznego, byleby nie burczały w brzuchu.

Czarownik przez chwilę milczał, ni to zamykając temat, ni to wymyślając godną odpowiedź.

- Szeleno, ile ty masz lat?

Odwróciłam się na grzbiet, słodko przeciągając w cicho szeleszczących liściach. Od jesieni minęły dopiero dwa miesiące, a ja już zapomniałam, jakie to przyjemne.

- Czy tobie nikt nie mówił, że zadawanie kobietom takich pytań jest nieuprzejme?

- Ja zadaję je wilkołakowi.

- Zadawanie ich kobiecie-wilkołakowi jest w dodatku niebezpieczne.

- A jednak? - Weres pochylił się, wyciągnął rękę i żartobliwie pociągnął mnie za koniec ogona. Odruchowo podciągnęłam go do brzucha jak tchórzliwy szczeniak i sama się na siebie rozzłościłam. Powinnam ugryźć czarownika w łapę aż do kości albo przywalić pazurami, to pewnie następnym razem dwa razy by się zastanowił zanim złapie za cudze! - Ciekawe przez jaki okres życia zrobiła się z ciebie taka cyniczna... pomroka.

- Tyle, na ile wyglądam - uciełam.

- Pięćdziesiąt? - podsunął czarownik bezczelnie. - Co? Odrobinę mniej?

Z irytacją zmarszczyłam pysk, strosząc igielki wąsów. Ghyr wie czemu, ale nie dało się na niego poważnie rozzłościć. Czy powodował to tembr głosu, czy intonacja, czy może niezmiennie pełny zrozumienia wyraz twarzy, z którym mówił nawet największe świństwa, ale jedyne na co zasługiwał to siarczysty policzek. Nie chciało mi się zmieniać postaci wyłącznie dla tej przyjemności, więc ograniczyłam się do demonstracyjnego zwinięcia w kłębek plecami do impertynenta. Pięćdziesiąt! Nikt nigdy nie dawał mi więcej niż dwadzieścia. Nawet gdy miałam czterdzieści, bo wilkołaki tak samo jak czarodzieje żyją dwa albo i trzy razy dłużej od zwykłych ludzi. A raczej żyłyby, tylko kto im na to pozwoli?

Obejrzałam się.

- Ty pewnie też nie masz osiemnastu.

- Odrobinę więcej - potwierdził Weres z uśmiechem, po czym zgarnął z ziemi szyszkę i rzucił ją w sterzący smoczy tyłek. - Chłopaki, pobudka, nasze przewodniczki wróciły!

Ku zdumieniu moich towarzyszy na widok złośliwie wyszczerzonego wilkołaka driady ograniczyły się do spojrzenia po sobie i niezadowolonego wykrzywienia ust, ale już nie próbując odmawiać czy się oburzać, gestami zaprosiły nas do pójścia ich śladem.

O ile znałam Jesionowy Gród, szliśmy nie do jego środkowej części, gdzie zwykle podejmowano władców sąsiednich państw, by oszołomić ich ogromnymi drzewami, kaskadami kwiatów, stadami ptaków, chmurami motyli i całą resztą ozdóbek, przez które minstrele dławili się śliną. Naszym celem była najwidoczniej jedna z niewielkich cichych polan, przeznaczonych dla spotkań wewnętrznych albo towarzyskich. Nawet domyślałam się która, i coraz bardziej niechętnie przedstawiałam łapy.

Po drodze stopniowo dołączały do nas inne driady, które bezgłośnie wynurzały się z mroku albo i wprost z najbliższych drzew, tak samo lekko i naturalnie jak z otwartych drzwi. Rest za każdym razem nerwowo podskakiwał i tulił się do mistrza, poniewczasie żałując, że nie ustawił się pomiędzy nami. Mrok został z tyłu, kwieciście tłumacząc już znanej nam blondynce z łukiem, jak

bardzo jest śliczna i jak wielkie ma szczęście, że go poznała, ale wskórał niewiele - wszystkie driady zachowywały wyobcowane milczenie. Tylko jedna, z krótką fryzurą, która w dzisiejszych czasach była tak bardzo modna w Wagerze, ulokowała się w pobliżu mnie i w pewnym momencie puściła oczko.

- Ile ich było tym razem? - spytałam szeptem.
- Trzy tuziny. - Larrina parsknęła do wnętrza własnej dłoni.
- Shelli, jak ci się to udaje?

Jedynie chytrze zmrużyłam oczy.

- Mam nadzieję, że zdążyłaś z nimi porozmawiać?  
- Sześć odmówiło, musiałam podnieść stawkę do dziesięciu do jednego, ale i tak wygrałam trzydzieści asztów! Tu jest twoja dola. - Driada wygrzebała z kieszeni garść wyblakłych monetek - stopu srebra i platyny, które w Belorii i Wolmenii chodziły w cenie czystego złota.

- Potem oddasz - powstrzymałam Larrinę. - Przecież nie będę ich nieść w pysku. Byłaś niedawno w stolicy?

- Dopiero wczoraj wróciłam.
- Do pracy czy w celach rozrywkowych?
- Skutecznie łączyłam jedno z drugim. - Moja przyjaciółka uśmiechnęła się

chochlikowato. Driadzkie ślicznotki nie ustępowały wychwalanym elfkom, więc Władczyni Grodu nigdy nie miała problemów z wywiadem zewnętrznym. Jej dziewczynki potrafiły przeniknąć wszędzie.

- Co nowego?
- Masa wyjątkowo tajemniczych i absolutnie niepotrzebnych planów z dziedziny polityki, ekonomii i podboju sąsiednich krajów. Ledwo dotaszczyłam tubę z kopiami, a nie wyobrazasz sobie nawet jak się wynudziłam przy ich robieniu!

Plotek i pogłosek jeszcze więcej. Nadworny mag wynalazł jakies nowe zakłęcie bojowe, tak koszmarnie, że boi się je testować i zapisywać. Naciąga monarchę na zapłacenie za tę pracę bez snu i odpoczynku, a tamten nie chce dać. Biorąc pod uwagę, że to już trzeci podobny „wynalazek” w ciągu roku, a w pałacu nadal nie mogą się pozbyć szcurów, również bym nie dała. Masa intryg, siedem rozwikłanych spisków i jeden nieudany zamach: wynajęty morderca poślizgnął się przy samym królewskim łóżku, a jego królewska mość obudzony przez raban raczył własnoręcznie ogłuszyć zamachowca nocnikiem. Ze dwóch odstawionych doradców i nowa faworyta, brzydka jak grzech śmiertelny, pewnie po to, by w przyszłości odstraszała kolejnych nocnych gości. Tak więc nic specjalnego. Mówią, że Arasta ma ciekawe wiadomości z Belorii, ale jeszcze się z nią nie widziałam. Nic to, potem pogadamy, bo już na nas zerkają,

Larrina skinęła mi na odchodnym i została z tyłu.

Zimokwiatów rosło dokoła coraz więcej, teraz prawie zwały się w lśniącą ścieżkę, wzdłuż której szliśmy. Driadom natomiast jakoś udawało się iść również po niej, nie zostawiając za sobą ani jednego zgniecionego kwiatka.

Wiedziałam... Majestatyczne dęby i wiekowe świerki całkiem nieźle wyglądały w „sali” dla oficjalnych spotkań, a prawdziwe serce lasu znajdowało się tutaj - w jasnym jesionowym gaju.

Prawie nic się tu nie zmieniło. W dekoracyjnym jezioru kwitły wymieszane ze sobą białe i purpurowe lilie, które kolo brzegów przechodziły w różnokolorowe grzywki turzycy, świece irysów, zwoje paproci, pasiaste liście czermieni o żółtych kwiatach i coś delikatnie niebieskiego, ażurowego i nieznanego nawet mnie. Kwiaty bynajmniej nie przejmowały się niewłaściwą porą roku i doby. Pomiędzy nimi z ledwo słyszalnym szelestem skrzydeł przelatywało kilka zmierzchnic, ulubionych motyli Delirny. Nie przepadała za efektownymi acz trzpiotowatymi tęczowcami, tak samo jak za „szlachetnymi” kwiatami, takimi jak orchidee czy róże. Przeważająca część gaju porośnięta była niską jedwabistą trawą, która podkreślała wspaniałość kwiatów. Driady nie potrzebowały ani płotów, ani nożyc ogrodniczych, więc jedynym wykonanym ręcznie przedmiotem na polanie była zdobiona ławka, wycięta z całego wypolerowanego bala.

A koło niej leżały rozsypane w drobny mak resztki pnia.

- Tu jest ciało... - Przeziębiona grubaska ze smutkiem pociągnęła nosem.

Wszyscy obecni popatrzyli na leżący pień, który zdążył lekko spleśnieć i „zakwitnąć”, w jednym miejscu nawet pojawił się na nim pęczek psich grzybów. Driady patrzyły z szacunkiem, Rest w szoku, Weres rzeczowo, a smok stoicko.

- Czy już miałeś okazję do podnoszenia zombi z pniaków? - spytałam, próbując nie patrzeć w ogóle.

Czarodziej wzruszył ramionami.

- W zasadzie metodyka pozostaje ta sama. I nie chodzi o zombi, przecież nie potrzebujemy bezwolnego trupa tylko samej Delirny. Po prostu wezwę jej ducha. Sądząc z ostatniego polecenia, które wydała Władczyni Grodu, nie ma ona nic przeciwko rozmowie ze mną i sama chętnie się pojawi.

Driada rozgłośnie wysmarkała się w koronkową chustkę.

- Co jest fam do tego podfebne?

Weres przykucnął, jak gdyby z namysłem przeciągnął palcami po pniu, ledwo dotykając kory. Już widziałam ten ruch, gdy leczył moją rękę ugryzioną przez kudłaka.

- Nic szczególnego. Dwa patyki, kubek wody, sznurek, spodek i długa świeca, która była już raz zapalana. Oraz oczywiście trochę wolnego miejsca. Pięć sążni w zupełności wystarczy.

W czasie gdy driada rozpędzała ciekawskich i przynosiła potrzebne dla nekromancji rzeczy, Weres pokrótce udzielał instrukcji uczniowi:

- Trzymaj książkę otwartą na tej stronie. Jeżeli z jakiegś powodu nie uda mi się dokończyć obrzędu, stracę przytomność albo dostanę drgawek, przeczytasz drugi akapit od góry i wylejesz do kręgu wodę, próbując trafić możliwie najbliżej środka. Ale w żadnym wypadku nie przekraczaj linii, nawet nie wyciągaj ręki poza nią!

Restowi to wszystko absolutnie się nie podobało, ale przygryzł wargę, pokornie słuchał i kiwał głową.

Gdy tylko Weres otrzymał rzeczy, o które prosił, natychmiast wziął się do roboty. Odmierzył kawałek sznurka, który przywiązał końcami do patyków. Jeden z nich wetknął w ziemię, a drugim zakresił krąg - na ramieniu ze sznurka, niezbyt głęboko brużdżąc ziemię. Następnie wyciągnął patyk i postawił zamiast niego w centrum kręgu spodek ze świecą, zawczasu przyklejoną woskiem. Pokręcił w palcach zwęglony knot, wyrównując go, ale nie zapalił. Odłamał od pnia kilka drzazg, pokruszył je na spodek i wyszedł z kręgu, starannie przestępując nad kreską.

Na widok tych wszystkich przygotowań pierścień widzów bez żadnych próśb rozszerzył się do dziesięciu sążni. Koło Weresa zostaliśmy tylko my.

- Też mam sobie iść?

- Jak chcesz. Jeśli się nie boisz, to zostań.

Prychnęłam pogardliwie i położyłam się w pobliżu pnia. Korzystając z okazji wpakowałam pysk do otwartej torby czarodzieja. Nic ciekawego: kilka wyświechtanych zeszytów i książek, jakieś flakoniki oraz błyskotki, przeważnie srebrne z tanimi kamkami. Pewnie amulety.

Weres zauważył moje manewry, natychmiast sięgnął i pociągnął torbę do siebie.

- Szeł, nie grzeb w moich rzeczach.

- Szkoda ci?

- Niektóre z tych talizmanów są w czasie walki aktywowane i rzucają w kierunku pomroki. Ale czasem wybuchają również samoistnie.

Gwałtownie straciłam ciekawość i dalej obserwowałam w milczeniu.

Na zakończenie czarownik upuścił na rękę kroplę ciemnozielonego, gęstego jak smoła i aromatycznego płynu z flaszki, roztarł, złożył dłonie w czarkę i uniósł do twarzy, wziął głęboki oddech i rozrzucił ręce na boki. Obcym, zimnym i władcym głosem wypowiedział kilka słów, których nie zrozumiałam, ani nie zdołałabym powtórzyć. Kolejne trzy zdania, jeszcze głośniejsze i bardziej wymagające - zakresłona linia zaczęła świecić przytłumionym, jakby trupim światłem. Mężczyzna zachwiał się, skrzywił z niezadowoleniem, ale nie przerwał obrzędu. Wykonał delikatny gest dłońmi, do wewnątrz i z powrotem, wyrównał oddech i zaczął recytować kolejne zaklęcie, o ton niżej i z inną, śpiewną intonacją.

Ze zdumieniem postawiłam uszy. Od knota ku górze wyciągnęła się nierówna niteczka

dymu, a po chwili obrosła koronką ognia i w pysek uderzył mnie mocny wiatr, wilgotny i stęchły, jak z podziemi. Nie przypadkowy powiew, tylko równoczesny ciąg z kręgu na wszystkie strony - widziałam jak poruszyły się włosy stojących naprzeciwko Mroka i Resta (choć całkiem możliwe, że w żaden sposób nie było to powiązane z wiatrem). Dzieciak nawet zmrużył oczy i przysłonił oczy ręką.

Już nie potrafiłam rozróżnić głosu czarownika - tylko ostatnie słowo, które postawiło grubą kropkę. Wiatr ustał tak gwałtownie, jak gdyby zatrzasnęły się niewidzialne drzwi. Płomień świecy, który nie poruszał się pod jego porywami, również i teraz pozostał nieruchomy, tylko wyciągnął się do góry o kolejne pół werszka<sup>1</sup>. Weres nie utrzymał się na nogach i opadł na jedno kolano, ale nie opuścił rąk i z uporem nie odrywał od świecy lekko szklatego spojrzenia.

A w kręgu zaczęła powoli kształtować się lśniąca postać w przestronnej powiewającej szacie, która na krańcach przechodziła w kłęby mgły.

W koszmarnej wyczekującej ciszy duch omiół wszystkich groźnym spojrzeniem, lśniącym zielenią, po czym wrócił do mnie, cofnął się i z oburzeniem wystękał:

- A toto co tu robi?!

- Hej, Delirno. Koszmarnie wyglądasz, a poza tym śmierdzisz zgnilizną. - Skrzywiłam się i potarłam pysk łapą.

Driady pisnęły z oburzeniem, widmowa starucha zachichotała:

- Szeleno, nic się nie zmieniłaś, nadal jesteś cięta! Kto cię wpuścił?

- Jak zwykle nikt.

- To dobrze. Nie chciałabym rugać dziewczynek za naruszanie rozkazu.

Wzruszyłam ramionami.

- A czemu nie możesz go po prostu cofnąć?

- Nie mam zamiaru przepisywać zasad z powodu jednego jedyne wyjątku.

- Głupie to. Zresztą, sprawa i tak nie leży już w twojej kompetencji.

- A, właśnie! - Driada kaszlnęła i dudniącym pozagrobowym basem zaczęła: - Czemu naruszacie mój spokój?!

- Teraz jeszcze rozłóż ręce i wyszczerz zęby - poradziłam z nieprzeniknionym wyrazem pyska. - Wypisz wymaluj będziesz wyglądać, jak strzyga z Orkrastu. Delirno, daruj sobie, tu są sami swoi. Jeszcze zdążysz się nacieszyć spokojem.

- Ty to potrafisz wszystko zepsuć - burknęła Władczyni Grodu z oburzeniem, zwyczajnie wychodząc sobie z kręgu i siadając wprost na ciele, czyli pniu. - Taką efektowną scenę zniweczyłaś! No dobra, ty, ty i ty, poczekajcie gdzieś z boku, cała reszta, kysz stąd!

Polana natychmiast i bez słowa sprzeciwu opustoszała. Larrina i kolejne dwie driady odeszły do rosnących kwiatów i usiadły na kamieniach, prawie niewidocznych pod warstwą zieleni.

- A ty czego się gapisz jak na ducha? - Starucha zrzędlawie zaatakowała Weresa. - Myślisz, że skoro umarłam to przestałam być arcymagiem i jakaś durna kreska mnie powstrzyma?

- Delirno, nigdy nie wątpiłem w pani zdolności i jestem niesamowicie szczęśliwy mając przed oczami kolejne ich potwierdzenie. - Czarodziej uklonił się szarmancko mimo słabości. - Zresztą, jeżeli nie jest pani w humorze możemy przyjść innym razem.

- No dobra, niech już ci będzie - rzuciła driada już spokojniej, oglądając swoją prześwitującą rękę. - Czyli tak, chłopcze, muszę z tobą poważnie porozmawiać. Dlatego też przestań udawać stracha na wróble, opuść ręce i siadaj sobie obok.

Weres nie obraził się i posłusznie usiadł na balu w odległości arszyna od ducha - wyraźnie nie było to jego pierwsze spotkanie z Delirną. Jeżeli mielibyśmy czepiać się szczegółów, to władczyni Grodu miała pełne prawo nazywać „dziewczynką” mnie i „maleństwem” legendarnego starmińskiego pustelnika z samotni nad rzeką, który miał dwieście lat i osiągnął ten budzący szacunek wynik nieprzerwanym postem, umiarkowaniem i modlitwami. Jak dla mnie to po ghyra taka nieśmiertelność?! Natomiast władczyni Grodu pozwalała sobie obierać taki ton wyłącznie w rozmowach z wybranymi ludźmi. Z przyjaciółmi.

- Delirno, co się stało? - zapytał czarodziej spokojnie.

- Nie mów, że nie widzisz! - parsknęła driada. - Tylko nie waz się składać mi „szczyrych

kondolencji”! Tak, zabili mnie i bardzo mi się ten fakt nie podoba, ale bynajmniej nie jest to powód by bawić się w gierki słowne! Co prawda musisz się zgodzić, że to wyjątkowo bezczelne, bez uprzedzenia atakować bezbronną starszą kobietę...

- I nieostrożne - burknęłam pod nosem. - Ile setek ich było i czy przynajmniej któryś ocalał?

- Właśnie o to chodzi. - Staruszka na chwilę darowała sobie złośliwy ton i zrozumiałam, że naprawdę była sprawą poważnie zmartwiona. - Nie „kto”, tylko „co”. Chciałam wpaść w odwiedziny do starego przyjaciela, ale niespodziewanie teleportacja została przerwana - jak teraz szacuję, to gdzieś w połowie drogi, na pustych ziemiach pomiędzy Jeziorną Krainą a Wolmenią - i zanim zdążyłam do siebie, bezczelnie zagryzł mnie jakiś stwór!

- A dokładnie?

- Szeleno! Gdybym zdążyła go sobie obejrzyć, to powiedziałabym „strzyga”, „kudlak” albo „harpia”. Jeszcze nie mam powodów skarżyć się na sklerozę! Mam szczerą nadzieję, że nie byłaś to ty, ponieważ wcześniej czy później znowu się spotkamy i wtedy ci nie zazdroszczę!

- Delirno, przepraszam cię najmocniej, ale tak starożytne kości nie zaciekawiałyby mnie nawet po wyjątkowo długim poście - prychnęłam wzgardliwie.

- Gdzie się pani teleportowała? - Czarodziej spróbował podejść do problemu z drugiej strony.

- Do Gór Grzebieniowych, a stamtąd do Starminu.

- Do kogo?

- Weres! - Driada z pretensją pchnęła mężczyznę palcem w pierś. Palec przeszedł na wylot, ale duch kompletnie się tym nie przejął. - Może mam ci jeszcze zrobić listę wszystkich moich kochanków z ostatniego stulecia? Nie o tym rozmawiamy. On nie miał nawet pojęcia, że się do niego wybieram, ani o czym miałam zamiar rozmawiać. Równie dobrze mogłabym udać się do Witiagu albo Wagery, w obu miejscach mam sporo znajomych magów.

- To mogła pani zaprosić mnie.

- Nie jesteś członkiem Konwentu - ucięła driada.

- To ma zasadnicze znaczenie? - zapytał czarodziej beznamiętnie ale zauważyłam, że odpowiedź Delirny mocno go dotknęła.

- Jeśli miałabym cię wynająć, to nie. W przypadku rozmowy o interesach - tak. Skąd miałbyś wiedzieć po kiego lepszego Konwent zdjął obserwację z tychże właśnie pustkowi aż do samej Wiliuki?

- A zrobił to? - Weres wyglądał na zszokowanego.

- On czy nie on, ale przynajmniej połowa amuletów sygnałnych została usunięta i to nie siłą, a ostrożnie wyłączona. Oczywiście zaczęłam od wysłania do Starminu oficjalnej noty: co za bzdury się tam u nich dzieją i dlaczego nam urządzają pod bokiem wylęgarnię pomrok! Mimo że stwory nie ryzykują pchania się do Grodu, sytuacja nadal jest mało zabawna. Wystarczy tylko wspomnieć, że w tej chwili nawet miejscowi boją się jeździć przez pustkowie, zamykają się w domach i nocą nawet rodzonej mamusi drzwi nie otwierają, bo a nuż rodzicielka ma już ząbki na pół łokcia?

- I co pani odpowiedzieli?

- Bo widzisz, oni tu ekonomię wprowadzają! Po wojnie z wampirami skarbiec jest pusty, specjalistów braknie i tym podobne bzdury. I to jeszcze kto odpowiedział?! Jakiś parszywy czarownik drugiego stopnia, nawet się nie pofatygował przystawić pieczęci Konwentu! Jestem Władczynią Grodu czy jakąś anonimową do-nosicielką, dla której szkoda arkusza papieru herbowego, co?

Cichaczem pomyślałam sobie, że u Delirny i tak ostatecznie lądowała połowa papieru herbowego nie tylko Belorii, ale też Wolmenii. Z drugiej strony to właśnie dzięki niej inne rasy poważnie liczyły się z Jesionowym Grodem, a w jego okolicach panował idealny porządek.

- Doskonale rozumiem, że nie jest to powód, by wszczynać awanturę - ciągnęła driada już nieco spokojniejszym tonem.

- No dobra, Konwent uznał, że zaoszczędzi na drobnostkach, żeby potem zapłacić złotem,



jego sprawa. Tylko dlaczego wystarczyło bym grzebnęła trochę głębiej i już ktoś mnie pogrzebał?! Weresie, dzieje się coś niedobrego! Najpierw myślałam, że któryś z członków Konwentu po prostu cichaczem skreślił amulety z list i sprzedał je na boku, ale ze skali wydarzeń widzę, że sprawa jest znacznie poważniejsza!

Sądząc z wyteżonej uwagi zebranych, nie tylko ja się zgadzałam z Delirną. Ostatnimi czasy faktycznie działo się za dużo niedobrych rzeczy.

- Sugerujesz, żebym udał się do Starminu i poważnie porozmawiał sobie z arcymagami? - zapytał Weres z gorzką ironią, zrozumiała wyłącznie dla niego i Delirny.

- Niekoniecznie - przyznała driada. - Może elfy coś wiedzą, ostatecznie to ich część Grodu jest zwrócona do Belorii i przez wspomniane już pustkowia przebiegają ich szlaki handlowe na tereny trolli i krasnoludów.

- Może? - Sceptycznie przechyliłam pysk na bok. Wiem, że w takiej pozycji podobna byłam do zdumionego wolijskiego owczarka, ale nie mogłam nic na to poradzić. Odruchy. Wszystko, czego dowiadywały się elfy, Delirna wiedziała maksimum po trzech godzinach i odwrotnie. Nawet służby wywiadowcze mieli wspólne, a większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że Gród składa się z dwóch niezależnych państw.

- Widzisz, lekko się z nimi... pokłóciliśmy. - Zjawa wyglądała na nieco zażenowaną. - W słusznej sprawie! Ale są uparci, nie chcą przyznać się do winy i, no co za wstyd, przegrodzili las magiczną granicą, od północy z zapasem na pięć wiorst, a na południu do samego Orkrastu!

Weres cichutko gwizdnął i obejrzał się na Mroka.

- Czemu nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Cała sprawa miała miejsce przed dwoma tygodniami. - Delirna uprzedziła odpowiedź smoka. - Najpierw uszaci po prostu patrolowali granicę i szczerze mówiąc miałam nadzieję, że szybko im się to znudzi. Owszem, znudziło się. Niestety, dranie podeszli do sprawy pomysłowo. Magów mają niezłych, jeżeli choć na chwilę oderwie się ich od zwojów i kontemplacji piękna. Tfu, u nich każdy jeden się tym zajmuje, byle tylko nie pracować!

- A jaka była przyczyna konfliktu?

- Zupełny drobiazg - parsknęła Delirna. - Jakiś tam artefakt, który jakoby ukradła jedna z moich dziewczynek z zemsty za wspólną noc z którymś z elfów z Naczelnej Siódemki, Jakoby ją uwiódł a potem bez ceregieli pokazał drzwi. Ale, po pierwsze sam sobie zasłużył, a po drugie dobrze znam Alainę, Gdyby jej odmówił, to faktycznie mogła zdobyć się, by ukraść jakiś drobiazg i z czystej złośliwości powiesić na czubku jesionu jego portki czy koszulę. Ale za to, że ją uwiódł - nigdy!

- A jaki dokładnie to był artefakt? - zaniepokoił się Weres. Delirna przeniosła spojrzenie na świecę. Woskowy trzon zdążył zmniejszyć się o połowę i obrosnąć skomplikowanym wzorem ze stopionego wosku.

- Czasu jest mało, więc zapytaj o to moją następczynię. Ja natomiast chcę, żebyś dowiedział się, kto to zrobił. Możesz nawet nic nie robić, po prostu daj mi znać, a już ja na tych drani zaczekam... Dziewczyny, chodźcie tutaj! Wydam ostatnie polecenia.

Driady śpiesznie zerwały się z kamieni. Larrina jako ta najmłodsza próbowała skromnie schować się za plecami przyjaciółek, ale Delirna oskarżycielsko wycelowała w nią palec.

- Ile dziś wygrałyście? - spytała Władczyni Grodu srogo. Wojowniczką z zażenowaniem spuściła oczy.

- Dwadzieścia - skłamałam bezczelnie.

- Dziesięć oddacie na potrzeby Grodu.

- Tak jest. - Nie spierałam się. Koniec końców to właśnie Delirna swego czasu pokazała mi swoje osobiste tajemne przejście do Grodu, o którym nie wiedziały nawet pechowe strażniczki, które już od kilku lat miały nadzieję na wygranie zakładu z Larriną. Ile by władczyni nie próbowała przemówić jej do sumienia,

- Wy już możecie sobie iść. - Duch machnął ręką w kierunku naszej grupki. Czarodziej z namysłem spojrział na krąg ze świecą. - Idź i nie martw się, sama tu wszystko posprzątam i zapieczętuje. A, przy okazji! - Niespodziewanie Delirna schyliła się do mnie i złośliwie puściła

oczko. - Szelenu, od dawna chciałam się dowiedzieć, jaki ten młodzieniec jest w łóżku?

- Jak trup - powiedziałam uczciwie, przypomniawszy sobie pierwsze i jedyne doświadczenie wspólnie spędzonej nocy.

Delirna złośliwie zarechotała, a Weres splonął rumieńcem. Niestety, czarodziej tak samo dobrze jak i ja wiedział, że wyklócanie się ze staruchą nie miało cienia sensu, a próby zaprzeczania były jeszcze głupsze. W milczeniu pochylił głowę na znak zgody i równocześnie pożegnania, odwrócił się i bez oglądania na oślepusz ruszył przez gaj, porzucając świecą ścieżkę.

Po chwili wahania potruczałam jego śladem. Delirna już rozmawiała z najstarszą driadą, oświecając ją w kwestiach rządzenia Grodem, więc nie odważyłam się podejść do niej z „frazesami”. Tym bardziej, że zabiłaby mnie śmiechem. I to całkiem zasłużenie.

A na to by usiąść obok siebie i wspólnie pomilczeć, tak jak obie pragnęłyśmy, czasu już faktycznie nie było...

\* \* \*

- Nie mówiłaś mi, że znasz Delirnę. - Weres przerwał milczenie. Ścieżka pod łapami była bardziej wyczuwalna niżeli widzialna - za granicami gaju było znacznie ciemniej, a zimokwiaty tu nie kwitły. Co i rusz wyczuwałam mijające nas driady, które jednak taktownie nie pokazywały się na oczy. Mrok i Rest opuścili polanę idąc w przeciwnym kierunku i zauważyłam jak smok ogonem przytrzymał dzieciaka, który wyrwał się by biec za mistrzem. Ja natomiast nigdy nie cierpiałam na nadmiar wrażliwości - jeżeli czarownik miał tak wielką ochotę na samotny spacer, to niech powie o tym otwarcie.

- Nie pytałeś.

- Byłyście dobrymi przyjaciółkami?

- Nie. Najlepszymi. A wy?

- Jestem jej dłużnikiem. I oczywiście przyjacielem.

- Niesamowite połączenie. Zwykle jest albo jedno albo drugie.

- Istnieją różne rodzaje długów. - Weres nie miał siły na żarty i odpowiedź wyszła nieuprzejma, więc straciłam ochotę by wypytywać dokładniej. - Spełnię jej prośbę. Nawet jeżeli czeka mnie podróż do samego Starminu.

I przeczesanie piędz po piędzi tych przeklętych pustkowi. Niech czarownik radzi sobie z magami, a ja zajmę się moją, że tak powiem „koleżanką”.

- To wszystko naprawdę brzmi dosyć dziwnie. Większość pomrok, za wyjątkiem tych najbardziej tępych, wie, że atakowanie driad nie ma sensu. Prawie nie nadają się do jedzenia, chyba tylko do podrapania kłów.

- Ale niektóre gatunki, na przykład ahory, ćwiczą na nich szczenięta, a fałszywy wilkołak<sup>2</sup> w ataku szału rzuca się na wszystko, co się rusza. Jeżeli Delirna zleciała mu na grzbiet...

- To każdy by zawył - zgodziłam się, i kłapnęłam zębami na wyjątkowo bezczelnego komara.

- Ja natomiast mam inne pytanie: dlaczego teleportacja została przerwana? Tak doświadczony mag, jakim jest Delirna nie mógł zrobić błędu w obliczeniach. Przypadkowe zakłócenia magicznego tła również nie mogły jej przeszkodzić - miała dosyć mocy by teleportować się nawet przez oko nasłanej przez innego maga burzy.

- A nieprzypadkowe?

- Istnieje kilka zaklęć, które celowo zakłócają teleportację. Ale żeby z nich skorzystać trzeba wiedzieć, że konkretny obiekt w konkretnym czasie spróbuje przemieścić się w takim a takim kierunku, albo zaciągnąć cały rejon tak zwaną „pajęczynką”. To dosyć kłopotliwy proces, który w dodatku wymaga sporych nakładów energii, i to wielu magów. Na dodatek obok natychmiast znalazł się rozwścieczony potwór. Przypadek? Zaraza, głowa mi pęka, nie mogę się skupić... - Weres ze zmęczeniem dotknął czoła i z lekkim zdumieniem roztarł między palcami kropelki potu, - Tyle dobrego, że Delirna uwolniła mnie od kończenia obrządku. Nie wyobrażam sobie nawet, co bym tam naczarował... Szel, czemu ty za mną poszłaś? Wróc do reszty i powiedz im, że doprowadzę się do porządku i przyjdę.

Nie ośmieliłam się klócić z bezpośrednio wyrażonym nakazem i zawróciłam. Ale i tak nie udało mi się zasnąć, więc ponownie z niezadowoleniem wstałam. Czy ten cholerny nekromanta tam przypadkiem nie zablądził? Jeszcze nam zemdleje pod jakimś krzakiem...

Znalazłam go po zapachu, bez trudu podejmując trop w miejscu naszego rozstania. Ale nie zawołałam, zastygając w pobliskich krzakach, jak ciekawski posązek.

Weres klęczał w podobnym do czarki zagłębieniu pod skalną półką na wysokość człowieka, z której cienką płachtą lał się leśny strumyk. Zimowy wieczór w Jesionowym Grodzie był niewiele cieplejszy od jesiennego w Wolmenii, ale nad wodą kłębiła się para, a czarownik również nie drobił w miejscu szczękając zębami tylko zamarł pod wodospadem w niemalże modlitewnej pozycji: odrzucona do tyłu głowa z zamkniętymi oczyma, ręce skrzyżowane na piersi. Strugi wody nie rozbiły się na jego ciele, tylko otaczały je warstwami, akceptując jako część nurtu. A wyraz twarzy Weresa w tej chwili był pełen ekstazy i spokoju, jakby trzymał w objęciach ukochaną. Pozwalając by robiła z nim wszystko cokolwiek zechce i wiedząc, że w każdej chwili może liczyć na wzajemność.

Zresztą, pewnie tak właśnie było. Bo kto powiedział, że można kochać wyłącznie kobiety? I wcale nie mam na myśli zbereźnych trolli dowcipów!

Każdy mag ma swój ulubiony żywioł, który słucha go bardziej niż inne i pozwala osiągnąć zamierzony wynik przy minimalnym wydatkowaniu mocy. Wyglądało na to, że Weres preferował wodę. Ciche zamyślane jeziora powleczone wieczorną mgłą, kryształowe okienka źródeł, zaspokajające pragnienie kosztem bólu zębów, pokryte szronem bryły lodu, zaczętnie śpiewające strumienie, a w razie konieczności potok zmacony wściekłością, zmiatający wszystko, co napotka na drodze. Woda jest ustępliwa i skora do wybaczenia, ale nie warto żywić złudzeń. Może przybrać każdy kształt, lecz nie uda ci się utrzymać jej w garści, jakkolwiek byś nie próbował. Ani pozostać na powierzchni, jeżeli jesteś toporem.

„Taki całkiem porządny topór - pomyślałam chmurnie. - Cała krasnoludzka siekiera o stalowej rękojeści. Nawet nie pluśnie. Będiesz potem rakom okazywać papiery o hydrodynamicznie obliczonym kształcie ostrza i wyjątkowo lekkim stopie...”

Weres gwałtownie się odwrócił, ale w krzakach już nikogo nie było. Nawet gałęzie się nie chwiały.

1

werszek - dawna rosyjska miara długości, wynosząca ok. 4,45 cm. [przyp. red.]

2

Falszywy wilkołak - człowiek, który nie urodził się wilkołakiem a został nim na skutek rzuconego przekleństwa albo świadomej zmiany postaci maga (często nieodwracalnej). *Patrz: Podręcznik wiedzy nienaturalnej pod redakcją K. D. Perłowa 7 rok*

## Rozdział 8

Nasi towarzysze nie byli zachwyceni ani decyzją Weresa, ani moją. Szczeniak, który jeszcze nie zasłużył na prawo, by szczekać w obecności starszych głosił swój protest milcząco. Na jego pyszczku odbijało się na przemian to desperackie błaganie to szczere oburzenie - zależy do kogo zwracał się smok, a skoro już mamy być szczerzy, to raczej na kogo aktualnie wrzeszczał.

- Weresie, czy ty naprawdę zamierzasz udać się do Starminu?! A nie prościej będzie od razu powiesić się na tamtym jesionie?!

- Może wystarczy wizyta u elfów. - Czarodziej próbował go uspokoić, ale jednak z pewnym zastanowieniem spojrzął na wspomniane drzewo.

- I myślisz, że one tak bardzo ucieszą się na twój widok? Dwójka z tego uszatego narodu również zasiada w Konwencie Magów.

- I, między nami mówiąc, podczas głosowania się wstrzymali.

- Ponieważ nie mają ochoty mieszać się do ludzkich spraw, o ile nie dotyczą ich one bezpośrednio. A teraz na ciebie nakichają, o co zakład?

- Nic to, może się nie zarażę - zażartował Weres, zwracając na jęki przyjaciela znacznie mniej uwagi, niż na placek z jagodowym nadzieniem. Ale za to kobyła, koło której Mrok nerwowo przechadzał się tam i z powrotem sumiennie odwracała pysk w jego kierunku, co irytowało smoka jeszcze bardziej, W końcu brutalnie zamachnął się na nią pięścią, zmuszając biedne zwierzę do ucieczki na przeciwległą stronę polany.

- A co ci koń zawinił? - burknęłam nieopatrznie i natychmiast zostałam winną. Chociaż głównym adresatem pretensji nadal był Weres.

- A w ogóle to pomrok w okolicy brakuje, że koniecznie musisz ze sobą ciągać jeszcze jedną? Bo może to jej kumple zagryźli Delirnę, a ona nas teraz zaprowadzi wprost do ich paszczy!

- Ja jej nie ciągnę. I prowadzi też nie ona.

- No to powiedz, żeby spadała, póki cała!

- Sam jej powiedz. - Czarodziej beznamiętnie wzruszył ramionami.

Chmurnie zerknęłam na smoka, równocześnie sprawdzając, jak rusza się darkan w pochwie, pożyczonej od Larriny. Nieco opornie, w końcu nie pod tę klingę robiona. Ostatecznie smok nic mi nie powiedział. Zresztą, to wszystko i tak nie miało najmniejszego sensu, decyzje już dawno zostały podjęte, za dnia się przespaliśmy a bliżej wieczora niespodziewanie zaczęliśmy zbierać się do drogi. Pomysł wyszedł od Mroka i był bardziej żartem, ale Weres i ja całkiem poważnie go poparliśmy: pogoda dobra, jasno, to może zdążymy dotrzeć do elfów przed zapadnięciem zmroku. Drogi raptem pięć wiorst wzdłuż lasu.

- Szel, miałaś wcześniej okazję odwiedzać elfy? - Weres skrzętnie zawiniął i schował pozostałe placki do torby. Oczywiście znacznie więcej przyjemności sprawiłoby mu rozciągnięcie kolacji na kolejną godzinę i wykończenie ich do ostatniej sztuki, ale rozsądnie doszedł do wniosku, że w takim przypadku nie zdoła wspiąć się na konia.

- Nie. I szczerze mówiąc, wcale się do tego nie palę.

Mrok odwrócił się ku mnie z nową nadzieją, ale uparty wyraz twarzy, z jakim siodłałam mojego ogiera w jednej chwili rozwiął wszystkie jego iluzje: życzenia życzeniami, a obowiązki obowiązkami.

- No więc żebyś wiedziała: nie znoszą wilkołaków nawet na odległość.

- Wiem. I właśnie dlatego się nie palę.

- Czyli rozumiesz, że w żadnym wypadku nie wolno ci zmieniać tam postaci - ciągnął czarownik spokojnym tonem, ignorując moje poirytowane sapanie. - Nawet częściowo. Na terenie

Jesionowego Grodu magiczne zdolności elfów zwiększają się kilkakrotnie, więc będą w stanie wykryć nawet najłżejsze emanacje pomroki. A jeżeli dowiedzą się kim jesteś, zabiją na miejscu! I nawet nie zdążymy cię obronić.

- A jeśli zdążymy, to nas również, do towarzystwa... Ot, co! - Mrok obrazowo przeciągnął kantem dłoni po gardle.

- W takim razie mam nadzieję, że starczy wam rozumu by nie robić tam żadnych aluzji? - odcięłam się, bo i bez tego byłam cała w nerwach. Można pomyśleć, że mnie ich towarzystwo cieszyło! Poza tym Mroka w ogóle nikt do nas nie zapraszał, a zachowywał się tak, jakby prowadził całą wyprawę i osobiście zbierał drużynę.

- A elfi znasz? - Weres nie chciał się odczepić.

- Po co? Przecież twierdzą, że naszego wspólnego to nawet nie trzeba się specjalnie uczyć, wystarczy, że posłucha się tego żalosnego gaworzenia przez dwie-trzy godziny. No to niech słuchają.

- Z elfami nawet we wspólnym trzeba umieć rozmawiać, inaczej mogą po prostu udać, że nie słyszą.

- Jak to?

- Po pierwsze, niech cię bogowie uchowają przed mieszaniem się do cudzej rozmowy albo odrywaniem elfa od jakiegoś zajęcia, nawet jeśli sprowadza się ono do zwykłego wachania kwiatka. Poczekaj, aż sam zwróci na ciebie uwagę. Po drugie, każdą rozmowę zaczynaj od słów: „O szlachetnie urodzony jak-cię-tam-el”.

- Niezależnie do kogo bym się zwracała?

- Oni tam wszyscy są szlachetnie urodzeni, wysokiego rodu i wielce świątli. W przeciwnym razie po prostu nie odpowiadają. Tak między nami, w rozmowach pomiędzy sobą końcówkę „el” opuszczają, więc pilnuj żeby się nie pomylić.

- A po co „o”?

- Bo taki jest zwyczaj. - Czarodziej wzruszył ramionami,

- Spróbuj też mówić jak najbardziej kwieście, elfy to lubią. A, i możliwie często przypominaj im, że jesteś niemądra i biedna, a oni wspaniali i mądrzy.

- Nie da się na odwrót? - spytałam błagalnie.

- Da się, ale w takim razie na pewno zostaniesz uznana za wariatkę. Tylko głupki nie są świadomi nie podlegającej dyskusji przewagi rasy elfów nad całą resztą.

- Mam nadzieję, że oprócz wilkołaków?

- Szeleno!

- No dobrze, dobrze, dla dobra wspólnej sprawy na chwilę zostaną kwieście o-powtarzającą wariatką. - Wskoczyłam na konia, chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę oraz całą sprawę. Ale nie zdążyłam wyjechać na drogę, bo przegrodziła ją znajoma gruba strażniczka, tym razem z lancą-sztandarem, na którym stała dęba szczerze nakrochmalona zielona flaga z białym liściem jesionu pośrodku. Grubaska zaczęła od wysmarkania się, a następnie wyprostowała plecy, uroczyście stuknęła w ziemię końcem sztandaru i ogłosiła:

- Władfygni Ghodu phosi was o poffięfenie jej kfili fasu i pfejffie fa mną na polanę tfonową!

W oszołomieniu patrzyłam na driadę, która z wysiłku dostała ataku kichania, nie od razu rozumiejąc co ma ona na myśli. No tak, żałoba żałobą, ale tron władczyni nie powinien stać pusty. No cóż, takich próśb się nie ignoruje, możemy się przejść.

- Pani powinna wypić trochę naparu z szałwii albo zrobić inhalację wywarem z ziemniaków - poradziłam przyjacielsko, zsiadając z konia.

- Nif to, samo pfejffie - burknęła driada, nie patrząc mi w oczy. Ciekawe, ile postawiła przeciwko mnie?

Na polanie tronowej było pusto i żałobnie - ani jednego jaskrawego kwiatu, słodkiego aromatu czy trelu ptaka. Spojrzałam uważniej i dostrzegłam mocno zwarte pąki, schowane wśród zieleni. Driady nie zdobyłyby się na to, by w celu okazania żałoby zrywać bogu ducha winne kwiaty, ale jak najbardziej mogły kazać im przestać kwitnąć na kilka dni. Wyjątek zrobiły

wyłącznie dla bladuróżowych orchidei, które w Wolmenii tradycyjnie kładzie się na grobach panien młodych, zmarłych w przeddzień wesela. Z niezbyt radosnym uśmiechem pomyślałam, że staruszka nie przepuściłaby okazji, by wygłosić paru kąśliwych słów na ten temat.

Delirna wybrała godną następczynię - Toressę, swoją dawną pomocnicę, już niezbyt młodą driadę o mądrych oczach i ciepłym uśmiechu przebaczącej wszystko matki i babci. Na tronie - misternej koronce z przeplatających się żywych gałęzi i korzeni - siedziała z niedbałością kolejnego wcielenia nieśmiertelnej i niezmiennej władczyni Grodu.

- Straż zameldowała, że już wyjeżdżacie - stwierdziła miękko śpiewnym głosem po wzajemnej wymianie uprzejmości.

Milczeliśmy z szacunkiem, czekając na ciąg dalszy.

- Słyszałam, o co prosiła was Delirna, zresztą ona sama kazała mi, by na wszelkie sposoby was wspierać. - Toressa była jedną z tych driad, które zostały na polanie do wypalenia się świecy. - Ale to było niepotrzebne. Delirna... była... - To słowo przyszło jej z trudem, głos zadrżał i kobieta opuściła zdradziecko skrzywioną twarz. - . . .wspaniała driadą i doskonałą władczynią. Chcemy wiedzieć, kto jest winien jej śmierci. I wziąć udział w wymierzaniu zemsty, w razie czego oferując wam stuosobowy oddział. Niestety w walce wręcz nie ma z niego wiele pożytku, ale moje dziewczyny są wspaniałymi łuczniczkami i będą mogły ubezpieczać wasze wojsko w czasie ataku lub szturm.

- Chwilowo nie bardzo jest kogo ubezpieczać - burknął Mrok.

- Ani co szturmować - dodał Weres. - Pani Toressa, chwilowo nie mamy jeszcze pojęcia, kim jest nasz wróg i jak należy z nim walczyć, ale jesteśmy nieskończenie wdzięczni za tak wspaniałomyślną propozycję. W razie konieczności nie omieszkamy z niej skorzystać.

- To nie jest wspaniałomyślność - uśmiechnęła się naczelna driada. - Ale jeżeli wilkołak zawiązuje przymierze z czarodziejem i smokiem, oznacza to, że nadchodzą tak straszliwe zmiany, że nie możemy pozostać z boku. Jak tylko określicie przeciwnika, przyślijcie do mnie posłańca.

- Jak najbardziej - obiecaliśmy szczerze. Oczywiście rola szlachetnych samotnych mścicieli miała swój urok, ale rola skromnych - i żywych - zwiadowców była jeszcze bardziej kusząca. A już na pewno głupio byłoby odmawiać przyjęcia pomocy w sytuacji, gdy istotnie nie wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia.

- Doskonale. - Driada z ulgą odchyliła się na oparcie tronu, jak gdyby do tej chwili wcale nie była przekonana czy zamierzamy wypełnić złożoną Delirnie obietnicę. Bo w końcu duchowi można obiecać nawet i gruszki na wierzbie, byle tylko zostawił cię w spokoju. - I... Szeleno, rozkaż strażniczkom, by cię nie zatrzymywały. Od dziś możesz wchodzić do Grodu kiedy zechcesz.

Ze zdziwieniem uniosłam brwi.

- Czyżby chciała pani pozbawić mnie pewnego źródła zarobku?

Toressa roześmiała się zaraźliwie.

- Cóż, jak sobie chcesz. W każdym razie ucieszę się widząc cię w Grodzie, szczególnie z dobrymi wiadomościami.

Uroczyście się pożegnaliśmy i śladem naszej przewodniczki udaliśmy do zostawionych na polance koni, po czym szybko dokończyliśmy pakowanie.

- Czy im się naprawdę wydaje, że zbierzemy wojsko i zaczniemy wojnę na pustkowiach?!

- Smok roześmiał się nerwowo.

- Daj spokój, to tylko piękna metafora - zbył go Weres. - Władczyni Grodu po prostu zapewniła nas o swoim całkowitym poparciu.

- Driady nie są elfami, mówią dokładnie to, co chcą powiedzieć - nadal martwił się Mrok.

- Może coś przed nami ukrywają?

- Przecież powiedziała „w razie czego” - przypomniał mu czarodziej cierpliwie.

- Ale coś jednak miała na myśli! A przy okazji, wcale nie jestem przekonany, że aż tak wspaniale z nich łuczniczki. - Smok spojrział na strzałę ze zgniecionym pierzyskiem, która samotnie sterczała z ziemi przy korzeniach dębu.

- Przecież nie będziemy brali byle kogo - obiecał mu Weres zbyt przekonującym tonem,

by mógł to myśleć poważnie. - Sam wybierzesz.

Na takie stwierdzenie Mrok w końcu się zamknął, a sceptyczny wyraz jego twarzy zmienił się na marzycielski.

Na skraju lasu zostałam w tyle.

- Jedźcie, niedługo was dogonię.

- A ty dokąd? - zapytał czarownik podejrzliwie, zatrzymując się i odwracając. Pozostali poszli za jego przykładem. Co, wydaje wam się, że mam zamiar sobie zapolować na odhodnym?

- Odlać się - burknęłam. - Chcesz dotrzymać mi towarzystwa?

Weres się zawstydził.

- Ale się pośpiesz, dobrze? - poprosił głupio.

- Jak wyjdzie tak będzie - prychnęłam, zagłębiając się w las. Wpierw rzeczywiście ulokowałam się pod krzaczkiem, na zapas. W szczerym polu z zaspami po kolana niespecjalnie jest jak ukucnąć. A potem wróciłam do opustoszałego jesionowego gaju i przyklękłam koło pnia.

Rozgrzebałam ciepłą w środku warstwę zgniłych liści, wykopałam dołek i położyłam na dnie skrzydlate nasionko, ostrym noskiem do dołu. Przysypałam ziemią, delikatnie rozgniatając żyźnie pachnące grudki.

- Będzie mi cię brakowało, stara kłodo - szepnęłam, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Mam nadzieję, że te wasze głupie wierzenia nie są kompletnie do ghyra, tak jak większość pozostałych.

Ukośne promienie zachodzącego słońca ślizgały się po białych liściach, wypełniając czubki drzew miękkim złocistym lśnieniem. Gładkie pnie majestatycznymi kolumnami podpierały dach żywej świątyni i w smutnym szeleście spadających nasionek usłyszałam daleki zanikający śmiech starej driady.

\* \* \*

To był durny pomysł.

O zachodzie słońca ścisnął mróz, i to wyjątkowo mocny - taki, że aż śnieg trzeszczał, a słońce ostygło do ciemnego karmazynu i nie zamierzało dzielić się z ziemią ostatnimi okruszkami ciepła. Nawet wilki nie wyszły, żeby wyć do zanikającego księżyca, tchórzliwie zagrzebując się w zaspach.

Wszyscy mieliśmy na sobie ciepłe kurtki, długie do kolan i podbite futrem. Tak więc do tej wysokości marziliśmy zwyczajnie, a poniżej na kość, do całkowitej utraty czucia. Co prawda Weres zapewniał, że nogi nie odpadną nam całkowicie po tym jak wrócą do normalnej temperatury - już on o to zadba. Jednak najpierw należało znaleźć miejsce, w którym dałoby się ogrzać. Elfów nie było widać, po lewej stronie nieskończoną wstęgą ciągnął się las - zwykle sosny z zawałami suchych gałęzi, a dookoła jak okiem sięgnąć widziałam tylko zasypane śniegiem pustkowie. Z zasp sterczały kłujące czubki ostów.

- No i gdzie jest ta po trzykroć przeklęta granica? - spytałam, z trudem powstrzymując się, by nie okraścić pytania jeszcze bardziej kwiecistymi epitetami. - Ten las ciągnie się już od dwóch godzin, a jej nadal nie widać.

- To właśnie ona - poinformował Weres niewyraźnie, do wnętrza własnego kołnierza. - Bardzo kunsztowna iluzja, nawet magii prawie nie czuć. Nie dasz rady wejść do tego „lasku” dalej niż do granicy, pokręcisz się dookoła i wyjdiesz z powrotem.

Z ciekawości spróbowałam. Dziwne uczucie, jakbym długo kręciła się w jednym miejscu, kompletnie zagubiona. Przed oczami wszystko płynie, więc człowiek idzie gdzie go nogi niosą.

- I daleko jeszcze mamy do jej końca?

- Driady powiedziały, że granica ma długość około pięciu wiorst, czyli już niedługo. Ale potem będziemy musieli przejechać tyle samo w przeciwnym kierunku i to nie wzdłuż tylko trochę na ukos, bo do elfów nie da się wejść w każdym miejscu lasu, przynajmniej bez zapewniania sobie strzału kontrolnego w tyłek,

Wzdrygnęłam się. Niezbyt pomogło.

- Wydaje mi się, że pięć wiorst już przejechaliśmy. Albo nawet siedem.

- Pewnie Toressa znowu użyła „metafory” - rzucił Mrok złośliwie, spoglądając na

czarownika z takim wyrazem twarzy, jak gdyby wiedział o wszystkim zawczasu, tylko nikt by mu nie uwierzył. - Może być pięć wiorst albo siedem, albo nawet dziewięć, tak czy siak nie ona tam jedzie, bo znaleźli się inni naiwni!

- Może elfy wydłużyły granicę - zasugerował Weres, unosząc się w strzemionach i próbując dojrzeć kraniec. Bezskutecznie, nawet mnie się nie udawało.

- Po co?

- Celowo, żeby cię rozzłościć. - Czarodziejowi przedłużająca się wycieczka również nie sprawiała szczególnej przyjemności, więc tym bardziej nie miał ochoty słuchać cudzych jęków.

- Słuchaj, a nie masz przypadkiem wśród nich jakichś krewnych?!

- A co to jest takiego, o tam? - przerwałam rozpoczynającą się sprzeczkę. Najpierw odniosłam wrażenie, że magiczna granica gwałtownie zakręcała w prawo, ale po kolejnych stu czy dwustu sążniach zrozumiałam, że to zupełnie inny las, który leżał tuż obok, ale pomiędzy nimi pozostawało wąskie przejście.

- Omszały Bór. - By dojrzeć znaczki na pergaminie, Weres musiał sięgnąć po wsparcie magii, gdyż po zachodzącym słońcu pozostała już tylko czerwona smuga na horyzoncie. - Hm, sądząc z mapy znajduje się w odległości około ośmiu wiorst.

- A nie mówiłem?! - ucieszył się Mrok złośliwie.

- Ty skarżyłeś się na wszystko po kolei i bez przerwy - odgryzł się czarodziej, który ostatecznie stracił cierpliwość. - Jakiś cud by się musiał stać, żeby przynajmniej jedno z tych pesymistycznych przewidywań się nie sprawdziło! Lepiej byś zaproponował coś sensownego.

- Sugeruję wrócić, póki nie jest za późno!

- Już jest - uciał Weres. - Lepiej będzie przejechać kolejną wiorstę do przodu niż osiem do tyłu, robiąc z siebie całkowitych idiotów.

- Dobrze, jak to będzie jedna wiorsta. Jeśli wierzyć temu, co opowiadała Delirna, uszaci równie dobrze mogliby dociągnąć granice do samej Wagery - burknęłam ponuro. - Może skręcimy do lasu, rozpalimy ognisko i przenocujemy koło niego? Żeby nie okazało się, że po kolejnych dwóch czy trzech godzinach jazdy elfy dostaną w prezencie cztery lodowe posągi w oryginalnych pozach!

Kelpie niezbyt przejmowały się mrozem, ale z zapadnięciem zmroku przestawiały nogi coraz wolniej i niechętniej. Groziło nam, że „dwie-trzy godziny” zmienią się w cztery albo nawet i pięć, jeżeli granica nie skończy się przynajmniej za borem. Moja propozycja nikomu nie przypadła do gustu - Weres się śpieszył, Mrok był ostrożny, a Rest po prostu bał się nocować w lesie - jednak mimo to została przyjęta jednogłośnie.

Zanim dotarliśmy do Omszałego Boru, zrobiło się całkiem ciemno, a mrok między drzewami był nieprzenikniony. Weres wyczarował magiczny płomyk, który dawał więcej grozy niż światła. Świedista kulka zawisa nad ramieniem czarodzieja i otoczyła jego postać trupiosinym lśnieniem, jak ducha. Natomiast pysk najbliższej kelpie przy takim oświetleniu wyglądał jak wisząca w powietrzu czaszka o pustych oczodołach, obciążonej skórą. Jechałam z przodu i nie widziałam zadu mojego ogiera, ale nie wątpiłam, że jego widok robił nie mniejsze wrażenie.

Nie mieliśmy zamiaru zagłębiać się zbyt daleko w las, jedynie schować przed rzadkimi, ale przenikliwymi porywami wiatru, które w jednej chwili wymiatały całe zebrane ciepło. Pierwsza polanka została zgodnie uznana za zbyt małą - jeśli jakiś drapieźnik będzie chciał zaatakować, to może skoczyć nam na głowę wprost z drzewa, kolejna zarosła nieprzebytym gąszczem malinowych krzaków... a na trzeciej stała chatka.

Wciągnęłam powietrze przez nozdrza. Zamieszkała, choć okiennice były szczelnie zamknięte. Nad kominem kłębił się dym, a z wewnątrz dobiegały ledwie słyszalne szurania i szepty. No cóż, tam gdzie nas się boją, my się nie mamy czego bać!

Zsiadłam z konia i bez wahania załomotałam do drzwi pięścią. Wszystkie dźwięki ucichły w jednej chwili, jak gdybym pukała do spichlerza pełnego myszy. Potem ktoś podkradł się bliżej plaskając bosymi stopami o podłogę, ale minęła przynajmniej minuta, zanim w sieni ozwało się niepewne:

- Kto tam? - Głos pełen nieśmiałej nadziei, że „tam” już nikogo nie ma, albo było to tylko



złudzenie.

Weres lekko się zawahał, dobierając maksymalnie taktowni odpowiedź, ale ja zmarzłam do szpiku kości i nie byłam w nastroju do sentymentów.

- Oj nikt ważny, tylko czarownik, smok i okrutny wilkołak w mojej skromnej osobie, a raczej potworze. Otwieraj drzwi, bo jesteście wściekle głodni!

Weres spojrział na mnie karcąco, ale szczęknęła zasuwa i drzwi rzeczywiście się otworzyły.

- Zapraszam. Jeśli żartują to znaczy ludzie...

W progu, odgradzając się od nieproszonych gości jaskrawo płonąca pochodnią stała chudziutka dziewczyna - na oko szesnastoletnia, jasnowłosa, krótko ostrzyżona i wyglądająca jak po długiej chorobie. Jeśli wnioskować z zaostrzonych uszu i typowo ludzkiego ciekawskiego piegowatego nosa, półelfka.

Ostrożnie odsunęłam pochodnię na bok, uważnie obrzuciłam spojrzeniem jedyną izbę i uśmiechnęłam się.

- Ba, wy tu macie cały bastion obronny!

Sześć czy siedmioletnia dziewczuszka chętnie zachichotała w odpowiedzi, wyłaząc zza skrzyni stojącej naprzeciw drzwi. Naciągnięta kusza pozostała na jej wieku. Ta była jeszcze bardziej podobna do elfki. Błękitne oczy o kształcie migdałów i tak długich czarnych rzęsach, że nie będą potrzebować żadnej kosmetyki. Ale ten nos, ten nos... po tatusiu czy po mamusi? Włosy miała takie same jak siostra - jasne, kudłate i puszyste. Żadnego porównania z gładko spływającym złotym, białym lub czarnym jedwabiem elfów pełnej krwi. Nic dziwnego, że Jesionowy Gród od zarania dziejów był liderem światowego rynku peruk!

- A na kogo czekałyście? - Mrok postukał butami w górny schodek ganku, otrząsając śnieg.

Dziewczyna w milczeniu oświetliła pochodnią drzwi i dopiero teraz zauważyliśmy do jakiego stopnia były one obdrapane od zewnątrz. Prawie do połowy grubości, jak gdyby ktoś próbował gryźć, uparcie ścinać szeroką uzbrojoną w kły paszczą, wypluwając kawałki drewna na śnieg.

Z obawą drapnęłam deskę paznokciem. Dębowa, solidna - pazurem udałoby mi się wydrapać bruzdę, ale tak tylko wbiłam sobie drzazgę.

- Weres, co to za cholera?

Zapytany uważnie obejrzał ziemię, schylił się i podniósł coś niewielkiego, oblepionego śniegiem. Otrząsnął, otarł palcami i pokazał Restowi. Pióro. Białe z rudawym puchem przy czarnym trzonie.

Czarodziej i jego uczeń wymienili pełne zrozumienia spojrzenia.

- Śnieżne ra-raskwyry - zaczął chłopaczek, zająkując się, jak gdyby powtarzał lekcję. - Szeroko rozpowszechnione leśne pomroki z rodziny pseudokrukowatych, trzecia albo czwarta klasa zagrożenia w zależności od ilości. Gnieźdzą się w parach, w niskich dziuplach albo suchych norach pod korzeniami, ale polują w stadach, zwykle przed świtem.

Ja wywnioskowałam z jego słów wyłącznie tyle, że znowu mieliśmy problemy.

- Dokładnie tak. - Weres zgniótł i odrzucił pióro, wchodząc do wnętrza chatki. - A jest w domu ktoś dorosły?

- Nie. Już nie... - Dziewczyna zmarszczyła nos, jak gdyby miała zaraz wybuchnąć płaczem, ale się powstrzymała. - Od jesieni mieszkamy same.

Przepuściłam Mroka i Resta, na odchodnym oglądając się do tyłu. Sień okazała się przestronna i prawie pusta, więc da się na noc wprowadzić do niej konie. Wewnętrzne drzwi były najzwyczajniejsze, z niezbyt szczelnie dopasowanych do siebie sosnowych desek, niespecjalnie solidnych. Jeżeli zewnętrzne nie wytrzymają, to te wylecą po jednym ciosie.

Zapomniana na półokrągłym wieku kusza zachwiała się, szczęknęła i wypluła belt. Nie patrząc wykonałam ruch ręką, łapiąc go przed samym nosem Resta. Malutka pisnęła z zachwytem: „Ooo!”, szczeniak nie podzielał jej entuzjazmu, wbijając wytrzeszczone oczy w grot, połyskujący w odległości piędzi.

Wyglądał jak żaba zahipnotyzowana przez węża. Niedbale rzuciłam dziewczynce pocisk i

usiadłam przy stole.

- To czemu się nie przeniosłyście bliżej ludzi? Jeśli nie macie żadnych żyjących krewnych to mogłyście się gdzieś wynająć jako służące czy uczennice.

- Myślałyśmy, że jesteśmy już dość dorosłe i same sobie poradzimy... zanim to wszystko się nie zaczęło. - Starsza panna jednak się rozplakała, ze wstydliwym pośpiechem ocierając łzy zbyt długim rękawem koszuli męskiego kroju, pewnie pozostałej po ojcu. - A teraz śnieg spadł, mrozy, a my nie mamy konia, więc w ciągu jednego dnia żadnej szansy dotrzeć do zamieszkałych okolic... a w nocy...

- Czy stado jest wielkie? - Weres rzeczowo obejrzał okiennice, postukał zgiętym palcem w pękniętą zasuwę i z niezadowoleniem pokręcił głową.

- Nie wiem... Jest ich bardzo dużo, nalatują ze wszystkich stron... przez okno na strychu, skrobią w powałę... niektóre uderzają w okna i próbują wleźć przez komin, ale na noc zasuwamy zasłonkę...

To dlatego w chatce tak mocno pachniało dymem. Żebyśmy się tylko tu nie zaczadzili. Chociaż, zwykle ludzie zaczadzają się we śnie, a sądząc z wszelkich oznak tej nocy miał on pozostać dla nas nieosiągalnym luksusem. Myśl o tym, by możliwie szybko się stąd zmyć, nawet nie wpadła nam do głów. Jeżeli w pobliżu mieszkają drapieżne stwory, to w lesie dopadną nas tym bardziej.

- A czy ze strychu jest wyjście do sieni? - spytałam.

- Tak, ale zamyka się klapą, z tamtej strony nie do odsunięcia.

Mogłam sama na to wpaść, przecież wewnętrzne drzwi są całe.

- Pójdę przyprowadzę konie - burknęłam, ponownie naciągając rękawice.

Kelpie były zauważalnie podenerwowane, parskaly i tańczyły w miejscu, mimo że ja nie słyszałam ani nie czułam nic podejrzanego. Do sieni weszły bardzo chętnie, nawet nie musiałam łapać za ogłowa, bo same wrywały się do przodu. Na wszelki wypadek dwa razy sprawdziłam zasuwę, a nawet pofatygowałam się i weszłam po drabinie przystawionej do klapy prowadzącej na strych, by przekonać się, że również była dobrze zamknięta. Po kolejnej chwili namysłu zabrałam drabinę i zaklinowałam nią drzwi, ukośnie opierając drugi koniec o ścianę. Tak lepiej.

Mężczyźni również nie marnowali czasu, wzmacniając okna deskami wyłamanymi z dna łóżka. Wątpiłam by to bardzo pomogło... Ale przynajmniej trochę uspokajało.

- Ujdzie. - Weres dla sprawdzenia pociągnął za deskę i pewnie doszedł do identycznego wniosku. - Zanocujemy tutaj, a rano zawieziemy dziewczynki do najbliższej wsi. Tylko nie miejcie pretensji, nie będziemy się w niej zatrzymywać, wysadzimy was w zasięgu wzroku.

Uspokoilo to starszą z nich znacznie skuteczniej, niż najbardziej przekonujące i nie mniej fałszywe zapewnienia, że „wszystko będzie dobrze”. Jeżeli człowiek zastanawia się, co będzie robił jutro, to stanowczo nie zamierza umierać dziś. Jeszcze raz ukradkiem pociągnęła nosem, po czym zasumitowała się, że gości należałoby nakarmić, napoić i zaoferować łaźnię... Chociaż coś ja czułam że to ostatnie niedługo otrzymamy bez żadnych cebrzyków czy ręczników, nic tylko podgrzewać mocniej! Weres sceptycznie obejrzał postawiony na stole poczęstunek i dodał do niego placki z torby. Mała, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie siostry, natychmiast złapała największy i najbardziej wypieczony i bez najmniejszego skrupowania wpakowała się na jedyną ławkę pomiędzy mną a Weresem.

- A ty jak masz na imię, maleństwo? - spytałam z westchnieniem.

- Virra. A ona to Danka.

Ciekawe. Mała miała imię typowo elfie, a jej siostra typowo ludzkie. Hrajk kiedyś opowiedział mi ciekawą historię: w mieszanych rodzinach dzieciom imiona nadają zawsze elfy. Spojrzą na niemowlę i decydują, czy więcej jest w nim ludzkich cech czy elfich. Z wyglądu Virra faktycznie bardziej przypominała elfkę, ale zachowywała się zupełnie jak człowiek, a półelf zapewniał mnie, że uszaci czują treść, a nie formę. Kolejna elfia głupota analogiczna do noworocznych ludzkich wróżb?

- Virra-ell - mruknął Weres w zamyśleniu.

- Piękne imię. W elfim oznacza „Powój”, czyż nie?

- Po prostu Virra. - Mała niespodziewanie zachmurzyła się, upodabniając do malutkiego nastroszonego wróbla, obtoczonego w mące.

- Ell to tylko przydatek do imienia elfa. Tak samo jak vi-Ell dla syren - wyjaśnił czarodziej delikatnie. - Po prostu przyjęta forma.

- Wiem.

- Nie chcesz być elfką?

- Nie - ucięła i wpatrzyła się w podłogę, z irytacją przeżuując placek. Weres z zagubionym wyrazem twarzy spojrzął na mnie, a ja mogłam jedynie wzruszyć ramionami. „Piękna jak elfka” było najlepszym komplementem, jaki mogła usłyszeć kobieta. Najbardziej rozrabiający mężowie potrafili przy jego pomocy uniknąć ciosu wałkiem w łeb, jeśli za późno wracali do domu z karczmy. Nawet ja kiedyś... khm... oczywiście nie uwierzyłam... ale i tak było to przyjemne, mimo że uśmiełam się, aż mnie brzuch rozboleł. Zresztą, nawet nie zamierzałam atakować tamtego grzybiarza, po prostu zdrzemnęłam się pod krzakiem i nie usłyszałam kroków póki biedak nie potknął się o moje wyciągnięte łapy...

- A po co w ogóle schowałyście się w takiej głuszy? - Weres uznał, że nie będzie nalegał i zwrócił się do starszej siostry.

No tak, teraz obie gospodynie starannie badały plamy na deskach podłogi, jakbyśmy przyszli je swatać.

- Mama była magiem - w końcu niechętnie przyznała Danka. - Czyli po tutejszemu wiedźmą, a one niby powinny mieszkać daleko od ludzi w głuchym lesie.

- Powinny - spokojnie potwierdził czarodziej, nie spuszczać z dziewczyny badawczego spojrzenia. Nie wątpił, że doskonale dawało się ono wyczuć również od strony potylicy.

- Jeżeli mówimy o jakiejś starej kłodzie albo nie przepadającej za towarzystwem pannie-samouczce wywodzącej się z miejscowej ludności. A czego tu szukała młoda i piękna absolwentka Szkoły Czarodziejstwa ze Starminu?

- Skąd pan wie? - spytała panna już z wyraźną obawą w głosie, kuląc się mimowolnie.

Weres uśmiechnął się dobrodusznym i zarazem z lekkim poczuciem wyższości.

- Cóż, to że młoda i piękna to widać po tobie i siostrze. A dyplom Szkoły wisi w o tamtym rogu, gdzie chłopcy zwykle umieszczają pouczające obrazki z życia świętych, jak na przykład „Kuszenie szlachetnego Geora Riana przez niegodziwą wszetecznicę”.

- To taki, jaki wisiał w Starminie nad twoim łóżkiem? - ożywił się Mrok. - Z taaaakimi dużymi...

- Wyłącznie dla żartu - pośpiesznie wyjaśnił Weres. - Tam była bardzo realistyczna wszetecznicca... hm... kusząca.

Danka nie potrafiła powstrzymać chichotu, ale nadal nie raczyła zdobyć się na szczerość.

- A ojciec? - zaciekałam się.

- Nie mam pojęcia! - burknęła dziewczyna zaskakująco nieuprzejmie. - Wpadał jakiś typ... kilka razy.

Oj dziecko, coś ci się ta historia rozłazi... Parę razy, z przerwą na osiem do dziesięciu lat, i żeby samotna kobieta dwa razy nadepnęła na te same grabie? Oczywiście elfy są śliczni jak malowanie, ale wyrecytowanie zaklęcia antykoncepcyjnego zajmuje raptem kilka sekund, więc nawet pod naporem najbardziej płomiennej żądz można zdążyć. I koszula, którą masz na sobie nadal słabo pachnie mężczyzną, a nie założyłabyś nie wypranego ubrania po kimś obcym, nawet jeśli miał ją na sobie tylko raz czy dwa, brzydziłabyś się.

- A masz brata czy może przyjaciela? - spytałam na wszelki wypadek.

- Nie - odezwała się z widoczną ulgą, po raz pierwszy nie kłamiąc i ciesząc się z odejścia od tematu, który z jakiegoś powodu był dla niej nieprzyjemny. Ja i Weres ze zrozumieniem spojrzeliśmy po sobie, ale uznaliśmy, że nie będziemy łapać półelfki na oczywistym kłamstwie. W końcu dlaczego miałoby nas to obchodzić, jeśli nie liczyć czystej ciekawości? Siedząca przed nami dziewczyna nie była ani pomroką, ani magiem, ale za to naprawdę była śmiertelnie przerażona.

- Ojej, czy to darkan? - Okazało się, że Virra stała za moimi plecami i z fascynacją przyglądała się sterczącej z pochwy rękojeści - Prawdziwy?! A mogę popatrzeć? - Po czym nie

czekając na pozwolenie obiema rękami pociągnęła broń w swoim kierunku.

Gwałtownie uderzyłam dłonią w głowicę, wbijając klingę z powrotem, po czym wstałam zza stołu. Tego tylko brakowało. Jeżeli ta smarkata tak dobrze zna się na broni druidów (swoją drogą, ciekawe skąd?) to na pewno wie, co oznacza wyryty na niej grawerunek. Mało prawdopodobne by pomyślała o mnie - bo w końcu kto to widział pomrokę noszącą amulet ostrzegający o jej skromnej osobie? - ale za to poważnie się przestraszy, uznając, że dookoła chatki kręci się jakiś potwór.

- A dlaczeeego?

Skoro jesteś taka odważna i rezolutna, to powinnaś wiedzieć, że kiedy chmurnie syczy na ciebie starsza kobieta z paskudnym grymasem na twarzy, to nie należy jęczeć i robić min, tylko cichutko odejść na bok. Póki nie zostałam złapana za kołnierz i odsunięta z drogi.

Niestety, bynajmniej nie ochłodziło to entuzjazmu Virry. Wręcz przeciwnie, teraz gapiła się na mnie z milczącym zachwytem dzieciaka, który marzy o przygodach i po raz pierwszy ma okazję zobaczyć prawdziwego rycerza na odległość kuksańca, o którym teraz przez miesiąc będzie mógł z dumą opowiadać kumplom.

- Weresie, czy możemy jeszcze coś zrobić? - Z roztargnieniem podniosłam należącą do małej kuszę i z trudem powstrzymując okrzyk śpiesznie oparłam ją o rękę zgiętą w łokciu, trzymając samymi koniuszkami palców. Kolba ozdobiona była prawdziwym srebrem, które jaskrawo połyskiwało na wypukłościach wzoru, a ciemniało w rowkach. Z daleka rysunek wyglądał na chaotyczny zbiór linii i ozdóbek, z których pod bardziej uważnym spojrzeniem jak za dotknięciem magii wylaniało się machnięcie skrzydła, wyszczerzony pysk lub misterne pnącze. Niewątpliwie elfia robota, i to bynajmniej nie z tych gorszych. Bardzo droga zabawka, lekka i równocześnie groźna, strzelająca bełtami albo żelaznymi kulkami, w najgorszym razie dawała się załadować nawet kamyczkiem. Marzenie najemnego zabójcy.

- No cóż, ja osobiście mam zamiar zjeść porządną kolację i położyć się spać. - Zapytany z entuzjazmem przystąpił do wykonania pierwszej części planu. Wbiłam w niego zdumione spojrzenie. I nie ja jedna. Czy on to mówił poważnie? Spać? Tu, teraz?!

- Rano się wyspałam.

- To przynajmniej się zdrzemnij. Przed świtem raskwiry się nie pojawiają, a jeżeli będziemy siedzieć i po prostu gapić się w mrok, pod koniec nocy obrońcy z nas będą niezbyt skuteczni.

Czarownik był spokojny jak piekarz, który dobrze wymieszał ciasto i teraz siedzi w cieniu pod lipką czekając aż sobie urośnie.

Nikt nie zdobył się na przyznanie do słabszych nerwów, więc natychmiast po kolacji wszyscy zaczęli zgodnie szykować się do snu, co prawda nie rozbierając się i dokładnie sprawdzając leżącą obok broń. Dziewczynki położyły się we dwie na zdjętym z połamanego łóżka materacu, a my dostaliśmy do podziału na cztery osoby drugie, które bardzo przypominało łożo małżeńskie dla zakochanych na zabój, bo było za szerokie na jedną osobę, a dwie zmieściłyby się wyłącznie w gorących objęciach.

- Hm, cóż, mało prawdopodobne, by udało się je podzielić po bratersku - stwierdził Mrok, pewnie wyobrażając sobie te objęcia ze mną bądź Wereselem.

- To może podzielimy je podzielić po rycersku! - zasugerowałam optymistycznie.

- Znaczy jak?

- Ustąpimy pięknej damie! - Zanim któryś z nich zdążył powiedzieć choć słowo sprzeciwu, zrzuciłam zawczasu rozsznurowane buty i na całą długość wyciągnęłam się na łóżku, z zadowoleniem zerkając na „rycerzy”.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, smętnie westchnęli i ruszyli do sieni po koce.

Siostry zasnęły prawie natychmiast. Nawet Danka, która twardo odmówiła wypicia uspokajającego naparu. Co prawda nikt nie pytał jej o zgodę na rzucenie niewielkiego czaru, a niby przypadkowy gest Weresa w ich kierunku zauważyłam chyba tylko ja. Ich śladem poszedł Rest, sapiący jeszcze nieco zakatarzonym nosem. Ten przyzwyczał się ufać swojemu mistrzowi bez żadnej waleriany. Mrok jeszcze przez dłuższą chwilę wzdychał i wiercił się, ale chyba jego podstawowym problemem była twarda podłoga, a nie nadciągające niebezpieczeństwo. W końcu i

on również się uspokoił.

Ale za to sam Weres... Ciekawe czy on naprawdę spał czy udawał? Oddech miał równy, głęboki i prawie bezdźwięczny ale dokładnie taki sam był od samego początku, gdy tylko się położył. Cichutko zwiesiłam się z łóżka i przyjrzałam zastygłym rysom twarzy, nieco zbyt ostrym z powodu nadmiernej chudości. Jakies one zbyt spokojne. Z marszu nie potrafiłam wymyślić pytania mądrzejszego niż: „A czy ty naprawdę śpisz?”. Nie mówiąc o tym, że czujny czarownik jak najbardziej mógłby złośliwie i całkowicie rozbudzonym tonem odpowiedzieć mi: „A co, nie widać?”

Wzdrygnęłam się, namacałam ostry czubek pióra, wystającego z poszewki i wyciągnęłam je z poduszki. To dlatego była taka płaska, mimo że ciężka - nabita nie gęsim puchem, a piórami wyszczypanymi z kur, wśród których trafiło jakieś rude, długie i wąskie, z rozłożystego koguciego „kołnierza”. W zamyśleniu pokręciłam zdobycz między palcami, uśmiechnęłam się w mroku, ponownie przetoczyłam na bok i zdradziecko wyciągnęłam koniuszek pióra w kierunku nosa pozornie śpiącego czarodzieja.

W następnej chwili odniosłam wrażenie, że na moim nadgarstku zwarło się stalowe imadło, nawet pisnęłam z bólu i zaskoczenia.

- Szel, czy ty nie masz nic innego do roboty?! - zapytał Weres z irytacją.

Prychnęłam i wyszarpnęłam rękę, nie czekając aż rozluźni palce.

- Już nie mogę nawet ręki zwiesić czy jak? To łóżko jest twarde jak trumna i niewiele od niej szersze!

Weres opuścił spojrzenie na zdradzające moje intencje piórko, które lekko spłynęło na jego pierś.

- Możemy się zamienić.

- Jeszcze czego! - Z oburzeniem odwróciłam się do ściany i chmurnie burknęłam prawie w same bale: - A w ogóle, to zaczynam wątpić, które z nas jest wilkołakiem...

Cichy śmiech. Szelest. Nie mogąc się powstrzymać spojrzałam przez ramię. Weres leżał na plecach, z rękami złożonymi pod głową i patrzył na mnie spokojnie, wyczekująco. Jak gdyby wiedział, że wcześniej czy później się odwrócę.

- Cóż, ty również nie jesteś takim zwykłym wilkołakiem.

- A to dlaczego?

- Nie masz wyraźnej granicy pomiędzy postaciami. - Mężczyzna ledwo poruszał wargami. Wątpiłam, by słyszał go nawet leżący obok Mrok, gdyby nie spał. - Ich zmiana to dla ciebie zjawisko czysto formalne, zewnętrzne. Jako kobieta spokojnie korzystasz z siły i wycucia pomroki, a w ciele zwierzęcia zachowujesz ludzką pamięć i umiejętności, prawie nigdy nie stając się całkowicie jednym lub drugim. Podejrzewam, że nawet świadomość ci się niezbyt zmienia.

- Co powoduje, że ze mnie potwora jeszcze paskudniejsza i bardziej niebezpieczna? - uśmiechnęłam się krzywo.

- I wrażliwsza na ciosy. - Nawet nie pomyślał o tym by zaprzeczyć, choćby z czystej uprzejmości.

- A to wywnioskowałeś? - Z zaciekawieniem przekręciłam się na brzuch, opierając podbródek rękach.

- Nie wnioskowałem, złapałem. - Czarownik demonstracyjnie okazał mi rozczapierzoną dłoń, jak gdyby proponując, bym obejrzała sobie wzór na jej wewnętrznej stronie, po czym ponownie schował ją pod potylicę.

- Po prostu miałeś szczęście. Nie spodziewałam się pułapki,

- Ale podejrzewałaś, że nie śpię. Mogłaś skorzystać ze zwierzęcych reakcji, ale nie skorzystałaś, świadomie je tłumiąc, A przecież w nocy instynkty powinny być w tobie silniejsza niż rozum.

- Słuchaj, czy ty próbujesz uczyć mnie bycia wilkołakiem? - obruszyłam się. - Niezadowolony, że nie odgryzłam ci ręki?

- Niezadowolony - zgodził się Weres. Już się nie uśmiechał, a wyraz jego twarzy zmienił się w niewykrywalny acz paskudny sposób. - A to dlatego, że ja rzeczywiście spałem. - Jego głos

raptem zrobił się poważniejszy, a ja, jeszcze nawet nie wiedząc o co chodzi nabrałam ochoty by zwinąć się w kłębek i cofnąć.

- I dlatego, że w drugim ręku miałem to.

Wąska srebrna klinga wyslizgnęła się z jego rękawa jak pazur z łapy kota, błysnęła w pojedynczym promieniu księżycy padającym przez szparkę w okiennicy i jak gdyby wyparowała, chowając się z powrotem.

- Ale podstawowy problem polega na tym, że ja nie jestem wilkołakiem, i reakcje mam odrobinę gorsze. Potrafię wyczuć zbliżanie się pomroki nawet przez najmocniejszy sen, ale bynajmniej nie zawsze udaje mi się powstrzymać cios w ostatnie, chwili. Tak więc bardzo cię proszę, ogranicz te żarty z piórkami do osoby Mroka. Albo przynajmniej zachowuj się jak zwykły wilkołak.

- Ależ z ciebie drań! - rzuciłam, tym razem nie tylko się odwracając, ale też naciągając kołdrę po same uszy, mimo że niezbyt pomagała na przeszywające łopatki zimno.

Weres nic nie odpowiedział. Tylko ledwo słyszalnie wciągnął powietrze nie zmieniając pozycji i dopiero wtedy zrozumiałam, że bynajmniej nie miał zamiaru chwalić się swoją szybkością ani mnie straszyć.

Bo sam był zbyt przerażony.

\* \* \*

Obudziliśmy się równocześnie, choć nie należało dziękować za to ani moim zmysłom, ani sławetnym reakcjom Weresa, żeby je mrakobiesy wzięły, tylko kelpie, która tupnęła kopytem. Pojedyncze uderzenie w nocy zabrzmiało tak gwałtownie i wyraźnie, że senność zleciała z nas wszystkich bez śladu. Virra usiadła na łóżku, wywiczonym gestem sięgając po kuszę, leżącą u wezłowia.

Nitka przecinającego pokój księżycowego promienia zniknęła, ale jasna plamka na okiennicy pozostała, czyli księżyc jeszcze nie zaszedł, choć już się do tego przygotował.

Koń ponownie tupnął, a następnie parsknął. Nie zważając się, powoli i ostrożnie, wymacaliśmy w mroku uspokajające rękojeści broni i wstaliśmy. Jak gdyby to nie rozpoczęło się polowanie na nas, tylko my sami siedzieliśmy w zasadzce, oczekując zwierzyny. Chwilowo nic się nie działo, ale węch doświadczzonego drapieżnika podpowiadał mi, że już niedługo. Przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa stawało się silniejsze z każdą chwilą, cisza dzwoniła w uszach, uprzedzając o nim nie gorzej, niż głodne wycie czy chrzęst gałęzi pod uzbrojonymi w pazury łapami.

Przekradłam się do okna i pochyliłam do słabo lśniącej szczeliny, odruchowo przekształcając źrenice. Na resztkach płotu siedziała wrona. Ogromna i nastroszona. Zbyt jasnej barwy, nawet jeżeli wzięłabym poprawkę na lśnienie piór w świetle księżycy.

- Weresie, popatrz na to - szepnęłam na wszelki wypadek. Ptak pokręcił łbem i otrząsnął się. Ze stawów skrzydeł wyrosły i powoli wciągnęły z powrotem szerokie zakrzywione pazury.

- Raskwyr. - Czarodziejowi wystarczyło szybkie spojrzenie i znowu ustąpił mi miejsca przy oknie. - Przygotujcie się, Zaraz się zacznie.

Teraz „wrona” patrzyła wprost na mnie, otwierając dziób jakby ziajała z gorąca. Wewnątrz drżał czarny rozdwojony jęczyczek, który wydawał się smakować mroźne powietrze. Karmazynowe koraliki oczu na przemian blakły i ponownie wypełniały się odbitym światłem księżycy.

- Tam jest jeszcze jedna - szepnął Rest, przyklejony do drugiego okna. Szczeniak ścisnął pod pachą naszą kuszę, i miałam szczerą nadzieję, że miała ona ustawiony bezpiecznik. Szkoda, że nie przyszło nam do głowy zrobić paru dziur w okiennicach, moglibyśmy spróbować raz czy drugi strzelić do stwora póki tak siedział sobie w miejscu i demonstracyjnie czyścił piórką.

- Widzę.

Raskwyr usiadła wprost na śniegu. Kilka razy podskoczyła, kreśląc na nim krzywą linię swoim wężowym ogonem. W zamyśleniu wydziobała coś spod przewróconej miski, spojrzała na swoją koleżankę i krótko wrzasnęła coś ochryplym głosem, jak kotka wołająca kota.

Uderzenia skrzydeł zabrzmiały gdzieś z góry, wyglądało nu to, że trzeci ptak spróbował

usiąść na oblodzonej kalenicy, ale nie utrzymał się i ponownie uniósł w powietrze.

Na strychu jęklonie skrzypnęła okiennica, a po paru sekundach usłyszeliśmy miękkie ale ciężkie łupnięcie, jak gdyby ktoś upuścił worek z mąką. Deski sufitu lekko wygięły się pod ciężkim ciałem, a ze szczelin poleciał kurz.

Nastawiłam uszy i mimowolnie uniosłam wargę, w ostatniej chwili powstrzymując się by odpowiedzieć na słyszalne tylko dla mnie warczenie, z wściekłością wrzące w głębi kosmatego gardła. Ale spojrzałam na Virrę i powstrzymałam się.

- Weresie, tam jest kudłak.

Czarodziej zaklął krótko.

- Dobrze, jego biorę na siebie.

Kudłak nie miał nic przeciwko i z paskudnym chrobotem drapnął deski pazurami.

Wyjrzałam przez okno i wzdrygnęłam się - raskwiry siedziały na zrujnowanym płocie gęstym rządkiem, uderzając podobne do statecznych niosek w kurniku. Te spóźnione lokowały się na najbliższych drzewach. Okazuje się, że przy odrobinie chęci te stwory potrafiły latać bezdźwięcznie jak sowy.

- Jest ich już przynajmniej trzy tuziny.

Mrok nerwowo poruszył kącikiem ust, a ja oczami duszy zobaczyłam zirytowane machnięcie pokrytego łuską ogona. Weres uniósł się na palcach i lekko stuknął paznokciem w szkiełko wiszącej pod sufitem lampki, która posłusznie odpowiedziała słabym płomykiem.

- Szel, będziesz zmieniać postać? - szeptem zapytał czarodziej.

- Nie. Tylko wystraszę dzieci. Nie wspominając o tym, że półtora łokcia stali to znacznie lepszy środek na pomroki niż trzy tuziny kłów. - Uznałam, że w tym momencie nie ma już co ukrywać i wyciągnęłam darkan, opleciony chmielem od góry do dołu - nic tylko piwo z niego warzyć. Virra natychmiast wyraziła zainteresowanie, ale rzuciłam jej takie spojrzenie, że dziewczynka uznała, iż zaspokoi swoją ciekawość na odległość. A juści, wystraszę ją! Nawet o kudłaku zapomniała.

Niestety, on o nas nie zapomniał.

- Co on robi? - Mrok uniósł głowę i z namysłem obejrzał rytmicznie drżący sufit. Kudłak ze skupionym sapaniem skakał w jednym i tym samym miejscu, nie próbując nawet znaleźć wyjścia ze strychu.

- Cholerrra! - Obiema rękoma ścisnęłam długą rękojeść darkana, ponieważ raptem zrozumiałam, dlaczego z góry tak mocno załatywało próchnem i zgnilizną: strzecha nie została odpowiednio przełożona, poddała się jesiennym deszczom, które nadwyrężyły również starą powałę, która dożywała teraz ostatnich miesięcy.

A raczej sekund.

Razem z nią z identycznym hukiem zawałił się nasz plan trzymania obrony w kole, plecy do pleców. Podłoga na strychu pokryta była grubą warstwą lnianych łusek na wpół ze strzępami schnących pod belkami wiązek fasoli oraz mysimi bobkami, tak więc pojawienie się kudłaka wyszło niezmiernie efektownie. Razem z nim oraz lawiną śmieci na nasze głowy spadła kupa zbutwiałych szmat, wyrzuconych na strych, a następnie tam zapomnianych, dziecięce łóżeczko, kilka pudów przełożonych słomą jabłek i chyba donica, która rąbnęła o podłogę rozlatując się na chmarę kolorowych skorup. A razem z nimi na różne strony poleciliśmy i my. Przez kilka sekund w izbie nie było nie tylko nic widać, ale też niczym oddychać, nawet przez rękaw kurtki, a jedynymi dźwiękami, które przebijały się przez hałas zlatujących w dół śmieci było kichanie, stłumione przekleństwa i oburzony kaszel kudłaka. Kopnęłam na oślep

I najwyraźniej trafiłam, choć nie byłam gotowa założyć się że właśnie jego.

Kurz powoli zaczął osiadać, nie ukazując nic pocieszającego: Weres z bohaterskim wyrazem twarzy groził mieczem zakopconej dziurze pieca, a kudłak z zapalem wgryzał się w stojący przy progu walonek. Przeciwnicy natychmiast opamiętali się i odwrócili do siebie. Potwór machnął łapą jak kot, trafiając pazurami w zwinnie nastawione ostrze, ryknął z pretensją i już ostrożniej zaczął krążyć dookoła czarodzieja. Miecz jak strzałka kompasu kręcił się jego śladem, jednocześnie kreśląc płynne ósemki. Kudłaka ten fakt wyraźnie denerwował, podczas gdy czarownik

zachowywał spokojny a nawet znudzony wyraz twarzy, który co prawda nie oszukał ani mnie, ani jego przeciwnika. W pełni skupiony i napięty mężczyzna gotów był do odbicia następnego ciosu i, jeśli się uda, przejścia w tej samej sekundzie od obrony do ataku.

Oczywiście mogłam złapać Weresa za słowo i stać z boku z założonymi rękami, ale uznałam, że ani czarodziej, ani kudłak nie mieli za sobą ślubów rycerskich. Tak więc żaden raczej nie powinien być urażony, jeśli wtrącę się do ich pojedynku. Tym razem wycelowałam dokładnie, częstując odpowiedniego osobnika kopniakiem w tyłek. Zaskoczony potwór wykonał susa do przodu, równocześnie odruchowo oglądając się do tyłu. Dokładnie tak, jak się spodziewałam, czarodziej nie robił z siebie pośmiewiska i nie ryknął z oburzeniem: „Nie wtrącaj się, jest mój!”, tylko ciął paskudę w odsłoniętą szyję.

Zabicie kudłaka jednym ciosem wcale nie jest proste, tym bardziej, że mimo wszystko udało mu się w ostatnim ułamku sekundy cofnąć łeb i zachować go na karku. Z rozciętego do połowy gardła lunęła krew, w tchawicy zachlupotało, ale śmiertelnie ranny stwór, odrzuciwszy całkowicie już nieprzydatny instynkt samozachowawczy, zrobił się podwójnie niebezpieczny i zaatakował na oślep. Weresowi udało się uchylić, podczas gdy zakrwawiony miecz kończył zakreślać łuk, następnie złapał pierwsze co trafiło mu pod rękę, czyli stojącą na piecu żeliwną patelnię, i walnął kudłaka przez łeb.

Sądząc z dźwięku czaszka potwora też miała coś wspólnego z żeliwem. Patelnia zawibrowała i odskoczyła tak, że prawie walnęła w nos samego czarodzieja, a gdy pośpiesznie ją upuścił, z brzękiem zatańczyła na podłodze. Zwierz szaleńczo pokręcił łbem i na chwilę zapomniał o podstawowym przeciwniku, rzucając się na najbliższą osobę. Virra z piskiem zanurkowała pod stół, przepęłzła pod nim na czworakach, wyskoczyła z drugiej strony, po czym schowała się za plecami Mroka. Kudłak natomiast nie zmieścił się pomiędzy nogami, utknął pod stołem i pobiegł dalej razem z nim, teraz dla odmiany w moim kierunku.

Powiem szczerze, gdybym wcześniej nie umiała biegać po ścianach, to przy tej okazji bym się nauczyła! Zrobiłam salto w powietrzu, wylądowałam za stołem i z pasją wymierzyłam kolejnego kopniaka w sterzący spod niego ogon. Kudłak zachrypiął z wściekłości i nawet zaczął się odwracać, ale ponownie natrafił spojrzeniem na Weresa, który jak gdyby nigdy nic stał na środku izby plecami do niego. Głowa czarodzieja była opuszczona, obie ręce zaciśnięte na jelcu skierowanego do dołu miecza. Też sobie, kretyn jeden, znalazł czas na medytację!!!

Kudłak ocenił umiejętności umysłowe przeciwnika identycznie i bez wahania rzucił się do ataku.

Weres się nie odwrócił. Nawet się nie obejrzał. Jedynie wyprysnął w górę jak sprężyna, z lekkością unoszącego się do lotu ptaka unikając kłapiącej paszczy. Włosy niczym czarna aureola uniosły się dookoła jego głowy i ponownie spadły na ramiona, gdy czarodziej wyprostował się na całą wysokość stojąc już na stole, wysoko uniósł miecz i wkładając w cios całą do tej chwili ukrywaną wściekłość wpakował klingę w szczelinę pomiędzy deskami blatu. W izbie zabrzmiał pełen boleści, prawie ludzki jęk bestii. Stół stanął dęba zrzucając Weresa, po czym natychmiast padł nóżkami i łapami do góry. Te ostatnie kilka razy konwulsyjnie wierzgnęły, po czym zgięły się i zastygły.

- Nienajgorzej - podsumowałam z odcieniem zawiści.

Ciężko dyszący czarodziej bez słowa skinął głową i odrzucił włosy z twarzy. Kulejąc podszedł do trupa, przetoczył go z wysiłkiem i wyciągnął czarny od krwi miecz. Z roztargnieniem poszukał spojrzeniem czegoś do wytarcia klingi, ale nie zdążył. W dziurze nad nami, nadal jeszcze zasnutą kurzem, coś wrzasnęło, zakotłowało się, pojawiły się jasne pióra, drapieźnie otwarte dzioby i połyskujące szpony.

- Rest, kusza! - pisnęłam, skacząc do tyłu i ukośnym ciosem odcinając skrzydło najbardziej rzutkiego ptaszka. Czas akurat odpowiedni, by unieść broń i strzelić w dziurę - mimo najlepszych chęci nie sposób nie trafić.

Dzieciak bez namysłu złapał broń za łączysko i z całej siły walnął najbliższego stwora w dziób. Do góry poleciały pióra, a w dół odłamki drewna.

- Kretyn!!!



Zresztą, na załadowanie broni i tak nie było czasu. Pocięta przeze mnie „wrona” ani myślała się uspokoić. Zamiast tego spróbowała dziabnąć Mroka w nogę. Smok przydepnął ją ze wstrętem, jak karalucha, po czym kopniakiem odrzucił w kąt. Nawet tam nie zdechła od razu, tylko jeszcze przez kilka chwil szeleściła po podłodze ocalałym skrzydłem i kłapała zębątem dziobem, próbując dopełznąć do kulającej się pod ścianą Danki. Dziewczyna niezbyt skutecznie, ale skrupulatnie machała mieczem, trzymając raskwyry na dystans. Miejsce, w którym schowała się Virra określiłam wyłącznie na podstawie bełtu, który wyleciał spod pieca. Dobra dziewczynka. Stwór, trafiony w oczodół i przyszpilony do ściany nadal wił się i tłukł skrzydłami, tyle że jego wrzaski zmieniły się w desperacki isticie szczurzy pisk. Inna raskwyra, która próbowała pomścić towarzyszkę, natychmiast oberwała polanem w dziób i z oburzoną wrzaskiem odskoczyła wprost pod miecz Weresa.

O dziwo, stado prawie nie zwracało uwagi na półelfki, czyli długo wyczekiwana i smaczną zdobycz, zamiast tego skupiając się na naszej trójce. (Rest gdzieś zniknął i miałam nadzieję, że raskwyry go nie dopadły).

- Uważajcie na ogony! - Nieco poniewczasie wrzasnął Weres, kucając i przepuszczając nad głową nadmiernie rozpedzonego stwora, który wpadł między stojące na piecu garnki i z hukiem zwałił je na podłogę. Mrok, dodając sobie odwagi wojowniczymi wrzaskami, wykonywał coś w rodzaju rytualnego tańca górali z dwiema krótkimi klingami, które otoczyły go prawie nieprzeniknionym kokonem ze srebrzystych kresiek. Większość raskwyr rozsądnie go omijała, a te najodważniejsze bez sił zwiły się na podłodze. W sieni z rzeniem miotały się kelpie. Żeby tylko nie udało im się wyważyć drzwi, bo zginą i one i my.

- Czemu?

Czarodziej nie zdążył odpowiedzieć. Kolejna lecąca w moim kierunku raskwyra w ostatniej chwili zwinnie skręciła w bok i z rozmachem uderzyła mnie w twarz ogonem, używając go jak bata. Srebrnego i w dodatku rozżarzonego do czerwoności.

Zawyłam i mało nie upuściłam darkanu, zginając się w pół i zasłaniając dłonią oślepięte oko. Miałam wrażenie, jakby koniuszek ogona tego ptaszyska oderwał się niczym żądło u pszczoły i wściekle wbijał mi się przez oczodół do mózgu.

Przeklęty stwór, ten sam albo jakiś inny jego kompan natychmiast próbował skorzystać z okazji. Czarownik spojrział w moim kierunku i bez namysłu machnął swobodną ręką. Dziobata paszcza szczęknęła tuż przy moim gardle, a krzyk Weresa zlał się z pełnym niezadowolenia i szybko urwanym wrzaskiem raskwyry, która walnęła o piec z taką siłą, że gdy czarodziej rozwarł pięść, nie spadła na podłogę, tylko powoli spelzła, rozczapierzona jak rysunki na tarczach herbowych. Za mną coś runęło z gruchotem, krótko pisnęła Danko, ale odwrócenie się, a nawet myślenie o tym było w tej chwili ponad moje siły. Gdyby w tej chwili ze strychu zeskoczył następny kudłak, miałby zapewnioną łatwą przekąskę. Ale krzyk się nie powtórzył, za to stwory zaczęły wrzeszczeć jeszcze głośniejsze, podwajając wysiłki jakby ktoś kazał im się pośpieszyć.

Weres niemrawo odgonił mieczem kolejną raskwyre, po czym wziął kilka głębokich oddechów przez desperacko zaciśnięte zęby i ponownie z uporem rozprostował ramiona. Ból ucichł tak niespodziewanie, że nie zdołałam powstrzymać histerycznego śmiechu. Nadal nic nie widziałam na prawe oko, a połowa twarzy do tego stopnia straciła czucie, że na moment zwątpiłam czy nadal jest na swoim miejscu. Pies z nią tańczył, potem będę się martwić! Wyprostowałam się i zrewanżowałam czarodziejowi, w locie strącając paskudę, celującą w czubek jego głowy. Zamiast tego spadła mu na ramię. Uskoczył w bok i szybko spojrział do tyłu. Ironicznie zaszalutowałam mu darkanem, mało co nie przegapiwszy nowego ciosu raskwyrowym ogonem. Nauczona smutnym doświadczeniem błyskawicznie zasłoniłam się ramieniem. Coś syknęło, na skórzanym rękawie pozostał czarny pasek, a na mieczu czerwony, nie wiadomo już który z kolei.

Zaczynałam mieć wrażenie, że to szaleństwo nigdy się nie skończy. Wydawało się, że z każdym kolejnym zabitym potworem, nie robiło się ich mniej, tylko więcej. Ale ostatecznie raskwyrom również się znudziło. W jednej chwili zaprzestały ataku, całym stadem uniosły się pod sufit i hałaśliwie się wyklócając i zderzając jak zwykle wrony, pogonione z pola pszenicy, wyleciały przez dziurę. Jedna, najbardziej bezczelna, na kilka sekund zatrzymała się przy wywróconym

chlebaka, chwyciła w dziób ostatni driadzki placek i razem z nim ciężko machając skrzydłami podążyła śladem towarzyszek.

- Już rano... - Weres, stojący z mieczem najbliżej okna uchylił okiennicę, wpuszczając do domu różowawe światło mroźnego poranka.

- I co? - spytałam z niedowierzaniem, nie śpiesząc się by opuścić darkan. - Jeżeli to paskudztwo tak bardzo boi się światła, to po kiego lepszego rozpoczyna polowanie na kwadrans przed wschodem słońca? Kiedy w takim razie ma jeść?

- Rakswyry nie przepadają wyłącznie za bezpośrednimi promieniami, więc miałyby godzinę czy dwie na posiłek. Ale jeżeli atak nie kończy się powodzeniem po paru minutach, zwykle się wycofują. - Czarodziej ze zmęczeniem otarł czoło wierzchem dłoni, rozmazując po nim własną i cudzą krew. Każde z nas trochę oberwało, a pokryte plamami kurtki idealnie nadawały się do ukrywania w trzcinach. Któraś z rakswyr zdołała trafić Mroka ogonem w sam czubek nosa, który teraz przypominał pomidora, godnego oblicza najbardziej zawziętego pijusa.

Z drżeniem zmusiłam się by zajrzeć do odłamka lustra, które jak samotny kiel sterczało w przekrzywionej ramie. Na ukos przez twarz biegła mi czarnokarmazynowa opuchnięta krecha szeroka na dwa palce, która osobiwie ni to bolała, ni to swędziała. Ostrożnie dotknęłam palcem opuchniętych i szczelnie zwartych powiek na prawym oku. Gałka oczna pod nimi chyba ocalała, akurat zdążyłam wtedy odruchowo mrugnąć.

- Czy one są trujące?

- Raczej parzące. Rakswyry nie mają trucizny jako takiej. Ból i opuchlizna powinny minąć za parę godzin. - Weres trzymał lewą rękę jak pies chorą łapę, podkuloną i lekko odstawioną, żeby przypadkiem niczym jej nie dotknąć. - Ale jeszcze przez kilka dni zostanie ślad.

- Wspaniale - burknęłam, wyobrażając sobie siebie w czarnej korsarskiej przepasce do pary ze smokiem.

Przyszpilony do ściany stwór jeszcze słabo się poruszył. Mrok wyciągnął bełt razem z nim i ze wstrętem wyrzucił przez okno. Nogi ślizgały się w kudłacej krwi - z trudem dawało się znaleźć kawałek wolnej podłogi pomiędzy rozrzuconymi sprzętami, „zapasami” ze strychu i truchłami rakswyr, które teraz wyglądały na małe i żalodne. O dziwo, pokryta kurzem i plamami krwi lampka nadal się paliła. Kilka piór, które wleciały do środka kopciło i śmierdziało na potęgę. Pod piecem oprócz Virry jakimś cudem zmieścił się Rest, który teraz akurat próbował się stamtąd wydostać, chwilowo bez skutku.

Za drzwiami konie strachliwie parskają i tupają kopytami.

Obeszłam stół i jeszcze raz przekonałam się, że kudłak zdechł ostatecznie i nie sprawi nam żadnych niespodzianek. A żeby was wszystkich...

- Weres, chodź no tutaj - zawołałam bezbarwnym głosem.

Nie tylko czarownik usłyszał mnie i zrozumiał. Rozpoczynająca się nieśmiała wymiana wrażeń i próby żartowania natychmiast ustały.

Dziś w nocy pomrokom udało się jednak nasycić pierwszy głód. I nie tylko. Weres westchnął ze smutkiem, pokręcił głową, schował miecz do pochwy i przykucnął.

- Bądź tak miła i otwórz mi drzwi.

W milczeniu posłuchałam. Przeciąg błyskawicznie zabrał ze sobą ostatnie okruchy ciepła, ostatecznie zmieniając kiedyś solidny i przytulny dom w martwą, obcą ruinę.

Czarodziej ostrożnie podsunął ręce pod delikatne bezwładne ciało, podniósł je i ruszył w kierunku lasu. Za nim ciągnął się łańcuszek karmazynowych kropli. Najpierw gęsty. Potem coraz rzadszy.

W końcu się urwał.

Virra nie płakała, a tylko schowała twarz na moim biodrze i cicho sapała.

- Mała, idź się pakować - rozkazałam zdecydowanie w ostatniej chwili cofając rękę od złocistych kędziorków. Inaczej na pewno by się rozryczała. - Rest, wyprowadzaj konie, Zabieramy się stąd, i to szybko.

## Rozdział 9

Nikt nie pytał gdzie Weres chodził i co robił. Nikt też nie wątpił, że do ciała dziewczyny nie doborą się żadne leśne ścierwinki. Nad drzewami zaśnieżyła bladoliliowa zorza, rozległ się ciężki chrzęst, jak gdyby jakiś wielkolud rozdierał zamrożony pień drzewa, a po dziesięciu minutach czarodziej wrócił do chatki, słaniając się na nogach. Sam. Położył dłoń na końskim karku i tak zamarł z opuszczoną głową, odruchowo tarmosząc palcami śnieżnobiałą grzywę, jakby próbował opanować mdłości. Mrok nawet zrobił krok w jego kierunku, ale Weres usłyszał go, niezłomnie stanął prosto i sam wskoczył na siodło.

Virra wyciągnęła na próg węzełek ze swoimi rzeczami i jak szara myszka zamarła przy ganku. Do jej rozczochranych włosów już zawitał śnieg, czubek lewego buta z na wpół oderwaną podeszwą przewięzała sznurkiem. Na plecy zarzuciła łuk i kołczan, do pełna wypchany strzałami z pasiastym opierzeniem, a u paska powiesiła kuszę.

Mrok zapraszająco poklepał dłonią po kolanie:

- Władz do mnie, pojedziemy z wiatkiem!

Ale dziewczynka założyła ręce za plecy i cofnęła się ze skrępowaniem. Obrzuciła jeźdźców ostrożnym błękitnym spojrzeniem, z jakiegoś powodu zatrzymując się na mnie.

- Naprawdę jesteś wilkołakiem?

- Naprawdę - burknęłam nie patrząc na nią i wyrównałam długość wodzy.

- A... nie zjesz mnie?

- Tylko jeśli skończy nam się szynka - zapewniłam poważnie. - Jedź z Mrokiem, będzie spokojniej.

- Nie, z tobą. - Mała wyciągnęła do mnie czerwone od mrozu rączki, ale po prostu złapałam ją za kark i z łatwością wciągnęłam na siodło przed sobą. - Oj, jesteś taka silna! To dlatego, że zjadasz ludzi?

- To dlatego, że ty jesteś taka malusia. Schowaj ręce do rękawów, bo ci całkiem odpadną.

Dziewczynka posłuchała. Najpierw niepewnie, a potem już swobodnie przycisnęła do mnie plecy, grzejąc się i grzejąc. Mrok zwinnie pochylił się z siodła, złapał pakunek z jej rzeczami i załadował na swoje bagaże.

Więcej nic nas tu nie zatrzymywało.

W nocy spadł lekki śnieg, który zatarł ślady i poplątał ścieżki, więc mężczyźni bez sprzeciwu oddali mi pozycję lidera. Miałam mocne podejrzenie, że zwyczajnie mieli w planach znalezienie winnej za kolejne zabłądzenie między trzema sosnami. Prosta i pewna droga do skraju lasu poważnie ich rozczarowała.

Restowi prawie natychmiast zaczęła opadać głowa i nawet zamierzał zdrzemnąć się w siodle, ale słysząc moją złośliwą uwagę o tym, że „niemowlęta na świeżym powietrzu zawsze dobrze śpią” otrząsnął się i teraz w skupieniu wpatrywał się w monotony i rzeczywiście usypiający krajobraz.

Po wydostaniu się z lasu ja i Weres zamieniliśmy się miejscami. Ponownie znalazłam się w ogonie kolumny i z braku innych zajęć zaczęłam obserwować ogony właśnie. Coś w końskich ruchach wydało mi się dziwne, zbyt zgodne i opracowane.

Obejrzałam się za siebie. A to dopiero! Okazało się, że kelpie zgrabnie szły po swoich własnych śladach, w skutek czego łańcuszek śladów wyglądał jakby należał do jednego konia, i to idącego bez jeźdźca.

- Ciekawe po co to robią, skoro śnieg i tak doskonale je trzyma i nie ma potrzeby oszczędzać sił? - zdziwiłam się na głos.

- Instynkt. - Weres w pośpiechu przelknął coś, co ukradkiem przeżuwał przez ostatnie dziesięć minut. Nie no, kochany, jeżeli na postoju nie doliczymy się sucharów, których i tak mamy na styk, to już my ci urządzimy bal! - Kelpie to istoty skłonne do żartów, ale równocześnie ostrożne. Na suchym łądzie czyha na nie tyle samo wrogów, co na zwykle konie, więc korzystają z zajętych sztuczek. Wyobraź sobie, idziesz śladem, a on się nagle rozdziela na trzy! Taka zagrywka zbije z pantałyku każdego drapieżnika, a już tym bardziej człowieka. Albo wręcz przeciwnie: jeżeli trzeba przedostać się przez nieznany i prawdopodobnie niebezpieczny teren, szanse, że ktoś zauważy pojedynczy ślad są trzy razy mniejsze niż w przypadku trzech.

- Biedne koniki, w nocy przeraziły się prawie na śmierć, nijak nie mogą dojść do siebie. - Mrok protekcyjnie poczochnął kobylę po szyi. Ta, niezmiernie zdziwiona takim wyrazem uczuć jeźdźca, który do tej pory wyłącznie kłął i poganiał, zmyliła krok, zostawiając dodatkowy ślad. Smok zachwiał się, a kobyla, słysząc zwykły komentarz, ponownie ze spokojem opuściła pysk.

- No tak, ale pewnie nie bardziej od ciebie - złożyłam fałszywe wyrazy współczucia.

Mrok uznał, że odpowiedź na takie stwierdzenie jest poniżej jego godności (czyli nie wymyślił nic podobnie jadowitego), pogardliwie siąknął czerwonym nosem, odwrócił się i zamarł w siodle z nienaturalnie wyprostowanymi plecami. Wypisz wymaluj jak bohater z legendy, wracający rano z karczmy trzymając pod pachą głowę jakiegoś potwora, którą rozsądnie zgarnął jeszcze wieczorem, by napotkani przechodnie nie pomylili godnego szacunku bojowego zmęczenia z kacem. Popędziłam ogiera obcasami i wyminęłam smoka z beznamiętnym wyrazem twarzy, po drodze złośliwie rechocząc przez zaciśnięte wargi, że niby znamy takich bohaterów! Mrok gniewnie się otrząsnął, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, już wyprzedziłam jego kobylę i zrównałam z czarownikiem.

- Weresie, przecież zamierzaliśmy zawieźć dziewczynki... Virrę do ludzi. A najbliższa wieś została o tam. - Machnęłam ręką na prawo. Szczerze mówiąc również nie miałam ochoty jeździć w kółko po bezdrożach, a potem przez kolejne pół dnia szukać Jesionowego Grodu. Ale przecież obiecaliśmy!

Zapytany odruchowo prześledził mój gest, lecz wstrzymał się od klepania w czoło i zawracania konia. Ograniczył się do wyciągnięcia ręki i współczującego dotknięcia złocistych włosów dziecka, przy okazji poprawiając małej kaptur, który prawie spełził na ramiona. Virra zwinęła się w kłębek jak dziki kociak - nic tylko zaraz syknie i machnie uzbrojoną w pazurki łapką.

- Mało prawdopodobne, by ktoś ją przygarnął. Szczególnie w zimie, gdy chłopom własne dzieci często płaczą z głodu. A ona jest za mała do pracy. Może gdybyśmy zapłacili... ale po pierwsze nie mamy czym, a po drugie jeżeli gospodarz okaże się nieuczciwy, to nie będzie jej miał kto obronić.

- I co proponujesz?

- Jest w połowie elfem, może chętniej przyjmą ją w Jesionowym Grodzie.

- Nie! - pisnęła mała niespodziewanie.

- Co „nie”? - sprecyzowałam groźnie.

- Nie chcę do elfów! - powtórzyła Virra lekko ochryłym ale upartym głosem.

- Ciebie, drobiazgu, nikt nie pyta. Zaraz wezmę, zsadzę z konia i będziesz szła pieszo.

- No to będę!

- A idź sobie. Do pierwszej wilczej nory. Chociaż na ciebie to i borsuk wystarczy.

- Borsuki w zimie śpią!

- Nie martw się, na twoje powitanie się obudzą.

- A ja mam łuk, o! Ojej...

Granica skończyła się niespodziewanie. Jeszcze chwilę temu wydawało się, że sięga samego horyzontu, ale nagle pozostały do niej kawałek rozplątał się we mgle i obleciał w dół lodowymi igielkami, jak oddech na mrozie.

- Robi wrażenie - przyznał Weres po dłuższej pauzie, trącając konia obcasem. - Jakie to elfie: zaklęcie powinno być przede wszystkim efektowne, nawet jeśli jest to banalne kilka słów na likwidację pryszczy.

- I co, pryszcze też tak opadają? - zdziwiłam się.

- Nie, zmieniają w motylki i pierzchają na różne strony odparł czarownik z powagą. -

Wygląda to zaklęcie naprawdę

fascynująco, tylko rzucanie go trwa dłużej i wymaga trzy razy więcej mocy. Tak więc błędy w nim również zdarzają się dużo częściej, przykładowo wychodzą karaluchy zamiast motyli.

- Oj tak, tamta klientka wcale nie była zadowolona - zarechotał Mrok, ustawiając swojego wierzchowca w jednej linii z naszymi. - Pewnie do końca życia nie będzie oszczędzać na zdrowiu, zapraszając adeptów starszych roczników zamiast dyplomowanych znachorów!

- Każdy adept lubi się wykazać, przeceniając swoje siły przy kontrolowaniu żywiołów. - Weres bynajmniej nie wyglądał na zażenowanego. - Zanim na ściany nośne Szkoły Czarodziejstwa w Starminie nałożono zaklęcia gaszące magię, rozpadała się na kawałki średnio kilka razy w miesiącu. Teraz rujnacja ogranicza się tylko do sufitów i tynku.

- A teraz umiałbyś coś takiego zrobić? - Z fascynacją śledziłam jak granica, wzdłuż której jechaliśmy już po stronie elfów rozplywa się w miarę naszej jazdy, równiutko z ogonem ostatniego konia.

- Oczywiście, u swoich podstaw elfia magia niczym nie różni się od ludzkiej. Tylko po co? Wolę prostsze, ale pewniejsze zaklęcia.

No cóż, dla ciebie to może najzwyczajniejsza sprawa i robienie pokazówki, ale ja nie potrafiłam obojętnie wyminąć takiego cudu. Najpierw przytrzymałam ogiera, puszczając go stępą tuż przy samych drzewach i razem z Virrą - obie z identycznym zachwytem - obserwowałyśmy, jak gałązka po gałązce topnieje iluzja jarzębinki, a równocześnie jej cień na śniegu. Potem zmusiłam konia do cofnięcia się, ale drzewo nie pojawiło się z powrotem. Dalej, w odległości jakichś dziesięciu sążni zauważyłam nasze ślady, prowadzące w przeciwnym kierunku. Ciekawe, czy dałoby się do nich podjechać?

Okazało się, że dało się jak najbardziej, tylko nie był tu najlepszy pomysł. Granica wyrosła jak gdyby spod ziemi, przy czym tak samo jak poprzednio sięgała aż po horyzont. Oszczędzając uszy dorastającego pokolenia chciałam ograniczyć się do zirytowanego warknięcia, ale Virra bardzo szybko zorientowała się co i jak, po czym donośnie skomentowała:

- No to ghyr!

- Całkowity - zgodziłam się, odkładając wykład o kulturze wypowiedzi na później, kiedy okoliczności będą bardziej sprzyjały wspomnianej kulturze. Mimo wszystko spróbowałam przekroczyć granicę w tym samym miejscu, ale nic z tego, nie udało mi się odnaleźć nawet zostawionych w poprzek niej śladów. Tak więc musiałam ponownie trząść się w siodle do końca iluzji i galopem doganiać towarzyszy.

Tyle dobrego, że nie zajechali daleko, stali i czekali na nas.

- I jak spacerek? - spytał Mrok złośliwie.

- Nie ma to jak świeże powietrze - odparłam radośnie, starannie demonstrując zachwyty, choć tak naprawdę miałam już tego wszystkiego powyżej uszu. - A granica jest jednostronna, sobie elfy nie chciały komplikować życia!

- Wątpię, by chodziło im właśnie o to. - Weres z namysłem zmrużył oczy i patrzył gdzieś daleko do przodu, gdzie wisiał samotny ptak gęsto machając skrzydłami nad samą granicą. Z takiej odległości dawało się dostrzec tylko tyle, że był całkiem spory. Wielkości raskwiry. A czarodziej mówił, że one nie znoszą dziennego światła. Strach ma wielkie oczy, pewnie to zwykły kruk, który z uporem próbuje przelecieć przez las, który wyrósł nie wiadomo skąd, ale ku swojemu zdumieniu nie rusza się z miejsca.

Jak gdyby czując nasze spojrzenia ptak złożył skrzydła i spadł w dół niczym kamień. Czarodziej opamiętał się i wyjaśnił:

- Jeżeli elf przejdzie na drugą stronę, to tak czy siak będzie musiał wracać okrężną drogą. A driady nie muszą tracić czasu na drogę powrotną, więc obie strony znajdują się w identycznej sytuacji. Nie, wygląda na to, że elfy tworzyły granice licząc na to, że w ogóle nie będą jej przekraczać. Ale bardzo wygodnie wyrzuca się przez nią nieproszonych gości - wrócą tylko ci najbardziej uparci.

- Coś czuję, że zaraz sprawdzimy to na sobie... - westchnął Mrok prowokacyjnie, mając

nadzieję, że wciągnie Weresa w kolejną dyskusję odnośnie zdrowego rozsądku a raczej smutnej kwestii jego braku w naszej drużynie, jednak czarodziej nie sprawił mu tej przyjemności, przedkładając praktykę nad teorię - czyli w milczeniu pogonił konia.

Słońce wschodziło tak powoli i niechętnie, jakby ktoś siłą wypychał je zza horyzontu niby psa podwórzowego z ciepłej budki. Utkwiło w połowie i sterczało tam przynajmniej pół godziny, aż zmieniło alarmująco karmazynowy kolor na pomarańczowy, który wcale nie wyglądał milej. Nocne mrozy ustąpiły, ale nigdzie nie zniknęły, gotowe by wypełznąć z cieni Tym niemniej osiem wiorst w odwrotnym kierunku wydały się nam znacznie krótsze niż te wczorajsze - z jednej strony za dnia jechało się weselej, z drugiej świadomość, że połowa drogi została z tyłu przyjemnie grzała duszę. To jak żucie kromki chleba: do połowy wydaje się prawie cała, a potem człowiek parę razy ugryzł i już jej nie ma. A skoro już mówimy o chlebie...

- Weresie - spytałam wyjątkowo czułym tonem. - A co tam tak smakowicie chrupiesz?

Zapytany zakrztusił się, poklepał po piersi i ochryple poskarżył:

- Sznel, no coś ty, to tylko zęby szczękają mi z głodu!

- A jeśli to nie tajemnica, to o co szczękają?

- O fciebie nafwajem - niewyraźnie poinformował mnie czarownik, przesuwając coś spod prawego policzka pod lewy.

- Jeszcze powiedz, że zaczęły wypadać z głodu! W takim razie daj nam również po sucharku, bo nie da się na ciebie patrzeć, a przecież my również jesteśmy bez śniadania.

Weres z pokornie smętnym wyrazem twarzy ograbionej sierotki rzucił mi chudziutki worek, w którym znalazłam jeden-jedyny suchar, a i to przypalony.

- Już ja ci, żarłoku, jeszcze kiedyś powierzę cokolwiek jadalnego! - zakląłam, oddając go Virrze. A już prawie czułam smak chleba na języku! Solidna porcja śliny stanowiła mierną namiastkę.

Dziewczynka nie skarżyła się, odgryzając od chleba malutkie kawałki, by przedłużyć przyjemność. Koniec wiszącego za jej plecach łuku natrętnie stukał mnie w brodę, więc ostatecznie nie wytrzymałam i mimo oburzonego pisku odebrałam groźną broń i wpakowałam ją do wiszącej przy siodle torby - na ile się zmieściła. Teraz łączysko waliło mnie po biodrze, ale to było do zniesienia.

- A jeśli ktoś na nas nagle wyskoczy?! - jęczała mała, smętnie patrząc na swój obecnie niedostępny środek zastraszania borsuków. Kuszę już jakiś czas temu oddała Mrokowi, bo piastowanie jej na kolanach w siodle i równocześnie trzymanie się lęku było zbyt niewygodne.

- Jak wyskoczy, to podskoczy. Czego się kręci?

- Nogi mi zdrętwiały...

- Zegnij je i zaprzyj się podszwami o popręg. Nie, nie o moje kolana! Właśnie tak.

- A teraz się ślizgają!

- Przecież powiedziałam, zaprzyj się.

- Ale i tak jest mi niewygodno...

Schyliłam się do lewej torby, powoli w niej pogrzebałam i w zamyśleniu mruknęłam pod nosem:

- Ot leszy, a szynki zostało nam tylko pół funta.

Virra natychmiast przestała marudzić, co w pełni mnie usatysfakcjonowało.

Gdy przed nami pojawił się Jesionowy Gród, Weres nieco skręcił w prawo. Zgodnie z jego słowami przy samej granicy nie było żadnego wjazdu do środka. Z daleka miejsce zamieszkania elfów niczym nie różniło się od zwykłego lasu: na jego skraju nie rosły jesiony, a krzaki dokładnie tak, jak powinny, zrzucały liście na jesieni, zamiast nich wkładając puchate śniegowe futerka. Różnicę dostrzegliśmy dopiero po godzinie, w ciągu której już dawno dotarlibyśmy do każdego innego lasu. A ten tutaj powoli stawał się większy, ale nawet nie przyszło mu do głowy by odsunąć się od horyzontu, przez co coraz bardziej przypominał górę, dla której wysokie na dziesięć sążni świerki były wyłącznie podnóżem.

„Niczego sobie lasek” - pomyślałam z mieszaniną zachwyty i niejasnego niepokoju.

Odwiedzając driady, rozsądnie obchodziłam granicę rozdzielania w odległości połowy wiorsty, ale

nigdy nie miałam potrzeby robić sobie spaceru i obiegać Jesionowy Gród od północy, więc elfia stolica była mi znana wyłącznie z opowieści znajomych. A ci, jak każdy podróżnik, ucziwie próbowali ubarwić widziane w innych krajach cuda - w tym przypadku bezskutecznie. Szczególnie gdy na środku pokrytego śniegiem lasu niespodziewanie pojawiły się dwie wysokie ażurowe wieże, tak delikatne i misterne, że wydawały się nie z trudem złożone kamyk po kamyku dwa tysiąclecia temu, tylko przed chwilą same z siebie utkały się z powietrza, jak szronowe wzory na szkle.

Virra ze zduszonym piśnięciem odwróciła się i schowała twarz na mojej piersi. Rest wręcz przeciwnie, westchnął z zachwytem i pochylił do przodu, prawie spadając z konia.

- Elfy są mistrzami iluzji. To jeszcze drobiazgi - wyjaśnił Weres spokojnie, na wszelki wypadek przytrzymując ucznia za pas. Mrok również ledwo co spojrział na Gród, pewnie nie raz latał nad jego czubkami, rozcinając skrzydłami obłoki.

- To one nie są prawdziwe? - Dzieciak z rozczarowaniem odwrócił się w kierunku mistrza.

- Są. Iluzją w danym wypadku jest pustka. Kiedyś w wolnym czasie porozmawiamy o zasadach i technice wykonania tego zaklęcia.

Im bliżej lasu podjeżdżaliśmy, tym więcej iglic pojawiało się w miejscu czubków drzew. Jako ostatni płynnym półkręgiem wyrósł biały kamienny mur, zamykając się sprzączką bramy akurat naprzeciwko nas.

- Oho...! - gwizdnęłam. - Faktycznie, byle gdzie nie wejdiesz!

- Kiedyś była tu wyłącznie brama. - Czarodziej zmarszczył brwi. - Oraz wyraźnie symboliczne ogrodzenie, które całkowicie zanikało już po dwudziestu sążniach. Po licho im ten mur? Spodziewają się obłężenia przez driady? To śmieszne! Przecież one, jak daleko historia sięga, nigdy z nikim nie walczyły, chyba że jako niezależne najemniczki w cudzym wojsku. A jeżeli będzie potrzeba to każdy szpieg i tak przez niego przelezie.

- Nie jestem pewna. - Zmusiłam się by zmierzyć mur spojrzeniem z ukosa. W Wysiedlisku mieli chyba wyższy, ale kompletnie nie ciągnęło mnie żeby przełazić przez ten tutaj. Wręcz przeciwnie, na samą myśl wszystkie wnętrzości ścisnęły mi się w ciężką lepłą grudę i miałam straszną ochotę zawrócić konia, by nigdy więcej tego muru nie oglądać.

- Dlaczego?

- Nie wiem. On mi się nie podoba i tyle.

Przy innej okazji smok, który nadal nie odegrał się za ostatni docinek, wszystkimi czterema łapami uczepiłby się tak wspaniałej możliwości, by mnie wyśmiać, a i Weres pewnie wbiłby mi szpilkę czy dwie. Oni nawet w przybliżeniu nie czuli nic podobnego - owszem, pogubili się, zdziwili, ale tylko tyle. Na pewno nie udaloby im się oszukać mnie udawaną odwagą. Ale dokładnie z tego samego powodu nigdy nie wątpiłam we własne uczucia, a szczególnie w przecucia. Coś tu nie grało.

Słońce schowało się za chmurą, wykurzając zza niej rój śniegowych meszek, które zepsuły nastrój wszystkim po równo. Nieco przestraszone konie przy naszym całkowitym poparciu przeszły w stępa. Tego tylko brakowało, byśmy w pełnym galopie wpakowali się w jakiś rów albo zderzyli z budką strażniczą, którą uszaci na pewno ustawili gdzieś na końcu, żeby zrobić na nieproszonych gościach jeszcze większe wrażenie!

Ale kiedy pokonywaliśmy pozostałe do muru ćwierć wiorsty nic w zasięgu wzroku nie pojawiło się, ani nie zniknęło. Nawet gdy dotarliśmy na wyciągnięcie ręki.

- Skąd oni wzięli tyle kamienia? - Mrok zadarł głowę, oglądając podejrzenie pusty krenelaż. - Rozebrali Góry Grzebieniowe, czy jak?

- To nie jest kamień - zaprzeczył Weres stanowczo, dotykając muru.

- A co? - Ściągnęłam wodze w pewnej odległości od bramy, Mój wierzchowiec nie miał ochoty stać spokojnie, wygiął szyję i tańcząc cofnął się, całkowicie dzielając moje zdanie o nowoczesnym elfim budownictwie.

- Śnieg. Pod warstwą lodu. - Czarodziej demonstracyjnie naciął mur ostrzem noża, puszczając po nim strumyk skrzących się okrucichów.

Gwizdnęłam z podziwem.

- Nie mówcie, że zebrali tu wszystkich mieszkańców i lepili śnieżki?!

- Najpewniej po prostu postawili magiczną osłonę przed zamiecią, prasując spadający śnieg w jednolitą ścianę.

Bogate doświadczenie czarodziejskie Weresa go nie zawiodło: podłużne linie, które z daleka wzięliśmy za szczeliny pomiędzy kamieniami okazały się warstwami śniegu, po jednej na każdą minioną zamieć. Górna oślepiła świeżą bielą, dolna zdążyła zżółknąć i zleżeć się do solidności lodu. Śnieżynki tańczyły dookoła zębów krenelaża jak pracowite pszczołki, zlatując się do nich ze wszystkich stron. Mur nadal rósł, niezauważalnie acz nieprzerwanie.

A my nadal nie wykryliśmy śladu jej twórców.

- Może powinniśmy krzyknąć? - zasugerował smok niepewnie, wiodąc konia wzdłuż muru, i mając nadzieję, że zauważy jakąś niepozorną furtkę, która jest tym prawdziwym wejściem, a ta brama to tylko tak, dla niepoznaki.

- Robiąc z siebie pośmiewisko? - Czarodziej przekazał wodze Restowi i niezgrabnie zszedł z konia. Ukradkiem potarł zdrętwiały tyłek. - Bardzo wątpię, by wracające ze zwiadu czy misji handlowej elfy stały pod murem i darły się jakby je kto zjadał, póki ktoś nie usłyszy.

- Może noszą ze sobą drabiny - odcięłam się.

- Albo znają jakiś sekret? - dodał Weres z delikatną intonacją mentora, który pytaniami wspomagającymi popycha tępego ucznia w kierunku właściwej odpowiedzi.

- Yhym, nazywa się „klucz” - zgodziłam się chmurnie, po prostu, by coś powiedzieć. Na bramie nie było ani zamka ani zasuw. Tylko i wyłącznie srebrna wstęga z napisem, ciągnąca się wzdłuż górnej krawędzi.

- „Jeśli potrafisz, to wejdź” - przeczytał Weres, mrużąc oczy. - I jak mam to rozumieć?

- Jako uprzejmą wersję: „A idź ty sobie....” - zasugerowałam, nie mając nic przeciwko temu, by posłuchać owej instrukcji. Gdziekolwiek, byle dalej od muru nieprzyjaźnie szczerzącego śnieżne zęby.

- Szel, to stolica elfów a nie jaskinia trolli. Za nic nie powiesiliby nad wejściem takiego „powitania”. - Czarodziej z namysłem przeciągnął ręką po grubych prętach bramy, które niespodziewanie odezwały się melodyjnym dźwiękiem, niczym struny harfy. To też był lód, siwy, matowy, koloru pokrytej szronem stali. - To na pewno jakaś zagadka albo nawet pod powiedź. I gdy tylko ją odgadniemy, brama się otworzy.

- Aha, szczególnie jak postoiimy tu sobie do lata.

- Szel, przynajmniej ty nie bierz przykładu z Mroka! Starczy, że mamy w drużynie jednego pesymistę.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem pesymistką. Jestem zmarzniętą, zmęczoną i głodną optymistką. Słuchaj, a czy jego nazywają Mrokiem właśnie z tego powodu? - Przecież smok na pewno miał jakieś normalne imię, coś w rodzaju Nayrolrkkgkrolta, z całkiem zrozumiałych przyczyn zastąpione słowem bliskim znaczeniowo w języku ludzkim.

- Nie - rzucił Weres krótko, ponownie wbijając spojrzenie w napis. - Hm, mam takie wrażenie, że to coś jest jednolitym kawałkiem, na dokładkę sztywno przyspawanym do obu odrzwi.

Nie zsiadając z konia złapałam za jeden z prętów i niezbyt się przykładając potrząsnęłam bramą, która nie poruszyła się ani na styku, ani w zawiasach.

- A moim zdaniem one nie mają żadnych odrzwi, to tylko ułuda.

- Czego tu się kłócić? - Mrok wrócił z niczym, ale buńczucznie zeskoczył na ziemię, przerzucił wodze przez koński łeb i pańskim gestem wręczył Weresowi. - Zaraz przez nią przelecę i otworzę od wewnątrz, co to za problem?!

- Cóż, spróbuj - zgodził się czarodziej z lekkim odcieniem niedowierzania, odchodząc na bok. Ja również miałam pewne wątpliwości w kwestii skuteczności tak prostego rozwiązania. Albo ta pewna siebie jaszczurka utknie nad szczytem jak tamten kruk nad granicą, albo po tamtej stronie również nie będzie żadnej zasuw.

Mrok kilkoma machnięciami rozprostował skrzydła powodując, a Virra aż pisnęła z zachwytem. Smok cofnął się, zgiął szyję do ziemi i już zebrał się, by skoczyć, gdy mój niespokojny ogier po raz kolejny przestąpił z nogi na nogę. I przydepnął sam koniuszek smoczego ogona.



Lot został odwołany z przyczyn technicznych, a cała przygotowana do jego przeprowadzenia moc magicznym sposobem zmieniła się w coś, co raczej przypominało skomlenie kopniętego w zadek kundla, aniżeli szlachetny smoczy ryk. Razem z dźwiękiem z otwartej paszczy smoka wyleciał niebieski płomień, który dopiero w zetknięciu z bramą zabarwił się na pomarańczowo. Zwinnymi żmijkami wpełzł po lodowych prętach, które otuliły się syczącą parą i ściekły w kałużę przy wejściu, topiąc śnieg aż do samej ziemi. Srebrna wstęga, grzechocząc jak zwykła blacha, opadła na szyję smoka niczym wieniec zwycięzcy.

- Jesteście po prostu stworzeni do pracy w parze - zauważył Weres ze śmiechem, cmoknął na zapierającego się konia i poprowadził go przez otwarte przejście.

„Partner” skrzywił pysk i sapnął, przez co ja z obawą skuliłam się w siodle i pośpieszyłam za czarodziejem. Smok potrząsnął łbem odrzucając wstęgę, przycisnął skrzydła do korpusu i niezgrabnie pokuśtykał za nami.

Zamykająca pochód kobyłka Resta ledwo zdążyła przestawić przez próg przednie kopyta gdy dziwne trzaskanie za plecami spowodowało, że wykonała strachliwy skok do przodu, a my się obejrzelśmy.

Brama odrastała od nowa. Z czarnej lustrzanej tafli oblodzonej kałuży jedno za drugim kielkowały przezroczyście pnącza które ślepo macały powietrze w poszukiwaniu oparcia. Łapiąc się resztek prętów, rozgałęziając i przeplatając ze sobą nawzajem w kilka minut dotarły do górnej części muru i rozpełzły po nim w obie strony, mocując się i podciągając za sobą chaotyczną płataninę odrzwi. Gdy podstawowe prace związane z odbudową bramy zostały zakończone, pnącza-pręty wyrównały się, zgrubiały i najeżyły grotami, a nadmiarowe pędy soplami pospadały w dół. Wstęga dalej leżała na śniegu, brzęcząc z niezadowoleniem, gdy wiatr przetaczał ją z jednej strony na drugą.

Bez przeszkód minęliśmy pas graniczny pomiędzy bramą a lasem i w końcu trafiliśmy na strażników. Trójka elfów w obcisłych kolczugach, tak cienkich, że pozornie można by rozedrzeć je gołymi rękami, siedziała dokładnie pośrodku drogi i z niesamowicie natchnionymi minami grała w kości, przekazując w kółko wykonaną z kory brzozonej flaszkę z winem. Na widok naszej drużyny zdumieli się do tego stopnia, że nawet nie sięgnęli po łuki, a rzucili do bezładnego chowania oznak tak niegodnego starszej rasy spędzania czasu. Uprzejmie poczekaliśmy aż elfy dokończą to zajęcie (ciekawe czy siedzenie na mosiężnym kubku do gry faktycznie było takie wygodne?), po czym Weres przyłożył prawą dłoń do serca, złożył ceremonialny ukłon i śpiewnie rozpoczął:

- O, synowie szlachetnych rodziców, długie niech będą ich lata i błogosławione wnuki, czy nie raczycie wskazać nam drogi do pałacu władcy tej pięknej krainy?

Elfy w milczeniu zgodnie wskazały palcami najwyższą iglicę.

- Dziękuję wam, o najbardziej nieprzekupni ze strażników. Czarodziej ukłonił się raz jeszcze, po czym ze stoickim spokojem przestąpił przez poniewierającą się na środku drogi lancę i wyminął posterunek, machnięciem ręki wzywając nas za sobą. I bez tego doskonale wiedział, gdzie znajduje się pałac, musiał jednak zachować odpowiednie konwenanse.

Strażnicy nie ruszyli się z miejsca, odprowadzając nas oszołomionymi spojrzeniami. Chyba ta brama jednak powinna być otwierana jakoś inaczej...

\* \* \*

Tak dziwnego lasu nie widziałam nigdy w życiu. Niby świerki, ale pod nogami mieliśmy nie warstwę martwych igieł, tylko pachnącą mieszanek traw łąkowych. Niby nad czubkami drzew padał śnieg, ale już po kilku minutach musiałam rozpiąć kozuch, a potem go w ogóle zdjąć. Miałam też problem z określeniem pory roku. Wczesna jesień? Późna wiosna? Rzadkie krzaki miały z tym nie mniejszy problem niż ja, pokryte równocześnie kwiatami i owocami, a rozwijające się na nich pąki wymieszane były z żółknącymi liśćmi.

Korony drzew uciekały coraz wyżej, aż w końcu zamieniły się w zielonkawą mgiełkę na tle nieba. Natomiast pnie drzew osiągały taką grubość, że czasami droga przechodziła pod ich usłużnie podniesionymi korzeniami. Wkrótce zobaczyliśmy pierwsze elfie domy, przypominające miniaturowe pałace z dziesiątkami iglic i wężutkich witrażowych okienek, oplecione kwitnącymi

pnąciami. Te bogatsze zbudowane były z kamienia, a biedniejsze misternie wycięte z drewna i moim zdaniem wyglądały jeszcze piękniej.

Mimo bajecznego wyglądu miasta, trwało w nim całkiem zwyczajne życie: tak samo trzaskały drzwi, przyjaźnie nawoływali się sąsiedzi, statecznie spacerowały młode pary, z hałasem biegały dzieciaki, radośnie stukwały kopytami konie mleczarzy i piekarzy. Mało tego, pod różanym krzakiem zadarła łapy i słodko mrużyła oczy psinka, wyglądająca na najzwyczajniejszego w świecie kundelka. Tyle że pachniało tu nie pomyjami tylko kwiatami, a melodyjna wymowa miejscowych dodawała uroku nawet najbardziej plugawym przekleństwom. Zaś gołębie w skupieniu krążące nad pomnikiem jakiegoś miejscowego notabla wszystkie jak jeden były śnieżnobiałe.

Nikt nie jeździł konno po drogach wyłożonych skomplikowanym wzorem z asymetrycznych płytek, więc my również zeszliliśmy z wierzchowców. Mrok przyjął ludzką postać, ale nie bawił się w zawiązywanie oczu - elfów i tak by tym nie oszukał, a do smoków miały one stosunek znacznie spokojniejszy od ludzi. Weres co i rusz ostrzegawczo spoglądał na mnie. Miałam dziką ochotę by na niego ryknąć, ale znałam masę znacznie przyjemniejszych sposobów na popełnienie samobójstwa.

Mimo naszych obaw największą uwagę elfów przyciągałam nie ja, tylko Virra. Zauważali ją z daleka niczym piorun kulisty płynący nad nocnym polem, po czym z niedowierzaniem wpatrywali, krzywili twarze w niewyraźnym grymasie i śpiesznie odwracali się gdy podchodziliśmy bliżej. Parę razy zerknęłam do tyłu i dostrzegłam, że gapią się na nasze plecy.

- Weresie, o co chodzi? - spytałam zdumionym szeptem  
- Czy oni do tego stopnia nie lubią miesz.... dzieci z mieszanych małżeństw?  
- Wcale nie, mają do nich normalny stosunek - odparł czarodziej z takim samym zdumieniem. - No dobrze, raczej nie wybiorą takiej osoby do Naczelnej Siódemki, ale w sumie spotyka się półelfy nawet wśród sędziów i ambasadorów.

Dziewczynki Jesionowy Gród również nie zachwylił. Nie miała ochoty na podziwianie okolicznych cudów i tuliła się do mnie jak prawdziwy powój, wczepiona w moją nogawkę z taką siłą, że mimo pasa spodnie zaczynały mi powoli spelzać w dół. Musiałam uciec się do niewielkiego podstępu i zlecić jej niesienie darkana. Przy wzroście małej można go było uznać za koromysło i ostatecznie nawet tak go niosła, zarzuciwszy na ramiona.

Virrze moje zaufanie wyraźnie schlebiali, więc zrobiła się nieco radośniejsza, ale za to napotkane elfy zaczęły przed nami w widoczny sposób uciekać. Wyjątku nie stanowili nawet strażnicy pilnujący wejścia do pałacu. Co prawda sumiennie podnieśli łuki i nawet sięgnęli do kołczanów, ale ich pytanie do kogo i po co idziemy zabrzmiało do tego stopnia nieśmiało, że Weres nawet nie marnował na nich swoich zasobów uprzejmego słownictwa tylko odpowiedział wprost, że do władcy Jesionowego Grodu, wysoce szanownego Lliotarela w sprawie wagi państwowej.

Elfy przeraziły się jeszcze bardziej - chciałam ja wiedzieć dlaczego? - ale zebrały resztki męstwa i poprosiły nas o zaczekanie, aż ktoś zamelduje władcy o naszym przybyciu. Po upływie około pół godziny, co stanowiło ogromny honor nawet wedle ludzkich standardów, a wedle elfich niesłychany pośpiech, drzwi otworzyły się na całą szerokość, ukazując widok tak wspaniały, że nawet odźwierny, który wyszedł na nasze spotkanie w towarzystwie tuzina wojowników ze straży wewnętrznej był na jego tle całkiem niezauważalny.

Tuż za progiem rozciągało się jezioro powleczone poranną mgłą, o idealnie gładkiej powierzchni i podzielonej na kwadraty ledwo widocznymi liniami, jak gdyby ktoś pokrył wodę szklanymi płytkami. Tym niemniej tu i ówdzie „z dna” podnosiły się pęcherzyki, rozchodząc kołami poruszającymi liśćmi grzybieni. Miałam niesamowitą chęć, by zarzucić tam wędkę na wolno żerujące ryby. Pod ścianami i sufitem mgła gęstniała w zasłonę koloru śmietany tworząc wrażenie całkowitego ich braku.

Od prawdziwego jeziora iluzja różniła się wyłącznie zapachem - nie wilgotnego mułu tylko zwykłych zamkowych murów z promieniującego zimnem kamienia o wyraźnym smrodzie myszy.

- Raczą państwo iść za mną - rozkazał nam nieprzyjaźnie odźwierny, który nie doczekał się aż zostanie zauważony i przywitany, więc w końcu odwrócił tyłem. Dwójka strażników ruszyła razem z nim, a pozostali otoczyli gości honorowym acz nieprzeniknionym czworokątem.

Nikt nie żądał od nas oddania broni, gdyż elfy uważały ją za naturalny i konieczny element ubrania. Same odebrałyby prośbę tego rodzaju jak śmiertelną obrazę i chętniej pozbyły się spodni. Zabrałam Virrze darkan i wzięłam dziewczynkę za rękę, mając nadzieję, że z boku wygląda to jak gest pocieszenia a nie tchórzostwa. Najtrudniejsze jednak było nie zmuszenie się do przestąpienia progu, tylko zachowanie przy tym wyobcowanego wyrazu twarzy świętych z kronik, którzy suchą nogą chodzili po wszelakich akwenach ku radości uczniów i zastraszeniu mocy zła. Nawiasem mówiąc, nigdy nie rozumiałam, dlaczego zaliczali do tej grupy siłę ciężenia. Pod nogami wyczuwałam zwykłą kamienną podłogę, ale za idącymi przodem elfami po powierzchni rozbiegały się drobne fale a woda melodyjnie pluskała. Podejrzewałam, że za nami również, ale wstydziłam się obejrzeć i sprawdzić.

Na przeciwległym końcu sali mgła rozstępowała się dookoła wysokich kamiennych drzwi, zaopatrzonych w sporej wielkości zęby. No tak, jeśli coś takiego człowieka przytrzyma to ofiara nawet pisnąć nie zdąży.

Drzwi nie miały pierścieni ani kołatki, ale gdy odzwierny zatrzymał się i majestatycznie wyciągnął rękę w ich kierunku, usłyszałam dochodzące od wewnątrz głuche miarowe uderzenia, a po trzecim odrzwia z przytłumionym huczeniem schowały się w ścianach.

Po mrocznym jeziorze światło słoneczne uderzyło w oczy jak wyciskający łyż zapach cebuli. Wyraźne złote promienie padały na ukos, przesiane przez witraż na lewej ścianie jak przez sito. Pod sufitem niczym drobinki kurzu tańczyły w słonecznym blasku tysiące motyli bielinków, a ja szczerze pożałowałam tutejszej kapusty. Na podłodze, dzięki bogom, leżały zwykłe kamienne płyty, a pnącza winorośli może i pokrywały ściany na całej wysokości, ale pozostawiały nadzieję, że gdzieś pod nimi jednak coś jest.

Chyba wdarliśmy się do elfów w czasie trwania jakiejś narady, bo mało prawdopodobne było by w tak krótkim czasie w sali tronowej mogło zebrać się to całe towarzystwo: a mianowicie władca Jesionowego Grodu osobiście, Naczelną Siódemką, która bez Lliotarela była w zasadzie szóstką oraz dziesiątka czy dwie pozostałych wysokich urzędników. Stojący wzdłuż ścian strażnicy nieznacznie przestępowali z nogi na nogę i na nasz widok pośpiesznie przyjmowali postawę zasadniczą. Zresztą, nie powinni się skarżyć, bo nawet sam Władca musiał zadowolić się tronem bez siedziska - takim zaokrąglonym płotkiem z dwoma podłokietnikami, zamiast aksamitem powleczonej (a raczej oplecionej) ciemnozielonymi pnączami, które jak płaszcz rozpełzały się po całym podwyższeniu tronowym. Rolę dekoracji pełniły kwiaty, puszczone górą i u podnóża, połyskujące i lśniące nie gorzej od kamieni szlachetnych.

Natychmiast za progiem odzwierny i ochrona zatrzymali się, zmuszając do tego również nas. To spowodowało niewielką pauzę - Lliotarel stał półobrócony uważnie słuchając czarnowłosego elfa w obcisłym szarozielonym ubraniu, który podszedł do niego od strony pleców i gorączkowym szeptem meldował o czymś wyjątkowo ciekawym. Wnioskując z krzywych spojrzeń co rusz rzucanych w naszym kierunku, nas ta sprawa również powinna zainteresować. Ech, co za szkoda, że nie mogłam nadstawić uszu!

Z braku lepszych zajęć zabrałam się do dokładnego oglądania sali, zachowując na twarzy sztuczną maskę obojętności.

I prawie natychmiast moje spojrzenie uciekło w kierunku czarnego posągu, który ja nazwałabym fontanną gdyby unosiły się nad nią, rozsypywały i leciały w dół wprost na podłogę strugi wody, a nie ognia. W słonecznej sali wyglądało to tak samo nie na miejscu, jak wilk w zagrodzie dla owiec, podnoszący zakrwawiony pysk na widok nadchodzącego gospodarza. Co ciekawe, ognista fontanna przykuwała wzrok, gwałtownie zakłócając ogólną harmonię, choć stała nie na środku, a była niemalże wciśnięta w róg sali.

Jak zaczarowana patrzyłam na nią, póki Weres nie wydał z siebie cichego jęku i nie pochylił w moim kierunku, boleśnie ściskając za łokieć.

- Szel, jakiego ghyra...?!
- Ale tam...
- Kretynko, tam nic nie ma! To wybiórca iluzja, specjalnie podstawiona przynęta dla różnych durnych pomrok! Natychmiast spuść oczy!

Za późno. Jeden z elfów już szedł w naszym kierunku, płynnie i bezdźwięcznie, jak gdyby płynąc nad podłogą, w obszernym, sięgającym pięć i nawet trochę wlokącym się z tyłu płaszczu. Zresztą, może naprawdę się unosił - gdy Weres rzucał czary, miał tak samo dumny wyraz twarzy i rozszerzone źrenice. Wydawało się, że długie srebrzystosiwe włosy boją się dotknąć szarego jedwabiu i dlatego unoszą lekko w powietrzu. Ta cała elfia uroda była w pewien sposób pokrewna igłom na drzewach - niby wiecznie zielona, ale w odróżnieniu od liści sztywna i kłująca - i w żadnej sposób nie sprawiała, że delikwent wydawał się mniej nieprzyjemny.

- Czy zauważyła pani coś ciekawego? - zapytał elf łagodnie, zatrzymując się tak zatrważająco blisko, że biorąc głęboki oddech zderzylibyśmy się piersiami.

- Zamyśliłam się. - Bezczelnie spojrzałam wprost w jego oczy. No to zobaczymy, kochany, czy zdołasz dojrzeć cokolwiek przez ludzką postać! Gdyby wszystko było takie proste, to nie dałabym rady przez trzy lata handlować eliksirami w Wysziedlisku.

Ale elf nie zamierzał marnować czasu na próżno. Obrzucił innie mnie od czubka głowy po piąty spojrzeniem, które zatrzymało się na rękojeści darkana.

- Uprzejmie panią proszę o wyciągnięcie broni z pochwy.

A żeby ci uszy uschły!

Twarz elfa wydawała się wykuta z marmuru i nieprzenikniona przez myśli o ile jakiegokolwiek miał. Uśmiechał się jak wąż, nie otwierając cienkich warg i gotowy, by wykonać śmiertelny cios przy moim pierwszym nieostrożnym ruchu.

- Po co? - spytałam możliwie najbardziej niewinnie, mając nadzieję, że obrócę jego prośbę w żart.

Elf nie zmieniając ani wyrazu twarzy ani pozycji, dalej sterczał przede mną jak nieubłagalny kamienny idol. W wyobraźni usłyszałam suchy szelest grzechotki na ogonie. Zrobiło się boleśnie oczywiste, że jeśli w następnej sekundzie nie wyciągnę klingi dla demonstracji to będę musiała wyciągać ją do walki, No cóż, trzymaj się przystojniaku, przynajmniej siebie zdążę zabrać ze sobą!

- Dziękuję. Wspaniała broń.

Wąż nieśpiesznie odwrócił się i eleganckimi ślizgami ruszył z powrotem.

Tępo gapiałam się na darkan. Na jego idealnie czyste ostrze bez najmniejszego śladu bluszczowego znaku.

- Kto to był? - szeptem zapytał Rest.

- Tutejszy wielki mag. Cicho, zaraz będą przedstawiać nas Naczelnaj Siódemce!

Władca Jesionowego Grodu z zadowoleniem skinął głową, gestem oddalił szpiega i w końcu raczył zwrócić na nas uwagę. Jak na elfa był dosyć gruby, mimo że człowiekiem byłby jedynie lekko przy kości. Co prawda porównywanie elfów i ludzi było tym samym, co porównywanie psa i kota. Każdy gatunek miał odrębną budowę ciała, na swój sposób harmonijną. W Wysziedlisku widziałam masę elfów, ale tam ubierały się one zgodnie ze współczesną miejską modą i zachowywały znacznie przystępniej, nie próbując udawać posągów z galerii. Żywa w twarzy Lliotarela była wyłącznie mszysta zieleń oczu pod czarnymi kreskami brwi, które jak dla mnie wyglądały na podbarwione, bo na ramiona i plecy władcy spadały proste białe włosy, tak idealnie ułożone, że wydawały się grubo posmarowane woskiem, albo nawet były peruką. Spomiędzy nich ciekawsko sterczały ostre koniuszki uszu.

- Ludzki mag z Wolmenii i jego towarzysze - zameldował odźwierny z opóźnieniem, kłaniając się i odchodząc na bok. Niczego sobie prezentacja! „Jakieś dziwne ludzie do jaśnie pana” brzmiałoby niewiele gorzej. Ale nie mieliśmy wyboru, musieliśmy podejść i uklonić się, potwierdzając, że to właśnie my.

Lliotarel przez jakąś minutę podziwiał pełne szacunku czubki naszych głów, po czym miłościwie skinął, pozwalając się wyprostować.

- Z jakiego powodu prosiłście mnie o posłuchanie, przybysze? - Głos miał głęboki i dźwięczny, akurat nadający się do śpiewania serenad pod oknami.

- O wielce szacowny Lliotarelu, niegasnące światło mądrości i niezniszczalna podpora sprawiedliwości na tej grzesznej ziemi - zaczął Weres zgodnie z najlepszymi kanonami gatunku. - Nigdy nie ośmielilibyśmy się domagać się zaiste bezcennego okrucucha twojej uwagi, gdyby nasze

małe rozумы mogły samodzielnie poradzić sobie ze stojącym przed nami problemem. Tak więc nie uznaj za bezczelność naszej pokornej prośby o udostępnienie łyka z bezdennego jeziora twojej wiedzy...

Gdyby nie mag o srebrnych włosach, który nadal psuł mi nastrój swoim nadmiernie uważnym spojrzeniem, na pewno roześmiałabym się w głos. Mało tego, że Weres produkował się jak po spożyciu mleka ze śledziem, to jeszcze elfy słuchały tych patetycznych bredni ze starannie ukrywanym wstrętem. Niestety, starożytne elfie tradycje wymagały, by Naczelnicy stoicko znosili a sekretarz zapisywał na długim zwoju te absolutnie puste banialuki zanim Lliotarel, który zdążył dość się nastać już przed naszym przyjściem, pozwolił sobie niecierpliwie poruszyć palcami na podłokietniku. Czarodziej zwycięsko złapał oddech i już zupełnie innym tonem, suchym a nawet nieco oskarżycielskim pokrótce zarysował obecną sytuację: po waszej stronie lasu pomroki prawie że tabunami chodzą, dzieje się jakaś paskudna magia, no to gdzie wy, mądrzy i światli, żeby was pokręciło, czy macie?! Oczywiście to ostatnie dodałam od siebie w myśli, ale Najwyżsi mogli zrobić to tak samo dobrze.

- My również szczerze rozpaczamy po odejściu Delirny - odparł Lliotarel z nadmiernym pośpiechem, widząc, że Weres gotów jest dołożyć wszelkich starań by nie daj bogowie, końcówka rozmowy nie okazała się krótsza od wstępu. - Ale nie zamierzamy o niczym rozmawiać z emisariuszami driad, póki nie zwrócicie ukradzionego nam artefaktu.

- Ale, o najmędrszy, my nie jesteśmy driadzkimi emisariuszami - uprzejmie poprawił go Weres. - To nasza prywatni inicjatywa, a z driadami wiąże nas wyłącznie zrządzenie losu....

- No to zrządzeniem losu macie znaleźć nam złodzieja oraz jego łup - przerwał mu skrzywiony Władca. - I jeśli to wszystko, to niniejszym możecie odejść!

Czarodziej zazgrzytał zębami, ale nie miał odwagi nalegać i mściwie wyprodukował mowę pożegnalną dwa razy dłuższą niż należało. Nawet mnie nogi zdrętwiały.

Z sali wyprowadzono nas przez inne, boczne drzwi, tak samo ciężkie i zębate. Straż odmaszerowała we własnych sprawach, a odźwierny zawołał mijającą nas służącą z kubłem na śmieci, który niosła z tak uroczyście majestatycznym wyrazem twarzy, jak gdyby w środku znajdowały się co najmniej diamenty, po czym zamienił z nią parę zdań w elfim i powierzył gości jej opiece. Choć tyle dobrego, że nie będziemy musieli szukać karczmy. Po zdarzeniu z „fontanną” zupełnie nie miałam ochoty na spaceru ulicami grodu. Kto wie, co i gdzie elfy jeszcze mają poczarowane.

Mrok próbował robić do damy słodkie oczka, ale spojrzenie jakie otrzymał w odpowiedzi bardziej nadawało się do przechowywania szybko psujących się produktów niż nawiązywania bliższej znajomości. Elfka przełożyła wiadro do drugiej ręki, niechętnie obiecała, że zaraz wróci i pokaże gościom ich pokoje, po czym zostawiła nas, byśmy w samotności podziwiali korytarz. Byłam już zbyt zmęczona szokowaniem się i zachwycaniem, nie mówiąc już o tym, że najeżony stalaktytami tunel w porównaniu z salą tronową nie wyglądał specjalnie efektownie, a oglądanie wiszących na ścianach gigantycznych obrazów szybko nam się znudziło. Wszystkie przedstawiały to samo: elfy ratują świat przed atakiem orków, wybuchami wulkanów, czarnym pomorem i białą wysypką. I to z takimi minami jakby robiły pozostałym rasom ogromną przysługę. A tak między nami, to z orkami swego czasu walczyli przeważnie ludzcy rycerze z Zakonu Białego Kruka, a zastępy ich przeciwników liczyły sobie może z pięć tysięcy, a nie niezliczone legiony, które nie zmieściły się na obrazie nawet w postaci kropek po sam horyzont.

Wnioskując z „zaraz” elfi śmietnik znajdował się na skraju grodu. Gdy służąca zwycięsko powróciła z owej trudnej i niebezpiecznej wyprawy, nawet Mrok już nie miał ochoty być dla niej miłym. Szczególnie gdy okazało się, że przez cały czas sterczeliśmy w odległości może dwudziestu kroków od właściwych drzwi: po jednym pokoju dla mnie i Virry oraz Mroka i Resta oraz osobista komnata dla Weresa położona nieco dalej wzdłuż korytarza.

Ku mojej uldze, elfy nie kombinowały specjalnie przy urządzeniu pokoi gościnnych. Z magicznych rzeczy znajdowały się w nim wyłącznie płomyki w szklanych czaszkach lamp oraz wąskie paski malowanych trzciniowych plecionek pomiędzy oknami, zmieniające wzór za każdym razem, gdy ktoś koło nich przechodził. A poza tym najzwyczajniejszy w świecie dywan na całą

szerokość podłogi, dwa łóżka pod baldachimami z lekkiego jak pajęczynka tiulu, cztery krzesła dookoła okrągłego stolika na wygiętym korzeniu-nóżce, wnekowa szafa i kilka kwitnących orchidei w polankach wyciętych w misterne wzory, ozdobionych mchem i drabinkami drzewnych grzybów.

Przekonałam się, że wewnątrz nie było chyba żadnych pułapek i zaczęłam rozsnurowywać kołnierz ciepłej wierzchniej koszuli, ale trąciłam łokciem rękojeść darkana i uznałam, że daruję sobie odpoczynek.

- Gdzie idziesz? - Virra natychmiast poderwała się z przestrachem. - Czekaj, idę z tobą!

- Nie marudź, ja niedaleko. Jeśli się boisz, zamknij drzwi.

- A długo cię nie będzie?

- Nie, tylko kogoś zamorduję i zaraz wracam - obiecałam sucho i zostawiłam ją z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Służąca już odeszła, a mnie nawet nie przyszło do głowy, by pukać do drzwi jeśli mogłam po prostu pociągnąć za klamkę i odkryć, że nie są zamknięte.

- Weres, to twoje żarciki?! - zaatakowałam czarownika od progu, potrząsając klingą w pochwie.

- Szel, ja kompletnie nie znam się na zaklęciach druidów. - Ze zmęczeniem odpędził mnie leżący na łóżku czarodziej, ledwo odwracając głowę w moim kierunku. - Niezależnie jak bardzo chciałbym ci pomóc. Wydaje mi się, że darkan po prostu uznał cię za właścicielkę, a na nią się nie donosi.

- Przecież on nie jest psem, tylko zwykłym kawałkiem stali!

- Wyciągnęłam ostrze do połowy i ponownie przekonałam się, że oczy mnie nie zawiodły.

- Nie zwykłym tylko zaczarowanym - poprawił mnie czarodziej. - Jak to mówią mistrzowie, wykonany z duszą, czyli jak najbardziej może okazać charakter.

- Tego jeszcze brakowało - prychnęłam, siadając obok. - Lada chwila zaczniesz mi w walce robić wykłady, którą ręką i jakim ciosem mam walić!

- A dlaczego nie? - rzekł Weres całkiem poważnie. - Tobie to nie zaszkodzi.

- Co masz na myśli? - nastroszyłam się.

- Wyłącznie to, że kto niby ma lepiej znać się na walce, jak nie miecz? - wyjaśnił czarownik z całkowicie niewinnym wyrazem twarzy. - Prawdziwy mistrz zawsze słucha najpierw swojej broni a dopiero potem siebie - czy da czy nie da rady zastosować się do jego podpowiedzi.

- I ty również? - spytałam z pełnym niedowierzaniem sarkazmem.

- Oczywiście. - Wyciągnął rękę i w zamyśleniu dotknął jelca opartego o łóżko miecza, jak gdyby pytając, czy nie miałby on nic przeciwko załatwieniu pewnej obecnej tu bezczelnej osoby. - I co powiesz o elfiej gościnności?

- Jeżeli to jest gościnność, to chciałabym zobaczyć ich wrogoprzeganiałość! Aż mi wstyd było słuchać, jak się przed nimi ponizasz. „O, namędrszy z dziś żyjących...” - przedrzeźniłam piskliwie. Weres, wyraźnie dumny ze swoich talentów dyplomatycznych, zmarszczył brwi, urażony.

- Szel, to nie ponizanie się, tylko ceremonia. Gdy na dwór wolmeński przyjeżdżają posłowie orków, tak samo nazywają oni naszego króla „wysokością” i kłaniają mu się do samej ziemi, mimo że własnemu wodzowi jeżeli będzie zbyt zadowolony mogą po prostu splunąć w mordę albo i jatagan wyciągnąć - niech dowodzi w praktyce, że jest najsilniejszym chłopem w okolicy.

- No co ty porównujesz ludzką kulturę i obyczaje orków!

- A dlaczego ty bierzesz za punkt odniesienia ludzi? Z taką samą podstawą uznajemy się za lepszych od orków i trolli, jak elfy zadzierają nosa przed nami.

- Ale to po prostu głupie: przez bitą godzinę prawie komplementy tym napuszonym typom gdy zarówno ty jak i oni doskonale wiecie, że to zwykłe marnowanie powietrza!

- Orkowie również uznają używanie wspólnych szaletów za wyjątkową głupotę.

- I dlatego po ich wizytach trzeba od nowa przekopywać wszystkie klomby dookoła pałacu - prychnęłam, stopniowo się uspokajając.

- Ale orkowie chodzą tam w nocy i potajemnie. Dokładnie tak samo jak my teraz psioczmy na elfy - uśmiechnął się czarodziej.

- A nie miałaś wrażenia, że oni się jakoś dziwnie zachowywali?

- Wybacz, nie mam z czym porównywać. Nawet na posłuchaniu u wolmeńskiego króla nigdy nie byłam. A co ci się nie spodobało?

- Wszystko - ciężko rzucił Weres. - To, że nas tak szybko przyjęli i że jeszcze szybciej wygonili, nawet nie wysłuchując do końca. Morriel w ogóle udawał, że pierwszy raz mnie widzi! Nie powiem co prawda, że tacy dobrzy z nas przyjaciele, ale nigdy nie miał nic przeciwko kielichowi czy dwóm winą przy dobrej rozmowie. Żeby przynajmniej mi głową skinął, Świnia jedna! A przy okazji, trzymaj się od niego z daleka. Rzeczywiście jest najlepszym z elfich czarodziejów, a do tego wyjątkowo podejrzliwym i nieprzekupnym. Obawiam się, że teraz nie spuści cię z oka do samego końca wizyty i lepiej żeby był to koniec naszej wyprawy, a nie twój.

- Jakoś dam sobie radę sama - odgryzłam się. - Sądząc z tego, co właśnie powiedziałaś, elfy nie mają dla nas czasu, a ich problem nie jest ich zdaniem naszą sprawą.

- Ja również odniosłem takie wrażenie. A to durne żądanie, by oddać skradziony artefakt w ogóle nie mieści się w głowie! Jeżeli jest im tak bardzo potrzebny, to dlaczego nawet nie pofatygowali się, by powiedzieć komu został skradziony i czym w ogóle jest?!

- Albo uważają, że skoro przyszliśmy od driad, o czym na pewno zameldował tamten czarny typek, chociaż nie udało mi się podsłuchać samej rozmowy, to sami powinniśmy wiedzieć. Albo są przekonani, że i tak go nie znajdziemy - podsumowałam niezbyt pocieszająco i już zamierzałam wrócić do siebie, gdy Weres się ożywił:

- A gdybyśmy jednak spróbowali go poszukać?

- Wydaje ci się, że jeżeli wszystkim magom elfów nie udało się odnaleźć ukradzionego z sypialni Lliotarela berła płodności, to my mamy jakieś szanse?

Czarownik zapomniał o zmęczeniu i gwałtownie usiadł na łóżku, z niedowierzaniem patrząc na mnie:

- Szel, ależ o tym nie wiedziały nawet Delirna z Toressą!

- Oczywiście, a kto niby miałby się im przyznać? Obstawiam, że dumne elfy po prostu zażądały od nich zwrotu „artefaktu o ogromnej wartości”. A co do osoby okradzonego to takie rzeczy opowiada się wyłącznie przyjaciółkom na uszko, podczas gdy przyjaciółki również mają długie i ostre jęczyzki. Na przykład takie jak Larrina. Zdażyłam pogadać z nią przez godzinę, gdy wy spaliście.

- Czekaj, ale swojej władczyni powiedziałaaby o tym w pierwszej kolejności, w końcu sprawa nie jest żartem. Konflikt międzyrasowy!

- Driady znane są z bardziej niż swobodnych obyczajów, a wśród elfów są również mężczyźni. Nawet Naczelnicy to też chłopcy. Zaginięcie artefaktu wykryte zostało dopiero pięć dni po przybyciu driadzkiego poselstwa, gdy już trudno było powiedzieć cokolwiek z całkowitą pewnością. A Delirna nie lubi... nie lubiła polegać na plotkach i pogłoskach.

- Czyli wychodzi na to, że my lubimy? - Czarodziej sceptycznie podrapał się po nosie.

- Tak, w sytuacji, gdy są jedynym co mamy. A przy okazji, Alaina przysięga, że nie zabierała Władcy Jesionowego Grodu żadnego berła płodności, a nawet nie widziała go na oczy. „A przynajmniej takiego, które dałoby się ze sobą zabrać” - zacytowałam driadę natchnionym głosem.

- Ale w takim razie skąd w ogóle o nim wiedziała?

- Lliotarel sam jej powiedział poprzedniego wieczoru, że w skrytce w jego pokoju schowana jest unikalna elfia relikwia, wykonana przez starożytnych mistrzów pięć tysięcy lat temu obecnie zapomnianą już techniką. Ja kompletnie się nie znam na magii, więc po prostu przekazałam ci swoimi słowami wyjaśnienia Larriny, a ty możesz sam się nad nimi zastanowić i wyciągać wnioski - uprzedziłam na wszelki wypadek. - Tak więc, w odróżnieniu od driad, które praktycznie nie wtrącają się w naturalny wzrost i cykl życia roślin, elfy kochają eksperymentować z żywą przyrodą: różne takie tam ogromne drzewa, domki z żywych gałęzi, kwiaty o rozmiarach główki kapusty na cieniutkiej łądźce, jakie nie rosną nigdzie indziej. Do tworzenia tych wszystkich wspaniałości potrzebna jest pokaźna ilość mocy magicznej i to właśnie ją skupia berło - jednym jego machnięciem można w ciągu paru minut stworzyć cały gaj. Co prawda elfy korzystają z niego

rzadko, ale dla podtrzymania już istniejących cudów artefakt musi ciągle znajdować się w granicach Grodu. Oprócz tego poza wspomnianymi powyżej wartościowymi cechami berło generuje dookoła siebie mocne pole magiczne, które ma dobry wpływ na... yyy... płodność w lokalnym zakresie. No więc ciekawska driada zgodziła się, by przetestować jego moc w praktyce.

- I jak? - Weres zainteresował się żywo.

- Sądząc z jej opowieści, tamtej nocy artefakt nadal znajdował się w skrytce. Tak więc Lliotarel i ona rozstali się jak najbardziej z siebie zadowoleni i nie mając żadnego powodu do kłótni. Ale gdy elfy skierowały do Delirny gniewną notę, w pierwszej kolejności stało w niej imię Alainy. Tak więc driada doszła do wniosku, że zniknęło właśnie berło.

- W komnatach Naczelnego Elfa mogło znajdować się kilka artefaktów. - Czarodziej nie odrzucił mojej wersji, po prostu rozmyślał głośno. - Tym bardziej, że poselstwo driad raczej nie ograniczyło się wyłącznie do odwiedzenia sypialni Lliotarela, na pewno oprowadzono je po całym Grodzie.

- No to idź i sam go zapytaj. Obstawiam, że po trzech czy czterech godzinach aluzji i wymyślnych przeprosin z powodu naszego braku taktu dotrzecie do sedna sprawy, o najbardziej ceremonialny z nudzących czarowników.

- Dobry pomysł - spokojnie zgodził się Weres. Ze wstrętem spojrział na leżące koło łóżka buty, włożył je i wyszedł z pokoju. Bez cienia nadziei pokręciłam głową, zastanawiając się czy czekać na niego tutaj czy wrócić do siebie, ale czarodziej poradził sobie wyjątkowo szybko, w jakieś pięć minut.

- Jednak jesteś genialna! - zauważył z zadowoleniem i zanim zdążyłam przetrwać to sensacyjne stwierdzenie ciągnął dalej: - Chyba jesteśmy na właściwym tropie. Złapałem Lliotarela samego w korytarzu i nie wdając się w szczegóły, tonem spiskowca poprosiłem o klucz do miejsca zbrodni. Nasz elf lekko zmienił się na twarzy i natychmiast wyciągnął z kieszeni coś takiego. - Weres podniósł rękę i pokręcił na palcu kółko z przedziurkowaną platynową blaszką. - Czyli skradzione zostało właśnie berło, a w jego sypialni nie ma żadnych innych skrytek, bo w przeciwnym razie nie wpuściliby nas tam samych.

- Nadal mogą nie wpuścić. - Ech, że też ta genialność musiała mnie ugryźć w tyłek! Kto mnie ciągnął za język, kiedy po nocnej walce, drodze oraz posłuchaniu był on jedynym niebojącym mięśniem w całym ciele?!

- No to sprawdzimy. - Weres schylił się po miecz, ledwo zauważalnie wzdrygając się od przeszywającego krzyż bólu.

I właśnie tym wrogowie różnią się od przyjaciół. Nawet siebie nie pożałują, byle tylko tobie zrobić świństwo!



## Rozdział 10

Niestety, nadzieja, że jednak elfy zawrócą nas w drzwiach i będę mogła z czystym sumieniem udać się na zasłużony odpoczynek, legła w gruzach. Przy wejściu do mieszkalnego skrzydła pałacu co prawda zażądano od nas jakiegoś hasła, ale platynowa płytko skutecznie je zastąpiła. Przy samej sypialni Lliotarela natomiast nikogo nie było, więc Weres musiał się pomęczyć, szukając zamaskowanej dziurki od klucza.

Czarodziej kurtuazyjnie przepuścił damę przodem, by przekonać się, że za progiem nie ma pułapek, zamknął drzwi od wewnątrz i zabrał się do oględzin pokoju. Jego przeważającą część zajmowały półki z manuskryptami, pedantycznie posegregowanymi wedle koloru i rozmiarów. Na ich widok Weresomalże nie dostał ślinotoku. Jak zaczarowany wysunął jeden, potem kolejny, trzeci przekartkował trzymając w powietrzu i jęknął z taką rozpaczą, że aż mi się serce zaczęło krajać.

- Takiego nie mają nawet w bibliotece Konwentu!
- Co za problem, weź i go przepisz.

Czarodziej ze smutkiem zamknął z trudem trzymany w rękach ciężki foliał i ostrożnie odstawił z powrotem, z pewnością wyobrażając sobie siebie samego jako siwego staruszka, który z namaszczeniem stawia finalną kropkę i natychmiast wydaje ostatnie tchnienie na rękach wdzięcznych potomków.

- A czego my tak właściwie szukamy? - Z ciekawością pogłaskałam leżące na łożku futro o krótkim srebrzystoszarym włosie, pokrytym czarnymi pasami. Nie miałam bladego pojęcia, do jakiego zwierzęcia należało wcześniej.

- To, co mogłaby w ciągu godziny lub dwóch znaleźć driada, która trafiła tu pierwszy raz w życiu.

- Uważasz, że Alaina jednak ukradła berło?

- Po prostu chcę się przekonać, czy potrafiłaby zrobić to bez pomocy z zewnątrz. - Weres zadarł kapę i zajrzał pod łożko, po czym na jego twarzy wykwitł tak szeroki uśmiech, że ja również wsadziłam tam nos i odkryłam długi szereg talerzy z ogryzkami chleba i owoców.

- Myślisz, że miała współnika? W takim razie czemu sam nie zabrał berła ze skrytki, tylko namówił do tego driadę?

- Może podpatrzył, gdzie władca chowa artefakt, ale nie mógł go stamtąd wyciągnąć bez robienia nadmiernego hałasu.

- Weres jeden po drugim wysunął szuflady toaletki, wypuszczając z nich do pokoju falę zapachu cierpkich elfich perfum i chmurkę moli.

- A Lliotarel jest magiem? - Zrobiłam to samo z biurkiem które okazało się wypchane zapisanymi zwojami i kartami papieru,

- Dahae aine kewwaell', inda - sharaell', assna intewal.

- Że co?

- Pierwszy i najbardziej znany werset elfiego kodeksu praw: „Mag po lewej, mędrzec po prawej, wojownik pośrodku”. Zgodnie z tradycją, władcy Jesionowego Grodu wybierani są wyłącznie spośród wojowników.

- To widać. - Trzepnęłam dłońmi natrętnie trzepoczącego przed oczami owada. - Wygląda na to, że w prawo również patrzy niezbyt często.

- Sharaell' tłumaczy się zarówno jako „uczony” jak i „doradca”.

- Co z tego, dlaczego nie mogli właśnie jego postawić na środku?

Weres w skupieniu poruszył wargami, mając zamiar wykazać się kolejnym cytatem, ale chyba nie potrafił przypomnieć go sobie dosłownie, więc odpowiedział we wspólnym:

- Mag patrzy na problemy zwykłych ludzi zbyt cynicznie, mędrzec nadmiernie ostrożnie, a przy kierowaniu państwem potrzebna jest praktyczna i twarda ręka.

Cóż, czasami elfom trudno odmówić zdrowego rozsądku. Przynajmniej tym starożytnym.

Przeszłam do oględzin drugiej ściany, która prawie w całości przesłonięta była gobelinem, wyobrażającym scenę z elfem nieco podobnym do Morriela, który podkasawszy rękawy rzucał czar na wyciągniętego w skoku wilkołaka. Jako specjalistka mogłam zagwarantować, że nie zdąży, ale tkacz naiwnie uważał inaczej, nadając twarzy elfa wyraz triumfu a pyskowi zwierzęcia - pełnego rezygnacji przerażenia.

- Podziwiasz elfią sztukę ludową? - Czarodziej zatrzymał się za moimi plecami. Kosmyk włosów połaskotał mnie w policzek. Odruchowo wyciągnęłam rękę, by schować go za uchem, po czym drgnęłam, gdy niespodziewanie uciekł mi z palców. Włosy nie należały do mnie.

- Nie. Fatalnie zamaskowane skrytki. - Uniosłam podejrzenie sterczący róg gobelinu.

- No cóż. Tylko elfy mogą zdobyć się na to, by napisać na drzwiczkach sejfu „Sekretne dokumenty”. - Weres bez wahania zademonstrował, że tylko ludzie mogli natychmiast pociągnąć za klamkę by przekonać się, czy ktoś nie próbuje ich oszukać.

Czy Lliotarel rzeczywiście miał nadzieję, że taktowność złodziei zastąpi mu zamek, czy po prostu zapomniał przed wyjściem zamknąć drzwiczki, ale nawet nie skrzyknęły. Z sejfu wionęło zimnem i zapachem przypraw. Sekretnych dokumentów, jak zresztą jakichkolwiek innych papierów w środku nie było, ale za to w najbardziej widocznym miejscu dumnie spoczywał napoczęty kawał boczk. Prawdziwy winesski, z różowymi warstewkami mięsa, chrupiącymi chrząstkami, dobrze doprawiony kminkiem oraz czosnkiem. Na półce poniżej stała kryształowa karafka otoczona wianuszkami kieliszków i na wysokość jednej trzeciej wypełniona mętnym płynem, który z wyglądu bardzo przypominał pszeniczną gorzałkę, a zapachem nie różnił się od niej zupełnie niczym. Pod szmatką obok dawał się odgadnąć kształt połowy bochenka chleba.

Weres rozjaśnił się wcale nie mniej niż ewentualny szpieg, który jednak znalazł w środku obiecane papiery, po czym w jednej chwili zarekwirował znalezisko, szybko robiąc sobie długą kanapkę.

- Ciekawe, jaką karę elfy przewidują za kradzież sekretnych dokumentów? - spytałam jadowicie.

- Nie kwadnę, tylko bafam dofody wefowe. - Wolną ręką czarodziej jeden po drugim dotykał kieliszków, jak gdyby próbując wybrać najbardziej czysty. - O, a tu mam coś ciekawego!

Bez zrozumienia obejrzałam wyciągnięte w moim kierunku naczynie pod światło, ostrożnie powąchałam.

- W sensie? .

- Afrodyzjak - wyjaśnił Weres, czule poprawiając splezający z chleba plasterk boczk. - Lubczyk o składzie roślinno-magicznym.

- Nic nie czuję.

- Nif wifnego, kielifek na ewno zoftał fokwadnie umyfy. Ale powbyfie się maficznyf fladów jest znafnie tfudniejfe... Hej!

- Przeżyjesz. Nie rofumiem ani słofa póki maf ufta wypfane po fame ufy.

- Ale to nie jest powód by dojadać moją kanapkę!

- Twoje gościnne elfy mogły nas nakarmić po przybyciu. - Oblizałam palce i złośliwie wytarłam je o róg gobelinu.

- Wieczorem odbędzie się oficjalny bankiet.

- W takim razie czemu sam na niego nie poczekałeś?

- Zakłęcie regeneracyjne to nie zwykły burczący brzuch, nie mogę go przekonać, by poczekało. I tak ledwo stoję na nogach - oburzył się Weres, ignorując fakt, że nikt nie zmuszał go do stania, w końcu sam tu przylazł. - Czy ty pragniesz mojej śmierci?!

- Tak jest! - potwierdziłam chętnie, ale ponieważ kanapka już zginęła bezpowrotnie, klótnia umarła śmiercią naturalną.

- Czyli z tego wynika, że Lliotarel nieprzypadkowo zapalał żądzą do w sumie najzwyklejszej driady?

- Nie przyprowadziłby do swoich komnat byle kogo i nie zostawił tu bez nadzoru - zgodził się czarodziej. - W tym celu musiałby stracić głowę albo z miłości albo na skutek działania jakiegoś specyfiku.

- Sądząc z wyglądu Lliotarela, to pierwsze mu nie grozi - przypominałam sobie wypieszczoną twarz władcy Grodu, na której nawet przyjacielski uśmiech można było wyobrazić sobie z bardzo wielkim trudem.

- Oczywiście, przecież on jest dwóchsetletnim elfem, a nie piętnastoletnim dzieciakiem. A temu, kto poczęstował go afrodyzjakiem potrzebny był pewny wynik. - Weres zabrał mi kieliszek i odstawił na miejsce, próbując możliwie dokładnie trafić nóżką w odbity w kurzu krążek.

- A sama Alaina nie mogła tego zrobić?

- Jak ty to sobie wyobrażasz? Nawet krasnolud nie upadłby tak nisko, by w czasie romantycznej nocy pić z damą gorzałkę. W tym celu władca Grodu ma o tamten kryształowy barek z rzadkimi winami.

Cóż, zależy wyłącznie od damy. Oraz samego kawalera, bo czasem cała karafka na odwagę to za mało. Ale driady faktycznie nie piją nic mocniejszego od rozcieńczonego wina, a i wśród elfów nie spotyka się wielu wielbicieli mocnych alkoholi.

- Czyli sugerujesz, że przed Alainą władca spotkał się z kimś innym i strzelił sobie kielicha?

- Mało tego, nie był to gość przypadkowy, jak choćby my, tylko osoba z najbliższego kręgu, która знаła jego preferencje gastronomiczne i chętnie je podzielała. - Weres nabral wiatru w żagle i sięgnął po kolejną porcję „dokumentacji”. - A przy okazji, wszystkie afrodyzjaki mają lekki uboczny efekt: gdy po osiągnięciu celu ich działanie się kończy, obiekt robi się niesamowicie senny, więc nic nie stało na przeszkodzie, by driada pobuszowała tu do woli.

- Ale bliski przyjaciel albo zaufany władcy spokojnie mógł zabrać berło własnoręcznie, a gdyby władca go na tym złapał, skłamać, że tylko chciał sobie popatrzeć na bezcenną relikwię. - Nie mogąc się powstrzymać, padłam na łóżko i słodko przeciągnęłam na srebrzystym futrze. Doskonale rozumiałam Lliotarela - rozłożenie się tu z książką i czymś do chrupania było czystą przyjemnością. Nawet żadne driady niepotrzebne.

Weres zamknął sejf i rzucił ostatnie sceptyczne spojrzenie na gobelin, również nie popierając wybranej przez kolegę taktyki,

- Wiesz co, tak sobie myślę... Jeżeli, jak tobie powiedziano, artefakt odgrywa tak ogromną rolę w podtrzymaniu tutejszej flory, to dlaczego nie widzimy żadnych oznak choroby ani wędnięcia? Kwiatów w lesie również nie zrobiło się mniej. Mam takie wrażenie, że berło nadal jest...

- Chodź tu.

Czarodziej z roztargnieniem zrobił krok w kierunku łóżka, nie zwracając uwagi na ton mojego głosu. A szkoda, bo gwałtownie usiadłam, złapałam go za kark i przewróciłam na siebie. Elfie łoże zatrzęszczało w proteście.

- O, całuj mnie, mój czarnowłosy kochanku!

Oj tak, z takim wyrazem twarzy można całować wyłącznie nieżyjąca teściową w grobie. I to od dawna nieżyjącą. Weresa zatkało do tego stopnia, że nawet nie próbował kłąć ani czarować. Tylko w milczeniu zapierał się rękoma i nogami jak kot, którego ktoś chce wpakować nosem w kałużę siuszków. Poza tym okazało się, że do tego stopnia ścisnęłam czarodziejowi gardło kołnierzem, że dźwięk, który ostatecznie się z niego wydarł nie był wyraźny, ale za to jednoznacznie niepoehlebny.

- Pomóż mi, kretynie jeden! - szepnęłam szybko, na wszelki wypadek obejmując „kochanka” jeszcze nogami. - Ktoś na nas patrzy.

Czarodziej, już przygotowany na to, by za wszelką cenę pozbyć się wilkołaka, który niespodziewanie zmienił zawód na sukkuba<sup>6</sup>, rozważając nawet spopalenie napastniczki wraz z łóżkiem - rozluźnił się i z niedowierzaniem szepnął:

- Kto?

6 Sukkub - pomroka, która istnieje dzięki energii, wyciągniętej ze względnych ofiar płci

męskiej na skutek uwodzenia onych. „Względnych” - ponieważ zwykle nikt nie ma zwykle nic przeciwko. Patrz. Podręcznik z wiedzy nienaturalnej red. K. D. Perłow, 7 rok, (znajdujący się obok obrazek schludnie wycięty).

- A skąd mam wiedzieć? Jakiś facet. Najpierw się chyba cofnął, ale gdy się na ciebie rzuciłam wrócił. Teraz stoi i się gapi.

- Gdzie?

- Za lustrem naprzeciwko łóżka. Chyba jest tam jakieś tajemne przejście, od każdego ruchu idzie echo. I nie leż na mnie jak worek z ziemniakami, bo uzna, że coś jest nie tak i zwieje!

- A jakiej reakcji on się twoim zdaniem po mnie spodziewa? - sarkastycznie zapytał Weres, szybko wychodząc z szoku i próbując się obejrzeć. Śpiesznie złapałam go za wiszące po obu stronach twarzy włosy, nie pozwalając zrobić głupstwa.

- Przynajmniej rusz nogami!

- Tak w butach i spodniach? - odgryzł się czarownik, jedną ręką niezgrabnie głaszcząc moje plecy, a drugą dłonią pod osłoną mojej piersi wykonując skomplikowany gest.

Po czym natychmiast skrzywił się z obrzydzeniem i ponownie spróbował mnie odepchnąć.

- Szel, jako mag zapewniam cię, że nikogo tam nie ma! Daruj sobie te durne żarty, bo w przeciwnym razie na zawsze wybiję ci z głowy zaciąganie mężczyzn do łóżka pod głupimi pretekstami!

Teraz ja również naprawdę się wściekłam. Ot, mnich jeden, przekonany, że każda napotkana kobieta tylko myśli o tym, jak by go tu sprowadzić na złą drogę! Najpierw by na siebie spojrzął, chudzielec, kości nawet przez kurtkę kłują! Mocniej ścisnęłam kolana i razem z Weresem potoczyłam się po kapie, lądując na nim. Ciekawe czy namiętne duszenie od strony pleców będzie wyglądało na miłosne pieszczoty?!

- A ja jako wilkołak mówię ci, że jest! I kicham na twoje czary i ciebie razem z nimi, słuch i węch jeszcze ani razu mnie nie zawiodły!

- No dobrze - zgodził się Weres niespodziewanie. - Rozbieraj się!

- Co?!

- Zdejmij koszulę i rzuć ją przez ramię.

- Po co?

- Po to! - Czarownik gwałtownie pociągnął za sznurówkę. Teraz ja poczułam się niezręcznie, warknęłam i odsunęłam, ale było za późno - wełniana koszula pozostała w rękach mężczyzny, a spodnia zadarła się aż po pachy. Z boku musiało to wyglądać całkiem intrygująco, ponieważ typek za lustrem zaczął sapać jeszcze głośniej.

Weres zmiażdżył zdobyczą i niedbale rzucił przed siebie. Ciekawa sprawa, dopóki czarodziejowi, który doskonale wiedział, w co zmieniają się moje wdzięki w świetle księżyca, było wszystko jedno, na złość jemu absolutnie nie krępowałam się wyzywająco je demonstrować. Natomiast zagrożona niedobrowolną stratą ubrania, uczepliłam się resztek jak niewinna panna, zmuszona do wyjścia za mąż za starego zboreźnika!

Ale Weres nie okazał żadnych względów. Ani koszuli, ani pannie. W skupieniu odsunął mnie na bok, po czym ostrożnie spuścił nogi z łóżka i na palcach podkradł się do lustra, na wpół zasłoniętego moją koszulą, która wyglądała jak przyklejona do szklanej tafli.

Ostatecznie nie zdecydowałam, czy mam się obrazić czy odetchnąć z ulgą i znalazłam się przy ścianie ledwo sekundę później niż czarodziej, zajmując pozycję po lewej stronie ramy. Jeżeli szpieg zacznie podejrzewać, że coś nie gra, pochyli się i spojrzy przez dolną część tafli to zobaczy wyłącznie nogi Weresa i oparcie łóżka, co nie będzie specjalnie problematyczne: kto tam może wiedzieć po co mężczyzna wstał, może chciał drzwi sprawdzić albo zdjąć z palca drapiący pierścionek i schować do szkatułki?

Udało się: nieproszony widz jęknął rozpaczliwie, zapominając o konspiracji do tego stopnia, że nawet Weres by usłyszał, gdyby przyłożył ucho do szkła. Tymczasem czarodziej uważnie badał zasłonięte lustro, wodząc nad nim dłonią, jak tania wróżka nad miską z wodą. Przy czym wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej chmurny i zamyślony. Niemalże słyszałam śpiewne „...oj kochanieńka, czeka cię droga daleka i mężczyzna czarnowłosy”, gdy nagle koszula sama z siebie

poruszyła rękawami, jak gdyby w środku znajdował się zziębnięty duch, po czym zaczęła powoli spełzać w dół.

Weres również nie spodziewał się takiej samowoli, ale jeśli dał się zaskoczyć to tylko na chwilę, bo w następnej gwałtownie pchnął w sam środek lustra rozczapierzonymi palcami. Odniosłam wrażenie, że cios był leciutki i szkło po nim powinno zaledwie zadzwonić. No i zadzwoniło... okruszkami spadając na podłogę.

Dokładnie tak jak mówiłam, za nim znajdował się prowadzący w mrok otwór, dwa razy szerszy od lustra i nie wiadomo o ile wyższy. Nie miałam okazji ani dokładnie go sobie obejrzeć, ani pokazać czarownikowi rozradowany wyraz mojej twarzy - połowa odłamków jeszcze wisiała w powietrzu, gdy z tajemnego przejścia, rozrzucając je na boki, wyleciała kula ognista, która w jednej chwili zamieniła Weresa w słup płomieni. Gobelin i oparcie łóżka zostały gęsto udekorowane szklanymi okruciami, kilka wbiło mi się również w rękę, bezwiednie uniesioną, by osłonić oczy.

- Szel, łap go!

Cóż, ostatecznie życzenie jest święte, chociaż pałacy się czarownik mógł postarać się i wymyśleć zadanie pośmiertne jeszcze bardziej zakręcone, niż to zrobiła Delirna. Poza tym w tamtej chwili nie byłam w stanie samodzielnie zdecydować, co w tej sytuacji robić, więc bez namysłu przeskoczyłam przez pustą ramę i jednym rzutem oka oceniłam sytuację. Nieprzyjaciel uciekał ile sił w nogach i zdążył zniknąć w mroku przed ludzkim spojrzeniem, ale nie przed wilczym. Biegł prawie bezgłośnie i zwinnie jak elf, machając czarnym płaszczem przy lewej odnodze korytarza, ale znikając w prawej. Ktoś inny pewno by dał się zmylić. To pewnie dlatego elfy nie lubią wilkołaków - po dwóch czy trzech takich zakrętach uciekinier uznał, że jest względnie bezpieczny, ale gdy wyhamował i spojrzał do tyłu musiał być poważnie rozczarowany. Zresztą, nawet porządny obywatel Grodu pewnie nie poczułby się nadmiernie szczęśliwy na widok dwóch zbliżających się zrywami lśniących punktów.

Okazało się, że mój przeciwnik umie biegać jeszcze szybciej! Na początku jakby się zawahał i zaczął gwałtownie wykonywać jakieś czarodziejskie gesty, więc pochyliłam głowę gotując się, by paść na podłogę albo przytulić do ściany. Jednak ostatecznie przestraszył się, że w ten sposób ktoś może go wykryć, a może uznał, że w ciasnym korytarzu planowane magiczne świństwo nie zadziała, więc nagle zrezygnował, zacisnął pięści i podjął energiczną pracę nogami.

Przy następnej odnodze na chwilę się zatrzymał, rozglądając na boki jak sznur - do której nory w tym labiryncie najlepiej zanurkować? Miałam wrażenie, że najbardziej spodobał mu się środkowy korytarz, ale mądre zwierzę nigdy nie zaprowadzi ogara do własnego leża - będzie do ostatka krążyło po lesie, mając nadzieję zmylić pogoń i uciec. Sama często tak robiłam. Ale wybór tego typka sprawił, że znalazłam się w ślepych zaułku. W każdym sensie tego słowa - lewa odnoga kończyła się ścianą, co zrozumiałam już w odległości kilku sążni na podstawie odbijającego się od niej echa.

Tupot z przodu ucichł, ale gdy zwolniłam, zaczęłam skradać i ostrożnie wyjrzałam za róg, mrok przeciął złocisty prostokąt z zazębionymi brzegami, w którym przemknął rozwiany płaszcz, uwieńczony grzywą elfich włosów, po czym przejście ponownie zamknęło się do ledwo zauważalnej szczeliny. Przeleciałam przez nie już bokiem, dziękując niebiosom, że w tej chwili nie mam ogona, bo w przeciwnym razie bym go straciła.

Znalazłam się w dziwnie znajomym pokoju, przy czym najbardziej znanym jego elementem była Virra, która z zagubionym wyrazem twarzy stała przy drzwiach i nasłuchiwała.

Nie wiem, kto zdziwił się bardziej: ja, uciekinier, czy dziewczynka, która się odwróciła, słysząc hałas. O ile mała ograniczyła się do szerokiego otwarcia oczu i wyciągnięcia do przodu rozczapierzonej dłoni, jak gdyby miała nadzieję, że w ten sposób się obroni, to elf postanowił nie pozostawić żadnych świadków swojej niegodnej ucieczki. Już prawie zrównał się z Virrą, jedną ręką biorąc zamach nożem, a drugą sięgając klamki, gdy postanowiłam olać wszystkie środki ostrożności i jednym sprężystym skokiem przeleciałam przez pokój, po czym jak ryś, wszystkimi czterema kończynami spadłam mu na ramiona. Uciekiniera mocno rzuciło do przodu, na futrynę, coś głośno chrupnęło, przed oczami mignęły mi kiwające się frędzelki trzciny plecionki, następnie twarz Virry, blada i dziwnie skupiona, a ostatecznie dywan. Dużo dywanu.

Nie śpieszyłam się ze wstawaniem. Z głośnym stęknieniem wypuściłam powietrze w gęste włosie, po czym z całej siły walnęłam je pięścią. Mojemu przeciwnikowi nigdzie się już nie śpieszyło, spokojnie leżał przy drzwiach w rozluźnionej pozycji, niczym wycieraczka, tętniąc życiem w równym stopniu.

Koło niego stała dziewczynka, która ostatecznie nie ruszyła się z miejsca. Jej złociste loki zakrywały opuszczoną twarz, nie pozwalając ocenić miny.

- Virro, wszystko w z tobą porządku? - zapytałam ochryple.

- Aha... - odezwała się mała natychmiast, po czym żwawo przeskoczyła przez trupa i podbiegła do mnie. - Ojej, naprawdę kogoś zabiłaś! A ja myślałam, że żartujesz!

- Ja również. - Zerknęłam na usłudźniętą małą dłoń, westchnęłam i wstałam sama. W uszach szumiała mi krew, zagłuszając dźwięk kroków na kamiennych płytach korytarza, póki nie zrobiło się zbyt późno, by łapać za zasuwę. Przecież mówiłam Virrze, żeby zamknęła!!!

Szczęśliwie w progu stanął nie oddział ponurych elfów z naciągniętymi kuszami, tylko Mrok i Rest. Wątpiłam by uznali, iż wpadną z sąsiedzką wizytą, prawdopodobnie szli do Weresa mijając nasze drzwi, gdy usłyszeli za nimi podejrzany łomot.

Na twarzach gości odmalowała się stuprocentowa pewność, że ich wizyta nie będzie daremna. Tak oprócz pozostałych, całkiem różnorodnych emocji.

- Wiedziałem! - zakrzyknął smok patetycznie, oskarżycielsko wskazując palcem trupa. - Wystarczyło, że na chwilę zostawiliśmy pomrokę bez nadzoru, a już kogoś zagryzła!

- Nie zabijałam go! - obruszyłam się. - A już na pewno nie gryzłam!

- Aha, po prostu położył się na środku twojego pokoju celem odbycia drzemki i cicho odszedł we śnie!

- No dobrze, to niechący - poprawiłam z roztargnieniem. - Skąd mogłam wiedzieć, że tak niefortunnie upadnie?!

- Zobaczmy jak będziesz to tłumaczyć elfom! - Choć smok kipiał oburzeniem, śpiesznie zamknął za sobą drzwi. Rest schował się za nim, patrząc na mnie i na trupa z jednakowym przerażeniem. Virra przeciwnie, bez cienia strachu kucnęła przy moich stopach, oglądając ciemnoniebieskie wzory haftu na płaszczu nieżyjącego elfa.

- Tak samo jak wam. Powiem, że śmierć jednego z moich towarzyszy nieco wytrąciła mnie z równowagi i przeszkodziła we właściwym obliczeniu sił - odgryzłam się, zauważając, tajemne przejście jednak capnęło mnie za koszulę, wrywając z niej solidną szmatę - teraz cudacznie sterczała ze ściany, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak monolit.

Mrok potrzebował kilku sekund, by przetrwać pozyskaną informację, ale nie zdążył ani zemdleć ani, co było znacznie bardziej prawdopodobne, wczepić się w moje gardło w celu wytrąsnięcia prawdy - tajemne przejście znów bezdźwięcznie się otworzyło, po czym wyszedł z niego Weres, cały i zdrowy. No dobrze, może nie do końca zdrowy - usmarowany sadzą czarodziej dymił od stóp do głów, jak głównia polana wodą. Ale ponieważ włosy i ubranie na nim ocalały, nie martwiłam się o całą resztę. W przeciwieństwie do Mroka i Rest. Rzucili się na spotkanie niepalnego towarzysza z takimi radosnymi wrzaskami, że nie zdziwiłby mnie drugi „przypadkowy” trup,

Weres okazał się mocniejszy. Poza tym, czarodzieja bardziej interesował jego pechowy kolega, nad którym natychmiast się pochylił, nieuprzejmie wrywając z przyjacielskich objęć.

- Ona mu skręciła kark! - doniósł Rest natychmiast, nie wypuszczając poły mistrza, pewnie po to by upewnić się, że nie jest złudzeniem.

Jednak paskudny kres typu, który prawie upiekł Weresa w sosie własnym, nie wzbudził w tym ostatnim najmniejszego współczucia.

- Cicho bądź - rzucił, przekręcając trupa na plecy. - Nie no, elf czystej krwi!

- I na jakimś ważnym stanowisku - dodałam z rezygnacją. Pod rozchyłonym na piersi płaszczem widać było bogaty haft na kubraku, na którym rozsypały się trzy pasma brylantowego naszyjnika. Złoty wzór ciągnął się również po zewnętrznej stronie aksamitnych obcisłych nogawek, które zamiast wysokich butów czy pantofli wsadzone były w podniszczone domowe kapcie na miękkich podszwach.

- Chyba widziałem go na ceremonii. - Weres bez najmniejszego szacunku złapał głowę przeciwnika za podbródek i pokręcił z boku na bok. - Dokładnie, stał za tronem Lliotarela!

- Jako doradca? - zasugerował Mrok.

- Nie, grupa doradców stała po lewej, a członkowie Naczelnej Siódemki po prawej. Myślę, że to któryś z pałacowych magów albo nacelnik tajnych służb.

No i tyle, czy jestem wilkołakiem czy nie, zakopią nas razem z tym trupem!

- I co mamy teraz z nim zrobić? - zapytał smok ochryplym szeptem, zerkając na drzwi.

Nie no, uszom nie wierzę - „mamy”! Chyba Weres również nie miał zamiaru ustępować mi honorów głównej winowajczyni w tym zwycięstwie sił zła nad dobrem.

- Potniemy i spalimy w kominku - zasugerowałam posępnie, nieco pokrzepiona takim obrotem sprawy.

- Będzie śmierdziało. - Virra autorytatywnie zmarszczyła nos.

- Jeżeli po prostu zostawimy go by tu leżał, będzie śmierdziało jeszcze bardziej.

- To weź go zjedz - zaproponował czarodziej z poważnym wyrazem twarzy, szturchając zwłoki palcem w bok, jak w kramie rzeźnika. - Patrz jaki jest miękki i soczysty, na pewno smaczniejszy od tamtego kudłaka. Może Mrok tym razem również dotrzyma ci towarzystwa...?

Co prawda był to jedynie przejaw naszego wisielczego poczucia humoru, ale smok chyba nie zrozumiał, bo nieśmiało wydukał:

- A może po prostu wepchniemy go z powrotem do tajemnego przejścia i zamkniemy drzwi?

- Nie będziemy nawet z miejsca ruszali, za wielki honor - zbył go Weres. - Tylko przeszukam go na wszelki wypadek i pójdę do Lliotarela z przeprosinami. A raczej ze skargą, bo nie jestem pewien kto by tu leżał, gdyby nie szczęśliwy przypadek, tfu, wypadek. Virra! Nie ruszaj tego sztyletu, może być zatruty!

Nadzieja czarodzieja, że dziewczynka jak oparzona cofnie rękę od ostrza, które potoczyło się pod łóżko, była płonna. Mała ograniczyła się do rzucenia mu karcącego spojrzenia, a następnie ostrożnie, dwoma palcami podniosła sztylet za koniuszek rękojeści i przyniosła do mnie. Owszem, był zatruty: ostrze wyraźnie śmierdziało palonym cukrem.

- Ojej, a mogę go sobie zostawić? - zaczęła piszczeć Virra, która po mojej konkluzji zapalała do ostrza jeszcze większym uczuciem. Przynajmniej nie zaczęła go tulić w ramionach jak lalkę.

- Natychmiast rzuć to paskudztwo! - rozkazałam surowym tonem, ściskając jej nadgarstek. Sztylet z głuchym łupnięciem spadł tuż przy podkurczonej ręce elfa. Dziewczynka pisnęła z bólu, natychmiast naburmuszyła się, odeszła w głąb pokoju, klapnęła na fotel i demonstracyjnie odwróciła w kierunku okna,

- A skąd on się tu w ogóle wziął? - zastanawiał się Mrok. - Pomylił Szelenę z driadą czy jak?

Weres pokrótce wyjaśnił, wspominając zarówno zagadkowy artefakt jak i nasze znaleziska.

- Więc naiwnie uznaliście, że władca Grodu tak po prostu Wpuści was do swoich komnat?! - Mrok zagapił się na mnie z takim oburzeniem, jak gdyby ani przez chwilę nie wątpił, czyj to był pomysł. - Oczywiście, że wysłał za wami swojego szpiega! W tajemnicy, żeby z jednej strony nie obrazić brakiem zaufania, a z drugiej sprawdzić, czy nie przygotowujecie mu jakiegoś świństwa!

- Czyli, czy prawdziwym celem naszego pojawienia się w Grodzie nie jest przypadkiem jeszcze bardziej bezczelna kradzież boczkę, mająca na celu ostateczną demoralizację dumnych elfów? - sprecyzowałam sceptycznie.

Mrok nie rozumiał dowcipu, ale przynajmniej się zamknął.

- W takim razie po co ten trup, znaczy się typ, zaatakował mnie i uciekał przed Szeleną? - odparł czarodziej rozsądnie. - Nie, myślę, że śledził również Lliotarela.

- Ale dla kogo?

Weres spojrzał na mnie jak sławna wyrocznia na obdartą babę, która zjawiała się w jego poczekalni z prośbą o wróżbę w celu ustalenia, która z sąsiadek podrzuciła jej do ogródka zdechłą

kurę. No tak, faktycznie durne pytanie.

- A nie możesz wezwać jego ducha i zapytać? - poprawiłam się.

- Wezwanie ducha maga, o ile on sam sobie tego nie życzy, jest niemożliwe. Poza tym przeprowadzenie nekromanckiego rytuału w pałacu elfów jest równoważne z rozłożeniem na korytarzu ogniska z wilgotnych świerkowych gałęzi. Po pięciu minutach dym i zapach rozpełzną się po wszystkich zakamarkach - odparł rzeczowo, piędź po piędzi obmacując martwe ciało, zaczynając od stóp. To wprost fascynujące ile różnych drobiazgów można schować w jednej szacie, i to z wyglądu całkiem obcisłej! Nie mniej niż dziesięć amuletów, od ogromnego pazura przypominającego niedźwiedzi do całkiem niewinnej spinki zwieńczonej miniaturową czaszką. Zwój papierów, które ze złośliwym syczeniem stopniały Weresowi w rękach, zanim zdążył przeczytać choć parę linijek. Zwykły srebrny pierścionek, z kryształową warstwą nie wiadomo w jaki sposób wtopioną w metal. Kościany gwizdek, przypominający te do wzywania psów. Kolejny sztylet, bliźniak tego, który upodobała sobie Virra. I to wszystko wyłącznie w spodniach!

Weres potrząsnął kapciem i na podłogę spadł kawałek plastra na odciski.

- Poza tym, Mroku, zwróć uwagę na jego buty. Po powrocie z posłuchania wyraźnie nie miał zamiaru nigdzie iść skoro zdjął ciasne buty i włożył kapcie. Ale coś sprawiło, że zdecydował się pilnie skorzystać z tajemnego przejścia. Mam wrażenie, że na drzwiach Lliotarela zamontowany jest magiczny podsłuch, informujący o przybyciu i wyjściu właściciela komnat. A nasz trup dokładnie wiedział, że w tym czasie władcy nie powinno być na miejscu - czas przed obiadem spędza on w gabinecie razem z naczelnym doradcą, czytając i podpisując dokumenty. Tak więc zerwał się, by sprawdzić kto tam wlaźł i czego szuka.

- Czekaj no... - Sięgnęłam Weresowi przez ramię, chwilę po majstrowałam przy klamrze na pasie martwego elfa i wyciągnęłam z jego spodni giętką wstęgę szerokości dwóch palców, wykonaną z łuskowo przylegających do siebie pierścieni w ten sposób, że mogła zginać się wyłącznie w jedną stronę. Miedź, czerwone złoto? Chyba tylko pokrycie, metale te były zbyt delikatne i podatne na złamanie. A już na pewno nie nadawały się do wykonania obroży-dławika na psa. - Współczesna elfia moda, hę?

Zademonstrowałam towarzyszom ślizgającą się po wstędze pętlę z misternie wbudowanym w spinkę zamkiem i kolejną, sztywno zamocowaną, na rękę. W stanie złożonym smycz różniła się od pasa wyłącznie tym, że kompletnie nie pasowała do spodni, była zbyt wąska i ruszała się w szlufkach jak wykonany z powroza pasek wiejskiego pastucha. I właśnie to mnie zaniepokoiło. Uroczyście pomachałam znaleziskiem przed nosem czarodzieja, ale nie śpieszyłam się by mu je podać, tylko sama przystąpiłam do badania. Z jakiegoś powodu dotyk metalu był nieprzyjemny, choć nie tak bolesny jak w przypadku czystego srebra. Ale stanowczo była tu jakaś jego domieszka. Pomiędzy łuskami utknęło kilka włosków futra nieokreślonego koloru - ni to jasnoszare, ni to w ogóle bezbarwne, półprzezroczyste. Pod trzema podejrzliwymi spojrzeniami powąchałam znalezisko i w zamyśleniu chwilę siedziałam trzymając je przy twarzy, trawiąc odczucia.

- I co? - nie wytrzymał Mrok.

- Pachnie zwierzęciem.

- Jakim?

Spróbowałam możliwie dokładnie odwzorować pogardliwe spojrzenie czarodzieja.

- Kudłatym. Może jakiś gatunek psa... Chociaż nie jestem pewna.

- A co cię niepokoi? - Weres w końcu odebrał mi smycz

I zwinnie pracując palcami bawił się nią przesuwając po jednym pierścieniu na raz, jak na różańcu.

- Ten pies jest nieżywy.

- Czyli niepokieszony mag nosił ten pasek jako pamięć o zdechłymupilu? - Smok próbował zażartować. - Albo w ogóle podniósł go z mogiłki i teraz po nocach wyprowadza na spacer, by nie straszyć sąsiadów widokiem rozkładającej się trupa?

- Powiedziałaś nieżywy, a nie martwy - skrzywiłam się z irytacją. - Wszystkie pomroki, tak samo jak leśne zwierzęta mają ze sobą coś wspólnego... Oczywiście nie trupi smród, ale ostry, dość specyficzny zapaszek, którego tak bardzo nie znoszą psy. I chyba już zetknęłam się z tym



konkretnym... a przynajmniej czymś do niego bardzo podobnym... Weresie, nad czym się tak zastanawiasz? Ta zabawka jest magiczna?

- W pewnym sensie. Została stworzona magicznym sposobem, nie da się pozyskać takiego stopu metali naturalnie. Ale zaklęć na niej nie ma. Szel, a co ty masz na myśli? Tego stwora o trzech palcach, który nazostawiał śladów dookoła Wysiedliska?

- Tak i nie. To coś podobnego, ale nie on. Podobieństwo mniej więcej jak między psem a wilkiem.

- Dasz radę go zapamiętać? Bo pasek pewnie będziemy musieli oddać.

- Też pytanie! - prychnęłam pogardliwie. - Jeżeli jakiś parszywy kundel jest w stanie odróżnić zapach lisa od wilka, to co dopiero mówić o wilkołaku?

- A ja bym chętnie porozmawiał na ten temat - rozległo się za moimi plecami równocześnie z bładozielonym rozbłyskiem światła, któremu towarzyszył lekki aromat jałowcowego dymu,

Nadal klęcząc, gwałtownie odwróciłam głowę i prawie zaryłam nosem w jedwabny płaszcz.

- O żesz mać! - powiedziałam z uczuciem, oczywiście zapominając zarówno o „o” jak i o „-el”.

Morriel pojął, że nie doczeka się wylewnego powitania, podniósł i wygiął prawą brew nie gorzej od łuku, jak gdyby zamierzając strzelić z oka magiczną strzałą. Nie zdążyłam przekonać się, czy jest do tego zdolny, bo widok zasłoniły mi plecy Weresa.

- I od kiedy to szlachetne elfy bez pukania teleportują się do pokoi gościnnych, i to jeszcze zajętych przez damy? - zapytał czarodziej beczelnie, wyraźnie prosząc się o poczęstowanie kolejną kulką ognistą.

Ale Morriel nie śpieszył się z zafundowaniem mu tej przyjemności.

- Pomyślałem sobie, że twojej „damie” nie zaszkodzi niewielki sprawdzian. Weres, czy nie masz przypadkiem wrażenia, że drugi raz nadeptujesz na te same grabie? - Mag „rozładował” brew i zadał pytanie stanowczo nazbyt słodkim acz nieszczególnie agresywnym tonem.

- Tym razem chyba na bronę. - Czarodziej uśmiechnął się sztucznie, ale nie ruszył z miejsca. - Morrielu, kto to jest?

- Drugi miejski mag, mój zastępca - odpowiedział elf bez szczególnej rozpaczy kreśląc w powietrzu należyty znak żałoby. Wydawał się całkiem zadowolony, widząc leżące na dywanie ciało. - Były zastępca... Do tego stopnia wam się nie spodobał?

- Próbował zabić mnie i dziewczynkę.

Teraz dla odmiany Virra wcisnęła się pomiędzy czarodzieja a elfa, po czym wyzywająco popatrzyła na elfiego maga z dołu do góry, naśladując Weresa oparła ręce na biodrach i z irytacją sapała nosem. Rest i Mrok również podeszli bliżej, osłaniając Weresa z boków. Ja rozsądnie się nie wychylałam, podglądając maga na przemian zza łokcia obrońcy oraz przez szczelinę pomiędzy jego nogami.

- Zdarzało mu się - potwierdził Morriel ze stoickim spokojem, jak gdyby przypadkiem robiąc krok do tyłu. - Na mnie osobiście zorganizował cztery zamachy, a przynajmniej tyle zauważyłem. Ci zastępcy to zawsze problem, cały czas próbują zastąpić cię w bardziej permanentny sposób.

- To może nam wypłacisz za niego jakąś nagrodę? - Weres zaryzykował jeszcze większą beczelność.

Elf z wyraźnym żalem pokręcił głową.

- Niestety, Lliotarel za bardzo mu ufał, więc będziecie musieli tłumaczyć się przed władcą. A jeżeli dowie się jeszcze o tym, że przytaszczyłeś do Grodu wilkołaka...

- A jeśli się nie dowie? - przerwał mu czarodziej bezceremonialnie. Morriel nie odpowiedział, ale chyba się zamyślił, z rękoma złożonymi na piersiach i dłońmi schowanymi w szerokich rękawach. Mogłabym przysiąc, że bez szczególnych przeszkód dalej obserwuje mnie poprzez czarodzieja i dziewczynkę - miałam wrażenie, że świdruje mnie uważne spojrzenie, którego autor jeszcze nie do końca wyrobił sobie opinię na mój temat.

Weres skorzystał z pauzy i ponownie pochylił nad trupem, szybko kończąc rewizję. Kupka

znalezisk wzrosła trzykrotnie za sprawą płaskiego czarnego pudełka, które śmierdziało palonym cukrem jeszcze mocniej niż sztylet, chustki z monogramem, w której Morriel ze zdziwieniem rozpoznał swoją własność, pęku kluczy, wypchanej złotem sakiewki i podobnego do gwiazdy znaku na łańcuszku, który czarownik upuścił z takim wstrętem, jakby błyskotka oparzyła mu palce.

- Morri, czy on należał do Rady Konwentu Magów?

Elf ze smutkiem zerknął na Weresa, nie pochwalając takiej poufałości przy świadkach, a już szczególnie wilkołakach, ale jednak raczył odpowiedzieć:

- Tak, obaj reprezentowaliśmy tam naszą część Jesionowego Grodu. Co prawda ostatnio trochę osobno, ponieważ Assariel prawie zawsze głosował na stronie wolnych czarodziejów. Ale jako mag niewiele mi ustępował, więc trzeba się było z tym liczyć. Ostatecznie wolność opinii to podstawowa zasada Rady Konwentu, a interesów Grodu pilnował bardzo starannie, więc nie miałem się czego przyczepić. Lliotarel wysoko cenił jego talenty dyplomatyczne, więc będziesz musiał się bardzo postarać, żeby je przyćmić...

Morriel uczciwie robił wszystko by ostatecznie zepsuć nam nastrój. Wszystkim oprócz Weresa.

- A ja z niewiadomego powodu mam wrażenie, że władca Grodu nie będzie się na nas tak bardzo gniewał - stwierdził czarodziej tajemniczym tonem, lekko przeciągając słowa. - Nawet wręcz przeciwnie.

Po czym powoli wyciągnął rękę zza pazuchy elfiego kubraka i pokazując wypolerowany do połysku ni to korzeń, ni to sękaty odcinek gałęzi długości dłoni, pokryty pajęczynką żyłek-run, po którym jak bicie serca przebiegały ciemnoniebieskie rozbłyski. Nikomu nie musiał wyjaśniać, co to takiego.

Tym razem niezmiernie wysoka opinia elfów o własnej rasie zadziałała na naszą korzyść. Ku mojej niewysłowionej uldze nie musieliśmy udowadniać, że to nie my niezauważalnie przynieśliśmy berło do Grodu i podrzuciliśmy trupowi. Żaden z członków Naczelnej Siódemki nie wątpił, że artefakt ukradł właśnie podręczny głównego maga. Nikt poza samym Morrielem (lub Delirną) nie miał dosyć mocy by ukrywać go przed magicznymi poszukiwaniami, które codziennie podejmowane były połączonymi wysiłkami elfich magów. Co zabawniejsze, złodziej za życia również brał w nich udział, misternie zniekształcając swoją część zaklęcia i nader udatnie rozpaczając razem z innymi nad niepowodzeniem kolejnej próby. Wystarczyło, byśmy wyszli z terytorium driad berłem, a magowie od razu by nas wykryli.

Czarodziej co prawda pogardliwie krzywił wargi słuchając tych wszystkich przemów, ale nie przekonywał elfów o błędności ich opinii. Dla własnego dobra.

Morriel nadal nie spuszczał ze mnie oczu, ale milczał. Wyglądało na to, że zastępca istotnie bardzo załazł mu za skórę i to zmusiło go do przyznania, że wilkołaki również czasem się przydają. Elf wyglądał na niemożliwie zadowolonego. Zresztą miał powody: Lliotarel był do tego stopnia zaszokowany zdradą swojego najlepszego doradcy i towarzysza od kieliszka, że traktował jeszcze niedawno będącego w niełasce Morriela tak, jakby to on był władcą Grodu. A mag korzystał z tego na całego, co drugie słowo wstawiając „A nie mówiłem?”; „A przecież jeszcze wtedy ostrzegałem Waszą Światłość” oraz wzdychał znacząco.

Elfi czarodzieje dokładnie zbadali berło i doszli do wniosku, że artefakt jest gotów, by kontynuować swoją płodną działalność. Co zostało udowodnione natychmiast, gdy na życzenie Morriela wprost na środku sali tronowej wyrósł gigantyczny świerk, od góry do dołu obwieszony szyszkami. Elfy zastanowiły się po grzyba im ten iglasty olbrzym akurat w tym miejscu, dopiero gdy skończyły cieszyć się z jego pojawienia. A zresztą co tam, jakoś go spiłują, najważniejsze, że berło się znalazło!

Ale za to zniknęło kilka elfów, najbliższych towarzyszy Assariela. Dochodzenie wykazało, że teleportowali się z Grodu natychmiast na wieść o śmierci swojego szefa, i to nie używając śpiesznie skleconych zaklęć, a przy pomocy specjalnie przygotowanych portali. Które w dodatku natychmiast uległy samozniszczeniu, rodząc takie zakłócenia magiczne, że nie udało się ustalić, dokąd prowadziły. Jeszcze dziwniejsze było to, że niektórzy spiskowcy uciekli z Grodu jeszcze wcześniej. Może wyczuli zagrożenie z naszej strony? Bzdura. Niby w jaki sposób „najmądrzejszych

i niezrównanych” mogliby przestraszyć osłabiony czarodziej, dziewczyna wyglądająca na zwykłego człowieka, dwójka dzieci i młody, niezbyt inteligentny smok?

Czyli równocześnie z naszym przybyciem wydarzyło się coś jeszcze. Może rozwiązanie zagadki znajdowało się w znalezionych przy zwłokach papierach, których nie zdołał przeczytać Weres?

Niestety, nie miałam okazji, by spokojnie usiąść i się na tym zastanowić, ponieważ elfy w końcu przypomniały sobie kto przyłożył ręce (i nogi) do zwrotu ich ukochanej relikwii.

Ponownie doprowadzono nas do tronu, tym razem prawie na styk, ponieważ w utrzymaniu pełnego szacunku dystansu przeszkadzał świerk, który zasłaniał przed władcą większą część sali. Oczywiście Lliotarel ani myślał padać nam do stóp i w ogóle wydawał się uważać, że chwalenie ludzi jest kompromitujące. Ale tak czy siak wyduśił z siebie niewielką mowę pochwalną. Gdyby nie wsłuchiwać się dokładnie, to spokojnie można było pomylić ją z oskarżycielskim wyrokiem - władca na wszystkie sytuacje życiowe stosował tylko jedną intonację. Ciekawa jestem, ile na niego trzeba było zużyć tego afrodyzjaku?!

Naczelną Siódemką miała wiele szczęścia, że Weres był zbyt zmęczony, by długo i nudnie zapychać im uszy zwrotnymi wyrazami wdzięczności. I tak patrzył na władcę Jesionowego Grodu jak młoda matka na drące się niemowlę: „Oż, kochanie moje, kiedy ty się w końcu zamkniesz?!” Elfia kurtka zdobiona frędzlami i szczerze udekorowana drobnymi perłami prezentowała się na nim jak kubrak błazna. Ciekawe, za to na Morrieli wyglądała prawie jak roboczy fartuch. Jednak Weres musiał ścierpieć ten niechciany przepych, gdyż zwęglone szmaty stanowczo nie nadawały się na oficjalne spotkanie z Naczelną Siódemką.

- Więc teraz usuniecie granicę? - Czarodziej ograniczył się do roztargnionego kiwnięcia głową w odpowiedzi i jedynego pytania.

Lliotarel odwrócił się do doradców, a jeden z nich z ukłonem wystąpił do przodu i z szacunkiem zameldował:

- Mości władco, granica została już zdjęta, a do driad wysłano poselstwo ze szczerymi przeprosinami i prezentami.

Weres z pełnym ulgi westchnieniem wyprostował plecy, ale zmarszczka pomiędzy jego brwiami nie znikła.

- Doskonale... o najsprawiedliwszy. A jak wygląda kwestia populacji pomrok na pustkowiach? Jak już mówiłem, obiecaliśmy Delirnie, że zbadamy okoliczności jej śmierci i właśnie to nas tutaj przywiodło. Nieżyjąca władczyni Grodu bardzo ceniła waszą mądrość, przenikliwość i była przekonana, że po możecie nam poradzić sobie z tą kwestią.

Yhym, gdy przesiadywałyśmy koło klombu nie nazywała Lliotarela inaczej, jak „pyskatym skrzypem”. A przeżywała jeszcze barwniej. Miałam wrażenie, że rozległo się złośliwe pokasywanie starej driady... Sądząc z tego jak drgnął i skrzywił się władca, też je słyszał.

Tym razem zamiast Lliotarela odpowiedział Morriel:

- Na jednej z narad Rady Konwentu podjęto decyzję o wymianie podniszczonych amuletów na bardziej skuteczne.

- A dlaczego nie dało się najpierw zrobić nowych amuletów, a dopiero potem usuwać stare? - zdziwił się Mrok. Wcześniej również zauważyłam, że nie zwracał sobie głowy „wymyślnymi przemowami”, ale z niewiadomego powodu elfy nie czuły się z tego powodu urażone. Może dlatego, że smoki miały znacznie większe prawa do nazywania się Starszą Rasą? I nie rościły sobie oficjalnych praw do tego tytułu wyłącznie dlatego, że wszyscy i tak byli takiego stanu rzeczy świadomi. Tak więc elfy wołały nie podnosić owej kwestii.

- Niestety nie brałem udziału w tamtej naradzie. - Mag ze smutkiem rozłożył ręce. - A Assariel wyjaśnił, że było to technicznie niewykonalne i przekonał nas, byśmy zostawili sprawę odłogiem na miesiąc czy dwa. Niestety, uznaliśmy jego tłumaczenia za całkiem logiczne, a otoczenie Grodu murem odstrasającym pomroki i zapewnienie dodatkowej ochrony w postaci zaklęć nie było skomplikowane. Zresztą, przedtem na pustkowiach pomroki również nie sprawiały nam problemów. O szczegółach śmierci Delirny dowiedzieliśmy się dopiero od was i jesteśmy nie mniej zszokowani.

- I to nie wydaje się wam dziwne, o najpotężniejszy z magów? - Zaciśnięłam zęby i udało mi się wykrztusić uprzejmą formułkę, ale intonacja zawiodła. - Skąd ta pewność, że przed pomrokami chronią właśnie wasze zaklęcia? Może one po prostu czekają na dogodny moment, by po zwiększeniu swojej populacji zagarnąć wszystko i w jednej chwili?

- Jesteśmy pewni. Magiczna osłona nie działa wyłącznie na wilkołaki, ku mojej wielkiej rozpaczy - wyraziście stwierdził Morriel. - Ale pracujemy nad tym.

- Życzę wielu sukcesów - oznajmiłam beczelnie i na wszelki wypadek przysunęłam się bliżej Weresa. Czarodziej przyjął ten manewr bez szczególnego zachwyty, ale nie ruszył się z miejsca.

- Sprawę z Konwentem i artefaktami załatwię już jutro - obiecał Morriel z wielką pewnością. - A wy, jeśli macie ochotę, możecie przespacerować się po pustkowiach i poszukać mordercy Delirny, skoro takie było jej ostatnie życzenie.

Aha, o niczym innym nie marzymy! Tym razem zmilczałam, ale minę musiałam mieć tak wyrazistą, że Naczelną Siódmką zaczęła niezgodnie parskać i poruszać się niespokojnie, spoglądając na maga. Lliotarel z roztargnieniem pogłaskał leżący na kolanach artefakt. Miałam wrażenie, że nieprędko powierzy go kolejnej skrytce, pewnie nawet na noc wpakuje pod poduszkę,

- A czy driady udzieliły wam jakiejś pomocy na tej ciernistej drodze?

- Obiecały, że dadzą nam setkę łuczniczek. - Mrok pogardliwie prychnął, demonstrując swoje „pochlebne” zdanie o takiej pomocy,

Naczelnicy spojrzeli po sobie z takimi minami jakby już sto lat temu osiągnęli całkowite porozumienie i nie potrzebowali czegoś tak banalnego jak słowa. Już uznałam, że rozmawiają ze sobą telepatycznie, ale w tejże chwili władca i doradcy doszli do tego, że mimo najlepszych chęci z samych tylko spojrzeń kaszy nie uwarzą, chwilowo przestali grać pod publikę, schylili ku sobie i zaczęli energicznie wymieniać szeptane komentarze,

Z namaszczeniem, a przynajmniej udając takowe, poczekaliśmy aż podejmą decyzję, wyprostują się, ponownie przyobleką twarze w mądrość stuleci i jeszcze zrobią malowniczą pauzę, żebyśmy mieli okazję ową mądrość podziwiać.

- Damy wam dwukrotnie więcej - ogłosił Lliotarel wspaniałomyślnie. - I to prawdziwych wojowników, a nie jakichś tam trzpiotek z łukami!

- A na ghyra nam oni pot... - Mrok wytrzeszczył na władcę oczy, ale Weres w samą porę zatkał mu usta i z wysiłkiem uśmiechnął się do elfa.

- O największy z władców, wasze zaufanie jest wprost niesłychane.

Lliotarel podejrzliwie zerknął na smoka, który z uporem mruczał do wnętrza dłoni czarodzieja, po czym wyszedł na środek sali i kontynuował:

- Ale pod jednym warunkiem. Jak wszyscy wiedzą, my, Starsza Rasa, jesteśmy nieprześcignionymi mistrzami sztuk walki. You! - I z całej siły rąbnął kantem dłoni w pień świeżo wyrosniętego świerka. Wbrew oczekiwaniom drzewo nie runęło, ale za to na głowy wszystkich obecnych zleciał grad szyszek. Elfy dalej stały z kamiennymi minami jakby właśnie taki był plan, a po tej efektownej demonstracji szyszki zostaną zebrane i odwieszane na swoje miejsca. My zachowaliśmy się znacznie bardziej emocjonalnie, wydając z siebie jeden czy dwa okrzyki, jedną tarczę magiczną i trzy niecenzuralne słowa - z czego te ostatnie należały do mnie.

- Widzę, że jesteście zszokowani naszą potęgą? - zauważył władca po dłuższej chwili milczenia.

- Niezmiernie - burknęłam, strząsając świerkowe igły z ramion.

- O szlachetny Lliotarelu, każda armia, której szeregi uszlachetnione zostaną obecnością przynajmniej jednego waszego wojownika po prostu nie może nie okazać się niezwykła - uprzejmie przytaknął Weres.

Elf majestatycznie skinął głową, ukradkiem masując rękę.

- Człowieku, masz całkowitą rację. Ale wyjaśnij nam, dlaczego mamy zniżyć się właśnie do twojej armii? Może cele waszego przeciwnika są szlachetniejsze, a jego myśli bardziej czyste?

- No tak, trudno o szlachetniejsze cele, niż kradzież amuletu płodności, zabicie władczyni Grodu i rozplenienie pomroki po całych pustkowiach od Belorii do Wolmenii - burknęłam, tym

razem nie potrafiąc się powstrzymać.

Ręce Weresa były już zajęte, w związku z czym ograniczył się do kuksańca łokciem pod zebra. Natomiast Lliotarel w przypiływie natchnienia dalej produkował się z głębi duszy:

- Mimo swojej ograniczoności powinniście rozumieć, że dowódca to przede wszystkim autorytet. Wojsko nie będzie słuchało byle kogo, i jeśli szacunek innych ras możecie zdobyć używając rozumu i przenikliwości, to my poczynimy dla was pewne ułatwienie - udowodnijcie nam, że jesteście w stanie zwyciężyć chociażby siłą. Przyjmijcie pojedynek z tuzinem naszych elitarnych wojowników, a zapewnię wam oddział liczący dwieście osób.

- A dlaczego tuzinem? - oburzyła się, po raz kolejny zapominając o niezbędnym „o”. - Czterech to bym jeszcze zrozumiała, a i to nie powinniśmy liczyć dzieciaka!

- Żeby jeszcze skuteczniej udowodnić wam nierozsądną waszych żądań - mgliście odparł władca.

- Ale my niczego nie żąda... - desperacko ryknął smok, gdy Weres zrobił ten błąd i usunął dłoń. Czarodziej natychmiast zatkał go z powrotem. - ...my...mmm! Mmmm!!!

- Mój przyjaciel jest tak bardzo zszokowany waszą dalekowzornością, że aż braknie mu słów - wyjaśnił Weres. Twarze elfów nieco pojaśniały. Władca skinął w kierunku Morriela, który brwiami zrobił jakiś znak pozostałym magom, złapał wystawionym palcem łańcuszek wiszącego na piersi medalionu i dźwięcznie pstryknął palcami.

Troje prowadzących do sali drzwi równocześnie otworzyło swe paszcze, wypluwając po cztery czarne figury. Natychmiast zrozumiałam, że ci chłopcy nie są w nastroju do żartów. Pochmurni, z włosami zebranymi w kucyk albo zaplecionymi w warkocz znacznie bardziej na miejscu wyglądałoby uzbrojeni w kiścienie na jakimś trakcie. Tyle dobrego, że w tej chwili nie mieli żadnej broni, jeśli nie liczyć mięśni, które przetaczały się pod skórą upodabniając ich do drapieżnych zwierząt. Obcisłe spodnie i kurtki bez rękawów wykonane ze skórzanych pasków z szerokimi sznurówkami pozwalały docenić ich obiecującą anatomię w całej okazałości.

Bez słowa stanęliśmy w kręgu ramię przy ramieniu.

- Dziecko, odejdz na bok - raczej poradził aniżeli rozkazał Lliotarel.

Virra pokazała mu język i pisnęła z oburzeniem, gdy jednym szarpnięciem przesunęłam ją sobie za plecy. Przy pewnej pomocy Weresa wylądował tam również Rest.

Elitarne elfy płynnie zbliżyły się do nas, poruszając rękoma i wyjąc jak dzikie koty, budząc we mnie niezmierną chęć, by wylać na nich wiadro wody albo może czegoś bardziej woniejącego.

Nie wiem jak tam u mnie ze sztukami walki, ale stanowczo poruszałam się szybciej i bez trudu zdołałam złapać uniesioną do kopniaka nogę, po czym radośnie okręcić przeciwnika dookoła siebie, po drodze zwalając kilku kolejnych. Biedak skakał na drugiej kończynie a czasem nawet latał, wrzeszcząc na sposób całkowicie niegodny przedstawiciela Starszej Rasy. Ostatecznie mi się to znudziło, poza tym ktoś trafił mnie w szyję. Okazało się, że to Mrok, przypadkiem.

Wyszczrzyłam się do niego, ale wściekłość wylądowałam na dwójce innych elitarnych typów, dźwięcznie zderzając ich łbami. I ledwo zdążyłam się uchylić, ponieważ nad moją głową pięknie przeleciał elf, który otrzymał od Weresa magiczny sierpowy w szczękę.

Rest wychylił się pomiędzy nas i zwinnie kopnął kolejnego wojownika w brzuch. A raczej tam celował, ale wyszło my nieco niżej i dlatego podle. Przeciwnik z jękiem zgiął się w pół, a ja by nie marnować okazji przyłożyłam mu od dołu splecionymi w kułak rękoma. Oczywiście Weres pozostawał poza konkurencją, ale mnie również wyszło niezgorzej: elf padł na plecy i przejechał na nich aż do samej ściany.

Leżał najwyżej pięć sekund, a następnie poruszył się, wstał i ponownie ruszył w moim kierunku, świeżutki jak ogóreczek. Nawet nie pomacał rozbitej głowy.

I właśnie w tym momencie zaczęłam podejrzewać, że coś jest nie tak.

- Weres - szepnęłam, gdy zbliżające się ze wszystkich stron elfy zmusiły nas do zetknięcia się plecami. - Oni niczym nie pachną. Nawet potem. Może to jakieś pomroki?

Czarodziej na chwilę się zamyślił, po czym uderzył się pięścią w dłoń i krzyknął:

- No właśnie! Celowo wystawili tuzin przeciwko czwórce, by nie zostawić nam żadnej szansy na uczciwe zwycięstwo!

- Ale dlaczego?!

- Ich tu w ogóle nie ma - wyjaśnił Weres, zamykając oczy i robiąc krok do przodu, wprost na elfa, który akurat wziął kolejny zamach. Tamten wyszczerzył się radośnie, szerokim gestem uderzył czarodzieja kantem dłoni w szyję i... zniknął, rozsypując się w chmurkę zielonkawych iskier.

Zatkało nas i do reszty zapomnieliśmy o walce. Wydawało się, że czas dokoła się zatrzymał. Egzotycznie zastygłe elfy wybuchały jeden po drugim, niebieskim, żółtym, białym fajerwerkiem...

- Przeszliście próbę - zabrzmiał w ciszy melodyjny głos Naczelnego Elfa. - Nie bojąc się nierównej walki udowodniliście swoją odwagę. Wytrzymując kilka minut, wykazaliście się siłą i zwinnością. Broniąc siebie nawzajem udowodniliście swoje zgranie i ofiarność. I co najważniejsze, nie pozwoliliście, by zwierzęca wściekłość zmała wasze umysły i szukaliście dróg wyjścia z sytuacji, która wydawała się całkowicie beznadziejna.

- Jesteśmy tacy wspaniali, że aż mi się niedobrze robi - szepnęłam ze wstrętem, spluwając pod nogi. Udowodniliśmy!

Wykazaliśmy się! A ja tu z futra wyłaziłam, jak ta kretynka, ku ich wielkiej radości.

- Zakładam, że nie splamimy swojego honoru walcząc pod waszymi sztandarami - patetycznie zakończył Lliotarel.

Nie słuchałam nawet, co będzie plół dalej, tylko odwróciłam się do Naczelnych tą częścią ciała, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, po czym zdecydowanie ruszyłam do wyjścia z sali. Virra, sapiąc jak mały jeź solidarnie dreptała obok, co i rusz próbując ponownie złapać mnie za nogawkę, ale wyrywałam się z irytacją.

Nikt nas nie wołał, ani nie zatrzymywał.

## Rozdział 11

Szel, przestań się bocyć.

- Boczą się dzieci. A ja się wściekam, sprawiedliwie i świadomie.

Akurat dzieci się nie bocyły. Virra w skupieniu oskubywała już dziesiątą z kolei stokrotkę, cała obsypana wróżbiarskimi płatkami, a Rest gapił się na boki, zapominając o leżącej na talerzu sałatce. Szczerze mówiąc, złościć się przy suto zastawionym stole na polance obok pałacu, przy wspaniałej muzyce i chórze niewidzialnych śpiewaków mogła wyłącznie uparta i czepialska starucha. Czyli ja.

To były dziwne piosenki, ni to płacz, ni to hymn, równocześnie zmęczony i pełen radości życia. Głosy splatały się, łączyły i rozchodziły, oddalały i narastały, jak gdyby obwołując się w lesie. Wtórował im delikatny dźwięk pastuszego fletu oraz ckliwe, nie zrozumiałe dziecięce gaworzenie, beztroskie trele ptaków, bicie werbli i przenikliwy krzyk jastrzębia, lecącego nad bezdenną przepaścią. Nie znałam elfiego, ale podejrzewałam, że słowa mówią nie o przyrodzie czy innej pogodzie, a o czymś do tego stopnia wzniosłym i wiecznym, że nie warto nawet próbować zrozumieć. Należy wyłącznie słuchać. A czy dla medytacji czy dla rozrywki - to już jak komu dusza podpowie.

Ledwo zaspokoiliśmy pierwszy głód, kiedy z gaju wyłoniła się grupka elfek w na wpół przezroczystych szatach. Z niedwuznacznymi chichotami i mrugnięciami ślicznotki zaczęły kusząco wić się w tańcu, z każdym kolejnym krokiem zbliżając do naszego stołu.

Mrok bez najmniejszego skrępowania ocenił bujające się przed jego oczami wdzięki, wybrał rudą ślicznotkę o głębokim kocim spojrzeniu, złapał ją za talię i pociągnął za sobą w stronę krzaków. Bez najmniejszego sprzeciwu z jej strony.

Rest przez dłuższą chwilę wiercił się na krześle, na przemian czerwieniąc się i blednąc. Potem ze spuszczonej oczu wydukał, że musi powtórzyć przeczytane wczoraj zaklęcia, wyskoczył zza stołu i jak złodziej uciekł do gaju, gdzie w głębi stała oparta o pień na wpół naga brunetka z ukośną grzywką, niby to obserwująca ptaszki.

- Oj, daj spokój - mruknął czarodziej z zadowoleniem, znacznie bardziej zainteresowany baranim udźcem, niż elfkami. - Przecież wszystko się dobrze skończyło.

Nie odpowiedziałam, ponuro przeżuując kawałek jakiejś ryby, co do której miałam nadzieję, że zielonkawa była z natury, a nie na skutek długiego przechowywania. Nie cierpię, gdy ktoś robi ze mnie idiotkę. I to jeszcze kto?! Jakieś parszywe elfy. Poza tym wszyscy na pewno zauważyli, że bynajmniej nie ruszam się jak człowiek. A teraz mam tu siedzieć i zgadywać, czy coś mnie za to czeka, a jeśli tak, to co i kiedy.

Ale przynajmniej się najem na odchodnym.

Zgodnie z moimi szacunkami było już po północy, ale pod gałęziami Grodu zatrzymał się wczesny wieczór, którego półmrok odpędzały słabo świecące liście z jaśniejszymi płomykami-kwiatami. Czas akurat jak najbardziej skłaniał ku rozmowom od serca.

Pojawienie się Morriela nastąpiło tradycyjnie widowiskowo, tym razem utkał się z powietrza za plecami Weresa, najpierw jako promienisty kontur, z którego dookoła popłynęła fala kurzu, a następnie pojawiła się szybko mętniejąca i nabierająca barw postać.

Czarodziej kichnął siarczyście, złapał ze stołu wolny kielich i na oślep wyciągnął go ponad ramieniem.

- Czy wielki elfi mag raczy wypić tę czaszę wina w towarzystwie tego tu kompletnie bezużytecznego ludzkiego kuglarza?

Morriel spojrzał na podarek jak legionista na pchłę i ze wstrętem dwoma palcami złapał

nacznynie za kryształową nóżkę.

- Śmiertelniku, chyba wyświadczę ci ten honor.

Weres odrzucił do tyłu głowę, z rozleniwieniem podziwiając jego niezłomną i pełną wyższości twarz, po czym zarówno mag i czarodziej zarzeli jak dwa konie, a elf z westchnieniem ulgi padł na sąsiednie krzesło.

- Och... Kompletnie się zakręciłem przez te sprawy wagi państwowej, od rana nie miałem okazji usiąść. Jednak fawory dla Assariela miały swój urok - nie miałem nawet pojęcia ilu nudnych obowiązków dzięki niemu unikałem!

- Możesz podnieść go z mogiły i ponownie zapędzić do pracy - poradził Weres z poważnym wyrazem twarzy, samym spojrzeniem zbierając rozsypane na obrusie okruszki w symboliczny pentagram.

- Za późno, trup już został zbadany i spalony - westchnął elf nieszczerze, dwoma łykami opróżniając kielich do połowy.

- A ty czemuś taki ponury?

Na mnie Morriel demonstracyjnie nie zwracał uwagi, co popierałam całym sercem, wciśnięta w oparcie krzesła. Udawałam leniwe grzebanie w talerzu i nie mieszałam się do rozmowy. Ale oczywiście nikt nie bronił mi słuchać.

- Myślę - odparł czarodziej krótko, wrzucając do ust borówkę - wszystko co pozostało na jego talerzu po faszzerowanej przepiórcie.

- O czym? - Elf również zgarnął ze wspólnego półmiska jedną jagódkę, ale był to raczej odruch, ponieważ nie zjadł jej tylko zaczął turlać pomiędzy palcami.

- Jaki był sens tej durnej kradzieży? Assariel nie mógł skorzystać z berła, wypuścić go z rąk również, bo natychmiast byście je znaleźli.

- Zamierzał w tajemnicy wynieść artefakt z Grodu? - zasugerował Morriel.

- No to dlaczego nie wyniósł? Przyznaj szczerze, poza granicami Grodu ten wasz zachwalany artefakt nie jest wart funta kłaków. Od dawna podejrzewam, że magia tego lasu to większa zasługa miejsca, na którym rośnie, aniżeli waszych wysiłków. Znajduje się tu mocne, ale rozsiane na ogromnym terenie źródło mocy, którą berło skupia w jednym punkcie, jak prządka skręca nitkę z kądzieli. I właśnie dlatego elfi czarodzieje tak bardzo nie lubią jeździć do Starminu w celu obrony swoich magicznych tytułów, woląc zapraszać komisję Konwentu do Grodu. Nie mam racji?

- Weres, jak ja mam cię dosyć... - podsumował elf smętnie, natychmiast zyskując jeśli nie moją sympatię to szczerze współczucie. - Zdawałem egzaminy w Szkole Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa.

- Pamiętam, przecież sam ci podpowiadałem - „uspokoił” go czarodziej.

- I tak wszystko wiedziałem! - Elf wyprostował się z oburzeniem. - Po prostu nieco się stremowałem...

Zakrztusiłam się kawałkiem marchewki i pod zabójczym spojrzeniem Morriela rozkaszałam jeszcze bardziej. A wyglądał na przynajmniej założyciela tejsze szkoły! Ciekawe czy to przy jego pomocy Weres likwidował pryszczę metodą karaluchową?

- A iluzja ci wyszła naprawdę niezła. - Czarodziej wyciągnął z mankietu kurtki nitkę, pozostałą po urwanym podczas walki guziku. -I to wedle wszystkich parametrów. Szczególnie tamten wielkolud z dzikim wyrazem twarzy i szramą w poprzek gęby. Z kogo kopiowałeś?

- No przecież dla ciebie się starałem - zażartował mag. - Miałem kolejnego wroga, tak między nami to spośród tamtych uciekinierów. Przyjemnie było popatrzeć jak się okładacie. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem?

- No coś ty, Morri. To wbrew moim zasadom obrażać się na sieroty, głupków i... elfy.

Pomyślałam, że bezpieczniej będzie jak spełnę pod stój i ściągnę za sobą obrus, ponieważ po każdym zdaniu obaj czarodzieje łypali na mnie, chciwie wyczekując na reakcję. Jak chłopaczki starające się przed pierwszą panną we wsi. Tyle że ci tutaj pragnęli nie miłości, a powodu by wygonić mnie z męskiej narady - przykładowo za chichot nie na miejscu. A ghyr wam! Odwróciłam się w przeciwną stronę udając, że jestem całkowicie skupiona na gruchających na gałęzi gołąbkach.



Na głos śmiałam się rzadko, a uśmiechu przez potylicę nie widać.

Czarodzieje chwilę pomilczeli, posapali, dolali sobie wina do kielichów, ale ostatecznie poddali się, wracając do poważnej rozmowy.

- Mam wrażenie, że morderstwo Delirny i kradzież berła to dzieło tych samych rąk. - Weres na wszelki wypadek rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy faktycznie ma tylko jednego niechcianego słuchacza. - Dowiedziała się czegoś o mrocznych sprawkach Konwentu i zapłaciła za to życiem, w podejrzanie dogodnej dla mordercy chwili. W przeciwnym razie nie żalowałibyście wysiłków i czasu, szukając winnego jej śmierci, a po gorących śladach prawie na pewno by wam się to udało. Assariel natomiast łatwo mógł ukraść berło tak po prostu, wykorzystać na własne potrzeby i podrzucić z powrotem, a Lliotarel nawet by tego nie zauważył, bo ostatecznie nie jest magiem. Nie, nasz porywacz celowo rozdmuchał konflikt pomiędzy elfami a driadami.

Morriel potwierdził te wywody pomrukiem.

- Chyba nasze sąsiadki nieźle załazyły komuś za skórę.  
- Albo ten ktoś ma jakieś daleko idące plany, związane z waszą kłótnią. Bo z drugiej strony w tamtej chwili Delirna dopiero zaczynała pisać skargi do Konwentu, a jej następczyni na pewno będzie kontynuować do niewdzięczne zajęcie. To co, biedak ma teraz poświęcić życie polowaniu na władczyni Grodu?

Gołąbki przeszły do aktywnych działań, więc teraz obserwowałam je z prawdziwą ciekawością.

- Możliwe, że po prostu musiał grać na zwłokę - zasugerował mag rozsądnie. - A gdy osiągnie to co chce, protesty driad nie będą miały żadnego znaczenia - zrobi swoje i nawieje, potem szukaj wiatru w polu! Swoją drogą, skoro już mowa o portalach, którymi uciekli zdrajcy, po prostu nie udało mi się ich wyśledzić, urywały się jak ucięte. Nie przerwały. Nie było ani punktów wyjścia obiektów w całości ani częściowo, ani rozsiania niewykorzystanej mocy. Wyglądało to tak, jakby uciekinierzy wyparowali razem z portalami, co przeczy wszystkim prawom natury i magii!

Zjeżyłam się i szybko upiłam łyk wina, wyobrażając sobie wspomniane „częściowo”.

- A nie udało ci się określić gdzie dokładnie?  
- Na środku tychże cholernych pustkowi za Grodem, na terenie Belorii. Może miałyby sens natychmiast wysłać tam uzbrojony oddział?

Zerknęłam przez ramię. Wyraz twarzy Weresa wyjawiał, że bardzo chciałby się zgodzić, zepchnąć na elfy poszukiwania złoczyńców i pójść swoją drogą, ale bohatercko zwalczył pokusę,

- Po pierwsze, nie wiecie dokładnie czego i gdzie szukać. Po drugie, dwie sotnie maszerujących wojowników zagonią do nor wszystkie strzygi Orkrastu, nie wspominając już o garstce spiskowców. Lepiej będzie jeżeli sprawdzimy wszystko dyskretnie i wyślemy do was posłańca.

- Umowa stoi, - Morriel spojrział na lśniący medalion, pstryknął go paznokciem gasząc, po czym wstał. - Przepraszam, czas na mnie. Miło było pogadać... bezużyteczny kuglarzu, hehe!

Mag odsunął krzesło, wyprostował się podnosząc ręce, machnął rękawami jak ptak skrzydłami i natychmiast rozsypał się w chmurę srebrzystych iskieł.

Weres pozostał przy stole, z zadowoleniem, ale bez namiętności oglądając tancerki i powoli dopijając zawartość prawie pustego kielicha.

- Czyżbyś był obojętny wobec młodych elfich niewiast?

Czarodziej odwrócił się w moim kierunku, bawiąc się kielichem.

- Miło jest popatrzeć, ale jakoś nie mam nastroju na sam na sam.

- Boisz się, że coś nie wyjdzie?

Weres nie obraził się i z uśmiechem pokręcił głową.

- Myślę, że to kolejne iluzje. Na znak szacunku dla gości, by mogli się rozluźnić i zażyć przyjemności.

W zamyśleniu obejrzałam sobie najbliższą ślicznotkę.

- I co, w procesie... hm... użytkowania może pęknąć wprost pod tobą?

- Niewykluczone. - Czarodziej dolał sobie wina i pytająco spojrział na mnie. Skinęłam głową, podsuwając swój kielich.

- No i co z tego? Są piękne, dostępne, czyste i na pewno dostarczą ci nawet więcej przyjemności, niż prawdziwe. Nie mów, że mężczyźni potrzebują czegoś więcej?

- Wychodzi na to, że tak.

Prychnęłam sceptycznie, upijając łyk. Wspaniałe. Wiśnia, białe i różowe winogrona w równych proporcjach, kwiaty miodowej trawy i chyba dodatkowo czarna jarzębina - ostateczny rys, cierpki posmak, podkreślający aksamitną delikatność reszty komponentów.

- Masz kogoś?

- Miałem. - Weres zjrzał do kielicha, jak gdyby to nie on sam przed chwilą go nappełnił. - Zmarła trzy lata temu.

- Choroba?

- Wilkołak.

- Rozumiem. - Wsadziłam łyżeczkę do czegoś złocistego i ciągnącego się, pachnącego migdałami, miodem i melasą. Posmarowałam ową wspaniałością kawałek chrupiącego wafelowego i prawie nieważkiego chleba.

- Na jej mogile przysiągłem - ciągnął czarodziej po chwili milczenia - że będę zabijał was wszędzie gdzie napotkam. I nie oszczędzę nikogo, niezależnie od wszystkiego.

- Rozumiem - powtórzyłam niewyraźnie, chrupiąc elfi delikates. Weres przeciągnął dłońią po twarzy, ścierając lepką pajęczynę wspomnień, potrząsnął głową i opadł na oparcie krzesła.

- A za co ty nie lubisz magów?

...

- *Skończyłeś?*

- *Jeszcze nie, mistrzu. Ale ten stwór ma zdrowie! Osiem kolków, a ona nadal oddycha!*

- *Zostaw ją. Czas na nas. Do rana i tak zdechnie...*

Wzruszyłam ramionami.

- Bez powodu. I co teraz?

- Nic. Teraz. A potem życie podpowie, jeśli jakieś nam zostanie. Chyba warto za to wypić?

- Dokładnie tak.

Stuknęliśmy się kielichami.

- Nie mów Restowi - poprosił czarodziej, z uśmiechem kiwając głową w kierunku mijającej nas „elfki”. - To w końcu pierwsze doświadczenie, jeśli pęknie.....

Wyobraziłam to sobie i oblałam się winem.

\* \* \*

O świcie, który płynnie zmienił się w południe, staliśmy się ofiarą starożytnej ludowej mądrości: nawet najlepsze wino wypite w dużych ilościach nad ranem zmienia się w okrutnego kaca. Tak więc Weres, który zapobiegawczo łyknął poprzedniego dnia jakiegoś eliksiru i po obudzeniu zaczął od radosnego pytania co jest na śniadanie, omalże nie został pobity.

Żeby było „weselej”, obudziliśmy się w jednym pokoju - ja mała w jednym łóżku, Rest i jego mistrz w drugim, na waleta, a na Mroka, walającego się po podłodze, nadepnęłam przy wstawaniu. Należy dodać, że nikt nie pamiętał w jaki sposób znaleźliśmy się w komnacie mojej i Virry, ponieważ docieraliśmy do łóżek nie zapalając światła i zygzakami, a co poniekąd pełznąć.

Ruganie ich nie miało sensu, na wyganianie było za późno, zwłaszcza że służąca uznała, iż taki właśnie był plan i przyniosła tutaj wszystkie miednice do mycia oraz tace z jedzeniem.

- O szlachetny władco żywiołów, poruszający góry i zawracający rzeki, czy nie raczyłbyś wyświadczyć mi niewielkiej przysługi... - nakręciłam się jeszcze nie do końca obudzona, zwracając do Weresa.

Wpierw zapadła zdumiona cisza, a potem rozległ się wybuch dzikiego rechotu. Virra padła na łóżko wierzgając nogami. Ze skonfudowanym mruknięciem odrzuciłam kołdrę i ruszyłam po swoje buty, które z nieznanego powodu stały pod łóżkiem czarodzieja. Tyle dobrego, że moje spodnie nie wisały na jego oparciu!

- Same straty przez te elfy. - Smok stał naprzeciwko lustra, chmurnie podziwiając i obmacując ogromny siniak pod okiem. Takiego bogactwa odcieni nie widziałam na żadnej śliwce.

- Że też musiałeś przy tej całej różnorodności wyboru skusić się na prawdziwą elfkę - rzucił Weres z nieszczerym współczuciem.

- Ale skusiłem się na nią, a nie na tamtego typu o krzywym nosie, który bez uprzedzenia walnął mnie w oko! - odparł smok z oburzeniem, najpierw jedną a potem drugą stroną przykładając do sińca grubą srebrną monetę. Podziwiałam ten proces z wewnętrznym drżeniem. W końcu podrzucać na dłoni to można i rozżarzony węgielek, ale zaciskanie go w pięści albo przykładanie do twarzy... brrr.

- Gdybyś nie wspomniał o jego krzywym nosie, to może skończyłoby się na ustnej reprimendzie - zasugerowałam ze śmiechem, ponieważ miałam okazję na żywo obejrzeć sobie burzliwy rozpad miłosnego trójkąta. - A nos miał nawet całkiem sympatyczny, z lekkim garbkiem.

- To on ci się spodobał?! - Smok zdumiał się do tego stopnia, że upuścił monetę i zanurkował po nią pod stół, zerkając na Virrę i zastępując rozpierające go niecenzuralne wyrażenia sykiem: - O bogowie, nie mówcie mi, że takie coś jest w stanie oczarować kobietę?! Co za koszmar, mądrość, honor, siła i uroda się nie liczą - wystarczy jedynie krzywy nos!

- Widzisz, Mroku, ze wszystkich wymienionych cech on w odróżnieniu od ciebie ma przynajmniej nos - zauważyłam pobłażliwie, zaplatając warkocz przed chwilowo wolnym lustrem. - I właśnie dlatego wczoraj tobie zdobycz przeszła... koło nosa.

- Szeł, a co jest dla ciebie najważniejsze w mężczyźnie? - zapytał Weres niespodziewanie.

- Zapach - odpowiedziałam bez wahania, darując sobie żarty na temat wątroby i chrząstek.

- Jak to? - zdumiał się Mrok. - Czyli zje ząbek czosnku i już nie jest w twoim guście?

- Czosnek to ja sama lubię. - Mężnie zbadalam zawartość tacy i ograniczyłam się do wody oraz jabłka. - Ale biorąc pod uwagę, że w ciemności wszyscy mężczyźni są tak samo szarzy jak koty, należy kierować się nie wyglądem, a zapachem.

- To jak on powinien pachnieć? - Mrok ukradkiem powąchał się pod pachą i chyba zaczął rozumieć, dlaczego elfka dała mu kosza.

- Domem - mruknęłam marzycielsko, na chwilę zapominając gdzie jestem. - Miłością. Żeby *po* można było wsadzić nos, objąć i zasnąć... a nie biec ze wstrętem do miednicy z wodą.

- Po czym? - Virra natychmiast zażądała szczegółów.

Opamiętałam się i dałam jej pstryczka w nadmiernie ciekawski nos.

- Jak dorośniesz to sama powąchasz. Czy raczej się dowiesz.

- Ha! - pisnęła mała pogardliwie, mając zamiar udowodnić mi, że wcale nie jest za mała na podobne rozmowy, ale zamiast tego jej oczy ze zdziwienia zrobiły się okrągłe, a ona sama skrzywiła się i kichnęła, cieniutko jak kociak w słońcu. Weres z lubością sięgnął, by pogłodzić ją po kędziorkach, które aż się o to prosiły, ale Virra jak zwykle się uchyliła. Miałam wrażenie, że ona w ogóle nie przepadała za dotykaniem, ponieważ pod każdą ręką kurczyła się i sztywniała. Sama wolała trzymać się tuż obok, ale na odległość przynajmniej piędzi, niby przypadkiem się odsuwając, gdy próbowałam usiąść bliżej.

- Virro, czy coś jest nie tak? - zapytał Weres wprost. - Boisz się mnie?

- Nie. - Dziewczynka przez chwilę wahała się i dodała: - Jesteś dobry... Wy wszyscy jesteście dobrzy, chociaż się kłócicie... tylko ja jestem niedobra.

Co ciekawe, nie skarżyła się, ani trochę nie martwiła z tego powodu, ani najwyraźniej nie miała nadziei, że zapewnimy ją o czymś wręcz przeciwnym. Zwyczajnie nas powiadomiła, żebyśmy potem nie mieli pretensji.

- Kto ci powiedział takie głupstwo? - zapytał Mrok. - Jesteś sympatyczną panienką, mądrą, rezolutną... chyba nawet nazbyt rezolutną.

- Aha - potwierdziła mała z godnością. - Tyle że niedobrą.

- Ale dlaczego niedobrą? - Smok nie chciał się odczepić. - Zła jesteś? Zrobiłaś coś nie tak?

Dziewczynka westchnęła z rozpaczą, dając do zrozumienia, że to wstyd jak ktoś jest taki duży, a nie wie takich banalnych rzeczy.

- Przecież powiedziałam, niedobra! - powtórzyła z miną, jak gdyby mówiła o kolorze włosów. Pogrzebała pod kołdrą, wyciągnęła łuk i kołczan, założyła je tak, by krzyżowały się na plecach i zadowolona z siebie pobiegła umyć twarz. No to już wiedziałam, co przez całą noc

kłuło mnie w bok! Czy jej rodzice naprawdę nie mieli pieniędzy albo choćby jakichś szmatek na normalne lalki?!

- Weres, mógłbyś pogadać z tym swoim uszatkiem, czy by nie wziął małej do siebie?

Nauczył czarować czy coś. Skoro już nawet twojemu uczniowi coś wychodzi...

- Nic to, na ciebie starczy! - rzucił szczeniak zapalczywie.

- No to chodź. - Bezczelnie rozwaliłam się na krześle i zapraszająco pokiwałam palcem. - Pokaż mi, jeśli masz co!

- Rest, trzecie prawo maga bojowego.

„Nie dać się sprowokować”. Nawet ja to zapamiętałam, kiedy ku swej rozpaczy szczeniak musiał wieczorami kuć te bzdury. Pech chciał, że mistrz stał odwrócony plecami, więc emanował słabszym autorytetem i dzieciak sapnął głośniejsz, przyjmując wyzwanie. Wyszedł na środek pokoju. Bardzo długo dreptał w miejscu, próbując przyjąć odpowiednią postawę - najpierw przeszkadzały mu nogi, a potem opadające rękawy. Ale trzeba przyznać, że niczego sobie, efektownie. Przynajmniej dowiedziałam się, jak to powinno wyglądać. Bo zwykle ichni magowie miotają się po lesie, jakby ich kto ugryzł w zadek, wałą piorunami przez ramię albo w ogóle w czasie skoku. Ani zobaczyć, ani zrozumieć skąd się te całe pioruny biorą.

W końcu szczeniak uznał, że jest zadowolony z wyniku, zmarszczył czoło, wytrzeszczył oczy jakby siedział w wychodku i zaczął machać rękoma, całkiem jakby odpędzał rozeźlonego bąka. Oho! Nie spodziewałam się, że chociażby poruszę brwią, a tu nawet musiałam się uchylić. Rośnie mały, rozwija się!

W chwili gdy Weres w końcu się obejrzał, kula ognista wielkości śliwki leciała wprost w jego nos. Niezła reakcja. Ale kulka słaba. Tyle, że zostawiła plamę sadzy na ścianie. Co prawda przedtem...

- Szeleno!!! - ryknął czarodziej gniewnie, potrząsając przebitym na wylot rękawem.

Ale dlaczego ja?! Ci magowie zawsze zwalają winę na wilkołaka. Trzeba będzie potem, jak już Weres będzie w stanie powiedzieć cokolwiek cenzuralnego prócz mojego imienia, zapytać go, czy nie mają na to odpowiedniego prawa.

- Lepiej byś podziękował. Kiedy jeszcze będziesz miał taką wspianą możliwość poćwiczyć tego nicponia na prawdziwej pomroce?

- Dziękuję - wycedził Weres przez zęby, pakując do wypalonej dziury trzy palce na raz. - I co ja teraz powiem Morrielowi?!

- W jego obecności chowaj ręce za plecami - poradziłam z paskudnym chichotem. - A jak będziesz oddawał kurtkę to ją ostrożnie złóż do wewnątrz, może nie zauważy!

Szczeniak stał jak opluty. Jemu mistrz nic nie powiedział, ale uczeń i tak doskonale rozumiał, jaką ma opinię o tym wybryku.

Morriela nie trzeba było nawet szukać, wystarczyło, że ktoś wypowiedział jego imię. Do mojego pokoju teleportował się jak do własnego domu, natychmiast materializując na krześle z nogą założoną na nogę.

Weres nie zdążył schować dowodu rzeczowego.

- Kupię ci nową kurtkę - obiecał pośpiesznie, patrząc na wyraz twarzy maga.

- Co ja teraz powiem Szadareli?! - jęknął elf z rozpaczą nie ustępująca Weresowej, łapiąc się za głowę.

- Narzeczona? - zapytał smok ze współczuciem.

- Gorzej. Teściowa! - burknął elf. - Bo widzicie państwo, ona ją własnoręcznie wykroiła i przez dziesięć lat naszywała koralami! Chociaż, tak prawdę mówiąc, nie cierpiałem tego wdianka... a ono się, paskudztwo, nijak nie chciało znosić!

- Czyli jeśli nie zabije cię na miejscu, to przez kolejne dziesięć lat możesz cieszyć się życiem. - Weres nieco rozcieńczył tragizm wydarzeń, chyba znając ową pracowitą szwaczkę nie tylko ze słyszenia. - Morri, posłuchaj, czy nie mógłbyś znaleźć małej jakiejś dobrej rodziny albo przynajmniej mistrzyni? Jej rodzice nie żyją, a dla nas, jak sam rozumiesz, ciągnięcie jej nie wiadomo gdzie...

Mag przez dłuższą chwilę spoglądał na dziewczynkę z kompletnie niezrozumiałym

wyrazem twarzy - ni to usilnie kombinując, jak tu uprzejmiem odmówić, ni to w walce rozsądku z litością, ale ostatecznie zrobił unik:

- Jeżeli ona będzie chciała.
- Nie będę! - natychmiast uniosła się Virra. - Pojadę z wami daaaalej!
- Tylko kto cię weeeźmie? - przedrzeźniłam ją. - I nie rycz, od tego twojego skamlenia

uszy mnie bolą!

- A ja i tak ucieeeeeknę i was dogooonię... - Tym razem mała zdecydowanie na złość mnie piszczała na jednej nucie, a żeby uniknąć szturchańca, trzymała się w pobliżu Weresa, który zresztą też był jak najbardziej gotów wziąć na siebie tę wychowawczą funkcję.

- No cóż, w takim wypadku nic się nie da zrobić - podsumował elf z widoczną ulgą. -

Oczywiście nie mamy prawa zatrzymywać jej siłą.

Mała paskuda natychmiast zaprzestała udawanego ryku i zwycięsko zadarła nosek.

- Ale to przecież dziecko! - oburzyłam się. - Jakie ona niby ma prawa?! Sami nie jesteśmy pewni, czy wrócimy z pustoszy w całości, a pan chce, żebyśmy jeszcze niańczyli tam z kapryśnego dzieciaka?! To niech pan ją zamknie w pokoju, póki nie odjedziemy wystarczająco daleko i tyle!

Ale Morriel uznał sprawę za zamkniętą, odwrócił się ode mnie i przeszedł do tematów bieżących.

- Gdzie się teraz udacie?

- Spróbujemy przeciąć pustkowiec na ukos i odpytać tamtejszych mieszkańców - westchnął Weres, wyobrażając sobie rozmiary tej pracy. - A przy okazji sprawdzimy, jak daleko to wszystko zaszło. Bo może tam mieszka jeden jedyny potwór pożerający ludzi, a driadę zaatakował przypadkowo. Chociaż sam w to wątpię. A przy okazji, nad czym takim ważnym radziliście przed naszym przyjazdem?

- Nic takiego, sprawy wewnętrzne - zbył go Morriel. - Nasi czarodzieje są zaniepokojeni niespodziewaną zmianą położenia źródeł magicznych w pobliżu Grodu. Część z nich zmieniła lokalizację, inne zniknęły ale zamiast nich pojawiły się nowe. Zwykle jest to związane z trzęsieniami ziemi i wybuchami wulkanów, ale w naszych okolicach już od jakichś dwudziestu lat nic podobnego nie miało miejsca. Co prawda istnieje jeszcze jedna możliwość, hipotetyczna i wspomniana wyłącznie w naszych tajemnych starożytnych kronikach...

- Kształtowanie nowego wiedźmiego kręgu?
- A kiedy ty zdążyłeś wpakować do nich nos? - zapytał elf z lekką urazą.
- W życiu bym nie przypuszczał, że istnienie biblioteki szkolnej będzie dla ciebie taką

niespodzianką - uśmiechnął się Weres.

- Gdybyś był obecny na wszystkich wykładach, to tobie również wystarczyłyby konspekty - odciął się mag złośliwie.

- Jeszcze na siebie naplujcie - poradziłam z jak najlepszymi intencjami, ale niestety nie zostały one docenione.

- Weres, jakim cudem zawsze przyciągasz do siebie takie kąśliwe jędze?

- Szel, spadaj stąd, co?!

Z miną urażonej niewinności wzruszyłam ramionami, cofając się o jakieś pięć kroków. I ja, i czarownicy doskonale rozumieliśmy, że nie uratuje ich nawet i pięćdziesiąt, ale teraz przynajmniej nie słyszeli moich mamrotanych komentarzy.

- A z której strony Grodu to się stało? - Weres wyciągnął z wewnętrznej kieszeni złożoną na czworo mapę i rozprostował ją na stole. Ciekawe, wcześniej wydawała mi się dużo większa... Ciekawe co on może dojrzeć na takim skrawku papieru?!

Ale czarodziej już pochylił się i lekko dmuchnął na pergamin, na co ten z szelestem rozpełzł się po całym stole. A nawet nieco zwiśł po brzegach.

- Ze wszystkich. - Morriel zatoczył szeroki krąg dookoła narysowanego Jesionowego Grodu. - Należy wspomnieć też, że na terenie Belorii ogólna ilość punktów wyjścia energii magicznej i jej intensywność się zmniejszyła, a po stronie wolmeńskiej zwiększyła. O tu, w tym miejscu, w ogóle się pojawiło pięć źródeł tuż koło siebie.

- Jeśli wierzyć teorii, to nowy krąg powinien odpychać stare. Czyli znowu wracamy do

pustkowi. - Czarodziej oparł łokcie na stole, dokładnie oglądając wskazany teren. - Nic dziwnego, że okoliczne pomroki się niepokoją. Kilka dni temu trafiliśmy na rozbudzonego rochtara, a w Wysiedlisku dzieją się jakieś osobliwe rzeczy.

- W takim razie może to wcale nie jest związane z wymianą amuletów? - Elf wyraźnie czuł się winny zerwania stosunków z driadami, na skutek czego Delirna poniosła śmierć. I bynajmniej nie miał ochoty przyznawać, że przegapił jeszcze coś tak samo ważnego.

- A może to akurat ona zapoczątkowała ten proces? - Weres go nie pocieszył. - Jeżeli faktycznie jest to kształtowanie kręgu, to czym ono wam grozi?

- Możliwe, że niczym. Mało prawdopodobne, by otworzył się sam z siebie. Ale odkąd pamiętamy nie miało miejsce nic podobnego, więc należy oszacować wszystkie możliwości.

Czarodzieje zgodnie się zamyślili. Od strony sali tronowej dolatywało wysilone zgrzytanie piły.

- Nie ma sensu ubijać wody w mózdzierz, pojawi się problem, to będziemy go rozwiązywać - uznali ostatecznie. Weres zmniejszył i złożył mapę próbując stanąć tak, by mag nie zauważył plamy na ścianie.

- No cóż, w takim razie do zobaczenia! - Tym razem Morriel wyszedł zwyczajnie, przez drzwi, chyba przez pomyłkę.

My również nie siedzieliśmy długo. Zebraliśmy rzeczy, zgarniając jedzenie z dwóch tac, bo na trzech innych w wyniku starań Weresa pozostały wyłącznie naczynia, po czym udaliśmy się na poszukiwanie stajni. Biorąc pod uwagę elfią skomplikowaną architekturę i zdobienie budynków zajęło nam to chwilę. Warto nadmienić, że stajnia przypominała coś jakby świątynię, pałac, ratusz, ale w żadnym wypadku nie kwatery dla koni. Bez podpowiedzi ghyr byśmy znaleźli.

- No to co zrobimy z małą? - zażądałam od Weresa odpowiedzi. - Może jednak spróbujemy namówić Morriela?

- Szel, kiepsko znasz elfy. Jeżeli powiedzieli „nie” nawet mimochodem, to znaczy to „nie”. I nie ma sensu nalegać.

- A mało tu jest elfów?! Poproś kogoś innego.

- Członkowie Naczelnej Siódemki tradycyjnie odpowiadają za cały Gród. Gdyby Morri mógł ją gdzieś ulokować, to by to zrobił.

- Gdyby miał ochotę - burknęłam. - I co teraz?

- Na pustkowiach nie ma miast ani dużych wsi, ale po drodze trafimy na dwie czy trzy małe. Spróbujemy ją zostawić tam. Chociaż ta cała historia jest jakaś szemrana, Morri coś ukrywa...

Virra jako pierwsza dobiegła do koni i niecierpliwie złapała za strzemień mojego ogiera.

- Szeel, weź mnie podсадź!

- Słuchaj no, mała. - Zdecydowanie złapałam dziewczynką za podbródek i odwróciłam twarzą do siebie, przyciskając jej nos palcem wskazującym. - Nazywam się Szelena. Jak chcesz to **pani** Szelena. Jak wolisz, szanowna lub najdroższa. Może być nawet ciocia czy najjaśniejsza pani, ale nie Szel. Jasne?

- To w takim razie dlaczego on cię tak nazywa? - Virra wywinęła się ze zwinnością łasicy i bez ceregieli wskazała palcem Weresa.

- Ponieważ on lekko upadł na głowę i nijak nie potrafi zapamiętać takiego długiego słowa - wyjaśniłam sympatycznym tonem.

- Napraaaawdę? - Dziewczynka popatrzyła na czarodzieja z prawdziwym współczuciem.

- Szeleno, przestań się znęcać nad dzieckiem! - nie wytrzymał przedmiot naszej dyskusji.

- Ojej, zapamiętał! - ucieszyła się mała szczerze. Mrok i Red prychnęli w garści i nawet koń złośliwie zadarł górną wargę.

O kelpie zadbano doskonale, wyczyszczono do połysku i nakarmiono wyborowym owsem, ale elfi koniuch został bez opłaty, ponieważ wstyd dawać komuś tak wysoko urodzonemu miedziaka, a złota było szkoda. Tak więc naszym śladem patrzył z jeszcze większą pogardą.

Przecinając plac, dostrzegłam u podnóża pomnika Morriela, który w natchnieniu rzucał jakiś czar, a może po prostu groził berłem gołębiom. Niezdolna dłużej opierać się ciekawości skierowałam wierzchowca w jego kierunku.

- O... yyy... najjaśniejszy z urodzonych w świetle, czy raczej pan odpowiedzieć temu oto nikczemnemu jemu na ostatnie pytanie?! - Wskazałam palcem Weresa, dla siebie zostawiając bardziej godne epitety. - Jak w końcu otwierała się ta wasza brama?

- Trzeba było w nią zapukać - odparł mag z kamienną twarzą.

Gród opuściliśmy zginając się ze śmiechu.

\* \* \*

Zdążyliśmy już zapomnieć, że tak w zasadzie na zewnątrz zgodnie z kalendarzem panuje zima, więc bijący w twarz śnieg sprawił nam niemiłą niespodziankę. Po paru minutach wszyscy zaczęli pociągać nosami, z zazdrością spoglądając na jedyną w całej drużynie chusteczkę, znajdującą się w moim wyłącznym i demonstracyjnym użyciu. No dobrze, mogę pożyczyć Virrze, bo ona już zamierzała wytrzeć nos szalikiem. Również moim!

Mrok bez ceregieli głośno wysmarkał się w dwa palce. Rest ukradkiem użył strony z konspektu magicznego, ale lepiej wychowany Weres miał prawdziwy problem. Ostatecznie złośliwie zaproponowałam by poszedł za tak intymną potrzebą do ooo tamtych krzaczków. W tym momencie czarodziej porzucił dobre obyczaje i powtórzył wyczyn smoka, z pretensją rzucając:

- Szel, ty to masz nie więcej taktu, niż...

- Wilkołak? - dokończyłam absolutnie spokojnie, zabierając chusteczkę Virrze, która właśnie doszła do wniosku, że nasz konik również jakoś dziwnie oddycha.

- Weres, daj spokój - wtrącił się Mrok. - Czego możesz oczekiwać od paskudnego stwora?!

- Nie jestem paskudna - poprawiłam z godnością. - **Tylko** drapieżna. Czasem też bywam głodna. I tyle.

- Ale pozostałych głodnych drapieżników ludzie z jakiegoś powodu aż tak nie nienawidzą - zauważył czarodziej złośliwie. Patrzcie go, naprawdę się obraził!

- Weresie, nie rozśmieszaj mnie. - Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu dalekim od wesołości. - Ludzie zawsze znajdują powód do nienawiści. Na przykład własną głupotę albo zazdrość.

- Żeby jeszcze było czego zazdrościć.

- Ale dlaczego? A kto by nie chciał zrobić szkody powiedzmy kupcowi, który oszukał go na targu, pod osłoną mroku zabijając jego ukochaną krowę? Albo poczekać w lesie na zaciętego wroga i przegryźć mu gardło z całkowitą świadomością faktu, że ujdzie ci to na sucho, bo najpierw by musieli zabójcę rozpoznać i złapać?! Przeżyć nie osiemdziesiąt lat tylko dwieście, w ogóle nie chorując i nie bojąc się wyjść w nocy na ulicę, bo to przed tobą wszyscy będą uciekali?

- Jak tak słucham, to każdy człowiek tylko marzy, by zostać wilkołakiem - dociał mi Weres ironicznie. - A nie przyszło ci do głowy, że po prostu boją się krwiożerczego stwora, który ukrywa się gdzieś pomiędzy nimi i w każdej chwili może zrzucić owczą skórę?

- To również. - Nie zaprzeczyłam. - Ale przyznaj, że wcale nie mijam się z prawdą aż tak bardzo. Tak przy okazji, to wy, magowie, macie ten sam problem. Ludzie nie znoszą tych, którzy wyróżniają się z ogółu tłumu. Szczególnie w lepszą stronę.

Czarodziej nic nie odpowiedział. Ale Rest uznał, że wykorzysta mój gadatliwy nastrój i zadał pytanie, które musiało go od dawna męczyć:

- A to... bardzo boli?

- Hm?

- Zmiana postaci. Znaczący ogon, uszy i cała reszta...

- Czyli chcesz zapytać co czuje człowiek jak ktoś go ścisną, wykręca środkiem na zewnątrz i szpikuje futrem? - sprecyzowałam. - Albo co czuje zwierzę, gdy to wszystko dzieje się w odwrotnej kolejności?

Po kiego grzyba on, taki wrażliwy, pcha się do tego magowego towarzystwa?

- W takim razie po co to robisz? - Znowu Weres. Patrzcie no, jego też zaciekawiło. Bo szczeniak chwilowo nie czuł się na siłach do ciągnięcia „przyjemnej konwersacji”. Pamięć miał dobrą, wyobraźnię również.

Zmrużyłam oczy, patrząc na niskie słońce, dobierając słowa. Zima to ciekawy okres. Mroźny, okrutny, ale czarodziejski. Nie rozumiałam, czemu elfy i driady się go pozbawiają, razem z kryształową ciszą zaśnieżonych pól, niebem odciedzonym przez zamiecie do przezroczystego błękitu, białymi koronkami gałęzi i zapachem zmarzniętych igieł. To w dzień, a co dopiero w nocy...

- My, kobiety, jesteśmy przyzwyczajone, że płacimy bólem. Za zostanie panną, żoną, matką... zwierzęciem. I jeżeli zgadzamy się na tę cenę, to uznajemy ją za godną towaru. Komuś ta zdolność wydaje się przekleństwem. Dla kogoś innego to możliwość wypuszczenia na wolność wszystkich swoich ukrytych pragnień. To nieprawda, że po zmianie postaci wilkołak traci rozum i gryzie wszystkich ludzi we wszystkie interesujące go miejsca. A jeśli chce go stracić, to i historia jest zupełnie inna...

- A dla ciebie?

*...Chłopi nazywają zimę „czasem wilków”...*

*Nawet nie wyobrażają sobie, w jakim stopniu mają rację. To...*

*...czas mroku, wycia i stada...*

*Połączyć się, żeby przeżyć - przez trzeszczące mrozy, długie noce, wiorsty pościgu za zdobyczą... albo pozostać na krwawym śniegu by przeżyli inni.*

*...czas miłości...*

*Przeżyć, by wybrać. Nie tego najpiękniejszego, tylko tego najpewniejszego. Przed którym bez wstydu pochylił się silny i bez obawy zawierzył mu słaby. Kto pozwoli ci żyć dalej i będzie dalej żył w tobie.*

*...czas prawdy...*

*Kim jesteś?*

*Spokojne życie w przytulnym domku. Przykładowa córka, żona, matka, sąsiadka, pracownica i wierna, pewna kolejnego dnia - bo w końcu dlaczego miałby różnić się od poprzedniego?*

*Dzień za dniem, noc za nocą przekonujesz sama siebie, że to jest to, o czym zawsze marzyłaś... i czasem nawet ci się udaje uwierzyć.*

*Ale za którymś razem, w czasie kuszącego zimowego zmroku spoglądając w zaśnieżony las usłyszysz jak w twojej duszy wyje dzika wilczyca o pełnych tęsknoty oczach.*

*I nie będziesz potrafiła tej tęsknoty zagłuszyć...*

- Nie chcesz odpowiedzieć? - rzekł Weres, odczekawszy parę minut.

- Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć. Jestem wilkołakiem i tyle. Nie potrafię sobie wyobrazić siebie innej.

Czarodziej podsumował sprawę niewyraźnym mruknięciem. Zrozumiał? Odłożył pytania do następnego razu? Czy już dawno podjął wszystkie decyzje i teraz podtrzymał rozmowę wyłącznie z braku lepszych zajęć?

Uciekłam spojrzeniem od horyzontu i potrząsnęłam głową, powracając do rzeczywistości.

- Weresie, opowiedz mi o Konwencji.

- Co dokładnie? - zapytał czarodziej bez entuzjazmu.

- Ogólnie. Co to takiego i kim są ci wolni czarodzieje, o których wspominaliście ty i twój elfi przyjaciel.

- Kolega z klasy - odruchowo poprawił Weres. - Przyjaźń to dla elfów abstrakcyjne pojęcie. Istnieje miłość, współpraca oraz więzy krwi, ale żeby dla kogoś przejść przez ogień i wodę to niedoczekanie. Chociaż czasem zdolni są do tak nieprzewidywalnych działań, że człowiek się może tylko dziwić.

- Ty mi tu nie opowiadaj bajek, tylko o Konwencji!

Weres smętnie poruszył wodzami okręconymi dookoła rękawicy.

- Jest to organizacja międzyrasowa, łącząca czarodziejów wszystkich profili. W trudnej sytuacji każdy z nich może liczyć na wsparcie Konwentu, oczywiście w rozsądnych granicach. W zamian każdy co roku oddaje część swojego honorarium. Zwykle jest to około dziesięciu procent, ale większość członków skutecznie uchyla się od tej powinności udając, że albo nie mają pracy albo wykonują ją za darmo. Szczególnie trudno jest upilnować wędrownych magów praktyków, bo w



końcu nie da się zapewnić obserwatora w każdej wsi złożonej z pięciu chat!

- A Rada Konwentu?

- Zgromadzenie trzynastu najlepszych arcymagów. W chwili obecnej siedmiu z nich pracuje na dworach królewskich, a pozostali prowadzą tryb życia niezależny od nikogo - jedni podróżują, biorąc się tylko za te sprawy, które im odpowiadają, inni doskonałą sztukę magiczną w otoczeniu starożytnych manuskryptów. I to właśnie ich nazywa się wolnymi czarodziejami. Tak więc tradycyjnie Konwent dzieli się na dwie frakcje - nadworni wspierają stabilność i minimalne ingerencje w życie zwykłych ludzi, a wolni cały czas mają ochotę na coś nowego.

- Jak z tymi amuletami ochronnymi?

- Dokładnie tak. Wydaje mi się, że to właśnie pomysł któregoś z wolnych. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób udało im się wprowadzić go w życie?! Tarwan raczej by się rozłożył na poszczególne kosteczki, niż podpisał coś takiego. Ksanderowi również trudno odmówić rozsądku. Ten pierwszy to naczelny mag w Belorii - wyjaśnił Weres, nie czekając na pytanie. - A o tym drugim już ci opowiadałem, również dosyć ciekawa osoba. Mają największe wpływy w Radzie Konwentu.

Gdy miałam już mniej więcej jasność w danej kwestii schowałam dłonie w rękawach, a nos w kołnierzu, mając nadzieję, że sen przegoni ostatki kaca. Rest spróbował powtórzyć moja sztuczkę z „niemowlęta zawsze dobrze śpią na świeżym powietrzu”, ale flegmatycznie rzuciłam „a ghyr z nimi” i spokojnie wróciłam do drzemki. Dzieciak z urazą wyduł wargi, otrzymując kolejną lekcję: zdanie wrogów i głupców nie powinno znaczyć dla ciebie kompletnie nic. Bo człowiek nigdy nie ma dość czasu, by posłuchać chociażby mądrych przyjaciół.

\* \* \*

Dzień minął spokojnie. Kelpie nie czując zmęczenia szły energicznym klusem po ugorze wygładzonym śniegiem. Zresztą, prawdopodobnie letnie jamy i wzgórki również nie sprawiłyby im większych trudności. Na zmarzłej powierzchni napotkanej rzeczki przeszły w płynny galop, potrząsając grzywami z nawołującym rzeniem. Nie byłam gotowa zaręczyć, ale kilka razy miałam wrażenie, że poprzez huk lodu pod ich kopytami przebija się odpowiedź.

Na nocleg musieliśmy zatrzymać się w szczerym polu - pomiędzy Jeziorną Krainą a Górami Grzebieniowymi nie było wiele lasów. Ostatni minęliśmy godzinę temu, a do kolejnego, jeśli wierzyć mapie, zostawało co najmniej dziesięć wiorst. No i bies z nim, gdzie niby mamy się śpieszyć i siniaczyć sobie tyłki? W ten sposób jutro w ogóle nie dalibyśmy rady wsiąść na siodła.

- Rano będziemy już w Leszczynce, a koło obiadu powinniśmy dotrzeć do Podgórza - oznajmił czarodziej do wnętrza własnego kołnierza, oszczędzając ciepło. Nie mieliśmy z czego rozpalić ogniska, ale nie zostaliśmy całkiem bez ognia - smok jak kot zwinął się w kłębek i miarowo wydychał rude trzepoczące płomyki. Rest z Virrą owinęli się kocami i położyli u jego brzucha, a Weres przytulił do boku. Ja transformowałam, rozkopałam śnieg w gniazdko, nastroszyłam futro i zebrałam łapy pod sobą.

- Szel, chodź do nas, będzie ciepłej.

- Nie jest mi zimno.

- Myślisz, że ja tak o ciebie dbam?

Myślę, że o ile wcześniej bym się trochę pokrygowała, ale w końcu podeszłam, to teraz będziemy jak ci kretyni do rana marzli osobno.

- Szel...

- Czego jeszcze chcesz?!

- Czemu się tak wściekasz? - zdumiał się czarodziej. - Nie chcesz to nie, ale weź pod uwagę, że to leży również w twoim interesie.

Ze zdziwieniem uniosłam pysk i postawiłam uszy.

- Czy nie mogłabyś szybciotko obieć obozowiska dookoła i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku? W końcu już wjechaliśmy na pustkowia. Gdzieś tutaj zginęła Delirna, a trochę dalej na zachód, jeśli elfy nie pomyliły się w obliczeniach, dojrzewa nowy Wiedźmi Krąg.

- A sam nie chcesz rozprostować nóg?! - oburzyła się. Znalazł sobie owczarka do

pilnowania!

- Tylko po co? - odparł bezczelnie. - Nie mam ani twojego węchu ani słuchu, a magiczne poszukiwanie w moim obecnym wykonaniu ma zasięg góra dziesięciu sążni.

- Ależ dlaczego? Jeśli nie wrócisz po godzinie to na pewno będziemy wiedzieli, że w okolicy jest niespokojnie. - Tak czy siak wstałam. Przeklęty czarownik jak zawsze miał rację. Nie było nikogo innego do tego zadania. Smok mimo całej swojej buty w mroku widział niewiele lepiej od człowieka, a poza tym tak sapał i tupał, że w najlepszym razie usłyszałby wyłącznie siebie samego. Poza tym szkoda budzić Virry. - Wyjaśnij mi przynajmniej, jak ten cały krąg wygląda?

- Póki nie jest otwarty - nijak. To po prostu miejsce gdzie materia międzyświatowa jest najcieńsza i najbardziej podatna na rozdarcia. Używając specjalnych obrządków można ją „przeciąć” i wykorzystać różnicę potencjałów magicznych pomiędzy tą stroną a tamtą. Niestety, najczęściej w zestawie są również pomroki z tamtego świata, które wyczuwają Kręgi i kręcą się dookoła nich w znacznie większej liczbie, niż w innych miejscach.

- A, to dlatego tak mi się spodobało w Wysiedlisku - otrząsnęłam się sceptycznie. Tak naprawdę po prostu przebiegałam obok miasta, kiedy dostrzegłam przybity do słupa ogłoszeniowego skrawek papieru: „Poszukiwana pomocnica zielarza, skromna i skrupulatna panna bez szkodliwych nałogów”. Przez chwilę zastanawiałam się czy nałóg regularnego porostania futrem można uznać za bardzo szkodliwy, ale ostatecznie uznałam, że zaryzykuję.

Weres zmienił pozycję, dokładniej ale bez szczególnego powodzenia owijając się kocem.

- Pomroka pomroce nierówna. Mam na myśli te bardziej prymitywne rodzaje, takie jak strzygi czy harpie. I zaczynam skłaniać się ku myśli, że Kręgu w świątyni nikt nie otwierał, po prostu sam zaczął sączyć moc, reagując na pojawienie się tego nowego.

- Ale przecież ktoś próbował to zamaskować. Po co?

- A po co usunięte zostały amulety, które również mogły zasygnalizować zmiany prądów magicznych? - Czarodziej odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Elfy dowiedziały się o tym bez żadnych amuletów.

- Ale jak dawno temu? Zaręczam, że Assariel do ostatniej chwili ukrywał tę informację przed Siódmką. Morri był obrażony za niełaskę władcy, więc praktycznie nie zajmował się sprawami państwowymi i nie bywał nawet na spotkaniach Konwentu. A Jesionowy Gród stanowi zamknięty system magiczny, na który zewnętrzne wahania mocy prawie nie mają wpływu, więc trudno jest zauważyć, że coś jest nie tak, jeśli ktoś nie wyjeżdża poza jego granice.

- No tak, bardzo pechowo tamtemu typkowi się zmarło - pożałowałam już któryś kolejny raz. - Z nim moglibyśmy porozmawiać znacznie bardziej produktywnie...

Zauważyłam, że ani Mrok ani Rest nie śpią - temu pierwszemu podejrzenie lśniły czerwienią szczelinki na wół przymkniętych oczu, a ten drugi starannie wstrzymywał oddech. Głuptasek, jeśli nie chcesz się zdradzić, to oddychaj możliwie bardziej równo i głęboko. Cisza zwraca na siebie znacznie więcej uwagi.

- A wiesz, co w tej historii jest najdziwniejsze? - burknął Weres już całkiem niewyraźnie z wnętrza kokonu koca. - On umarł jeszcze zanim uderzył głową o futrynę. Chyba nawet zanim go dotknęłaś.

- Serce mu nie wytrzymało? - prychnęłam, próbując przypomnieć sobie czy elf przypadkiem się nie obejrzał. Fascynujący obraz lecącej na niego kobiety o żarzących się oczach i wyszczerzonych kłach mógłby go pewnie mocno zaskoczyć. Ale chyba nie...

- Bynajmniej. Wygląda na to, że się zatrzymało, tak po prostu, bez widocznej przyczyny.

- Myślisz, że sam się zabił żebyśmy nie mogli go przesłuchać? - Wstyd się przyznać, ale kamień mi spadł z serca. Może i elfi mag zasługiwał na śmierć, ale świadomie wykończyć wroga w walce to jedno, a zupełnie co innego gdy robi się to przypadkiem, na skutek niedopatrzenia. A co gdyby faktycznie okazał się bogu ducha winnym pomocnikiem Lliotarela, któremu polecono na wszelki wypadek nas przypilnować? Następnym razem będzie się człowiek bał nawet dmuchnąć na podejrzenie uciekającego typu, nie wspominając o tym, by skoczyć...

- W biegu, gdy jeszcze miał szansę ucieczki? Mało prawdopodobne. To jak, pójdiesz? W milczeniu odwróciłam się i ruszyłam w mrok.

- A przy okazji się rozgrzejesz - usłyszałam za plecami. Ach tak?! No to masz!
- Szelena!!!

Jeszcze parę razy grzebnęłam tylnymi łapami patrząc, jak czarownik zasłania się przed lecącymi mu w twarz grudkami śniegu i spluwa, po czym już w znacznie lepszym nastroju wyruszyłam na zwiady.

Jak głupio by to nie brzmiało, faktycznie się rozgrzałam. A gdy dla rozprostowania łap pogoniłam zającą, który kompletnie oszalał od takiego nadmiaru uwagi, nawet się spociłam. Przycisnęłam zwierzątko łapą i triumfalnie warknęłam w smętnie zwisające uszko, po czym wypuściłam go by nabrał trochę sadełka przed naszym następnym spotkaniem. Odetchnęłam głęboko przez otwartą paszczę, spojrzałam w niebo... i nie mogłam wytrzymać. Siadłam w śniegu, okręciłam ogon dookoła tyłka, wygodniej rozstawiłam przednie łapy, zadarłam pysk i cichutko jęknęłam, skarżąc się na coś nieokreślonego do księżycy, który ze współczuciem pochylił w moim kierunku różki. Ku niebu wzleciał krótki jęk-okrzyk, jeden, drugi... ostatecznie zmieniając się w przenikliwe wielotonowe wycie.

Opamiętałam się dopiero po paru minutach. Opuściłam pysk, oblizałam się, otrząsnęłam, z przyjemnością podrapałam za uchem i ruszyłam z powrotem. Ciekawe czy to wilki odpowiadały gdzieś z daleka czy to echo mojej pieśni niosło się po polach? Tak czy siak, teraz wszystko ucichło. I żadnych śladów - ani pomrok, ani niczego żywego.

Obóz przywitał mnie milczeniem, ale nie snem. Wszyscy siedzieli jacyś milczący i nadmiernie spokojni. I patrzyli na mnie wielkimi oczami, jak gdyby widząc po raz pierwszy w życiu.

- Co? - spytałam celowo niedbale, otrząsając z łap przyklejony śnieg. - Nigdy nie słyszeliście wilczego wycia?

- Słyszeliśmy - przyznał Weres po długiej przerwie. - Ale... jakoś ci wyszło wyjątkowo przenikliwie... do samych kości.

- Dobra, to już nie będę - obiecałam ugodowo, po czym spojrzałam na kusząco uśmiechnięty księżyc i dodałam:

- A przynajmniej się postaram.

- Nie, nie musisz - niespodziewanie odrzekł Rest. - Wyj sobie na zdrowie.

Sceptycznie parsknęłam i obrzuciłam towarzyszy ironicznym spojrzeniem, ale ku mojemu zdumieniu żaden z nich się nie uśmiechał. Nawet wręcz przeciwnie.

- Szeleno, wiesz co...? - cicho i wyjątkowo poważnie powiedział smok. - Nigdy nie myślałam, że wycie może być tak... fascynujące. Czuję, jakby mi się wszystko wewnątrz przewróciło, jakbym po raz pierwszy ten księżyc zobaczył. I gwiazdy, bezkresne niebo i... samotność, i jeszcze wilczą tęsknotę. Nawet bym ci zawtórował, jak swój ogon kocham. Tylko bałam się, że cię przestraszę, jeszcze uznasz, że sobie żarty stroję...

Pozostali zgodnie milczeli, starannie i chyba z czymś w rodzaju poczucia winy uciekając spojrzeniami. Jakby przypadkiem zdarzyło im się podsłuchać coś nazbyt osobistego, więc teraz bali się, że również coś zobaczą.

- Oj dajcie spokój, zwykła nocna piosenka. - Zbyłam ich machnięciem ogona, ponownie kuląc się w swoim śnieżnym dołku. Wilcza tęsknota. Hm. Zresztą, miło, że raz w życiu ktoś docenił zamiast poczęstować posolonym srebrnym bełtem w tyłek...

- Szel, może jednak przeniesiesz się bliżej nas?

- Tu mi dobrze, tu mi ciepło - powtórzyłam uparcie, przykrywając nos łapą.

Przynajmniej poczekam, aż zaśniesz.

## Rozdział 12

Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że Leszczynka leży na brzegu jeziora, ale miejsce to wzięło swoją nazwę bynajmniej nie od połowu leszczy, tylko z powodu długich na wiorstę zarośli leszczyny, w których jak podpórki na grządce z grochem sterczały rzadkie świerki. Takiej ilości wiewiórek, które jak zwinne jęczyczki płomienia przeskakiwały z gałęzi na gałąź, w życiu nie widziałam. Na ziemi leżało więcej skorup orzechowych niż śniegu.

- W końcu się ogrzejemy... - mruknął Mrok marzycielsko, tymczasem pociągając łyk z flaszki i podając ją następnie przyjacielowi.

- Zjemy coś... - podchwycił Weres z nadzieją.

- Zapolujemy... - nie pozostałam w tyle. Czarodziej dostał ataku kaszlu i prawie upuścił flaszkę, więc pośpiesznie zamknął ją i rzucił z powrotem.

- Tylko spróbuj!

- Na krówki też nie mogę?

- Nie!

- Ani na owieczki?

- Szelena!

- Albo chociaż na kurczaczka?! Podzielę się z tobą.

- Przestań się zgrywać. Mrok, wyciągaj opaskę, bo już domy widać.

Łobuzersko puściłam do czarodzieja oczko, po czym buńczucznie przechyliłam się do tyłu i klepnęłam ogiera po zadzie, nakłaniając do galopu. Za mną z pokrzykiwaniem ruszył smok, a następnie Weres. Wszyscy, nawet konie, byliśmy w doskonałych nastrojach.

Niestety nie na długo.

Domy rzeczywiście było widać. Ale tylko tyle.

Nie gęgały gęsi, nie muczały w stodołach tęskniące za pastwiskiem krowy. Nie skrzypiał studzienny żuraw, nie trzaskały drzwiami biegające dzieciaki, nie śmiały się dziewczyny, niby to odpędzające szczerzących zęby chłopaków.

Nie było nikogo, kto mógłby muczeć i się śmiać.

Na bezlistnych jabłoniach siedziały wrony. Dużo, ponad setka, a ich drapieżne spojrzenia przywodziły na myśl raskwiry. Wcześniej miałam do tych ptaków całkowicie obojętny stosunek, ale teraz zjeżyłam się z zimna i podniosłam kołnierz.

Wrony bez odrywania oczu patrzyły w dół. Na szczodrze nakryty stół.

Rzucone na środku drogi nosidło z wiadrami, od których ciągnęły się lodowe ścieżki.

Przewrócony wóz z bezgłowym koniem w dyszlach, z wyciągniętymi skostniałymi nogami. Hałdy rozrzuconego po całej ulicy siana, którego kłaki wisiały nawet na krzakach porzeczek za płotami. Wyważone okna, wyłamani drzwi. Czerniejące dziury w słomianych strzechach. I wszędzie krew, krew i krew... karmazynowa, bordowa, czarna... krople, plamy, szerokie pasma w śnieżnych brzdach... zacieki i skrzepy na wzniesionych z bali ścianach...

A wprost na środku ulicy, za płotami, w poprzek progów, na białych prześcieradłach uciekających w dal pól - czarne bezkształtne bryły, które kiedyś były ludźmi. Nienaturalnie wykręcone albo wręcz przeciwnie, jak gdyby rozpięte na niewidzialnej belce. Rozerwane wpół. Wypatroszone, z jelitami ciągnącymi na kilka sążni...

Mrok i Weres zrobili się jednakowo biali, jak gdyby ta krew wyciekła z ich własnych żył. Nawet mój żołądek ruszył w kierunku gardła, a Rest tradycyjnie poszedł nawet dalej. Jediną osobą, której udało się zachować przynajmniej względny spokój, była Virra. Co prawda przycichła, i w półobrocie objęła mnie rękoma, ale w jej szeroko otwartych oczach widniało raczej zdziwienie

aniżeli strach.

Smok z trudem oblizał wargi. Na takim mrozie stanowczo nie było to zalecane, ale stanowiło przynajmniej jakieś potwierdzenie, że on sam jeszcze żyje. Następnie sztywnymi palcami ściągnął opaskę z oczu.

- Weresie, kto mógł zrobić coś takiego?

Czarodziej nie odpowiedział. Chyba nawet nie usłyszał.

- Są tutaj.

Wszyscy odwrócili się w moim kierunku.

- Wrony nie śpieszą się ze zlatywaniem na ziemię. Widzą je. Albo czują. I ja czuję.

- Szel, ale co...? - Weres urwał, wpatrując się w jedno z ciał.

Cisza zrobiła się całkiem paskudna.

Trup poruszył się. I jeszcze raz. Przetoczył się bezwładnie, szarpnięciami. Jak gdyby ktoś go żarł.

- Spadamy stąd - rozkazałam samymi wargami.

Doleciał nas niezadowolony ryk, obgryziona do czysta kość spadła na różowy śnieg.

Teraz również Weres zauważył łańcuszki trójpalczastych śladów, które niespiesznie spływały na skraj wsi. Mrok hałaśliwie przełknął ślinę. Chyba tak szybkie opuszczanie gospodarzy nie było tu mile widziane.

Zamknęłam oczy, gdyż wzrok w tej chwili tylko przeszkadzał.

Było ich siedem. Stworów, pachnących pomroką, psiną i czymś nowym. Ledwo słyszalnie podzwaniających ciemnymi oczkami kolczatek i z zaciekawieniem oblizujących pyski.

Kelpie zaczęły się denerwować, drobić nogami i cofać. Co prawda nie widziały tego świństwa, bo w takim wypadku poniosły by natychmiast, a nie w chwili, gdy pustka tchnęła na nie żarłocznym rykiem i siedmioma atakującymi wirami rozrzuciła śnieg.

Stwory dały nam około trzydziestu sążni forów, ale pewnie trzymały stały dystans, pieczętując biały arkusz śniegu siedmioma niebieskawymi wersami. Tylko szreń skrzybiała, łamiąc się i krusząc pod miarowo pracującymi łapami.

Nie miały potrzeby wyć ani powarkować jak stado wilków. Nie zaganiały zdobyczy.

Były pewne, że i tak ją dogonią.

Dokładnie tak by się stało i to całkiem szybko, gdyby pod nami były zwykłe konie. Nawet i tamta złotawa kobyłka ze sławetnych stepowych tabunów, która tak spodobała się Wersowi na targu, nie dałaby rady. Minęło dziesięć minut, a odległość pomiędzy nami prawie się nie zmniejszyła. Ale nawet to „prawie” absolutnie mi się nie podobało. Niewidzialne stwory nie miały zamiaru zmęczyć się ani rezygnować, a śnieg trzymał je niewiele gorzej od kelpie. Pół sążnia odległości na minutę to niby nic, ale gdy drapieżniki gotowe są ścigać zdobycz nawet cały dzień, a konie może i są magiczne lecz przez to nie robią się żelazne, należy zastanowić się nad zmianą strategii. Przynajmniej się pomodlić albo coś.

Weres uznał, że zacznie od czarowania. W pełnym galopie odwrócił się, wydał z siebie niski głuchy dźwięk, szybko zakaszłał i zaczął długie, niezrozumiałe zdanie, a może nawet i jedno słowo - tego ich czarodziejskiego języka za ghyra nie idzie zrozumieć.

Nie mam pojęcia co chciał w ten sposób powiedzieć, ale stwory i tak go nie rozumiały. A przynajmniej w żaden sposób nie zareagowały - albo były totalnie niewrażliwe magię, albo akurat marny mag się trafił. Ale za to sam Weres zaczął powoli chylić się w siodle. Nie tracił przytomności, a przynajmniej kiedy ściągnęłam wodze, zrównałam się z kobyłą czarownika i w ostatniej chwili złapałam go za kołnierz oczy miał otwarte. Przez chwilę pędziliśmy bok przy boku, Weres jak worek zwisał pomiędzy końmi z jedną nogą w strzemieniu i bezwolnie majtającymi się rękoma. Oczywiście ten manewr nie dodał nam prędkości. Virra przytuliła się do końskiego karku i wrzeszczała jak postrzelony zając. Rest darł się, nie wiedząc czy ma trzymać mistrza czy wodze. Mrok podjechał do nas od drugiej strony i krzyczał, żebym trzymała mocniej, a ja wysyłałam ich wszystkich po kolei do smoczej dupy, co dla Mroka było podwójnie obraźliwe. Ostatecznie czarownik również zaczął wykazywać lekkie niecenzuralne niezadowolenie, więc wepchnęłam go z powrotem na siodło. Jakoś się trzymał.

Rozłączyliśmy się akurat na czas. Potwór, który skoczył w środek naszej grupy capnął kłami pustkę i z rozczarowanym wyciem potoczył się po ziemi. Kobyła pod Mrokiem potknęła się, wykonała kilka nierównych jak gdyby pijanych skoków, ale ostatecznie udało jej się wyrównać krok. Ale za to stwór, który trafił pod jej kopyta miał się znacznie gorzej. Zachręściły łamane zębra, a śnieg wyglądał jakby ktoś z rozmachem wysypał na niego kubek żurawin.

Mrok nie ryzykował i chwilę wcześniej wyskoczył z siodła, odbijając się od ziemi już w smoczej postaci.

Pierwsze splunięcie ogniem jedynie zagotowało śnieg, unosząc słup pary.

Drugie jak płomienna aureola otoczyło podobne do wilka zwierzę z nieproporcjonalnie długim pyskiem i łapami, wielkości niemalże konia - chude i smukłe jak chart.

Ten koszmarny obrazek stał nam przed oczami nie dłużej niż sekundę, po czym pomroka ze skowyttem przetoczyła się po śniegu, tłumiąc płomień. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu, udało jej się to prawie natychmiast, mimo że smoczy oddech był w stanie spopielić nawet kamienie. A potwór ani myślał zaprzestać pościgu, wielkimi susami doganiając stado i nas przy okazji. Spalona sierść i przyklejone do niej grudki śniegu mętnie obrysowały postać bestii o szeroko otwartej paszczy.

Smok zszedł w locie niżej, próbując wykończyć stwora zębami, ale ten z niespodziewaną wściekłością wystrzelił w górę, prawie wbijając kły w gardło przeciwnika. Z boku skoczył kolejny, skrzypiąc pazurami po łuskach. Mrok z przenikliwym krzykiem odleciał na bok, szurając łapami po śniegu. Zatoczył krąg zyskując wysokość i przeleciał trzy sążnie nad nami, hałaśliwie machając skrzydłami jak gigantyczny nietoperz. Na koński kark spadło coś karmazynowego. Twoja mać, z czego **oni** mają pazury?! Z diamentów?!

- Jeżeli ogniem się ich nie da, to niech będzie mrok!!! - wrzasnął czarodziej, zwracając się ku niebu.

Smok ryknął, zatrzymując się w miejscu tak gwałtownie jakby ktoś pociągnął go za ogon. Jednym uderzeniem skrzydeł obrócił się dookoła własnej osi, wyciągnął szyję, otworzył paszczę i poruszył łbem, jak gdyby zdmuchując świeczki na urodzinowym torcie.

Lecz tym razem z jego paszczy wyrwał się nie ogień. Niczym potok atramentu uderzyła kłębiąca się nieprzenikniona ciemność, która w przeciągu paru sekund zasłoniła pole za naszymi plecami.

Weres ponownie wrzasnął coś jękliwie czarodziejskiego i wyciągnął do tyłu drżącą rękę. Błękitna iskra jak ziarno spadła na śnieg natychmiast kielkując promienistym błyskiem, uciekającym na wszystkie strony.

Kopyta zastukały o lód. Do tego stopnia nienaturalnie równy i przezroczysty, że konie i jeźdźcy odbijali się w nim jak w lustrze. Zmieszane kelpie w pierwszej chwili straciły rytm, ale szybko się przyzwyczyły i zaczęły ślizgać po powierzchni jak lekka poranna mgła. Za to stwory z ich smokobójczymi pazurami miały problem. Oślepienie przez czarny tuman nie były w stanie poradzić sobie z rozjeżdżającymi się łapami, więc piszczały jak najzwyklejsze kundły i jeden po drugim padały na lód. Oczywiście w żadnej sposób ich to nie powstrzymało - byle jak, na tyłkach, zapierając przednimi łapami pomroki na słuch wydostały się ze stworzonej przez nas przeszkody. Ale wygraliśmy czterdzieści, albo nawet i pięćdziesiąt sążni.

Kolejne półtorej godziny życia.

Stworzona przez smoka mgła utrzymała się przez może dwie minuty i zaczęła osiadać, jak pianka w cebrzyku z mlekiem. Weres prawie leżał na końskiej szyi, a Rest nauczony gorzkim doświadczeniem w sama porę złapał mistrza za pas, nie pozwalając mu zsunąć się na bok. Wyglądało na to, że w tej chwili nie potrzebowali mojej pomocy. Na wszelki wypadek nadal obserwowałam ich kątem oka i popędziłam chrypiącego z wysiłku ogiera, zmuszając go do dogonienia kobyły Mroka, która wysforowała się do przodu. Wychyliłam się i złapałam ją za ogłowie. Smok machający skrzydłami z już zauważalnym trudem natychmiast opadł w dół, na siodło, zmieniając w mgnieniu oka postać.

- Dziękuję - wychrypiał, łapiąc za wodze. Ma szczęście, gad jeden, po transformacji nie został ślad po ranach, nawet żadnej dziury w ubraniu. Też bym tak chciała.

- Na zdrowie - rzuciłam nieszczerze, zostając z tyłu. Ogier rzeźił coraz bardziej rozpaczliwie, a nogawki miałam już mokre od piany, która spływała po jego bokach. Ciekawe czy kelpie może paść z wyczerpania? Czy po prostu wyparuje, całkowicie zmieniając się w pot?

- Patrzcie! - krzyknęła Virra, wskazując ręką do przodu, na wylaniające się zza horyzontu czubki dachów. Czy to już Podgórze?! Dobrze sobie „w okolicach obiadu”!

Zresztą niektórzy z tu obecnych faktycznie mieli widoki na obiad, kobyły pod Weresem i Restem również zaczęły powoli pokrywać się pianą. Nie bardzo miałam ochotę podprowadzać drapieźniki pod kolejną wieś, ale raczej nie mieliśmy wyboru. Po pierwsze, i tak już ją zobaczyły, a po drugie, jeżeli zbierzemy wszystkich chłopów zdolnych do uniesienia broni, mamy jakąś szansę.

Podgórze okazało się dużą wsią, liczącą sobie około stu domów i nawet mającą straż. Dwóch jej przedstawicieli akurat pełniło dyżur przy bramie otwartej na oścież, widać leniąc się otwierała ją i ponownie zamykała przed każdym przechodniem. Tępo gapili się na pędzące wprost na nich konie aż zrozumieli, że jeźdźcy bynajmniej nie mają zamiaru ich zatrzymywać. Ostatecznie strażnicy już nie mogli dalej ignorować tego faktu, więc roztropnie uciekli na boki. Końskie kopyta zgmiotły na placek toczący się po drodze hełm.

- Trzyyyymaj! - poleciało za nami.

Zatrzymano nas całkiem szybko, już na środku placu. Mój ogier stanął dęba, przeszedł się na tylnych nogach, machając przednimi w kierunku odważnego chłopca, trzymającego w obu rękach miotłę, oberwał po pysku i z urażonym rzeniem zatrzymał się, zmuszając do tego również pozostałe kelpie.

Dyszając tak ciężko, jakby to koń jechał wierzchem na mnie, rozglądałam się dookoła.

Stwory już dawno powinny były dotrzeć do bramy. Ale z jakiegoś powodu zaprzestały pościgu. Przestraszyły się dużej ilości ludzi? W Leszczynce ich to nie zniechęciło.

Doszedłam nieco do siebie i zauważyłam, że zebrano się wokół nas koło pół tuzina strażników ściągniętych na alarm. I wszyscy wydawali się bardzo z czegoś niezadowoleni. Widząc, że nie próbujemy stawiać oporu, ani nie jesteśmy podobni do konterfektów z paskudnymi pyskami aktualnie poszukiwanych bandytów, porozwieszanych na słupach wiorstowych, pochowali broń do pochew, ale wcale nie mniej wymownie potrząsali pięściami, batami, a jeden czymś w rodzaju metalowego naleśnika. Popłątane wyjaśnienia odnośnie tego, że gonili nas niewidzialne potwory, zostały przyjęte dość sceptycznie, Weres musiał „chuchnąć”, po czym stróże porządku wymienili porozumiewawcze uśmiechy, całkowicie ignorując zapewnienia, że to „tylko parę łyków na rozgrzanie”.

- I czegoż tylko nie wymyślają coby nie płacić myta za wjazd! - burknął naczelnik, charkając i pogardliwie spluwając pod kopyta konia należącego do Weresa.

Mamrocząc przeprosiny jeden przez drugiego sięgnęliśmy po sakiewki. Strażnicy patrzyli na nas, jak na ostatnich kretynów. W sumie mieli powód - najpierw pędzimy jakby się paliło, potem gadamy totalne bzdury, a teraz ze łzami radości w oczach wpychamy im pieniądze, które wystarczyłyby na myto za cały oddział. Nawet nas nie aresztowali, ograniczając się do paru soczystych epitetów i zmuszenia byśmy wywrócili torby dla sprawdzenia, po czym pogrozili i puścili wolno. Ku ogromnemu rozczarowaniu gapiów.

Mrok, który do tego momentu starannie mrużył oczy, znalazł w kieszeni zmiętą opaskę i założył ją z powrotem, a następnie natychmiast zaczął rozglądać się dookoła, co z boku wyglądało jeszcze dziwniej.

- Gdzie one się podziały?

- Nie bój się, zostały za bramą - burknęłam, zsiadając na ziemię. Po tak długim galopie mój tyłek zmienił się w bitkę, a nogi ledwo mogłam rozprostować.

- Dobrze wachałaś?!

- Znacznie lepiej, niż ty patrzyłeś.

Ciekawskie spojrzenia miejscowych w końcu zmusiły nas do ruszenia się z miejsca. Nie mieliśmy specjalnej ochoty, by omawiać niedawne wydarzenia - były jeszcze zbyt świeże w pamięci. Tak więc chwilowo po prostu szliśmy gdzie oczy poniosą, próbując odzyskać spokój ducha.

Na ulicy spotkałam nie mniej krasnoludów niż ludzi. Drewniane chaty stały na przemian z niskimi kamiennymi, a dzieciaki obu ras lepiły śnieżki na ulicy, budując śniegowy zamek.

- Jakoś nie widać trolli - zauważył Weres z namysłem, docierając do połowy ulicy.
- A potrzebne ci?
- W zasadzie nie. Ale wcześniej było ich tu pełno, w końcu góry na wyciągnięcie ręki. O,

targ!

Czarodziej nie rozmieniał się na drobne i zakupił od pierwszej napotkanej handlarki wszystkie mięsne paszteciki razem z koszem. Na bardzo krótką chwilę podsunął go nam, po czym z zachwyconym wyrazem twarzy przycisnął koszyk do piersi, co i rusz wkładając do środka rękę.

Powęszyłam, ale nie skomentowałam.

- Szel, częstuj się. - Weres szczerze wyciągnął w moim kierunku najmniejszy pasztecik.
- Dziękuję, sami możecie takie jeść.

Czarodziej nie nalegał, przypisując niespodziewany atak wegetarianizmu mojemu kiepskiemu nastrojowi. Po części miał rację. Chociaż zwykle humor nie miał wpływu na mój apetyt, wręcz przeciwnie. Tak więc gdy sąsiedni handlarz, niski ork o skośnych oczach zaproponował mi wędzoną jaszczurkę o rozmiarach niewielkiego szczupaka obejrzałam ją krytycznie trzymając za ogon, potargowałam się, a następnie sięgnęłam po sakiewkę.

Mrok skrzywił się i odwrócił, ale za to Weres spoglądał z nieudawanym zaciekawieniem.

- Jeżeli się nie mylę, ten stwór nazywa się „stepowy smok”. Na Marinnej Piędzi trafiają się egzemplarze o długości półtora arszyna, czasami nawet myli się je z bazyliškami.

- Chcesz spróbować?
- Znaczący... - Czarodziej rzucił spojrzenie na pobladłego Mroka, ze smutkiem przełknął ślinę i potrząsnął głową. - Nie, dziękuję.

- Twoja strata - mruknęłam niewyraźnie z pełnymi ustami. Jaszczurka okazała się wcale nie gorsza od kurczaka - delikatna, soczysta, o lekko gorzkawym posmaku jałowcowego dymu. Chyba nawet lepsza, zawsze marzyłam, by kurczak miał cztery nóżki.

- Szeleno. - Smok nie wytrzymał już przy drugiej łapce. - Czy mogłabyś przynajmniej mlaskać trochę ciszej, co? Myślisz, że to przyjemne, kiedy ktoś tuż obok w bezpośrednim tego słowa znaczeniu popełnia akt kanibalizmu?!

Wiesz, ja nie protestowałam gdy dziesięć minut temu na moich oczach pożarłeś tamten pasztecik z Burkiem - odezwałam się flegmatycznie, obgryzając półprzezroczystą kosteczkę.

- Że co?! - Mrok rzucił się do macania się po brzuch, jak gdyby próbując określić położenie zdradzieckiego wypieku.

- Dlaczego mnie od razu nie uprzedziłaś?!

- A skąd ja mam wiedzieć, może pieski to twoje ulubione danie? W końcu nie każdy smok jest na tyle odważny by atakować krowy, niektóre z nich potrafią ubodnąć. - Wpakowałam resztki jaszczurki do torby i nie czekając na odpowiedź zniknęłam za drzwiami kramu z bronią. Nie wybierałam specjalnie długo i tylko wskazałam palcem, że poproszę to i tamto. Nie bardzo miałam też ochotę na wydawanie resztek pieniędzy, więc zaproponowałam właścicielowi srebro z obroży kudłaka. Chwilę burczał, że niby jakieś zakopcone, więc trudno zgadnąć czy prawdziwe srebro czy nie, ale ostatecznie wziął za dwie trzecie ceny wagowej.

Towarzysze czekali na mnie na ulicy przy sąsiednim domu. Konie były przywiązane do słupków daszku nad studnią, a Weres stoicko (bo w końcu co to za różnica, skoro pięć sztuk już zjadł) przeżuwał kolejny pasztecik. Virra z ciekawością badacza rozłamywała swój, szukając śladów psiożerstwa. Pozostali próbowali na to nie patrzeć.

- No to gdzie idziemy? - Końcówka mojego pytania utonęła w narastającym łoskocie, tupaniu oraz desperackim kwiku, Zdażyłam tylko odwrócić głowę w kierunku sąsiedniej bramy, gdy rześko poruszając grubymi plamiastymi szynkami wyskoczyła z niej ważąca około dziesięciu pudów Świnia o obwisłych uszach, i ruszyła do czołowego ataku na nas.

Ja i Virra rzuciłyśmy się do lewego płotu, Weres do prawego, za kołnierz podciągając za sobą stojącego jak słup Resta.

Mrok natomiast nie wymyślił nic mądrzejszego niż podskoczenie przed samym pyskiem



rozwścieczonego wieprza.

Świnia śmignęła pod smokiem jak pocisk z trebusza i dopiero wtedy dostrzeżliśmy źródło łomotu - za nią, podskakując na kamieniach wlokła się na łańcuchu duża, solidna buda.

Niestety, budy Mrokowi nie udało się przeskoczyć.

Świnia ani myślała się zatrzymać.

Przez kilka chwil smok jakimś cudem balansował na ostrej kalenicy machając rękoma, ale ostatecznie nogi nieubłagalnie rozjechały mu się na boki i Mrok okraczył budkę tyłem na przód. Desperacko czepiając się daszku błyskawicznie zniknął nam z pola widzenia, ale nie słyszenia - jego spóźniony wrzask strząsnął z dachu kilka sopli.

Z osłupieniem spojrzeliśmy po sobie i rzuciliśmy się za nim po to tylko, by odkryć, że nie zajechali daleko. Świnia natychmiast za zakrętem aż po brzuch zagrzebała się w śmierdzącej kałuży, która wyciekła spod ściany chlewu, kilka razy chrząknęła z irytacją, pogrzebała w parującej gnojówce ryjem po czym uspokoiła się i z pełnym rozkoszy westchnieniem padła na bok. Mrok w niemal identycznej pozycji leżał przy brzegu kałuży, tyle że nie chrumkał a wydawał z siebie rozdzierające duszę jęki, ściskając rękoma miejsce, którym rąbnął w daszek.

- Chyba niniejszym następnym pokolenie belorskich smoków poniosło nieodwracalne straty - skomentowałam z pogrzebowym wyrazem twarzy.

- Jeżeli... niektórzy... tu... obecni... nie zamkną japy... - udało się wyksztusić Mrokowi pomiędzy jękami - ...to... wolmeńskie pogłowie wilkołaków... poniesie straty już teraz!

Tuż za świnią zza zakrętu wybiegł radośnie rechoczący i aż zginający się wpół dzieciak, na oko w wieku lat ośmiu, którego genialny pomysł uwiązania świniaka na łańcuchu zamiast psa miał tak widowiskowe skutki. Zresztą cieszył się niezbyt długo, przez jakieś dwie minuty, póki zasapany ojciec nie złapał go za ucho.

Świnia kwiczała coraz ciszej. I melodyjniej.

Dzięki emocjonalnym epitetom wypluwanym przez Mroka właściciel świniaka odtworzył przebieg wydarzeń, pokrył się czerwonymi plamami i rzucił do przeproszania, obiecując, że zedrze z kochanego potomka trzy skóry. A gdy całkiem sprawiedliwie zauważyłam, że kuśnierstwo jako takie mało nas obchodzi, zaproponował, że w ramach rekompensaty możemy skorzystać z jego usług jako karczmarza.

Kwestia tego gdzie mamy iść rozwiązała się sama. Wspólnymi siłami udało nam się postawić Mroka na nogach i z trudem zaciągnąć go do karczmy. Dzieciak bezustannie darł się na jednej nucie, jak gdyby wcale nie potrzebował oddychać. Jego ojcu można było wyłącznie zazdrościć wytrzymałych nerwów. Albo też współczuć.

- Taszka! - bezradnie krzyknął karczmarz, jedną ręką nadal ściskając ucho psotnika, a drugą łapiąc za poręcz schodów, prowadzących na piętro. - Obsłuż tych państwa na koszt lokalu! I przygotuj pokoje!

Rozczochrana panna za ladą przesunęła po nas obojętnym spojrzeniem i pokornie skinęła głową.

- Tak w zasadzie to my już... - chciałam odmówić.

- O właśnie - przerwał mi Weres, chowając za plecami do połowy opróżniony koszyk. - Jesteśmy już bardzo głodni!

Pokręciłam głową równocześnie z irytacją i zachwytem, po czym przeszłam do sali. Moocny jest! Zresztą, co mi do tego? Jak za darmo to ja również nie odmówię dodatkowego plasterka kielbaski.

W karczmie panował hałas, tłoczyli się tu ludzie i krasnoludy. Przy centralnym stole świętowało już wyraźnie podpite towarzystwo, które dźwięcznie łomotało kuflami i na pięć pijanych gardel śpiewało (a raczej ryczało) piosenkę. Gdyby Hrajk usłyszał jej składność i melodyjność, dostałby udaru, a elfy z Jesionowego Grodu przyszłoby pogrzebać na miejscu. Chyba tylko Morriel by się ucieszył.

***Oj nie chodzę już***

***Do kościoła***

***Bo pokarał bóg***

***Mnie teściową!  
Oj nie dla niej jest  
Nastrój dobry  
Gdyby dać jej kły  
Była b kobra!  
Mózg mój złości jej  
Nie ogarnia  
Gdyby jej skrzydła dać  
Była b harpią!  
Robi co tylko chce  
Baba wredna  
Jakby miotłę dać  
Wiedźma wstrętna!  
Jakbym ja jej chciał  
Zrobić zadość  
Jeden mały kop  
Duża radość!***

Nawet niespecjalnie się przysłuchiwałam, ale na trzeciej zwrotce złapałam się na tym, że odruchowo przytupuję do taktu. Spojrzałam na nogi moich towarzyszy i rozweseliłam się jeszcze bardziej. Nie ma co, czepliwy motyw!

- Virro, łap!

Dziewczynka rozpakowała zawiniątko i z zachwyconym piskiem przesypała w dłoniach dwie dziesiątki kutych grotów do strzał. Pięć było oznaczonych czerwoną kreską - „dmuchawce”, wybuchające przy trafieniu. Wydłubać trzystu stalowych zadr nie uda się najlepszemu medykowi. Nawet jeśli jest magiem.

Mała złapała nóż i kołczan, i podbiegła do wolnego stolika przy oknie - delikatna praca robienia strzał wymagała jasnego oświetlenia. Krzywo rozszczepione drzewce czy byle jak przytwierdzony grot i ile byś nie celował, wróg w najlepszym razie pokaże ci język. Albo i miecz, z zamachu w oko, żebyś lepiej sobie obejrzała.

Obolały „ślepiec” i Rest, który tym razem podtrzymywał go naprawdę, dołączyli do Virry, a ja i Weres pozostaliśmy przy szynkwasiu w oczekiwaniu na zamówienie - karczma była pełna klientów, a służka tylko jedna i ledwo nadążała z wystawianiem zamówień na blat, nie wspominając już o roznoszeniu. Usiadłam na wysokim stołku, z którego kurtuazyjnie raczej spelzł, niż zlązł stały bywalec, czarodziej zaś stanął obok,

- Szel, po co to zrobiłaś?

- Co? - Pstryknęłam placami, ściągając na siebie uwagę dziewczyny. - Niech mi panna naleje miodowo-porzeczkowego zbitnia, i to żeby dymił, a nie przymarzał do blatu!

- Uczysz ją zabijania!

- Daję jej szansę nie zostania zabita. Daj spokój, elfy uczą dzieci strzelać z bojowych łuków od momentu gdy te wyjdą z pieluch.

- Jest półelfką.

- I racz zauważyć, że nie niemowlęciem. Doskonale wie, czym jest śmierć. I nie będzie rzucać się nią gdzie popadnie.

- Jesteś tego aż tak pewna?

Uśmiechnęłam się, upijając łyk z podanego kufla. Zabić można zarówno gołymi rękoma, jak i zaostrozonym kołkiem. Wystarczy mieć ochotę, a możliwość lub jej brak nie zrobią wielkiej różnicy. Wręcz przeciwnie, nieco ochładzają. Patrząc na tych śpiewających chłopów, ich teściowe czeka tak koszmarny koniec, że tragicznie zmarłe zostaną pewnie zaliczone w poczet tutejszych świętych. Ale gdy te „przeklęte” poszczute przez ryczące córki zjawia się w karczmie, by siłą wyciągnąć z niej podchmielonych zięciów, ci ostatni bardzo szybko przestaną snuć barwne plany i pokornie powloką się do domu. Mimo że każdy ma przy pasie jak nie topór, to choć nóż myśliwski.

Ogrzałam się, odrzuciłam kaptur i wyprostowałam warkocz. O, znacznie lepiej, okropnie

odgniół mi potylicę. Mogłam sobie tylko wyobrazić jak teraz wyglądałam - z potarganą grzywką, nadal czerwoną od mrozu twarzą oraz spuchniętym nosem. Warkocz też wyglądał jakby go ktoś przeżuł...

Ale, jak to mawiają, nie ma czegoś takiego jak brzydka kobieta, tylko wina czasem brak. A w karczmie alkoholu było pełno. Nie minęło nawet pięć minut i już skusił się na mnie miłośnik jednego i drugiego, oszukany moją pozorną samotnością, bo czarownik choć stał obok starannie udawał, że nie jestem z nim. Nicponiowato wyglądający facet, ni to myśliwy ni to najemnik, złapał moje spojrzenie zwrócone ku Virrze i uznał je za odpowiedni powód, by nawiązać znajomość.

- Ma pani śliczne dziecko. Wygląda zupełnie jak laine - zachwycił się fałszywie, przysuwając się do mnie razem ze stołkiem.

- Kto?

- Jeden z elfich klanów - uprzejmie wyjaśnił nieproszony kawaler, nie mając pojęcia jak barwnego życzenia dalekiego lotu uniknął dzięki przypadkowo dobranemu tematowi.

- Specjalizują się w odbieraniu życia.

Dziewczynka podniosła głowę, posłała mi szczęśliwy uśmiech i ponownie zajęła się strzałą.

- Morderstwach?

- Nie do końca, a raczej w innym znaczeniu tego słowa. Pomagają zakończyć życie tym, kto ich o to poprosi oraz wykonują wyroki na osądzonych przestępcach - zarówno na szafocie oraz w przypadku, gdy tamci z uporem odmawiają stawienia się na niego. Że tak powiem, z dostawą do domu do klienta, hehe. To już z pojawieniem się ludzi opanowali nowy zawód - najemni mordercy. Mawiają, że to właśnie on w tej chwili jest najbardziej popularny. - Mój rozmówca zarechotał, pociągając łyk piwa i przysuwając się jeszcze bliżej. Uznałam to za opłatę całkiem do przyjęcia w zamian za informację i nie odsunęłam się. Typek ożywił się nawet bardziej. Jego rozbiegana łapa niby przypadkiem ułożyła się na oparciu mojego krzesła i niecierpliwie zabębniła po nim palcami.

- Zakładam, że współplemieńcy nie darzą ich szczególną miłością?

- Ależ dlaczego, laine bynajmniej nie są wyrzutkami. - Śpiewał jako ten słowik, przy czym wyraźnie widziałam, że jest mu równo obojętne na jaki temat miele ozorem, byleby tylko ktoś słuchał go z tak pochlebną uwagą. - Zabójca to zawód całkiem solidny, dochodowy i wymagający nadprzeciętnych umiejętności, a elfy szanują takie rzeczy. Po prostu starają się robić to na odległość. Tym bardziej, że laine wcale nie musi korzystać z broni, ani nawet pięści. Czasem wystarczy lekkie dotknięcie, taki jest ich dar i zarazem przekleństwo. Za miecze i łuki łapią wyłącznie w razie najwyższej konieczności - gdy wrogów jest zbyt dużo albo nie wiadomo, z której strony należy spodziewać się ataku.

Te słowa wywołały u mnie nerwowy chichot. Biedne elfy w Jesionowym Grodzie. I co one niby mogły pomyśleć widząc Virrę uzbrojoną po zęby i na dokładkę taszczącą mój darkan?! A ja naiwnie sądziłam, że Lliotarel podczas tamtej próby poprosił dziewczynkę o odejście na bok dla jej bezpieczeństwa. A tu się okazuje, że dla własnego!

- A jak ci cali laine wyglądają?

- Ot elfy jak elfy. Na oko najzwyczajni, czeszą się i ubierają zupełnie tak samo, żadnych tam specjalnych znaków również nie noszą. Tylko same elfy potrafią ich rozpoznać. - Ręka rozmówcy powoli przepęzła na moje ramię i zaczęła delikatnie je gładzić. Zachowywałam uśmiechnięte milczenie, jak wilczyca, która udaje zdechłą, żeby przywabić głupią wronę. - Ale za to mają jeden wspaniały przywilej. - Chłop mrugnął znacząco, bynajmniej nie mając na myśli elfów. Hej no, jeszcze byś mi usiadł na kolankach, bo zaraz w ogóle zepchniesz z krzesła!

- Jaki? - Udałam, że nie zauważam jego upartych prób by zmieścić się razem ze mną na i tak niezbyt dużym siedzisku. Masz swoje, to możesz tam pozostać!

- Nie można ich osądzić za morderstwo. Bo w końcu czy można obwiniać szewca za solidnie wykonane buty, a piekarza za dobrze wyrośnięty chleb? - „Kawaler” sapał, nie podejrzewając nawet, że z takim samym skutkiem może próbować ruszyć z miejsca jeden ze słupów podpierających dach.

- A jeśli trafi się wśród nich jakiś wariat albo samowolny mściciel?

- Klan karze odstępców we własnym zakresie. Wysyła do nich innych członków albo

wypęda... zresztą, dlaczego ja rozmawiam z tak piękną damą na tak ponury temat? - Gadule znudziło się krążenie dokoła. - Może lepiej razem...

- Może dlatego, że ta dama już ma kawalera? - przerwał mu Weres lodowato, odwracając się od lady i ciężko opuszczając rękę na moje ramię. Pechowy konkurent ledwo zdążył cofnąć swoją.

Oburzeni czarodzieje podobali się miejscowym niewiele bardziej, niż laine elfom. Mego adoratora jakby wiatr zdmuchnął, albo nawet huragan - uciekł, po drodze przewracając kilka krzesel.

Weres natychmiast cofnął rękę, a nawet na wszelki wypadek ją otrząsnął.

- Zazdrosny? - spytałam radośnie.

- Oczywiście. Co taki przystojny facet zobaczył w takiej paskudnej wilkołaczce?! - zapytał czarodziej kapryśnie, zwracając się do belki stropowej.

Wybuchnęłam śmiechem.

- W takim razie zamów mi kolejny zbiteń. Mam zamiar upić się z rozpaczy.

- Lepiej będzie jak zamówię całą karafkę. Mrok i Rest na pewno również będą mieli ochotę. I sam nie odmówię.

Za przyjemności zawsze należy płacić - w tym konkretnym przypadku Weres musiał wyłożyć za piwo i kufel, zabrany przez mojego niedoszłego kawalera, który zniknął bez śladu zapomniawszy uregulować rachunek.

- Słyszałeś? - spytałam ze stoickim spokojem. - A ty jeszcze miałeś za złe, że uczę Yirre zabijania. Przecież ona sama może wygłosić do mnie cały cykl wykładów!

- Ten typ nie jest elfem i nie zna się na ich klanach. Plótl trzy po trzy, żeby tylko poderwać śliczną pannę.

- A masz inne wyjaśnienie? - złapałam talerze swój i Virry, jakimś cudem założyłam na wystawiony mały palec na wpół pusty kufel a łokciem przycisnęłam karafkę i przytrzymując jej szyjkę podbródkiem potaszczyłam to wszystko do stołu. Czarodziej zgarnął resztę.

Virra radośnie skoczyła mu na spotkanie.

- Weresie, patrz jakie mi wspaniałe strzały wyszły! Szelena powiedziała, że można nimi nawet smoka położyć jednym strzałem... No co, tak tylko powiedziałam. Lubię patrzeć jakie Mrok robi miny. Prawda, że fajne?!

Czarodziej pośpiesznie wyładował jedzenie na stół i z westchnieniem złapał dziewczynkę na rękę.

- Fajne. Wręcz doskonałe!

Mała była do tego stopnia w skowronkach, że nawet nie próbowała się wyrwać a nawet chętnie objęła Weresa za szyję. Ten nawet nie ruszył brwią i razem z dziewczynką usiadł na krześle, przysuwając sobie najbliższy talerz. Nie zauważyłam w jego zachowaniu ani krzty fałszu. Zresztą, tak właściwie to w czym problem? Po pierwsze ona jest półkrwi. Po drugie, podróżujemy razem już od kilku dni, a na tamten świat wybrał się elf, który na to jak najbardziej zasłużył. A po trzecie, laine w końcu to szanowany zawód, a poza tym zawsze przyda się taka znajomość, w razie czego wiadomo do kogo się zwrócić, a jeszcze można liczyć na zniżkę!

Zjedliśmy szybko - ja, Mrok i dzieciaki nie byliśmy szczególnie głodni, a Weres też nie grzebał się z jedzeniem.

- No więc tak, co my tu mamy? - Czarodziej cienką warstwą rozsmarował po talerzu resztki kaszy, odwrócił łyżkę trzonkiem do przodu i narysował nierówne koło, a następnie na ukos podzielił je kreską - Załóżmy, że to jest Jesionowy Gród.

- Nie wygląda.

- Szel, użyj wyobraźni. - Czarodziej narysował obok pierwszego kręgu drugi, większy i jeszcze bardziej krzywy. - A to Góry Grzebieniowe. Co?!

- Nic, milczę! - Uniosłam ręce na znak kapitulacji, nadal zachowując na twarzy jadowity uśmiech. Weres umocnił sukces groźnym spojrzeniem i wrócił do malunków natalerzowych.

- Tutaj mamy Arliss! I rzekę, którą przekroczyliśmy. - Na "mapie" pojawiła się trzecia figura, jeszcze bardziej odbiegająca od geograficznie poprawnej albo przynajmniej geometrycznie

właściwej. - Problemy zaczęły się w tym miejscu i zakończyły tutaj. Pytanie brzmi, co znajduje się pomiędzy?

- Jakaś chrząstka.

Czarodziej z trudem się powstrzymał, by nie grzotnąć mnie łyżką przez łeb.

- Szel, czy możesz przynajmniej przez minutę zachować powagę?

- Gdybym zachowywała powagę, to już dawno bym zwariowała. Najpierw ganiają mnie nie bojące się dziennego światła kudłaki, następnie ten cały „wilkokudłak” z Wysiedliska, który z kolei przekazał pałeczkę w ogóle niewiadomo i niewiadomo komu, a ty z mądrym wyrazem twarzy wróżysz na fusach z kaszy zamiast pójść do wiejskiego starosty i wszystko mu opowiedzieć. Moim zdaniem to co się dzieje już dawno wyszło poza ramy problemów osobistych!

- I co to nam da, twoim zdaniem?

- Znaczący... - zastanowiłam się. - Poinformuje Konwent, a oni wyślą tu magów bojowych.

- Oj tak, już zaraz weźmie i poinformuje? - skrzywił się Weres. - Uwierzy nam na słowo?

- No to wyśle kogoś, żeby sprawdził.

- No właśnie, Szel. Wyśle. A oni nie wrócą. I goniec nie wróci. I mam mocne podejrzenie, że pocztowym gołębiem również zakąszą zębate „wrony”. Nie wiem czy widziałas, ale śledziły nas aż do Jesionowego Grodu. Tego chcesz?

- A magiczną telepocztę też zadziobią? - rzuciłam z irytacją.

- Nie mają tu maga. Kiedy ty flirtowałaś z tamtym kudłatym typkiem, ja wypytałem miejscowych.

- Popatrz na siebie! I gdzie się niby podział ten mag?

- Tam gdzie ja. Do najbliższego parowu. Wersja oficjalna brzmi, że przesadził z nalewką, zasnął na mrozie pod płótem i już się nie obudził.

- A sam nie możesz wysłać wiadomości? Albo zaczarować gołąbka?

- Nie jestem telepatą. - Drugi wariant czarownik skromnie pominął milczeniem, ale za to niespodziewanie twardo dodał: - Poza tym, wnioskuje z opowieści Morriela i Delirny, nie chce mi się wierzyć, że Konwent rzuci się nam na ratunek. Szczególnie mnie. Raczej na odwrót.

- Weresie, masz manię prześladowczą!

- Aha, i to właśnie ona poluje na nas od samego Wysiedliska! - rzucił czarownik, z irytacją odrzucając kosmyk, który wpadł mu do oczu, a przy okazji również talerza. Skoro długie włosy tak mu przeszkadzają, to czemu ich nie obetnie?

- Przecież chodzi nie tylko o to, że ty nie ufasz Konwentowi? - spytałam po chwili milczenia. - On również tobie nie wierzy, prawda?

Przez kilka sekund Weres oglądał własne dłonie, jak gdyby próbując wyczytać los z ich linii, a następnie z gorzkim śmiechem przyznał:

- Nie będą chcieli mnie nawet wysłuchać. Nie mam prawa pojawiać się w Starminie i całkiem prawdopodobne, że zginę na miejscu, jeżeli tylko spróbuję postawić nogę na jego bruku. A przynajmniej tyle mi obiecali.

- Wprost wspaniale! - Zakręciłam pustym kuflem i odchyliłam się na oparcie krzesła. - Znalazłam się w fascynującym towarzystwie! Wygnany czarownik, który nie jest zdolny by wyczarować cokolwiek sensownego, żeby nie zemdleć na miejscu...

- To chwilowe!

- ...smok uciekający przed przerośniętymi wilkami...

- Yhy, ledwo udało mi się ciebie dogonić!

- ...niedorostek z gruzlicą...

Rest próbował zaoponować, ale pechowo dostał ataku kaszlu.

- ...i... - Spojrzałam na Virrę, która skuliła się w przerażony kłębek - ...dziecko!

Mała poweselała. Jako jedyna z zebranych.

- I wilkołak z paskudnym charakterem - dokończył Mrok wyczerpującą charakterystykę naszej drużyny.

- Ona nie jest zwykłym wilkołakiem - westchnął Weres, w ostatniej chwili przytrzymując dłonią kufel, który akurat dotarł do brzegu stołu. - Sprawa wygląda znacznie gorzej...

- To znaczy?
- Ona jest kobietą - wyjaśnił czarownik grobowym głosem. - A tego nie uleczysz żadnym eliksirem.

Niezrozumiała chęć by powiedzieć mu coś paskudnego zmieniła się w palącą potrzebę.

- Czyli za co mówisz, że cię wygnali...?

Weres może zdołałby po raz kolejny zbyć mnie żartem albo przekleństwem, ale gadatliwy język Mroka sprzedał go razem ze wszystkimi bebechami.

- Oskarżyli o niezgodne z prawem stosowanie nekromancji oraz karygodne zaniedbanie.

Że niby podniósł kilka trupów z mogił, a potem nie dał rady zagonić z powrotem, więc nawiał. A one przez noc zabiły ze trzydzieści osób. - Smok właściwie ocenił gniewne spojrzenie czarownika i pośpiesznie dodał: - Ale był niewinny, słowo honoru! Tamtej nocy razem pili... jedliśmy kolację!

No tak, w taką historię nie bardzo chciało mi się wierzyć. To znaczy jakby chciał podnieść te trupy, to by pewnie podniósł, ale żeby nawiać...?

- Mam wrażenie, że taką sprawę jest bardzo łatwo wyjaśnić używając telepatii.

- Odmówiłem poddania się jej. - Weres siedział z tak kamiennym wyrazem twarzy i sztywnymi plecami, że gdyby jego łyżka nie leżała koło talerza doszłabym do wniosku, że ją połknął.

- Dlaczego?

- A co za różnica?

- Czyli jednak winny - podsumowałam z przekonaniem.

- Jeżeli wiedziałeś, kto to zrobił i milczałeś, to słusznie cię wyrzucili z Konwentu. Śmierć tylu ludzi to nie żarty!

- Znałem tego, kogo na pewno by oskarżyli, gdybym się zdradził z jego imieniem - przyznał czarodziej niechętnie. - I nie chciałem skazywać go... na to, co musiałem znieść sam.

- A jesteś tak bardzo przekonany, że on tego nie zrobił?

- Uśmiechnęłam się sceptycznie. Może to i był nadmiar złośliwości, ale chciałam go rozzłościć. - I któż to był? Przyjaciel? Kolejny pustogłowy uczeń, który nie potrafił przewidzieć skutków swojego zaklęcia? Czy może piękna dama serca, co?

- Zamilcz. - Weres zrobił się niebezpiecznie blady, ale ja już zbyt się rozpędziłam. Nie mówiąc o tym, że zbiteń również miał w tym swój udział - nie pożałowano porzeczkowego wina dla gości gospodarza.

- Czyli jednak kobieta? - Triumfalnie wyszczerzyłam zęby. - I jak ci za to podziękowała? Pocałowała w policzek i ze łzami w pięknych oczach powiedziała, że spotkanie się z wygnańcem szkodzi jej reputacji, a w dzikim miejscu w rodzaju Wysiedliska nikt nie doceni jej toalet wprost ze stolicy?

- Powiedziałem, żebyś się zamknęła! Tydzień później zginęła, a ty nie jesteś godna nawet wymawiać jej imienia!

- No co ty nie powiesz? Jak jej tam? Taaajrinn? - mruknęłam pogardliwie, naśladowując intonację czarodzieja.

Właściwie można było się tego spodziewać. Aż dziwne, że tak długo wytrzymał.

Weres sam zdziwił się i przestraszył - zastygł z uniesioną ręką, z niedowierzaniem gapiąc się na piekącą dłoń.

- Czyli jednak można wyprowadzić cię z równowagi - skonstatowałam ze spokojem, pocierając policzek. Powoli odsunęłam krzesło i wyszłam z karczmy, odprowadzana grobową ciszą. I to nie tylko przy naszym stoliku, bo policzek Weresowi wyszedł wyjątkowo dźwięczny.

Sama byłam sobie winna. Nie, wcale nie dlatego, że ciągle się proszę o nauczkę i w końcu ją otrzymałam... Przyzwyczaiałam się, że mogę to robić niczego się nie bojąc. Idiotka, która przesadziła z graniem delikatnej kobiety, której dobrze wychowany mężczyzna nie waży się nawet palcem dotknąć, jakkolwiek by go nie męczyła. Mało mi było jednej lekcji, tej z piórkiem. Ty, Szeleno, jesteś wilkołakiem. A on czarownikiem. Twoim wiernym wrogiem,

I żadne umowy tego nie zmieniają.

Na mrozie policzek szybko ostygł. Pijacka uraza również. Zawsze trzeźwiałam bardzo

szybko, a wściekałam się jeszcze krócej, o ile nie zabijałam od razu. Po prostu zapamiętywałam na przyszłość.

No i gdzie mam teraz iść? Skoro już wyszłam z dumnie uniesioną głową, to wracanie jak gdyby nigdy nic będzie niepoważne, zabiją mnie śmiechem. Jeśli będę siedzieć pod drzwiami, aż Weres przejdzie przez wszystkie trzy stopnie męskiej skruchy - „zasłużyła jęzda jedna!”, „chyba jednak powinienem był trzymać ręce przy sobie” oraz „pies z nią, przeproszę i niech się udławi” - to zamarznię na ghyr.

Zaczęłam od sprawdzenia, jak tam nasze koniki. Przyśpieszyłam leniwie czyszczącego je chłopaczka drobną monetką. Następnie pokręciłam się dookoła chlewu, gdzie wściekle ochrumkała mnie znajoma już Świnia, aż ostatecznie przez tylną furtkę wyszłam na drogę.

Podgórze było zabudowane jakoś całkowicie bez sensu. Miało tylko dwie krzyżujące się proste ulice, a pozostałe domy były chaotycznie rozrzucone pomiędzy nimi. W sumie nie dało się zrozumieć co tu do kogo należało - tu rósł sobie zadbane sad jabłoniowy w równej odległości od dwóch chat, przy czym obie zwrócone były do niego tyłem, tam na środku nieogrodzonego pola stała samotna szopa... Z braku lepszych zajęć ruszyłam w jej kierunku wąską ścieżką, obliczoną na jednego człowieka i dopiero w połowie drogi zrozumiałam, że ciągnące się wzdłuż niej zasypane krzaki jeżyn, po same czubki zasypane śniegiem.

Sięgnęłam by zgarnąć przymarzłą jagódkę... i w tym momencie w uszach mi zadzwoniło a potem skręciło tak, że padając na kolana nie zdołałam nawet krzyknąć. O ile wcześniej potrafiłam lepiej lub gorzej kontrolować ból, celowo się w nim zanurzając i nawet czerpiąc z tego siły, to tym razem zawładnął mną niepodzielnie. Chyba nawet straciłam przytomność, ponieważ ocknąłam się leżąc na boku w śniegu z łapami wyciągniętymi w skurczu. Z trudem uniosłam pysk, poruszyłam barkami, wypłutując się z resztek ubrania i tylko zdążyłam pomyśleć: „No ładnie...” gdy okazało się, że to była dopiero przygrywka.

Wrzasku człowieka, który zauważył wilkołaka nie daje się pomylić z żadnym innym. Szara zwierzęca postać na tle zaśnieżonego pola zadziałała na idących po drodze chłopów jak czerwona płachta na stado byków. Nie czekałam, aż ignorując ścieżkę z wojowniczymi wrzaskami dotrą do mnie przez głęboki śnieg. Ucieczka w kierunku środka wsi była samobójstwem - ku skrajowi tym bardziej. Jeżeli tamte stwory prawie dogoniły kelpie...

Pozostawało mi tylko szukanie kryjówki. Choć tyle dobrego, że drzwi szopy były na wpół otwarte i podparte patykami. W rogu leżała wysoka sterta słomy na podściółkę, ale już nie miałam czasu by się w niej zakopać. Do środka z krzykiem: „Tu jest, tu uciekł, ścierwo jedno!” wdarło się pięciu ludzi i trzech krasnoludów.

Prowodyrem towarzystwa okazał się barczysty niziołek ze śnieżnobiałą brodą, bardziej rozłożystą od końskiego ogona.

- Czekajcie, zapalę ogień - powstrzymał kumpli, którzy i tak niespecjalnie mieli ochotę, by wchodzić do długiego ciemnego pomieszczenia.

Trzasnęło krzesiwo, zaśmierdziało płonąca słomą.

- A krowy spokojne - zauważył ze zdumieniem krasnolud, wiodąc pochodnią z boku na bok. Ruda plama światła prześlizgnęła się po ścianach, wydobywając z mroku kępki mchu pomiędzy balami, prawie na glucho zalepione śniegiem okienko, krzywo pozbijane kraty boksów oraz równy szereg flegmatycznych krowich pysków, które z lekkim zdumieniem gapiły się na gospodarza. Bo w sumie czemu one miałyby się martwić?! Szczególnie ta kandydatka do mydlarni, pod brzuchem której się przyczałam. Moim zdaniem na nią nie podziałałby nawet funt pieprzu wtartego pod ogon. Ani konie ani krowy się mnie nie bały, biorąc ni to za dużego psa ni to za człowieka, który założył udekorowane ogonem futro. Już nie pierwszy raz korzystałam z tej sztuczki, chowając się w oborach i stajniach.

Teraz również by mi się upiekło, ale krasnolud okazał się uparty.

- I tak trzeba sprawdzić - stwierdził drżącym głosem, ponieważ do wąskich boksów można było wejść tylko w pojedynkę.

Towarzystwo nie obfitowało w ochotników. A póki chłopci niemrawo się spierali, na kogo mają zepchnąć ten wątpliwy honor, w progu pojawił się kolejny uczestnik przedstawienia.

- Szanowni, czy coś się stało? - zapytał spokojnie. - Nie potrzebujecie może pomocy?

Ludzie i krasnoludy z szacunkiem rozstąpili się na boki.

- Ot, panie magu, jakiś zwierzak się schował w Gaspowej stodole. Wilk, albo w ogóle... - Krasnolud z obawą zniżył głos.

- Kudłak!

- Za dnia? - Nowoprzybyły był sceptyczny.

Chłopi wymienili kilka zawstydzonych komentarzy i zgodzili się, że faktycznie, to już przesada. Ale wilka szanownemu panu mogą zagwarantować!

- Dajcie pochodnię - zdecydowanie zażądał przybysz. - Aż sam jestem ciekaw.

Moim skromnym zdaniem pochodni to on wcale nie potrzebował. Beztrosko pogwizdując i ciamkając butami po nawozie w przeciagu paru sekund dotarł do trzeciego z kolei boks. Otworzył. Zajrzał. „Idiotka!!!” - ledwo poruszył wargami.

Bezdźwięcznie wyszczerzyła się w odpowiedzi.

I na tym się rozstaliśmy.

Weres sumiennie obejrzał stodołę do końca, w ostatnim boksie z trudem unikając ogromnego byka, który chyba dostrzegł w czarowniku konkurenta - po co zagłada krowom w wymiona?! Spiesznie zamknął furtę, oparł się plecami o drżące pod ciosami rogów drzwi i przekrzykując wściekle muczenie ogłosił:

- Szanowni, nikogo tu nie ma! Pewnie przebiegł koło drzwi i za stodołę.

Rozochoceni chłopci głośno wyrażali swoje niezadowolenie, z nadzieją pogrzebali widłami w słomie, przez co ja pokryłam się zimnym potem i ostatecznie rozczarowani odeszli.

To, jak dotarłam do krzaków a potem do gospody, na całym ciełe zaciskając podarte ubranie, to była już zupełnie inna historia. I kompletnie nie miałam ochoty komukolwiek jej opowiadać.

Oczywiście nawet jeśli Weres planował mnie przeprosić, to dawno się rozmyślił.

- Twoje szczęście, że ludzie uznają was za stworzenia całkowicie nocne i nie mają pojęcia, że nie jesteście związani ani z porą dnia ani z fazą księżyca<sup>2</sup>. W przeciwnym razie by ci się tak łatwo nie upiekło. W poszukiwaniu wilkołaka przewrócili by całą wieś do góry nogami. - Czarodziej przechadzał się po izbie z taką złością, że nawet Rest wcisnął się w kąt, bojąc się trafić mu pod rękę. Niestety, bezpośredni obiekt tej słusznej skądinąd wściekłości z oburzeniem ją ignorował, w milczeniu przebierając się przed rozpalonym kominkiem.

- A przy okazji, ciekawe skąd się wziął ten przesąd o zmianie przy świetle księżyca? - wtrącił się Mrok, który miał do mojej „psoty” znacznie spokojniejszy stosunek. Chyba sam niejedną raz trafił w podobną sytuację, a Weres musiał go wyciągać. - Co, Szeleno? Celowo ukrywacie prawdę czy jak?

- Jeszcze czego. Wszystko jest znacznie prostsze.

- Hę?

- Za dnia człowiek nie ma ochoty.

- I tyle?! - Smok nie uwierzył.

- Yhym. Sam zobacz: słońeczko świeci, ptaszki śpiewają, sąsiadka na podwórku wywiesza pranie, jakie do ghyra wilkołaki? Nawet trochę wstyd.

- To wychodzi że w mroku nie wstyd? - zachichotał smok. - Nigdy bym nie pomyślał, że panny i wilkołaki mają tyle wspólnego!

- Nie. Ponieważ w ciemności ludzie się boją - odparłam poważnie. - A tego, co można dobrze sobie obejrzeć, nie ma co się bać. A przynajmniej nie do tego stopnia. Para gorejących w nocy ślepi spowoduje, że do ucieczki rzuci się tuzin osób, podczas gdy całość za dnia robi wrażenie w najlepszym razie na trzech.

- No to po kiego... - Weres poszukał jakiegoś w miarę przyzwoicie brzmiącego słowa, ale nie znalazł i dał mi możliwość dobrania go samej - ...przyszło ci do głowy zmieniać postać za dnia?!

- Mnie?! „Nie ma tu maga. Pytałem!” - przedrzeźniłam go z nieukrywaną złością. - On tu jest! I to znacznie lepszy od ciebie, bo nie zdążyłam nawet pisnąć, jak mnie złapało!

- To żaden dowód. - O dziwo, czarownik natychmiast się uspokoił. - Również znam to



zaklęcie, ale w praktyce jest ono mało przydatne. Po pierwsze, musisz mieć stuprocentową pewność, że masz przed sobą wilkołaka. Zwykłego człowieka zaklęcie może zabić.

- Jestem zachwycona - burknęłam, zwijając i rzucając w ogień podartą koszulę.

- Po drugie, można rzucić je wyłącznie na nieruchomy obiekt. Gdybyś zrobiła przynajmniej krok w bok, macierz zaklęcia zostałaaby naruszona.

- Czyli to znowu ja jestem winna? - Nie miałam pojęcia jak zdobyć nowy kozuch. Na pewno mieli tu kram kuśnierza, tyle że teraz bałam się nawet nos wychylić na ulicę. Tak więc musiałam w pośpiechu pozszywać ten, ogromnymi krzywymi szwami, które skrytykowałyby nawet ślepy mężczyzna. - Skąd niby miałam wiedzieć, że ktoś rzuca na mnie czar?

- Najpierw pojawia się lekkie klucie za uszami... - Weres raptem urwał i zaklął pod nosem.

- Tajemnica zawodowa? - sprecyzowałam ze „współczuciem”. - Weź się tak nie przejmuj, przecież sam powiedziałeś, że nie używasz tego zaklęcia. Pewnie jeszcze znajdziesz coś, czym można mnie dopieścić. W najgorszym razie pięścią, to ci wychodzi całkiem nieźle.

Czarodziej przestał wydeptywać i bez tego wytarty dywanik. Usiadł na krześle naprzeciwko, z plecami przygarbionymi ze zmęczenia i rękami zwieszonymi pomiędzy kolanami.

- No przepraszam - wydusił w końcu z westchnieniem, Oczywiście bez tego „no” brzmiało by trochę lepiej, ale zawsze coś. - Byłem przekonany, że się uchylisz. Słowo.

- Oj co tam, wszystko w porządku - zapewniłam go z fałszem w głosie. - Przyjaciel powinien być przyjacielem a wróg wrogiem, żebyś na pewno wiedział do kogo nie należy odwracać się plecami, a kto stanie za nimi kamiennym murem.

- Szel, coś takiego nie istnieje. Tak samo jak absolutne dobro czy zło. W różnych okolicznościach zachowujemy się różnie.

- Dokładnie. - Nie spierałam się z nim. - Ale dlaczego nie mogę pomarzyć? Dobra, koniec tematu. Co będziemy robić?! Pozostawanie we wsi jest niebezpieczne. Siedzimy tu jak w pułapce na myszy, tylko czekać aż gospodarz się obudzi i pójdzie wytrząsnąć ją do wiadra z wodą.

- O, w końcu dotarło! - prychnął Mrok, któremu nasza z Weresem dyskusja zdążyła już się znudzić. - Kiedy ty tam łapałaś krowy za ogony my uznaliśmy, że należy przedrzeć się do Gór Grzebieniowych, do krasnoludów. Może uda się od nich wysłać jakąś wiadomość do Konwentu.

Popatrzyłam na niego jak na szaleńca.

- Ale przecież do Gór mamy kilka godzin konno! A z pomrokami na ogonie nie zdołamy zrobić nawet trzech wiorst.

- Sami nie. Ale dziś wyrusza duża karawana do Starminu - futra, ryby i inne handlowe bzdety. Poprosiliśmy o możliwość dołączenia do niej.

W jeszcze większym zdumieniu odwróciłam się do Weresa.

- Ale przecież ty nie masz prawa się pojawiać w Starminie!

- Przecież nie zamierzam - rzucił czarodziej ze stoickim spokojem. - Ale przecież wrogowie tego nie wiedzą! Ja i Mrok komu mogliśmy rozgadaliśmy jakie to ważne, żebyśmy dotarli do stolicy i jak wielką tajemnicę tam wieziemy, tylko psst! A gdy karawana zacznie zakręcać za kraniec Gór Grzebieniowych oderwiemy się do niej i skręcimy do przełęczy.

- A kto ci zagwarantuje, że pomroki nie zaatakują karawany natychmiast po jej wyruszeniu z Podgórze?

- Po co? Przecież do wsi się nie pchały, bały się zdradzić. A karawana będzie szła do Starminu około dziesięciu dni, w tym czasie wszystko się może zdarzyć. Albo nas po jednym wyduszą za krzaczkami, albo nasza informacja straci na znaczeniu, bo wszystko i tak wyjdzie na jaw.

- Niezbyt to przekonujące.

- No przepraszam, ale nie mamy innych możliwości. Na pewno nie zdołamy dotrzeć do krasnoludów samotnie, a tak przynajmniej jest jakaś przykrywka. Jeśli się zgadzasz, to zaczynaj się pakować, bo karawana rusza za pół godziny i woźnice już zaprzęgają konie.

- Sam powiedziałeś, nie mamy innych możliwości - westchnęłam, próbując ustalić co będzie lepsze: całkowicie urwać kaptur czy szybko przyszyć go przynajmniej na brzegach, a na postoju poprawić? Dobra, oderwać zawsze zdązę.

Już przy wyjściu smok niepewnie dotknął mojego rękawa,

- Szeleno, posłuchaj...
- Hm?
- A paszteciki na pewno były... z Burkiem?
- Nie. Żartowałam.
- Ufff...

Porozumiewawczo poklepałam go po ramieniu.

- Niby skąd ja mam wiedzieć, Burek, Reks czy Azor...? Psina zawsze zostaje psiną!

1

Jedno z państw wampirów.

2

Stwierdzenia te są zgodne z prawdą wyłącznie dla prawdziwych wilkołaków (patrz wyżej).

## Rozdział 13

Pomysł się sprawdził. Nikogo nie obchodziliśmy - ani za dnia, ani w nocy... Chociaż, ta ostatnia jeszcze się nie skończyła.

Nie mogłam zasnąć. Karawana wystawiła własnych strażników, którzy leniwie opowiadali przy ognisku brodate kawały i dla urozmaicenia popijali je mocnym winem z ogromnej oplecionej słomą butli. Z identyczną intonacją „nie chcę, ale muszę” gdzieś w oddali smętnie wyły „wilki”. Czekwały aż odejdziemy na bok. Ha-ha. Ognisko rozpaliliśmy na samym środku obozowiska i nawet konie ku zdumieniu kupców przywiązaliśmy nierozsiodlane do dyszli najbliższych sań, żeby w razie czego natychmiast skoczyć na siodła i zwiewać co sił w kopytach.

Ale dokładnie tak jak przewidział Weres, wrogowie chwilowo zadowolili się trzymaniem nas pod kontrolą.

Rozżarzone węgle wydawały się aksamitną skórką nieznanego zwierzątka, które zwinęło się w ognisku - oddech rytmicznie unosił jego karmazynowe boki, plamiaste futerko lekko się poruszało. Wyciągnęłam ku niemu rękę, jak gdyby mając zamiar pogłaskać i zziębniętych dłoni sprężyste dotknęło gorąco.

Nigdy nie miałam dosyć patrzenia na ogień. Właśnie taki jak ten, niezbyt jaskrawy, przytulny, z zadowoleniem mrużący i przeciągający się w rozżarzonej gniazdku. Dymiący bez krzty sensu płomień najczęściej znika równie szybko jak się pojawia, zostawiając wyłącznie resztki po kawałku chleba, niecierpliwie wepchniętym do niego na końcu leszczynowego pręta. Doświadczony podróżnik odczeka, aż polana zacznie lśnić wewnętrznym światłem, które będzie nie tylko parzyło ale również grzało i dopiero wtedy powierzy im drogie sercu pożywienie.

Skubnęłam kawałek gorącej chrupiącej skórki i nie mogąc powstrzymać zadowolonego westchnienia włożyłam do ust, Usmarowany sadzą i znowu głodny Rest odprowadził go zazdrosnym spojrzeniem. Porcja Weresa w ogóle nie doczekała ogniska tylko skończyła wprost w żołądku. Ale nikt nie nabrał się na jego prowokacyjnie żalosne westchnienia - czarodziej i tak dostał największy kawałek.

Weres stwierdził, że jest otoczony przez zachłannych, pozbawionych serca i sumienia nie ludzi i przestał się zgrywać, wygodniej ułożył na posłaniu, wyciągnął z torby ogromny wyświechtany foliał, uznając, że zastąpi strawę cielesną duchową. Że też mu się chciało taszczyć ze sobą taki ciężar!

Zwierzątko wypuściło złote pazurki, łapiąc dorzuconą do ogniska gałąź. Wbiło w nią zęby, a następnie z lubością oplotło ze wszystkich stron, z syczeniem wysysając krople żywicy. Bez skrępowania wyciągnęłam rękę, przekręciłam okładkę i odczytałam tytuł: „Magia praktyczna w przykładach i zaklęciach”. Niżej napis dublował się lśniącymi elfimi runami. Jednak wyciągnął od Lliotarela! Kiedy zdążył?

Czarodziej chwilę szeleścił kartkami i ze złośliwym uśmiechem zaprezentował mi wykrzywiony pysk na całe dwie stronicie, z kunsztownie wykonanym podpisem „Stwór wilkołaczy, paskudztwo kompletne i rzadkie”.

Prychnęłam z oburzeniem i odsunęłam się. Ale Weres bynajmniej nie zamierzał dawać mi pstryczka w nos za nadmiar ciekawości, a wręcz przeciwnie, jak najbardziej potrzebował rozmówcy, by lepiej mu się myślało.

- Wiesz, co robię? - zapytał jak gdyby mimochodem.
- Masz nadzieję znaleźć tamtego niewidzialnego wilka?
- Tak i nie. Akurat jego na pewno tu nie ma, tyle już wiem. Ale spójrz tutaj. - Czarodziej otworzył książkę na jednej z zakładek, ale nie odwrócił jej do mnie tylko położył na kolanach i

wskazał palcem obrazek po lewej stronie. Chcąc nie chcąc musiałam przysunąć się i pochylić w niewygodnej pozycji, byle by tylko nie dotknąć jego ramienia.

- Moim zdaniem nie mają nic wspólnego. Może jest tylko tak samo kościsty.

- Dokładnie tak. To ghoul, „cementarny szakal”. Kiedyś pojedyncze sztuki kręciły się koło wsi, czekając na świeżego nieboszczyka i oceniając, czy nie udałoby się w międzyczasie złapać psa albo dziecko. Ale w miarę powiększania się miast i z racji tego codziennie zasilanych cementarzy ghoulę połączyły się w stada, jak bezpieczne kundły i zaczęły żywić wyłącznie padliną, bo to i łatwiejsze, i mniej niebezpieczne.

- Widziałam ghoulę. Raz się na nie ryknę i już uciekają na wszystkie strony z podkulonymi ogonami. I są półtora raza mniejsze nawet ode mnie.

- Jak nie dwa razy. Ale taki właśnie smukły, lekko przygarbiony kształt tułowia cechuje wyłącznie ghoulę. Jest idealnie przystosowany dla szybkiego i długiego biegu. A co powiesz o tej śliczności?

Wzdrygnęłam się i zmieniłam rękę, którą opierałam się o legowisko, by nie upaść wprost na Weresa.

- Ożesz ty, to dopiero morda...

- Szhor skalny Zwróć uwagę na jego oczy. - Czarodziej przykrył dłońmi górną i dolną część narysowanego pyska, zostawiając wyłącznie wąski pasek pośrodku. - Hej!

- Ghyr! - Jednak straciłam równowagę i trafiłam czołem w podbródek Weresa, aż kłapnęłam zębami. Ale miałam powód: z obrazka patrzyły na mnie głęboko osadzone oczka z lekko wydłużonymi i uniesionymi do góry zewnętrznymi kącikami. Dokładnie takie jak te, które na chwilę ukazały się w smoczym płomieniu.

Spiesząc się, by poprawić pozycję spróbowałam oprzeć się o książkę, ale moja ręka ześlizgnęła się po gładkim pergaminie i podstawą dłoni trafiłam czarodzieja w klamrę paska.

- Co wy tam takiego robicie? - burknął Mrok sennie, wysuwając spod koca rozczochraną głowę.

- Pracujemy nad magią praktyczną - poinformował go Weres przez zęby. Oj, to chyba nie była klamra... - Złóż ze mnie w końcu!

Smok paskudnie zachichotał, dając do zrozumienia, że niezbyt nam uwierzył, po czym znowu zniknął pod kocem razem z głową.

- I co dalej? - zapytałam, przyjmując bardziej godną pozycję,

- Szhory są równie aktywne w dzień i w nocy, a ponieważ w górach nie ma za dużo jedzenia, potrafią zauważyć zdobycz z odległości kilku wiorst - zaczął Weres niechętnie, nie patrząc na mnie, ale powoli odzyskał gadatliwość. - Powiedziałbym, że mają najlepszy wzrok spośród wszystkich znanych drapieżników. Teraz spójrz tutaj, to doskonały schemat budowy stopy harpii, która pozwala jej wspinać się nawet po pionowych powierzchniach i przez długie godziny wisieć na ledwo zauważalnych półkach skalnych. Niczego ci nie przypomina?

- Czekaj no... - Ledwo spojrzałam na obrazek, wierząc zawodowcowi na słowo. - Czy ty próbujesz powiedzieć, że mamy cło czynienia z potomstwem kilku potworów?

- Po pierwsze, krzyżowanie nawet dwóch gatunków pomrok to ogromna rzadkość.

Szczególnie gdy aż tak bardzo się od siebie różnią. Po drugie, ich potomstwo dziedziczy przypadkowy zestaw rodzicielskich cech, a nie te najlepsze. Po trzecie, większość takich hybryd jest bezpłodna. A wygląda na to, że my mamy do czynienia z aktywnie rozmnażającymi się stworami - w przeciwnym razie skąd miałyby się wziąć w takich ilościach? Nie wspominając już o obrazach...

- Myślisz, że ktoś celowo je wyhodował? - złapałam tok jego myśli.

- I nadal hoduje, cały czas ulepszając gatunek. Porównaj tamtego stwora, którego spotkałaś pod Wysiedliskiem i najnowszy „wariant”.

W lesie coś zawyło szczególnie żałośnie.

- W takim razie czy to wszystko nie mogło zacząć się od tamtych kudłaków? Dziwiłam się, że nie uciekały przed światłem słońca!

- Jeśli miałbym być bardziej dokładny, to od wilkołaków. - Weres zatrzasnęła książkę,

szczęknął klamrą i schował ją z powrotem do torby, która chyba nie zrobiła się przez to większa.

- Nadal mnie podejrzewasz?

- Nie o bezpośredni udział. Ale jakoś jednak jesteś w całą sprawę zamieszana. Ciekawi mnie, czemu nie zabili cię w Podgórzu?

- Zmartwiło cię to?

Czarownik potrząsnął głową.

- Nie widzę w tym logiki. Jeżeli magowi udało się unieruchomić wilkołaka, to dlaczego go nie zabił, kiedy ten był całkowicie bezradny?

- Wszystko o nas wiesz - „pochwaliłam” go jadownicie, pochylając się i poprawiając polano, które wypadło z ogniska. - Na rzadkich zaklęciach się znasz, wyczuwasz z odległości kilku sążni...

- Bo ja się w was specjalizuję - przyznał czarownik. - Musiałem w tym celu pozyskać pewne zdolności i zrezygnować z innych. Ale Szel, jeżeli będziesz tak mocno brać wszystko do siebie, to nie dojdziemy do niczego sensownego!

- A masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Mam, dopiero co mi przyszło do głowy. Przypomnij sobie, w Wysiedlisku chcieli cię złapać, a nie zabić. Mam wrażenie, że jeśli teraz wyjdiesz poza obozowisko, to twojemu życiu raczej nic nie będzie zagrażało.

- Sugerujesz żebym sprawdziła?

- Powiedziałem „życiu” - sprecyzował Weres. - Ale nie mam pojęcia po jakie lichy jesteś komuś potrzebna. W Podgórzu powtórzył próbę, tym razem używając magii, ale coś go przepłoszyło. Może właśnie tamci chłopię, dla których miałaś tyle barwnych epitetów. Jak zresztą i oni dla ciebie.

- Myślisz, że śledzi nas od samego Wysiedliska?

- Oczywiście, że nie, to byłoby niemożliwe. Poinformował sojusznika, a tamten tylko czekał na okazję.

- I cóż to za taki niezmiernie mocny koleś, skoro ma w każdej wsi po własnym magu?! W Wysiedlisku tamta gruba baba, i nie zdziwiłabym się gdyby główny miejski czarodziej. W Jesionowym Grodzie Assariel. W Rozłupanej Górcie również ktoś powiesił znak. W Podgórzu tamten tajemniczy nieznajomy, o którym nie wiedzieli nawet miejscowi. To może teraz również jest gdzieś tutaj w obozowisku?

- Dlaczego „może”? Tam jest, śpi sobie na tamtych saniach.

- Gdzie?! - Skoczyłam na równe nogi. - Żartujesz?!

Weres pociągnął mnie za połę kozucha, próbując ponownie posadzić, ale resztki nici, na których się trzymała, tego nie przeżyły. Czarodziej ze skruszoną miną podał mi trzymaną w dłoni szmatkę, a ja z irytacją wyrwałam ją i jednak usiadłam.

- Podejrzewam. Bawi się magią, po cichu, kiedy nikt nie widzi. A raczej jemu się wydaje, że po cichu.

- A co robi?

- Żebym to ja wiedział. Może po prostu się grzeje. A może wydaje telepatyczne rozkazy pomrokom. Tak czy siak, maskuje się na poziomie magistra trzeciego stopnia.

Zmarznięte stwory wyły tak żałośnie, że gdybym miała trochę więcej współczucia, to sama bym do nich wyszła.

- To może go obudzimy i porozmawiamy sobie od serca? - zasugerowałam złowieszczo, połyskując oczami.

- A on powie, że upadliśmy na głowę i nie jest to dostatecznie dobrym powodem, by mieć spokojny sen porządnych ludzi. Szel, jesteśmy w identycznej sytuacji. Dopóki kupcy patrzą, on nie waży się tknąć nas, a my jego.

- Ech, gdybyśmy mieli w drużynie normalnego maga, to w jednej chwili byśmy wszystko wiedzieli! - poskarżyłam się już któryś raz, niechętnie przyznając mu rację.

- Inny mag w ogóle by nic nie wyczuł - obraził się Weres. - Więc podziękuj przynajmniej za to.

- Aha, „dziękuję”, tylko mi zepsułeś nastrój... - Rozścieliłam koc, uznając, że przynajmniej spróbuję się przespać.

Czarodziej nie nalegał na kontynuowanie rozmowy, ale wyglądało na to, że nie zamierzał się również kłaść, tylko podrzucił do ogniska parę polan. O dziwo, bardzo mnie to uspokoiło. Już niejedną raz miałam okazję przekonać się o czujności Weresa, to może tym razem również nie zawiedzie.

Ale do czego to dochodzi - żeby ufać czarownikowi?! Tylko co począć, jeśli ten świat ostatecznie zwariował i więcej nie mam komu?!

\* \* \*

Gdy wychyliłam nos spod koca, mrużąc oczy w odbijającym się od śniegu słońcu, Weres tak samo siedział przy ognisku, ledwo słyszalnie chrapiąc spod kaptura. Akurat zebrałam się do wydania z siebie gniewnego ryku, gdy mężczyzna nic otwierając oczu powiedział:

- Dzień dobry, Szel.
- Przynajmniej trochę się przespałeś? - uspokoiłam się.
- Trochę. - Czarodziej ziewnął i przeciągnął się - Dobry mamy dziś dzionek.
- To będziemy wiedzieli dopiero wieczorem - zaprzeczyłam chmurnie.

W obozowisku już na dobre wrzało życie - konie z chrzęstem przeżuwały owies, ich właściciele po kolei biegali w kierunku najbliższych krzaczków, topniał śnieg w kotłach ustawionych na żarze. Podejrzany mag jadł śniadanie z takim spokojem, że nabrałam ochoty, by zjeść jego. Wyglądał na najzwyczajszego kupca - niezbyt wysoki, chudy, z czarnym wąsikiem i chytrymi oczkami. Łatwo mogłam sobie wyobrazić jak postawiony przed klientem śpiewa jak słowik, łgając, że wyraźnie kocie filtra są najwyższego gatunku norkami. A na dodatek miał czelność się z nami przywitać i to jeszcze uprzejmie. Nawet zaprosił do posiłku przy jego kociołku. Weres uprzejmie podziękował, ale odmówił. Byliśmy tak zaszokowani jego męstwem, że nie powiedzieliśmy słowa, gdy „uczciwie” podzielił nasz poranny posiłek - połowa dla niego, połowa dla nas.

Karawana składała się z siedemnastu sań w eskorcie trzydziestu dwóch ludzi i krasnoludów. Oczywiście w większości byli to mężczyźni, ale trafiło się też kilka kobiet, a raczej rosnących bab ze słownictwem trolla, które na równi ze wszystkimi pchały tkwiące w śniegu sanie i dla zabawy rzucały toporkiem do stojącego w odległości dwudziestu kroków pieńka. Jeden z kupców nawet wiozł ze sobą dwójkę dzieciaków w wieku Virry, które cały czas próbowały wciągnąć naszą małą do zabawy w śnieżki, ale ona tylko pogardliwie prychnęła, poprawiając kołczan. Też mi wielka wojownicza, nasza jedyna nadzieja, heh!

Koniec końców dzieciaki krygując się przed małą kokietką założyły się, że młodszy z nich nie wlezie na oblodzony świerk nawet do pierwszej gałęzi, z której to zwycięzca zleciał, rozdzierając spodnie i rozbijając sobie kolano. Pozbawiona serca „dama” wynagrodziła go pogardliwym śmiechem, a ojciec złożonym na pół rzemieniem, którym zresztą jedynie przez chwilę machał nad głową, żeby wypuścić parę.

- Szel, masz może jakieś zioła na takie przypadki?

W milczeniu podałam Weresowi słoiczek z maścią z babki. Czarodzieje zawsze się chętnie tą swoją magią, a jak przyjdzie co do czego, to nie potrafią się obejść bez znachora.

Jasnooki uśmiechnięty obcy o cichym głosie zupełnie oczarował dzieciaka, który zapomniał o łąkach i z dumą pokazał Weresowi krwawiącego siniaka. Obaj zgodzili się, że szrama tylko zdobią mężczyznę, a rana może i nie jest śmiertelna, ale nie zaszkodzi ją wyleczyć. Przecież wielcy wojownicy nie boją się bólu, prawda?

- A ty jesteś dobry chłop, mimo że czarownik - pochlebnie rzucił kupiec, po czym odwrócił się do mnie i pouczająco dodał: - A ty panno, trzymaj się go, z takim nie zginiesz!

Yhym. Panna faktycznie nie zginie. Odpowiedziałam wymuszonym uśmiechem i skinieniem, by nie prowokować niepotrzebnych pytań.

Weres skończył z leczeniem i wrócił do naszego ogniska. Pierwsze sanie już ruszyły z miejsca, drugie odwracały się za nimi, z chrzęstem oddzierając od śniegu płozy, które przez noc

zdążyły przymarznąć.

- No to jak, gotowi?

W milczeniu wlażłam na konia i za kołnierz wciągnęłam Virrę. Plan działań ułożyliśmy i przedyskutowaliśmy jeszcze wieczorem, więc zostawało tylko poczekać godzinę i skrzyżować palce na szczęście.

Wierzchołki Gór Grzebieniowych widoczne były już ze wsi, a dopóki majaczyły na horyzoncie wydawało się, że unoszą się nad obłokami. Ale gdy zbliżyliśmy się do nich prawie na wyciągnięcie ręki, zrobiło się oczywiste, że wcale nie są aż tak wysokie. Zwykle wzgórza, tyle że kamieniste i o ostrych szczytach, które teraz były pokryte śniegiem w całości, ale w lecie śniegowe czapki zachowywały się jedynie na dwóch czy trzech.

Przed nami był nasz cel. Dziwne, pomiędzy skałami znajdującymi się w odległości trzech sążni od siebie nie widać było żadnego śladu, jak gdyby drogi nie przecierano od czasu ostatniej śnieżycy. Dla naszych wierzchowców nie stanowiło to żadnej przeszkody, ale... Zresztą, Weres mówił, że to tylko jedna z dziesięciu prowadzących do krasnoludów ścieżek, bynajmniej nie ta najwygodniejsza i dlatego też rzadko używana.

Gdy się z nią zrównaliśmy, zrozumiałam, że plan już się nie zmieni. I trzeba było szybko coś wymyśleć.

- No więc, liczę do trzech. - Czarodziej mocniej owinął wodze dookoła ręki, i lekko się pochylił, przygotowując do gwałtownego startu. Mrok go naśladował. - Raz... dwa...

- Czekajcie! - Uniosłam rękę.

- Szel, o co chodzi? - zapytał Weres z pretensją, tym niemniej prostując się i odwracając.

- Sześć stworów biegnie po lewej, w czystym polu. A trójka jest po prawej, pomiędzy nami i górami.

- Poważnie?

- Nie, dh'kar tka ghyr an ilph tarr vyggaty! Uznałam, że sobie was postraszę dla żartu! Mamy dobry wiatr, zmienia się co chwilę. Póki co, to jedyna rzecz, której ich twórca nie wziął pod uwagę. Psy, szczególnie te odpowiednio wyszkolone, mogą z daleka wyczuć niewidoczne stwory i zacząć szczeekać, uprzedzając ludzi.

- Mam wrażenie, że niedługo to poprawi. - Weres zrozumiał, że w tej chwili powinien myśleć o zupełnie innych rzeczach. - Czekaj no, czyli już jest ich dziewięć? Skąd?!!

- A co za różnica? Siedmiu też byśmy nie dali rady. Zresztą nawet trzy to też za dużo.

- Co oznacza, że mamy wielki problem - podsumował Mrok smętnie. Wylot przełęczczy powoli zostawał z tyłu i z każdą minutą zwłoki szanse dotarcia do niego zmniejszały się coraz bardziej.

- Oznacza to wyłącznie tyle, że jesteście kretynami, którzy nie przewidzieli takiej możliwości i się do niej nie przygotowali.

- A może „my”?

- Nie, mowa wyłącznie o was. Więc dziękujcie bogom, że macie taką mądrą mnie.

- Że co?! Szeleno, czekaj!!!

Ale mój ogier w kilka skoków dogonił odpowiednie sanie, więc było już zbyt późno, by odciągać go za ogon.

- Przepraszam najmocniej... - Przy odrobinie chęci mogę być miła i uprzejma.

- Tak? - chętnie odpowiedział „kupiec” o cienkich wąsach. - Czego piękna dama sobie życzy?

Piękna, yhym... On również potrafił doskonale udawać.

- Proszę mi powiedzieć, pan przecież dobrze zna te okolice?

- Znaczą... - Mój rozmówca szybko się zastanowił, jaki odpowiedź będzie dla niego najbardziej korzystna. - Trochę znam... a o co chodzi?

- Bo wie pan, ja i moi wro... przyjaciele sobie myślimy, że ta karawana jednak idzie zbyt powoli, ledwo się wlecze, a my się musimy śpieszyć. - Moi towarzysze uznali, że mi odbiło i za plecami „kupca” robili tak dzikie miny, że ledwo powstrzymywałam śmiech. - Jak pan sądzi, czy uda nam się skrócić drogi przez o tamten las?

Coś tak durnego mogło przyjść do głowy wyłącznie pannicy z miasta, która po raz pierwszy wyjechała poza jego granice. Po pierwsze, „o tamten las” nawet z daleka wyglądał na nieprzebyty nie tylko dla koni, ale nawet dla kozic. Po drugie, na pewno mieszkała w nim cała masa drapieżnych zwierząt, które zawsze chętnie przyjmowały prezenty w postaci świeżego mięska. Po trzecie, podejmowanie takich decyzji na podstawie cudzych słów, nie mając pod ręką mapy... Aż poczułam się urażona, że ktoś uznał mnie za taką kretynkę. Bo typ, z trudem ukrywając radość, dla niepoznaki podrapał się po potylicy i pewnym siebie głosem stwierdził:

- Dokładnie tak, psze pani, od zawsze żeśmy przez niego jeździli do Brasu. - (Hej no, Bras w ogóle leży pięćdziesiąt wiorst na południe!!!). - Proszę bez wahania ruszać, już pod wieczór państwo będą w mieście, a stamtąd to do stolicy prosta droga.

- Wspaniale! - Podziękowałam mu szerokim uśmiechem. Całkiem szczerym, ponieważ dokładnie w tejże chwili wyobrażałam sobie jak powoli zagłębiam pazury w tej zadowolonej z siebie gębie. - Dokładnie tak zrobimy. Dziękuję bardzo!

- I ja dziękuję. - Kupiec szarmancko się uklonił i próbował ucałować mnie w rękę. Ech, jakbym miała na sobie kolczą rękawicę to na pewno bym mu pozwoliła. Niech potem próbuje ją oderwać, przymarznąętą do obślinionych warg. A tak, tylko kokieteryjnie pogroziłam mu palcem, w końcu przez rękawicę i tak nie było widać którym, i zostałam z tyłu.

Moi towarzysze już zrozumieli, co planowałam i teraz z niecierpliwością czekali na wyniki.

- Czaruje - szepnął Weres.

Widziałam. Czy raczej wyczuwałam skutki. No cóż, w końcu to taka wspaniała możliwość, zwabić nas do lasu i po cichu wykończyć. Nie trzeba nawet potem tłumaczyć towarzyszom z karawany gdzie się podzialiśmy.

- No i teraz... - Przekonałam się, że niewidoczne stado pośpiesznie wyniosło się do lasu i ryknęłam: - Tempo!!!

Wyszło nawet nazbyt rozkazująco - konie poniosły, i to wszystkie bez wyjątku. No cóż, przepraszam szanownych państwa. Nowy towar zawsze znajdziecie, a my musimy ratować własne skóry.

Do gór dotarliśmy w przeciągu kilku chwil, w pędzie rozciągając się w łańcuszek, by łatwiej wjechać do przełęczy. I dopiero gdy wykonaliśmy ten cudowny manewr zrozumieliśmy, co stało się z drogą.

Przełęcz była zablokowana nierównym skosem lawiny. Co za cholerny dzień! Człowiek nie nadaża z łataniem dziur w planach!

A co robić z tą konkretną, nie miałam bladego pojęcia. O zawróceniu można było zapomnieć, i to nawet nie z powodu pomrok, po prostu wściekli kupcy byli gorsi od kudłaków. Miałam wrażenie, że już słyszę radosne wycie za plecami, chociaż stwory nie mogły tak szybko do nas dotrzeć, nie mówiąc o tym, że ich pan miał w tej chwili lepsze rzeczy do roboty, niż szczucie, bo ostatnim co widziałam, były jego nogi sterczące spod przewróconych sań. Tym niemniej konie się nie zatrzymywały, jak gdyby właśnie takie było założenie: z rozbiegu przebiec przez lodową górkę. Pierwsze pięć sążni zostało z tyłu. Potem zamknęłam oczy uznając, że skoro mam przewrócić się i sturlać na dół razem z koniem, to przynajmniej nikt nie zmusi mnie, by na to patrzeć.

Gdy uczucie wzlotu zmieniło się w uczucie spadania, ale za razem nie skończyło się spodziewaną katastrofą, odważyłam się sprawdzić, co się dzieje. I zobaczyłam, że kelpie najspokojniej zbiegają z górki po drugiej stronie zawału. A siedząca przede mną Virra zaczęła radośnie krzyczeć i potrząsać wodzami, zmuszając wierzchowca do szybszego biegu. Co było najbardziej poniżające, Weres i Rest również mieli aż nazbyt zadowolone miny. Co prawda desperacko uczepony lęku siodła Mrok nieco mnie pocieszył,

Wyjechaliśmy na równy teren i wyhamowaliśmy, ostrożnie badając okolicę. Za zawałem przełęcz rozchodziła się w lejek. Zmieścił się tu nawet niewielki las, który w otoczeniu gór przypominał polankę Delirny, wykonaną z elfim rozmachem. Po sosnowych czubach, skrzypiących w proteście, hulał wiatr, zginając je jak trzcinki. Cała droga usłana była połamanymi gałęziami, a tu i ówdzie nawet pniami. Trochę strach było po niej jechać.



- Niczego sobie wiaterek. - Bez skutku próbowałam otulić się podartym kozuchem, przez który wiatr przenikał jak przez rzeszoto. - Czy tu zawsze są takie zawieruchy?

- Prawie zawsze. - Weres uważnie patrzył do przodu, na górę o charakterystycznym zębatym szczycie, która nadała nazwę całemu łańcuchowi.

- Biedne drzewa. Mam wrażenie, że zaraz jedno po drugim zlecą nam na głowy.

- Bzdury. - Czarodziej zbył mnie ruchem dłoni. - Mają już po pięćdziesiąt lat, więc przetrwają kolejne dziesięć.

Po tym optymistycznym stwierdzeniu nie minęła nawet minuta, gdy nieco z boku rozległ się charakterystyczny trzask, zgrzyt łamiących się o sąsiednie drzewa gałęzi i ostatecznie łomot pnia padającego na ziemię.

- Chyba schowała się pomiędzy nimi jedna sześćdziesięcioletnia - zauważyłam niewinnie.

Teraz na sosny zerkali wszyscy. Nawet Mrok, który odstąpił Restowi swoją kobyłę i szedł przodem w skrzydłato-łuskowej postaci - pod pretekstem, że to niby ma wielu przyjaciół wśród krasnoludów, więc niech z daleka widzą, jak wielkie szczęście spadło im na głowy w jego osobie.

Niestety, w praktyce krasnoludy okazały się bardziej zdradzieckie od sosen, ponieważ gdy mijaliśmy zaśnieżoną kępę krzaków wyleciała z nich ze świstem strzała, która uderzyła smoka wprost w czoło.

- Chyba zaczynam się wkurzać - stwierdził Mrok z namysłem, zezując na sterczące pomiędzy ślepiami drzewce. Zwykły trójkątny grot nie zagłębił się w rogowym zgrubieniu zbyt głęboko, ale Weres, który przyszedł przyjacielowi z pomocą wyciągnął go z zauważalnym trudem.

Czarodziej pobieżnie obejrzał strzałę i ze sceptycznym prychnięciem podał ją mnie. No tak, „zwiastunka śmierci” wyglądała jakby sama znajdowała się jedną lotką w grobie: krzywa brzechwa, byle jak przyczepiony grot (tyle że ostry i wykonany z dobrej stali) oraz pióra skonfiskowane chyba najbardziej mizernemu kogutowi w całym kurniku.

- No i kto dziś taki pechowy? - syknął smok, unosząc głowę na długiej giętkiej szyi i przepatrując okolicę.

- Czemu pechowy? - zdziwiłam się, podając strzałę małej półelfce, która gospodarnie schowała ją do kołczana koło pęczka jeszcze nie wykończonych.

- Ponieważ zaraz nim sobie przekaszę. Wyjątkowo cynicznie i okrutnie! Drań jeden prawie mi oko wybił!

- Lepiej by strzelał w brzuch - podzieliłam się doświadczeniem, ignorując dwie oburzone strugi dymu. - Delikatny, a do tego duży.

- Przecież właśnie tam celowałem! - odezwał się niewidoczny strzelec burkliwie. Zupełnie z innego kierunku niż ten, skąd przyleciała strzała. Zresztą, krasnoludy są szybkie.

- Wyłaż! - W obliczu ostatniej obietnicy żądanie Mroka nie brzmiało zbyt mądrze. Jak można się było spodziewać, krasnolud ograniczył się do pokazania zza sosnowego pnia dosyć obraźliwej kombinacji z trzech palców. - Wyłaż, snajperze jeden, nie ruszę cię! Słowo smoka!

- A ty na pewno jesteś smokiem? - Krasnolud wy dostał się na otwarty teren, ale nie śpieszył z podchodzeniem bliżej. Całkiem młody, broda sięgała mu ledwo do pasa i miała soczysty rudy kolor. We wcześniej też niezbyt się bał, i oczko do mnie puszczał całkiem bezczelnie. - Nie bazyliiszkiem, co?

- Pomylić mnie z jakimś tam bazyliiszkiem?! - ryknął smok z oburzeniem, dodając do tego wizualny argument w postaci rozprostowanych skrzydeł o rozpiętości dwóch sążni.

- A skąd ja niby mam wiedzieć? - zasmęcił się krasnolud, jakby to jego ktoś potraktował strzałą w środek czoła. - Lezie jakiś pysk, pruje, widzicie go, bezczelnie środkiem drogi, jak do własnego domu! No to pomyślałem, że strzelę, a potem się zobaczy.

- Ja ci zaraz zobaczę! - wściekł się Mrok ostatecznie i by nie naruszać smoczego słowa rzucił się na krasnoluda z pięściami, już w ludzkiej postaci.

- Hej no, ja cię znam! - ryknął tamten niespodziewanie, aż smok stanął w miejscu. - Ty jesteś ten gość, co w czasie zeszłego święta Szpylnego Bwadu przepił naszego starszego, a potem startował do jego córki, tyle że cię ze schodów spuściła!

- „Do”... Sam bym się do niej na wiorstę nie zbliżył - burknął Mrok z skrępowaniem,

uspokajając się. - Lepiej byś mi powiedział, od kiedy to krasnoludy łapią za łuki? I na cholere wam ten cały bazyliszek?

- Nie on nam - burknął krasnolud, patrząc na broń niegodną podziemnego ludu z takim oburzeniem, jak gdyby zamierzał wrzucić ją głęboko w krzaki, ale ostatecznie jednak przewiesił przez plecy. - Tylko my jemu! Idziecie do Ułamanego Kilofa, co nie? W takim razie was odprowadzę i opowiem po drodze...

\* \* \*

Lawina przegrodziła ścieżkę cztery dni temu. Krasnoludy nie zwróciły na to większej uwagi - takie rzeczy często zdarzały się również podczas mniej śnieżnych zim, a ta obecna była wyjątkowo ostra. W odróżnieniu od Elgaru<sup>2</sup>, Góry Grzebieniowe nie były pojedynczym łańcuchem z wydrążonymi w kamieniu przejściami i pomieszczeniami mieszkalnymi, tylko kilkoma osadami, połączonymi przy pomocy tuneli. Niektóre były całkowicie schowane w głębi góry, a inne znajdowały się częściowo na powierzchni. Ułamany Kilof, założony przez klan Lat, zaliczał się do tych ostatnich. Przeważającą część domostw wbudowano w skały, które obecnie przykryte były śniegiem, przez co wydawało się, że wieś pogrzebana została pod kolejną lawiną, która na ukos zasypała domy do połowy.

Podziwiałam opisany powyżej pejzaż, a krasnolud ciągnął swoją opowieść, poruszając się na równi z leniwie truchtającymi kelpie. Definitywnie odmówił wsiadania na konia wspólnie z kimś, mimo że całkiem pozytywnie wypowiedział się odnośnie uroczystego wjazdu do wsi na smoczym grzbiecie. Opinia Mroka na dany temat była negatywna, a na dokładkę tak impulsywna, że tematu więcej nie poruszano.

Gdy następnego dnia po osunięciu się lawiny jeden po drugim runęły wszystkie trzy podgórskie korytarze, odcinając mieszkańców Kilofa od współplemieńców, krasnoludy zaczęły się niepokoić. Niezbyt mocno, ponieważ takie rzeczy również się zdarzały. W ciągu tygodnia czy dwóch rozbiórą zawał. Poza tym pozostawała jeszcze główna droga, prowadząca wprost do Starminu.

Ale w chwili gdy pojawił się na niej bazyliszek, który zażądał by w ciągu trzech dni dostarczyć mu w charakterze pożywienia i dla zaspokojenia innych potrzeb pół setki młodych panien, krasnoludom humor zepsuł się do reszty.

Patrząc na twarz Weresa można było pomyśleć, że nasz przewodnik ma dwa łby i czarodziej desperacko próbuje dojść, czy to on ma coś nie tak z głową, czy jednak krasnolud.

- A ile macie w osadzie mieszkańców?

Okazało się, że coś koło tysiąca.

- I nie daliście rady jednemu nieszczęsnemu bazyliszkowi?!

- Nieszczęsnemu, ha! - prychnął krasnolud. - Żebym ja był taki nieszczęsny, i jeszcze moje dzieci i wnuki! To paskudztwo jest wielkie jak dom, oczy ma jak lustra, a ci co w nie spojrzeli to do tej pory stoją na drodze jak te głazy! Już chodzili na niego, ot co. Z toporami, z włóczniami też. I ile w tym sensu? Przelecieli przez niego jak przez mgłę, na paskudzie nawet zadrapania nie zostało!

- A magia?

- Szamani coś tam czarowali. - Krasnolud pogardliwie machnął ręką. - A jak ni grzyba nie wyszło, to wymyślili takie mądre wyjaśnienie, że gdyby to oni byli pannami, to by trafili jako pierwsi w kolejkę do bazyliszka!

- Oni wszyscy tacy są - przytaknęłam, rzucając Weresowi znaczące spojrzenie.

- Zdolności magiczne krasnoludów są bardzo niskie, właśnie na poziomie szamaństwa - wycedził czarodziej przez zęby. - Ale gdyby zwrócili się do Konwentu...

- Sam nie chcesz, a oni niby powinni? - przypomniałam złośliwie.

- Chodzi mi wyłącznie o to, że z bazyliszkiem poradzi sobie nawet adept ósmego roku. -

Weres zaczął się niezgrabnie tłumaczyć. - Poza tym, Szel, my przecież jesteśmy w zupełnie innej sytuacji!

- No to sobie radź - podjudziłam go. - Przecież ty jesteś aż bakałarzem, na sam twój widok pomroki powinny padać łapami do góry!

- No to sobie poradzę! - obiecał czarodziej bez namysłu. - Ale nie mówcie mi, że nie ma nikogo więcej?!

- Konwent jest daleko - burknął krasnolud. - A bazyliszek zaraz obok! Obiecał, że jak zobaczy chociaż jednego gołębia lub wyczuje pocztowe zakłęcie, to rozwali całą osadę, kamień na kamieniu nie zostanie! O gońcu to nawet nikt nie wspominał, bo jaki tam goniec skoro droga jest jedna a na niej siedzi ta paskuda...

- To czemu od razu nie rozwalili? - sceptycznie zapytał Weres.

Krasnolud wzruszył ramionami.

- A kto ich tam wie, tych gadów?! Może uznał, że za kolejne pół roku wpadnie do nas jeszcze raz na obiad. Albo nie ma ochoty łapać panien po jednej, tylko niech raczej same idą prosto w paszczę. O, znajomy nożyk! Brałaś u Karsta?

- Yhym... - Czemu nie wpadłam na to, by przykryć rękojeść darkanu?!

- I na ile cię skasował? - Krasnolud radośnie się ożywił, jakby zobaczył dobrego znajomego. - Mój wujek w siódmej linii, on już taki jest, ostatnią skórę z klienta zdejmie, a swojego nie odda!

Wyobraziłam sobie swoją skórę na ścianie w domu Karsta i zdusiłam nerwowy chichot.

- A co zrobiłaś z pochwą? - Krasnolud nie miał zamiaru porzucić tematu. - Wstyd nosić taką broń byle w czym!

- Zgubiłam. - Miałam tylko nadzieję, że Karst nie zdążył napisać liściku do krewnych o tym, w jakim kierunku i na czyich nogach nawiał jego rarytas!

- Nic to - pocieszył mnie nasz przewodnik. - On do nas trafił już bez pochwy, dopiero mój ojciec ją zrobił. Najpierw taką prostą drewnianą, ale dziadek uznał, że nie, niby i tak będzie wisiało na ścianie u jakiegoś bogacza, więc trzeba dodać połysku. No więc wtedy się postarał, złotą i z kamykami. A tamta stara nadal gdzieś leży w warsztacie, można poszukać. Jak tak chodzić to lepsza jest, lekka, w oczy się nie rzuca i złodziei mniej przyciąga. A jak nas naprawdę uwolnicie od tego bazyliszka, to nawet złotą wykujemy! Oj patrzcie, jak szybko doszliśmy, a nawet nie zauważyłem! Zaraz pójdę, zawołam starszego.

Gadatliwy przewodnik, przez którego już głowy nam puchły, zniknął za wysoką bramą. Ta nie była zrobiona z elfich pńczy, ale również wyglądała imponująco - tak misterną i delikatną kowalską robotę można postawić dla ozdoby, a nie dla ochrony. I pewnie tak właśnie było. Wydawało się, że mieszkańcy próbowali prześcignąć się nawzajem, więc zdobili wzorami nawet byle jakie furtki dla bydła, gdzie ludzie ograniczyliby się do przybitych na krzyż desek na dwóch sznurkach. Niestety, nie mieliśmy okazji popatrzeć na wspaniałych mistrzów - osada wydawała się wymarła i tylko z miarowym stukotem kręciło się mnóstwo wiatrowskazów na dachach, a wprost po ulicach spacerowały bezczelne rude kozy, potrząsając dzwoneczkami na czubkach rogów. Jedna stanęła na tylnych nogach i próbowała skubać czubek Restowego buta, ledwo udało mu się ją odgonić.

Dzięki bogom, starszy Tarn-e-Lat okazał się krasnoludem rzeczowym i sensownym, w pewien sposób przypominającym Karsta. W sumie nic dziwnego, bo ten ostatni był jego wnuczatym siostrzeńcem siostry w trzeciej linii. Czyli zgodnie ze standardami krasnoludów - bliskim krewnym. Starszy przyjął nas bez żadnych ceremonii i doradców, jak w domu, jeśli można nazwać w ten sposób jeden z pokoi niewielkiego pałacyku, liczącego sobie może ze dwadzieścia komnat. Niskie ławki, obliczone na krasnoludy, okazały się niespodziewanie wygodne, szczególnie jeśli zwyczajnie wyciągnąć nogi, co natychmiast zrobił Mrok, korzystając z przywilejów starego znajomego. Na stole tradycyjnie stały wyłącznie półmiski z orzechami i suszonymi owocami, a wino przyniesiono już w jaspisowych czarkach, dla szczególnie spragnionych stawiając karafkę ze źródlaną wodą.

- To moja żona. - Naczelnik wskazał na lewo, a potem na prawo. - A to jest nasz najlepszy rzeźbiarz. I przy okazji błazen.

Uczciwie spróbowałam zapamiętać. Przynajmniej zapach, bo małżonka mogła co prawda odpowiadać krasnoludzkim kanonom urody, ale od ludzkich była dosyć daleka, a rzeźbiarz był krasnoludem sztuki, więc zapuścił grzywę nie gorszą od tej należącej do Morriela i założył pstrokatą, dosyć przestronną szatę.

- Powiedziano mi, że zgodziliście się uwolnić nas od bazyliuszka? - zagaił Tarn z nadzieją, ledwo upiwszy łyk z czarki.

Odmawiając w tym momencie, czulibyśmy się wyjątkowo głupio.

- Znaczący... możemy spróbować - obiecał Weres znacznie bardziej ostrożnie. - Jeżeli dokładnie opisz nam pan problem.

- A co tam jest do opisywania? Lirk pewnie i tak już wszystko opowiedział, tyle że nie zaprowadził was na wycieczkę do leża tego stwora - parsknął naczelnik ironicznie. - Dziś o północy mamy wysłać do bazyliuszka pięćdziesiąt dziewięć nie młodszych niż dwadzieścia lat, ale nie starszych niż czterdzieści. Jest całkiem zrozumiałe, że absolutnie się do tego nie palimy. Po pierwsze, szkoda nam. A po drugie, po pojawieniu się bazyliuszka ich ilość gwałtownie zmalała, że tak powiem w sposób naturalny. I mimo że w naszej wspólnocie panują dosyć surowe zwyczaje, młode krasnoludki wołały zostać pożywką dla plotek, aniżeli paskudnego gada. Obawiam się, że w tej chwili nie nabieramy nawet dwóch tuzinów...

- A gdzie znajduje się jego leże?

- Gdzieś w tamtym lesie przy trakcie. - Tarn machnął ręką w kierunku okna. - Sami rozumiecie, że nie mieliśmy możliwości sprawdzić dokładniej. Przynajmniej kazał, byśmy wysłali dziewczyny właśnie tam. I to same, bo niby jak zauważy w okolicy mężczyznę, to następnej nocy będziemy mu winni już setkę.

- Ale jeśli on jest taki wielki i niepokonany, to co mu za różnica?! - Biedny Weres wyglądał na kompletnie zbitego z pantafelku. Miałam wrażenie, że w swojej praktyce nie miał jeszcze okazji spotkać się z niczym podobnym.

Starszy rozłożył ręce, że niby leszy ich wie, te całe bazyliuszki. Możemy go sami zapytać.

- Rozumiem, że liczycie państwo na pewną nagrodę?

- Nie tyle nagrodę, ile przysługę. - Czarodziej napełnił czarokę wodą i duszkiem wychylił. - Chciałbym, by skontaktował się pan z jednym ze starmińskich arcymagów, a dokładniej z Ksanderem Perłowem, we własnym imieniu, nawet nie wspominając o nas. I opowiedział mu pewną ciekawą historię.

- Czyli oszukał? - Tarn podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Nie, co też pan mówi! - zaproponował czarodziej pośpiesznie. - Tylko i wyłącznie uprzedził o grożącym niebezpieczeństwie. W Konwencji jest on jedynym, komu ufam... Niestety, bez wzajemności.

Musieliśmy spędzić kolejne pół godziny opowiadając o naszych przygodach. Naczelnik co i rusz zadawał drobiazgowo pytania, niespodziewanie przeskakując z tematu na temat i zwracając się do wszystkich po kolei, nawet do Virry, próbując złapać nas na jakimś łgarstwie. Acz w końcu przekonał się, że mistyfikacja o takiej skali byłaby niemożliwa.

- Umowa stoi - Tarn wstał i uroczyście wyciągnął do czarownika pokrytą odciskami rękę. Starszy klanu, a wrota to pewnie kuł osobiście. Rzeźbiarz szybkimi ruchami kreślił coś na pokrytej woskiem tabliczce. - A jeśli bazyliuszek śmiertelnie rani któregoś z was, możecie liczyć na naszą pomoc! - Krasnolud rytualnie wałnął się pięścią w pierś i to tak mocno, że prawie zleciał z ławki.

- Uleczycie go? - upewniłam się. Jakoś nie potrafiłam sobie przypomnieć, by krasnoludy miały magów-znachorów czy jakieś cudowne eliksiry, umożliwiające powrót zza grobu.

- Lepiej! - dumnie zapewnił mnie naczelnik. - Pochowamy ze wszystkimi honorami! Urny z waszymi prochami będą stały na najlepiej wyeksponowanym miejscu w jaskini dla wodzów i bohaterów, a ja osobiście wrzucę do waszego ogniska pogrzebowego swój ukochany topór!

- A ja najlepszą spódnicę! - dodała jego żona omdlewającym basem, puszczając oczko do Weresa.

Czarodziej ocenił oba dary pogrzebowe i nerwowo przełknął ślinę.

Tarn szturchnął rzeźbiarza w bok.

- Dobrze ich zapamiętaj, bo przy niektórych bohaterskich czynach po samych bohaterach niewiele zostaje dla historycznych płaskorzeźb!

- To może zawczasu zrobię parę makiet? - zaproponował tamten nieśmiało. - Przynajmniej en face?

- No to może nas po prostu wmurujecie w ścianę w całości! - oburzyłam się.

Sądząc z ożywionej twarzy rzeźbiarza, pomysł mu się spodobał. Ghyr, przecież on nawet nie potrzebuje celowo żartować, sam zawodowy pęd wystarcza! Już sobie wyobrażałam, co on tam wyrzeźbi...

Sięgnęłam po orzeszka, ale na półmisku leżała jedynie samotna skorupka, która musiała trafić tam czystym przypadkiem. Kiedy Weres zdążył?! Nic dziwnego, że tak mu się chciało pić...

- Jak wrócić to zrobisz! - Starszy krasnoludów jednak powstrzymał entuzjastę, który już lśnił natchnieniem. Ostatni raz obrzucił nas oceniającym spojrzeniem i z namysłem dodał: - Ale na wszelki wypadek powiem dziewczynom, żeby się pakowały...

1

Podsluchane u pijanego trolla, który potknął się o próg karczmy „Wilcza Paszcza”.

2

Łącuch górski na południu Belorii.

\* \* \*

- Cała ta historia jest szczytem idiotyzmu - stwierdził Weres kategorycznie, gdy zamknęły się za nami drzwi komnaty, a raczej sześciokątnej jaskini w podziemnej części pałacu.

- Dlaczego? - Z rozkoszą rozłożyłam się w plecionym bujanym fotelu, zamknęłam oczy i lekko odepchnęłam się czubkami palców. Zawsze marzyłam o czymś takim. Virra natychmiast wpackowała mi się na kolana, a ja jej nie przeganiałam. Mało kto może się pochwalić, że siedziała na nim ciepłutka i to jeszcze całkiem pulchniutka śmierć.

- Szel, dziesiątki razy polowałam na bazyliszki. Największy z nich ledwo sięgał mi pasa, a długości miał niewiele ponad dwa sążnie. Nie wspominając już o tym, że to tylko duża jaszczurka, tępawa i strachliwa. Żeby nie jego cenna skóra, to nikt by go nawet nie ruszał, odegnali by od osady i tyle. Krasnoludów nie je, dokładnie tak samo jak innych ciepłokrwistych, a zamieniające w kamień spojrzenie jest mu potrzebne wyłącznie dla obrony przed drapieżnikami. A tu raptem gadający bazyliszek, który tak bezczelnie żąda ofiar z panien... To jakieś brednie. Po grzyba mu one?!

- Może przyjął duże zamówienie na posągi do letniego ogródka jakiegoś szalonego bogacza? - prychnęłam. Fotel skrzypiał rytmicznie, kołysząc mnie do snu.

- Tobie tylko śmichy-chichy w głowie! - obraził się Mrok w imieniu swoich krasnoludzkich przyjaciół. - A biedne krasnoludki poważnie gotują się na śmierć, ich niepokieszeni krewni wrywają sobie brody i....

- ...i w ogóle to twoja działka, kraść panny do swojego śmierdzącego leża, co nie?

- Nic z tych rzeczy, nigdy tam nie zabierałem żadnej na siłę, ani hurtem!

- Pchanie się bezpośrednio do tego całego bazyliszka nic jest najlepszym pomysłem.

Najpierw warto sprawdzić, co to takiego... - Weres zaczął rozmyślać na głos. - Jedną pannę mamy, a ja jestem jak najbardziej w stanie...

- I kogo niby masz na myśli? - przerwałam mu podejrzliwie, unosząc głowę. - Jeżeli macie zamiar użyć mnie jako przynęty, to niedoczekanie! Jakoś poradzę sobie bez toporów i płaskorzeźb!

- Szelono, nie podejmuj w pośpiechu nieprzemyślanych decyzji! - zaczął smok z patosem.

- Pamiętaj, w życiu zawsze znajdzie się miejsce...

- Na śmierć? - dokończyłam z niewinnym wyrazem twarzy.

- Nie bój się, pójdziemy razem. - Weres lekko grając pod publikę uniósł ręce, łącząc koniuszki palców nad głową. W skupieniu zmrużył oczy, a następnie płynnym delikatnym ruchem składającego skrzydła ptaka opuścił je wzdłuż boków, jak gdyby przyglądając powietrze, burzące się dookoła ciała.

Odchyliłam się na oparcie tak gwałtownie, że prawie przewróciłam się razem z fotelem.

Czarnowłosa smagła ślicznotka w ludowym belorskim stroju kokieteryjnie poprawiła długi lok i słodkim męskim głosem spytała:

- I jak?

- Koszmarnie - przyznałam szczerze, spychając małą z kolan i wydostając się ze zdradzieckiego fotela. Rest i Mrok złośliwie chichotali. - I to ma być ideał kobiecej urody? Nogi do uszu i dwa tarany obłąznicze z przodu?! Jak ty w ogóle masz zamiar z nimi chodzić, żeby co chwilę nie całować ziemi?

- Po pierwsze, to tylko forma, iluzja, możesz przez nią mnie dotknąć. Po drugie zadbałem również o przeciwwagę! - Weres odwrócił się do mnie plecami. - A poważnie mówiąc, jak to wygląda?

Westchnęłam i zmusiłam się do uważniejszego spojrzenia na kształtną pannę. Oczywiście nie próbowałam jej macać, mimo że miałam na to wielką ochotę. Chyba dobrze, panna jak panna, ale było z nią coś bardzo nie w porządku, co sprawiało, że ja osobiście za nic nie zbliżyłabym się do tak podejrzanej przynęty. Ale przecież nie wszystkie pomroki są tak nieufne, więc a nuż zadziała?

- No to jak, idziesz ze mną?

- Dla samej satysfakcji obejrzenia jak bazyliszek cię zjada? Może być.

I jeśli pomoże to przynajmniej odrobinę przybliżyć koniec naszej wyprawy.

- W takim razie przebieraj się.  
- Że co?!  
- Tylko na siebie spojrzysz. Przecież wyglądasz jakbyś miała zamiar bez żadnych dyskusji odrąbać mu łeb!

- I dokładnie to mam zamiar zrobić.  
- A pamiętasz, jaki warunek postawił bazyliszek?  
- Przecież jestem kobietą!  
- Z daleka nie da się tego określić. A porządne panny chodzą w sukienkach i spódnicach. Mam nadzieję, że kiedyś widziałaś na oczy przynajmniej jedną z tych rzeczy?

Nieporządny wilkołak zapomniał się i z irytacją szczęknął na niego zębami. W ludzkiej postaci wyszło to głupio i nieprzekonująco, a w dodatku prawie odgryzłam sobie język, pisnęłam i wsadziłam do ust palce by pomacać, wywołując kolejny wybuch śmiechu. Dranie bez krzty sumienia.

Ku mojej wielkiej rozpaczy krasnoludy znalazły sukienkę, i to nawet we właściwym rozmiarze. Ale ten fason...

- Ojej, jaka jesteś śliiiczna - pisnęła Virra z zachwytem, spoglądając na przemian na mnie i w lustro, jak gdyby próbując znaleźć pięć różnic, jak na tanich rozrywkowych obrazkach. - Prawda, Weresie?

- Prawda - odezwał się z roztargnieniem grzebiący w torbie czarodziej, który moim zdaniem nawet nie usłyszał pytania.

Moim zdaniem w lustrze nie było widać szczególnej urody. Smętny wyraz wychudłej twarzy, podkrążone oczy, rozpuszczone po naleganiach Weresa włosy jak szary welon spływały mi poniżej pasa. A ubrana w białą szatę przypominałam nie dziewicę ofiarną, tylko martwą. Brakowało mi tylko wianki na głowie, świeczki w rękach i mogłam iść straszyć chłopów, bo nawet mieli taki przesąd o morowej pannie. Że niby kogo dotknie, ten się na miejscu przekręci. Jak nie od plagi, to na zawał.

- A ja też będę taka jak dorosnę? - Mała nie chciała się odczepić.  
- Nie.

Spojrzałam na smutno wykrzywioną buzię, roześmiałam się i przeciągnęłam grzebieniem po złocistych włosach. A raczej spróbowałam, bo bezpowrotnie utknął w gęstych kędziorach.

- Ładniejsza. Znacznie.

Mała aż załśniła. Zostawiłam ją przy wyplątywaniu grzebienia i przespacerowałam się po pokoju. Przekłète spódnice szeleściły jak stado myszy w stogu siana. Który w sumie ta sukienka mocno przypominała.

- Ale za to masz gdzie schować darkan - pocieszył mnie Mrok. - Patrz, pochwę też przynieśli przy okazji.

Odburknęłam, że lepiej byłoby schować go pomiędzy czyimiś żebrami, ale jednak przebrałam również klingę. O, zupełnie co innego, teraz wyslizgiwała się jak wysmarowana masłem.

- A mogę przynajmniej włożyć kozuch? Czy może bazyliszkowi samej spódnicy nie będzie dość i muszę mu pokazać też górę?

- Weź mój - zaoferował Mrok w przypływie szczodrości. - Bo może strachów na wróble nie tylko wrony się boją?

- Z parszywego smoka... - Podwinęłam przydługie rękawy, wyrzuciłam z kieszeni należące do prawowitego właściciela rękawice i włożyłam własne.

Nie czekaliśmy na północ. Jeżeli bazyliszek faktycznie siedział na drodze, nie ruszając się z miejsca, i tak go spotkamy. A w razie czego można się wykręcić, że my niby sobie tak po prostu spacerujemy po nocnym lesie, a dziewice przyjdą później.

Co prawda miałam dziwne wrażenie, że bazyliszek nie odmówi pięćdziesięciu dwóch panien...

\* \* \*

W mroku las i góry zlewały się w jedno, i miałam wrażenie, że idziemy środkiem głębokiego boru, gdzie wystarczy tylko zejść ze ścieżki, a potem można błądzić i błądzić, aż się posiwieje. Choć zgodnie ze słowami Tarna górskiego dolinka nie była szersza niż pół wiorsty.

Do rąbka spódnicy lepił się śnieg, którego z każdym krokiem było coraz więcej. Jak tak dalej pójdzie, to zamiotę całą drogę, a sama zmienię się w bałwana. Koło dumnie kroczącej towarzyszki wyglądałam jak koń pociągowy obok kelpie - smągła jędza jak duch przepuszczała śnieg przez fartuch i spódnicę, zostawiając za sobą niewymiernie większe ślady.

- Cóż, jakiś bazyliszek faktycznie się tu kręci. - Skinęłam głową w kierunku posągów z wojowniczo uniesionymi toporami. O dziwo, pachniały jak najbardziej żywymi krasnoludami.  
- Ale przecież nie wielkości domu! - Jednak sceptycyzm Weresa również znacznie osłabł.  
- Nawet jaszczurka długości arszyna zdoła zmienić w kamień czwórkę krasnoludów.

- Dasz radę ich odczarować?  
- Najpierw załatwimy się z bazyliszkiem. Po pierwsze warto oszczędzać siły do walki, a po drugie, krasnoludy będą w tym stanie bezpieczniejsze. Nie zgubiłaś amuletu?

- Jeszcze czego. - Na wszelki wypadek pomacałam. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, by wyblakły kawałek metalu na sznurku miał nie dopuścić, bym dołączyła do stojącej tu wystawy.

- To kawałek antaru - wyjaśnił Weres, widząc moje wątpliwości. - Nie uchroni przed bezpośrednim spojrzeniem bazyliuszka, ale z ukosa możesz go śmiało oglądać. Tylko pilnuj, żeby amulet dotykał skóry, a nie wisiał na bieliźnie.

- A tobie nie będzie przeszkadzał? - Teraz myślałam o amulecie ze znacznie większym szacunkiem. Za takie coś każdy złotnik bez wahania dałby ze sto złociszy.

- Taki mały kawałek? Nie. Poza tym przecież ja go nie dotykam.

- A skąd go masz?

Weres zrozumiał aluzję i uśmiechnął się. Najbardziej „szanowanym” przez złodziei miejscem w Starminie był bynajmniej nie królewski skarbiec, tylko więzienie dla czarodziejów, które jakoby wykonane było wyłącznie z antaru, tłumiącego magię. Jak dotąd nie było nikogo, komu udało się stamtąd uciec, ani też dostać do środka.

- Szel, to bajki. Antar jest zbyt rzadkim i drogim metalem, by marnować go na łańcuchy. Robią z niego wyłącznie amulety oraz zamki do królewskich skarbców. Znacznie prościej i taniej jest rozpiąć maga na zwykłych łańcuchach, uprzednio zwichnąwszy mu nadgarstki, a tym co bardziej sprytnym również kostki u nóg. To jak najbardziej wystarcza, bo prawie wszystkim zakłębom towarzyszą koncentracyjne gesty. A amulet zwyczajnie wygrałem w karty od kolegi.

- A co z naczelnym magiem Wagery, który ruchem brwi opuszcza most zwodzony przed królewskim przejazdem w trakcie parady?

- Splatanie zakłęcia i wyrzut czystej mocy jako pchnięcia - to zupełnie różne rzeczy. Poza tym, powiem ci w tajemnicy, że szanowny bakałarz Hatorn po prostu daje ruchem brwi znak ukrytym za bramą strażnikom, stojącym przy mechanizmie podnośnym. On w ogóle lubi robić wrażenie na tłumie. A w więzieniu ze zwykłej fali mocy pożytku tyle co nic, w najlepszym razie odepchniesz kata do ściany, tyle że potem on się za to na tobie odegra. A i to mało prawdopodobne, bo magowie zwykle przesłuchiwani są w obecności kolegów, więc nie bardzo mają jakiegokolwiek pole dla manewrów.

- I długo tam siedziałeś?

Weres zmylił krok.

- Kto ci powiedział?

- Cały czas odruchowo pocierasz nadgarstki, jakbyś sprawdzał czy wszystko z nimi w porządku.

Czarodziej spojrział na swoje ręce z takim wyrazem twarzy jakby nie miał bladego pojęcia, co one tam robią bez jego udziału. Odkasznął z pretensją i schował je do kieszeni.

- Tydzień. Może dzień więcej albo dzień mniej, jakoś nie miałem możliwości policzyć. Ale otrzymałem bardzo wartościową lekcję.

- Jaka? - zaciekałam się.

- Trzeba lepiej ćwiczyć ruchy brwi - odpowiedział na wpół żartem wpół serio.



- I jak osiągnięcia?  
- Cóż, nie będę nic mówił o zauważalnych osiągnięciach... ale znacznie częściej przyciągam teraz uwagę przechodniów! - Czarodziej ze skupionym wyrazem twarzy poruszył brwiami, najpierw obiema naraz, a następnie po kolei.

- Jeszcze byś uszu użył w tym szczytnym celu! - roześmiała się.  
- Hm, to jest jakiś pomysł. A na starość założę własną szkołę Uszatych Magów, używających nietradycyjnych sposobów rzucania czarów... - rozmarzył się Weres.

- Nic to, na nich też znajdzie się sposób.
- Jakież to? - Czarodziej potulnie „dał się złapać”.
- Czapka.

Gdybym była bazyliszkiem, to już dawno wyjrzałabym, żeby sprawdzić, co to za kretyni ośmielają się naruszać spokój mego terytorium tak durnym rechetem. Zgodnie z naszymi szacunkami już minęliśmy tajemne leże potwora, zupełnie nic budząc w nim ochoty na niezaplany posiłek.

- Może on faktycznie specjalizuje się wyłącznie w dziewicach? - spytałam złośliwie. Gdzieś z boku mocno pachniało szaszłykami, przez co moje usta wypełniły się śliną, a nos nie zwracał uwagi na inne zapachy. - A ciebie, za przeproszeniem, nie posądzi o dziewictwo nawet pijany troll!

- Brednie - z uporem zaprzeczył czarodziej. - Zostało naukowo udowodnione, że nawet jednorożec nie może po wyglądzie odróżnić dziewicy od wszetecznicy. Mówiąc „niewinna panna” starożytni kronikarze mieli na myśli czystą duszę kobiety, zwykle jakąś mniszkę albo kogoś nie do końca przy zdrowych zmysłach, a wcale nie jej życie osobiste! Pewnie po prostu gdzieś wyszedł, albo...

- No dobrze już, daruj sobie te wymówki - przerwałam mu pobłażliwie. - To co, idziemy z powrotem i wracamy o północy?

- Niestety, nie pozostaje nam nic innego. Dojdziemy do tamtego pnia żeby mieć czyste sumienie i zawracamy.

Ale tradycyjnie nie udało nam się wprowadzić w życie nawet tak prostego planu. Zza pnia wychyliła się czyjaś mordą, a za nią cały... nie, żaden bazyliszek, tylko uzbrojony w dwa krótkie miecze facet w starej kurtce, bezrękawniku z lisa oraz korsarsko zawiązanej dookoła głowy chustce.

- Witaj, młoda panno! - wyksztusił ochryple, nadając swojemu nieogolonemu pyskowi możliwie najbardziej przyjazny wyraz, z którym wyglądał absolutnie dziko. Mnie wydawał się nie zauważać, jak zaczarowany podziwiał „tarany oblężnicze”, które wyglądały jakby miały zamiar lada chwila rozerwać kurtkę i ruszyć do ataku. Osz na ghyr! W zasadzie byłam przyzwyczajona, że kawalerowie zwykle wołają moje przyjaciółki, ale żeby przegrać z mężczyzną?!

- Witaj, piękny nieznajomy! - sarkastycznie odezwał się Weres, nie próbując nadać głosowi nawet pozorów kobiecości.

„Po kiego leszego łazisz tu pośród nocy i bazyliszków?” - powiedziałam w myśli.

Niestety facet nie miał zdolności telepatycznych, bo w przeciwnym razie już dawno uciekłby gdzie oczy niosą albo rozpoczął bójkę, bo bynajmniej nie było to wszystko, co sobie o nim pomyśleliśmy.

- A gdzie krasnoludy? - zapytał głupio, przypominając sobie, po co tu stoi.

- My jesteśmy zamiast nich! - poinformowałam wojowniczo, podciągając przekłete spodnie. Facet chwilowo oderwał się od właścicielki tak czarującego basu i wbił zdumione spojrzenie już we mnie. Cóż, jednak błąd zrobiłam, że nie wzięłam tej świecy, wielki błąd...

- A wy to kto?!

Nie mogłam się powstrzymać, by nie wystąpić przed tak wdzięcznym słuchaczem.

- Dwie skromne akolitki z Zakonu Świętej Waliny Pokornej, która została zeżarta przez smoka wprost na progu swojej celi, ale po roku i trzech dniach ukazała się siostrze, by donieść do nich boski znak. Dobrowolnie rezygnując z rzeczy doczesnych, spędziłyśmy pięć lat w murach klasztoru, modląc się i w miarę swoich sił pomagając cierpiącym, a teraz rozpoczęłyśmy pielgrzymkę po, rozumie pan, drogach, szukając każdej możliwości, by złożyć się w ofierze, bo na

tym polega nasz uświęcony cel - dobrowolnie dać się pożreć smokom, bazyliiskom, krakenom i innym gadom, z których żołądków udamy się wprost w niebiosa. - Modlitewnie złożyłam dłonie przed twarzą, wznosząc oczy w kierunku upragnionego miejsca pobytu. Przeciwny kierunek spojrzenia Weresa dowodził, że znacznie chętniej udałby się do mrakobiesów, by tylko nic słyszeć wygadywanych przeze mnie bzdur. - No więc, gdzie jest paskudny stwór?

- Ja jestem zamiast niego! - Teraz przyszedł czas na faceta, by mnie zadziwić, bo chyba jednak nie uwierzył w moje brednie, ale uznał nas za nieszkodliwe idiotki. - Bazyliiski tu mieszkają, he-he, wyłącznie na potrzeby krasnoludów.

Dwie pokorne siostry ofiarne zostały urażone taką niesprawiedliwością do głębi swoich niewinnych dusz.

- Jak to?! - obruszyła się brunetka nieśmiało. Należy dodać, że już znacznie bardziej prawdopodobnym fałsetem.

- A tak to! - Podejrzany typek jednak opamiętał się, usunął z twarzy błogi uśmiech, a raczej przekształcił go w paskudny grymas, który pasował do niego znacznie lepiej. Następnie wycelował w nas ostrze miecza i polecił. - No to moje panny, idziemy do tamtych krzaczków! Szybko, szybko!

- Po co? Ojej! - Moim zdaniem Weres nieco przesadzał z grą aktorską, udając śmiertelnie przerażoną pannę. Bo widzicie ją, udanie się do bazyliiska jej nie przeraża, a na widok klingi przystawionej do gardła natychmiast uniosła ręce do góry. Iluzja iluzją, ale jej pierś przy tym ruchu poruszyła się dokładnie tak jak powinna, ponownie przykuwając uwagę rozbójnika. - Już, już idziemy... niedobry ty!

Załkałam do wnętrza przyciśniętych do twarzy dłoni.

- Już no, ruszaj! - „Bazyliiszek” bez ceregieli pchnął mnie w plecy. - Za późno na łzy...

Posłusznie pokuśtykałyśmy w kierunku krzaków, prześcigając się odnośnie tego, które bardziej prawdopodobnie jęknie, piśnie albo się potknie. Sięgnęłam, by odsunąć gałęzie, ale otrzymałam kolejnego szturchańca i... wpadłam przez nie.

Na polance za iluzją zobaczyliśmy kompletne rozbójniczo-nekromanckie obozowisko. Bliżej drzew stały sklecone w pośpiechu szałas, a na środku znajdował się starannie wydeptany w śniegu i posypany popiołem pentagram. W jego rogach leżały kupy chrustu, a na środku już paliło się ognisko. Metalowa krata na kołkach oraz rozłożone obok niej narzędzia z arsenału kata niedwuznacznie mówiły o przeznaczeniu paleniska. Chwilowo jednak piekły się nad nim szaszłyki: siedem rożnów, zgodnie z liczbą bandytów.

„Bazyliiszek” uznał, że teraz już nie uciekniemy, wepchnął nas pod świerkowy daszek i truchtem pobiegł na przeciwległy koniec polanki. Nawet nie pofatygował się by zerwać mapę, przybitą do słupa, naiwnie uznając, że w mroku nie da się na niej cokolwiek zobaczyć, a my mamy w tej chwili na głowie ważniejsze sprawy. Pozostali rozbójnicy gapili się na nas z ciekawością, ale nie podchodzili. Tuż obok pokornie marzył zaprzężony do sań koń, a w stojącej na nich klatce leżał wyjątkowo smętnie wyglądający bazyliiszek - nastroszony, oblaźły i wyblakły nawet bardziej, niż ten wypchany z mojego poprzedniego miejsca pracy. Nawet nie miał ochoty na nikogo patrzeć, tylko jak kura zaciągnął oczy żółtymi błonami powiek.

- Jakiś zdechły - szepnęłam.

- A czego byś chciała, czterech krasnoludów zmienił w kamień! Teraz będzie przez tydzień odyskiwał siły. - Weres bez obawy przyglądał się pechowemu stworowi.

- I drobny.

- Wiesz no, nie każdy jest takim mistrzem iluzji jak elfy. Podrzedni czarodzieje potrzebują makiety, z której wykonują projekcję.

- A to dlatego włócznie przez niego przelatywały.

- I warunek odnośnie mężczyzn się robi jasny. Dziesiątka rozwścieczonych krasnoludów na dzień dobry rozgoniłaby tę całą ferajnę razem z jej tanią magią, a bazyliiszek chwilowo jest nie do użytku.

Przestaliśmy szeptać i wyciągnęliśmy się na baczność, bo do daszku powoli zbliżał się niewysoki człowiek w futrze z bobrów i takiej samej czapce, tyle że nieco ciemniejszej. Nasz

„przewodnik” sługusowato kręcił się dookoła.

- Panie, zerknijcie tylko, kogo złapałem w lesie! Gadają, że mniszki... i to z takimi...  
Facet obrysował na sobie z jakimi. Prawie nie udało mu się przesadzić.

Wyraz twarzy, z jakim nieznajomy zagapił się na Weresa, nie miał nic wspólnego z żądzą i zrozumiałam, że widzi bynajmniej nie piersiastą brunetkę.

- Kretynie! Kogo żeś ty przyprowadził! Przecież to ten właśnie... - Cmentarz bobrów odwrócił głowę i z ogromnym zdumieniem rozpoznałam w nim dajna z Wysiedliska, który kiedyś dyżurował przy bramie, a on, odpowiednio, mnie.

- ...ci właśnie! Łapcie ich!!!

Iluzja zleciała z Weresa przezroczytymi bryzgami. W pośpiechu odskoczyłam na bok - żeby z jednej strony nie przeszkadzać a z drugiej nie trafić pod gorącą, w dosłownym znaczeniu, rękę, która otuliła się paskudnym błękitnym płomieniem. Dajna jak lustrzane odbicie skopiował bojową postawę Weresa, tyle że ognista kula, która pojawiła się nad jego dłonią miała kolor jadowicie zielony.

Też mi sługa boży! Powinien prowadzić wykłady w Szkole Czarodziejstwa!

Zrozumiałam, że o pozostałych widzów będę musiała zadbać ja, przygarbiłam się i ryknęłam. Tak od serca, żeby nikt nie uznał moich zwierzęco wykrzywionych rysów twarzy za zwykły grymas.

Rozbójnicy doskonale zrozumieli aluzję.

- Hej, a wy dokąd?! - zawołał nic nie rozumiejący dajna w kierunku zgodnie uciekających z przełęczy współników. Jeden okazał się nieco bardziej odważny, bo raczył w biegu krzyknąć:

- Myśmy się nie zgadzali, żeby się pakować do waszych magowskich awantur!

- Chłopie, czyś ty oślepl do reszty? Jestem wilkołakiem, a nie magiem! - ryknęłam jego śladem, obrażona do głębi duszy.

- Tym bardziej!!! - odwrzasnął, zwiększając tempo.

Skrząca się kulka wyleciała z ręki odwróconego dajna i jak zielona kometa przekreśliła niebo. Obudzona góra warknęła z niezadowoleniem, otrząsnęła się, oblizwała zbocze okruszkami kamienia i śniegu, zagarniając malutkie ludzkie figurki. Ani oni ani my nie spodziewaliśmy się po świętym ojcu działania tak grzesznego i podłego, więc ten drań wykorzystał nasze osłupienie, by jedną ręką wysłać błyskawicę w kierunku mapy, a drugą rzucić sobie pod nogi jakąś błyskotkę, po czym zniknął w białawo mrugającym kwadracie.

Weres zdążył jedynie ni to zakląć, ni to rzucić krótkie zaklęcie. Chyba to ostatnie, bo przed zniknięciem kwadrat zmienił kolor na jaskrawomalinowy, a czarodziej już całkiem wyraźnie i rzeczowo doprecyzował, co myśli o dajnie i wszystkich jego najdroższych krewnych.

Pole - pozałcie się bogowie - bitwy, pozostało w naszych rękach.

- Zdążyłeś coś zrobić? - Z pewną obawą pochyliłam się nad kwadratową łatą stopionego śniegu, na środku którego leżała miedziana broszka o pustej zwęglonej oprawce.

- „Coś” właśnie. Zniekształciłem matrycę teleportu, czyli również punkt końcowy.

- I gdzie go wyniosło?

- Nie mam pojęcia. Mam szczerą nadzieję, że tam, dokąd go przed chwilą posłałem... -

Weres podszedł do ogniska, pochylił się i gospodarnie przekręcił różny z szaszłykami, które właśnie zaczęły się przypalać. - Przynajmniej mamy jakieś trofeum... szkoda, że nie udało nam się zdobyć tej mapy.

- Żaden problem, zdążyłam ją sobie obejrzeć. Jak dasz mi własną, to ci narysuję takie samo kółko. A co z nim? - Skinęłam w kierunku przerażonego bazyliuszka, wciśniętego w kąt klatki.

Weres w milczeniu odsunął drzwiczki, po czym na wszelki wypadek odwrócił się i wytrząsnął zwierzątko na śnieg. Jaszczurka strachliwie przypadła do ziemi, zatrzepotała złocistym językiem, oceniając sytuację, po czym ile sił w łapach rzuciła się w kierunku najbliższej skały i jak kropla rtęci zniknęła w ledwo zauważalnej szczelinie.

## Rozdział 14

A ten kielich wznosimy... - Wyglądało na to, że starszy próbował odegrać się za poprzednią porażkę z okazji zeszłego Szpylnego Bwadu, bo do spółki z Mrokiem wykańczał już trzecią butelkę. - ...tak samo zresztą jak i poprzednie, za odważnych bohaterów, którzy nie bali się walczyć z potworem i odnieśli druzgocące zwycięstwo!

Jeśli o mnie chodzi, to elfia pijatyka jak najbardziej wystarczyła, więc zgodnie uniosłam kiszony ogórek na widelcu. Nasz triumfalny powrót świętował cały Połamany Kilof, a stoły nakryto w sali paradnej w zamku naczelnika. Oczywiście wszyscy mieszkańcy się tam nie zmieścili, ale na dworze również świętowanie trwało na całego, mimo mrozu. Biesiadnicy ciągle zamieniali się miejscami - ktoś przybiegał się ogrzać, kto inny wychodził się orzeźwić, więc nikomu krzywda się nie działa.

- A przy okazji, co to takiego ten Szpylny Bwad? - spytałam siedzącego naprzeciwko rzeźbiarza, który nie odrywał ode mnie oczu. Nie robiłam sobie żadnych złudzeń, krasnolud miał w rękach kawałek gliny, co rusz myląc go z chlebem i dekorując przyszlą płaskorzeźbę głębokimi odciskami zębów.

- Niestety, święto jest na tyle starożytne, że sami nie pamiętamy, ale z przyzwyczajenia obchodzimy. Dwa tygodnie po wiosennej równonocy. - Krasnolud w przyływie natchnienia ozdobił glinianą twarzyczkę brodą, która uznawana była za element zdobiący mężczyzn i kobiety na równi.

- Nie trzeba mi schlebiać - powiedziałam pośpiesznie. - Niech potomkowie znają prawdę!

- Jest szanowna pani nie tylko odważna, ale też mądra! Nic tak nie zdobi bohatera jak skromność! - zgodził się rzeźbiarz z zachwytem, usuwając nadmierne owłosienie.

- Ale za to im i jeszcze tamtemu. - Wskazałam palcem siedzących koło siebie Resta i Weresa, a następnie smoka. - Może pan dolepić, i to takie dłuższe. Jestem pewna, że będą zachwyceni!

Virra paskudnie zachichotała, wyobrażając sobie płaskorzeźbę „marzenie cyrulika”.

- A jej wystarczą wąsy.

Mała nie zdążyła zaprotestować.

- Proszę o chwilę uwagi! - Naczelnik wstał i dla większej słyszalności kilka razy walnął w stół srebrną chochlą wyjętą z wazy z zupą. Hałas natychmiast zastąpiony został martwą ciszą. Krasnoludy szanowały liderów klanów bardziej, niż niektórzy ludzie bogów. - Jestem niezmiernie szczęśliwy, że nasi krewni, którzy zostali kamiennymi ofiarami bazyliuszka ponownie są z nami.

- W tym miejscu czwórka krasnoludów, na których wskazał Tarn, wstała z miejsc i radośnie zamachała rękoma, potwierdzając jego słowa. - Moje serce się raduje, patrząc na beztrasko śmiejące się panny, które uniknęły straszliwego losu... dzięki naszym gościom, a nie... khm... - W tym momencie nie wyglądające na szczególnie smutne bezwstydnice spłonęły rumieńcem. - Ale równocześnie rozdziera się z powodu wyrzutów sumienia, ponieważ po raz pierwszy w życiu nie mogę dotrzymać danego słowa.

Krasnoludy zaczęły wymieniać zatroskane komentarze. Starszy musiał ponownie użyć chochli.

- Obiecałem tym wspaniałym ludziom, że wyślę do Starminu pewną wiadomość, ale ukryłem przed nimi fakt, że akurat przed runięciem korytarzy nasz jedyny mag-telepata udał się w odwiedziny do rodziców swojej żony z klanu Batar. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że uda nam się oczyścić drogę, ale niestety...

Tarn tak wyraźnie przejmował się tą sprawą, że przynajmniej ćwierć klanu również uroniła

łezkę. Nawet mnie zrobiło się biedaka żal, mimo całkiem uzasadnionych pretensji.

- Ale! - Naczelnik pouczająco podniósł do góry palec wskazujący. - Jednak mamy możliwość wynagrodzić ich wedle zasług!

Tarn zwrócił się w kierunku Mroka.

- Mówiłeś, że driady dały wam setkę łuczniczek, a elfy dwieście wojowników...

Chyba już wiedziałam czym to wszystko się skończy i zaczęłam dławić się śmiechem.

-...a ja oferuję do waszej dyspozycji cały nasz klan! Nikt nie ma prawa bez konsekwencji grozić naszym kobietom, stroić sobie żarty z odważnych wojowników i psuć tuneli, które drążyli jeszcze nasi przodkowie!

Krasnoludy zaczęły zgodnie kiwać głowami i stukać w stół kuflami, całkowicie zgadzając się z ową mądrą decyzją. Naczelnik uspokoił swoje sumienie i usiadł, z nadzieją patrząc na Mroka. Tak więc smok, chcąc nie chcąc, musiał wstać i podziękować, i to jeszcze tak, żeby nikt przypadkiem nie wpadł na to jak bardzo jest „szczęśliwy”. Tym bardziej, że dar faktycznie był wyjątkowo szczodry - jeżeli już krasnoludy składały komuś przysięgę, co robiły może raz na trzysta lat, to w walce mogła powstrzymać je wyłącznie śmierć.

Po obejrzeniu tego przedstawienia do końca poczułam, że jednak zasypiam. Nie tyle po winie, ile po sycącym jedzeniu, ze zmęczenia i w gorącu dobrze wygrzanej sali. Ustąpiłam swoje miejsce jakiemuś chłopczkowi, wyszłam na dwór by nikomu nie przeszkadzać i przytuliłam się do płotu w pobliżu bramy.

Latem już dawno nastałby świt, ale na zimowym niebie gwiazdy jeszcze panoszyły się w najlepsze, z Wilczym Okiem na czele. Koszmarnie chciało mi się wyć, ale zamknęłam oczy i ograniczyłam się do głębokiego, pełnego namysłu oddychania, oczyszczając płuca, zapchane czadem z pochodni.

...

*...na przelomie zimy chłopcy i panny ze wsi uciekają od rodzicielskich stołów przed północą i urządzają własne święto. Na leśnej polanie rozpalają ognisko z chrustu zebranego za dnia - wysokie, prawie do szczytów drzew. A do środka lecą słomiane wianki z zeszłorocznymi problemami, jarząc się jak małe słońeczka i natychmiast zmieniając w popiół.*

*A młodzi zakładają jaskrawo pomalowane maski z kory brzoźowej i bawią jak dzieci: wyglupiają, robią miny i ze śmiechem biegają jedno za drugim, rzucając śnieżkami, po czym całują się zupełnie jak dorośli, kochają i rozdają nieprzemyślane obietnice, pijani świętem i udawaną swobodą...*

- *Szelenko, słońeczko, a ty czemu się smęcisz?*

*Przyjaciółka z rozpędu obejmuje mnie za ramiona, prawie przewracając.*

*Wydmuchuje w twarz gorące winne opary.*

- *To tylko jedna noc.*

- *I jeszcze jest przed tobą! Kochana, baw się. Spójrz na tamtego szarego wilka, on przez ostatnią godzinę cię zjada spojrzeniem. Będzie co sobie przypominieć na starość, co nie?*

- *Jedna noc to dla mnie za mało.*

- *Hej no, a ty dokąd?! Głupiutka, zabłądzisz i zmarzniesz!*

*...Święto w tamtym roku się nie udało... młodzież uciekła do domów jeszcze przed świtem...*

*Ze niby zamieszkał w lesie jakowyś potwór.*

*Wyje. I to tak koszmarnie.*

*Pierwszy raz... naprawdę zapamiętujesz go na całe życie.*

...

Po pół godzinie dołączył do mnie Mrok, który nie tylko został dwukrotnym zwycięzcą, ale też zgarnął butelkę z resztkami wina na wynos.

- Szeleno, nie zamarzyłaś tu jeszcze?

Zastanowiłam się chwilę.

- Nie. Ale już prawie. Daj łyka.

Obaj ze starszym mają niezły gust. Reszcie gości przy stole podawano zupełnie inne wino.

- Weres jeszcze tam siedzi?
- Już zamierza iść spać. A przynajmniej wysłał Restę i Virrę, by ścielili łóżka. Zwróciłam smokowi butelkę.
- Jaka ona była?
- Kto?
- Tamta panna, co to ją wilkołak zagryzł.
- S... - krótko ocenił Mrok, nie zastanawiając się nad powodami mojego zainteresowania. -

Gorsza od ciebie.

Chociaż tyle dobrego.

- Też mag?
- Yhym... - Smok przypomniał sobie, że o martwych mówi się dobrze lub wcale i pośpiesznie się poprawił: - Sam w zasadzie nic takiego u niej nie widziałem, ale plotki chodziły... A poza tym mi się nie podobała. Pies ją wie czemu. Niby piękna, mądra... a chytra jak ta lisica. Może wcale nie podnosiła tamtych trupów. Przynajmniej Weres jest tego pewien, mimo że noc spędzili osobno. Podobno się pokłócili, ale im się to zdarzało po dziesięć razy na dzień.

- Po co w takim razie wziął winę na siebie?

- Wcale nie brał. Po prostu nie pozwolił się telepatycznie przesłuchać. Oczywiście nikt tam nie pytał go o pozwolenie, tyle że nie dali rady się przebić przez osłony. I tylko utwierdzili się w przekonaniu, że skoro mag tak desperacko się broni, to ma coś do ukrycia, a Weres nawet moje pytania zbywa żartami, że na złość swoim bliskim człowiek zdolny jest do każdego cudu. Ostatecznie Konwent się „zlitował” i z braku bezpośrednich dowodów, ale za to z powodu nadmiaru poszlak ograniczył się do konfiskaty majątku, wykluczenia oraz wygnania ze stolicy. Wyrok odczytano na placu centralnym, po czym nałożono znak i wyrzucono Weresa za bramę jak jakiegoś kundla. Jak go wtedy znalazłem to klęczał na środku gościńca, nawet nie próbując podnieść się na nogi, które kat mu dopiero co nastawił. Cały się trząsał, twarz biała, oczy nieżywe... Przechodnie gwizdali, któryś kamieniem rzucił... Całkiem poważnie się przestraszyłem, że on w trakcie tych tortur zwariował, szybciotko złapałem go za kark i zaniósłem do Jesionowego Grodu. - Mrok otarł pijacką łezkę, pociągnął kolejnego łyka z butelki, a następnie przypomniał sobie coś i zarechotał. - Ale Delirna szybko zrobiła z nim porządek, na swój sposób. Najpierw walnęła go po głowie raz i drugi, potem skłęła tak, że troll by zdechł z zazdrości, napompowała eliksirami po same uszy i zajęła się jego nadgarstkami, które były opuchnięte i sine. Mam wrażenie, że on nawet w sali tortur tak się nie darł, ale już po tygodniu znowu mógł lekko poruszać palcami. Dla maga utrata zdolności jest chyba gorsza niż złamanie kręgosłupa, bez nich Weres na pewno by zwariował, czego się chyba po nim spodziewano. A tak poleżał, doszedł do siebie, ogłosił, że ma w rzyci ten cały Konwent z jego Radą, że gdyby wiedział, to by sam już dawno odszedł i przeniósł się do Wysiedliska. Nie lubi o tym rozmawiać, ale nie robi ze swojego wygnania wielkiej tragedii, chyba wszystko jest w porządku. Klientów wszędzie ma dość, pieniędzy również, jakby chciał, to ba... przyjaciół też by miał na pęczki. Tyle że wiesz, po tamtym więzieniu coś w nim... nie to żeby się zламаło... raczej umarło i urodziło się ponownie, ale już nieco w innej postaci.

O dziwo, wiedziałam. Zabawne, ale byliśmy winni Delirnie prawie to samo. I zostawiliśmy za progiem Jesionowego Grodu jednakowe iluzje, w których twoje słowo warte jest więcej, niż cudze oszczerstwo, na przyjacielu zawsze można polegać w trudnej chwili, a ukochana osoba nigdy nie oszuka, ani nie zdradzi. Zresztą, tak było lepiej, dawno należało się ich pozbyć i życie stawało się znacznie ciekawsze.

Tyle że to bardzo bolesne, więc mało kto się godzi dobrowolnie.

- Nie widziałam na nim żadnego znaku.

- Stawiano go nie żelazem. Magowie widzą. A raczej czują i uciekają jak przed trędotowatym, przynajmniej ludzie.

- Czekaj no... - Zrozumiałam nieco poniewczasie. - Chcesz mi powiedzieć, że on należał do Rady Konwentu? Przecież tam zasiadają wyłącznie arcymagowie!

- Zwykle tak, ale dla bakałarzy pierwszego stopnia, jeżeli są najlepsi w swojej dziedzinie, czasami również znajduje się miejsce. W tamtej chwili Weres miał prawie skończony traktat dla

pozyskania najwyższego stopnia magicznego i gdyby nie to wygnanie, to już dawno by go obronił...

- Kolejny łyk wina okazał się być dla Mroka ostatnią kroplą. Smok zachwiał się, tępo zamrugał, gapiąc się na własną rękę i z trudem próbując zrozumieć, dlaczego nagle ma na niej dziesięć palców. - Szeleno, a chcesz to cię pocałuję, co? Wyłącznie na znak szacunku, jako swojego najlepszego wroga!

- A idź ty... spać, pijusie żaloszny - zbyłam go bez złości, bez szczególnego trudu odebrałam prawie pustą butelkę i odwróciłam smoka twarzą w kierunku drzwi, za którymi posłusznie zniknął, mamrocząc coś pod nosem.

Zostałam przy płocie. W zamyśleniu pokręciłam resztkami wina, zastanawiając się czy mam ogrzać się nimi czy już kocem. Przez bramę przeszła koza, która zaczęła jak pies obwąchiwać moje kieszenie. Wypić zdrowie Majki, czy jak? Wylałam na dłoń odrobinę wina, zaproponowałam jej. Koza z zachwytem zakręciła kitką ogona i wsadziła pysk w poczęstunek. Ja również upiłam łyka...

To miejsce jest stanowczo zbyt popularne!

- Szel, czy ty planujesz tu nocować?

- Ile razy mam ci powtarzać - nie waż się nazywać mnie Szel!

- I ani razu nie wyjaśniłaś dlaczego.

- To brzmi jak imię pieska.

- Przepraszam, ale ten powód nie wydaje mi się zbyt przekonujący. Nie masz nic przeciwko, jeśli zasugeruję własny?

- W świetle pochodni twarz Weresa nawet wyglądała na pełną współczucia. Tak samo jak głos, chociaż akurat z tym pochodnia nie miała nic wspólnego. - Ktoś już nazywał cię Szel, czyż nie?

- Powinieneś mniej pić.

Czarodziej pokręcił głową, wręczył mi pochodnię i wrócił do zamku.

Właśnie tak.

\* \* \*

Zасыпianie przy szumie deszczu jest bardzo przyjemni - duże krople deszczu stukają po dachówkach, raz częściej raz rzadziej szeleszczą w gęstych liściach jabłoni, pochylonej trawie i kosmatych łopianach, rozbijają się i zlewają, po czym opadają na smacznie pachnącą ziemię...

Równie przyjemna jest drzemka przy wtórze mruczenia kota, który ułożył się tuż pod bokiem - ciepły, zabawnie naburmuszony, pracowicie mruczący całym swoim malutkim ciałkiem i rytmicznie poruszający miękkimi łapkami...

No więc, na odmianę równie wstrętne, paskudne i męczące jest wiercić się na łóżku, na przemian zatykając palcami uszy i nieskutecznie chowając głowę pod kołdrą do wtóru głośnego i nosowego chrapania pijanego smoka!!!

Tak więc nic dziwnego, że po jakiejś półgodzinie byli przyjaciele i towarzysze Mroka z wykrzywionymi twarzami i szalonymi spojrzeniami spotkali się nad jego łóżem i zaczęli snuć paskudne, przebiegłe plany mające na celu ukrócenie tego koszmaru. Jako zwolenniczka radykalnych środków przyszedłam ze swoją poduszką, ale pomysł ten został odrzucony, choć z pewnym żalem.

Weres ostrożnie wyciągnął rękę i zacisnął smokowi nos, Mrok z irytacją pociągnął nim, otworzył usta i zaczął chrapać jeszcze głośniejsze. Czarodziej śpiesznie rozwarł palce, ale smokowi chyba spodobał się nowy sposób oddychania, bo ani mu było w głowie wracać do poprzedniego poziomu hałasu.

- Moja babcia mówiła, że kiedy człowiekowi śni się coś niedobrego, należy poszczać zębami nad jego uchem - niepewnie przypomniał sobie Rest.

- I wydaje ci się, że wtedy przyśni mu się coś miłego? - warknęłam z irytacją. - Skąd w ogóle pomysł, że on tu cierpi na koszmary nocne? Tylko zobacz, jaką ma zadowoloną mordę...

Mrok akurat uśmiechnął się przez sen i słodko pomlaskał, a następnie wznowił koncert solowy.

- Słyszałem, że na chrapanie to również pomaga - ożywił się Weres - Szel?

- Dlaczego kiedy trzeba komuś zrobić świństwo zawsze mam to być ja?!
- Masz większe doświadczenie.
- Za żadne skarby. Albo nie powstrzymam się przed pokusą i odgryzę mu nos.

Czarodziej westchnął, ale nie mając innego wyboru i oglądając się na mnie jak gdyby bał się krytyki pochylił się do smoczego ucha i całkiem porządnie jak na kogoś z nikłym doświadczeniem kilka razy szczęknął zębami.

Mrok przestał chrapać.

Z niedowierzającą nadzieją wstrzymaliśmy oddech.

Smok, nadal nie otwierając oczu, wrzasnął.

A następnie otworzył i wrzasnął jeszcze głośniej.

Weres cofnął się, stracił równowagę i usiadł na podłodze. Ja upuściłam poduszkę, Rest i Virra zgodnie przysiedli za oparciem łóżka.

- Twoja... babcia! - syknęłam na szczeniaka. - Po takim czymś można nawet kopnąć w kalendarz, a nie zwyczajnie sobie oszaleć! Czy ona przypadkiem na tobie nie testowała tego środka?!

- Ccco to bbbyło?! - wyjąkał Mrok, łapiąc się za serce.

- Nietradycyjna metoda leczenia chrapania - warknęłam z sarkazmem. - Co prawda muszę przyznać, że całkiem skuteczna...

Smok pomału doszedł do siebie, z ulgą zrozumiał, że wszystko jest w porządku i nawet nie kłął.

- A ja miałem wrażenie, że ty...

- To potwarz, ja chciałam cię jedynie udusić. - Podniosłam poduszkę i rzuciłam ją na własne łóżko. - A skoro już i tak wszyscy jesteśmy obudzeni, to dlaczego nie mielibyśmy się naradzić? Weresie, gdzie jest twoja mapa?

- Jedną chwilę. - Czarodziej podniósł się z podłogi, przygładził włosy i ruszył po torbę. Ja i Virra szybciotko zwołniłyśmy stół, przekładając na fotel marmurowy świecznik w kształcie lamparta stojącego na tylnych łapach, paterę z owocami, mokre rękawiczki Resta i kuszę, którą mała uparcie ciągała ze sobą, mimo że skuteczniej i chętniej używała łuku.

Tym razem Weres nie powiększył całej mapy, tylko „rozciągnął” jej lewy róg, tak że zrobiła się identyczna z tą w obozowisku rozbójników.

Zbadałam kawałek pustkowiec i pewnym gestem pociągnęłam paznokciem.

- O tutaj.

- Kółko? Bardzo symboliczne. - Dla pewności czarodziej zakreślił mój znaczek węglem. - Elfy niewiele pomyliły się w obliczeniach.

- Znowu ten cały tajemniczy Wiedźmi Krąg? Ale w takim razie dlaczego rozbójnicy zamierzali składać panny w ofierze wprost na przełęczy, od której do Kręgu jest ze dwadzieścia wiorst?

- Magiczną moc, którą otrzymuje się w trakcie takiego obrządku można przechowywać w amuletach. A zawieszenie ich w potrzebne miejsce jest znacznie prostsze, niż prowadzenie czy teleportowanie tłumu krasnoludek. Co prawda nie da się trzymać jej w ten sposób długo, góra tydzień. A tak w zasadzie, za cztery dni mamy noc przełomu zimy...

- I co z tego? - Nie zrozumiałam.

- Trudno wymarzyć sobie lepszy czas na otwarcie Kręgu. I gwiazdy ustawione przychylnie, i większość ludzi siedzi w domach w otoczeniu rodzin, a niektórzy nawet zaczną świętować już wieczorkiem, więc tylko wyciągnąć łapy i zgarniać...

- Ale kto w ogóle miałby chcieć go otwierać?! - Smok patrzył na mapę z takim oburzeniem, jakby celowo ukrywała przed nim odpowiedź.

- Ten, kto ma zamiar skorzystać z zamieszania, które niechybnie się zacznie i przeprowadzić swoje niezbyt czyste sprawy. Powiedzmy obalić króla Belorii i zająć jego miejsce.

Mrok skrzywił się pogardliwie.

- W tym celu w zupełności wystarczy mocniej stuknąć go po łbie albo poczęstować zatrutym ciastkiem. Poza tym niedługo i tak umrze ze starości.



- A kogo nie da się stuknąć, ani poczęstować?

Spojrzelśmy po sobie, równocześnie wykrzykując:

- Arcymagów!

Po czym zaczęliśmy mówić w pośpiechu przerywając sobie nawzajem:

- Czyli wychodzi na to, że celem spiskowców jest Rada Konwentu?

- To dlatego Delirna skarżyła się, że na jej wiadomość odpowiedział jakiś drobny urzędas!

Do członków Rady ona w ogóle nie dotarła!

- Tak samo jak meldunki pozostałych czarodziejów! A tych, których spiskowcy nie zdołali przekupić, po prostu zabijali!

- Mnie nawet nie proponowali - burknął Weres, ni to z oburzeniem, ni to z ironią. - Ale chyba udało nam się rozwiązać tę zagadkę. Każdy arcymag tylko marzy o tym, by wejść do Rady albo zemścić się na tych, którzy go z niej wygryźli.

- Tak jak ciebie? - sprecyzowałam mściwie.

- Tak jak mnie... - Weres połączył dłonie przed twarzą i przeniósł spojrzenie na nadgarstki, które wychyliły się z rękawów. - Szeleno, jesteś kanalią. Wyjątkową.

Mrok spróbował rozładować atmosferę, szturchnął przyjaciela łokciem i nadmiernie wesoło z głupim chichotem zapytał:

- Hej, Weresie, a czy ty sam przypadkiem...

- Co? - przerwał mu czarodziej chłodno.

- Nic - zmieszał się smok. - Przepraszam.

- Ale tamten czarny elf w kapciach również należał do Rady. - Nasza mała okazała się mądrzejsza od dorosłych. - Chcecie mi powiedzieć, że zamierzał sam siebie utracić?

Po krótkiej chwili zastanowienia Weres wysunął doprecyzowaną teorię:

- Konwent już od dawna składa się z dwóch niezależnych frakcji, wygląda więc na to, że nadeszła chwila ostatecznego rozłamu. Stawiam na wolnych!

- Podtrzymuję! - zgodził się Mrok bez wahania. - Tyle że plan mają jakiś taki... koślawy.

No dobra, Krąg się otworzy, wypełni z niego chmara pomroki, nadworni arcymagowie i osoby towarzyszące ruszą do jej łapania. Jednych położą bestie, a innych załatwią byli koledzy. Tylko co potem? Magowie bojowi i tak ledwo sobie radzą z miejscowymi potworami, a jeśli to paskudztwo rozbiegnie się po okolicy, to Beloria w przeciągu paru miesięcy się wyludni! I po co w takim razie ją podbijać? Podbudować poczucie własnej wartości?!

- To my jesteśmy tacy tępi, a oni pewnie wszystko obliczyli do najdrobniejszych szczegółów - zaprzeczyłam. - Może planują w jakiś sposób zagonić pomroki z powrotem? Albo one same powyzdychają za parę miesięcy?

- Wątpię. Na ich miejscu za żadne skarby nie bawiłbym się z pomrokami, tylko spróbował poradzić sobie własnymi siłami.

- Już się z nimi bawisz - przypomniałam mu złośliwie.

- Własnymi siłami... - powtórzył Weres powoli i niespodziewanie wałnął pięścią w stół tak mocno, że biedna mapa pękła pośrodku. - Przecież oni dokładnie to robią! Hodują idealnych zabójców, niewidzialnych, potężnych i krwiożerczych, a przy tym absolutnie posłusznych, których potem łatwo będzie unicestwić!

- W takim razie po co im Krąg? - Zawróciłam dyskusję do punktu wyjścia.

- By zaczerpnąć z niego mocy magicznej? - Mrok niepewnie spojrzał na czarodzieja.

Weres przygryzł dolną wargę i przecząco pokręcił głową.

- W Belorii jest dosyć Kręgów, więc dlaczego tak zależy im właśnie na tym, który nawet jeszcze nie dojrzał?

- Pozostałe są strzeżone.

- Wyłącznie formalnie. Ten w Wysiedlisku dałoby się otworzyć nawet dziś, dajnowie nie wyglądają jakby mieli cokolwiek przeciw. Ciekawe, co wolni im obiecali? Kolejne pięć czy sześć w ogóle leży w okolicy tak samo głuchej, jak ta.

Po pół godzinie stało się oczywiste, że nie wymyślimy nic mądrego. To przekłete kółko na mapie wyraźnie grało główną rolę w planach przeciwnika, tylko jaką?!

Ostatecznie Weres zaproponował, byśmy odłożyli tę kwestię na później i podrzucił inną:

- Ale przecież rzecz nie skończy się śmiercią czy uwięzieniem nadwornych czarodziejów - w Belorii, Wolmenii i Jesionowym Grodzie zostanie zbyt wielu magów lojalnych wobec Konwentu, a potem dotrą kolejni z wysp. Tysiącowi magów od pierwszego do czwartego stopnia nie stawi czoła nawet siedemdziesięciu arcymagów, nie mówiąc już o siedmiu. Zwyczajne wojsko w zaczarowanych zbrojach również będzie stanowiło dla nich poważną przeszkodę - grad strzał wcześniej czy później przełamie każdą obronę magiczną, a miecze dokończą sprawę. Oznacza to, że spiskowcy potrzebują pewnych tyłów, gdzie można umieścić armię, utrzymać obronę i stamtąd dokonywać najazdów. Najlepiej w tym celu zająć jakiegoś miasto z twierdzą.

Mrok chętnie skorzystał z okazji, by zabawić się w wielkiego i podstępного stratega.

- Najbardziej odpowiedni byłby Starmin. Wygodny teren, kamienne mury, potrójna linia obrony, a jeżeli rzeczywiście uda im się zająć stolicę Belorii - zdecydowana przewaga moralna.

- Najbardziej odpowiedni i najmniej prawdopodobny. - Weres pokręcił głową. - Dopóki stolica nie została zajęta, wszystkie te korzyści zwrócone są przeciwko spiskowcom. Poza tym, w Starminie jest więcej magów niż w całej reszcie Belorii, na pewno każdy trzydziesty mieszkaniec. Więc atakowanie go to czyste szaleństwo. Sama tylko Szkoła Magii jest sporo warta: adepci trzeciego roku już umieją rzucać kule ogniste, a absolwenci przed egzaminami nauczyli się zaklęć, które arcymagom się nie śniły!

- Dobrze, w takim razie jakie jeszcze są możliwości?

- Witiag - zasugerowałam, z lubością włączając się do „gry”. - Bo jego to na pewno można zająć z palcem w nosie!

- Ponieważ nie jest na ghyra nikomu potrzebny. Nie ma tam nawet normalnych murów obronnych - pogardliwie burknął smok.

- W takim razie Kamieniec. - Bez ceregieli odepchnęłam ramieniem Weresa, który akurat zasłaniał odpowiedni kawałek mapy - Z jednej strony są Czarnotrawne Chaszczce, gdzie i bez tego za każdym drzewem siedzi pomroka, a z drugiej Dogewa, która nie będzie wtrącała się do konfliktu, bo w czasie ostatniej wojny poniosła ogromne straty, a poza tym jest to sposób zrobić ludziom wbrew.

- Ciepłej - ożywił się czarodziej, przyciągając do siebie mapę. Mrok, który siedział po drugiej stronie stołu i widział kiepsko złapał za trzeci róg. Pergamin odpowiedział złowieszczym trzaskiem. - Ale ma jeden minus, jest zbyt blisko Starminu. Król i wierni mu magowie zdążą podciągnąć tam wojska zanim Kamieniec zostanie zajęty i wrogowie zdążą się tam urządzić, bo przecież na pewno nie obejdzie się bez dziur w ścianach, barykad i pożarów. Zaraza, przecież tym sposobem oni wciągną w tę swoją wojenkę całą Belorię, a może jeszcze Wolmenię przy okazji i zaczną się wojna domowa!

- Już wciągnęli. Przypomnij sobie Leszczynkę. - Złapałam porzucony przez Weresa kawałek węgla i krzyżykiem zakreśliłam znaczek wsi. A następnie postawiłam pytające kropki koło dwóch osad w pobliżu. Wyszło tak bardzo sugestywnie, że Rest się wzdrygnął, a Virra z drzeniem przytuliła się do mnie.

- Czy my naprawdę nic nie możemy zrobić? - Dzieciak wbił w mistrza błagalne spojrzenie.

- Niby co? - spytałam z sarkazmem. - Pozostały nam tylko cztery dni. Nie udało nam się skontaktować ze Starminem, na jechanie tam jest za późno... i w ogóle, powinniśmy pomyśleć o ratowaniu własnej skóry!

- Tylko po jakiego leszego z uporem ignorujemy wskazówki losu, który już trzeci raz pcha nas nosem w odpowiedź? - stwierdził Weres z namysłem, nie zawodząc oczekiwania ucznia. - Dlaczego nie mielibyśmy naprawdę zebrać wojska, wysunąć się w kierunku Kręgu i stłumić spisek w zarodku? Bo magowie dopiero muszą się rozpędzić, a my już będziemy tam!

- A oni nam dopiero dadzą nauczki! - podchwyciłam bez zachwytu.

- Jeżeli wolni zwyciężą, to w górach również nas dosięgną.

- I przeciwko komu będziemy walczyli? Pomrokom? Arcymagom?!

- Zobaczymy na miejscu. - Czarodziej nie dał zbić się z pantałyku. - No więc tak, już

mamy krasnoludy, elfy i driady. Niestety, nie mamy czasu, by dołączyć ludzi, ale możemy spróbować dogadać się jeszcze z trollami. One zawsze są chętne do bitki, szczególnie w słusznej sprawie.

- Słusznej? Słyszałam, że trolle skalne jadają krasnoludy, a zdarza się również, że ludzi i elfy.

- Bzdury. Zgadza się, krasnoludy od dawien dawna wojują z trollami, ale tylko tyle. To dla nich coś w rodzaju tradycji - w ludzkich osadach spokojnie mogą świętować przy jednym stole albo walczyć bok przy boku, ale podkładać świnię sąsiadom z gór to świętokradztwo! Słyszałam, że mają nawet specjalną przełęcz w neutralnej strefie, po której regularnie spacerują przedstawiciele obu plemion najbardziej chętni do bitki, próbując wdać się w bójkę.

Z niedowierzaniem wykrzywiłam wargi, nie mogąc sobie wyobrazić pojedynku trolla z krasnoludem, który był trzykrotnie niższy i pięciokrotnie lżejszy od niego.

- Oj nie masz racji, krasnoludzkimi toporami można położyć byka. A do tego chodzą po przełęczach w grupach. Co prawda opowiadają, że swego czasu mieli tam jakiegoś szczególnie dużego i buńczuczego krasnoluda, który nabrał zwyczaju sprawdzania na sąsiadach swoich produktów płatnerskich. Ostatecznie doszło do tego, że w takie dni przełęcz robiła się całkowicie beztrollowa! Ostatecznie krasnolud znużył się i wyniósł do miasta, a na przełęczach ku radości obu stron wszystko wróciło do normy.

- Weresie, to jest najdurniejszy plan ze wszystkich kiedykolwiek przez ciebie zaproponowanych - westchnęłam, nie dosłuchując do końca. Już nie miałam siły oburzać się czy krytykować.

- I właśnie takie zwykle działają. - Czarodziej chciał puścić do mnie oczko, ale w tym celu musiałby najpierw otworzyć przynajmniej jedno, a jego powieki nieubłagalnie opadały, więc ostatecznie zostałam poczęstowana szerokim ziewnięciem, które pozostali zgodnie podchwycili. - No i już, starczy na dziś. Szczegóły omówimy rano... tfu, już mamy rano... No to w takim razie za dnia ze świeżą głową.

Nikt nie zgłaszał sprzeciwu. Niezmiernie zmęczeni, ale zadowoleni z siebie, rozeszliśmy się do łóżek i prawie natychmiast zasnęliśmy.

Nie mam pojęcia czy Mrok nadal chrapał.

Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Jak się okazało, wilkołak również...

\* \* \*

Stanowczo zakochałam się w Tarnie-e-Lacie. Ponieważ natychmiast nazwał plan Weresa bzdurą, idiotyzmem i durnotą.

Co prawda z zupełnie innego powodu: ostatnimi czasy krasnoludy i trolle ostro się nie dogadywały. Ku mojemu szczeremu zdumieniu, naczelnik nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Stosunki zarastały lodem powoli, w ciągu ostatniego półrocza. Najpierw trolle ni z gruszki ni z pietruszki zaatakowały krasnoludzką karawanę i do czysta ograbili, a kupcowi parę razy przyłożyli „sam wie za co”, potem podpalili czyjś dom, następnie zaczęły rozsiewać plotki, jakoby krasnoludy (krasnoludy!!!) dostarczyły im partię broni parszywej jakości... No co za herezje!

Ostatecznie krasnoludy całkowicie wstrzymały handel z trollami, a one przestały korzystać z prowadzącej przez Złamany Kiloł drogi na Podgórze.

- I po kie licho wam te trolle?! - obruszał się dotknięty naczelnik. - Czy my sami sobie nie poradzimy?

- Oczywiście, że sobie poradzicie - potwierdził Weres uprzejmie. - Ale niechaj postoją w rezerwie, na wszelki wypadek.

- To co, my będziemy tam przelewali krew, a oni się gapili?!

- No dobra, to ich wyślemy do ataku. - Czarodziej nie chciał się kłócić.

- Żeby zgarnęli dla siebie całą chwałę?! - jeszcze bardziej wzburzył się krasnolud.

- No to równocześnie zaatakujecie z obu stron!

- A co, jak oni dobiegną pierwsi?!

- A co, jak się nie zgodzą? - spytałam melancholijnie, tym samym kończąc spór.

Tarn przekonany, że dokładnie tak się stanie, po czym on będzie mógł przez parę wieków oskarżać trolle o tchórzostwo, z lekkim sercem wyznaczył nam przewodnika. Był to nasz stary znajomy Lirk, tak więc po godzinie drogi znaleźliśmy wszystkich jego krewnych do setnego pokolenia wstecz i niezmiernie żałowaliśmy, że po trzynastu latach zalotów i przekonywania Tamina-e-Roska jednak zgodziła się wyjść za Hmara-e-Lata.

Kelpie spokojnie truchtały po oblodzonych górskich ścieżkach nie zwracając uwagi na głębokie dziesięciosążniowe dziury po lewej i prawej stronie, oraz podstępnie szeleszczące po zboczach strumyki śniegu. Chciałabym mieć ich stoicki spokój. Od czasu do czasu góry warczały, jak gdyby rozmawiając ze sobą i każda szczelinka uznawała za punkt honoru głośno powtórzyć to, co właśnie usłyszała, wprawiając mnie w drżenie.

- I tyle, dalej nie idę. - Krasnolud zatrzymał się przy kamiennym słupie, zwieńczonym kozią czaszką. Długie rogi, zagięte jak darkany, całkiem przypominały naostrzone kosy i chyba były niewiele mniej groźne. Tutejsze kozy to żadne tam domowe Majki czy Białki, takie zwierzę jak raz ubodnie... - Za tamtym występem skręcicie w lewo, potem na rozstaju na prawo, a potem jeszcze raz na prawo i akurat wyjdziecie pod główne wejście do trollich jaskiń. To co, mam na was tu czekać?

- Nie trzeba!!! - stwierdziliśmy jednogłośnie. - Znaczący dziękujemy, już nie zabłądzimy.

- A poza tym to nie wiadomo czy się doczekam... - przytaknął krasnolud po chwili namysłu. - No i dobrze, jak tak, to żegnajcie!

- Do widzenia - wycodziłam przez zęby z naciskiem.

Wkrótce okazało się, że zwolniliśmy przewodnika zbyt wcześnie: rozwidlenie okazało się poczwórne, dwie ścieżki na lewo i dwie na prawo. Wspomnieliśmy krasnoluda kilkoma „miłymi” słowami. Lepiej by nam objaśnił drogę, a nie opowiadał, kto tam próbował ukraść jego ciotkę w drugiej linii z domu rodziców przez piwniczne okienko, w którym utknęła na dobre. Ruszyliśmy pierwszą ścieżką z lewej i nie trafiliśmy.

Nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się dalej, ale za to urwała przed czarną rozpadliną - ni to studnią pełną siarkowej wody, ni to wysypiskiem odpadków.

Tak więc musieliśmy wracać do rozstajów. Żeby uniknąć kolejnej wycieczki nadaremno, Weres zsiadł z konia, kucnął i przeciągnął dłonią nad drugą ścieżką po lewej, a następnie trzecią. Wpatrywaliśmy się z niego z podziwem, zebrani w kółko i prawie zderzając się pochylonymi głowami. Niestety, nieważne, jak bardzo się starałam, nie udało mi się nic zobaczyć - ani samej magii, ani jej wyników. Żeby przynajmniej jakieś lśnienie, żebym się nie czuła aż taką idiotką.

- Masa świeżych śladów, obie ścieżki są uczęszczane - stwierdził Weres z namysłem, prostując się i pocierając krzyże kostkami palców. Cóż, tyle to ja sama mogłam mu powiedzieć. I nie tylko tyle. - Nawet dziwne, że nie widać samych trolli...

- Trolli? To takie ogromne włochate typy o paskudnych i wrednych pyskach?

- Dokładnie tak - potwierdził odruchowo czarodziej i ocknął się poniewczasie. - A kto to powiedział?

Milcząc skinęłam głową w kierunku za jego plecami. Weres gwałtownie się obrócił... i nos w nos, a jakbym chciała być wyjątkowo dokładna to nos w pierś, trafił na ogromnego włochatego typa. Wyraz paskudnego pyska typ też miał odpowiedni.

- A wy to kto? - głupio rzucił czarodziej.

Zapytany tylko wyszczerzył zęby, wyraziście klepiąc się po dłoni ogromną maczugą o kolczastym końcu.

- Pytanie uznaję za nieaktualne - mruknął czarodziej i jako pierwszy uniósł ręce: trolli dookoła nas było znacznie więcej, niż zwykle jest wymagane do serdecznej rozmowy. Chyba trafiliśmy na oddział wojenny, który z bliżej nieznanego przyczyny chował się pomiędzy głazami. Mało prawdopodobne, by czekali właśnie na nas, ale ponieważ zasadzka została już wykryta, trolle nie próbowały chować się z powrotem tylko wymieniały ciche komentarze we własnym języku, z niepokojem spoglądając w stronę Ułamanego Kilofa. Mrok spróbował sprzedać im jakiś zbredny kawał, ale panowie nie byli w figlarnym nastroju i nie mieli ochoty na wdawanie się z nami w pogawędki. Zresztą, nie próbowali nas również krępować i kneblować. Dowódca oddziału

nieprzyjaźnie burknął, że zaprowadzą nas do wodza i niechaj on decyduje czy ugotują nas w zupie czy usmażą.

I rzeczywiście poprowadzili, zamykając w nierównym pierścieniu. Rest został z tyłu zawiązując sznurówkę w bucie i musiał biegiem doganiać konwój. Nikt nie żądał od nas słowa honoru, że nie rzucimy się do ucieczki - po pierwsze trolle jako takie zawsze miały dosyć sceptyczny stosunek do słowa honoru, po drugie było ich dwa razy więcej niż nas, a po trzecie mimo pozornej niezgrabności poruszały się znacznie szybciej i zwinnie od ludzi.

W ciągu całego swojego życia miałam okazję widzieć kilka trollich klanów, ale po raz pierwszy miałam okazję zetknąć się z trollami skalnymi, największymi i najbardziej okrutnymi. Wszyscy mieli na sobie koszule z grubego płótna, skórzane spodnie i bezrękawniki z gęstego wilczego futra. Każdy był uzbrojony w krótki ciężki miecz, niezastąpiony w bezpośredniej walce. Na plecach dwóch z nich widziałam ciężkie kusze, a ilość noży, zarówno zwykłych, jak i do rzucania, nie dawała się nawet oszacować. Rękojeści sterczały zewsząd skąd tylko się dało - zza pasków, cholewek, grubych bransolet i nawet zza włochatych odstających uszu.

- Z wodzem plemienia rozmawiał będę wyłącznie ja - uprzedził nas Weres po drodze. - Jeżeli was o coś nie zapyta, to milczcie i zachowujcie spokojny wyraz twarzy, stojąc dwa kroki za mną. U nich się to nazywa, khm, ghyr na ghyr, że niby rozmowa wodzów.

Prychnęłam z pogardą - też mi się wódz znalazł! - ale nie protestowałam. W rozmowach z trollami faktycznie lepszy był mężczyzna, bo ich zdaniem kobiety nadawały się tylko do jednej rzeczy. I bynajmniej nie były to sojusze wojenne.

Wejście do trollich jaskiń schowane było przed wiatrem za kamiennym zębem wysokim na pięć arszynów. Mimo to wewnątrz nadal panował niewielki przeciąg, ale może to i lepiej: przynajmniej jakoś odprowadzał dym z ognisk, które zapalone zostały na środku „przedsionka” - czyli wielkiej sali o nierównej podłodze, rozbitej na kilka platform. Ściany ozdobione były rysunkami naskalnymi, przeważnie o dosyć nieprzyzwoitej treści, a strop pasami sadzy. Wejścia do pomniejszych jaskiń zasłonięte były wiszącymi wilczymi oraz niedźwiedzimi futrami. W razie konieczności drzwi dawały się „zamknąć” poprzez przywiązanie zwisających łap do zamocowanych w podłodze pierścieni.

Panowała zima, okres, gdy nie ma za wiele do roboty, a na dworze jest nieszczerólnie przyjemnie, więc prawie całe plemię siedziało we wspólnej sali, ze smakiem zjadając krowią tuszę, upieczoną (a raczej zwęgloną) nad ogniskiem razem z ogonem i rogami. Strażnicy porzucili nas przy wejściu, wymieszali się z pozostałymi współplemieńcami i podniesionymi głosami zaczęli dyskusję, okraszając swoje słowa szerokimi gestami - ni to meldowali o sytuacji, ni to kłócili się, kto tym razem będzie wodzem.

W końcu coś ustalili. Jeden z nich niechętnie wstał i ruszył w naszym kierunku, w jednej ręce nadal ściskając kość, a drugą łapiąc za topornie sklecony taboret, który dostąpił wielkiego zaszczytu bycia tronem. Z cienia przy ścianie jak gdyby słysząc bezdźwięczny sygnał podniósł się ogromny pies, który różnił się od wilka wyłącznie plamiastą, biało-rudą maścią.

Wódz trzasnął taboretem na środku jaskini i niedbale usiadł. Zwierzę zaległo w pobliżu i wbiło we mnie spojrzenie, po czym poruszyło nosem i wzgardliwie ziewnęło, demonstrując skaliste rzędy kłów. Faktycznie, różniło się wyłącznie maścią.

- No to jak, bdyrne wdygi, jakiego ghyra tu szukacie? - zapytał troll nawet z pewną sympatią, rzucając psu na wpół obgryzioną kość i wycierając ręce o spodnie.

Tłumaczenie nie było potrzebne, wódz przemawiał we wspólnym prawie bez obcego akcentu, a wszystkie niezrozumiałe słowa można było znaleźć w „Krótkim wykazie trollich przekleństw”. Jednak absolutnie nie spodziewałam się tego, że Weres, chyba wyłącznie dla wykształcenia ogólnego, opanował tenże „Wykaz” w wersji nieokrojonej.

Najpierw czarodziej z uczuciem, smakiem i wyraziście posłał ukochaną babcię rozmówcy na pieszy spacer po... khm... i jego okolicach. Zgarbiona starowinka o pomarszczonej pokrytej brodawkami twarzy, która podejrzliwie zerknęła w naszym kierunku, kokieteryjnie zachichotała, uznając za pochlebstwo fakt, że ktoś sądził, iż nadaje się do tak długiej i męczącej wycieczki.

Następnie Weres ze szczegółami wyłożył wodzowi swoje zdanie o nim samym, jego

rodzicach, dzieciach i ukochanym psie. Nie, tak naprawdę czarodziej wychwalał ich prawie pod niebiosa, ale w takich słowach, że gdyby powiedziano je trochę innym tonem, to krasnoludzka płaskorzeźba stałaby się naszą jedyną podobizną wykonaną za życia.

Ostatecznie przyszła kolej na nas.

- Mrok, mój przyjaciel. Szelena, mój wróg.

Wódz tak samo przyjaźnie skinął głową nam obojgu. Trolowe klany znajdowały się w stanie permanentnej wojny między sobą nawzajem, ale regularnie zawierały rozejmy, by sprać tyłki komuś trzeciemu, więc taki stan rzeczy uznawał za jak najbardziej normalny.

Dalszy natchniony monolog w cenzuralnym tłumaczeniu wyglądał mniej więcej tak: My..... (przedstawiciele sił dobra), proponujemy wam ..... (potężnym wojownikom) wziąć udział w..... (wielkiej) bitwie przeciwko.....(siłom zła), które.....(znaczy się są wyjątkowo paskudne).

- Wielka bitwa to dobra sprawa - podsumował wódz rozsądnie. Kość z chrzęstem kruszyła się w psich zębach. - Wspólnie z krasnoludami to bardzo-bardzo niedobra sprawa. A przeciwko krasnoludom się nijak nie da? Albo może ich również załatwimy przy okazji, co?

- Ale co oni wam takiego zrobili? - zdumiał się Weres. Wódz wysunął do przodu łapy i zaczął zaginać palce. Dla lepszego efektu od razu po dwa.

- Różne zakdyrne plotki na nasz temat rozsiewają, oszukują wszem i wobec drobne ghyry jedne, kozy kradną, a wczoraj to w ogóle dwójkę dzieci porwali bez śladu. Akurat mieliśmy zamiar iść tłumaczyć im co i jak, więc sobie jemy przed wyprawą.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę, że wszyscy siedzący przy ognisku, wliczając w to kobiety i dzieci trzymali na kolanach broń, albo też położyli ją obok. Żeby było zabawniej, przeważnie były to wyroby krasnoludzkie.

- Ale dlaczego uznaliście, że były to na pewno krasnoludy?

- Bhoor ta waszar, widzieliśmy krasnoludzkie ślady! - W zapale ryknął jeden z trolli, siedzących za wodzem. Tamten skrzywił się, ale nawet nie obejrzał. Ale za to pies warknął tak sugestywnie, że nadmiernie gadatliwy delikwent natychmiast przypomniał sobie gdzie jego miejsce - za plecami sąsiada.

- Chcecie powiedzieć, ślady krasnoludzkich butów? - uprzejmie poprawił Weres.

Tak prosta myśl wyraźnie trollom do głów nie przyszła i zasługiwała na drobiazgowy omówienie. Zebrali się dookoła najjaśniejszego stołka i ponad pół godziny naradzali uniesionymi głosami, kompletnie zapomniawszy o nas.

- Doh ip bhuud, musimy się zastanowić - ogłosił wódz w końcu. - Niech wam będzie, dziś nie wyprawimy się przeciwko krasnoludom. Ale przeciwko siłom zła też nie. To za poważna decyzja żeby podejmować ją bez Wielkiego Pradziada. Po kolacji go obudzimy i poprosimy o radę.

Troll wstał, zgarnął „tron” pod pachę i odszedł z powrotem do ogniska. Mrok uznał, że oficjalna część przyjęcia dobiegła końca i ośmielił się odezwać:

- A nie możemy obudzić tego waszego dziadka teraz i już?

Chyba palnął coś nie tak, ponieważ wszystkie trolle zgodnie spojrzały na niego i zaczęły całkiem nieprzyjaźnie warczeć.

- Mroku!!! - jęknął Weres. - Wielki Pradziad to duch-strażnik plemienia! Mieli na myśli ceremonię wezwania go z Podniebnej Jaskini!

Cóż, mimo pokutujących opinii o nich, trolle jednak miały jakąś tam dyscyplinę, bo nie stłukli nas teraz i już.

- Za dwie godziny ogłosimy wam wolę Pradziada - powtórzył wódz z naciskiem. - A jak macie ochotę, to możecie sami popatrzeć i posłuchać, jaką chmryń powie. Żebyście potem nie imrzyli, że wyggamy wam mózg. A chwilowo możecie posiedzieć w tamtej jaskini... jak przyjdzie gospodarz, to go wygońcie na ghyr. Tylko nie zapomnijcie powiedzieć, że to ja kazałem, albo on was wyśle jeszcze dalej.

Zabrzmiało to jak: „Wasza cela to ta trzecia po lewej stronie korytarza, i tylko spróbujcie wyjść z niej przed rozpoczęciem procesu!”

\* \* \*

Może komuś ciemna jaskinia z niskim wejściem i kozimi skórami, chaotycznie rozrzuconymi po podłodze mogła nic wydać się szczytem wygody, ale mnie spodobała się znacznie bardziej od elfich komnat.

Albo to wilczyca we mnie doceniła dobrze ukryte i przytulne leże.

...

*...i wtedy przysięgłam sobie: nigdy więcej. Bo drugi raz tego nie zniosę.*

*Ale wilczy czas zyskuje na sile, a we mnie zostaje coraz mniej z człowieka.*

*I zachód słońca staje się początkiem dnia, a świerkowe igły pachną zupełnie inaczej, orzeźwiająco i upajająco, wypełniając ciało zwierzęcym zachwytem, który zmusza mnie do szaleńczego biegu przez las, aż do wyczerpania, na wyścigi z księżycem, z uczuciem, że zaraz stanie się coś wspaniałego, magicznego, co zostanie ze mną na zawsze...*

*I w głowie kręci się myśl: a może jednak... mimo wszystko...*

*Życie ma to do siebie, że śmieje się ze śmierci. Czasem gorzko, ironicznie, desperacko... ale niezmiennie szczerze.*

*Bo wieczności nie przestraszysz chwilą.*

...

- Co to jest, stół? - zarechotał Mrok, unosząc za rąbek prostokątny kawałek burej i sztywnej wieprzowej skóry. Wnioskując ze spadających z niego okruszków i mysich gówienek, tak właśnie było.

- Nie, dywanik do medytacji - prychnęłam. - Żeby radzić się nieżyjących dziadków.

- Starczy tych dowcipów - burknął smok, który już zdążył solidnie oberwać od Weresa.

- Sam jesteś sobie winien. - Czarodziej nadal był zły na przyjaciela. Tyle wysiłku władował w czarowanie wodza i wszystko nadaremno! - Podajcie mu Wielkiego Pradziada w pudełku z kokardką...

- To jeszcze mnie weź, takiego-owakiego obrazoburcę, nogami skop! - zaproponował Mrok z urazą.

Weres, skoro już miał pozwolenie, potraktował go kolanem w tyłek, wyładował w ten sposób gniew i nieco się uspokoił.

- O ile wiem trolle nie mają nic świętego. Tak więc obraziłeś wyłącznie ich uczucia rodzinne.

- I co, wszystko jest tak poważnie? - westchnął smok smętnie, siadając w kucki przy „stole”.

- Zobaczmy, co powie Wielki Pradziad. Osobiście mam solidne podejrzenia, że jest on wyłącznie elementem folklorystycznym, na którego zwała się odpowiedzialność za decyzje plemienia. Miałem okazję być obecny podczas takiego obrzędku, co prawda w innym plemieniu, i nie poczułem niczego nadnaturalnego.

Rozmowa urwała się - do jaskini, taranując skórę kudłatym czubkiem głowy bez pukania wdarł się nieznany nam troll-nastolatek. Już mieliśmy zamiar wysłać go tam gdzie kazano, ale okazało się, że to posłaniec od wodza, niosący w jednej łapie ogromną miskę, w drugiej piramidkę talerzy, a w zębach - pęczek ostruganych patyczków.

- Wódź ofiarować z osobisty zapas - burknął niezbyt uprzejmie w łamanym wspólnym z pretensją na to, że ktoś marnuje na nas takie smakołyki i wyładował przyniesione rzeczy na stół.

- Mówi, że jak nie jeść, to wielka obraza.

Podziękowaliśmy, ale mały troll z pogardą wydał dolną wargę i zniknął z powrotem, umożliwiając nam przetrwanie honoru, wyświadczonego przez wodza.

Co prawda, najpierw należało go zjeść.

- Dobra, to jak się to nazywa? - spytałam z namysłem, nabijając na patyk pomarszczoną grudkę, za którą ciągnęła się broda zielonkawego śluzu. Do ust nie dotarła i spadła z powrotem do miski, co ani odrobinę mnie nie zmartwiło.

- Grzyby - ostrożnie zasugerował Weres, nie śpiesząc się by łapać za „sztucę”.

- Miałam na myśli, jak nazywają się grzyby o czerwonych kapeluszach w białe kropki?

- Muchomory! - podpowiedziała chętnie Virra.

- Dzięki bogom, bo już miałam nadzieję, że mam problemy z pamięcią. Albo ze wzrokiem - wydałam z siebie udawane westchnienie, ponieważ stojące przed nami naczynie było po brzegi wypełnione tymi właśnie darami lasu. - Nie miałam bladego pojęcia, że zaliczają się do delikatesów! Co dzień się człowiek czegoś nowego uczy... żeby to jeszcze na cudzym doświadczeniu. No to który z nas jest najbardziej głodny? Przecież nie możemy obrażać gospodarzy, dziś już i tak nie są w najlepszym humorze.

- Tak właściwie to wszystko zależy od sposobu przygotowania - zaczął Weres niepewnie, który po mojej wypowiedzi znalazł się w centrum uwagi. - Czytałem, że jeżeli odpowiednio się je namoczy, a następnie wygotuje...

- No to jedz, jedz! Akurat dali dość dla ciebie na jedną porcję. A my rozmażemy trochę tych glutów po talerzach i ujdzie. - Po raz kolejny grzebnięłam patykiem w półmisku, nawijając na niego „polewę”. - Hm, mam wrażenie, że oni się tu wysmarkali całym plemieniem...

- Weź mi również nałóż odrobinę! - Mrok śpiesznie wyciągnął talerz, próbując nawet nie patrzeć na to, co robiłam.

Weres do reszty posmutniał. Nawet bardziej, gdy miska uroczyście wylądowała przed jego nosem. Kilka razy próbował trafić śliskie grzybki patyczkiem, a następnie porzucił dobre maniery i wyciągnął mały muchomorek palcami. Z rezygnacją zmrużył oczy i wepchnął do ust, zanim nie zdążył się rozmyślić. Powoli niepewnie przeżuł i z wysiłkiem przełknął.

Czekaliśmy w napięciu.

- Wiecie co, są nawet całkiem jadalne - podsumował czarodziej, otwierając oczy. - Smakuje trochę jak marynowane opieńki. Nie masz przypadkiem w torbie resztek chleba?

Bohaterów należy wspierać. Rozłamałam resztkę bochenka na pół i pokazałam Weresowi by wybrał, który kawałek odpowiada mu bardziej. Oczywiście ten paskudnik obiema rękami zwinnie zagarnął oba. I natychmiast nadgryzł, by pozbawić mnie możliwości odebrania ich z powrotem. Tak więc ja z kolei musiałam zwrócić się po wsparcie żywnościowe do Mroka, który chwilę się wykręcał, ale ostatecznie położył na stole pięć pieczonych ziemniaków. O ten nadmiarowy - bo czarodziej i tak już miał za dużo - zagraliśmy w karty, nawet kilka partii. Ku niewysłowionej radości przegranych (czyli mnie, Virry i Mroka) środek trofeum okazał się zgniły i Rest przez kilka minut wściekle pluł dookoła. Rzucając na mnie paskudne spojrzenia, jak gdybym o wszystkim wiedziała i celowo oszukiwała.

Tymczasem Weres sumiennie i z apetytem opustoszył miskę, więc nawet pożałowałam, że nie dotrzymałam mu towarzystwa, po czym położył się, żeby odpocząć. Albo tak go zmęczyła droga, albo najedzony zrobił się senny, więc gdy nadszedł czas, by iść na naradę do Pradziada na zaspanego i smętnego czarodzieja żal było patrzeć.

- Weź się prześpij, sami pójdziemy - zaproponował Mrok.

- A co będzie, jak znowu powiecie coś głupiego?

- Po prostu postoiemy w milczeniu pod ścianą - zapewnił go gorąco smok, który wyciągnął wnioski ze swojego smutnego doświadczenia. - Jesteśmy po prostu ciekawi tego Wielkiego Trollowego Pradziada!

- Wątpię, by ukazał wam cokolwiek wartego uwagi. - Weres zmusił się do zmęczonego uśmiechu. - Trolle nie korzystają z prawdziwej magii i w ogóle mają do niej dosyć sceptyczny stosunek, więc te ich wszystkie „narady z duchami” to nic innego jak rzucanie monetą.

- Ale i tak będziemy mieli co wnukom opowiedzieć. - Smok nie chciał się podać, a Rest i Virra całkowicie zgadzali się z jego opinią, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę pod drzwiami. Zresztą, co tam mówić, ja również...

- Jakby co, to was uprzedzałem. - Czarodziej już z zamkniętymi oczyma naciągnął futrzane okrycie pod sam podbródek i sennie mruknął: - Tylko pamiętajcie, milczenie jest srebrem!

- A co w takim razie jest złotem? - zapytałam.

- Pozostanie w domu. To zawsze pewniejsze.

- Nie szkodzi, my jesteśmy nieludzie prości, srebro nas również całkiem zadowoli!

\* \* \*



Dokładnie jak przepowiedział Weres, budzenie dziadka przypominało tani seans spirytystyczny, tyle że na „wróżkę” z zachwytem patrzyły nie panny pragnące znaleźć narzeczonego, a dwa tuziny nachmurzonych trollich pysków. Wszędzie paliły się topornie odlane świece, pachniało spalonymi ziołami, a na środku jaskini wprost na podłodze stał głęboki talerzyk z wodą. Obrządek prowadził sam wódz przy pomocy już nam znajomego nieuprzejmego młodzieńca. Obowiązki tego ostatniego polegały na przytrzymaniu nad trójnogiem miedzianej miseczki z roztopionym woskiem, póki wódz nie skończy należnych inkantacji do ducha. Oczywiście wszystko odbywało się w trollim, więc nie zrozumieliśmy ani słowa, ale stanowczo udało mu się zbudować napięcie. Szczególnie w chwili gdy wyciągnął zza pasa ogromny krzywy nóż i efektownie uderzył nim po przedramieniu. Aż się przestraszyłam, że je odrąbie, ale z malutkiej ranki ledwo co kapnęło krwią, barwiąc wodę.

Wynik usatysfakcjonował zarówno wodza, jak też chyba Wielkiego Pradziada. Ze zmienionej błagalnej intonacji „wróżki” wywnioskowałam, że duch już się objawił i gotów jest odpowiedzieć na wszystkie pytania, oczywiście używając środków podręcznych. Wódz zabrał małemu trollowi czarkę, uroczyście uniósł ją nad talerzem i akurat zebrał się by przewrócić do góry dnem, gdy wisząca w przejściu skóra wygięła się jak żagiel, urwała na dole, a następnie uniosła równoległe do podłogi, jak gdyby w podmuchu mocnego wiatru.

W otworze stanął słaniający się na nogach Weres i było prawdziwym cudem, że czarodziejowi w ogóle udało się w niego trafić... ale za to w jaskini miał spore pole do popisu.

Wosk spadł do wody razem z czarką i wołą pradziadka.

Chyba ktoś jednak nie wygotował tych muchomorów dostatecznie długo. A może nie wymoczył?

Weres zygzakami przespacerował się od ściany do ściany, rozpędzając na boki trolle, które nie bardzo wiedziały co zrobić wobec takiej bezczelności, a następnie stanął przez talerzem. Z namysłem spojrzał w pustkę przed sobą i tak szerokim gestem zachwiał się tam i z powrotem, że człowiekowi trzeźwemu powtórzenie takiego ruchu nie wyszłoby mimo najlepszych chęci. Nawet na zakład.

- A ty ttto jesteś kkkto, hę? Kto, „wagurcna morda”?!!

Po czym złapał powietrze, jakby chwycił kogoś za koszulę piersi.

- Weres, jakiego ghyra?! - jęknął Mrok z rozpaczą. - Znikaj stąd, zanim duch Wielkiego Pradziada się do reszty rozgniewa!

- Aaa!!! - ucieszył się czarodziej. - To ttto jest ten cały dziadek, który nam problemy robi?! No to poczekaj, łysy żybyhydrylic!

Weres potrząsnął „duchem” jak gospodyni domowa zakurzonym dywanikiem. Osobiście nie znałam znaczenia tego ostatniego słowa, ale trolle zareagowały na niego jak mniszki na „ghyr” - najpierw stanęły jak słupy soli z wściekłości, a następnie z wrzaskami oburzenia rzuciły się na chamskiego przybysza.

Weres odpedził się od nich nawet nie patrząc. Trolle rozleciały się po kątach jaskini jak suche liście zamiecione miotłą.

- A jjjak cię zaraz wepchnę do mrakobiesów, ttto ghyr kolejny raz wyleziesz!

- A on to może? - zapytał mnie wódz z obawą, pocierając obity bok.

Chmurnie wzruszyłam ramionami:

- Nie mam pojęcia, do czego ci nekromanci są zdolni.

Plemię zgodnie rzuciło broń i popadało na kolana.

- Chłopie, puść pradziada! - błagalnie poprosił wódz. - Po co on ci?

- Ghyra wwwam, ppprzede mną jeszcze żaden duch żywy nnnie uciekł! I ttto jeszcze ttteki paskudny! No co za morda...

Weres wziął zamach i wałnął pustkę pięścią, „nie trafił” i wkurzył się jeszcze bardziej. Chyba pradziadka czekała wycieczka do piekła w kawałkach...

- Te, chwybo... - Wódz pociągnął mnie za nogawkę. - Powiedz temu swojemu wyggatemu dachrabowi, żeby zostawił naszego przodka w spokoju!

Zmierzyłam go lodowatym spojrzeniem.

- Sami sobie jesteście winni, po co było nas truć muchomorami!  
- Kto was truć?! - obraził się troll. - Przecież to u nas największy imbrec, ostatnią beczkę otworzyliśmy dla was, niewdzięcznych labarrów! Jedna miska i do rana będą się tak wyrzne sny śniły, że aż szkoda się budzić! Jak ja niby miałem zgadnąć, że on się nimi tak ujara?!

Poczułam lekkie ukłucie winy, westchnęłam, zrobiłam krok do przodu i słodziutkim tonem poprosiłam:

- Weresie, ja cię bardzo proszę, odłóż dziadka na miejsce...

- A ja się nie muszę wilkkkołaków słuchać!

Wódz pośpiesznie uciekł do najdalszego rogu. Pies spojrział na mnie z pretensją i schował pysk w łapach. O dziwo, przed nim naprawdę poczułam wstyd.

- A jak on przeprosi i powie, że błogosławi swoje dzieci na wielką bitwę, a nawet sam poleci przodem?

Czarodziej się zamyślił. W jaskini zapadła tak pełna uwielbienia cisza, że miałam wrażenie, iż słyszę stłumione chrypienie złapanego za gardło ducha.

- Hm... A on na pewno przeprosi?

Trolle chóralnym szeptem zaczęły błagać Wielkiego Pradziada, żeby „nie był mgmyrem” i obiecał „zrybatemu szamanowi” wszystko cokolwiek zechce. Ku ich i naszej uldze ostatecznie przerażony duch się nie krygował, ponieważ Weres podejrzliwie go wysłuchał, zrobił się łaskawy i nawet raczył z wyższością poczochnąć Wielkiego Pradziada po brodzie.

- Było tttak od razu!

- No to wspaniale, już wszystko wiemy! - Razem z Mrokiem błyskawicznie, nie czekając, aż trolle podniosą się z klęczek, złapaliśmy czarodzieja pod łokcie i ponieśliśmy do wyjścia. Rest zapobiegawczo ruszył przodem i odsunął wiszące na drzwiach futro.

W progu Weres zapał się piętami, z nieludzką siłą wyrwał mi rękę, odwrócił i pogroził palcem:

- Ttty u mnie patrz, stttary ghyrze! Ja ttto cię dobrze zapamiętałem!

A gdy ostatecznie udało nam się wypchnąć go na korytarz oczy czarodzieja uciekły w głąb czaszki, a on sam zwiśł na naszych rękach. Nie ma co, wyjątkowo udany wieczór.

1

Mają nawet taki zawodowy żart - na egzaminach wstępnych odpadają adepci, a na końcowych bakałarze.

## Rozdział 15

Weres budził się z trudem, przez ponad godzinę - najpierw się wiercił, potem uspokoił, następnie zaczął gadać z kimś w staroelfim, jak gdyby o coś błagając. Rest nawet zorganizował mu moką szmatkę na czoło. Stopniowo czarodziej ucichł, a po kolejnych pięciu minutach niemrawo zrzucił kompres na podłogę, potoczył mętnym spojrzeniem po jaskini, po pełnych współczucia i przerażenia twarzach przyjaciół zrozumiał, że mają zamiar na wszelkie sposoby oszczędzać jego i tak chorą głowę, więc zwrócił się moim kierunku.

- Szeleno... Co się stało???!

Opowiedziałam mu wydarzenia poprzedniego dnia. Z ogromną przyjemnością i najdrobniejszymi szczegółami. Gdy dotarłam do barwnego opisu wodza na kolanach, Weres jęknął i opadł z powrotem na poduszkę.

- O bogowie... i co dziś będzie?!

- Myślę, że jednak odłożą na bok zasady i cię zjedzą. Jak już wrócą z tej wielkiej bitwy.

- Mimo wszystko się zgodzili?!

- Tak, a wódz nawet potem oświadczył, że niby staremu pieńkowi już dawno trzeba było dać nauczkę i wyraził nadzieję żeś go dobrze przestraszył, bo ostatnimi czasy pradziad robi co chce i radzi mrakobiesy wiedzą co... A przy okazji, co to jest zbyhydryz?

- Trup.

- I tyle?

- Ja jestem trup. - Weres z trudem spełził z łóżka i powłókł się umyć.

Nie było go tak długo, że Rest i Mrok zaczęli snuć przypuszczenia czy się nie utopił. Było to całkiem możliwe, ponieważ trollową łazienkę stanowiło jezioro w jaskini, wypełniona lodową wodą. Mało tego, że głębokie, to jeszcze miało ujście do Podniebnych Jaskiń - a przynajmniej trolle uważały, że zrzucane do wody trupy prąd unosi właśnie tam. Zabawne wierzenie... szkoda tylko, że dowiedziałam się o nim *przed*, a nie *po* myciu. Ale odegrałam się, nic nie mówiąc pozostałym.

Po półtorej godziny nerwy przyjaciół nie wytrzymały, więc udali się na poszukiwanie biednego czarodzieja - mimo mojej sceptycznej uwagi, że niby ten materiał nie tonie.

Virra została ze mną, najspokojniej w świecie kartkując podarowaną jej przez Lliotarela książkę i podziwiając najprzeróżniejsze potwory na rycinach.

- A ty się nie boisz o Weresa? - zdziwiłam się, ponieważ widać było, że mała świata poza czarodziejem nie widzi, a ostatnimi czasy ze szczeniakiem nawet zaczęli się kłócić o prawo podania mu torby czy zajęcia miejsca obok. Do mnie Virra miała znacznie spokojniejszy stosunek, ale też zachowywała się wyraźnie swobodniej, jak zwykła mała dziewczynka, którą można tak po prostu posadzić sobie na kolanach i w końcu spleść złocistą szopę w dwa puchate warkoczyki. Z nimi wydawała się starsza, ale też zabawniejsza.

- Czuję śmierć - odparła mała po prostu. - A tutaj jej nie ma.

- Każdą? - zaciekawiałam się.

- Nie, tylko znajomych albo... - Dziewczynka urwała, a następnie udała, że było to tylko przejęzyczenie i ponownie wsadziła nos w książkę.

- Albo „klientów”, co? Żeby się nie męczyć szukając tych, co już kopnęli w kalendarz? Mała wydała z siebie ciężkie i wcale nie dziecięce westchnienie.

- To wiesz o wszystkim? Skąd?

- Ja i Weres. Też mi tajemnica, wystarczy zapytać dowolnego elfa.

Dziewczynka zapatrzyła się w moją twarz, najpierw ze strachem podszytym poczuciem winy, a następnie ze zdziwieniem, nie odnajdując tam nawet śladu uczuć, które jej zdaniem

powinnam żywić w stosunku do niej lub tego, co sobą reprezentowała.

Roześmiałam się z jej zagubienia.

- Virro, czy ty naprawdę uważasz, że jesteś w naszym towarzystwie najgroźniejsza?

Przepraszam bardzo, ale twoje miejsce jest ostatnie w kolejce!

- A Rest?! - oburzyła się mała półelfka. Łzy jej obeschły w jednej chwili.

- Żebyś ty wiedziała jak on gotuje. Lepiej od razu umrzeć. - Virra rozjaśniła się, rzuciła książkę, podbiegła do mnie i objęła za szyję, po czym porozumiewawczo, jakby była to bardzo wielka tajemnica szepnęła:

- Seleno, uwielbiam cię! Bardzo-bardzo!

- A ty mnie tylko martwisz. Może jednak utonął, co?

Dziewczynka zrobiła się jakoś podejrzenie cicha, posapała nosem... a potem znowu zaczęła mówić. Łamiącym się i zacinającym głosem człowieka, który w zasadzie nie chce opowiadać, ale nie ma siły, by zatrzymać pewne rzeczy w sobie.

- ...To jak kiedy budzisz się rano i rozumiesz: to tyle, mam już siedem lat. Wczoraj było sześć, i święto, i ciasto z kremem, a dziś jest siedem. Siostra przychodzi mnie budzić, łaskocze, śmieje się, a mama wyrabia ciasto i śpiewa piosenkę o czarnych łabędziach... a taty już nie ma. Dawno nie ma, od ponad miesiąca, mama najpierw się złościła, a teraz martwi, ale mówi, że niech on tylko pokaże się jej na oczy, bohater jeden! Nie mogłam jej powiedzieć... Dance też nie. One przecież na niego czekały... do ostatniej chwili. Rugały mnie, jak brałam bez pytania jego kuszę, straszyły, że tata wróci i da mi klapsa... Niechby dał, przecież ja to celowo... Tylko, Szeleno, ja się nigdy nie mylę... Nigdy.

I tak sobie siedziałyśmy, w miękkim świetle pochodni, milcząc, przytulone, gdy wrócił czarodziej, któremu udało się jakoś wyminąć ekipę ratowniczą. Wesoły, gładko wygolony i paskudnie rzeński.

- Coś się stało? - Natychmiast wyczuł pismo nosem.

- Ty utonąłeś.

- Że co? - Weresa przytknęło. - A kto w takim razie przed wami stoi?!

- No to siedzimy i rozpaczamy...

- A idź ty ze swoimi dowcipami - obraził się czarodziej. - A co ty takiego masz na sobie?

- Ostatnia trollowa moda, podoba ci się? - W końcu udało mi się zdobyć nowy kozuch, za który oddałam część swoich zielarskich zapasów. Dwuwarstwowy, z wilczych futer, włosiem do wewnątrz i na zewnątrz, tyle że rękawy oskubane. Był niesamowicie ciepły i równie ciężki. Ale ja przecież nie należałam do chucherek.

Weres sumiennie zbadał mój nabytek od kołnierza do poły.

- Jak z ciebie zdjęty... znaczy dla ciebie uszyty!

Virra nadal tuliła się do mnie, ale już chichotała i za to gotowa byłam wybaczyć czarodziejowi nawet i wątpliwy „komplement”.

- Tu jesteś! - obruszył się Mrok od progu. - A my go tam szukamy, zamartwiamy się, prawie sami utonęliśmy, sprawdzając to przekłete jezioro...

Uznałam, że nadeszła akurat odpowiednia chwila, by opowiedzieć pozostałym o zwyczajach pogrzebowych trolli. Nie zapomniałam nadmienić, że o świcie do Wielkiego Pradziada ze wszelakimi honorami wysłano jakąś babkę. Chyba zmarła śmiercią naturalną, ale miałam wrażenie, że w zeszłym tygodniu...

Jak zrozumiałam z przekleństw, które spadły na moją biedną głowę, „brygada poszukiwawcza” skorzystała z okazji i nie tylko umyła się w cmentarnym jeziorze, ale też z niego napiła. Weres wyglądał na skrupowanego, chyba również o sprawie wiedział, ale zapomniał uprzedzić, bo jako nekromanta uznał taki stan rzeczy za całkowicie normalny. Czarodziej mógł sobie zaprzeczać ile tylko chciał, że niby jest magiem bojowym, ale driady nikomu nie nadają imienia ot tak sobie. I to jeszcze tak dobrze pasującego. Mnie za plecami zwano w Jesionowym Grodzie „Sera”, czyli „Szara”. Słowo mi się podobało, ale nigdy nie używałam go jako imienia.

Weres poczekał, aż Rest i Mrok skończą płuć i ogłosił dzisiejszy plan działań. Okazało się, że nie próbował się utopić, a rozmawiał z wodzem. I został przyjemnie zadziwiony atencją, z jaką

go potraktowano. Troll zaproponował nawet, chyba po to tylko, żebyśmy możliwie szybko się stąd zabrali, że osobiście pokaże czarodziejowi tajemną ścieżkę przez góry, która wyprowadzi nas akurat na miejsce powstawania Kręgu - pozostanie jedynie pokonać dziesięć wiorst równiną.

- A konie tam przejdą? - spytałam z obawą, przypominając sobie swoje sukcesy w dziedzinie narciarstwa.

- Nie. - Czarodziej chwilę podziwiał grymasy mój i Mroka, po czym dodał: - Ale kelpie powinny. Spróbujemy najpierw konno, a jeżeli się nie uda, to zostawimy wierzchowce tutaj i ruszymy na piechotę.

- I co będziemy robić jak już dotrzemy do Kręgu?

- Zobaczymy na bieżąco. Może poradzimy sobie własnymi siłami. A może wezwiemy nasze sojusznice „wojska”... Chociaż szczerze mówiąc nie mam pojęcia, w jaki sposób mielibyśmy nimi dowodzić. Wrogowie włożyli masę wysiłku, by poszczuć na siebie rasy i nie dopuścić do ich połączenia w decydującej chwili. Driady nadal podejrzliwie zerkają na elfy, a krasnoludy na trolle i z wzajemnością. Jeżeli wybierzemy głównodowodzącego z jednych, to pozostali się obrażą...

- A ty sam?

- Obawiam się, że mag-wygnaniec nie jest najlepszym kandydatem na to stanowisko - westchnął czarodziej samokrytycznie. - Potrzebujemy bardziej wyrazistego symbolu dobra i sprawiedliwości, by ruszyli za nim nie tylko przyjaciele, ale też pośpiesznie skruszeni wrogowie. Może Lliotarel? Ale nie, driady nas zabiją śmiechem, a trolle też traktują elfy dość pogardliwie...

- A jeżeli znajdziemy głównodowodzącego zupełnie neutralnego? Nie mającego żadnego związku z awanturami, czy to tymi pomiędzy rasami czy tymi pomiędzy czarodziejami? Ani maga, ani elfa, ani driadę, ani krasnoluda czy trolle? - zasugerowałam. - Zresztą ostatnia dwójka i tak jest bez szans, wódz powinien budzić we wrogach przerażenie, a nie rozbawienie, przy okazji nie rzucając się w ich kierunku na złamanie karku, wymachując maczugą i rycząc durnym głosem.

- Czyli co, ciebie?

- Pochlebia mi to, ale rezygnuję - prychnęłam, wyobrażając sobie jak wilczym wyciem zagrzewam wojsko do bojowej szarży ze wzgórze. Nie wspominając o tym, że większość ras żyła w patriarchacie i na przykład trolle po prostu nie usłuchałyby rozkazu kobiety.

- W takim razie...

Zgodnie spojrzeliśmy na Mroka. A on na nas, bez najmniejszego zrozumienia.

- Co?

Weres znacząco puścił do niego oczko, a ja natchnionym głosem dodałam:

- Przecież są w życiu ważniejsze sprawy, niż psucie panien, popracuj ku chwale ojczyzny!

- Ale ja nie umiem dowodzić wojskiem! - ryknął biedny gad, któremu chwilę zajęło odzyskanie mowy. - Nie mam pojęcia, na jaką odległość strzelają te przeklęte katapulty i jak blisko można podprowadzić łuczników!

- Nie szkodzi, będziesz miał doświadczonych doradców. Albo przynajmniej pewnych - doprecyzował Weres po chwili namysłu. - A jeśli idzie o wojskowe szczegóły, możesz się nie przejmować. Twoja sprawa to opracować plan i wprowadzić go do świadomości dowódców, a już oni sami obliczą, czym, kiedy i skąd będzie się najlepiej strzelało. Poza tym, nie przewidujemy katapult.

- A oni?! Neeee... - Mrok zaczął kręcić głową, w geście protestu wystawiając przed sobą dłonie. - Czy wyście z tym wodzem znowu przesadzili z muchomorami?! Ja... nie jestem godzien takiego honoru! Jestem najzwyczajszym smokiem, kompletnie nie znam się na polityce, ani na magii i w ogóle idę z wami po prostu dla towarzystwa...!

W tym momencie Weres stracił cierpliwość. Nie, nie podnosił głosu, nie strzelał piorunami z oczu. Wręcz przeciwnie, uniósł głowę, podziwiając sklepienie jaskini i spokojnym, równym tonem, który mimowolnie sprawia, że nawet najbardziej zajadli krzykacze milkną i zaczynają słuchać powiedział:

- Mroku, masz rację. Jesteś niegodny i to najlepsza możliwa wymówka. Nikt nie odważy się ciebie przekonywać, bo w takim temacie nie bardzo jest o czym dyskutować. Nikt nie będzie mógł

oskarżyć cię o tchórzostwo, bo przecież wychodzi na to, że już sam się oskarżasz i nie można nic do tego dodać. No cóż, ghyr z tobą, poszukamy kogoś godnego. Hej! Godni ludzie i nieludzie! Halo! Tylko, Mroku, co mamy zrobić, jak nikt nie odpowie? Jeden wskaże na drugiego, wszyscy zmrużą oczy, wstrzymają oddech i będą czekali na Wielkiego Bohatera, który dokona rzeczonych bohaterstwa czynu z palcem w nosie. A jak je otworzą, to dookoła będzie jedynie wypalona ziemia, zapach padliny i krążące po niebie kruki. Dlatego, że ktoś mniej godny dokładnie tak samo liczył na nich...

Czarodziej zarzucił torbę na ramię, nałożył kaptur i bez oglądania się za siebie opuścił jaskinię. Szkoda, że nie miał czym trzasnąć, stawiając efektowną kropkę. W milczeniu, próbując nie patrzeć na siebie nawzajem, jakby jego słowa dotyczyły każdego z nas bez wyjątku - chociaż może tak właśnie było, tyle że smok musiał dokonać tego istotnego wyboru jako pierwszy - spakowaliśmy się i posłusznie ruszyliśmy dokonywać bohaterstwa czynów

Głównodowodzący symbol smętnie włókł się w ogonie.

\* \* \*

Zwykle konie istotnie by tędy nie przeszły i my również nie powinniśmy się pchać, gdyż „ścieżka” była zamrożonym nurtem górskiej rzeki, wijącej się pomiędzy głazami, a tu i ówdzie wyrwywającej się spod lodu. Wydawało się, że kelpie opętały jakieś mrakobiesy, wierzchowce słuchały wodzy z ogromną niechęcią, cały czas próbując ruszyć galopem albo stanąć dęba.

- Otwarta woda. Przywołuje je do siebie. - Weres pośpiesznie szepnął coś na ucho swojej kobyły. Nie przestała tańczyć, ale nieco zwolniła. - Wódz mówił, że nie ma tu dużych oczek, ale w razie czego zeskakujcie bez namysłu!

Łatwo powiedzieć. W nocy wiatr się zmienił, przynosząc z zachodu chmury, po brzegi wypełnione śniegiem, więc zupełnie nie było wiadomo, gdzie znajdował się gruby lód, a gdzie przyprószone śniegiem ledwo podmarzłe „okienko” i jak duże ono było. Pozostawało nam wyłącznie uważnie śledzić niespokojne zwierzęta, mocno ściągając wodze.

- Ale za to przy tym przejściu nikt nie będzie na nas czekał - wysapał Mrok, próbując nakierować kobyłę tak, by objechać próg, podczas gdy ona koniecznie chciała skoczyć z wysokości sążnia i prawie na pewno przy tej okazji przebić lód.

- Yhym. Ja również bardzo się zdziwię, jeśli się stąd wydostaniemy cało.

- Gapo jedna, lepiej pilnuj tego swojego ogiera, bo znowu się przymierza do mojego, tfu, kobyłego zadu!

- Tak jest, panie głównodowodzący! Wasz kształtny zad faktycznie powinien być chroniony jak największy skarb, bo w przeciwnym razie wrogowie pozbawieni zostaną okazji skopania go!

- Ach ty...

Kobyła jednak skoczyła, ale już przy samym końcu progu, krzywo wciętego w rzekę, w miejscu gdzie jego wysokość

wynosiła góra arszyn. Lód wytrzymał, ale smocza cierpliwość nie, więc biedaczce dostała się nie tylko jej własna dola przekleństw, ale też te przygotowane dla mnie.

Gdy góry nareszcie się rozstały, wypuszczając rzekę do wolnego biegu, rozczarowane kelpie się uspokoiły, ale teraz już my nie pozwoliliśmy im się nudzić, poganiając do przodu. Z powodu zamieci sięgaliśmy wzrokiem tylko na kilka sążni, więc gdyby koniom wpadło do łbów zakreślić szeroki krąg, nawet byśmy tego nie zauważyli.

Po dwóch godzinach zaczęliśmy poważnie podejrzewać kelpie o sabotaż, ale w tejsze chwili z białej zasłony padającego śniegu wyłonił się najpierw jeden kawałek lasu, potem drugi, aż nareszcie przed nami pojawiła się jednolita ściana drzew.

- Chyba jesteśmy prawie na miejscu. - Weres i Rest na cztery ręce trzymali mapę, która trzepotała na wietrze. Szczelina w środku pełniła rolę przepustu powietrza, ale niestety przy tej okazji rozszerzała się coraz bardziej. - Krąg powinien znajdować się za tamtym lasem.

- I co, tak po prostu ruszymy tam pełnym galopem? - parsknęłam. - Z wyciągniętymi mieczami i krzykiem: „Poddajcie się zdrajcy, wiemy o wszystkim!”?

- Nie gadaj głupot, zostawimy konie na skraju i podkradniemy się.

- Ha, gdybym ja ich nie gadała, to wy byście je na pewno zrobili!

Weres odruchowo zbył mnie machnięciem ręki, a mapa wykorzystana z okazji i uderzyła go w twarz wypuszczonym rogiem.

- A żeby was! - Czarodziejowi jakoś udało się złapać i zwinąć złośliwie szeleszczący pergamin, Żałował też chyba, że nie może dokonać identycznej operacji na mnie. - Czy ty tam przypadkiem nie zapominasz węszyć?

- Już pół puda śniegu wciągnęłam nosem. - Po raz kolejny kichnęłam i otarłam nos rękawiczką, przeklinając swoją dziurawą pamięć. Chustka została w kieszeni starego kozucha.

- No i co?

- Zimny jest.

- Mam na myśli, czy w pobliżu przypadkiem nie kręcą się jakieś pomroki?

- Od nawietrznej nie.

- Szel, ty to masz talent odpowiadania na tego typu pytania w taki sposób, że nawet dobre wiadomości nie cieszą - westchnął czarodziej.

- Staram się. - Skromnie spuściłam oczy. Żarty żartami, ale faktycznie nie powinnam się rozluźniać. Bo skąd niby mam wiedzieć, czy przypadkiem ktoś za nami nie biegnie?

Pod osłoną świerkowego lasu zamieć zelżała znacznie, ale za to jeśli jakaś gałąź nie wytrzymała narastającego białego ładunku, pechowy podróżnik ryzykował, że otrzyma za jednym zamachem całą brakującą porcję śniegu. Na razie mieliśmy szczęście, ale po bokach co i rusz szeleściły białe wodospady, jak zrzucone welony osiadając na ziemi.

Virrę zostawiliśmy, by pilnowała koni, Rest miał pilnować małej, a Mrok ich obojga. Tymczasem ja i Weres, po kolana zapadając się w śniegu, przecięliśmy pasmo drzew, wcale nie wąskie, bo przechadzka zajęła około pół godziny, po czym zachowując maksymalną ostrożność wyjrzelśmy zza zaśnieżonych świerków, rosnących na jego przeciwległym skraju.

- No i jak mamy to rozumieć?! - obruszył się Weres po pięciu minutach, które pochłonęło mu ocenienie pustego i dziewiczo białego pola otoczonego z jednej strony szerokim półkolem lasu.

- A co, myślałaś, że nastawiają tu flag? - rzuciłam złośliwie. - Czy może powiesz tabliczkę: „Otwarcie Wiedźmiego Kręgu równo o północy, naczelną nekromanta taki-a-siaki”?

- Nie, ale przecież powinno się tu dziać coś niezwykłego!

- Czarodziej wsadził palce we włosy, dzieląc je na czarne węże kosmyków. - A tutaj... ogólne tło magiczne lekko powyżej od normy, i tyle. W granicach naturalnych wahań. Nikt celowo nie inscenizował utworzenia Kręgu, nie składał ofiar ani nie czarował. I w ogóle, gdzie są wszyscy?! Przecież ktoś ma otworzyć ten przeklęty Krąg, gdy w końcu się już pojawi!

- Może podjadą w ostatniej chwili, żeby ich ktoś za wcześniej nie zauważył?

- A przygotowanie do obrządku?! Zajmuje przynajmniej kilka godzin, szczególnie w przypadku nowego Kręgu. Tutaj samo rozgrzebanie śniegu potrwa pół nocy... tym bardziej, że zamieć nie ustaje, a spiskowcy na pewno postaraliby się oczyścić niebo na taką okazję.

- Cóż, mają w zapasie jeszcze trzy i pół dnia.

- Szel, takie sprawy planuje się przynajmniej z tygodniowym wyprzedzeniem! - Weres był tak szczerze oburzony nieodpowiedzialnością przeciwników, że gdyby mu kto pozwolił i dostarczył wdzięcznych słuchaczy, to na pewno wygłosiłby cały wykład na temat prawidłowej organizacji przestępstw przeciwko państwu.

- Ty wiesz lepiej. - Podałam się. - To może celowo podsunęli nam tę mapę, by wywabić możliwie daleko od prawdziwego miejsca wydarzeń?

- Ale skąd mieliby wiedzieć, że schowamy się u krasnoludów i ruszymy zabijać bazyliżka? Nie, myślę, że mapa przeznaczona była dla ich maga, żeby mógł poprawnie ukształtować pentagram, kreślił i podglądał, czy nie wda się w rezonans z miejscowymi źródłami mocy - na takich mapach zwykle są one zaznaczane. Weź posiedź chwilę w miejscu...

Czarodziej wyszedł zza drzewa i jawnie ruszył do środka planowanego miejsca przestępstwa. Przeciął je wzdłuż i w poprzek, co jakiś czas rozgrzebując śnieg czubkiem buta i pochylając się, by ocenić wynik. Ja wściekałam się w milczeniu, marznąc w towarzystwie

świerków, zbyt niskich by uchronić przed zamiecią i zbyt wysokich by dało się ponad nimi oglądać całe pole.

Weres, który na otwartej przestrzeni tonął w zaspach, wcale nie miał wiele lepiej. Wrócił jeszcze bardziej niezadowolony i zamyślony.

- Szel, tam nie ma najmniejszych nawet śladów. Nie mam bladego pojęcia, co teraz robić...
- Możemy ponownie osiodłać konie i przejechać kawałek dalej - zaproponowałam. - Może w końcu trafimy na coś ciekawego. A jak nie, to wrócimy tutaj i będziemy czekać.
- Do usranej śmierci? - zaironizował czarodziej z goryczą.
- Do przełomu zimy. A wtedy się dowiemy czy postawiliśmy na właściwą kartę.

Weres skinął głową. Bez zbytniego zachwyty, ale doskonale rozumiejąc, że to jedyna dostępna możliwość.

\* \* \*

Pod wieczór zrobiło się jasne, że z takim samym skutkiem możemy przeszukiwać każde inne pustkowie, jak też stóg siana w poszukiwaniu igły. Uznaliśmy więc, że ruszamy z powrotem.

Z powodu chmur zmrok zapadł godzinę wcześniej, niż powinien i z irytacją zrozumieliśmy, że nie zdążymy wrócić do Wiedźmiego Kręgu przed nastaniem nocy. Ale za to zapalenie płuc było o krok - śnieg, który dostał mi się do butów podczas błędzenia po lesie najpierw stopniał, a teraz powoli zamieniał w lód.

- Tu niedaleko jest wieś, ale chyba nie powinniśmy się tam pchać. - Weres po raz kolejny zerknął na mapę. - Jeżeli spiskowcy rzeczywiście czekają na sygnał, by zebrać się przy Kręgu, to znacznie przyjemniej jest robić to w ciepłej izbie, a nie w okolicznych lasach.

- Pies tańczył z tą całą wsią - wystukałam zębami z trudem. Język również nie pałał chęcią brania udziału w rozmowie. - Możemy nawet i tutaj rozpalić ognisko i przenocować. Przez noc Krąg nigdzie nie ucieknie!

Oczywiście z tym „nawet i tutaj” przesadziłam, ale najbliższy laszek dębowy tu i ówdzie poprzetykany sosenkami jak najbardziej nadawał się do naszych celów.

- Idę po opał - burknęłam, a potem jako pierwsza rozsiadłam i przywiązałam konia.
  - Rest, pomóż Szelenie - nakazał Weres, nie odwracając się, zajęty własną kobyłą.
- Spojrzeliliśmy po sobie z dzieciakiem.
- Po co?
  - Sama sobie nie poradzę?
  - Po to, że chrust jest lekki, a naręcze, które obejmie wilkołak wcale nie będzie większe od tego, które złapie człowiek. - Weres podwiązał kobyłę torbę z owsem, rzucił szybkie spojrzenie przez ramię i dalej mówił już do mnie: - A my potrzebujemy zapasu na całą noc, tak że lepiej będzie jak raz pójdziecie we dwójkę, niż żebyśmy potem mieli na ciebie czekać kolejną godzinę.
  - Mógłbyś od razu powiedzieć, że chcesz szybką kolację - uśmiechnęłam się.
  - Chcę - rzucił czarodziej wyzywająco. - A ty nie?

Prawie rzuciłam „nie” tylko po to by zrobić mu na złość, ale potem przyszło mi do głowy, że w takim przypadku ten drań będzie miał usprawiedliwienie, by zeżreć moją porcję, więc niechętnie machnęłam ręką na dzieciaka.

Do lasu wchodziliśmy jak dwaj dobrze wychowani grzybiarze - w wystarczającej odległości od siebie, by nie musieć walczyć o równocześnie zauważone borowiki. Cieniutkie czerniejące na śniegu gałązki z pęczkami rudych igieł niezbyt nas interesowały, więc ostatecznie musieliśmy łamać dolne wyschnięte gałęzie świerków. Były grube a na dodatek oblodzone i poddawały się z trudem, więc po chwili, nadal milcząc, opracowaliśmy następujący plan działań: ja łamię, a Rest ciągnie. Gdy zebrało się pełne naręcze zostawiliśmy je w śniegu i ruszyliśmy dalej, mając zamiar zabrać w drodze powrotnej.

No tak, teraz już rozumiałam, co czują lisy, gdy mroźną zimą oblizują się, patrząc na kurnik za wiejskim płotem, koło którego biegają spuszczone z łańcucha psy. Wiatr złośliwie poniósł w moim kierunku nęcące zapachy, a potem i dźwięki z domów. Łaźnia, opalana brzoźowymi polanami, stojący w piecu garniec z ziemniakami, a jakiś zwyrodnialec smażył tłusto skwierczący



boczek...

- Wracamy - poleciałam. - Wiś jest już całkiem niedaleko.

Dzieciak udał, że nie słyszy, ale wygodniej złapał sterczące gałęzie i niby przypadkiem odwrócił we właściwym kierunku.

Wracanie po własnych śladach było łatwiejsze, niż oranie śnieżnych pustkowi, a poza tym tak bardzo chciałam możliwie szybko wyciągnąć ręce do ognia, że prawie całkowicie wyłączyłam się z rzeczywistości, skupiając na łańcuszku wgłębień pod nogami.

- Słyszałaś?! - Rest zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadłam mu na plecy.

Nie miałam ochoty się przyznawać, że nie, więc niepewnie skinęłam głową i nastawiłam uszu.

Nie musieliśmy długo czekać:

- Haaalo! Heeeej! Luuudzie!

- No tak, on to powinien jeszcze raz czy drugi wrzasnąć „Wiiilki! Strzyyygi!” - prychnęłam sceptycznie. - Znacznie większe szanse, że usłyszą.

Niestety, szczeniak nie podzielał mojego braku miłości do bliźnich.

- A może to jakiś staruszek zabłądził, albo dziecko?!

- I co z tego? - parsknęłam. - Zwierzęta również chcą jeść.

Jeśli wnioskować z głosu, to tym młodzikiem całe pole by się dało zaorać. Poza tym, kto i gdzie widział chłopca, który zabłądzi w odległości parzywej połowy wiorsty od własnej chaty?!

Rest demonstracyjnie rozwarł objęcia, wysypując mi chrust pod nogi, poczekał na kolejny wrzask i poczłapał w jego kierunku.

Zakłęłam w duchu. No dobra, założmy, że dociągnę paskudę do ogniska pod pachą. Tylko z czego niby mamy potem to ognisko rozpalać?! Drugi raz iść do lasu?

Póki ja się zastanawiałam, jak bardzo obrazi się Weres, jeśli przyniosę mu zamiast ucznia naręcze drewna, krzyk zaprowadził nas na małą leśną polankę. Na śniegu siedział niczym - ani wyglądem, ani ubraniem - nie wyróżniający się chłop i darł się przez złożone w łódeczkę dłonie.

- No to hej. I co dalej? - spytałam chmurnie.

- Skręciłem nogę - rzucił niezbyt miłym basem, nawet nie dziękując za przybycie i obiema rękami łapiąc się za lewego walonka. - Boli jak leszy wie co...

- A któż to pana wyganiał do lasu tuż przed nocą? - spytałam z pretensją, kucając obok niego. Jeżeli to tylko skręcona kostka, jej nastawienie zajmie tylko chwilę, a potem niech sam kuśtyka do wsi. Bo w końcu żadna z niego omdlewająca dworka, to da sobie radę.

- A tak sobie... szukałem pewnej panny... - Chłop podniósł głowę i po raz pierwszy zobaczyłam jego oczy - o zupełnie normalnych źrenicach, bynajmniej nie rozszerzonych z bólu. Ryknęłam zaskoczona, odskakując do tyłu...

Za późno.

Podeszłam zbyt blisko.

\* \* \*

No taaak... Wprost wspaniale. Cudownie. Zachwycająco. Półmrok nieznanego pokoju, a raczej kramu garniarza z rozłożonymi na półkach towarami, oświetlony pojedynczą pochodnią. Lewa skroń boli i swędzi równocześnie, krew twardą skorupą zakrzepła do samej szyi. Oko mogłam otworzyć tylko do połowy. Nogi osobno przywiązano mi do przednich nóg krzesła, ręce przesunięto za jego wysokie oparcie i skrupowano kajdanami, sądząc z koszmarnego palenia w nadgarstkach srebrnymi i pewnie jeszcze pokrytymi magicznymi runami, po czym cała ta konstrukcja dla pewności owinięta została sznurami i to tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać.

Najgorszy był natomiast ziołowy posmak w ustach. Dobrze znane mi ziele, które podobno miało zapewnić szczęśliwe małżeństwo. Elixir „Jezioro Zimowe”, wyjątkowo mocno cementujący postać. Oczywiście natychmiast spróbowałam przynajmniej wypuścić pazury, ale jedynie upewniłam się co do słuszności swoich podejrzeń. Czułam się trochę tak, jakbym próbowała skupić myśli na czymś ciągle umykającym, ale w głowie krążyły wyłącznie pojedyncze strzępki, niczym w malignie.

Ci panowie doskonale wiedzieli, kogo łapią. I co gorsza, udało im się.

- Przecież mówiłem, że tego stwora nie da się tak po prostu zabić - mruknął z zadowoleniem nieznajomy melodyjny głos. Płomień zatrzepotał mi przed samą twarzą, owiewając gorącym. Powoli uniosłam głowę, a następnie górną wargę, ukazując ledwo zauważalne kły. Więcej nic zrobić nie mogłam. Tyle dobrego, że rozbójnik trzymający pochodnię nic spodziewał się nawet i tego, więc cofnął się ze stłumionym okrzykiem. Elf. Bezczelny cukierkowaty pajacyk w ludzkim ubraniu.

- Jesteś pewien, że nie zdoła zmienić postaci?

- Do rana się możesz nie martwić - burknął drugi głos. Wysoka barczysta sylwetka przy drzwiach stanowczo należała do człowieka. - Kto jak kto, ale nasz klient się w takich sprawach nie myli.

Klient? Czy to byli najemnicy? Wasza mać, tyle lat skutecznie uciekałam przed różnorakimi specami od magii bojowej i tak głupio wpadłam!

Jego kumple wymienili stłumione śmiechki, doceniając nieznaną mi dowcip. Okazało się, że kolejna znudzona dwójka chodziła po kramie za moimi plecami, oglądając naczynia, a trzeci, paskudnie łysy, przeglądał zawartość szuflad wysokiej szafy. Kilka razy z zadowoleniem gwizdnął, rozkładając po kieszeniach jakieś drobiazgi. Pozostali z zazdrością obserwowali, ale nie śpieszyli się, by do niego dołączyć czy zażądać swojej działki. Wyglądało na to, że łysy był szefem.

- Do rana to nawet nie musimy. Posłaniec już poleciał. - Elf zrobił się bardziej odważny i teraz uważnie, bez skrępowania obejrzał moją twarz, wstawił pochodnię z powrotem do pierścienia na ścianie, niespodziewanie się odwrócił i uderzył mnie w rozciętą skroń.

I to był błąd. Nawet w ludzkiej postaci, nawet otumaniona eliksirem i tak byłam znacznie zwinniejsza od niego. Zawył i złapał się za przegryzioną dłoń, a na podłogę spadł gęsty deszcz krwi. Barczysty facet przy drzwiach zrobił nawet krok w naszym kierunku, ale widząc, że sytuacja jest pod kontrolą wrócił na miejsce ze złośliwym chichotem.

Gdzie ja już widziałam tego ugryzionego typu...? A, fakt, to jego sobowtór po ciosie Weresa tak malowniczo udawał jaskółkę w locie, gdy walczyliśmy z iluzjami w Jesionowym Grodzie. Czyli już wiadomo, gdzie podziały się uciekające portalami elfy! Polują na wilkołaki w belorskich lasach. Oczywiście bez licencji, bo w przeciwnym razie nie siedzieliby ze mną w tym kramiku, czekając nie wiadomo na co.

Aha, a tu mamy naszego... szlachetnego kretyna. Siedzi sobie na stołku w kącie kramu, jemu bandyci raczyli związać jedynie ręce za plecami. Błady i poturbowany, ale poza tym chyba cały. Tylko jaki teraz ma sens wbijanie we mnie spojrzenia przepelnione poczuciem winy?

Ze wściekłością zmrużyłam oczy i dzieciak zasmęcił się do reszty, opuszczając głowę. Jeden z rozbójników, łysawy o rozłożystych wąsach uznał, że go „rozweseli”.

- To co, dziecinko - zapytał przymilnie, wyciągając z kieszeni jabłko, a z cholewki buta szeroki myśliwski nóż. - Porozmawiasz z wujkiem o życiu?

Rest jak zahipnotyzowany śledził wydłużającą się spiralę obieranej skórki, ale milczał. Uparcie zaciśnięte wargi lekko drżały.

- Ghyr z nim - powstrzymał kumpla łysy. - Nie psuj futerka. Pan odpyta go znacznie szybciej i skuteczniej.

- Lepiej zagrajmy w karty - poparł go barczysty, tasując talię. Sądząc z miękkich dźwięków, starą i wytłuszczoną.

- Te, smarkacz! - Wąsaty niespodziewanie kopnął stołek tak, że Rest zleciał na podłogę, rozbijając sobie nos. - Już mi poszedł i usiadł koło niej, żebyśmy was oboje widzieli od drzwi!

Dzieciak pośpiesznie odpełził na środek kramu, przytulając się plecami do moich nóg. Gdyby nie były przywiązane, w tym momencie dostałby dokładkę!

Barczysty rozdał karty. Do leżącej pomiędzy graczami czapki poleciały monety.

Niewyraźnie mrużący elf zębami zaciągał ostatni supełek sporządzonego naprędce opatrunku. Kumple nie śpieszyli się mu pomagać, woląc rzucanie złośliwych komentarzy.

Bez zwierzęcych zmysłów miałam wrażenie, że ogłuchłam, na wpół ośleplam i mam zatkany nos, mimo że Rest na pewno nie rozróżniał nawet połowy dźwięków i zapachów, które dla

mnie nadal były dostępne. Drzwi z wybitą zasuwą, podparte pustą skrzynią... Na podłodze przy ladzie martwy właściciel, który budził w przestępujących nad nim bandytach nie więcej szacunku, niż worek ziemniaków... i skrobiący szelest, który doskonale znałam - aż do lodowatych mrówek, maszerujących po karku.

Wszystkie krasnoludzkie kramy są urządzone jednakowo.

- Zgaś pochodnię - szepnęłam cichutko.
- Że co?
- Zgaś pochodnię, ty ghyrowy uczniu!
- Mam związane ręce... - wyskamlął dzieciak płaczliwie.
- Przecież cię nie proszę, żebyś czarował, po prostu „dmuchnij” magią! Przynajmniej tyle potrafisz?!

- Tak w zasadzie... ale po co?

Z trudem powstrzymałam się by nie capnąć go zębami za ucho i nie potrząsnąć solidnie, jak durnym szczeniakiem.

- Możesz czy nie?
- Mogę - potwierdził Rest szybko, zerkając na moją zakrwawioną twarz.
- No to w takim razie działaj, durniu jeden! Czy masz ochotę spróbować tamtego jabłuszka?!

Dzieciak drgnął i skupił się na pochodni. Nawet zmarszczył brwi, jak gdyby próbując natchnąć płomień odpowiednim szacunkiem.

Rudy jęzor ognia zapęłgał nierówno, po podłodze zatańczyły cienie. Łysy uniósł głowę, podejrzliwie zerknął na pochodnię, następnie na niewinny wyraz mojej twarzy, po czym na wszelki wypadek zrobił groźny grymas i wyciągnął kolejną kartę, dorzucając do czapki dwa miedziaki.

- Nie wychodzi... - z rozpaczą szepnął Rest. - Brak mi siły...
- Tu nie trzeba silnie, tylko gwałtownie. Jakbyś zdmuchiwał świecę.
- Skąd wiesz jak trzeba, skoro nie znasz się na magii?!
- Ale znam się na pochodniach. Spróbuj jeszcze raz.
- Nie uda mi się!
- Oczywiście, jak w ogóle nie spróbujesz.
- Już próbowałem!
- Wymoczek.
- Że co?!
- A nie mam racji? Usiadł i złożył łapki...
- Związali mi je!
- Co z ciebie za mag bojowy, którego powstrzyma zwykły sznurek?
- Ale przecież mi nie wychodzi! Popatrz sama...

Pochodnia zgasła.

Dokładnie tak myślałam, zaatakowały natychmiast ze wszystkich stron. Ten, który czał się pomiędzy garnkami na górnej półce zeskoczył na głowę herszta, desperacko poruszając uzbrojonymi w pazury łapkami, ale ostatecznie niesławnie ześlizgnął się po gładkiej łysinie i wskoczył bandycie za kołnierz. Łysy ryknął i ruszył w tany, przygrywając sobie dźwięcznymi klepiąciami po całym ciele. Sądząc z mnogości celów i wypowiedzi, zwierzak nie siedział w miejscu tylko degustował wszystko, co mu trafiło pod pysk.

Jego towarzysz zza skrzyni upodobał sobie elfie ucho, które natychmiast udekorował długim zdobnym w ogon kolczykiem. Pochodnia spadła na podłogę i potoczyła się pod fotel, skąd sekundę wcześniej wystrzeliły od razu trzy szare cienie.

Gwałtownie odchyliłam się do tyłu, a krzesło runęło. W oparciu coś głośno chrupnęło i od razu więzy się nieco rozluźniły, Szarpnęłam nogami, ostatecznie kończąc żywot biednego mebla, siedzenie odleciało w mrok i najwyraźniej rąbnęło w czyjaś szczękę, przeszkadzając delikwentowi w wyraźnym wypowiedzeniu wszystkiego, co na ten temat sądził. Ręce nadal miałam skute, eliksir działał, ale ja nie potrzebowałam pełnej transformacji, Tyle tylko, żeby nieco wyostrzyć zęby. Wbiłam je w sznur ściągający nadgarstki Resta i zaczęłam pracować dolną szczęką jak nożem.

Włókna zaskrzypiały i po chwili dzieciak gwałtownie wyrwał ręce z osłabionych pęt. Szturchnęłam go ramieniem:

- Biegnij! Z rozpędu przez okno i w długą!

Rest nawet ruszył w tamtym kierunku, ale natychmiast się zatrzymał i odwrócił.

- Nie zostawię cię!

- Co ja powiedziałam, smarkaczu?!

Sapnął z oburzeniem i mimo mojego wściekłego oporu przelazł przede mną. Zaczął trzęsącymi się rękoma obmacywać srebrne łańcuchy. Zresztą, o jakim oporze mowa w sytuacji, gdy nadal byłam owinięta sznurem, a do tego majtało się na mnie połamane, ale przez to wcale nie mniej przeszkadzające krzesło? Przedśmiertnie pisnął szczur, łupnęła o podłogę zerwana ze ściany półka. Łoskot tłukących się talerzy na kilka chwil zagłuszył wszystkie pozostałe dźwięki, wliczając w to moje soczyste, acz obiektywne zdanie o całej tej sytuacji.

Pogryziony elf przykucnął i bezskutecznie macał po podłodze w poszukiwaniu zgasłej pochodni. Przekłęty dzieciak sapał i pociągał nosem, ale nie ruszał z miejsca bełkocząc coś, czego nie mogłam zrozumieć, jak kleszcz wczepiony w moje kajdany.

- Spadaj stąd, szczeniaku!

Po nadgarstkach pociekło mi stopione srebro. Zawylałam dzikim głosem, nad uchem unisono wydarł się Rest, ale na szczęście szczur ograniczył się do przebiegnięcia po jego pochylonych plecach i użycia ich jak odskoczni.

Coraz mocniej śmierdziało spaloną mięsem. Oszalała z bólu machnęłam rękoma i bryzgi metalu wachlarzem poleciały na boki, syknęły i kamykami zastukały o deski.

- Szeleno! - Dzieciak bezsensownie miętolił mnie za kołnierz, raczej przeszkadzając we wstaniu, niż pomagając. Nad głową gwizdnęło mi jakieś puste naczynie, które malowniczo rozbiło się o ścianę. „Na szczęście” - pomyślałam odruchowo, nie mając pojęcia jakim cudem ostatecznie udało mi się stanąć na nogach.

- Skoczysz w końcu przez to po trzykroć przekłęte okno czy mam cię przez nie wyrzucić?!

- Najpierw ty!

Ryknęłam i Rest w jednej chwili stracił ochotę na zgrywanie bohatera. Krasnoludzki kram wyposażony był w solidne podwójne ramy, ale jak to się mówi, kiedy masz tylko młotek, to każdy problem jest gwoździem. Szczególnie, że dzieciak na fali powodzenia uznał, że jest straszliwie potężnym magiem i łupnął w nie dziesiątką piorunów z koniuszków palców. Tak więc dookoła poleciały odłamki drewna i kawałki miki.

- Trzyymaj-iiik!

Nie miałam pojęcia, co trafiło mi pod rękę, ale rzucone doskonale nadało się na knebel. Nie widziałam czy szczeniak wy dostał się z izby czy nie, ale miał na to wystarczająco dużo czasu, więc uznałam, że ja również powinnam się pożegnać. Bogooooowie... jakże męczące jest bycie człowiekiem! Potknęłam się o nadal przywiązaną do kostki nóżkę krzesła i prawie upadłam. Nie miałam czym jej odciąć, ani czasu żeby odgryzać, wyciągnięcie kawałka drewna się nie udało więc teraz musiałam pokuleć do okna razem z nim.

Elf rzucił się na mnie, ale zanurkowałam pod jego mieczem i kantem dłoni walnęłam bandziora w gardło, wbijając w nie z powrotem rodzący się krzyk. Kopnęłam w brzuch, odrzucając do tyłu i zbijając z nóg jeszcze kogoś. Z boku w szyję wgryzły mi się ostre zębki i wojowniczo wrzeszczący szczur poleciał śladem poprzedniego przeciwnika i zamknął się dopiero wtedy, gdy ponownie zwarł pyszczek na nieproszonym gościu.

Pod samą ścianą zatoczyłam się na bok. Złapałam palcami za brzeg okna i upartym pociągnięciem zmusiłam ciało by powróciło do pozycji pionowej, przechyliłam się do przodu i raczej wypadłam niż wyskoczyłam z dziury.

Zimno i śnieżny bat wiatru postawiły mnie na nogi szybciej od najskuteczniejszego zaklęcia leczniczego. Rest niecierpliwie podskakiwał w miejscu w odległości jakichś dziesięciu sążni w kierunku lasu, bo okazało się, że krasnoludzki kram stał na skraju osady, za ogrodzeniem. Ale tylko patrzcie na tego kretyna! Choć tyle dobrego, że nie rzucił się łomotać do drzwi sąsiednich chat - bo tu zgaduj zgadula na kogo trafisz. Poza tym mało prawdopodobne, by ktoś otworzył. Na

nawiedzanych przez pomroki pustkowiach i to tuż przed przełomem zimy innych durniów poza nim samym wielu nie ma.

Dzieciak zobaczył, że wydostałam się na wolność i w końcu ruszył między drzewa. Uczciwie próbowałam iść za jego przykładem. A żeby tym magom ręce powyrywać i wepchnąć w inne miejsce... Wymyślili sobie różne paskudztwa i teraz my, biedne wilkołaki, musimy się męczyć...

W kramie nadal trwała walka szczurów, tak więc do skraju lasu dotarliśmy ścigając się wyłącznie ze sobą nawzajem. Ciekawe czy najemnicy odważą się iść nocą do lasu polować na wilkołaka? Mało prawdopodobne. Ale tak czy siak, mogłam się zatrzymać i złapać oddech albo upaść, ale kto by mnie w takim wypadku ciągnął?! Bo przecież nie ten wymoczek...

Tak paskudnie nie czułam się od czasu tamtej pamiętnej strzały, którą poczęstował mnie Weres. Z drzeniem uniosłam ręce do twarzy, ale zamiast spodziewanych sterczących kości zobaczyłam „tylko” zwęgloną skórę, miejscami płatami odstającą od mięsa. Na lewym nadgarstku jak bransoletka majtała się nadtopiona połówka kajdan. Piekło, jakby była wyrzezana z kawałka soli.

Pochyliłam się, zaczerpnęłam garść śniegu i gwałtownie wytarłam twarz. Poczułam się mokra i zziębnięta, ale zniknęło znacznie bardziej paskudne uczucie ściągającej skórę krwi.

- Jak się czujesz? - zapytał dzieciak nieśmiało.

Przez kilka sekund ciężko oddychając patrzyliśmy sobie w oczy. Następnie wzięłam zamach i wymierzyłam mu policzek.

- Parszywy szczeniaku, kiedy w końcu nauczysz się słuchać starszych?!

Rest aż stracił oddech z oburzenia i urazy:

- Przecież ja... przynajmniej byś podziękowała... przecież ryzykowałem życiem!

- A ktoś cię prosił?!

Dzieciak kilka razy otworzył usta jak wściekły szczupak, który niestety został pozbawiony możliwości zwyzywania rybaka, po czym zacisnął pięści i... załkał.

Tego mi tylko brakowało!

- Dobra, chodźmy szukać naszych, powinni być gdzieś z tamtej strony - nakazałam już spokojniejszym tonem. - No co? Ooo...

Żeby go, też sobie znalazł czas na histerie! Musiałam dobrze potrząsnąć go za ramiona, a następnie przycisnąć do piersi, uspokajająco gładząc po plecach. A on tylko na to czekał by, wczepić się we mnie drżącymi rękoma, desperacko łkając w kożuch. Pies z nim, żeby tylko go znowu nie zemdlilo.

- No chodź, mały - szepnęłam miękko, przyciskając czubek jego głowy podbródkiem. - Trzeba jak najszybciej się stąd zabierać. Szczury nie powstrzymają bandytów, tylko spowolnią. Krasnoludy trzymają je wyłącznie po to, by wszczęły hałas... a tam go już nikt nie usłyszy.

Chłopak powoli ucichł i skinął głową, po czym ze skrzepowaniem cofnął się, nie podnosząc na mnie oczu.

- Gdzie masz rękawice? Tam zostawiłeś? Weź, załóż moje, bo co z ciebie będzie za mag ze skostniałymi palcami?

- A ty?

- Poradzę sobie.

Mróz atakujący poranione do żywego mięsa nadgarstki przynajmniej odrobinę przytępił ból.

Podtrzymując się nawzajem zdążyliśmy odkuśtykać około dziesięciu sążni, gdy za plecami coś najpierw dźwięcznie szcęknęło, a potem gwizdnęło.

Jednak się odważyli.

Niech mi ktoś powie, jaki jest sens łapania tego durnego szczeniaka za ramiona, by gwałtownie zasłonić go własnym ciałem przed rozcinającym powietrze grotem, skoro wrogowie na pewno mieli nie jedną strzałę, więc jak nie ta to następna...?

Ostatnim co poczułam, było zimno śniegu, powoli topniejącego pod policzkiem...

... Tam, na wzgórzach porośniętych wrzosem...

- Szelena!

I drugi cieniutki głosik, desperacko:

- Szeel!

Przecież cię uprzedzałam, mała parszywko! Nazywam się...

Dźwięki docierały do mnie, jak przez leżącą na twarzy poduszkę. Z powietrzem był ten sam problem.

*...nie ma ani czasu, ani bólu, ani wspomnień... Tylko delikatny szelest suchych wrzosowych kitek pod falami wiatru i ostry zapach wygrzanych w słońcu liści... czarodziejski, wciągający...*

- Szel, otwórz oczy! Proszę, spójrz na mnie!

A żebyś zdechł. Jeszcze wtedy, w tamtym parowie.

*...wyłącznie różowe, liliowe, fioletowe dale bez horyzontu, łaskoczące bosc stopy... tylko złocisty połysk na zawsze wieczorowego nieba bez jednej chmurki, wchłaniający w siebie wszystko, przyjmujący każdego... Wystarczy jeden krok...*

- Mrok, trzymaj jej głowę. Połknij, już! Zarrrraza...

- Weresie, starczy. Już niczym jej nie pomożesz.

- Zamknij się! Zaraz rozewrę jej zęby, a ty wiejesz!

- Szelena!

*Wrzos zakotłosał się w proteście i zapalił, ścianą ognia i gorącą zlewając się z niebem, które nagle pokryło się purpurowymi pasmami...*

*Zza ramienia tchnęło źródlaną świeżością, morską bryza rozrzuciła włosy po ramionach, pieszczotliwie przeciagnęła po nich niewidzialną dłoń.*

*Wtedy, w Grodzie, nie rozumiałam ani jednego słowa. Ponieważ w świecie żywych one po prostu nie istniały.*

- Władzę, daną mi nad tym miejscem...

*Czarne wysepki krzaczków w duchach kwiatów prosząc płatami popiołu zwijały się w płomieniu, jak gdyby nie spalały się tylko ukazywały prawdziwe oblicze.*

- ...za opłatę moją...

*Za plecami nocne jezioro szeleściło trzciniami, górską rzeczką wściekle gryzła kamienie, wybuchaly białymi okruszkami lodowe głązy.*

- ...zaklinam cię, wróć do twego ciała!

*Zbyt późno, zbyt nieodwracalnie i beznadziejnie późno. Ponieważ ogień już czule i nieubłagalnie owija moje nogi, nie zamierzając rozstawać się z prawowitą zdobyczą...*

*Czarowniku, jaki masz interes do kolejnego wżgórka na wrzosowych pustkowiach?*

- A jaki ty masz interes do moich interesów?!

*Oceaniczna fala z łoskotem prostuje pienne skrzydła, zakrywając mnie z głową, przewracając, ciągnąc za sobą.*

Do gardła wlał mi się potok stopionego ołowiu. Niepewnie kaszlnęłam, mając wrażenie, że ktoś przebił mi pierś włócznią, która natychmiast zaczęła rozgałęziać się i rozrastać.

- Szeleno, oddychaj! Już, przypomnij sobie jak to się robi!

Po co? I tak mi dob... och!

Prawdopodobnie Weres tylko nacisnął na moją pierś, ale w połączeniu ze specyfiką miałam wrażenie, że wymuszony wdech wyszedł całkiem smoczy, tyle że płomień pojawił się nie w odległości piędzi od nozdrzy, tylko wprost w płucach, bezlitośnie rozdzierając je na strzępy.

Nie otwierałam oczu - okazało się, że ich nie zamykałam, po prostu ponownie zaczęły widzieć. Dostałam niepohamowanego ataku kaszlu, walcząc z przyciskającymi mnie do podłogi rękami.

- Szel, jak się czujesz? Słyszysz mnie? Powiedz przynajmniej coś!

- Żesz taka i owaka twoja mać - wychrypiałam ostatkiem sił, byleby tylko się odczepił, po czym ponownie zapadłam w mrok, tym razem zwykły, bez żadnych wrzosów.

## Rozdział 16

Czułam się tak, jakby ktoś próbował utopić mnie w beczce z bimbrem, ale sprężyłam się i heroicznie ją wypilałam. Wczoraj.

A dziś... och...

Głowa nie tak po prostu bolała. Miałam wrażenie, że została rozłupana i leżące na poduszce połówki przy pierwszym ruchu potoczą się na boki.

Przez jakieś dwadzieścia minut nie otwierając oczu próbowałam przypomnieć sobie, kto mnie tak uszczęśliwił. Pamięć z usłużną złośliwością podrzucała strzępy wspomnień, nie bawiąc się w łączenie ich w całość albo przynajmniej ustawienie we właściwej kolejności.

*...elf łapie się za gardło i pada na bok, dławiąc się srebrną gwiazdą...*

- *Mroku, łap go!*

*Skrzydlaty cień wystawia łapy i spada na biegnącego człowieka, po prostu zgniatając go swoim ciężarem...*

*...koń-duch w aureoli zamieci staje dęba, a w jego donośnym rzeniu słysząc pluskanie prądu rzeki...*

- *Mentoorrze!*

- *Padnij!!!*

*...srebrna wstęga wzdłuż klingi jarzy się i jak ognista nic przeszywa ostrze wrogiego miecza, zatacza krąg i rozcina już ciało, które bez jedynego dźwięku wali się na śnieg...*

*...smok machnięciem ogona zaciera karmazynowy ślad w śniegu, zwalając hałdę białego puchu na leżące pośrodku polanki trupy. Virra, która schyliła się po zdobyczy kołczan, ledwo ma czas odskoczyć na bok, co prawda nie wypuszczając zdobyczy z rąk.*

*I to wszystko z niewiadomego powodu do góry nogami, a w kręgosłup wrzynają mi się cudze, twarde, ale pewne ręce...*

Z jękiem pokręciłam głową. Co prawda się nie rozpadła, ale zaczęła łupać z podwójną siłą i stanowczo odmówiła logicznego myślenia. Jak chcesz wiedzieć więcej, moja droga, to kogoś spytaj albo sama rozejrzyj się dookoła, a mnie zostaw w spokoju!

Rozlepienie powiek udało mi się dopiero za trzecią próbą, a i to przy sporej pomocy strachu, który skutecznie dodał sił - czyżbym osłępła?!

Nie cierpię tak leżeć, na plecach, z kołdrą naciągniętą pod sam podbródek i rękoma spoczywającymi na niej. Tam gdzie kończyły się rękawy zaczynał się lekki koszmar: palce były czerwone, spuchnięte i łuszczyły się w okolicach paznokci, dłonie i nadgarstki zostały starannie owinięte szmatami, sztywnymi od jakiegoś żółtawego paskudztwa, a pod nimi tępo pulsował ból. Krzywiąc się uniosłam rękę do twarzy i powąchałam. Wyciąg z ziół, uspokajających i zdejmujących opuchliznę. Niczego innego nie potrzebowałam, srebro to nie trucizna, więc nie wchłania się z ran do krwi. Do wesela się zagoi. Zresztą, do niego to mi nawet nowa ręka zdąży odrosnąć...

- No w końcu! - Ktoś złapał mnie pod pachy i posadził na łóżku. Zmusił do uniesienia głowy, odsunął włosy z twarzy. - Hej, Szel! Nie śpij! Ile widzisz palców?

- Widzę - potwierdziłam ostrożnie. Ból głowy nacierał falami, na przemian rozmywając nieznajomą izbę i dając możliwość obejrzenia kolejnego jej kawałka: pieca, stołu z ławką i dwoma stołkami, rzeźbionej skrzyni, zapaskudzonego przez muchy sufitu. - Gdzie jesteśmy?

- W chatce myśliwskiej. Trafiliśmy na nią przypadkiem, gdy poszliśmy was szukać. Gospodarza brak, więc chwilowo będę pełnił jego obowiązki. Usiądź wygodnie, czuj się jak w domu!

Aha, w końcu przypomniałam sobie, jak on miał na imię. Czyli była jeszcze jakaś nadzieja!

- Weresie, co się stało?
- A jak myślisz, co dzieje się z wilkołakiem, którego trafia w plecy strzała?

Poruszyłam łopatkami, czego natychmiast pożałowałam: rozlany wzdłuż kręgosłupa ból natychmiast skupił się w jednym punkcie i zaczął wściekle dziobać, zmuszając mnie żebym dopasowywała oddech do przerw pomiędzy atakami.

- Mam nadzieję, że ją wyciągnąłeś?
- Nie, zabandażowałam jak było - prychnął czarodziej. - A nuż się sama rozpuści?!
- Po tobie się wszystkiego można spodziewać. - Nie doceniłam dowcipu. Sądząc z odczuć grot nie tylko pozostał w środku, ale też powoli obracał się dookoła własnej osi, drapiąc zadziornymi.

- A gdzie reszta?

- Śpią w sąsiedniej izbie. Jeszcze bardzo wcześnie, dopiero zaczęło świtać.

To dlatego dookoła panowała taka cisza i półmrok. A już się przestraszyłam, że ten przeklęty eliksir będzie działał wiecznie.

- Puść mnie - zaprotestowałam niezbyt przekonująco, mając mocne podejrzenie, że jeśli posłucha, to padnę twarzą do przodu.

Szczęśliwie Weres był niepoprawny. Najpierw podciągnął trochę wyżej poduszkę, posadził mnie nieco stabilniej, obetkał kołdrę po bokach i dopiero potem wrócił do stołu, energicznie podzwaniając naczyniami.

- Masz ochotę na coś do jedzenia? Ugotowaliśmy bulion z głuszca, z ziołami - Virra go wczoraj zestrzeliła. Dać ci miskę?

- Daj. Tylko tamtą, pustą.

Czarodziej chwilę obserwował jak wykręca mnie nad naczyniem, po czym ze stoickim spokojem zauważył:

- To normalna reakcja na odtrutkę na „Zimowe Jezioro”.

- To ja chętnie zobaczę, co byś powiedział, gdyby była to twoja reakcja! - Z trudem udało mi się wyprostować, zachłannie łapiąc ustami powietrze. Poczulałam się nieco lepiej, ale żołądek nadal skręcały spazmy.

- Zaraz coś wymyślimy - obiecał Weres optymistycznie. Pogrzebał w torbie, przez chwilę czarował nad swoimi buteleczkami - w obu znaczeniach tego słowa, niedbale plusnął do kubka z jednego flakonika i starannie odmierzył krople z drugiego, po czym dolał do pełna wody, równocześnie coś szepcząc. Wymieszał i podał mi kubek.

Mimo że czułam się wyjątkowo fatalnie, jednak mi się zdobyć na ironiczne:

- Lubczyk?

- Muszę cię zmartwić, ale nie gustuję w takich jak ty. - Tak samo lekkim tonem zbył mnie czarodziej. - Jasnowłosych i niebieskookich.

- Nawzajem, jesteś stanowczo zbyt łykowaty i koślawy, a poza tym na pewno trujący.

Tym niemniej specyfik wypiliśmy. Po paru minutach aktywnego protestowania wnętrzości niechętnie zgodziły się wrócić na swoje miejsca, a ja wypuściłam desperacko ścisną miskę.

- Zjedz coś - powtórzył Weres, podsuwając mi kubek z bulionem, przykryty kawałkiem białego chleba. - Nawet wilkołak musi skądś brać siły. Czy masz może zamiar leżeć tu przez kolejny tydzień?

To by było całkiem niezłe. I niech wszyscy biegają wokół mnie, pozwalając, bym tak jak w dalekiej i prawie już zapomnianej ludzkiej przeszłości udawała bezradną cierpiętnicę w stylu „Wezmę i tu umrę, a wy będziecie płakać!”. Niezgrabnie złapałam kubek swędzącymi dłońmi, upuszczając chleb na kołdrę. Niemrawo, prawie nie czując smaku zaczęłam pić, obserwując, jak Weres, który uznał swój dług wroga w stosunku do mnie za spełniony, z zadowolonym prychnieniem pluska się nad wiadrem, splukując nocne zmęczenie.

Czarodziej umył twarz i szyję, a następnie wyplątał się z przemokniętej przy kołnierzu koszuli, potrząsnął włosami i poprawił uciekający na plecy amulet-luskę. Zauważył moje pełne pretensji spojrzenie i uśmiechnął się z lekka złośliwie. Drań jeden, wykorzystał całkowitą bezradność kobiety!

A tak między nami, wcale nie był aż taki kościsty. Zakłęcie powoli wykonywało swoją



pracę, zauważalnie odtwarzając może nie sadełko, ale na pewno mięśnie. Nawet już było na co popatrzeć, ale odstawiłam na w pół pusty kubek oraz nietknięty chleb i demonstracyjnie odwróciłam się do ściany. Podejrzewałam, że w tej chwili wyglądałam niewiele lepiej od standardowego klienta Weresa, czyli podniesionego z mogiły trupa. Ciekawe, skąd bierze się to głupie kobiece pragnienie, by podobać się każdemu mężczyźnie bez wyjątku, nawet wrogowi?! Nie cierpię go... ale nie mogę zwalczyć.

- Weresie - zawołałam szeptem, oglądając się przez ramię. - Powiedz mi, czym płacą nekromanci za wzywanie duchów?

Czarodziej na chwilę przerwał wycieranie twarzy i wynurzył się z ręcznika, spoglądając na mnie z zaciekawieniem.

- Jeden obrządek, jeden rok życia. Czemu pytasz?

- I nie szkoda ci?

- Szkoda, ale trzeba - odpowiedział lekkim tonem, wieszając ręcznik na gwoździu. -

Oczywiście można zamordować jakąś dziewczinę i zapłacić jej krwią, ale to brudne sprawy i nieprofesjonalne...

Z westchnieniem zamknęłam oczy. Wariat. No dobra, niech mu będzie, że dla Delirny...

Jego zapach. Wszędzie - na opatrunkach, bieliźnie, koszuli... Sam mnie przebierał? Przez całą noc siedział obok? Co za koszmar... Nie, wcale nie ten zapach jest koszmarny, akurat on był nawet całkiem niczego sobie. I właśnie na tym polegał problem...

Szel, jesteś kretynką. Przecież mówiłaś prawdę i nigdy nie podobali ci się smagli bruneci. Nigdy wcześniej.

Sądząc z dźwięków, czarodziej ze spokojem dojadł i dopijał niedocenione przeze mnie śniadanie, nie mając bladego pojęcia, o czym myślałam.

Bo by się na ghyr zakrzusił.

\* \* \*

Drugi raz Weres obudził mnie bliżej obiadu. Nie wywołało to we mnie szczególnego zachwyty: skamlałam, odwracałam się, syczałam i nawet ugryzłam czarodzieja w pozbawioną skrupułów rączkę ale dostałam pstryczek w nos i z oburzenia natychmiast rozbudziłam się na dobre.

Pozostali obserwowali naszą kłótnię, ograniczając się do chichotów.

- Poznają naszą Szelenę - oznajmił Mrok uroczyście. Moi wierni wrogowie już skończyli jeść, ale nie wstawali od stołu, przygotowując się by przejść do pogawędki na deser. - A przecież jest taka słodka, gdy śpi kłami do ściany!

- To jak, wstajesz czy wskakujesz? - Weres prowokacyjnie zabrzęczał rączką wiadra.

- Wstaję już, wstaję - burknęłam i z trudem, wspomagając się przesuwanymi po materacu rękoma przeniosłam się do pozycji siedzącej. - Tylko daj mi chwilę, żeby zrozumieć, czy naprawdę się tak źle czuję, czy tylko mi siebie szkoda! Czego chcecie od biednego umierającego wilkołaka, wy paskudniki jedne? Znowu musimy gdzieś jechać?

- A dasz radę?

- Dam. - Właśnie próbowałam dotrzeć do stołu, trzymając się ściany. Trwało to dłużej, ale było pewniejsze.

- To w takim razie idź przynieś wody na herbatę.

- Że co?! Ale ty jesteś... - Dopiero co zdołałam ulokować się na ławce i zrobiło mi się niedobrze na samą myśl o tym, że powinnam znowu wstać.

- Żartuję, siedź spokojnie, ty biedna cierpiąca pomroko.

- Czarodziej złapał puste wiadro i wyszedł. Virra natychmiast włądowała mi się na kolana, objęła obiema rękoma i westchnęła z takim szczęściem, że nawet nie potrzebowałam słów. Rest bez prośnienia zerwał się z miejsca i przyniósł mi miskę. Co więcej, sam napelnił ją kopiasto, a nawet wetknął łyżkę. Ale gotował stanowczo ktoś inny, ponieważ kasza przypominała kaszę nie tylko wyglądem ale też smakiem. Nadal odczuwałam lekkie mdłości, ale palące uczucie głodu okazało się silniejsze - nie przejęło się nawet pokrytą pęcherzykami nogą głuszca, która po wygotowaniu ściemniała i stwardniała.

Pozostali podziwiali jak jem z takim zachwytem, że aż zrobiło mi się nieswojo.

- Mmm? - mruknełam z irytacją przez zęby zaciśnięte na ptasiej kości. Rest i Mrok opamiętali się i natychmiast przełączyli na bardziej godne ich uwagi obiekty, jak to zadziór na palcu i niedolizana łyżka. Virra nadal gapiała się na mnie z uwielbieniem, ale akurat ona mi nie przeszkadzała, w końcu czego można wymagać od dziecka?!

Wrócił czarodziej z wiadrem pełnym śniegu i przysunął je bliżej pieca. Zdjął z półki jeden z garnków i zaczął powoli kruszyć do niego listki malin na herbatę.

- Lepiej weź tamten czarny, jest większy - poradziłam.
- Przecież nam tego wystarczy, nawet z zapasem.
- Ale gościom nie.
- Jakim gościom?!

Bezczelnym. Ponieważ tak w zasadzie powinni pukać, a nie szarpać za klamkę, kląć że zamknięte i czarować na posłusznie unoszący się haczyk.

Nasze rozgrzane i najedzone towarzystwo wywołało w nowoprzybyłych tak samo szczere niezadowolenie.

- Hej, to nasza chatka! - oświadczył przybysz łamiącym się z oburzenia głosem. Pomiędzy nasuniętą aż po same brwi czapką z zawiązanymi pod brodą „uszami” oraz uniesionym kołnierzem pozostawała tylko wąziutka szczelina na oczy i koniuszek nosa. Jego towarzyszka była opatulona jeszcze ciepłej, w swoim lisim futrze i puchowej chustce przypominała zbity stożek siana.

- I co z tego? - zapytał Weres spokojnie, sprawdzając jak ma się nasz śnieg.
- A wy ją zajęliście!
- I co z tego?
- A co my mamy robić?! - Nieznajomy w końcu dotarł do pytania, dla którego zaczynał cały ten dumny dialog.

- Możecie przenocować w zaspie pod drzwiami - zaproponował czarodziej „gościnnie”, przelewając do garnka wodę ze stopniałego śniegu. Nawet brew mu nie drgnęła.

- Sam tam spadaj! - Zaszokowany jego beczelnością gospodarz nie od razu znalazł odpowiedź. Co prawda tezę o gospodarzu najpierw należało udowodnić.

- Spróbuj mnie wyrzucić - uśmiechnął się czarodziej, zamieniając miejscami wiadro i garniec. Używając pogrzebaczka otoczył ten ostatni węglami, zamknął zasłonkę i odwrócił się w końcu twarzą do gości. Chociaż miałam wrażenie, że po boku również doskonale go rozpoznali.

- A razem się w żaden sposób nie zmieścimy? - spytałam ze zmęczeniem. - I czy nie moglibyście zamknąć drzwi? Bo wieje.

- Przewietrza się - poprawił mnie mężczyzna przez zęby. - Od różnego paskudztwa!

I dopiero potem odwrócił głowę w moim kierunku, do końca nie odrywając spojrzenia od Weresa. Musiałam wyglądać szczególnie malowniczo, ponieważ natychmiast zamknął drzwi i o ton niżej zapytał czarodzieja:

- To twoja przyjaciółka?
- Wroga - burknełam, z namysłem oceniając miskę pod kątem tego, czy powinnam włożyć do niej coś więcej czy bieżąca porcja zaraz wróci gdzie leżała.
- Znajoma - „przetłumaczył” Weres absolutnie spokojnie.
- To ona i dziewczynka mogą zostać - miłościwie pozwolił mężczyzna. - A wy spadajcie!

Czarodziej szczerze roześmiał mu się w twarz:

- Marenie, to nie najlepszy wybór. Osobiście wolałbym przenocować w jednej chatce z tobą.

- Nie zwracajcie uwagi. - Powoli rozprułam nożem bandaż na lewej ręce i oderwałam przyschnięte szmaty. Z rozkoszą pokręciłam zmęczonym nadgarstkiem, wypuściłam pazury i przez chwilę je podziwiałam, a następnie schowałam z powrotem. - To tylko takie nasze sympatyczne wrogie żarty.

- Marenie, chodźmy stąd. - Po raz pierwszy odezwała się kobieta, dosyć zachrypniętym, ale przyjemnym głosem. - Nie zaczynaj.

- Moja żona nie będzie nocowała w zaspie! - zaprzeczył Maren z patosem acz niezbyt

pewnie, nadal stercząc w progę. Nie żalowaliśmy drewna i pod nogami naszych gości zdążyły naciec dwie solidne kałuże.

- W takim razie przestań robić z siebie idiotę i rozbieraj się. Szeleno, pozwól, że przedstawię ci mojego byłego przyjaciela Marena, maga bojowego trzeciego stopnia.

- Już drugiego. - Mag w końcu rozwiązał „uszy” i zdjął czapkę. No cóż... gdyby zrobił to od razu, to również zareagowałabym na jego pretensje wyłącznie śmiechem. Z tak dobrodusznym i nieco roztargnionym wyrazem twarzy nic tylko próbować wymuszać coś na wilkołakach i wywalać z chatki czarodziejów-odszczępieńców. Był blondynem, i to absolutnym, nawet brwi miał w kolorze pszenicy, o twarzy tak długiej, że jeszcze trochę i powiedziałabym „końskiej” ale była po prostu „charakterystyczna”. I czarująca. Typ „wiecznego dzieciaka”, który mógł mieć zarówno dwadzieścia pięć jak i czterdzieści lat.

- Tam za drzwiami są haczyki - skinął Weres.

- A jak myślisz, kto je tam przybił? - odgryzł się Maren, najpierw pomagając żonie zdjąć futro a dopiero potem rozbierając się sam.

- Liara, mag-praktyk czwartego stopnia - przedstawiła się dama, pozostawiając odwieszanie futra mężowi. Natychmiast zrobiło się oczywiste, kto w tej rodzinie rządzi. Zresztą, dokładnie tak jak w większości rodzin. Gruba warstwa futra skrywała całkiem ładną, szczupłą, ale bynajmniej nie kruchą kobietę z sięgającymi ramion włosami niezwykle złocistorudego koloru. - A pan, o ile dobrze rozumiem, jest tymże właśnie Weresem Szakkarskim, znanym twórcą zaklęć bojowych oraz wygnanym z Konwentu nekromantą-mordercą?

Szakkara. Tak myślałam, że pochodzi z wysp, zbyt smagły jak na miejscowego.

- Którego oskarżono i skazano bez dowodów, byle tylko nie szukać prawdziwego winnego, albo może nawet go osłonić - odparł czarodziej takim samym tonem.

- No tak, oczywiście. - Magiczka spojrzała na Weresa z ciekawością zielarza, który znalazł nowy gatunek lulka. - I teraz siedzi pan na moim ulubionym krześle bynajmniej nie w towarzystwie wilkołaka?

- To nic nie znaczy. - Jednak nałożyłam sobie dokładkę.

- Również nie odczuwam najmniejszej przyjemności z powodu jego towarzystwa.

- Proszę bardzo! - Weres szarmancko zwolnił krzesło, przenosząc się do mnie na ławkę.

Liara od razu mi się spodobała. Po pierwsze, nie znając okoliczności sprawy nie śpieszyła się z nastawianiem przeciwko Weresowi. Po drugie, zaliczała się do tej przyjemnej kategorii magów, z którymi można dogadać się po dobroci, na przykład podzielić honorarium jeżeli wilkołak po prostu wyniesie się gdzieś dalej od wsi, która z jakiegoś powodu wydaje się go nie lubić. Oczywiście działało to wyłącznie w wypadkach, gdy grzechy ograniczały się do kradzieży kur oraz niewinnych żartów w rodzaju zagonionego na drzewo rycerza w pełnej zbroi, którego teraz należało w jakiś sposób zdjąć. Zresztą, jak bardzo nie starałby się Maren, to on również nie mógł zmusić się do prawdziwej złości. Raczej obrażał się o to, że przez tyle lat przyjaźni Weres nie raczył poinformować go o swojej czarnej i paskudnej naturze, i ostatecznie „prawda” okazała się prawdziwym ciosem.

- Ale jestem głodna! - ogłosiła magiczka szczerze, obrzucając spojrzeniem stół.

- W skrzyni była kasza. - Maren wsadził tam nos, by sprawdzić.

- Nie kłopotz się, już znaleźliśmy.

Z jakiegoś powodu maga to niezbyt ucieszyło i przypominając wyrazem twarzy chmurę burzową oparł się o piec, nie mając ochoty dzielić z nami ławkę, ale też nie mając do wyboru żadnych innych wolnych miejsc.

- O, kasza! Gorąca! - ucieszyła się Liara, bez pytania wkładając łyżkę do garnca. Jej mąż przełknął ślinę, ale niezłomnie tkwił w miejscu.

- Co tu robicie? - Weres również próbował nie patrzeć w jej stronę.

- Nie twoja sprawa - odgryzł się Maren natychmiast, ale nie zdołał się powstrzymać i natychmiast zachłannie spytał:

- A wy?

Czarodziej tylko się uśmiechnął.

- Sprawdzamy pewną ciekawą informację. - Liara z namysłem bujała złapaną za koniuszek rączki łyżką. Za tonem, który wydawał się żartobliwy kryło się napięcie i krańcowe skupienie, jak gdyby magiczka zbierała się do odbicia niespodziewanego ciosu. Maren również wyprostował się i w jakiś paskudny sposób zebrał w sobie. Nie „klasyczna postawa”, którą kiedyś uraczył mnie Rest, ale całkiem do niej podobna. - Że niby tutaj, na pustkowiach, zamieszkały jakieś tam stwory. Niewidzialne. Z o takimi paszczami. Zabawne, co nie?

Nie wiem, jakiej reakcji magowie się po nas spodziewali, ale nieudawana radość Weresa dość mocno ich zaskoczyła.

- Czyli Morriel jednak wystąpił przed Radą Konwentu?

Małżonkowie ze zdziwieniem spojrzeli po sobie i jednakowo pokręcili głowami.

- Nie. A co, miał?

Teraz już my wymieniliśmy niepewne spojrzenia.

- Obiecał, że zrobi to już trzy dni temu.

- Moim zdaniem w ogóle nie było go w Starminie. - Liara ponownie zaatakowała kaszę. - Przynajmniej w Szkole się nie pojawiał, a przecież zawsze odwiedza Marena.

- A dawno stamtąd wyjechaliście?

- Jeszcze z rana byliśmy w stolicy, Ksander aktywował dla nas szkolny teleport. Obiecał, że podrzuci wprost na próg domku, a tu patrzcie, wyrzucił pięć wiorst na południe, ledwo dotarliśmy. Ale pogoda, brrr...

Weres ze zdumieniem zmarszczył brwi.

- Szkolny teleport jest najbardziej dokładnym i mocnym z obecnie istniejących, podobno nie da się go nawet przerwać.

- Też nam się tak wydawało - prychnął Maren.

- A zniekształcić, tak jak ty to zrobiłeś z tamtym dajnem? - przypomniałam.

- Nie, jest zbyt dobrze chroniony przed śledzeniem. Chociaż...

- Macie rację - westchnęłam w kierunku Liary. - Ten typ jest urodzonym złoczyńcą!

Patrzcie, już się zastanawia, w jaki sposób możliwie skuteczniej zepsuć własność Konwentu.

- Szel, nie zbijaj mnie z myśli. Teleportacja wyższego poziomu może dowolnie zmienić trajektorię przy zderzeniu z mocnym zakłębieniem stacjonarnym, którego matryca ustawiona jest prostopadle do kierunku relokacji.

- Że co?

- Ptak przeleci nad stojącym na jego drodze płotem, żeby się z nim nie zderzyć. Tak jest bardziej zrozumiałe?

- Ale ptak natychmiast wróci na swój poprzedni kurs.

- Teleportacja również. Ale jeśli „płot” stoi zbyt blisko docelowego miejsca, to po prostu nie zdąży „wygładzić” łuku.

- A co masz na myśli, mówiąc „płot”?

- Coś w rodzaju tego zakłębienia, z którym zderzyła się Delirna. I obawiam się, że Morriel nie wpadł na to, by skorzystać z „kaskady”...

Magowie słuchali naszej dyskusji z otwartymi ustami, zapewne rozumiejąc z niej więcej ode mnie, ale nie wąż się wtrącić.

- Czyli ten cały płotek jest gdzieś blisko?

- Nie zdziwię się, jeśli „postawiono” go dla tamtej całkowicie pustej polanki. Nie bezpośrednio koło niej, bo w takim razie bym go wyczuł, ale jakieś pięć czy sześć wiorst w kierunku Starminu, a poza tym jest w dzień i w nocy patrolowany przez niewidzialne stwory... - Weres w końcu przypomniawszy sobie o naszych gościach. - A przy okazji, skąd w takim razie wiecie o tutejszych „wilczkach”?

- Ząbiakach - poprawiła go magiczka, solennie skrobiąc łyżką po ściankach garnka. - Jedyne ocalały mieszkaniace Błociszcza właśnie tak je nazwał. Wracał z polowania, gdy na skraju lasu jego pies zapał się wszystkimi czterema łapami i zaczął skamleć. Chłop żył samotnie i psiakowi wierzył bardziej, niż ludziom. Obszedł wieś od nawietrznej, ostrożnie zajrzał przez płot, a tam... Tak więc fortunny myśliwy wycofał się i rzucił do ucieczki. Dobrze, że znał las jak swoje

pięć palców. Po pięciu dniach doszedł do Witiagu, w pierwszej napotkanej karczynie urznął się jak Świnia i opowiadał tak barwne bajki, że w miejskich kramach w ciągu jednej nocy wyprzedzały się wszystkie amulety ochronne. Co ciekawe, tutejszy mag-observator wszystkiemu zaprzecza. Zapewnia, że na jego terenie panuje cisza i spokój, żadnych tam ząbiaków, a chłop to niby taki miejscowy głupek, który w tym swoim lesie ostatecznie zwariował, Oczywiście cała historia dotarła do Rady Konwentu, jako żart - że niby patrzcie, jak trzeba organizować handel amuletami. Jednak Ksanderowi jak zwykle nie dawały spokoju świerzbiące przecucia. Udał się osobiście do Witiagu pogadać z tamtym chłopem. A po nim ślad zaginał. Rzeczy leżą w gospodzie, pies ze skaleconą łapą skamle przy bramie, a „żartownisia” jakby kto połknął bez popitki.

- Całkiem możliwe, że połknął... - skomentował Maren ponuro.

- I tak rzeczony potężny czarodziej wysłał nas, cobyśmy się wywiedzieli i wypytali, po czym jemu, człowiekowi zajętemu acz uważnemu, zameldowali - śpiewnie dokończyła Liara.

- Wysłał mnie - poprawił ją mąż. - Ale tę ślicznotkę świerzbi jeszcze bardziej, niż mistrza. Magiczka posłała mu żartobliwy uśmiech.

- No co, mam tak po prostu wziąć i oddać kochanego małżonka na pożarcie pomrokom?!

Nie to żeby mi szkoda, ale już się do niego przyzwyczaiłam i dziecko się zmartwi...

- Które z lekkim sercem zostawiłaś na pożarcie teściowej - wytknął jej Maren.

- To raczej ono biedaczkę doprowadzi do obłądu, a świeże wiejskie powietrze i domowa kiełbasa jeszcze żadnemu dzieciakowi nie zaszkodziły. Zobacz, jaki rumiany wyrosłeś w tych swoich Stopłych Redach!

- To już jesteś ojcem? - Weres szczerze się ucieszył. - I ile lat ma mały?

- Półtora roku. Mała - poprawiła go Liara z dumą. - Przez ostatnie dziesięć pokoleń w naszej rodzinie rodzą się wyłącznie dziewczynki, a na dodatek - cecha rodzinna! - o złocistorudych włosach i szarych oczach!

- I to mimo tak samo rodzinnego pociągu do blondynów - roześmiał się Maren, w końcu również odmarzając. - Rozcieńczamy te wasze cechy, rozcieńczamy, a skutek żaden!

Żona łobuzersko pokazała mu język.

- Tylko sobie wyobraźcie, on nadal naiwnie spodziewa się chłopca! - I pogładziła się po prawie jeszcze niezauważalnym brzuszku. Gdy atmosfera w chatce ostatecznie przestała przypominać pogodę za oknem, Liara zrobiła się poważna i spojrzała na Weresa. - Szczerść za szczerść?

Czarodziej zastanowił się. Podzielałam jego wątpliwości, bo w ciągu wielu lat podwójnego życia zdążyłam się przekonać, że sympatia to żaden powód, by komuś ufać. Ale dobrze, Weres zna tego całego Marena lepiej ode mnie, więc niech sam decyduje, o czym można mu powiedzieć, a o czym lepiej zmilczeć lub skłamać.

Tymczasem mag w milczeniu odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

- Do zasy? - spytałam z nadmierną nawet uprzejmością. - Może przynajmniej dać wam jakąś poduszkę?

- Nie, wniosę narty do sieni... - zająknął się Maren. Następnie dostrzegł jak Mrok i Rest próbują nie chichotać, Virra nie próbuje nawet tego, a Weres tradycyjnie robi do mnie „straszne” oczy, zapytał go: - Chcesz mi powiedzieć, że ona zawsze taka jest?

- Nie no, coś ty. Przy was się jeszcze hamuje.

Tak samo tradycyjnie udałam obrażoną szczerą niewinność i odwróciłam się ku oknu. Przez kilka sekund tępo gapiłam się w mętnie biały kwadrat, a następnie opamiętałam i z obawą szturchnęłam czarodzieja w bok.

- Weresie, popatrz na to!

Czarodziej ledwo raczył rzucić okiem.

- Mgła, żeby było na co patrzeć.

- Zimą i w taki mróz?!

Odrzucony przez Marena hak sucho stuknął o deskę, Mrok rzucił się by go powstrzymać, w ostatniej chwili złapał w poprzek piersi i odrzucił na bok, pod osłonę drzwi, które otworzyły się tak prędko, jakby pchał je mocny wiatr.

Mgła wpłynęła do izby wprost z sieni, jak gdyby od wieczora czekała na nas pod drzwiami niczym wierny pies. Nie rozpełzający się dym znikający w ciepłe, tylko solidna biała fala o poszarpanych brzegach. Z palców Liary zerwał się jaskrawo karmazynowy płomień, który jak powłoka pokrył wijące się w jej kierunku macki, powodując, że skurczyły się i cofnęły. Cisza wybuchła gardłowym wściekłym wyciem, które wydawało się dobiegać ze wszystkich stron.

Do karmazynu dołączył błękit. Weres w napięciu zgrzytnął zębami, a kłęby mgły zaczęły cofać się z powrotem do sieni. Wyła nie ona. Ale za to zdradziecko obrysowała kontury skaczącego przez nią ząbiaka.

Virra jak piłeczka zleciała z moich kolan, w mgnieniu oka porwała stojący koło pieca łuk. „To nic nie da” - przemknęła mi przez głowę zrezygnowana myśl. Jedna strzała, nawet trafiająca w mózg, nie zabije pomroki. Poza tym nie byłam pewna, że akurat mózg stanowił dla ząbiaka tak bardzo istotny organ...

Pocisk z młaśnięciem utkwiał w oku potwora. Całkowicie zgodnie z moimi przewidywaniami ząbiak ograniczył się jedynie do zirytowanego potrząśnięcia łbem, gdy nagle coś lekko szcęknięło a jego odrzuciło do tyłu. W sieni, która lśniła fioletem z powodu mieszających się zakłęcz zabrzmiał przedśmiertny charkot i konwulsyjnie zaskrobały łapy.

Virra użyła „dmuchawca”.

Mrok prawie bez namysłu pchnął drzwi wierzgającymi nogami Marena, a skrzydło przerażająco powoli ze skrzypieniem ruszyło z powrotem. Zresztą, całkiem możliwe, że dźwierze zatrzasnęły się natychmiast, ale dla moich nerwów nawet sekundy trwały zbyt długo. Niebieskie lśnienie przerzuciło się na hak, który sam z siebie trafił do kółka na futrynie. Liara opuściła drżące ręce, Weres cofnął się pod ścianę i przywarł do niej, ze zmęczeniem odrzucając głowę i zamykając oczy.

Gdy smok rozluźnił objęcia mag runął gdzie stał, z hukiem uderzając tyłkiem o podłogę. Jakies dziesięć sekund później na dole znalazł się również czarodziej, który spelzł wzdłuż bali.

- A ty mówiłeś, że nie powinnam dawać dziecku takich zabawek... - zauważyłam, naruszając pełną niedowierzania zwycięską ciszę.

Virra zachichotała z zadowoleniem. I z dziecięcą bezpośredniością pociągnęła Weresa za kołnierz, prosząc się o pochwałę:

- Dobry strzał, co nie?!

Czarodziej z wysiłkiem rozlepił powieki i spojrzał na półelfkę.

- Doskonały.

- Ale co to było? - Mała z ciekawością przycisnęła nos do okna, ale za nim wirował już tylko najzwyczajszy śnieg.

- Magia - odparł Weres krótko.

- Co ty nie powiesz?! Jeju, sama bym się w życiu nie domyśliła! - Zimno spojrzałam na Restę, który zaczął wyłazić spod stołu w nieprzyzwoicie małej odległości od moich gołych nóg. Dzieciak zalał się buraczkowym rumieńcem i śpiesznie zniknął z powrotem, by wydostać się po przeciwnej stronie.

- Kochanie, jak się czujesz?! - Maren nie wstając z czworaków rzucił się do żony.

Liara przez kilka męczących sekund wsłuchiwała się w siebie, a potem niedbale potrząsnęła głową.

- W porządku. - Magiczka odwróciła się w kierunku Virry i zawodowo-nauczycielskim tonem wyjaśniła: - To jeden z rodzajów zakłęcia poszukiwawczo-łowczego. W stanie wolnym prawie niezauważalna mgiełka, rozciągnięta na kilka wiorst. Po natrafieniu na obiekt skupia się dookoła niego w taką mgłę jak ta, a następnie w jeszcze bardziej solidny kokon.

- A teraz co się z nią stało? - Odpowiedź na to pytanie interesowała mnie znacznie bardziej.

- To jednorazowe zakłęcie. Jeżeli uda ci się je odbić, ulega rozproszeniu. Ciekawe gdzie zdążyło do nas przylgnąć? Pełzło od samego miejsca teleportacji, czy jak?

Ostrożnie otworzyłam drzwi. W sieni nic nie świeciło ani nie bieląło, ale na podłodze rozciągnęła się kudłata tusza, która teraz była całkiem dobrze widoczna. Przez zewnętrzne drzwi,

otwarte na oścież, porywy wiatru wganiały śnieg, który trójkątem wysrebrzył podłogę. Nie mówcie mi, że te stwory już nauczyły się otwierać zasuwy? W takim razie co będzie dalej?!

- Zdechł? - Mała bojaźliwie wyjrzała spod mojej ręki.
- Na to wygląda. Odetniesz sobie ogon na pamiątkę?
- A mogę?! - Radośnie pisnęła dziewczynka, natychmiast wyciągając z buta solidny

nożyk.

Wzruszyłam ramionami.

- Przecież nie będziemy go wypychać.

- Tak w zasadzie... - nieśmiało zaczął Maren, ale natychmiast zamilkł, w końcu jego udział w bitwie nie pozwalał pretendować nawet do koniuszka bojowego trofeum.

- Wydaje mi się, że mistrz uwierzy wam również na słowo. - Czarodziej złapał oddech, wstał z podłogi i podszedł do drzwi, by znad mojego ramienia obejrzeć sobie pracującą nożem Virrę. - A za chwilę będziemy mieli nawet zbyt dużo egzemplarzy doświadczalnych.

- Co masz na myśli?

Weres wymienił porozumiewawcze spojrzenia ze mną i Mrokiem, jak mały chłopiec okrakiem usiadł na ławce i zaczął opowiadać. Od samego początku.

Po kilku minutach para magów całkiem zapomniała, kto tu jest paskudnym nekromantą, a kto krwiożerczym wilkołakiem. Na podłodze ponownie legła biedna podarta mapa, która w tej chwili najlepiej nadawałaby się na gwoździak w kiblku, a cała trójka czarodziejów z ożywieniem pełzała po niej i dookoła, jedno przez drugie rzucając magicznymi słówkami. Cały czas kusilo mnie, by usiąść na plecach Weresa i sobie pojeździć. Ale żarty żartami, a sprawa była całkiem poważna.

Rest przypomniał sobie o herbacie, wyciągnął z pieca garnek i rozlał do kubków aromatyczny napar czerwonego koloru.

- No więc, znamy miejsce i czas. - Maren prawie trafił w to miejsce na mapie nosem, jakby miał nadzieję, że dojrzy grzebiących w śniegu wrogich magów.

- O ile wróg ich nie zmieni. - Na wszelki wypadek nie ruszałam się od uchylonych drzwi i regularnie wyglądając na zewnątrz przez wąziutką szczelinę.

- Za późno. - Weres z namysłem podgryzał malinową gałązkę, rozmiękczoną wrzątkiem. -

Nie da się powstrzymać kształtowania Kręgu. Spiskowcy będą woleli pociągnąć grę przy otwartych kartach aniżeli z niej zrezygnować. Poza tym, skąd mają wiedzieć, że widziałas i zapamiętałaś mapę?

Maren wziął jeden z kubków, które już dłuższą chwilę temu się pomieszały i ze zważeniem zajrzał do środka, ostatecznie nie zdołał przypomnieć sobie ile herbaty mu zostało i zdecydował, że uzna go za własny.

- Czyli mamy nieco ponad dobę, by zebrać lojalnych magów i naładować amulety.

- Nie zapomnij o teleportacji. Jak już się przekonaliśmy, nie da się korzystać z bezpośredniej, a kaskadowa zajmie kilka godzin. Plus zaklęcia maskujące.

- Mógłbyś nam rzucić punkt docelowy, czy coś. Odległość do Starminu jest spora, a kaskada ma wysoki próg błędu.

Weres spuścił oczy.

- Nie jestem teraz w najlepszej formie... mało prawdopodobne, że się uda...

- Trzymaj. - Liara taktownie nie wdawała się w szczegóły, tylko zdjęła z szyi i podała czarodziejowi lśniąca mieszankę złotych ogniw i szmaragdów. - To mój rodowy naszyjnik, zaczarowany przed kradzieżą lepiej, niż niejeden skarbiec. Nastawię się na niego nawet z odległości tysiąca wiorst.

- Kochanie! - jęknął jej mąż błagalnie. - A może jednak wrócisz na wieś, do córki? W końcu w twoim stanie...

- E tam... - Magiczka beztrudno machnęła ręką. - I co mi się niby stanie? Do nieba i tak mnie nie wezmą, a do mrakobiesów tym bardziej nie wpuszczą, na ghyra im konkurencja?!

Maren nawet nie próbował się kłócić, bo zbyt dobrze wiedział, że to nie ma sensu. Ale jego wyraz twarzy był tak wymowny, że Liara roześmiała się, przyciągnęła męża do siebie i pocałowała

w policzek.

- Daj spokój, poradzę sobie. Tylko sobie wyobraź, jak bardzo chciałabym się na odchodnym zabawić, bo przecież potem przez kolejne pół roku nie będę mogła nawet o krok odejść od kołyski.

- Szel, jak to wygląda? - zawołał do mnie Weres.

- Chwilowo chyba cicho. Ale powinniśmy się stąd możliwie szybko wynieść, bo ślady ząbiaka nigdzie się nie podziały, a po nich spokojnie może przybiec w odwiedziny kolejna parka czy dwie.

Ech, czyli jednak będę musiała włączyć na siodło... A może po prostu położyć się w poprzek i niech Weres prowadzi mojego ogiera za ogłowie próbując za bardzo nie uszkodzić umierającej bohaterki? Oj tak, niedoczekanie... Prędej konia poczęstuje witką w zad. Zresztą, dochodziłam do siebie zadziwiająco szybko, może uda mi się wytrzymać parę wiorst. Swoją drogą, trzeba zapytać, czym mnie ten czarodziej leczył. Nuż jeszcze się kiedyś przyda.

- Odejdziemy o pół wiorsty, żeby pogoń ruszyła naszymi śladami, po czym się teleportujemy - powiedziała Liara, sięgając po futro. - A wy ruszajcie do Kręgu. Jest tu sporo rzeczek, więc odciski kopyt kelpie nie zwrócą uwagi ząbiaków.

Nie wiedzieliśmy co na to odrzec, więc wszyscy zaczęli śpiesznie się zbierać i po paru minutach chatka opustoszała.

Na odchodnym Maren odruchowo wyciągnął do Weresa rękę, ale natychmiast zreflektował się i ją cofnął. Czarodziej udał, że nic nie zauważył. Podał byłemu przyjacielowi kijki od nart, z pożegnalnym uśmiechem skinął w kierunku Liary, która posłała nam całusa.

I dopiero odwrócony od znikających w zamieci magów gorzko przygarbił plecy, na chwilę przymykając oczy. Ale zanim zauważył to ktokolwiek prócz mnie, otrząsnął się i ruszył siodłać kobyłę.

\* \* \*

Przy Kręgu nic się nie zmieniło. Ten sam nienaruszony śnieg, te same świerki. W okolicy nie kręciły się nawet ząbiaki, chociaż na logikę przy obiekcie tak bardzo dla wrogów cennym powinny ich być tłumy.

W pięknym stylu zleciałam z konia i tak zostałam z rozrzuconymi rękoma. Na pytanie Weresa czy pomóc mi wstać, grobowym tonem odparłam:

- Jak umrę, to podniesiesz!

Czarodziej westchnął, złapał mnie pod łopatki oraz kolana i powłókł w kierunku wybranej na nocleg polanki, na którą Rest i Mrok już ściągali świerkowe gałęzie oraz chrust. Starannie zwiślałam, żeby mężczyzna nie nabrał nawet cienia wątpliwości odnośnie tego, czy jestem w stanie poruszać się sama.

- Virro, czy możesz pościelić koc?

Położono mnie na zachwycająco miękkim posłaniu i starannie otulono. Nie chciało mi się nawet przeturlać na ulubiony prawy bok, ograniczyłam się do odwrócenia głowy.

- Co masz zamiar robić?

Weres zdjął rękawice, skręcił nieposłuszne włosy w powrózek i wsunął za kołnier.

- Stworzę stadko gołąbków i wyślę do wszystkich zainteresowanych stron.

- A dolecą?

- Takie na pewno. Słyszałaś kiedyś o posłańcach?

- To czemu od razu nie wysłałeś do Ksandra takiego ptaszka?

- Mówiłem ci przecież, mam zakaz pojawiania się w Starminie. Tak samo jak moja magia. Ochronne artefakty stolicy zniszczą mojego posłańca zanim dotrze do celu. - Weres nie tracił czasu i już tworzył ptaszki wprost z oparów własnego oddechu, łapiąc je garściami i zagęszczając. Robił to lekko i niedbale, jak gdyby dla zabawy, ale po skończeniu zachwiał się i chwycił Restę za ramię. Co prawda szybko doszedł do siebie, wyprostował się i przeprosił.

To były dziwne gołębie: na wpół przezroczyste, o smukłych ciałach i spiczastych skrzydłach, przypominające jerzyki, o czarnych niewidzących oczach i z ostrzami długich dziobów,



w zupełności nadających się do przeszywania na wylot jastrzębia, który nabierze ochoty na dziczyznę. Nieruchomo siedziały na patyku, trzymanym przez niezmiernie dumną z siebie Virrę, czekającą, aż czarodziej skończy pisać listy, podczas gdy Rest się po cichu dąsał.

Weres miał paskudny charakter pisma - runy skakały tam i siam, nachodziły na siebie, ale po treningu na przepisach mojego szefa-znachora mogłam odczytać wszystko. Co prawda adresaci będą musieli się postarać.

Notatki były lakoniczne, o jednakowej treści. Oprócz miejsca i czasu spotkania oraz koniecznych ostrzeżeń zawierały wyłącznie parę linijek:

„*O szlachetny Lliotarelu! Zło nie śpi, mrok wyrwał się na wolność i pochłania ziemię jak rozżarzona lawa, zostawiając po sobie popiół i rozkład, i tylko niegasnące światło waszego wspaniałego wojska zdoła zagonić go z powrotem do leża*”.

„*Pani Toresso, zapraszamy Pani dziewczynki do wzięcia udziału w bitwie. W razie zwycięstwa gwarantujemy transport z powrotem. Z poważaniem, Weres*”.

„*Krasnoludy! Przyjaciele! Odważni wojownicy! Tylko w was nadzieja! Pokażemy trollom, kto tu rządzi!*”

„*.....i....., z..., .... do.....na....., .... Czekamy*”.

- Tylko uważaj, by nie pomylić dwóch ostatnich - westchnęłam. - Bo przyjść przyjdą, ale rano będziesz miał problem.

- Tylko mnie to ucieszy. Bo oznacza to, że ktoś dożyje do rana i nie będzie miał na głowie ważniejszych spraw.

Pierwszy posłaniec przeniósł się na nadgarstek Weresa, otrzymał zwiniętą w rulonik notatkę, przełknął ją jak robaczka i wznosił się w niebo, natychmiast robiąc niewidzialny na tle chmur.

- A elfy i driady zdążą tu dotrzeć? Droga zajęłaby nam dwa dni jazdy na kelpie, a i to w linii prostej.

- Teleportują się, mają tłumy magów.

- A co z „płatkiem”?

- Napisałem im, żeby użyli „kaskady” - uspokoił mnie Weres. - To rodzaj teleportacji, przy której obiekt przemieszcza się nie w sposób ciągły, tylko skokami, w postaci rozbryzgującego się na boki i ponownie zbierającego razem roju cząstek. Jest to sposób skomplikowany, powolny i niebezpieczny, więc rzadko się go stosuje, ale dlatego też żadna „sieć” go nie powstrzyma.

Virra odprowadziła spojrzeniem ostatniego ptaka i wrzuciła patyk do ogniska. Las był rozległy i gęsty, więc pozostawało mieć nadzieję, że w mroku z jego skraju nie widać dymu.

Chociaż, szczerze mówiąc, już mało mnie to obchodziło. Zamknęłam oczy z burknięciem: „Nie budźcie mnie, chyba że pomroki zaczną wam nogi zjadać” i przespałam aż do samego świtu.

\* \* \*

- Przez noc Krąg ukształtował się ostatecznie - ogłosił Weres po powrocie z porannego zwiadu. - I jest wypełniony pierwotną mocą, która tylko czeka, aż ktoś ją uwolni.

- W takim razie może nie będziemy czekać na spiskowców i otworzymy go sami, żeby nie męczyć się niepewnością? - zażartowałam.

Czarodziej niby w szoku wytrzeszczył na mnie oczy.

- Szeleno, czyżbyś zdołała odgadnąć paskudny i podstępny plan wroga? Doprowadzić nas do tego byśmy w akcie rozpaczy wykonali za nich całą pracę?! Dzięki bogom, teraz możemy z czystym sumieniem rozejść się po domach!

Westchnęłam żalobnie - gdybyż wszystko było takie proste! - po czym wylazłam spod koca i ze smutkiem przekonałam się, że nie uniknę wielkiej bitwy wymawiając się stanem zdrowia. Tak więc wyciągnęłam darkan i dyskretnie oddałam się z nim za krzaczki. Widok kobiety w skupieniu machającej bronią z jakiegoś powodu powoduje, że silna, a raczej silnie pewna siebie płeć nie szczędzi śmieszek i docinków.

Tymczasem las powoli wypełniał się nieлюдźmi.

Jako pierwsze przybyły driady, które natychmiast wysłaliśmy na patrol. Drzewne panny bez słowa rozproszyły się po obu skrajach lasu, zarzuciły łuki za plecy i zwinnie jak wiewiórki wspięły

na świerki, przyczajając się wśród zaśnieżonych gałęzi.

Ich pierwszymi ofiarami zostały elfy, które nieco pomyliły się przy ustalaniu miejsca lądowania i wypadły z teleportu w odległości wiorsty od lasu. Na widok ponuro wlokącego się przez pole wojska driady z powodu zamieci albo z czystej żywej złośliwości nie rozpoznały swoich sąsiadów z Jesionowego Grodu i oddały w ich kierunku salwę ostrzegawczą zaostrzonymi patyczkami, psując kilka czapek i prawie wybijając Lliotarełowi oko. Elfy z poczuciem wyższości udały, że nic szczególnego się nie stało, ale przyuwały najbardziej gorliwe świerki.

Krasnoludy i trolle zjawiły się bliżej południa. Prawie równocześnie, ale osobno. Obozy też rozłożyli na przeciwnych krańcach lasu.

- Oj tak, z tym smokiem to my dobrze wymyśliliśmy - stwierdził Weres, gdy „w imieniu Mroka” wydał rozkazy dowódcom oddziałów i zwolnił ich, by mogli zaprowadzić porządek w swoich obozach. Smok wczuł się w rolę i z dumą spacerował po lesie w swojej prawdziwej postaci, podnosząc ducha bojowego, a przy okazji przeprowadzając inspekcję polowych kuchni.

- *My*, wilkołaki, w ogóle jesteśmy mądre - przytaknęłam, akcentując pierwsze słowo.

Czarodziej lekko przeciągnął czubkiem rękawicy po moim zaśnieżonym kozuchu, zostawiając na futrze szare pasemko, które natychmiast zaczęło ponownie znikać pod płatkami śniegu.

- No tak, wygląda na taką białą i puchatą, a wystarczy lekko dotknąć...

- Wolisz zimny śnieg od ciepłego futra?

- Najwyższy czas, by magowie również się pojawili. - Weres gwałtownie cofnął rękę i zmienił temat.

- Nasi czy ci wroga?

- Jedni i drudzy. Oczywiście lepiej, żeby nasi przyszli najpierw. Bo niedługo zaczną się ściemniać, a o nich nadal ni widu, ni słyhu...

Oдноśnie słyhu Weres się nie pomylił. Ale z widem...

Niebo nad lasem zaśniło dziwnym złocistym rozbłyskiem, strzępki gwałtownie rzuconych na śnieg cieni zatoczyły półkrąg i zniknęły, tworząc wrażenie, że zachwiała się ziemia. Czy może nie wrażenie?!

Po trzecim z rzędu wybuchu, któremu towarzyszył narastający huk, opamiętaliśmy się i na wyścigi rzuciliśmy do skraj lasu. Z przodu i po bokach migwały postacie tak samo zaintrygowanych owym fenomenem sojuszników.

Weres w ostatniej chwili przypomniał sobie, że takie wyskakiwanie spod osłony drzew jest niezbyt mądre i wyhamował na niskim świerczku, otrząsając z niego śnieg, a ja zatrzymałam się na nim.

- Co za...

Zaręczam, że w tejże chwili całe nasze wojsko na jednym oddechu dokończyło moją myśl.

Wydawało się, że środek równiny zapadł się pod ziemię i teraz z powstałej dziury w niebo strzela gąszcz oślepiających promieni, od czasu do czasu buchając światłem zbyt jaskrawym dla oczu. W środku zbierały się cienie, łącząc i uciekając do góry.

Czy nie cienie?!

Ostatni wybuch płynnym ogniem zatopił pustkowia, a gdy tęczowe kręgi przed oczyma w końcu zanikły... w miejscu Kręgu stał zamek. Przetarłam oczy. Jednolita bryła ciemnoszarego kamienia, który wydawał się wchłonać mrok chmur, o wąskich okienkach, paskudnie zmrużonych we wszystkich czterech kierunkach. Pod dachem najwyższej wieżyczki migwały czerwone płomienie, walił i rozpełzał się gęsty dym, który na tle wieczornego nieba wydawał się biały. Za dnia na pewno okazałby się szary albo prawie czarny. Perłowy jęczyzek flagi miotał się, smakując wiatr i z takiej odległości nawet ja nie byłam w stanie powiedzieć, jakie jest na niej godło. I chodziło nie o odległość do zamku, tylko tę do czubka szpili. Mamusi kochana, w porównaniu z tym tutaj słynne Krucze Szpony<sup>12</sup> to zwykłe żeremie bobra...

<sup>12</sup> Rycerski zamek na północy Belarii. W chwili obecnej należy do Zakonu Białego Kruka (św. Fendula). *Patrz: Mała encyklopedia belorska. Tl.*

- Jesteśmy idiotami... - wyszeptał zszokowany Weres, ściskając w pięści czubek świerczka i

nawet nie czując przesywających rękawicę igiełek. - Kompletnymi i beznadziejnymi kretykami...

Dlaczego przyszło nam do głowy, że spiskowcy będą się przedzierać na mroźne pustkowia, by odkopywać z zasy Krąg, który na pewno zauważyły już zarówno elfy, jak i magowie w sąsiednich osadach, zastanawiający się nad zmianą położenia źródeł?!

Przecież można było otworzyć go również z TAMTEJ strony.

## Rozdział 17

Zwiadowcy wrócili po godzinie, chmurni i skonfundowani. Nie udało im się dostać bezpośrednio do zamku pod osłoną białych prześcieradeł - mur był upstrzony okienkami strzelniczymi niczym, skaliste urwisko jaskółczymi gniazdami, a po szczycie chodziły patrole. Na dodatek bystre oczy elfów zauważyły łańcuszki śladów, same z siebie ciągnące się w ich kierunku, więc uznali za rozsądne wycofanie się.

Być może ząbiaki otrzymały rozkaz, by nie oddalały się zbyt od zamku, a może tylko spacerowały po lesie w poszukiwaniu odpowiedniego krzaczka, ale ostatecznie nie pogoniły za zwiadowcami.

Nie warto było nawet próbować oblegać zamku siłami, które mieliśmy do dyspozycji, ponieważ zostalibyśmy wystrzelani jak kaczki, zanim nawet zdążylibyśmy podejść wystarczająco blisko. Tym bardziej, gdzie niby mieliśmy iść?! Pierścień murów wznosił się nad wierzchołkami drzew, a w dodatku nigdzie nie było widać bramy. Dwudziestu wojowników mogło z prawą ręką przywiązaną z tyłu i ziewając utrzymywać tam obronę do skończenia świata.

Morale wyraźnie spadło. W ciągu jakiejś pół godziny groźna wielorasowa potęga zmieniła się w żalną garstkę bohaterskich głupków.

- Na pewno jest tam jakaś brama, tyle że dobrze zamaskowana. Bo przecież wrogowie muszą kędyś wylazić i wpuszczać posiłki - denerwował się Weres, krążąc dokoła ogniska, przy którym obojętnie grzałam ręce. - Jedno zakłęcie taranowe i po sprawie, żebyśmy się tylko zdołali dostać do środka. I gdzie są ci przekłeci magowie?!

- Może ta cała teleportacja kaskadowa ma jakieś nieznanne wady?

- Nawet o tym nie wspominaj. Miejmy nadzieję, że Maren po prostu próbuje zebrać i namówić możliwie dużo czarodziejów.

- Albo jego kosteczki obgryzają właśnie jakieś strzygi w krzakach.

- Szeleno, jak nikt inny potrafisz wesprzeć człowieka w trudnej chwili! - odgryzł się czarodziej z irytacją.

- Wyłącznie trzeźwo łączę ze sobą fakty. Myśleliśmy przecież, że z Kręgu zaczną wylazić pomroki, czyż nie? Gdyby Maren chciał z nimi walczyć, to pojawiłby się tu już trzy godziny temu. A może i się pojawił.

- Nie rozumiem?!

- I złośliwie śmieje się z nas ze szczytu muru.

Weres zamilkł, jakby próbował usłyszeć ten paskudny dźwięk. Następnie rzucił się na mnie:

- Dlaczego zawsze myślisz o ludziach wszystko co najgorsze?

- A co oni mi zrobili dobrego? Zaraz wezmę, pójdę do tego całego zamku i poproszę, żeby mnie wzięli do siebie za twoją wszechpaskudną rekomendacją! - wściekłam się.

- Idź sobie, idź, zobaczymy, może przed wieczorem sami wywieszają białą flagę. Nie, Marenowi musiało się stać coś złego!

- A o czym ja ci tu niby mówię od bitej godziny?!

- Po prostu nie przepadam za słuchaniem własnego głosu wewnętrznego w twoim wykonaniu - przyznał Weres. Tak bezradnie, że zrobiło mi się go żal.

- To może jak zapadnie zmrok przeprowadzimy aktywny zwiad. Ktoś odwróci uwagę ząbiaków, a my przekradniemy się do muru, znajdziemy tę całą bramę, otworzymy i damy naszym sygnał do ataku. Powiedzmy, że zrzucimy pochodnię.

Dlaczego jak mam sensowny pomysł, to nikt mnie nie słucha, a za każdy durny łapią się obiema rękami?! Weres rozjaśnił się i rozwinął tak burzliwą kampanię, że aż się przestraszyłam.

Natychmiast została zwołana rada przedstawicieli wszystkich ras, którzy się ucieszyli i tak samo jednogłośnie poparli nasze kandydaty. W toku dalszych obrad rolę przynęty zdecydowano się powierzyć Mrokowi. Wcześniej czy później ząbaki dogonią każdego, ale na szczęście nie umieją latać. Pierwotny pomysł użycia smoka do przelecenia ponad murem został ze smutkiem odrzucony. Nie zauważenie takiej bestii, hałaśliwie machającej skrzydłami, wymagałoby głuchego ślepcy, a osobiście wątpiałam, by ktoś brał takich na patrol.

Gdy z zachwytem wyłożyliśmy Mrokowi nasz nowy plan i poinformowaliśmy, kto jest jego autorem, na wszelki wypadek schowałam się w sprawdzonym miejscu - za plecami Weresa. Ale za to już znany nam rzeźbiarz, który w złym momencie zapragnął sprawdzić smocze „proporcje” jakąś wymyślną giętką linijką, ledwo uniknął mierzenia pocziwym dobrym arszynem, należącym do grabarza.

- A co, jak ich nie zauważę?!
- Patrz na ślady - poradził mu Weres, - I cienie, gdy księżyc już się pojawi. Nie istnieje coś takiego jak całkowita niewidzialność obiektów materialnych - to jedno z podstawowych praw magicznych. Czymś muszą się zdradzić. Jak są martwe, to się od razu robią widzialne.
- Ale w tej konkretnej chwili są jak najbardziej żywe!
- W najgorszym razie rozkażesz: „Daj głos!” - rzuciłam złośliwie.
- A ty to w ogóle... - Mrok machnął ze złością ogonem. - Ghyrowa strategiczka! Pewnie się zgadałaś z ząbiakami żeby zjeść moją wątrobę na spółkę.
- Obawiam się, że nie są nastawione, by się z kimkolwiek dzielić - zauważyłam całkiem poważnie. - Ty przynajmniej masz skrzydła, a jeśli rzucą się na mnie i Weresa...

Smok zawstydził się i umilkł.

Akurat zapadł zmrok.

Czarodziej założył na siebie połowę amuletów z torby, poupychał po kieszeniach jakieś flakoniki, z których jedne lekko świeciły, a inne wydawały się skrzepami mroku schowanymi pod korkiem. Następnie jakieś trzy razy sprawdził gwiazdy do rzucania i czy miecz daje się wygodnie wyciągnąć z pochwy.

Sarkastycznie poradziłam, by pomalował twarz węgielkiem i narysował na policzkach po cztery czerwone kreski, tak jak lubią malować się orki przed nocnymi atakami.

- A we włosy dla większego efektu nawtykać piór? - prychnął Weres. - A gdzie ty masz swój darkan?

- A co, mam go niby w zębach nieść?

Uznałam, że pójdę na akcję w bardziej czujnej zwierzęcej postaci, ale żeby nie szokować sojuszników, którzy i tak zerkali na mnie nad wyraz podejrzliwie, zmienię postać już po wyjściu z lasu.

- Mogę powiesić ci na grzbiecie, a nuż się przyda.

- A dawaj - zgodziłam się po chwili namysłu i ruszyłam, by przynieść miecz, który został przy ognisku.

Już w drodze powrotnej moją uwagę przyciągnęło palące się na uboczu niewielkie ognisko, koło którego siedziały dwie figury - niska o szerokich barkach oraz wysoka i delikatna.

Zbliżyłam się i chwilę nasłuchiwałam, po czym z niewysłowionym zdumieniem rozpoznałam w nich Karsta-e-Lata i Hrajka, zżywieniem dyskutujących na temat wad i zalet szczupłych mieszczanek w stosunku do pulchnych chłopek, czyli bezwstydnie plotkujących o babach.

Przy moim pojawieniu się rozmowa natychmiast się urwała - ni to z powodu pojawienia się żywego przykładu mnie jako baby, ni to jako wilkołaka. Przez kilka sekund w milczeniu patrzyliśmy na siebie, a następnie półelf wrzucił do ogniska patyczek, którym z roztargnieniem grzebał w węglach i przysunął się bliżej krasnoluda, zwalniając kraniec zwiniętego w rurkę koca.

- Szeleno, siadaj. Napijesz się grogu?

Zatkało mnie tak bardzo, że nie od razu zrozumiałam, czego ode mnie chcą.

- A co wy tutaj robicie?!

- A niby co, mam siedzieć w kramie, kiedy w zasadzie cały mój klan dziś stoi pod tymi

murami? - nadał się krasnolud. - Jak tylko dostałem od swojaka wiadomość gołębiem, to natychmiast spakowałem manatki, powiesiłem na toporek i ruszyłem do znajomego maga od teleportów. Dla niego podrzucić jednego krasnoluda do Jesionowego Grodu to tyle co splunąć. Co prawda plunięcie warte dziesięć sztuk złota. A tam się przyłączyłem do driad i przekonałem je, żeby mnie zabrały ze sobą.

Przeniosłam pełne niezrozumienia spojrzenie na półelfa, który jedną ręką podkręcał kołek na lutni, a drugą z namysłem podszczypywał strunę.

- Wczoraj dawałem koncert w pałacu Lliotarela i uznałem, że właściwie warto przespacerować się z elfim wojskiem. Co oni powitali z jak najszczerzym entuzjazmem, bo minstrele, tak samo jak markietankom dzielni wojownicy nigdy nie odmawiają.

- Ale po co?!

- Szelenooo - odpowiedział Hrajk śpiewnie, trafiając w ton brzdąkającej lutni. - Minstrel, który układa pieśń o wielkiej bitwie na podstawie opowieści osób biorących w niej udział jest jak malarz, który maluje morze na podstawie sadzawki dla kaczek za oknem. Dla kogoś, kto w życiu widział wyłącznie sadzawkę, to się może i nada. Ale ci, którzy jutro będą szturmować mury, krzesać mieczami skry, naciągać łuki i podstawiać tarcze pod strzały, przelewając swoją i cudzą krew, wysmialiby mnie. I mieliby całkowitą rację.

- To jakieś wariackowo, komnata dla samobójców! - jęknęłam. - Tylko nie mówcie mi jeszcze, że gdzieś tu w pobliżu kręci się również Szaliska!

Krasnolud i półelf jakoś dziwnie spojrzeli po sobie, ale taktownie zamilczeli.

- No to jak, Szeleno, masz ochotę na grog? - przypomniał mi Karst, zanurzając kubek w parującym kociołku.

- Znaczy... - zawahałam się. Oczywiście miałam ochotę ogrzać się i odświeżyć, ale... - Karście, a jesteś pewien? Bo w końcu jestem, sam wiesz...

- No i co? - przerwał mi krasnolud z niewinnym wyrazem twarzy. - Nie no, kubek to ja potem na wszelki wypadek opluczę, mimo że grog i bez tego jest tak mocny, że każdą zarazę zabije samym tylko zapachem...

Roześmiałam się i przyjął naczynie. Wieść gminnaniosła, że krasnoludy potrafią uwarzyć wręcz doskonały grog ze wszystkiego, co im trafi do rąk. Najważniejsze to nie dopytywać się, z czego dokładnie został zrobiony. O dziwo, w danym przypadku można było wierzyć plotkom. Och, faktycznie tak mocny, że trudno bardziej... Desperacko zatrzymałam zębami

duszę, która prawie między nimi wyleciała, wzięłam wdech wpychając ją na miejsce i poczułam, że gotowa jestem gołymi rękoma rozebrać zamek, kamyk po kamyczku.

- Dziękuję. - Wyciągnęłam do Karsta pusty kubek.

- Tobie dziękuję! - odezwał się krasnolud jak echo i bez żadnego splukiwania nappełnił go już dla siebie, po czym uniósł naczynie w toaście za moje zdrowie.

O darkanie nawet nie wspomniał, chociaż musiał go od razu zauważyć...

\* \* \*

- A ty gdzie?! - powstrzymał smoka Weres. - Już się zamieniaj z powrotem w człowieka! Przecież one naprawdę nie są tak głupie, żeby ganiać cię skrzydlatego jak te psy wrone!

- Najlepszego przyjaciela wysyła na pewną śmierć! - Mrok próbował załkać, ale spojrzawszy na nasze zastygłe w wyrazie smętnego skupienia twarz oraz pysk i przygotował się na bohaterską śmierć, czyli - tfu! - rozpoczęcie manewrów rozpraszających.

- Przynajmniej byście mi pozwolili konia zabrać...

- Jaki koń? Nie słyszałeś co meldowały elfy? - warknęłam z irytacją. - Przez ten przeklęty krąg na przeciwnym krańcu równiny pokruszony lód z rzeczki rozrzuciło po brzegach i zniosło w dół nurtu, tak więc mają tam teraz jezioro o długości jakichś trzydziestu sążni. Można za jednym zamachem utopić cały oddział.

- Może już zamarzło... - nieśmiało zasugerował Mrok.

- Chcesz sprawdzić?

Smok pokręcił głową i głębiej nasunął czapkę. Niosące się po lesie oburzone rzenie mojego

ogiera, który nerwowo wydeptał śnieg jak daleko sięgał sznur, było wyjątkowo wyraziste.

- No to z bogami. Po jednym dla nas i niech będzie, że dwóch dla ciebie - podzieliłam wielkodusznie belorski panteon.

Rozeszliśmy się wzdłuż skraju lasu - ja i Weres w jedną stronę, bliższą zamku, Mrok w przeciwną.

- Widzisz go? - zapytał szeptem czarodziej.

- Widzę. Wychodzi z lasu i kieruje się do rzeki. A raczej ślizga...

- To dobrze.

Magiczne pioruny nie tylko obudziły rzekę, ale też nadtopiły śnieg na polu, zamieniając go w wielkie lodowisko. Lodowa skorupa już była zasypana śniegiem po kostki, ale było to znacznie przyjemniejsze, niż wczorajsze głębokie na arszyn grzędzawisko.

- Ząbaki wcale nie mają gorzej. I o wilkach mowa!

- Gdzie?!

- Nie mam pojęcia. Ale dla zwykłej rozgrzewki nikt nie będzie tak biegał.

Miałam niesamowitą ochotę obejrzeć, czym to wszystko się skończy, ale nadeszła nasza kolej by ustanawiać rekordy szybkości. Pod prześcieradłem znacznie wygodniej się leży niż biegnie, szczególnie gdy jeden jego brzeg zawiązany jest pod twoim pyskiem jak chustka staruszki, a drugi wlecze się z tyłu po ziemi. Pod murem tak szybko jak tylko mogłam zdarłam z siebie to paskudztwo. Na tle śniegu strażnicy może i zdołaliby nas dojrzeć, ale u kamiennego podnóża - w żaden sposób. Przy okazji, czy na pewno był to kamień? Bardziej przypominało zastygłą smołę...

- Stój, nie ruszaj tego! Coś tu jest nie tak... - Weres przez parę minut machał rękoma w pobliżu muru, a następnie cicho zaklął, pochuchał na zziębnięte dłonie i schował je z powrotem w rękawicach.

- Źle to wygląda?

- Nie to słowo. Po pierwsze, zamek jest schowany przed zakłęciami poszukiwawczymi, czyli obserwatorzy w fortach magicznych nie mają pojęcia, że się pojawił. Po drugie, czarodzieje siedzący w środku natychmiast się dowiedzą o każdym skierowanym na zamek czarach. Czyli nie dam rady otworzyć bramy zakłęciem, ani też lewitować nad murem. A żeby ich! Taki dobry plan nam zepsuli...

- A mogę już go dotknąć?

- Dotykaj - pozwolił Weres, wzruszając ramionami. - Tylko co nam to da? Bez pomocy magii i tak nie damy rady wspiąć się na ten mur. Nawet haka nie zarzucimy na jego szczyt, bo za wysoko.

Coś to nam da. Ściana może i była jednolita, ale chropawa. Poza tym całkiem miękka, jak świeże drewno. Pewnie elfy przyłożyły do tego rękę, bo w końcu to oni są specami w dziedzinie ogrodzeń. Ale nic to, znaleźliśmy metodę na tamten mur, to i na ten też znajdziemy!

- Możemy spróbować.

- Niby jak? Przypuśćmy, że wytnę z gałęzi hak, ale skąd mamy wziąć sznur? Wracać do obozu? Widzisz tamte poruszające się ogniki? Obstawiam, że straż żywo zainteresuje się dzwoniącym o mur hakiem.

- Mam na myśli, żeby się wspiąć.

Oj ja głuuupia! Dlaczego nie mogłam od samego początku udawać, że w tej postaci umiem wyłącznie warczeć?!

\* \* \*

Oj taaak, to było dalekie od moich wyobrażeń odnośnie romantycznego spaceru pod gwiazdzistym niebem... A poza tym kawaler powinien prowadzić mnie pod ramię... albo w najgorszym razie obejmować w talii, a nie...

- Nie łap za futro, i tak już słyszę jak trzeszczy! I za szyję też nie, khe-khe!

- A mam jeszcze jakieś możliwości? - wysapał czarodziej z irytacją.

- Możesz złapać w poprzek piersi!

- W takim wypadku spełnię do tylnych łap i zaczniesz się drzeć, żebyś nie cisnął cię za

brzuch!

- To może w ogóle spadniesz, co?!

Weres ocenił odległość do ziemi i ścisnął moje zębra z zapalem rycerza, któremu właśnie upłynęły pięcioletnie śluby czystości.

- Gdybyś zgodziła się na krzyż obwiązać pierś prześcieradłem, oboje mielibyśmy znacznie wygodniej!

- Aha, a dla niepoznaki doczepić do niej sanie, żeby jak nas straż zauważy udawać Tatka Mroza w zajęczym zaprzęgu? Mam nadzieję, że znajdziesz dla nich jakiś prezent za dobre zachowanie?

- Za duża coś jesteś na zajęczka.
- Zajęczki mam wewnątrz. Och!
- Jeżeli będziesz mnie rozśmieszać, spadniemy razem!
- Ha! Nie zrzuci mnie stąd nawet dwóch takich jak ty!
- Razem z twoim ogonem, gdy spełnę jeszcze niżej!

Ku naszemu szczęściu i rozpaczcy wrogów do szczytu muru zostało tyle co nic. Czarodziej w końcu zabrał swój tyłek z mojego grzbietu, rozejrzał się jak złodziej i przebiegł przez prześwit, chowając się za wieżyczką. Z której, jak na złość, natychmiast wyskoczył strażnik, który nie tyle zauważył ile intuicyjnie poczuł, że coś było nie tak.

- Kto tam?! - ryknął, łapiąc włócznię i wystawiając ją do przodu.
- Ja - odpowiedział mu kokieteryjnie przyjemny, acz nieco ochryply kobiecy głosik. A gdy strażnik podejrzliwie zmrużył oczy, wpatrując się w mrok, pojawiła się również jego posiadaczka.

Strażnik, którego blada twarz zalsniła w nocy nie gorzej od księżyca upuścił włócznię i cofnął się, wprost na Weresa, który jak strzyga wynurzył się z mroku.

- Tatko Mróz ma prezenty dla dobrych dzieciak - skomentowała, odprowadzając spojrzeniem osuwające się pod moje łapy ciało. - Jak planujemy schodzić? Teraz ja chcę być na górze!

- Nie rób sobie nadziei, żaden wilkołak mi nie wsiądzie na głowę. Tam za wieżą są kamienne schodki. Co robisz? - zapytał czarodziej.

Zatrzymałam się, rozluźniłam zęby i cierpliwie wyjaśniłam:

- Oczywiście spycham go w dół zanim się ocknął.
- Szel, to nieludzkie!
- A masz jeszcze jakieś argumenty? Mniej durne.
- Koledzy po prawej i po lewej dostrzegą jego brak i podniosą alarm!
- Dobra. - Przytrzymałam łapą ciało, które już gotowe było przechylić się za krenelaż. -

Wykorzystamy metodę strachową straży z Wysiedliska?

- Dokładnie tak - Weres wyciągnął z kieszeni kawałek szmaty, pomyślał, wysmarkał się, zmiął ten i tak już niespecjalnie czysty knebel i wepchnął go w usta nieprzytomnego biedaka.

- I kto z nas jest bardziej nieludzki? - doprecyzowałam złośliwie. - Ja przynajmniej mam ku temu święte prawo...

Czarodziej tylko sapnął z irytacją, wciągając swoją ofiarę z powrotem do wieżyczki, po czym przez kolejne pięć minut trudził się z bezwolnym ciałem, wiążąc je i możliwie najbardziej naturalnie układając przy ścianie.

- Czego ty się tam tak grzebiesz?! - denerwowałam się, niecierpliwie miotając z boku na bok. Oczywiście Weres próbował unikać plamy światła z pochodni, ale strażnicy mogli w każdej chwili zwrócić uwagę na podejrzenie chwiejącą się w tę i nazad postać towarzysza.

- Próbuję go podeprzeć włócznią, a on się zsuwa...
- Spróbuj nadziać.
- Szelena!

- Kretyn. Przepuść drzewce pod zbroją i wbij ostrzem w ziemię, czy co tam mamy pod nogami.

Czarodziej potrząsnął głową, zirytowany na siebie, że nic wpadł na tak proste rozwiązanie, ale nie pogardził mądrą radą.



Doszłam do połowy schodów i zamarłam z uniesioną łapą.

- Dziwne, na dziedzińcu nikogo nie ma.

Weres lekko szturchnął mnie kolanem. Stanie na otwartej przestrzeni faktycznie nie było najmądrzejsze, ale miałam jeszcze mniejszą ochotę, by schodzić w dół.

- Może chwilowo nie mają w zamku zbyt wielu żołnierzy i starczyło wyłącznie na pilnowanie murów?

- Tak czy siak mogli wydzielić ze dwóch do patrolowania. A poza tym, gdzie są pozostałe ząbiaki? - Zrobiłam kilka niepewnych kroków i ponownie się zatrzymałam.

- Biegają po pustkowiach.

- Aha, i do zamku wstąpiły tylko na chwilę, poznały wszystkie kąty i ponownie uciekły?! Przecież nimi tu śmierdzi jak w psiarni!

- W psiarni psy również nie spacerują po podwórzu. Są zamknięte w boksach, żeby się nie rzucały na swoich. No dobrze,

ale co proponujesz? Mamy wrócić i powiedzieć: przepraszamy, nikogo tam nie spotkaliśmy i tak nas to przstraszyło, że zwialiśmy gdzie pieprz rośnie?

- Nie, ale musimy wszystko dobrze przemyśleć!

- Szel, mamy czas albo na myślenie albo na działanie - w każdej chwili może nastąpić zmiana wart. Skoro się zdecydowaliśmy, to chodźmy!

Weres wyprzedził mnie, prawie spychając ze schodów. Z wielką niechęcią powlekłam się za nim, całym futrem czując na sobie cudze wyczekujące spojrzenie, ale nawet gdybym miała pęknąć nie potrafiłabym określić jego źródła.

- Patrz, brama!

Dziesięć minut temu miałam okazję podziwiać mur od tamtej strony, szczerze wierząc, że jest jednolity. Od tej strony brama wyglądała zupełnie normalnie - dwa skrzydła i zachodzący na futrynę bal na hakach. Podnoszono go przy użyciu łańcucha owiniętego dookoła podnośnika, przy którym również nikogo nie było.

Ze zdwojoną siłą zaświerbiało mnie między łopatkami. Szczególnie w miejscu, gdzie poprzednio trafiła strzała. Krępowalam się, by informować o tym czarodzieja, bo jeszcze by zaproponował, że podrapie, a drogi powrotnej nie mieliśmy.

- Zamierzasz tak po prostu podejść i pokręcić kołowrotem?

- Nie... - Weres przykucnął przy murze, badając obiekt strategiczny typu „wejście”.

Ulokowałam się obok. - Po drugie, musimy zdjąć czary osłaniające, by nasze wojsko ją zobaczyło.

- Przecież nie możesz tu czarować.

- To po pierwsze. Ale teraz znajdujemy się „wewnątrz” zaklęcia otaczającego zamek, skąd można spróbować je rozplątać.

- A starczy ci sił?

- Powinno - uciał Weres z ponurym zdecydowaniem. - Szel, wiesz co, włącz z powrotem na ten mur. Jak zobaczysz pojawiającą się bramę, to rzuć pochodnię i uciekaj!

- A ty? - Teraz swędziało mnie nie tylko wzdłuż grzbietu, ale też za uszami. Czyżbym po prostu nałapała pcheł w trollich jaskiniach?!

- Co to za różnica, wziąć udział w bitwie minutę wcześniej czy minutę później? - Weres krzywo się uśmiechnął, nie odrywając spojrzenia od bramy. - Przecież ktoś musi ochłodzić zapal strażników, którzy przybiegną na odgłos skrzypienia zawiasów...

Nie wytrzymałam i podrapałam się wściekle. Czarodziej odwrócił się, przyjrzał ze zdziwieniem i pochylił w moim kierunku z okrzykiem:

- Szel, ruszaj stąd, natychmiast!!!

Pchnięcia już nie poczułam.

\* \* \*

Gdy ocknęłam się na ziemi, nadal chrypiąc i wijąc się z bólu, zdążyli unieruchomić mi nie tylko nadgarstki, ale też spętać kostki, zostawiając ledwie dosyć sznura bym mogła zrobić pół kroku. Szyję ścisnęła mi i przypiekała obroza, bliźniaczka znalezionej u Assariela smyczy. I właśnie

za nią podniesiono mnie na nogi, ciągnąc do zamku i nie interesując się specjalnie, czy idę, czy się wlokę.

Kamienne płyty, potem schody, które wydawały się nie mieć końca i ponownie naga podłoga. Ani dywanów, ani obrazów, ani nawet pochodni - wyłącznie unoszące się w powietrzu kule oświetleniowe o różnych kolorach i kształtach, które z rewerencją rozlatywały się przed idącymi. Wypisz wymaluj podziemne katakumby, przesiąknięte zapachem dymu. Zrodzonego nie w ognisku czy w piecu, tylko w smrodliwym pożarze, wznieconym w czasie epidemii.

Ostatecznie doszłam do siebie pośrodku pomieszczenia, którego rozmiary przywodziły na myśl paradną elfią salę, a wyposażenie - roboczy gabinet ascetycznego samotnika, który razem z meblami przeniósł się tutaj ze swojej pustelni o powierzchni dwa na trzy sążnie. Nawet regały na książki na wysokość dziesięciu półek wyglądały jak przystawione do ścian drabinki. W kominku przytulnie trzaskał ogień, otaczając aureolą blasku fotel z wysokim oparciem. Przez dłuższą chwilę nie potrafiłam zrozumieć, co z nim było nie tak, ale ostatecznie do mnie dotarło: nogi. Nie cztery tylko dwie, a i te w butach - fotel unosił się w powietrzu, nie potrzebując podpór.

Po prawej stronie ode mnie nieznamy drągał przytrzymał za kark Weresa. Czarodziejowi związano tylko ręce, a i to nie z tyłu, jak gdyby celowo robiąc pośmiewisko, że niby bez magii nic nie jesteś wart przeciwko dziesięciu uzbrojonym ludziom. A właśnie tyłu ich stało dookoła nas, odbierając wszelaką chęć do stawiania oporu.

Zwisająca z podłokietnika ręka z roztargnieniem poruszała się w górę i w dół, jak gdyby głaszcząc po łbie wiernego psa. Złoty pierścień wydawał się zbyt masywny dla tak szczupłych palców. Nie pozwalał nawet sensownie ich zewrzeć, zmuszając do lekkiego odstawiania obciążonego serdecznego.

Od strony fotela doleciało głucho warczenie, a chwilę później poczułam znany mi nieprzyjemny zapach. Dłoń z pierścieniem zacisnęła się w pięść, bez trudu powstrzymując wstającą zwierzę. Odblask z kominka odbił się na ściankach diamentu i padł w pustkę nad podłogą. W plamce światła mignęła krótka i nastroszona sierść oraz czubek kolca na metalowej obroży.

- Spokojnie, Wierna. Spokojnie. Jeszcze zdążysz.

Weres drgnął, chociaż w aksamitnym kobiecym głosie nie było nic przerażającego. Chyba tylko sens słów.

Ząbiak chwilę dreptał w miejscu, stukając pazurami, a następnie niechętnie się położył. Co jakiś czas powarkiwiał, by pani przypadkiem o nim nie zapomniała. Widziany przez jego ciało płomień wydawał się szarawy i kiedy stwór poruszał łbem, powietrze przecinało przezroczyście drzenie.

W sali pojawiło się dwóch ludzi. Właśnie *pojawiło*, materializując pomiędzy kominkiem a fotelem. Natychmiast też padli na kolana i po kolei wymruczeli obowiązkowe uprzejmości. Podstarzały czarodziej dostąpił honoru ucałowania delikatnych i paluszków i wstał. Młody nadal zginał plecy.

Gdyby za możliwość zabicia tej dwójki ktoś zaproponował mi sprzedaż duszy mrakobiesom, zgodziłabym się bez chwili wahania.

- Znajoma? - spytała kobieta, widząc, że spojrzenie rozmówcy biegnie ponad jej ramieniem.

Czarownik powoli skinął głową.

- Ćwiczyłem ucznia na niej i jej bękarcie, pokazywałem wrażliwe punkty. Po zakończeniu zostawiliśmy ją, żeby zdechła na podłodze i zwaliliśmy dach chatki... Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało jej się wydostać i przeżyć.

- Ona jest szczęściarą. A raczej była. - Kobieta lekko odepchnęła się nogą od podłogi i fotel odwrócił się. Nic specjalnego: męski strój ukrywał jej figurę, o ile w ogóle było tam cokolwiek wartego uwagi. Okrągłutka twarz, co prawda zadbana, zadarty nos, oczy ni to czarne, ni to brązowe. Za to włosy miała wspaniałe: prawdziwy wodospad lśniących kasztanowych kędziorów aż do pasa. Zresztą, jeżeli zakręcę swoje i nasmaruję olejem z łopianu, to nie będą gorsze...

No to jakiego ghyra Weres się na nią tak gapił?!

Czarodziejka uśmiechnęła się - z niespodziewaną sympatią i poczuciem winy, jak psotna

dziewczynka do kochającego i wszystko jej wybaczącego tatusia. Następnie podskoczyła i bynajmniej nie krępując się ani mnie, ani swojej ochrony, podbiegła i uwiesiła się na szyi Weresa.

- Kochanie, tak bardzo się za tobą stęskniłam!

Bysio puścił czarodzieja, a nawet pchnął go w plecy, by tamten nie zdążył się uchylić.

Zresztą, nawet nie miał zamiaru. W sali jak bicie dzwonu pogrzebowego rozbrzmiało jedno-jedynę słowo:

- Tairinn?!

I w tym momencie zrozumiałam, że teraz naprawdę wpadłam jak śliwka w kompot...

- Tak się cieszę, że cię widzę! - Czarodziejka lekko się cofnęła i objęła twarz Weresa dłońmi, z zachwytem oglądając go z bliskiej odległości. - Jak również z tego, że wciążnosisz mój prezent.

Weres odruchowo opuścił wzrok. Pierścioneł. Wąski pasek platyny, na który nawet ja swego czasu nie zwróciłam uwagi, bo absolutnie nie przeszkadzał przy zmianie opatrunków. Mając taką „latarnię”, głupsze byłoby wyłącznie obwołanie strażnika i poproszenie, by odprowadził nas do bramy i potrzymał rękawice Weresa, gdy ten będzie czarował.

Powinłam być jednak strząsnąć go z karku i z muru. Ghyr z ogonem...

- Ale... Przecież ty...

Kobieta kapryśnie wydeła wargi.

- Tak, musiałam udać, że zginęłam w tamtej walce... ale jak inaczej miałabym pozbyć się Ksandra? Nawet po twoim wygnaniu nie dawał mi spokoju, podejrzliwy stary pień. - Tairinn gadała jakby zupełnie nie dostrzegała, że Weres pełni rolę nie tyle nawet biernego słuchacza, ile kamiennego posągu. - Z domu nie mogłam wyjść bez jego wiedzy. Musiałam całkowicie porzucić laboratorium, a przecież już prawie mi się udało...

- Co?

Hm, a jednak słuchał.

Niedbałe pstryknięcie palcami. Stukanie pazurów.

- Podoba się? - spytała czarodziejka beczelnie. - Wspaniały, kochany piesek... - Ząbiak zawarczał z rozkoszy, pozwalając pańskiej ręce dość obcesowo szorować się po uszach. - Poprzedni wariant okazał się mało podatny kontroli, musiałam go zastrzelić. A i ten również jest przedostatni - został już tylko ostatni szlif, by otrzymać idealnego stróża nowej władzy.

- A co z tym? - zapytał podstarzały morderca, z wielką podejrzliwością spoglądając na ząbiaka, czy raczej miejsce gdzie stwór stał. W odróżnieniu od młodego. Ten chyba już sobie wyobrażał, jak wyjdzie na spacer z takim „pieskiem”, a napotkani ludzie będą z przerażeniem padać przed nim na kolana i twarzą w kurz.

- Oczywiście zlikwidujemy go - odparła Tairinn obojętnie, nie przestając głaskać zwierzęcia. - Absolutna pokora to wspaniała sprawa, czyż nie, malutka?

Ząbiak z oddaniem polizła ją po dłoni, zostawiając mokry ślad.

- Nie szkoda ci? - nie wytrzymałam.

- Mam żałować pomroki? - zbyła mnie czarodziejka pogardliwie.

- Ludzi też niespecjalnie żałujesz - przypomniałam z sarkazmem. - Po co szczuliście te stwory na wieś? Dla testów?

- I po to również. Ale przeważnie dla rozmnażania. Dwadzieścia trupów - i stwór się podwaja. Bardzo wygodne, nie sądzicie? - przyznała się do tego tak lekko, jakbyśmy rozmawiały o hodowli królików, dla których skoszono pole koniczyny.

- A tak w ogóle, Lin, zamknij jej paszczę, nie z nią rozmawiam.

„Chustka do nosa” Weresa nie była jeszcze najgorszą opcją. Wysmarowana dziegiem szmata okazała się znacznie paskudniejsza.

- Kochanie, tak bardzo mi cię brakowało! - Palce Tairinn zaryły się głęboko w czarnych włosach Weresa, a ona sama ze skrucną schowała twarz na jego piersi. - Przepraszam, że od tak dawna nie dawałam o sobie znać, ale chciałam najpierw wprowadzić w życie moje plany, a dopiero potem zrobić ci prezent - nową Radę Konwentu, wolną od widzimi się władców i tchórzliwych staruszków. Przecież nie odmówisz stanięcia na jej czele, prawda?

Spojrzałam na plecy Weresa, dumne, o wyprostowanych ramionach, które same z siebie były odpowiedzią. I mogłam tylko zgadywać wyraz twarzy, z którym...

- Oczywiście, kochanie. Będę z tobą do końca.

A jej twarz widziałam. I to tak dobrze, że mimo duszącej mnie obroży wychyliłam się do przodu, czując dziką chęć rozdrapania do krwi tego pełnego zadowolenia uśmiechu, z którym złapała Weresa za kołnierz i przyciągnęła do swoich warg.

Całowali się na środku ogromnej mrocznej sali, w odbłyaskach płomienia, które jak biesy skakały wokół scalonym w jedną postaciach. Przy bezdźwięcznym desperackim krzyku walącego w witraże śniegu. Pod bezwstydnymi spojrzeniami uśmiechających się najemników.

On, niezgrabnie pochylony ze związanymi rękoma przyciśniętymi do piersi. Ona - z zarzuconą na jego biodro nogą, odchyłoną do tyłu głową i na wpół przymkniętymi oczyma.

Nie kłamali.

Ani ona jemu - zachłannie, pożądliwie i gorąco, jak gdyby wypijając jego oddech. Ani on jej - delikatnie, ostrożnie próbując smaku jej warg, nie do końca wierząc w swój ziszczony sen.

A przed moimi oczyma znowu paliły się wrzosa...

\* \* \*

W kamiennej jamie było zbyt ciemno nawet dla mnie. I zimno. Ale za to przestronnie - z wisielczym optymizmem znalazłam w tej sytuacji jakąś jasną stronę. Zmieściłoby się tu jeszcze czterdziestu więźniów, przynajmniej jeśli tak samo jak mnie przykuć ich na stojąco wzdłuż ściany.

Dranie, mogliby mi dać przynajmniej koszulę. Przecież na tym zimnie do rana zdechnę.

Przestąpiłam z nogi na nogę, dzwoniąc łańcuchami. Solidne, nie ma nawet co próbować. I bransoletki również zamknięte sumiennie - chłopcy się bardzo starali. Nie śpieszyli się. Tyle dobrego, że sprawy nie wyszły poza zbereźne żarty i bezczelne obmacywanki. Swoją drogą, ciekawe dlaczego? Zwykle jest to święte prawo strażników więziennych.

Za drzwiami, gdzieś w dalekim końcu podziemia, wilczyca cichutko skamlała z bólu i przerażenia.

Zacisnęłam zęby. Niedoczekanie wasze!

Celowo butnie spojrzałam w lewo. Następnie w prawo.

Nie zauważyłam specjalnej różnicy.

Westchnęłam i zagapiłam się w dół.

No nie, co on widział w tej na wskroś fałszywej babie?! Chciała mu zrobić niespodziankę, pewnie! Pewnie jakby sam nie wlaźł do jej zamku, to by sobie nawet nie przypomniała...

I czy to przypadkiem nie na jej rozkaz ktoś go popieścił dyszlem?

Moje smętne rozmyślenia przerwane zostały kapryśnym stukaniem obcasików po kamiennych stopniach, do wtóru którego rozbrzmiewały ciężkie ale miękkie uderzenia podeszew. Tairinn. I...

Wszłuchałam się, i nie uwierzyłam własnym uszom. Ponieważ obok czarodziejki kroczył mężczyzna, do którego tuliła się, jak pomrukująca miłośniczką kotka.

I nie był to Weres.

- Tai, ta jest niczego...

- Etworze!

- Kociaczk, mam na myśli, że nie ma w niej niczego szczególnego.

- Nie drażnij mnie!

- Przepraszam, ale twoje syczenie jest takie słodkie, że cały czas kusi mnie, by to robić!

Można byłoby uznać go za jej brata: tak samo falujące długie włosy, tyle że w bardziej soczystym, prawie rudym odcieniu. Czarne przenikliwe oczy, czarny strój podobnego kroju.

Ale braterskie pocałunki są znacznie bardziej cnotliwe.

No dobra, co tam jeszcze mamy? Kwadratowa mocna szczęka z krótką brodą, która zgodnie z najnowszą modą zapuszczona została tylko u dołu i wąskimi pasemkami kierowała się ku górnej wardze oraz uszom. Dokładnie wyrównana szczecinka wąsów, spory arystokratyczny nos, lekko haczykowaty. I odpowiednia figura - wysoki, barczysty, ale poruszał się płynnie jak kot.

Piękny mężczyzna.

I piękne zwierzę. Co najmniej półtora arszyna w kłębie, o puchatym kołnierzu-grzywie, z brązowymi odcieniami szorstkiego futra i śnieżnobiałymi kłami długości palca.

Widziałam to tak wyraźnie, jak gdyby stał przede mną w swojej drugiej postaci.

A on widział mnie.

Wilkołak przysunął się tak blisko, że poczułam jego oddech na skroni. Zachłanny, urywany. I z irytacją uniosłam wargę, wiedząc, co to oznacza.

- Doskonale - warknął, oblizując się. - Zdrowa, duża samica. Niezbyt młoda, ale obstawiam, że doświadczona?

- A spadaj w cholere - rzuciłam znudzonym tonem. Oj niedobrze... nieprzekonująco.

Drań. Oczywiście bezbłędnie wyczuł to, o czym ja wiedziałam od tygodnia. Dostrzegł, jak na dźwięk jego gwałtownie zmienionego dominującego zapachu po moim ciele przebiegł mimowolny dreszcz.

- Tai, ona jutro będzie w rui. - Pochylił się i liznął mnie w szyję, powoli ciągnąc nieludzkim chropowatym językiem od obojczyka do płatka ucha. - Jak to miło. Jak tam chłopci nazwali nasze maleństwa? Ząbiaki? Jestem pewien, że dla twoich - naszych! - wspólnych dzieciaków wymyślą coś bardziej dźwięcznego.

Chyba pobladłam, ponieważ ciągnął rozmowę wyłącznie dla własnej przyjemności. Bo ja i tak wszystko doskonale rozumiałam... i sobie wyobraziłam.

- Zgadłś. Posiedzisz tu kilka miesięcy, produkując mi małego zębatego wilczka. Najchętniej samca, ale to już do twojej decyzji. Najważniejszy jest zestaw odpowiednich cech. Tai, a tak przy okazji, czy aż tak bardzo potrzebujemy twojego byłego kochanka? Może nakarmimy nasze maleństwa?

- Mój drogi, jest mi potrzebny. Poczekaj jeszcze tydzień. Podstawą moich eksperymentów była jego teoria o magicznym pochodzeniu pomrok, ale brakuje w niej jeszcze kilku obliczeń, a ja nie mam czasu się w tym babrać.

- Jakoś podejrzenie łatwo się zgodził. - Tak samo jak i ja, wilkołak uważał, że Weres zachowywał się idiotycznie. Z punktu widzenia tego, kto nigdy nie kochał.

- Nie widziałeś, jak go traktowałam w Starminie. A on tylko się ślinił z zachwytem. Nie martw się, na wszelki wypadek go przypilnuję. Choć w tej chwili on nawet czarować sensownie nie może, taki sobie mag wyłącznie z nazwy.

Uspokojony zwierz ponownie odwrócił się w moim kierunku.

- Maleństwo, jutro do ciebie wrócę. - Mocno, na granicy bólu przeciągnął paznokciem po moim policzku. - Mam nadzieję, że będziesz czekać na mnie z niecierpliwością.

Uznałam, że daruję sobie odpowiedź.

- Nie jesteś mi potrzebna ani trochę bardziej, niż Weres tobie - szepnęłam z wypełnioną wstrętem litością, patrząc na Tairinn. - Zabawka, którą można się cieszyć póki jest nowa, a następnie wyrzucić na śmietnik... uprzednio bez litości łamiąc na kolanie.

Wilkołak jedynie się wyszczerzył, pieszczotliwie głaszcząc Tairinn po plecach, tak jak wcześniej ona głaskała ząbiaka.

Czarodziejka roześmiała się ochryple i potarła policzkiem o jego ramię.

- Wierzyć w miłość do skończenia świata mogą wyłącznie romantyczne głupki w rodzaju naszego wspólnego znajomego. A ja i Etwor trzymamy się razem, póki jest to dla nas korzystne... i przyjemne.

Ale ja, jak gdyby jej nie słysząc, coraz mocniej krzywiłam wargi w uśmiechu satysfakcji.

- Widzisz, wiedzmo, a jednak cię dotknęłam. Czepiasz się go, jak rzep psiego ogona. Jesteś zazdrosna nawet o wilczyce, które urodziły mu kudłaki, mimo że było to częścią twojego własnego planu. A co dopiero o mnie. I wiesz, na czym polega twój największy problem? On to również wyczuwa. Że może kręcić tobą na wszystkie strony... i nie tylko w łóżku.

- Kochanie, chodźmy. - Wilkołak wziął czarodziejkę za rękę, za jej plecami posyłając mi uśmiech pokazujący długie kły. *Mądra Szelena, zgadłś. Tylko mogłabyś sobie najpierw przypomnieć, jak „kochają” takich proroków.* - Przecież sama wiesz, jak dobrze tutejsze otoczenie

wpływa na fantazję i rozmowność.

„Nienawidzę wilkołaków!” - pomyślałam, po czym uświadomiłam sobie komizm tej myśli i zaczęłam niepowstrzymanie chichotać. Niech myślą, że z nerwów, olać. Tym bardziej, że wcale nie było to dalekie od prawdy.

- Idź, dogonię cię. - Tairinn poczekała, aż kochanek niedbale pogwizdując wejdzie po schodach. - Masz rację, ścierwo - syknęła, już nie hamując ani wykrzywiającej twarz wściekłości, ani drżącego głosu. - Dotknęłaś mnie. Ale nie bardziej boleśnie, niż ja ciebie. A to dopiero początek!

Na odchodnym poczęstowała mnie pięścią w brzuch - zapobiegawcza dziewczynka, w przeciwnym razie powiedziałabym jej jeszcze parę przyjemnych rzeczy! - po czym wyszła śladem wilkołaka.

Złapałam oddech i ze zmęczeniem zwisłam na łańcuchach, gapiąc się w sufit. Zdarzało się boleśniej. Ale tak ponizająco - ani razu.

Nie powiedzieli, czy uwolnią mnie po tym wszystkim, czy zabiją, czy po prostu zostawią tu na dole.

I tak wiedziałam.

Jeżeli wilkołaki się nienawidziły, to o parzeniu się nie było mowy. Jeżeli kochały, to tym bardziej.

Dojrzewający płód zabijał swoją matkę, wydostając się na zewnątrz z użyciem pazurów i kłów.

\* \* \*

Powoli schodził po dudniących stopniach, jak gdyby zastanawiając się nad każdym krokiem. Nie zdziwiłabym się, gdyby w którymś momencie kroki ucichły, a następnie zaczęły się oddalać - już znacznie szybciej.

Ale mimo wszystko otworzył drzwi.

- Nie stój tak w progu - rzuciłam obojętnie. - Szczęście z domu wypuścisz.

Tak samo powoli, noga za nogą, zbliżył się do mnie. Długo i uważnie oglądał, jak gdyby sprawdzając, czy łańcuchy wytrzymają. W końcu uśmiechnął się krzywo.

- Ostatecznie jesteśmy wrogami, i nie dałem ci żadnego powodu, by w to zwątpić. Szel, na co miałaś nadzieję? Ze szlachetny czarodziej zobaczy, jak bardzo jesteś dobra i wspaniała, i zapomni o przysiędze, albo nawet da się złapać na twoje chude... żebra, jeżeli będziesz je demonstrować przy każdej nadarzającej się okazji?

- To czemu nawet teraz tak się na nie gapisz?

- Przecież tobie również podobało się oglądanie mnie, czyż nie? Upajanie się władzą nad bezradnym mężczyzną, którego nie mogłaś dostać w inny sposób i w tajemnicy liczyłaś na chore przywiązanie ofiary do swojego oprawcy?

- Bzdura. Czarowniku, tobie do reszty odbiło.

- Masz może inne wyjaśnienie swoich działań? Dziwne, bo przecież nie jesteś zdolna ani do przyjaźni, ani do litości. W ogóle nie masz prawdziwych uczuć, wyłącznie wilcze instynkty. Jeden macierzyński, który zmusza do zbierania wszystkiego, co bezradnie popiskuje i drugi - w trudnych czasach dołączając do stada. Wilczyco, wyświadczyły ci one nienajlepszą przysługę.

- Weresie, szukasz dla siebie wymówki. Ale niestety nie uda ci się ulepić jej z natchnionych słów. Jakkolwiek przekonywująco by nie brzmiały. Idź, baw się dobrze z tą twoją wiedzą. Ona chętnie przekona cię o prawidłowości dokonanego wyboru.

- Chyba tak właśnie zrobię. - Czarodziej przeciągnął ręką po czole, ścierając pot, po czym chwając się na nogach wzdłuż ściany ruszył do wyjścia. - Żegnaj, Szeleno. Jeśli cię to pocieszy, byłaś godnym wrogiem. Chociaż głupim.

...

*...czasami wydaje mi się, że wspinam się na pionową skałę. Zakrwawionymi palcami desperacko czepiam się ledwo zauważalnych wgłębień, całym ciałem tulę do zimnych kamieni, a nade mną jest tylko szare obojętne niebo i przenikliwy krzyk krążącego nad przepaścią jastrzębia.*

*I wystarczy, bym na chwilę się rozluźniła, czując pod nogami szeroką półkę, która wydaje się całkiem pewna, gdy ta niespodziewanie trzaska i drobnymi okruszkami zlatuje w przepaść, pozostawiając mnie bez jakiegokolwiek oparcia.*

*Powodzenie. Przyjaźń. Miłość. Obowiązek.*

*Kawałki granitu, szeleszczące wzdłuż zbocza.*

*Na tym świecie nie ma nic solidnego. Nic wiecznego.*

*I po skale lepiej jest wlażyć z wysuniętymi pazurami, bez litości wbijając je w wygodne dla ciebie szczeliny.*

*I nigdy się nie oglądać.*

*Bo i tak ich nie wskrzeszę. I ja nie wrócę...*

...

- Ten co zdradził wroga, kiedyś zdradzi też przyjaciela - szepnęłam za nim ze smutkiem. Drgnął, ale się nie odwrócił.

## Rozdział 18

Stałam z zamkniętymi oczyma, przyciskając potylicę do ściany, która parzyła zimnem, nie pozwalając zasnąć.

Stałam i czekałam, aż odejdzie szczur.

Z sufitu miarowo kapłała woda, jak wąż przemykając w szczelinach pomiędzy kamieniami. Poza tym żadnego dźwięku. Takie uczucie, jakby podziemia zamku zostały zbudowane specjalnie dla mnie. Cóż, długo puste nie pozostaną...

No, w końcu. Otworzyłam oczy, nie zdradzając się westchnieniem ulgi. Powoli napięłam mięśnie i łańcuchy ledwo słyszalnie chrupnęły, porowatymi kawałkami spadając na ziemię. Po kolei ścisnęłam zaklepane obręcze na nadgarstkach i wysypałam z dłoni miał, podobny do węglowego. Opadłam na kolana, uznając, że minuty stracone na transformację z nawiązką zwrócą się zaletami zwierzęcej postaci. Bezszelestnie przekradłam się do drzwi, pchnęłam je łapami, a one zaczęły baardzo powoli wypadać na zewnątrz, tak że z ledwością zdołałam złapać zębami brzeg okienka dla ciekawskich strażników. Krata na nim natychmiast się rozsypała, zapraszając oczy. Z trudem ułożyłam drzwi na stopniach (stuknęły, ale udało mi się uniknąć ogłuszającego łupnięcia) i ruszyłam schodami na górę, w trakcie kichając i pocierając pysk łapami.

Jakiś naiwny chłopina z mieczem na kilka sekund zdenerwował się moją samowolą, ale po ich upływie nie miał kto przedstawiać pretensji. Dobranie klucza zajęło znacznie więcej czasu - w pęczku bujało się ich ze trzydzieści, a jeszcze spróbuj przekręcić kółko zębami!

Zamek wydał mi się ogromny. Parter - pojedyncza sala z kolumnami - nadałby się do szkolenia kawalerii. Potrzebny mi ślad prowadził w górę szerokich schodów, po których już chyba szłam, choć nie z własnej woli.

Na piętrze panowała taka sama pustka. W ścianach pomieszczenia, które było o rząd wielkości mniejsze, ale nadal robiło wrażenie, czerniały dziesiątki zaokrąglonych u góry przejść, od których rozchodziły się korytarze. Skulona pod ścianą, błyskawicznie zniknęłam w trzecim od prawej.

Weres czekał na mnie przy uchylonych drzwiach. Bez zbędnych słów pchnęłam go łapami w pierś, wpychając do środka.

- Durniu jeden, jeszcze byś na korytarz wyszedł!

- Martwiłem się. - Znalazł wymówkę, wsuwając na miejsce powyginany pręt zasuw. -

Bałem, że się nie domyślisz i będę musiał wracać.

- Drzwi prawie wypadły.

Czarodziej się zawstydził.

- Nie pomyślałem o tym... Zakląłem wszystko, co znajdowało się w celi i było zrobione z żelaza. Dla wybiórczego celowania musiałbym ruszać rękoma, a tam jeszcze ktoś był.

- Szczur. Przyczaił się koło wyjścia z nory. Przez trzy godziny tak siedział, zaraza jedna!

Normalne zwierzęta tak się nie zachowują.

- A to o to chodziło! Również poczułem, że mnie ktoś śledzi, tylko nijak nie potrafiłem zrozumieć, kto i skąd. Miałem wielką ochotę odwrócić się i odejść, ale uznałem, że jednak zaryzykuję...

- O czym wiedzą? - przerwałam mu.

- O co ci chodzi?!

- Co im opowiedziałeś, ty nedorobiony czarowniku?!

- Że wleźliśmy do zamku przekonać się, kto tu wszystkim zawiaduje i w miarę możliwości go wykończyć. - Weres wydawał się nie rozumieć, dlaczego jestem taka wkurzona.



Widzicie go, mam chude „zebra”!

- A o wojsku w lesie?

- Za kogo mnie bierzesz?!

- Na pewno?

- Szeleno! Jak dawno czyściłaś te swoje kły? - Weres bez ceregieli jedną ręką złapał mnie za górną szczękę, drugą za dolną, po czym z kłapnięciem je zamknął. Wyrwałam się z wściekłością.  
- Lepiej byś spytała, co oni mi opowiedzieli. W zamku w tej chwili faktycznie jest mało ludzi: około dziesięciu magów, pół setki najemników i stado ząbiaków - czyli ci, co przyszli z tamtej strony.

- A jak się tam w ogóle dostali? - Z irytacją oblizalam pysk, uznając, że awanturę rzeczywiście mogę odłożyć na później.

- Przez inne Kręgi. Nasz świat styka się z pięcioma czy sześcioma innymi, a może nawet i znacznie większą ich liczbą, tyle że o nich nie wiemy. Niezbyt nadają się do życia, ale jeden okazał się całkiem znośny jako plac budowy. Magowie znaleźli w nim miejsce, które z czasem robiło się coraz cieńsze, czyli Krąg. Wybudowali na nim zamek, a dopiero tam komfortowo nakreślili pentagram przenoszący. No to Morriel ma swoją odpowiedź na pytanie, co się stało z elfami-renegatami - ich portale „urywały się” nad jednym z już istniejących Kręgów, przerzucając spiskowców na drugą stronę.

- Ile oni tę machinę budowali...? - gwizdnęłam, a raczej warknęłam z szacunkiem.

- Myślę, że jakieś trzy godziny. Oczywiście, plus parę lat obliczeń teoretycznych. A ja się cały czas zastanawiałem, po ghyra im taki tłum ofiarnych krasnoludek, podczas gdy dla otwarcia Kręgu w zupełności wystarczyłaby jedna? Okazuje się, że w tamtym świecie nie ma źródeł mocy magicznej, więc czarodzieje musieli zabrać je ze sobą, w postaci właśnie amuletów-zbiorników.

- Ale przecież udało nam się przegonić dajna!

- Niestety, stamtąd go przegoniliśmy, a z innego miejsca komuś się nie udało - pamiętaj, trolle również mówiły, że im giną dzieci... - Weres nie rozwijał dalej paskudnego nekromanckiego tematu. - Ale słuchaj dalej. Większość czarowników znajduje się teraz w Starminie, przygotowują zamachy na nadwornych członków Konwentu. Dokładnie tak jak myśleliśmy, odbędą się w noc przełomu zimy, a następnie mordercy teleportują się tutaj. Opłacone wojsko najemników już maszeruje w kierunku zamku, spodziewają się go w każdej chwili. Czarowników, którzy odpowiadają za rozmnażanie ząbiaków - również. Zgodnie z obliczeniami Ta... spiskowców, powinna ich być nie mniej, niż setka.

- Magów czy ząbiaków?

- Tych i tych. A zwykłych wojowników, łuczników i kuszników, planują coś koło dwóch tysięcy. Na razie. Potem, jeżeli sprawa ruszy, na pewno dołączą kolejni. Tak więc im szybciej zadamy decydujący cios, tym lepiej! Jeżeli zajmiemy zamek i się w nim zamkniemy, to w tym momencie spiskowcy będą mogli jedynie przeklinać pod murami!

Zauważyłam, że z uporem unika wypowiedzenia tak drogiego sobie imienia i w ogóle tematu udziału Tairinn w spisku.

- A jak tam twoja wspaniała, dobra, kochana, jasnej pamięci Tairinn?

- To nie Tai. - Mimowolnie zacisnął pięści i zrozumiałam, jak bardzo go bolało nawet wspomnienie jej. - To potwór, który przyjął jej oblicze.

Chciałam powiedzieć, że Tai zawsze była potworem, a wspaniałe oblicze wymyślił jej naiwny kochanek, ale w porę ugryzłam się w język. On i tak o tym wszystkim wiedział i najbardziej wściekał się na siebie.

- Jeśli chcesz, to się nią zajmę?

Pokręcił głową.

- Muszę popatrzeć jej w oczy...

Sceptycznie zastrzygłam uszami.

- A jesteś pewien, że zdołasz popatrzeć i...?

Weres zignorował pytanie, zwinął w rulon podróżny koc i wepchnął go pod ten leżący na łóżku. Cofnął się do ściany, podziwiając dzieło swoich rąk, z niezadowoleniem pokręcił głową,

wyciągnął nóż i bez litości odciął sobie pęczek włosów. Ulokował je na poduszce, artystycznie wyprostował. Ponownie spojrzął, zastanowił się i zdjął buty, stawiając je koło łóżka.

- Po co takie ofiary? - Spojrzałam na jego asymetryczną fryzurę, próbując zrozumieć, czy mi się podoba. Hm, coś w niej jednak było! - Dlaczego po prostu nie stworzysz iluzji?

- Nie oszukam nią maga.

- A butami tak? - zachichotałam.

- Mam nadzieję.

- A jak wpadnie jej do głowy przespać się w twoim łóżku?

- Wątpię. - Czarodziej jeszcze bardziej spochmurniał i skinął głową w kierunku pustego kielicha na stole. - Poza tym jest przekonana, że szczęśliwie prześpię do południa... ale po tamtym wypadku z Lliotarelem zrobiłem się wyjątkowo podejrzliwy. Ruszemy z miejsca, w którym nam przerwano! Albo nawet odrobinę wcześniej.

Po czym podszedł do okna i otworzył żelazne okiennice.

- O nieeee! - jęknęłam. - Znowu?! A nie możemy po prostu wyjść przez drzwi?

- Możemy, o ile straż cię wypuści. Chodź, tu nie jest wysoko, tylko jakieś dziewięć sążni!

- No to sam skacz, jak to nie wysoko!

- Szel, nie zgrywaj głupiej. Chcesz, żeby Tairinn cię tu przyłapała?

- A ty się tylko ucieszysz?

- A co to znowuż za brednie?!

- Przecież się z nią całowałeś. - Choć bardzo się starałam, głos mi drgnął zdradziecko.

- I co z tego? - Czarodziej odwrócił się w moim kierunku. Zauważył? Czy złożył na karb ochryplego głosu drugiej postaci?

- Całowałeś się z nią naprawdę! - Ech, jednak głos załamał mi się z urazy, kretyńska jedna! Słusznie Weres się ze mnie śmieje.

- Naprawdę, tylko nie z nią. Jak ty tam mówiłaś, w mroku wszyscy mężczyźni są jednakowo szarzy? No więc, kochana moja, jeżeli zamknąć oczy, to wszystkie kobiety również. I mogłem wyobrazić sobie na jej miejscu kogo tylko chciałem.

- Nawet i mnie?

- Nawet i ciebie - potwierdził Weres poważnie, po czym nie pozwalając bym w oszołomieniu otworzyła pysk, pociągnął mnie za kark ku oknu. - Chodź, bo nasze wojsko zaraz ostatecznie skapieje pod tymi murami! Wyobraź sobie jak zaghyrzą się rano strażnicy widząc całe pole wrogich żołnierzy, którzy podkradli się niezauważenie, a następnie zamazali na kość?!

- Umrą ze śmiechu - zgodziłam się, posłusznie drepzcząc za nim. *Szel, odbiło ci!*

*Następnym razem poprowadzi cię na smyczy, a ty będziesz tylko ogonem merdać ze szczęścia! Natychmiast masz się otrząsnąć!!!* - I nasze zadanie tak czy siak można będzie uznać za wykonane. Ale pewniejszą metodą jest otwarcie bramy i zrzucenie pochodni. Tyle że... Naprawdę uważasz, że kierują mną wilcze instynkty?

- Szeleno! - oburzył się czarodziej. - Plotłem trzy po trzy żeby tylko zyskać na czasie! Myślisz, że to takie łatwe, układać w myśli zakłęcie i równocześnie odgrywać drania?!

- Hm, a ja prawie uwierzyłam... - mruknęłam, udając, że mam zamiar naznaczyć nogę łóżka.

Kopniak w zadek natychmiast uwolnił mnie od resztek niedowierzania. Na takie coś mógł pozwolić sobie wyłącznie prawdziwy, wierny wróg.

\* \* \*

Na dziedzińcu nadal panowała tak złowieszczą cisza, że nawet śnieg obawiał się na niego spadać. Co prawda przy bramie stała dwójka najemników, ale traktowali swoje obowiązki tak poważnie, że bez przeszkód zakradliśmy się im za plecy, podczas gdy strażnicy gapili się na pustkowie za okienkami.

- I po co przełaziliśmy przez mur, skoro ponownie mnie na niego ciągniesz? - oburzyłam się.

- Miałem czas, by zbadać zakłęcie ochronne. Jego słabe punkty znajdują się nad

wieżyczkami, a jeśli rozplączę przynajmniej jeden „supełek”, to kontur się otworzy. Im bliżej będę takiego miejsca, tym lepiej.

- A brama?

- Splotę zaklęcie wielokomponentowe, które sprawi, że stanie się widzialna, a po kolejnych dziesięciu minutach się otworzy. - Głos Weresa nie brzmiał szczególnie pewnie, ale nie wątpiłam, że czarodziej dołoży wszystkich starań.

- Ciii, strażnik się zbliża! - Złowiłam znajomy zapach i zatrząsałam się w ataku bezdźwięcznego śmiechu. Ciekawe, ukarali biedaka, bo nie upilnował posterunku, czy uniósł się dumą i stwierdził, że zmaże swą winę?

- Witaj, to znowu my! - ogłosiłam radośnie, niespodziewanie przeskakując ze schodków na mur i zwalając pechowca z nóg. Strażnik walnął głową o kamień i pokornie stracił przytomność. Korzystając z nabytego doświadczenia, Weres podparł biedaka włócznią.

Zajrzałam do wieżyczki, przekonałam się, że nikogo więcej tam nie ma, puściłam Weresa przodem i usiadłam przy wejściu, jednym okiem spoglądając na zewnątrz, a drugim do środka.

- Trzymaj. - Czarodziej sam założył mi na szyję sznurek z naturalnie dziurawym kamyczkiem. - Ten drobiażdżek odrzuci od ciebie dwa czy trzy zaklęcia bojowe. Może i cztery, zależy od poziomu maga, ale nie radzę ryzykować.

Pochyliłam pysk, próbując się wywinąć.

- A może lepiej on będzie chronił ciebie, a ty mnie? Bo mam nadzieję, że ciebie starczy na więcej?

Czarodziej uśmiechnął się. Z takim smutkiem i rezygnacją, że natychmiast przypomniałam sobie i zrozumiałam.

*...to zaklęcie to ma jeden skutek uboczny: ściąga do siebie rezerwę magiczną, pozwalając mi korzystać wyłącznie z jednej dziesiątej jej części, jakkolwiek duża by nie była. A całą resztę muszę wyciągać z własnego organizmu, czerpiąc siły z zapasu zwykle nietykalnego - aury...*

- Weres!!!

Za późno. Wypracowanym, płynnym i spokojnym ruchem uniósł ręce, jak gdyby pokazując uczniowi kolejny gest.

Koniuszki jego palców otuliły się ciepłym lśnieniem, przekreśliły powietrze lśniącymi łukami.

Weres zamknął oczy i zaczął mówić, nadal wyplatając lśniąca koronkę. Pierwsze linie już zgasły, ale zamiast nich cały czas pojawiały się kolejne. Wzór cały czas się zmieniał, przepływał z jednego w drugi, doskonale wyważony, harmonijny i urzekający.

Ostatni twór mistrza powinien być tym najlepszym, czy mowa o obrazie, pieśni, rzeźbie... czy zaklęciu. Żeby pamiętano o nim przez wieki, gorąco zazdroszcząc jedynemu świadkowi tego wyjątkowego czynu... który najmniej ze wszystkich rzeczy miał ochotę na utrwalanie go w swojej pamięci.

Odwróciłam się, i często mrugając patrzyłam, jak arszyn po arszynie topnieje iluzja, obnażając czarne odrzwia.

Ostatnie słowo na ostatnim tchnieniu - i cisza. Tęsknie jak wilk zawył wiatr, hulający po równinie, na dziedzińcu w końcu zaczął spadać śnieg, który szybko wybielił kamienie. Ognie pochodni na szczycie muru zamigotały i zaczęły tańczyć. Wtórowały im światła śpiesznie zapalające się w oknach zamku.

„Czas najwyższy dać sygnał naszym” - przemknęło mi przez myśl, ale nawet się nie ruszyłam.

Głębokie westchnienie...

- No cóż, w ostatniej chwili. A już myślałam, że ta cholerna regeneracja nigdy się nie skończy!

- Amuletu nie oddam - zdołałam wykrztusić, wstając i śpiesznie wychodząc z wieżyczki, by Weres nie zauważył mokrych ścieżek w futrze na moim pysku.

- Czyżbym tak bardzo cię zmartwił? - Jak bardzo by się czarodziej nie starał, skrucha mu nie wyszła, bo stanowczo czuł się zbyt dobrze, cudem uniknąwszy śmierci, która wydawała się

całkiem nieodwracalna.

- Nic to, ja też będę świętować - jak po tygodniu czy dwóch padniesz od gangreny.

Weres prześledził moje spojrzenie i dopiero teraz poczuł, że oblodzone skarpety to mizerna namiastka butów.

- Jak myślisz, czy ten tu wspaniały włócznik będzie miał coś przeciwko, jeśli pożyczę od niego obuwie?

- W najgorszym razie zdejmiesz z trupa.

Chyba jak tak dalej pójdzie to zrobię się takim ekspertem od magii, że będę mogła wziąć ucznia. A przynajmniej lekki zapach spalenizny, towarzyszący otwierającemu się portalowi potrafiłam już odróżnić bezbłędnie.

- Tak-tak-tak! - Tairinn nawet nie uznała za stosowne, by zabrać ze sobą kilku strażników czy ząbiaka. Niosła jedynie pochodnię i srebrną smycz, którą wyraziście po pańsku machała, niespiesznie zbliżając się do mnie wzdłuż krawędzi muru.

Cofnęłam się w udawanym przerażeniu.

- To wcale nie to co myślisz! Po prostu sobie rozmawialiśmy, zażywaliśmy świeżego powietrza...

Włócznia za moim ogonem pochyliła się i upadła. Strażnik jak stał runął na kamienie, dzwoniąc kolczugą.

Weres bez pośpiechu dokończył sznurowanie zdobycznego buta, a następnie się wyprostował.

- Przepraszam, Tairinn. Ale jeśli lubisz kłamać i mordować, to bądź gotowa, że kiedyś ktoś postąpi wobec ciebie tak samo.

- A co z twoimi wspaniałymi zasadami? - syknęła czarodziejka z wściekłością, w jednej chwili porzucając wizerunek „kochanej kapryśnej dziewczynki”. Ech, że też naszego rzeźbiarza tu nie było! Co za wspaniała kreacja, harpie i bazyliuszki mogą się schować ze wstydu!

- Niestety, z kim przestajesz...

Ledwo zdążyłam przytulić się do ziemi, gdy nad moim grzbietem przemknęły płomienne strzały i zderzyły się z lodową tarczą, zasypując mi futro iskrami.

- Tai, przerywanie rozmówcy jest niegrzeczne.

Łatwość, z jaką Weres wystawił obronę, wzbudziła w czarodziejce niepokój. Nie schylając się po smycz, którą wypuściła podczas ataku, zrobiła kilka kroków do tyłu, trzymając swobodną rękę za plecami.

Warknęłam ostrzegawczo, ale Weres i tak wszystko doskonale widział. W chwili gdy podła czarodziejska rączka, niczym atakująca kobra wyprysnęła do przodu, on gwałtownie wystawił własną rękę - co zamierzała zrobić Tairinn, pozostało dla mnie tajemnicą.

Kobieta wbiła nic nie rozumiejące spojrzenie w swoją pustą dłoń. W pośpiechu powtórzyła gesty, teraz już otwarcie.

I jeszcze raz, inaczej.

I kolejny.

- Drań, sukinsyn! - wydarła się bardziej ze zdziwieniem, niż przestachem. - Zablockowałeś mnie!

Weres nie odpowiedział, a tylko uważnie spojrzał jej w oczy, nawet nie próbując w nich cokolwiek odnaleźć, wyłącznie zapamiętując.

„Będę z tobą do końca...”

- Żegnaj, Tai.

- Co?!

Jeszcze nie rozumiała. Nie wierzyła.

To nieprawda, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Istnieją znacznie bliższe rzeczy.

Obojętność. Gorycz. Pustka.

On zrobiłby to, co obiecywał.

I zapaskudził wspomnieniami resztę swojego życia.

Wtedy ja również wskoczyłam na szczyt muru, pomiędzy niego a nią, zatrzymując jego wznoszącą się rękę. Z ciekawością spojrzałam w dół, w mrok, wyobrażając sobie tysiące oczu, z zachłanną niecierpliwością wpatrzone w pochodnię. I spokojnie potruchtałam w kierunku kobiety.

- Weres!!!

Czarne włosy trzepotały na wietrze jak skrzydło kruka.

On żałował. Ale tylko tyle.

- Weeeres!!! - Głos czarodziejki zmienił się w histeryczny wrzask. - Zabierz swojego stwora!

Przepraszam, kochana, ale ja nie jestem jego. A on nie jest mój. Manipulowanie cudzymi uczuciami samej zachowując zimną krew to przywilej paskud takich jak ty. Wszystko powinno być uczciwie. Albo nie być w ogóle. I właśnie dlatego ty teraz stoisz nad przepaścią, a ja, która wybrałam wiernego wroga nad kłamliwego przyjaciela, tylko odrobinę mu pomagam. Zupełnie ciut-ciut. Ale czasami tyle wystarczy dla zwycięstwa...

Tairinn cofnęła się. Poślizgnęła i desperacko machnęła rękoma, czując za plecami trzydzieści sążni pustki.

No czemu się rzucasz? Nawet cię nie dotknę... No dobrze, prawie.

Przechodząc obok wygięłam grzbiet i leciutko, ledwo zauważalnie jak głodna kotka otarłam się o jej nogi.

Polecieli w dół na wyścigi - krzyk, Tairinn i pochodnia.

Syczenie ognia, który przegrał ze śniegiem, usłyszałam tylko ja jedna.

A głuche łupnięcie - oboje.

Weres powoli cofnął ręce od twarzy, ale jednak nie ruszył się z miejsca. Gdy na zewnątrz sroży się mróz to jeszcze nic takiego. Założyć cieplejsze buty, nieco grubszy kozuch i nalać mocniejszego grogu, żaden problem. Ale co zrobić z oblodzonym sercem?

- Dziękuję.

Usiadłam i z namysłem podrapałam się za uchem.

- Za co? A, że nie zeżarłam jej żywca w twojej obecności, najpierw rączkę, a potem nóżkę....

- Szelena!!!

- Też sobie pomyślałam, że zaczęłyby się drzeć jakby ją kto kroił, obudzi cały zamek...

W krenelaż rąbnęła wielki kawał lodu, ale mnie w tym miejscu już nie było. W końcu nie na darmo cały czas dostawałam od niego cięgi za utratę czujności?

- Bezwstydne, paskudne stworzenie!

Następną bryłkę złapałam w paszczę, jak pies bawiący się ze swoim panem. I zacisnęłam szczęki, tak że tylko śnieżny pył poleciał.

- Ojej, a jeszcze, a jeszcze?!

Weres zaklął z głębi serca, ale przestał rzucać czym popadnie.

- Rozgrzałeś się? - spytałam rzeczowo, podchodząc bliżej.

- Przybiję twój łeb nad drzwiami i będę do niego rzucał gwiazdami, jak mi się nastrój zepsuje. - Czarodziej położył rękę na moim karku i przechylił się nad krawędzią muru. Mrok.

Cisza. Tyle że tupią butami zwabieni krzykiem wartownicy, którzy na razie jeszcze nie widzą nas za wieżyczką.

- A co, jak ich tam nie ma?! - szepnął Weres, z obawą odliczając sekundy od chwili upadku pochodni.

Ale byli.

To wyglądało jak rozpalanie ogniska - iskra spada na pęczek suchej trawy i znika, a ty cierpliwie czekasz, na wszelki wypadek trzymając w pogotowiu krzesiwo. Przez kilka sekund nic się nie dzieje, a potem nagle z rozpałki i to w całkiem innym miejscu, niż to w które się wpatrujesz, wyrasta języczek płomienia. Dotyka suchej świerkowej gałązki, wyciąga się i zaczyna chrupać igły, podczas gdy dookoła jeden za drugim pojawiają się jego towarzysze. Jedne płomyczki zanikają, a inne idą za jego przykładem, sięgając po coraz to grubsze gałęzie.

Na początku w dole pojawiły się samotne płomyki pochodni.

Następnie zajęły się i zapłonęły kupy chrustu.

I w końcu pod niebo uniosła się karmazynowa świeca w złotej aureoli, która jak płomienna lilia otworzyła się i zawisała nad zamkiem.

- Jednak się zjawili! - rozjaśnił się Weres, ostatecznie dochodząc do siebie. - Maren dał radę, to jego koronny „feniks”!

- Yhym... - Ucieszyłam się nieco mrukliwie, ponieważ najpierw jednak pojawili się strażnicy. Właściwie dobiegli nawet wcześniej, tak więc wszystko co zostało opisane powyżej obserwowaliśmy już stojąc plecami do ogona.

Tyle dobrego, że Weres nie poprosił mnie o oszczędzenie również tych ludzi. Sami skoczyli z murów. Musiałam jedynie przez chwilę utrzymać ich na dystans, póki czarodziej nie skończy recytować zaklęcia.

Dookoła zamku zrobiło się jasno, jak w dzień. A raczej jak podczas karmazynowego zimowego zachodu słońca, który rozlał się od horyzontu po horyzont, a na jego tle niczym czerwony rysunek wisiał smok, odrzucając głowę do tyłu w triumfalnym ryku.

Po lewej i po prawej stronie otworzyły się trzy teleporty. Jeden tak samo profesjonalnie bezdźwięczny i dokładny, jak w wykonaniu Tairinn, oraz dwa nieco gorsze, które wyrzuciły swoich twórców w chmurach smrodliwego dymu o jakiś arszyn czy półtora nad poziomem podłogi. O dziwo, ten najlepszy należał do najmłodszego czarownika, którego twarz, choć nieco zmieniła się z wiekiem, zapamiętałam na całe życie.

Bez chwili namysłu z rykiem rzuciłam się na niego - najgłupsza rzecz, jaką w tej sytuacji może zrobić wilkołak.

Mag z paskudnym uśmiechem pochylił się i odstawił łokcie, jak gdyby zamierzając skoczyć mi na spotkanie. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, mam dość czasu by zabrać cię ze sobą...

Cios trafił w bok, który naiwnie uznawałam za najbardziej chroniony. Ani klinga ani zaklęcie, zwykła fala mocy, zrodzona szerokiego gestu Weresa, złapała mnie w połowie drogi i jak drobinę puchu wyrzuciła za mur.

Z zawstydzającym piskiem zaczęłam młócić powietrze łapami, jakbym miała zamiar pofrunąć. Kilka razy przeturlałam się przez głowę, ostatecznie pogubiłam się gdzie jest niebo, a gdzie ziemia, po czym wylądowałam na czymś tyłkiem.

- Zzzaraza, wciągnij pazury! - ryknął smok, próbując wyrównać lot.

Z takim samym skutkiem mógł poprosić o to kota, który desperacko wczepia się w gałąź na czubku drzewa. W tak denerwującej chwili moje pazury można by rozluźnić jedynie kleszczami, ale - co za pech! - zapomniałam ich zabrać.

- Od zzzarazy słyszę... - wychrypiałam nieoryginalnie, z trudem powstrzymując pragnienie, by wbić w niego również kły. Grzebień naszemu smoczkowi jeszcze nie wyrósł, a łuski okazały się tak śliskie, jakbym jechała wierzchem na wysmarowanej masłem beczce.

Mrok zawisnął w miejscu, rozglądając się na boki. Skórzaste skrzydła z trudem młóciły powietrze, prawie zagłuszając hałas trwającej na dole bitwy. Brama uchyliła się na szerokość pół sążnia, a za nią trwała desperacka potyczka. Nasi magowie ciągnęli w swoim kierunku, przeciwnicy do siebie, a zdradziecko wygięty pomiędzy odrzwiami bal, na którym wisiały wymieszane ze sobą trolle i krasnoludy (przy tym te ostatnie miejscami faktycznie wisiały), nie pozwalał jej zatrasnąć się ostatecznie.

Po pobieżnej ocenie nasze wojsko wydało mi się jakieś trzy razy liczniejsze niż przed naszym odejściem. Przyjrzałam się i dostrzegłam w jego szeregach kilku rycerzy w zbrojach z emblematem białego kruka, a nieco dalej - oddział królewskich legionistów, którzy metodycznie siekali mieczami zamkniętego w pierścień ząbiaka. Koło nich z uniesionymi rękoma tkwiła figura w szarym płaszczu. Niby nic takiego nie robiła, ale potwór, który zrobił się nie to żeby widzialny, ale jakiś zacieniony, próbował dostać się właśnie do niej.

Wrogów również było trochę dużo jak na to, co wyliczył Weres. Przy bramie broniła się przynajmniej setka najemników, przeważnie orków i ludzi, chociaż trafiały się wśród nich również jakieś trolle i elfy. Z okienek strzelniczych tuzinami leciały strzały oraz kule ogniste, a przecież jeszcze nawet nie udało nam się wdrzeć na dziedziniec!

Zrozumiałam co się dzieje, dopiero wtedy, gdy w odległym kącie coś zaśniło, następnie zadymilo, a po chwili na tym miejscu pojawiło się pół tuzina żołnierzy dowodzonych przez maga. Najemnicy, którzy posuwali się w kierunku zamku, uznali, że oszczędzą sobie drogi, używając teleportu.

Ze wschodniej wieży dolatywało chóralne wycie. Ząbiaki, czując zapach krwi i słysząc przedśmiertne krzyki, szalały w swoich klatkach. Ale jedna rzecz to uwolnić stado pomroki w kierunku przeciwnika i szybko zamknąć bramę, a zupełnie co innego, gdy wrze pod nią walka wręcz. Oczywiście było, że ząbiaki nie znały każdego spiskowca z twarzy, a tamci nie byli samobójcami. Z tej samej przyczyny obie strony nie śpieszyły się z używaniem magii, ograniczając do lokalnych starć. Co prawda nasi próbowali przebić mur, ale coś nie wypaliło - mimo że paliło się całkiem wyraźnie - więc ponownie skupili się na bramie.

W miejscu, z którego Weres tak podle wysłał mnie do lotu ziała ogromna dziura. Od szczytu muru „odgryziony” został ogromny kawałek, nadal spadały kamienie, a na górze widać było zorzę, zrodzoną z nieprzerwanie wybuchających ogni. Absolutnie nie dało się określić, co się tam działo. No dobrze, skoro nadal działo, to pewnie magom wciąż jeszcze nie udało się unicestwić Weresa.

- Hej, a ty dokąd?! - Przepelzłam bliżej smoczjej szyi i uczepiłam się jej łapami, uczciwie próbując nie drapać. - Podrzuc mnie z powrotem do zamku!

- Po co?! Lepiej będzie, jak cię wysadzę w lesie!

- Jeśli tam polecisz, to nasze wojsko uzna, że uciekasz i rzuci się za tobą!

- No to przed bramą!

- A co za różnica, przed czy za?

- Na zewnątrz jest więcej naszych - rozsądnie zauważył Mrok.

Szturchnęłam go tylną łapą jak upartego konia ostrogą.

- Jeżeli będziemy oceniać w ten sposób, to wewnątrz nigdy nie zrobi się ich więcej!

Smok ryknął z oburzeniem i wziął tak ostry zakręt, że natychmiast przestałam żałować opuszczonej kolacji, a nawet przypomniałam sobie o zjedzonym obiedzie, który szczęśliwie tkwił już całkiem głęboko i nie był podatny na prowokacje.

Dwa razy oblecieliśmy zamek i ostateczny wybór okazał się niewielki: albo dziedziniec albo mur. Na dachu nikt nie przewidział lądowisk dla smoków ani dostatecznie szerokich galerii.

- Wylądujemy tam przy głównych drzwiach! - krzyknęłam. - A tak w zasadzie... dasz radę przez nie wlecieć?

- Bez skrzydeł tak!

- A jeśli na skos?

- Przecież jeszcze muszę nimi jakoś machać!

- A lotem koszącym?

- To jakieś pięć sążni, a potem z rozpędu wbijemy się w pierwszą napotkaną ścianę albo rozsmarujemy po podłodze! Gdyby za tym łukiem było kolejne pole...

- Przecież tam jest pole!!! Tych kilka kolumn się nie liczy, pomiędzy nimi dwa smoki przejdą i się nie spotkają!

Mrok ponownie zawisnął na poziomie iglicy wieży, podejrzliwie oglądając drzwi i tłum ludzi w ich pobliżu.

- Słuchaj, mam wrażenie, że się im nie podobamy!

- Z wzajemnością! Do abordażuuu!

Możliwie, że szturmując drzwi należy krzyknąć coś innego, ale nam to zawołanie jak najbardziej pasowało. Atak psychiczny „wilkołak siedzący na smoku” wywarł na przeciwniku niepowtarzalne, acz nieco zamazane wrażenie. Przytuliłam się do grzbietu Mroka, desperacko trzymając łapami podstaw skrzydeł, co oczywiście nie polepszyło trajektorii lotu. Niewątpliwie, poruszaliśmy się we właściwym kierunku, ale tak skomplikowanymi zygzakami i pętlami, że magowie oraz łucznicy, którzy nadaremno wypuścili kilka tuzinów strzał i ognistych ładunków, na pewno uznali nasze miotanie za manewry taktyczne.

Dlaczego ci durni minstrele z takim uporem wychwalają loty na smokach?! Będę musiała poprosić Mroka o zafundowanie przejażdżki Hrajkowi, a przedtem podstępnie poczęstuję półelfa

piwem. Po czymś takim pewnie już nigdy w życiu nie zaśpiewa „Przecinając obłoki” - będzie zieleń na samą myśl...

W ostatniej chwili nerwy obrońców nie wytrzymały. Wrogowie z wrzaskami i przekleństwami rzucili się do ucieczki, a my efektywnie wlecieliśmy do środka. Smok kilka razy odepchnął się od podłogi, prawie mnie strąsając, po czym zaczął krążyć pomiędzy kolumnami jak bezczelny wróbel w kramie handlarza nasionami.

- To gdzie teraz?
- Do góry, na piętro!
- Nie uda się, te drzwi są zbyt niskie!
- W takim razie na schody!

Smok wylądował na stopniach okropnie ciężko, aż się przestraszyłam, że runą. Złożył skrzydła i wijąc się całym ciałem, jak jaszczurka przebiegł resztę schodów i wpadł do górnej sali.

Rozluźniłam ścierpnięte łapy i zjechałam po jego grzbiecie, a następnie ogonie jak po oblodzonej górze.

- Oślaniaj mnie, zmienię postać!
- Po co?!
- Niedługo zrobi się tu nazbyt gorąco, a lepiej, żeby w bojowym zapale nie wykończył mnie któryś z naszych! - wymówiłam się niezbyt przekonująco.

- Akurat ciebie da się wykończyć... - Mrok jednak nie miał wyboru, już zaczęłam transformację.

Wrogowie, którzy najpierw wyskoczyli z zamku, teraz z takim samym entuzjazmem wracali z powrotem. Niestety, u szczytu schodów ich zapal nieco przygasł, ponieważ zapłonęło coś innego: smok otworzył skrzydła, jak kura broniąca swojego pisklęcia i poczęstował atakujących strugą płomienia.

Zapaliły się nawet miecze, topiąc jak wosk. Najemnicy natychmiast przestali pchać się do środka jeden przez drugiego. Z wrzaskami bólu i przerażenia - niektórzy się palili się żywcem, a inni próbowali uciec przed żywymi pochodniami - cofnęli się z powrotem.

- To by było na tyle! - W pośpiechu zebrałam włosy w węzeł. - Do zobaczenia!

Smok zionął ponownie, tym razem mgłą, pod osłoną której przeleciał przez poręcz, a ja ile sił w nogach rzuciłam się w głąb zamku. Nie miałam kiedy węszyć, ale mniej więcej pamiętałam gdzie znajdował się pokój Tairinn.

Sądząc z wyborynych przekleństw i złośliwego ryku, który teraz dolatywał od strony okien, Mrokowi szczęśliwie udało się przedrzeć przez szeregi wroga i teraz ponownie krążył nad zamkiem. Kilku ludzi rzuciło się za mną, ale nie marnowałam na nich czasu tylko skręciłam za pierwszy napotkany róg i przytuliłam plecami do muru.

Prześladowcy przebiegli obok, a ja dla pewności odczekałam kilka chwil i ruszyłam dalej. Korytarze jęczały echem kroków i głosów, ale w części mieszkalnej nie spotkałam nikogo. Drugie drzwi czy trzecie? Te i te pachniały czarodziejką, a mnie ciągnięto koło obu...

Na chybił trafił pociągnęłam drzwi pierwsze i natychmiast zrozumiałam swoją pomyłkę, ale jednak weszłam, przyciągnięta przez wiszące na oparciu krzesła ubranie. Tairinn lubowała się w ostrych i słodkich elfich perfumach, a to ubranie chyba w nich wyprano. Jakoś to zniosę, ale nigdy więcej już nie użyję tego świństwa! Buty pasowały, spodnie były nieco zbyt szerokie w biodrach, ale za to koszula cisnęła w pierś, natychmiast polepszając mi nastrój. Wykorzystałam wolną chwilę, by zapleść warkocz, mocno związując go koronką, urwaną z poduszki. Jeszcze żeby gdzieś znaleźć miecz... ale albo czarodziejka nie przechowywała broni w sypialni, albo po prostu takowej nie miała.

Drugie drzwi okazały się znacznie bardziej odporne - błysnęło światło, zmuszając mnie do cofnięcia się i osłonięcia oczu ręką. Mrugnęłam raz i drugi, po czym zrozumiałam, że to lśni wiszący na mojej szyi amulet. Nie miałam najmniejszej ochoty dowiadywać się, jakim zaklęciem Tairinn osłoniła swój gabinet. Ale co tam takiego cennego przechowywała?

I kto tam u niej taki nerwowy siedział?!

Obstawiałabym, że wśród przodków ząbiaków był też jakiś szczur. Bo to szcurzy zwyczaj:



przyciąć się w miejscu, któremu nikt się specjalnie nie przygląda właśnie dlatego, że jest całkowicie na widoku, potem odczekać, aż człowiek podejdzie na odległość skoku i rzucić mu się na pierś.

Zdażyłam zatrzasnąć drzwi i zamknąć je na zasuwę, ale nie żywiłam złudzeń odnośnie wytrzymałości jednego i drugiego. Rąbnęły o podłogę, zanim jeszcze dotarłam do połowy korytarza. Chowanie się w pokojach nie miało sensu, chyba żeby wyskoczyć przez okno. Ale kto zagwarantuje, że pazury tego stwora były dostosowane do łażenia po ścianach gorzej od moich?! Zwłaszcza, że pochodził też od harpii...

- Pani! Pani!!!

Na moje spotkanie biegł człowiek uzbrojony we włócznię - pewnie strażnik z wieściami z pola walki. W końcu dostrzegł, że do pani należało tylko ubranie, gwałtownie wyhamował i całkiem słusznie uznał, że nie powinnam tu się kręcić.

- Czekaj no...!

A pewnie, już ci poczekam!

Może uznał, iż spróbuję przeskoczyć obok. Albo że spróbuję odebrać mu broń, którą na wszelki wypadek ścisnął w garściach ze wszystkich sił.

Najmniej ze wszystkich rzeczy spodziewał się, że po nim przebiegnę.

Jedną nogę wsparłam na włóczni, drugą na ramieniu strażnika i zanim zdążył upaść, odepchnęłam się i skoczyłam. Żelazny pierścień lampy z ogarkami świec zakołysał się pod sufitem na łańcuchach, ale wytrzymał. Podciągnęłam się i położyłam na nim brzuchem, z ponurą satysfakcją obserwując jak ząbiak dwoma ugryzieniami rozprawia się z moim pechowym „podnóżkiem”.

Stwór nawet nie próbował pożerać zdobyczy, usiadł obok i wbił we mnie ślepią w zakrwawionej masce pyska.

- Ach ty bydlaku... - powiedziałam z uczuciem.

Ząbiak obliznął się. Chyba jednak nie potrafił łązić po gładkich pionowych ścianach. Albo uznał, że czeka go dobra zabawa.

Zastanowiłam się, czym mogłabym w niego rzucić, ale ogarek ze świecy był za mały, a buta było mi szkoda.

- Szel, co ty tam robisz?

- Uważaj!!!

Weres i ząbiak dostrzegli się równocześnie. I obaj nie wahali nawet sekundy.

Echo rozniosło po korytarzu tupot łap, czarodziej natomiast wyrzucił do przodu rękę i ryknął tak, że zadźwięczała mika w oknach:

- Siad!!!

Ząbiak na pełnej prędkości przysiadł na tyłku i tak pozostał, siłą pędu dojeżdżając do stóp Weresa.

- Dobry piesek - powiedział czarodziej już spokojniej, i nie opuszczając prawej ręki wyciągnął lewą do szyi stwora, próbując wymacać obrozę. Podprowadził go do pierwszych z brzegu drzwi, wepchnął do komnaty, polecił „Waruj” i zamknął.

- Już, możesz złązić.

Smętnie spojrzałam w dół. No, jako żywo odbiję sobie pięty. A te buty jeszcze mają obcasy. Może powinnam poprosić Weresa żeby stanął w miejscu tamtego strażnika? A co tam... Zawisłam na rękach, zebrałam się w sobie i rozluźniłam palce. Przeżyłam, ale zęby musiałam zacisnąć.

Za drzwiami panowała głucha cisza.

- Jak ci się to udało?!

Weres podciągnął rękaw, ukazując sznurek koralu dookoła nadgarstka.

- Bransolety sterujące. Noszą je wszyscy magowie-renegaci, zanim ząbiaki się do nich nie przyzwyczają i nie zaczną słuchać, jak ukochanych panów. Mam jeszcze kilka, jak chcesz to się podzielę.

- Zabieś go?! - Zrozumiałam, skąd wziął amulety.

Czarodziej dumnie się wyprostował, ale bynajmniej nie zamierzałam go chwalić.

- Draniu jeden! On był mój! Jedenaście lat czekałam na tę chwilę, a ty wszystko zepsułeś!
- Z wściekłością splunęłam Weresowi na buty, żałując, że nie jestem smokiem.
- Możesz iść i raz czy drugi kopnąć trupa - obraził się czarodziej, któremu zwycięstwo widać nie przyszło łatwo, bo jego koszula była mokra od potu.
- Oddaj darkan. - Słowa te sprawiły, że jakoś natychmiast uspokoiłam się i skupiłam.

Weres posłusznie odwiązał pochwę z bronią. W milczeniu wpakowałam ją za pas i ruszyłam z powrotem do komnaty Tairinn. Czarodziej po chwili wahania ruszył za mną. Chyba był przekonany, że zaproponuję mu wyrównanie rachunków tu i teraz, na tym korytarzu, więc mój postępek wyraźnie go zdumiał.

Tak samo jak i mnie jego. Był przekonany, ale i tak oddał mi broń. No czy nie jest draniem?!

\* \* \*

Tak, był to właśnie ten pokój. Tylko ogień w kominku prawie wygasł, a przewrócony fotel leżał na podłodze.

Podeszłam do niego i opadłam na kolana.

Weres nie wtrącał się, ale patrzył od drzwi ze zdumieniem - dlaczego raptem zebrało mi się na kajanie?! Pośpiesznie schyliłam się jeszcze niżej. Dokładnie obwąchałam posadzkę. Tak, stał właśnie tutaj. Potem zrobił kilka kroków w lewo, wyglądając zza fotela. Kilka razy przespacerował się po pokoju, od ściany do ściany i... ponownie zniknął!

Warknęłam z wściekłością. Ci ghyrowi magowie niebawem całkowicie oduczą się chodzenia!

No i gdzie miałam go teraz szukać? Przetrzasać zamek od dachu po fundamenty? To nie ten rodzaj człowieka, który pcha się w środek walki. Na pewno przyczał się w którejs z komnat i komfortowo ostrzeliwuje przeciwnika zaklęciami przez okienko. A widząc, że sprawy nie wyglądają najlepiej, mógł nawet cichaczem zmyć się przez teleport.

„Nie zdążę” - pomyślałam z rezygnacją. W końcu to żadne tam stęchłe wrony, a tylko słaby zapach wśród setki podobnych. Nie mówiąc o tym, że oblężony zamek to nie śpiące miasto, tutaj sobie tak po prostu nie pospaceruję.

Czarodziej podszedł bliżej i zatoczył ręką luk.

- Oczywiście mógł teleportować się już z dziesięć razy, ale może stamtąd uda ci się złapać ślad...

Nad podłogą powoli pojawił się lśniący słup ni to dymu ni to mgły, który u podstawy był kwadratem o szerokości arsyzna.

Bez wahania weszłam do niego, odruchowo wypełniając polecenie: „Stań tak, żeby nic nie wystawało poza granice pola transportowego, bo inaczej zostanie tutaj, a jak będziesz gotowa zamknij oczy”.

Oczu nie zamykałam. Po prostu poleciłam „Już!” i teleport jak gdyby zasłonił się czarną płachtą.

\* \* \*

Wrażenie odniosłam takie, jakbym skakała do rzeki z bardzo wysokiego mostu. Najpierw tracisz oddech, potem robi się łatwiej, ale natychmiast wpadasz do wody i od tej chwili w głowie nie masz już żadnej logicznej myśli, a wyłącznie desperacką chęć, by wypłynąć. A gdy w końcu wypycha cię na powierzchnię, świadomość wypełniona jest takim szczęściem, że nie masz nic przeciwko, by to wszystko powtórzyć... którymś innym razem, gdy znowu będziesz mieć dość życia.

Weres chyba naprawdę zasługiwał na tytuł arcymaga. A przynajmniej jego teleport był na tyle mistrzowski, że grzebiący w skrzyni mag nawet się nie odwrócił póki czubek darkana nie połaskotał jego szyi.

- Już się pakujesz? - spytałam, chowając wściekłość za nadmiarem uprzejmości. Wyszło niezbyt przekonująco, bo w ustach natychmiast zrobiło mi się za mało miejsca na kły. No, nie! Skoro dla tego spotkania odważyłam się przespacerować po zamku w ludzkiej postaci, nie ma co psuć nimi wrażenia.

Uśmiechnęłam się, połyskując dwoma rzędami absolutnie równych zębów.

Człowiek nie mógł pochwalić się takim samym opanowaniem. Cofnął się i prawie wpadł do skrzyni, której wieko opadło z hukiem.

Kolejny rozbłysk amuletu. Cmoknęłam z niezadowoleniem, a ręka z darkanem nawet mi nie drgnęła.

- O nie, dziś gramy według moich zasad. Miecz na miecz, a jak kolejny raz spróbujesz machać tymi swoimi paskudnymi paluszkami, to zostaniesz bez nich. To jak?!

Weres może by i zrozumiał, że blefuję, ale magowi nawet do głowy to nie przyszło. Skoro wlałam do zamku razem z czarodziejem, na pewno będzie on chronił mnie nadal.

Wciąż ta sama pochwa. I ta sama rękojeść, dawno obmyta z plam krwi, które wciąż stały przed moimi oczyma, gdy przez kilka lat uczyłam się technik walki tą bronią. Szczęśliwie, moi mistrzowie korzystali podczas treningów z tanich podróbek, albo w ogóle kawałków drewna...

Obnażony przez maga darkan natychmiast oplótł się bluszczem grawerunku.

Mój po chwili namysłu również.

- I co ja widzę?! - Powoli poruszałam klingą, rozciągając mięśnie, po czym uniosłam ją nad głową, przypominając sobie pozycję wyjściową. - Nie mów, że jesteś strzygą?!

- Kretynko jedna, jestem nekromantą! - odgryzł się mag, razem z bronią odzyskując część pewności siebie. - Nic dziwnego, że zalatuję pomrokami!

- Wyjaśnij to mojemu mieczowi. On chyba uważa, że każdy, kto pije krew jest strzygą, niezależnie czy upuszcza ją kłami czy rytualnym nożem.

Ani nowicjusze, ani zawodowcy nie śpieszą się z rozpoczęciem walki. Ci pierwsi się obawiają, a drudzy wiedzą, że łatwiej jest sparować cios i zwrócić go z obrotu dwukrotnie wzmocniony, niż dzielić się siłą swojego zamachu. A poza tym chcą ocenić, do czego jest zdolny przeciwnik.

Staliśmy w pozycjach naprzeciwko siebie, aż nogi i plecy napięte jak łuki bojowe nie zaczęły zauważalnie pobolewać. Ale przeciąganie pauzy też nie było mądre i w tej sytuacji jako pierwsi zaczynają mistrzowie, ponieważ na każdą chwilę czekania traci się więcej sił, niż na atak.

Mag rozpoczął pojedynek prostym ciosem tnącym od góry i natychmiast, nie pozwalając mi się opamiętać, zakręcił serię szybkich ósemek. Jego ręce poruszały się błyskawicznie, jak gdyby nie kierując klingą tylko próbując utrzymać samodzielnie poruszający się darkan. Efektowne, ale nadmiernie pewne siebie. Każdego przeciwnika należy w domyśle uznawać za równego sobie, a ten ruch obliczony był na ucznia, który ledwo co opanował podstawy szermierki i gubi się na widok kaskady stalowych kresek.

Zresztą, moja zimna krew bynajmniej nie sprawiła, że tańczący darkan zrobił się mniej śmiertcionośny. Pozostawało mi wyłącznie cofanie się po okręgu, nie pozwalając, by przycisnął mnie do ściany. Wyciągnięta do przodu klinga gotowa była na przyjęcie ciosu wroga, gdy zdruzdził mu się już udawanie rozpędzonego wiatraka.

Widząc, że albo jestem ostrożna, albo się boję, mag pionowym ciosem zakończył atak i wrócił do pozycji wyjściowej. Nie na długo, nawet nie złapał oddechu i nie pozwolił na to mnie, tylko wygodniej złapał darkan i zrobił krok do przodu. Koniuszki mieczy się skrzyżowały, jak gdyby poznając się i zastanawiając, co mogą zrobić dalej.

Kolejny krok. Nadal nie podejmowałam walki, tylko cofnęłam się, zachowując dystans.

Przeciwnik naciskał. Kolejny krok, do przodu i w bok. Po czym mój - znowu do tyłu, z obrotem w kierunku przeciwnika, który próbował uciec z pola mojego widzenia.

Krok - do tyłu. Niecierpliwe dzwonięcie klingi o klingę.

Krok - ściana.

Mag gwałtownie wyprostował ręce, próbując uderzyć mnie sztychem w pierś. Machnęłam darkanem na lewo i do góry, i ostrze z poirytowanym piskiem ześlizgnęło się, uciekło na bok. Moja klinga jak świeca zamarła po lewej stronie twarzy, ale nie zdążyłam ucieszyć się z udanego manewru gdy przeciwnik, wykorzystując pęd odbitego ciosu, zakręcił się w miejscu i ponownie atakował,

Ledwo zdążyłam instynktownie schować głowę w ramionach. Ręce natychmiast opustoszały, wybity darkan przeleciał na środek komnaty, na pożegnanie z pretensją uderzając mnie rękojeścią w czoło. Pogubiłam się i przepuściłam kolejny obrót, którego nie dzieliło od pierwszego nawet westchnienie. Przynajmniej wpadłam na to by przykucnąć, więc straciłam nie głowę, a jedynie koniuszek warkocza.

Odcięte włosy jeszcze nie spadły na podłogę, a ja już przetoczyłam się do przodu, nie widząc ale wyobrażając sobie uderzający w ścianę miecz.

Mag obejrzał się, widząc mnie już na nogach i z darkanem: prawa ręka twardo ścisnęła rękojeść pod samym jalcem, a lewa leciutko, nakierowując, przytrzymała koło głowicy.

Walka zaczęła się od początku - ja stałam na środku pokoju, mag bliżej ściany. Klingi nad

głowami, nogi nieco ugięte, stopy prostopadle, prawa z przodu. Klasyczna postawa, nadająca się do każdego ciosu i bloku.

Moja twarz ostatecznie zmieniła się w pozbawioną uczuć maskę, a na jego wypłynęła ukrywana dotąd niepewność.

Gorąca nienawiść jest znacznie lepszym nauczycielem, niż pycha. A zimna walczy lepiej, niż strach.

Dobrze oceniliśmy siebie nawzajem.

On ponownie atakował jako pierwszy, ale już w innym celu. W krótkim zdecydowanym starciu jeszcze miał szanse, a na długą walkę po tamtym wściekłym pokazie ósemek i młynków już zabraknie mu sił.

Cofnęłam się, jak gdyby niepewnie opuszczając darkan, co przeciwnik „kupił” - tak wielką miał ochotę wreszcie ze mną skończyć. Poza tym nie chciał wierzyć, że jakiś tam wilkołak potrafi dogadać się z solidną zaczarowaną stalą. Zrobiłam krok w prawo, schodząc z linii bezpośredniego ciosu od góry i równocześnie unosząc miecz na spotkanie jego brata, jak gdyby mając zamiar uderzyć maga w twarz. Przesunęłam ręce na rękojeści, zasłaniając tułów kręcącym się nad głową ostrzem, po czym odchyliłam się w bok.

„Łatwiej jest powstrzymać strzałę, która zerwała się do lotu, niż zrywający się do lotu darkan” - z wyższością mawiał stary mistrz, czekając aż poirytowana uczennica po raz setny wstanie z udeptanej na kamień ziemi.

Klinga przeciwnika rozpruła powietrze, prawie dotykając podłogi. Pęd wychylił maga do przodu, a ja mechanicznie dokończyłam manewr, z półobrotu rąbiąc go po niechronionym boku.

Nie miał gdzie się uchylić.

Darkany są tak ostre, że najpierw oboje mieliśmy wrażenie, iż chybiłam. Następnie długa, ledwo zauważalna kreska przez twarz i część piersi otworzyła się na całą szerokość pod naciskiem krwi, w jednej chwili zabarwiającej ubranie i spływającej strumykami po nogach.

Przewidując nadepnęłam na rękojeść upuszczonego miecza, ale było to już niepotrzebne, przeciwnik niezgrabnie runął na kolana i padł na plecy.

Koniec.

I tyle...

- Wiesz... - Powoli obeszłam dookoła chrypiącego maga, konwulsyjnie drapiącego się rękoma w pierś. - Przez te wszystkie lata długo, malowniczo i z rozkoszą wyobrażałam sobie, jak będę cię zabijała. Powoli, po odrobinie, zmuszając, żebyś ze łzami błagał o litość... Ale teraz zrozumiałam, że nie to chodzi. Chcę żebyś...

Gwałtownie cięłam darkanem i ze zmęczeniem dokończyłam:

- ...po prostu przestał mi się śnić.

Po czym wyszłam z komnaty, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Dlaczego zupełnie się nie zdziwiłam, widząc Weresa na końcu korytarza?

Czarodziej stał niedbale oparty o ścianę, od czasu do czasu spoglądając za róg. Gdyby nie kilka trupów u jego stóp i zakrwawiony miecz w ręku zamiast bukietu, uznałabym, że czeka na spóźnioną przyjaciółkę.

- Już? - zapytał rzeczowo.

W duszy miałam pustkę, ale równocześnie czułam się spokojna, jak nigdy. Nawet nie zakląłam, a tylko skinęłam głową i usiadłam na podłodze obok niego, kładąc darkan na kolanach. Grawerunek nadal był widoczny, chociaż zbladł do jasnoszarego koloru. Trójdzielne listki poruszały się jak w podmuchach wiatru - jedne gałązki zniknęły, koniuszki innych wydłużały się i wiły w poszukiwaniu oparcia, ponownie oplatając ostrze.

- Szel, bitwa się jeszcze nie skończyła. - Weres przykucnął obok, kładąc ręce na jelcu opartego o podłogę miecza. - Zgodnie z jakim planem działamy?

- A jakie mamy do dyspozycji?

- Z „sił dobra” na razie jesteśmy tu sami, więc jeśli wdamy się w otwartą walkę, wykończą

nas w ciągu paru minut.

- Wiesz co, ta opcja jakoś niezbyt mi się podoba.
- Poza tym możemy schować się w jakiejś szafie i przeczekać, póki nasi nie wedrą się do zamku.

- Weresie, chyba się zgrywasz! - Z uśmiechem szturchnęłam go ramieniem.

- Nie, po prostu sobie żartuję. Chociaż trochę mnie korciło, gdy rezerwa magiczna się skończyła, a zza rogu wyskoczyło pół tuzina orków. A że w pobliżu nie było szafy, więc ku mojemu wstydnemu musiałem zwyczajnie uciekać. Ledwo mi się udało.

- I co, teraz masz do dyspozycji wyłącznie miecz? - upewniłam się rozczarowanym tonem.

- Obrażasz mnie! - Weres pogrzebał w kieszeniach. - Zostało mi również pięć gwiazd.

- A nasi magowie nie mogą teleportować się do zamku?

- Najpierw musielibyśmy złamać jego osłony, ale chyba zostały wtopione w same kamienie, więc prędzej się rozpadnie. Tutaj i stąd teleportować się mogą wyłącznie spiskowcy.

- A jak w takim razie...

- Przechwyliłem i odtworzyłem cudzy teleport, a nie budowałem własny.

Z górnego piętra doleciał rozzwierający krzyk, który sprawił, że oboje zadrżeliśmy. Albo ktoś podszedł za blisko okna, albo po zamku spacerował kolejny bezpański ząbiak.

- Czyli w chwili gdy nasze odważne wojsko wdiera się do środka, my będziemy musieli przedostawać się na zewnątrz?

- Albo walczyć z ukrycia, polując na samotnych przeciwników. Aż trafimy na maga. Jak widzę, amulet już wykorzystaliśmy?

Nastroszyłam się. Szczerze mówiąc, przypuszczałam, że wytrzyma jeszcze jedno uderzenie. Ale to i lepiej, że nie miałam pewności. W przeciwnym razie mało prawdopodobne, bym zdołała z zimną krwią walczyć na miecze z takim magiem.

- Przy drzwiach jest ich zbyt dużo, tamtędy nie wyjdziemy. A są tu jakieś tajemne przejścia?

- Nie mam pojęcia, nikt nie pokazał mi planu zamku.

Wstyd się przyznać, lecz pomysł z szafą zaczął mi się podobać.

- A kiedy będziesz mógł znowu czarować?

- Jak tylko znajdę źródło mocy, albo ona sama powoli spłynie do rezerwy z otoczenia.

Zwykle zajmuje to nie więcej jak dwie godziny, ale w tej chwili dokoła walczy przynajmniej setka magów, którzy opróżnili okolicę do ostatniej do ostatniej WJM<sup>13</sup> w promieniu jakichś dziesięciu wiorst. Niedługo skończą im się również amulety i wtedy zrobi się nieco ciszej.

- Słuchaj - ożywiłam się - w skrzyni tamtego... (Hm, ostatecznie nigdy nie poznałam jego imienia... ani nie chciałam go znać...) W tamtym pokoju... na pewno trzymał tam jakieś amulety! Przynajmniej takie na rozwolnienie! Dasz radę wyciągnąć z nich trochę mocy?

- Zależy od rodzaju. Ale na pewno warto spróbować!

13 WMJ - Względna Jednostka Magii.

Teraz ja zostałam na rogu, by pilnować. Minuty ciągnęły się w nieskończoność, szczególnie gdy obok przechodzili, bądź przebiegali uzbrojeni najemnicy. A może i magowie, ghyr ich tam wie - rysowane na obrazkach szaty z szerokimi rękawami i kapelusze noszą wyłącznie na oficjalne okazje, na przykład miejskie święta. Spróbuj sobie pobiegać za przeciwnikiem, gdy w jednej ręce trzymasz miecz, a w drugiej połę!

Trzy razy mi się poszczęściło, a za czwartym sześciu ludzi i dwa trolle szukali czegoś właśnie w naszym korytarzu.

- Hej, a ta żyłksa co tu robi?!

- Nie martwcie się, już sobie idzie! - oznajmił Weres beczelnie zza moich pleców, za kołnierz wciągając mnie w kłęb dymu.

Po dziesięciu uderzeniach serca ponownie staliśmy na szczycie muru, a raczej jego wyszczerbionych resztkach. Tym razem w dumnej samotności. Nie zdążyłam złapać oddechu i pomyśleć, że ta teleportacja to w sumie nie taka straszna rzecz, gdy Weres wesolutko oznajmił:

- No no, spore szczęście! Przecież mogliśmy trafić do lochu albo w czyste pole...

- Chcesz powiedzieć, że nie miałeś pojęcia, gdzie wylądujemy?!
- Niby skąd? Złapałem pierwszy napotkany ślad, byle tylko szybciej się stamtąd wynieść. -

Czarodziej przeskoczył przez dziurę w miejscu pięciu górnych stopni i zaczął schodzić na dziedziniec.

- Weresie, ja cię błagam, bądź ostrożniejszy!

Mężczyzna aż się potknął i nie dowierając własnym uszom zagapił na mnie.

- Ponieważ sama mam ochotę cię zabić!!! - dokończyłam paskudnym tonem.

Czarodziej pokręcił głową, miałam nawet wrażenie, że z pewnym rozczarowaniem i ruszył dalej. Westchnęłam. Żeby tylko tego kretyna ktoś naprawdę nie wykończył. Bo na dole było naprawdę gorąco...

W czasie mojej nieobecności tok bitwy zmienił się dwukrotnie, wyrównując rachunki. Podczas gdy wraz z Mrokiem odciągnęliśmy część wrogich magów, naszym udało się nie tylko otworzyć bramę, ale zniszczyć jedno z jej skrzydeł, tak więc bitwa wrzała już na dziedzińcu. Następnie do zamku dotarli najemnicy wroga, którzy nie zdążyli się teleportować, i zdecydowali, że będą przebijać się do środka. Nasze wojsko musiało teraz walczyć na dwa fronty, a równina lśniła ogniami aż po sam horyzont.

Na razie żadna ze stron nie miała zdecydowanej przewagi i o wszystkim miał rozstrzygnąć czas i szczęście.

Chwilę kręciłam się po szczycie muru, z tęsknotą spoglądałam na las, zwazywałam siebie od idiotek i dołączyłam do Wielkiej Bitwy.

Bez kożucha było mi zimno jedynie przez pierwsze pięć minut. Potem i tak bym go zdjęła.

Jakkolwiek paradoksalnie to nie brzmi, wojna zupełnie nie nadaje się do doskonalenia umiejętności walki. Nie ma w niej ani rytmu ani wspaniałej szermierki - wyłącznie chaotyczne, spadające ze wszystkich stron ciosy. Rąbanina wszystkim co tylko się trafi - od sztyletów po buławy czy nawet pięści, jeżeli komuś złamie się miecz. Parowanie jest praktycznie niemożliwe, albo ty zdołasz uderzyć pierwszy, albo nie. Poza tym liczba przeciwników cały czas się zmienia i ciągle musisz się przełączać: w drodze od muru do połowy dziedzińca zdążyłam pomachać darkanem i sama jedna, i w parze z przelotnym sojusznikiem, i w szeregu.

Elfy zaiste walczyły wspaniale. Każdy z nich zwinny jak wichur trzymał obronę we wszystkich kierunkach i to z takim spokojem, niedbale, jakby pozował do tych ich gobelinów. Ze spóźnionym oburzeniem i wstydem rozumiałam, że w Jesionowym Grodzie padliśmy ofiarami specyficznego humoru tej rasy. W rzeczywistości nie wytrzymałibyśmy nawet minuty pojedynku. Zdaje się, że uszate dranie po prostu lubiły udawać idiotów, by potem z głębokim zadowoleniem obserwować ogłupiałą minę przeciwnika! Oj Morri, niech ja cię tylko dorwę!!!

Łucznicy szyli z wież, starannie celując. Któryś z tych łobuzów zwrócił uwagę na moją skromną osobę i w ciągu jakiejś minuty położył przynajmniej tuzin ludzi dokoła mnie. Miałam już dosyć robienia uników i zastanawiałam się, czy nie powinnam przebiec pod osłoną arkady, bo tam pewnie też się znajdzie coś do roboty, gdy na spotkanie kolejnej strzały do góry ruszyła kulka płomienia. Tak ładnie poleciała, dokładnie według podanej trajektorii, jak koralik po niewidzialnym sznurku.

Okienko w wieży wybuchło ogniem, niczym otwarte drzwiczki latarni. Strzelec runął do środka, a płonący łuk - na zewnątrz. Kilka razy przekręcił się w powietrzu i spadł do stóp zadowolonej z siebie Liary.

- Strzała głupia jest, postaw na pulsar! - skomentowała magiczka, puszczając do mnie oczko. I natychmiast ze zwycięskim okrzykiem rzuciła się by pomóc trzem zamkniętym w pierścieniu driadom, które z konieczności zrezygnowały z łuków, sięgając po krótkie miecze.

Najliczniejsze krasnoludy teraz gubiły się w bardziej wyrosniętym tłumie, a wrogowie w ich pobliżu wydawali się padać sami z siebie. Po lewej mignął mi rozczochrany łeb wodza trolli, a nad nim - rozbłysk opadającego topora i rudo-biały wichur, który w ostatniej chwili zwarł szczęki na nadgarstku wroga. Chrząst druzgotanej kości i gwizd przypadkowego bełtu z kuszy, który ironią losu na zawsze połączył przeciwników.

- Cofamy się!!! - rozbrzmiało niespodziewanie na dziedzińcu. Z oburzenia prawie

przepuściłam cios, ale szczęśliwie przeciwnik również się zawahał. Jak to cofamy?! Przecież już ich odepchnęliśmy do samego zamku, jeszcze jakieś pół godziny...

„Rozkaz do wszystkich: cofamy się!” - potwierdziły polecenie trąby, ryczące skądś zza moich pleców. Miałam wielką ochotę kłąć i spluwać - zresztą nie tylko ja! - jednak nie żywiłam specjalnej chęci do zgrywania bohaterki na środku pośpiesznie opuszczanego dziedzińca. Podniesieni na duchu wrogowie ze zwycięskimi okrzykami odprowadzili nas pod bramę, a niektórzy nawet wyszli na zewnątrz. Ale w tym miejscu cierpliwość wycofujących się skończyła, więc nie uznali za nadmierny trud poświęcenie minuty czy dwóch, by odwrócić się i nieco ostudzić zapal przeciwnika.

Trąby nadal śpiewały coś trwożnego, mimo że ja nie widziałam żadnego niebezpieczeństwa. Ocalali najemnicy rozproszyli się po pustkowiu, zaprzestając walki, ale nie śpieszyli się z ucieczką - bo a nuż sytuacja jeszcze zmieni się na ich korzyść.

Nasi magowie - a wśród nich Weres, uff! - najspokojniej w świecie stali na skraju lasu, czekając aż zbierzemy się przed nimi.

Bez ceregieli odepchnęłam towarzyszy broni i z wściekłością skierowałam darkan na czoło czarodzieja.

- Jakiego ghyra... ?!

Weres, tak samo jak i pozostali magowie, wyglądał na nieco skrępowanego.

- Szel, widzisz... chyba nieco przesadziliśmy...

Odwróciłam się, przyciągnięta przez zdumione okrzyki.

Wrogowie ponownie wybiegli przez bramę, ale tym razem nie ścigając nas, tylko uciekając gdzie ich oczy poniosą. Po wybuchach pulsarów, ciosów piorunów oraz szczęku broni, ich wrzaski wydały mi się prawie ciszą. W której donośnie zabrzmiał przeciągły, melancholijny trzask, jak gdyby ktoś podpiłował gigantyczną sosnę, a teraz ona powoli waliła się na ziemię.

Zamek zadrżał i zaczął osiadać. Trzask zmienił się w huk, a następnie w zatykający uszy łoskot. Mur obronny otworzył się jak kielich kwiatu, grzebiąc pod sobą nie dość szybkich uciekinierów, po czym na wszystkie strony zaczęły padać już przez nic nie podtrzymywane pojedyncze kamienie.

Nasze odważne wojsko natychmiast zrobiło więcej, niż wymagał rozkaz, w przeciągu paru chwil przemieszczając się na drugą stronę lasu - i słusznie. Niektóre głązy dotoczyły się nawet tutaj, tworząc nowe przejścia pomiędzy świerkami.

Gdy wszystko ucichło i niebo z tamtej strony nieco przygasło, ruszyłam na zwiady. Bez pytania kogokolwiek, bo dowódcy zajęci byli śpiesznym zbieraniem przeredzonych oddziałów i wzywaniem podkomendnych do zachowania czujności,

Szłam z łatwością - biegające w tę i z powrotem wojsko tak dobrze wydeptało śnieg, że jego skrawki zachowane pod świerkami wydawały się zaspami. Dziesiątki butów rozniosły nasze ognisko po całej polance, malując ją na jasnoszary kolor. Zdenerwowane, nieco drżące kelpie tuliły się do siebie, kierując łby w kierunku rzeki.

- No wylaż już, po co się skradasz... - zawołałam burkliwie.

- Ale ja się nie przed tobą chowałem - zaprzeczył urażony Weres, wylażąc z krzaków po przeciwnej stronie polanki. - Kto wie, kto tam jeszcze może łązić po lesie?

- Po tym jak przebiegło tędy wojsko, a następnie przeturlały kamienie?! Gdzie jak gdzie, ale w naszym kierunku wrogowie na pewno nie będą się pchali. - Poglaskałam ogiera po szyi, ale on wydawał się nawet tego nie zauważyć. - Co zrobimy z końmi?

- Rozsiodłamy i puścimy wolno - zasugerował czarodziej, podchodząc do swojej kobyły. - I tak już dość się dla nas napracowały.

Przez kilka minut w milczeniu wyładowywaliśmy na śnieg bagaże i rozpinaliśmy rzemyki uprzęży. Uwolniona jako pierwsza, kobyła Mroka nie dowierzając swojemu szczęściu galopem zniknęła w ciemności, ale natychmiast wróciła i zaczęła z piskliwym rzeniem krążyć w pobliżu. Ogier ponownie zaczął niecierpliwie tańczyć, przeszkadzając mi w zdjęciu siodła.

- Czy nie widziałeś przypadkiem w zamku albo na dziedzińcu wysokiego człowieka o brązowych włosach? - przypomniałam sobie. - Taka bezczelna morda z modną bródką?



- Widziałem. - Nic nie podejrzewający Weres ściągnął ogłowie ze swojego konia, po czym na pożegnanie klepnął go po boku. - Twarz łatwa do zapamiętania. To twój znajomy? Nie martw się, żyje.

Niestety, akurat to dosyć poważnie mnie zmartwiło, więc zostawiłam konia i odwróciłam się w kierunku czarodzieja.

- Znajomy twojej znajomej, a skoro już o tym mówimy, to wcale nie jest człowiekiem. Poprzednia „śmierć” Tairinn odegrana została właśnie z jego udziałem!

Weres z wyrazem zagubienia potarł czoło.

- No to po kiego ghyra walczył przeciwko najemnikom i cofał razem z naszymi?

Chyba po raz pierwszy w życiu nocny las wydał mi się nieprzytulny, a nawet trochę przerażający.

- Weresie, on jest gdzieś tutaj - szepnęłam, cofając się w jego kierunku. - Gdy my walczyliśmy i uciekaliśmy, jeszcze mógł zgubić się w tłumie, ale podczas trwających właśnie apeli dziesiętnicy w try miga wykryją obcego. Czyli albo został za nami w lesie, albo wrócił tutaj, by zmienić postać.

- Szel, uspokój się. - Czarodziej nawet nie uznał za stosowne zniżenie głosu. - To tylko wilkołak.

- To samiec wilkołaka, więc jest dwa razy większy i mocniejszy ode mnie.

- Mam nadzieję, że również bardziej tchórzliwy? Przecież teraz powinien uciekać byle dalej, a nie wyrównywać rachunki z nami.

- Ja bym nie uciekała, póki nie wyrównam.

- Szel, jest nas dwoje - przekonywał mnie czarodziej cierpliwie. - Ja mam jeszcze niegorszy zapas mocy, tobie przy pasie wisi darkan, przy którym liczą się wyłącznie umiejętności przeciwnika, a nie jego rozmiary.

To wszystko było prawdą. Ale tego dnia zdążyłam już namachać się darkanem do tego stopnia, że mdliło mnie na samą myśl o konieczności ponownego wyjęcia go z pochwy.

- Weresie, ja się go nie boję. Ale jak już nie raz ci mówiłam i udowadniałam, wilkołaki są bardzo przebiegłe i mądre. Bo inne długo nie pożyją.

Trzeba możliwie szybko pozbyć się kelpie, bo przez ich rzenie nawet czarodzieja dobrze nie słyszałam. I jak na złość wiatr akurat ucichł... Ponownie podeszłam do ogiera, a on, ledwo pozwalając mi odpiąć popręg tak rzucił zadem, że siodło zatoczyło łuk i wylądowało w krzakach. Może puścić go z wędzidłem? Tak czy siak, nie ja za nie płaciłam...

- Siostrzyczko, cofnij się od konia.

Jęknęłam w myśli. Dlaczego przynajmniej dziś moje wyczucie zagrożenia nie mogło się pomylić?!

- A to dlaczego? - Nie zamierzałam poddawać się bez walki albo przynajmniej zmęczonego protestu.

- Bo ktoś przecież powinien wyrównać mi poniesione straty. - Wilkołak wyszczerzył się, tak bezczelnie wychodząc na otwartą przestrzeń, jakbyśmy oboje z Weresem trzymali w rękach zamiast mieczy wierzbowe witki. - Najpierw zamek zniszczyliście, potem zabiliście przyjaciółczkę, zepsuliście mi nastrój i nawet nie przeprosiliście... Ej nie, kochana, stój w miejscu! Pamiętam, że obiecywałam ci noc płomiennej namiętności, ale przepraszam, może innym razem. W tej chwili interesuje mnie wyłącznie ten wspaniały konik, który nie tonie w śniegu.

- I myślisz, że tak po prostu ci go oddam? Z dobrego serca?

- Obrażasz mnie! - Bezczelny uśmiech Etwora zrobił się jeszcze szerszy i bardziej zębaty.

- Niestety, nie mam dla ciebie pierniczka, więc muszę skorzystać z innej metody perswazji. Ten tu artefakt spopieli jedno z was na miejscu. - Wilkołak pokazał mi znajomy pierścień, który na męskiej ręce wyglądał znacznie bardziej stosownie. - Nie mam pojęcia, kogo dokładnie. Pierścień sam wybierze, kto jest dla mnie większym zagrożeniem.

- On mówi to poważnie? - Chyba zdążyłabym ciąć go darkanem w rękę, ale spojrzawszy na Weresa rozmyślałam się. Czarodziej stał w tak napiętej pozycji, że nie potrzebowałam nawet potwierdzenia. Pozostawało mi tylko z bezradną złością obserwować, jak Etwor powoli odwiązuje

od drzewa koniec postronka i wskakuje na konia.

- No i gdzie ten twój zachwalany zapas magii?! - warknęłam na Weresa, gdy tylko wilkołak z drwiącym rechotem zniknął pomiędzy drzewami, z jakiegoś powodu ostatecznie nie używając pierścienia. A przecież przed podobną pokusą nie powstrzymałby się żaden porządny czarny charakter!

- Po co miałbym marnować zapasy nadaremno? - Weres rozluźnił się i najspokojniej w świecie schował miecz do pochwy. - Błefował. Ten artefakt może aktywować wyłącznie mag.

- Co?! - W następnej chwili zerwałam się z miejsca, w biegu schylając się po należąca do Virry kuszę, która leżała przy siodłach.

- Szel, stój! Mówię, czekaj!

Gdy wyskoczyliśmy na skraj lasu, wilkołak był już daleko. Dla pościgu, ale nie dla strzału.

Załadowałam błyskawicznie bełt, uniosłam broń, zmrużonymi oczami chwilę patrzyłam na uciekiniera, a potem nacisnęłam spust.

Weres uderzył mnie w rękę i wypuszczony pocisk zniknął w śniegu. Po czym szybko, nie czekając, aż ze złością walnę go kuszą, ciągnął:

- Jedną strzałą i tak go nie powstrzymasz. A jeśli trafisz w konia, to zrzuci jeźdźca.

- No i doskonale, przynajmniej go wykrwawię, albo zafunduję trochę siniaków na pamiątkę!

- Szel, najlepsza pamięć jest wieczna. - Czarodziej skrzyżował ręce na piersi i ze stoickim spokojem podziwiał mknącą przez równinę trójkę koni.

Opuściłam kuszę, zrozumiałwszy, co ma na myśli.

Etworowi było chyba obojętne, gdzie ucieka, więc tylko ponaglał ogiera, nie ściągając wodzy.

I zauważył przyprószone śniegiem jeziorko dopiero gdy otworzyło się pod końskimi kopytami.

Plusk, krótki krzyk i wszystko ucichło. Tylko za pasmem trzciny czerniały na cienkim lodzie trzy podłużne plamy, jak odcisk gigantycznej ptasiej łapy.

- No cóż, możemy uznać to za opłatę dla wodnika za wynajem koni - podsumował Weres.

- Fałszywa moneta! - prychnęłam, zarzucając kuszę na plecy.

- Nie szkodzi, ujdzie na pokarm dla rybek. - Czarodziej odwrócił się i ruszył z powrotem.

W nieforemnej przyzbie kamieni na środku pustego pola istotnie nie było nic ciekawego.

## Epilog

Nawet wschodzące słońce było dziś wyjątkowe: bladziociste i prawie ciepłe, albo to nam było gorąco z powodu radości, która przepelniała serca.

Wrogie wojsko ostatecznie nie wróciło na pole bitwy, rozpraszając się po okolicznych lasach. Po pustkowiach nadal łaziły zagubione ząbiaki, które po śmierci swych panów przestały rzucać się na wszystko co popadnie, ale nadal gotowe były posilić się samotnym wędrowcem. Magów czekała żmudna praca, polegająca na śledzeniu teleportów, którymi uciekli spiskowcy. Ze strzępków rozmów wywnioskowałam, że w pozostałych częściach Belorii również nie działo się najlepiej: nikt nie zdążył uprzedzić o przygotowywanych zamachach trójki nadwornych czarodziejów, i tylko jednemu z nich udało się uniknąć śmierci z rąk wynajętych morderców. Tu i ówdzie zaczęły się pogromy - przekupieni przez spiskowców dajnowie dolewali oliwy go ognia, błogosławiąc swoje owieczki do „świętej bitwy” i gwarantując i tak już przerzedzonej Radzie Konwentu minimum rok bólu głowy.

Ale teraz to wszystko wydawało się dalekie i mało znaczące.

Największą bitwę już wygraliśmy.

Krasnoludy bratały się z trollami, elfy z ludźmi. Wszyscy natomiast mieli ochotę na bratanie się z driadami, a w szczególności smok - i to z każdą po kolei. Rozczochrani i niesamowicie zadowoleni z siebie magowie krążyli po gruzach, podniesionymi głosami dyskutując o zaklęciach, które zastosowali w bitwie. Jeden z nich, rudy i piegowaty, uroczyście potrząsał zakopconym czubkiem laski, wygrzebanym z popiołów, i plótl coś o „rezonującym penatrozie”, który odbił „gołymi rękoma”. Ożywione konsylium płynnie zamieniło się w bijatykę, ponieważ okazało się, że ów penatroz odbijał nie on jeden, natomiast nie miał zamiaru dzielić się trofeum.

- Twój ojciec jest niesamowity! - Któryś z podstarzałych arcymagów poklepał Resta po ramieniu. - Tylko patrz, jaki kawał roboty wykonał sam jeden!

- To mój mistrz - poprawił dzieciak i już ciszej, z pewnym żalem, dodał: - Chociaż nie mógłbym sobie życzyć lepszego ojca...

No, powiedzmy, że nie sam jeden... Ale ja nie pretendowałam do miejsca w kronikach. Nawet krasnoludzka płaskorzeźba to za duży honor!

Czy to z powodu, że byłam jedyną „ludzka” kobietą w całym wojsku, czy wojownicy we wszystkich barwach przekazywali sobie mój opis, ale gdziekolwiek poszłam, za plecami słyszałam szepty - od bojaźliwych po zachwycone. Na szczęście wyłącznie szepty, co było pewną nowością, ale do zniesienia.

Z zamku ocalało wyłącznie podziemne więzienie. Nawet nie musieliśmy odgrzebywać wejścia - do środka prowadziła szeroka szczelina pomiędzy kamieniami. Z wielką przyjemnością obserwowałam proces wyciągania z niej pokiereszowanego Morriela, który równocześnie był z bólu i klął tak, że trolle klaskały. Pechowy elf trafił w tę samą pułapkę co Delirna, próbując teleportować się do Starminu. Bez litości wyciągnięto go z portalu w szczerym polu niedaleko zamku, ale dla odmiany nie zjedzono, tylko ogłuszono i wpakowano do celi, obiecując coś tak straszliwego, że mag odmawiał nawet opowiadania i tylko wznosił oczy ku niebiosom, dziękując im za ratunek.

Na mój widok Morriel rozpaczliwie jęknął i próbował udawać trupa, którego z honorami - bo w końcu z jednej strony za nosze złapał sam Lliotarel - zabrano do polowego szpitala.

Weres stał niedaleko, rozmawiając z jakimś kolegą po fachu. Obok siwowłosego, ale wcale nie tak starego maga czarodziej wydawał się psotnym dzieciakiem, który ze wstydem uciekał spojrzeniem i szurał po ziemi czubkiem buta. Pewnie to właśnie był ten cały sławetny Ksander

Perłow, którego samo przezwisko „Mistrz” wprawiało absolwentów Szkoły Czarodziejstwa w świętą bojaźń.

Zatrzymałam się, nasłuchując. Najwyraźniej arcymag, jak kochający rodzic przekonywał Weresa... by ten udał się razem z nim do Starminu dla przeprowadzenia publicznej rehabilitacji, przywrócenia praw i zdjęcia znaku odstępcy. Co więcej, prosił, a ten kretyn się wymawiał!

- Nie, Mistrzu, zasłużyłem. Bogowie, jakim byłem durniem...
- Dlaczego „byłeś”? - zdziwiłam się.
- Pomroko, zgiń przepadnij! - krzyknęli czarodzieje chórem.

Pokazałam ich „egzorcyzmowi” odstawiony palec i *przepadłam* w kierunku najbliższego ogniska.

Ciekawe, przekona go, czy nie?

Miałam wrażenie, że przekona...

Krasnoludy nie wiadomo kiedy zdążyły nawarzyć swojego sławetnego grogu i jeszcze szybciej się nim upić, bez ceregieli częstując wszystkich chętnych, tak więc przy ich ognisku, które rozmiarami przypominało płonący stóg, panował największy hałas i ruch. Na przewróconych saniach siedział Hrajk, jak zawsze trzymający w jednej ręce lutnię, a w drugiej - parujący kubek. Grupa otaczających Karsta krasnoludów jeden przez drugiego przekonywała go do powrotu w góry, bo „te trolle to teraz robią co chcą”. Kręcące się dookoła trolle nie mniej gorąco przytakiwały, bo „bez tego paskudnego ghyra faktycznie jest nudno”. Mile połączony krasnolud koniuszkiem brody ocierał łzy wzruszenia, ale trzymał się twardo. Ostatecznie miał w Wysiedlisku dom, żonę, dziecko, stałych klientów...

Akurat przed moim pojawieniem się ostatnie krople grogu rozeszły się po kubkach, więc musiałam czekać aż zagotuje się wino na kolejną partię.

- Karście, czekaj, czyli to ty nie dawałeś trollom żyć na przełęczu?! Ale co z...

Gestami pokazałam opisanego przez Weresa giganta z budzącym jeszcze większy szacunek toporem. Krasnolud z zawstydzeniem spuścił oczy.

- Znaczący, zdarzyło się kilka razy... za młodu... a plotki to rozdmuchały! A poza tym, żebyś ty widziała te trolle - sam drobiazg, tfu, wstyd sobie przypominać... Ale za to nasza babka Szaliska, to dopiero coś, prawdziwa z niej bohaterka! Nie uwierzycie, okazała się magiem bojowym, i to jakim! Sam Ksander powinien prosić, żeby go wzięła za ucznia!

Nikt nie uwierzył, odpowiadając na to stwierdzenie sceptycznymi śmiechami i gwizdem.

- Zaklinam się na przodków! - gorąco zapewnił Karst. Krasnoludy uważały to za największą i najbardziej nienaruszalną klątwę, tak więc wojownicy z szacunkiem zamilkli. - Na własne oczy widziałem, jak machnęła na orka laską, a on padł trupem!

Krasnolud na chwilę przerwał, mieszając gorący płyn, a przy okazji pozwalając rozmówcom przetrwać to, co właśnie usłyszeli, a następnie z westchnieniem dodał:

- Co prawda potem dojrzałem, że z jego pleców sterczy miecz i dwie strzały...

Płomień z sykiem schował się w węglach, przerażony ogłuszającym rechotem. Hrajk zwinnie zakręcił lutnią trzymając ją za gryf, położył na kolanach, i smętnym tonem zaczął, niemelodyjnie brzdąkając po strunach:

*Czyś czarownik czy bohater  
Dostanie cię wredna babka!  
Potraktuje łapciem w oko  
To polecisz hen, wysoko!*

- Hej, wy mi tu zaraz zdmuchniecie ognisko! - zaniepokoił się krasnolud, próbując połamie kolczugi osłonić skulony płomyk pod kociołkiem.

Osobiście nie widziałam Szaliski na polu walki, ani nawet nie wyczułam jej śladów i miałam wrażenie, że krasnolud wymyślił całą historyjkę wyłącznie dla zabawy. Chociaż ona by mogła...

- Hrajku, czy pamiętasz może tę piosenkę, którą śpiewałeś w karczmie przed moim odejściem? Czyżbyś już wtedy się domyślał, czym to wszystko się skończy?

- Każdy bard jest w pewnym stopniu prorokiem. - Półelf puścił do mnie oczko. - Nie,

oczywiście, że nie wiedziałem. Ale nabrałem ochoty, by ułożyć i zaśpiewać tamtą balladę właśnie w ten sposób i wtedy, a muzy, tak samo jak prorocze sny, są wysyłane do nas z góry, skąd, oczywiście, widzą wszystko znacznie lepiej.

Pomiędzy nogami trolli prześlizgnęła się wymazana sadzą Virra. Z radosnym piskiem wspięła się na mnie jak wiewiórka na świerk i zawisała na szyi.

- Ojej, Szeleno! A ja się tak o ciebie martwiłam, tak bardzo!

- Ja się o siebie również martwiłam. - Odruchowo przytrzymałam małą lewą ręką, prawą odbierając upragniony kufel. - Ale o ciebie też, odrobinę.

Półelfka roześmiała się tak głośno, że aż mi ucho zatkało.

- A ja i wujek Hrajk śpiewaliśmy piosenkę, słyszałaś? Wszyscy klaskali!

- Hrajku, weź ją na uczennicę - zażartowałam. - Głos ma wspaniały, donośny!

Ku mojemu zdumieniu minstrel ze spokojem skinął głową.

- A dlaczego nie? Nie wiem czy zostanie wielką śpiewaczką, ale na pewno nikt nie odważy się jej wygwizdać! Virro, pojedziesz ze mną do Wysiedliska?

- Znaczący... - Dziewczynka pytająco spojrzała na mnie. - A co z...

- Będę was odwiedzać - skłamałam przekonująco. Zresztą, kto tam wie?

- Pojadę! - rozjaśniła się mała. - Szeleno, a ty się naprawdę nie obrazisz?

- Bogowie uchowajcie! Wręcz przeciwnie, ucieszę się, że w końcu się ciebie pozbyłam.

Virra dźwięcznie cmoknęła mnie w policzek, zeskoczyła na ziemię i znowu gdzieś uciekła - pewnie zbierać trofea. Nasza mała była znacznie praktyczniejsza od większości dorosłych.

Stuknęłam się kubkami z Hrajkiem.

- A jak się ma genialna ballada o wielkiej bitwie? Napisałeś?

- Zrobiłem pewne notatki - zameldował z godnością, klepiąc się po kieszeni wypełnionej zwiniętym pergaminem.

- A jest tam coś o mnie?

- O tobie również - potwierdził Hrajk z uśmiechem.

- To zaśpiewaj - nie wytrzymałam. Ze wszystkich stron zabrzmiały śmiechy, gwizdy i krzyki: „Prosimy, prosimy!”.

- Szeleno, na wszystko przyjdzie odpowiedni czas. - Półelf z zagadkowym wyrazem twarzy złapał skomplikowany akord, który przeciągłym wilczym wyciem przetoczył się od lasu do lasu, aż zadzwoniły sople na drzewach. - Bo potem znowu będziesz się skarżyła, że wykrakałem!

- Jeszcze czego, kiedy się niby skarżyłam?! Już zapytać nie można?!

Hrajk ograniczył się do ironicznego cmoknięcia językiem, a następnie pochylił głowę nad lutnią i kontynuował męczenie strun, wyrrywając z nich przeciągłą, ale niepozabawioną osobliwego uroku melodię.

- Przynajmniej nic zbereźnego? - sprecyzowałam podejrzliwie.

- Obrazasz mnie. Kiedy to napisałem cokolwiek zbereźnego?

- Cały czas. Przykładowo „Samotnego pasterza”!

- Ale tam są przecież same alegorie!

- Ale jakie! Trollom uszy więdna!

- Prosimy, prosimy!!! - zabrzmiało z potrójnym entuzjazmem. Elf chętnie zaczął przygrywać wstęp, a ja splunęłam i ruszyłam dalej.

- Hej, waraako ogoniasta, czekaj!

Gdy łapie cię za ramię skalny troll, w każdym wypadku możesz się tylko zatrzymać.

- Masz. - Wódz wpełznął w moje ręce rudą popiskującą kulkę. - To z ostatniego miotu od mojego psa, najodważniejsza. Tak sobie pomyślałem, że wam, chwybom, razem będzie dobrze!

- Ale po co mi ona? - zmieszałam się. - Przecież jest całkiem malutka, nie mam jej czym karmić...

- W takim razie sama zjesz - poradził troll ze stoickim spokojem, odwracając się do mnie plecami. Niewidzialny cień łąciatego psa, który powinien w tej chwili pilnować Podniebnej Jaskini, z oddaniem truchtał śladem swojego pana, wpychając nos w jego dłoń, odruchowo odwróconą wnętrzem do tyłu.

Uniosłam szczeniaka do poziomu twarzy, chmurnie spojrzałam mu w oczy. Psinka z zachwytem zamerdała ogonem i spróbowała liźnąć mnie w czoło.

- Któraś z nas ma coś nie tak z głową - burknęłam, chowając ją za pazuchę. Teraz powinnam przespacerować się do kuchni polowej i poprosić o odrobinę kaszy lub chleba. Przynajmniej dla okraszenia, he-he!

\* \* \*

Liarę znaleziono dopiero następnego ranka. Pod gruzami muru, zasypaną śniegiem, do końca ściskającą w pięści bojowy amulet...

Tylko ja widziałam, jak stojący przy stosie pogrzebowym Maren niepostrzeżenie wycofał się i zniknął w lesie. Miał całkiem niedwuznaczny wyraz twarzy. Uznałam, że dookoła i tak jest dosyć trupów, by rozwieszać je również na świerkach, więc jak cień ruszyłam za nim.

Po czym przez bitą godzinę jak ta kretynka marzłam w krzakach, obserwując jak przerażająco po męsku, z czołem opartym o pień drzewa czarodziej miesza łkania bez łez z ochrypłymi jękami.

Ostatecznie ucichł i powoli wyrównał oddech. Zacisnął pięści i obiecał niebu:

- I na tym koniec! Moja córka magiem nie będzie! - Po czym, wycierając czerwone oczy, ruszył z powrotem w kierunku ogniska.

*...Wspaniała decyzja... ale losu nie oszukasz. Odroczyysz, tak. Ale nie cofniesz. I kiedyś tak czy siak się zgłosi. Jak nie po córkę, to po wnuczkę... prawnuczkę... Jak kiedyś przyszedł po mnie...*

Uspokoiliam się i poszłam w przeciwnym kierunku. Znalazłam szeroką polankę, pobiegałam po świeżym śniegu, poturlałam się w nim, wyginając grzbiet i powarkując z zachwytu, krótko ryknęłam, wołając nie wiadomo kogo.

*...wilczy czas...*

Zrzuciłam napięcie i już w ludzkiej postaci wróciłam do obozu.

Krasnoludy i trolle zwinęły obozowiska, z wysiłkiem wypłyły resztki grogu i rozeszły po domach. Hrajk zdarł z Tarna-e-Lata dwadzieścia kładni zaliczki za trzy dni koncertów i udał się razem z nim w Góry Grzebieniowe, zabierając również Virrę. Magowie znaleźli „ścianę”, o którą rozbijała się teleportacja, ale chwilowo nadal nie udało im się jej zniszczyć, więc zarówno elfy, jak i driady musiały pozostać na pustkowiach przez kolejnych kilka dni - uznali, że nie będą ryzykować stosowania „kaskady”, skoro nie było ku temu palącej potrzeby. Rycerze natomiast zdjęli kolczugi, zapakowali je do worków, poczynili święte znaki, przypięli narty i udali do stolicy na własnych nogach, nazywając ten idiotyzm „pielgrzymką ku chwale zakonu”.

Smok, od czasu do czasu machając skrzydłami, by nie zamarzły do reszty, czekał aż dwie driady zamocują na jego szyi woreczek z meldunkiem dla Toressy. Jedna z nich miała zabandażowaną lewą rękę, a druga prawą, więc proces miał szansę się przeciągnąć.

Z Weresem i Restem Mrok już się pożegnał, więc gdy damy w końcu zakończyły swoją pracę, ograniczył się do puszczenia oczka w moim kierunku.

- No cóż, Szel, bywaj niezdrowa! - i podskoczył, odrywając się od ziemi.

- A wątroba?! - ryknęłam za nim z oburzeniem.

- Zapiszę ci ją w testamencie! - doleciało skądś zza chmur. - Zgłoś się za dwa albo trzy tysiąclecia!

Zakłęłam. Raczej dla porządku, a i to pod adresem czarownika, który tak bezczelnie mnie oszukał.

- No przepraszam. - Weres rozłożył ręce. - Obiecałem tylko, że zaprowadzę cię do smoka. Trzeba go było złapać za ogon zanim odleciał!

- Tyle dobrego, że przynajmniej ty nie umiesz latać.

- Umieć, ale nie będę. Teraz i już? - Mężczyzna wymownie poprawił pas z bronią.

- A dlaczego nie? Tylko nie na widoku, wejdźmy do lasu.

Faktycznie, ile to można przeciągać?

- A ty siedź tutaj. - Czarodziej niezbyt mocno szturchnął pięścią Resta, który również zaczął się podnosić.

- Ale ja... ja myślałem... - zaczął dzieciak żałośnie.  
- Że powiemy sobie coś patetycznego i wyświechtanego jak „Żegnaj, mój wierny wrogu, będzie mi ciebie brakowało?”, ze wstydem spuścimy oczy i uciekniemy w przeciwnych kierunkach? A ghyr! - Lekko skoczyłam na nogi, i wepchnęłam dzieciakowi sennie protestującego szczeniaka. - Weź, potrzyмай!

Chwilowo po prostu potrzyмай.

\* \* \*

- Zimno - poskarżyłam się nie wiadomo komu, z ogromną niechęcią ściągnając rękawicę i wymacując rękojeść darkanu, która wydawała się odlana z lodu.

Śnieg usłużnie czmychnął spod moich stóp, obnażając szeroki na pięć sążni krąg ziemi. Warstwa czarnych mokrych liści przerwana została łodygami trawek, a przebiśnięgi otworzyły białe dziobki. Razem z nimi odtajała i zaczęła z dumnym rechotaniem skakać po polance niezaplanowana tłusta i plamiasta żabka. Czarodziej czubkiem buta odepchnął ją na bok i rzeczowo zapytał:

- Potrzebujesz jeszcze jakichś tam motyli czy innych robaczków?

- Dziękuję, jakoś sobie poradzę. A to wszystko po co? - Wskazałam koniuszkiem darkana jeden z kwiatków.

- Przecież podoba ci się elfie opracowanie zaklęć. A kwiaty to w ogóle wszystkim kobietom się podobają.

- Ty tu przyszedłeś mnie zabijać czy uwodzić? - Na ziemię spadła moja czapka, a za nią kożuch. Kurtka czarodzieja beczelnie rozłożyła się na nich.

- Widzę, że zabicie będzie łatwiejsze - prychnął on, wyciągając miecz. - To zaczynamy?

- Ale bez magii!

- Ale bez klów!

Miecz i darkan to zbyt różne klingi i krzyżują się nieczęsto.

Ale skoro jest ku temu okazja...

*...a poza tym woda bywa lodowatymi włócznieami, które tylko czekają na wiosnę, by zerwać się z dachu i rozbić w drobny mak o nadal twardą ziemię. Skalistym wodospadem w chmarze bryzg, bezbrzeżną płachtą oceanu, zachłannymi grzędzawiskami na mokradłach, niedosięglym obłokiem i cieknącą po policzku kroplą. Zimową zamięcią, wiosenną powodzią, letnią burzą...*

*Zabijającą, a równocześnie dającą życie...*

Po godzinie wróciłam do obozowiska - rozczochna, zdyszana i poprawiając ubranie.

Zatrzymałam się przed oniemiałym Restem, długo i chłodno patrzyłam mu w twarz, a następnie spytałam:

- Mówiłeś, że nie mógłbyś sobie życzyć lepszego ojca niż Weres. Prawda?

W milczeniu skinął głową.

- To dbaj o niego, durniu - dokończyłam z niespodziewanym ciepłem i goryczą w głosie.

Nie zdążył odpowiedzieć, nad moim ramieniem dostrzegając czarodzieja, który właśnie wydobywał się z krzaków. Rozpłynął w szczęśliwym uśmiechu i pobiegł na spotkanie, nawet nie zauważając, że zarzuciłam torbę na ramię, złapałam pełzającego po kocu szczeniaka, po czym jak szary cień rozpłynęłam się w lesie.

Możliwe, że jeszcze się spotkamy.

A nawet na pewno.

Przecież będzie chciał obejrzeć swojego wilczka.

*Tam gdzie byłam ja*

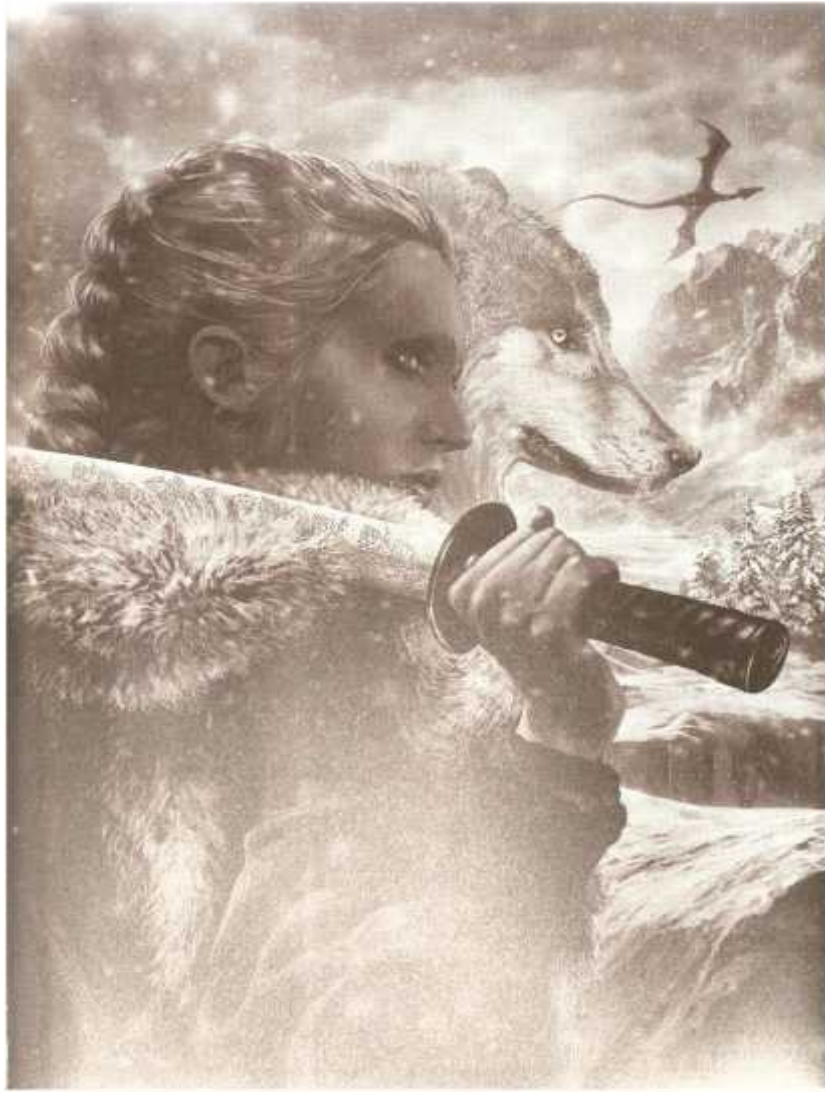
*Będzie tylko proch*

*Po skończeniu dnia*

*Znów zapadnie zmrok.*

*Starych przysiąg sto  
Żadna wartość ich  
Dogorzeje żar  
Pieśń odśpiewa mnich  
Ale jeszcze trwam  
Wrogów budząc złość  
I u piekiel bram  
Nie zakrzyknę „Dość!”  
Nie jest warty łez  
Mej przyszłości mrok  
Losie, łaski bez  
Sama zrobię krok.  
Sen czy wściekły bój  
Pogrzebowy dzwon  
Wybór tylko mój  
Ty, czy może on  
Nie dla nas jest krój  
Prostych łatwych życ  
Ale wybór mój  
Głosi - z tobą być.*







# Olga Gromyko

Urodziła się w 1978 roku w Winnicy (obecne terytorium Ukrainy).

Z wykształcenia jest biologiem i przez kilka lat pracowała w Instytucie Naukowo-Badawczym epidemiologii i mikrobiologii. Debiutowała powieścią *Zawód: wiedźma*, której główną bohaterką jest Wolha Redna. Za swoją twórczość otrzymała wiele nagród, w tym medal im. Nikołaja Gogola za rozwój literatury fantastycznej (2009). Obecnie mieszka w Mińsku.

***Wierni wrogowie*** to jej pierwsza na polskim rynku powieść, która nie należy do cyklu o Wiedźmie, jednak jest osadzona w tym samym świecie Belorii.

***Wierni wrogowie*** to długo wyczekiwana powieść Olgi Gromyko, która z jednej strony usatysfakcjonuje miłośników bestsellerowej serii o przygodach wiedźmy Wolhy, jak również ukáže nieznaną jeszcze polskim czytelnikom literackie oblicze autorki.

***Wierni wrogowie*** ponownie przeniosą czytelnika do świata Belorii, ale na wiele lat przed narodzinami Wolhy, pomiędzy wilkołaki, trolle, driady, elfy i smoki, w czasy heroicznych czynów, które dawno już przeszły do legend.

Nie zawsze jest tak, że ucieszą cię kłopoty wroga. A ucieczka przed problemami hen na kraniec ludzkich ziem bynajmniej nie gwarantuje świętego spokoju. Ba, obrażanie się na cały świat nie oznacza, że masz stać z boku i patrzeć, jak ktoś usiłuje go podbić tudzież godzić się na plany dotyczące bezpośrednio twojej cennej skóry.

Zdarza się, że grupa przypadkowych osób wbrew woli wciągnięta w wydarzenia, o których nie wiedzą prawie nic, może zdziałać więcej, niż cały konwent arcymagów, który w praktyce wcale nie jest aż tak wszechmocny i wszystkowiedzący. A może nawet występuje w nie do końca słusznej sprawie...

Czasami wir przygody w jednej chwili burzy z trudem zbudowaną codzienność i ciska cię na drugi kraniec świata bez żadnej gwarancji na powrót, a nawet zachowanie życia.

